

Marina i Siergiej Diaczenko

Miedziany król

Miednyj korol

Przełożyła Iwona Czapla

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wczesnym wieczorem żaglowiec „Skrzydłak” wpłynął na przybrzeżne wody portu Mirtie i stanął na redzie w oczekiwaniu na odprawę celną. Cała załoga i pasażerowie wyszli na pokład — nie tylko dlatego, że wymagały tego przepisy obowiązujące w Mirtie, ale także po to, żeby popatrzeć na Latające Miasto.

„Skrzydłak” przechylił się i woda z pokładu strumyczkami pociekła do morza. Stłoczony przy lewej burcie tłum gotowy był podążyć za wodą — ludzie wykrzykiwali w zachwycie, napierał i na barierkę, co rusz jeden drugiemu wskazywał palcami osobliwości; dwie korpulentne damy, które przez całą podróż nie wychodziły z kajuty, chciwie wpatrywały się w rozpościerające się przed nimi cudo. Średnio zamożna rodzina złożona z matki, ojca i czterech synów, dalej kupiec z parą pomocników, rzemieślnicy sztuki, którzy postanowili spróbować szczęścia na służbie u Złotych oraz pozostali wędrowcy wszelkich stanów, podróżujący i w kajutach, i w ładowni, wiele nocy śpiący w hamakach lub dręczeni bezsennością na zleżałych pierzynach, patrzyli teraz na miasto swoich marzeń; cel podróży, i wielu z nich widok ten zapierał dech w piersiach.

Latające Miasto unosiło się, nie dotykając zupełnie ziemi. Delikatna mgiełka otaczała port i jego najbliższe rejony. Nad nimi rozpostarły się wdzięcznie wygięte turkusowe i różowe łuki mostów oraz cienkie ściany portowych budynków. Ażurowe budowle wieńczyły oślepiająco białe wieżyczki, a delikatne iglice, niczym palce, wodziły po cienkiej warstwie obłoków nad miastem. Tysiące ludzi stało na redzie, oczarowanych widowiskiem, jak gdyby w ostatniej chwili dopadło ich zwątpienie: czy aby na pewno są godni, niemal porośnięci muszelkami, wejść do złotego portu Mirtie?

Marynarze wspinali się wyżej, chcąc więcej zobaczyć. Prawie wszyscy oni bywali tu już wcześniej, ale tylko niektórym, najstarszym, udało się zachować ostentacyjnie obojętny wyraz twarzy: że niby to widywali rzeczy bardziej godne uwagi. Powietrze odrobinę drgało nad morzem i przez to wydawało się, że złote miasto już, już rozplynie się we mgle — ale ono nie znikало, wprost przeciwnie, stawało się bardziej wyraziste w miarę, jak słońce zniżało się i wydłużały cienie.

Podpłynęła wielka łódź ze strażnikami i celnikami. Pierwszy na pokład wszedł człowiek w skórzanym hełmie, w lekkiej zbroi z herbem Mirtie, z ogromną papierową księgą pod pachą.

— Służba celna Mirtie wita was, morscy wędrowcy — przemówił wyniośle, przenosząc bystre spojrzenie z oblicza na oblicze. — Kapitanie!

Kapitan wystąpił naprzód krokiem pełnym godności i dostojeństwa. W związku z przybyciem zmienił zatłuszczoną, wytartą w wielu miejscach skórzaną koszulę na błękitny mundur z guzikami z polerowanej kości.

— Przygotujcie do kontroli pasażerów, załogę oraz ładunek. Czy wszyscy nowo przybyli zapoznali się z przepisami pobytu w Mirtie?

Rzemieślnicy przestępowali z nogi na nogę. Mieli zamiar naruszyć prawa Mirtie — niewiele, tylko tak troszeczkę. Kiedy już znajdą stabilną pracę, zapłacą cały podatek i staną się godnymi obywatelami złotego miasta, ale na początku...

— Macie dokumenty na dzieci? — Człowiek w hełmie zatrzymał się przed zbitą w ciasny krąg rodziną. — Pokażcie, proszę. Tak... Dobrze. Co wieciecie?

Tymczasem strażnicy i celnicy, razem ośmiu mężczyzn, rozeszli się po całym okręcie: jeden zszedł do ładowni, inny zaglądał do beczek i przetrząsał tobołki na pokładzie, a jeszcze inny przepadł, nie wiadomo gdzie i nagle pojawił się nie wiadomo skąd. Pasażerowie spoglądali na nich z trwożnym zachwytem: celnicy byli obywatelami Mirtie, smagli, o wystających kościach policzkowych, z krótko ostrzyżonymi złocistymi włosami.

— Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem... — Celnik liczył pasażerów. — A to co? Kapitanie!

Kapitan doskoczył i stanął obok. Celnik zwrócił się do niego, a na jego twarzy malowało się zdziwienie połączone z obrzydzeniem:

— Znacie prawa Mirtie? Co to jest, pytam was kapitanie?

Przed nim, na uboczu, z dala od innych pasażerów stał około piętnastoletni chłopak, drobny, czarnowłosy, o dużych uszach. Z zakłopotaniem zerkał to na celnika, to na cudowne miasto za jego plecami. Na wpół dziecinną i prostą twarz odróżniała ledwie dająca się wychwycić inność: zbyt ciemne oczy, wydatne łuki brwiowe, zanadto ostry podbródek, całkowicie biała skóra i wklęsłe policzki, chociaż chłopiec nie wydawał się ani głodny, ani zaniedbany.

— To... — wydusił kapitan. — To... gdzie twój pan?

Przybiegł dobrze ubrany, wysoki człowiek z białym piórem za uchem — znakiem profesji kopisty.

— Proszę o wybaczenie, pokazywałem... okazywałem w kajucie mienie, tam są księgi, papier, przybory do pisania...

Celnik gestem nakazał mu milczenie.

— Co to jest? — Jego długi palec niemal dotknął białej twarzy chłopczyka.

— To mój niewolnik. — Pisarz przełknął głośno ślinę. — A... co?

— Czy jest panu wiadome, że Heksom i ich odrodzeńcom nie wolno zstępować na ziemię Mirtie? A tobie — celnik ostro zwrócił się do kapitana — tobie to już powinno być wiadome na pewno!

Kapitan poblądł:

— Heks? Nie wiedziałem, że on jest Heksem. On...

— Nie, nie — zaprotestował piskliwie skryba. — Chłopak jest w niewoli u mojej rodziny prawie osiem lat... Od dzieciństwa... On nie może być Heksem, mam dokument zakupu, tam jest napisane: „pochodzi z Leśnych Dziedzin”!

Pasażerowie i załoga nadstawili uszu, zaczęli podchodzić bliżej. Zanosilo się na skandal; rzemieślnicy spoglądali po sobie, marynarze marszczyli brwi, pozostali jawnie okazywali ciekawość, stęsknieni rozrywki po długiej, monotonnej podróży.

Nie słuchając skryby, celnik obrócił się do kapitana ponownie:

— Statek nie zawinie do portu, dopóki na pokładzie znajduje się Heks.

Pasażerowie zaszemrali. Przekazywali słowa celnika dalej tym, którzy nie dosłyszeli. Błaha rozrywka mogła nagle przekształcić się w poważne kłopoty dotyczące wszystkich.

— Proszę o wybaczenie... — Kapitan poczerwieniał; wcale nie był tak doświadczonego wilkiem morskim, za jakiego chciał uchodzić. I jeśli potrafił stawić czoła burzy na otwartym morzu, to nieporozumienie z urzędem celnym Mirtie było dla niego stokroć niebezpieczniejsze.

— Albo zawracacie i odpływacie — celnik zawiesił głos. — Albo opłacacie postój na redzie — cztery tysiące monet za godzinę. Ej, wy, skończyście?

Jego pomocnicy znowu pokazali się na pokładzie i po kolei zapisali coś w przyniesionej księdze. Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź, celnik spojrzął na słońce:

— Czas kontroli minął, od teraz zaczyna się czas postoju. Zapłaćcie, kapitanie, a potem możecie podać do sądu pasażera, który przytargał na pokład półkrwiaka... Jeśli wam się uda,

oczywiście, wycisnąć z niego chociaż miedziaka. — Celnik skrzywił się w złośliwym uśmiechu. — Tak więc zawracacie?

— Nie możemy! — krzyknął ktoś z tłumu pasażerów. — To... to niesłychane! Zapłaciłem za bilet!

— Wszyscy zapłaciliśmy! — płaczącym głosem podchwyciła korpulentna dama. — Oczekują na nas z siostrą... dzisiaj w porcie... W imię Imperatora, nie możemy odpłynąć!

Celnik spojrział na nią, ale nic nie powiedział. Kupiec, stojący obok, odezwał się do damy półgłosem:

— Na Imperatora tutaj lepiej się nie zaklinaj.

— My nie możemy odpłynąć! — mówił rwącym się, głuchym głosem kapitan, tak poraziło go nieoczekiwane nieszczęście, które wydarzyło się na samym końcu podróży. — Kończą nam się... zapasy słodkiej wody.

Nie chcę skazywać was na brak wody. — Celnik skierował się na schody, po których schodzili już jego podwładni. Mam dla was prostą radę: wyrzucie Heksa za burtę i wpływacie do portu.

Chłopiec stał jak uprzednio na uboczu, z dala od wszystkich. Niejasne było, czy rozumie on, czy nie, co jest powodem całego zamieszania. Nie wyglądało na to, żeby peszyły go spojrzenia — złe, jawnie wrogie, niekiedy emanujące obrzydzeniem.

— Ile można czekać! — krzyknęła dama o pełnej sylwetce. — Wyrzucie go za burtę, w rzeczy samej! Przecież widzicie, że innego wyjścia nie ma, inaczej nas nie wpuszczą!

Skryba wystąpił przed tłum. Wargi mu drżały.

— Ludzie, rozumiem wasze oburzenie... Ja sam nie wiedziałem... ale, szanowni państwo, to przecież moja własność... Chłopak jest narzędziem mojej pracy, bardzo cennym, ważnym... Jest źródłem moich dochodów! Bardzo dużo kosztuje, kto mi wynagrodzi taką stratę?!

— A kto mi wynagrodzi postój na redzie?! — ryknął kapitan.

— Postawiłeś nas wszystkich skrybo w okropnym położeniu — zauważył kupiec. — Kto jest winien, jeśli nie twoje niedbalstwo? Wszystkim jest wiadome, że Heksów i ich półkriaków nie wpuszczają do Mirtie!

— Zaczekajcie... — Kopista rzucił się za celnikiem, gotów był chwycić go za rękaw, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. — Zaczekajcie... Mogę zapłacić grzywnę. Przecież jesteśmy ludźmi, dogadajmy się... Odpłynę z nim jeszcze dzisiaj, tylko przesiądę się na inny statek!

— Ani stopą... — Celnik chwycił się za linę, do której przymocowane były schody. — Heks nie skala Mirtie ani oddechem, ani dotykiem, ani obrzydliwym wyodrębnieniem swoim. Wyrzucacie za burtę albo statek nie przepłynie.

Pasażerowie mówili jeden przez drugiego i, zdawało się, że już nikt nie słyszy nikogo.

— Ale co ja mam zrobić? — Skryba zagryzał wargi. — To... moje główne mienie... ten niewolnik! On... on ma niebywałą pamięć do liter i znaków, przepisuje księgi z niewiarygodną szybkością, bez niego popadnę w nędzę!

— Wasza sprawa. — Celnik postawił nogę na stopniu. — Ej, kapitanie, minuta do namysłu.

— Ale o czym tu myśleć! — krzyknął starszy z rzemieślników, brodaty jubiler. — Mam kontrakt w Mirtie, kto za mnie zapłaci karę umowną?!

— A może by tak łódka — mamrotał blady jak ściana kopista. — Może by tak spuścić łódkę... Chłopak przepisuje jedną książkę w trzy noce!

— Przyjdzie ci samemu się potrudzić — powiedział jubiler i splunął za burtę. — Ręce ci nie odpadną!

Kapitan zacisnąwszy zęby, szedł po pokładzie, przechodząc stanowczym krokiem przez liny i porzrucane przez kogoś tobołki — kroczył ku chłopcykowi.

Ten się cofnął.

— Dobrze pływasz? — zapytał ponuro kapitan.

Chłopczyk milczał, cały czas się cofając. Kapitan schwycił go za kołnierz bluzy. Chłopczyk wywinał się z nieoczekiwana zručnością i rzucił się do ucieczki wzdłuż prawej burty.

Nadbiegli marynarze i pasażerowie. Dziesięć rąk jednocześnie wczepiło się w kurtkę i spodnie z wypranego płótna, ale chłopczyk, zwinny niczym węgorz, wyrwał się ponownie. Jednak ponownie go dopadli i zbili z nóg.

— Nie ogłuszajcie! — wykrzykiwał pisarczyk. — Wtedy może jeszcze wypłynię! Księgi moje jeszcze i do połowy... A i zadatek...

Usiadł na skrzydłach i kiwając się z rozpaczy złapał się za głowę. Pióro za uchem, oznaka jego profesji, oklapło.

Wijące się ciało chłopca wspólnymi siłami przerzucili przez burzę. Dzieciak poleciał w dół, młóćąc w powietrzu rękami i nogami, i plusnął w wodę, aż bryzgi uderzyły w burzę żaglowca „Skrzydłaka”.

Celnik, obserwujący całe zajście z pokładu, kiwnął głową:

Wpływajcie do portu. Możecie cumować.

* * *

Zanurzył się z głową. Woda uderzyła go po uszach, na jedną chwilę ból sparaliżował jego ruchy, ale jednak wypłynął, zaczerpnął powietrza w płuca i potrząsnął głową. Ból momentalnie przeszedł, tak jak się pojawił. Obok, bardzo blisko niego, widniała mokra burta „Skrzydłaka” — błyszcząca i czarna nad wodą, a pod wodą — bura, włochata, gdzieniegdzie porośnięta muszelkami. Woda okazała się prawie tak samo przezroczysta jak powietrze i Razwijar widział całe cielsko „Skrzydłaka” do samego kila.

Rozwinięto żagle. Załopotwały na wietrze — zielono-czerwone płachty, niczym kwiaty Fier, portu z którego okręt pochodził. Zapieniła się woda przy burcie, a sama burta powoli ruszyła, przepływając obok chłopca. Za rufą „Skrzydłaka” burzył się wysoki biały bałwan — Razwijar rzucił się w bok — jeśli tam trafi w tę kipieli, natychmiast wciągnie go i zakręci, zostawi pod wodą na zawsze.

„Skrzydłak” oddalał się powoli. Przed momentem okręt zasłaniał cały świat, z każdą chwilą jednak jego sylwetka zmniejszała się i przed Razwijarem znowu odkryło się miasto; wysokie, szybujące w obłokach. Mirtie pozwalało patrzeć na siebie i kapitanowi na mostku i porzuconemu Heksowi, dryfującemu pośrodku morza. Chociaż wcześniej Razwijarowi nikt nie powiedział, że jest on Heksem.

Słońce zachodziło. Mówiono, że patrzeć na Mirtie można w południe, o świcie, o zmierzchu, nocą — za każdym razem będzie to nowe, inne miasto. Tak było i teraz; turkusowe łuki stały się błękitne, a różowe — opalowożółte. Białe baszty zabarwiły się złotem. Iglice trzymały na ostrzach obłoki, jakby przygważdżając je do nieba.

Morze było spokojne. Niewielka fala to podnosiła Razwijara, to opuszczała. Tam, gdzie przeszedł „Skrzydłak”, pozostawał jeszcze ślad na wodzie.

Razwijar starając się utrzymać na powierzchni, przebierał w wodzie nogami. Widział, jak daleko, daleko ślizga się łódka celników, i jeszcze jedna, i jeszcze. Jak w ślad za „Skrzydłakiem” kieruje się do portu inny statek — pod żółtymi i białymi żaglami.

Chłopak łyknął słonej wody i zakrztusił się. Za jego pamięci nikt nie uczył go pływać. Tym niemniej, utrzymać się na wodzie zawsze potrafił. Nie należy płynąć do brzegu, na brzeg go nie wpuszczą. W takim razie — dokąd?

Razwijar odpoczął, obejrzał się i popłynął, kierując się na niewielki okręt, stojący dalej niż inne od brzegu. Jakoś zdało mu się, że jeśli okręt jest niewielki i jeśli stoi tak daleko — nie będzie przeszkod, by przyjęli go na pokład. Czemu nie? Potrafi przecież dobrze pracować.

Zachodziło słońce, złote miasto znowu zmieniło swój wygląd. Razwijar płynął; woda okazała się tak złudna i twarda, i miękka równocześnie. Z pokładu „Skrzydłaka” powierzchnia morza zdawała się taka stabilna, ale chodzić po niej się nie da. Statki i łódki poruszały się po wodzie prędko, Razwijar sądził, że i on sam będzie potrafił tak płynąć — ale się pomylił. Starał się ze wszystkich sił zmagać z przeciwnym mu żywiołem, jednak miasto jak wcześniej szybowało nad taflą, odbijając się w niej razem z iglicami i obłokami, a statek na redzie cały czas pozostawał tak samo daleki.

Coś dziwnego działo się z jego rękami i nogami. Jakby zdrewniały. I oddychać było mu coraz trudniej. Razwijar odpoczął chwilę dryfując na plecach, ale plusnęła fala, zalewając go i znowu się zachłysnął. Odkaszlnął i ponownie podjął walkę z żywiołem; teraz zdawało mu się, że statek się zbliża. Wiosłował ciężko rękami i nogami, oblizując spierzchnięte wargi.

Nie żałował ani swojego pana, ani „Skrzydłaka”, ani węzła z rzeczami, który został w ładowni pod jego hamakiem. Żałował „Podróży na Osi Nos”. Wczorajszej nocy przepisał połowę książki, skończyć jej do rana nie udało się. Kapitan zakazał bowiem palić świece w ładowni. Razwijar przewracał stronicę, patrzył na nią, potem pochylał się nad czystą kartką i dokładnie przenosił na papier to, co zapamiętał, co wisiało, jakby w powietrzu, przed jego oczami. I dopóki pisał — trochę rozumiał słowa i widział to, co one oznaczały. Widział daleką cieśninę, zębaty grzebień między dwoma pasmami górskimi; z jednej strony półwysep Osi Nos, z drugiej — Krzemień. Dwa razy w roku przy grzebieniu kotłuje się woda, strasznie się burzy i zrywają się wtedy kamienie. Woda to opada, odkrywając nory głębinowych gadów, to znowu się podnosi, zębaty grzebień skrywa się pod wodą i wtedy przez Osi Nos może przejść statek, nawet największy, taki jak „Skrzydłak”. Podróżnik, który napisał kiedyś tę książkę pokonywał cieśninę w niebezpiecznym czasie — kiedy woda już, już gotowa była obniżyć swój poziom; dopłynął, czy też zginął w falach?

Razwijar pomyślał i doszedł do wniosku, że na pewno ocalał. Przecież ktoś napisał książkę o tej wyprawie. O tym, że książkę może napisać martwy duch, pan Agi nic nie mówił...

Teraz na pewno żałuje swojej straty. Tyle razy mówił do Razwijara „Jesteś moim bogactwem”, że i żmija by zapamiętała. Co prawda, wytargać za uszy, trzepnąć w głowę i rugać ostatnimi słowami pan Agi także potrafił... Zwłaszcza po pijanemu...

Nagle Razwijara złapał skurcz w nodze. Zapomniał się i złapał za kostkę, pograżając się w wodzie... Skurcz ustąpił, ale strach pozostał. Chłopak rozejrzał się.

Niebo rozdzieliło się na dwie części. Ze wschodu nadchodziła ciemność i Latające Miasto kolejny raz zmieniło swoje barwy. Z kolorowego stało się przytłumione, szare. Wysokie łuki zalały się światłem, a mosty przystroiły się pasmem ognia. Na zachodzie jeszcze świeciła się woda i niebo, ale słońca nie było. Utonęło. Jak zawsze, jak każdego dnia.

Razwijar popatrzył na maleńki okręt, w kierunku którego tyle czasu płynął. Okręt powoli poruszał się, na jego masztach rozpościerały się żagle — błękitne. Zapalił się ognisty sygnał na wierzchołku masztu; statek popłynął na zachód, tam, gdzie gorzało niebo i błyszcząca woda, ruszył w ślad za słońcem i dniem.

Nadchodziła noc, ale nie było ciemno. Z każdą chwilą zapalały się coraz to nowe ognie. Żółte, białe, pomarańczowe pasma światła ciągnęły się od mostu do mostu, od baszty do baszty. Wkrótce nad Mirtie zawisła luna tylko odrobinę ustępująca mocą zachodowi ognistego dysku. Daleko na morzu tam, gdzie odpłynął statek — zapaliła się latarnia morska. Na masztach

zabłyły światła sygnalizacyjne i kilka dużych ogni wybuchło jeden za drugim pośrodku morza. Razwijar był otoczony ogniami, jakby brał udział w jakimś święcie.

Jeśli tedy przeplynie statek, przecież zobaczą mnie na wodzie, pomyślał Razwijar nie tyle z rozpaczą, co ze zdziwieniem. Kiedy celnik nazwał go „Heksem”, kiedy postanowili wyrzucić go za burtę, kiedy już leciał w wodę, wyrzucony przez dziesiątki rąk — nawet przez moment, nawet przez mgnienie oka nie wierzył w swoją śmierć i nie zamierzał umierać. Nie zamierzał i teraz. Tym dziwniejsze było dla niego to, że ręce odmawiają mu posłuszeństwa, nogi stają się ciężkie i ciągną na dno, a zęby tak szczękają z zimna, że ich stuk na pewno można usłyszeć w mieście.

Na niebie pojawiły się przyćmione gwiazdy. Przyćmione, ponieważ przyćmiewało je rozświetlone Mirtie. Razwijar płynął, starając się rozgrzać i nie stawiając sobie innego celu. Morze także świeciło; głęboko pod wodą — Razwijara przeraził ogrom głębiny — rozbłyły zielonkawe ogniki. W książce o podróży na Osi Nos były strony mówiące o morskich gadach — kłapaczu wszystkożercy, morskim haczykowcu, o bentalskim smoku, w prostej mowie nazywanym Czeluścią. Razwijar osłabł, wyobraził sobie, jak w głębi morza pod nim otwierają się gorejące oczy i falują haczykowato zakończone odnóża, wyciągają się ku powierzchni macki z wielką liczbą przyssawek.

Powierzchnia wody, na początku drżąca pod brodą, dosięgła warg. Potem nozdrzy. Razwijar zanurzył się i wynurzył, i znowu poszedł pod wodę z głową. Szarpnął się, nie chcąc się poddać, ale od razu opadł z sił.

Nadciągnął wiatr i poruszył morze. Na skraju widzenia coś zamajaczyło, na moment zakrywając przyćmione gwiazdy. Razwijar szarpnął się ponownie — zwidziała mu się łódka, całkiem blisko, tuż obok!

Ogromna i ciemna, pusta, kołysała się na falach. Nie łódka, raczej coś w rodzaju okrągłej tratwy z tyczką pośrodku. Razwijar rzucił się do niej, zatrzepał po wodzie rękami, rozbijając odbicie dalekich ogni i gwiazd. Chciał złapać za skraj, ale zgrabiałe palce ześliznęły się. W rozpaczy, że umiera tak blisko ocalenia, Razwijar krzyknął i dwoma rękami uchwycił się drewnianego kraju pływającego urządzenia.

Opadł na tratwę łokciem. Złapał oddech. Teraz przynajmniej nie wciągnie go tak prosto w głębiny, morze nie połknie go, nie strawi. Sapiąc i kaszląc Razwijar wypełzł na brzeg tratwy, jak złodowaciały ślimak.

Tratwa zakołysała się. Przeciwny koniec podniósł się nad wodę, a ten, na który wykaraskał się chłopiec, zanurzył się w wodzie. Razwijar powoli przesunął się bliżej środka. Tyczkę sterczącą pośrodku drewnianego kręgu, jak się okazało, wieńczył okrągły kaganek z knotem i resztkami żaru.

Razwijar oparł się o palik plecami.

Nie utonie. Doczeka na tej rzeczy jutra, a wtedy zabierze go jakiś statek... Fale miękko kołysały drewniany krąg, i zdawało się, że dziwna tratwa dokądś płynie. A może mnie zniesie do brzegu, pomyślał Razwijar i polizał mokrą dłoń.

Słona woda nie gasiła pragnienia. Wręcz przeciwnie, jeszcze je wzmagala. Razwijar objął rękami ramiona, starając się rozgrzać. Teraz, w ciemności, Mirtie jaśniało w całej swojej okazałości — Razwijarowi zdawało się, że dolatuje do niego muzyka, taka subtelna i delikatna, jaka wydobywa się tylko ze strun pod smyczkiem.

W tę muzykę wplótł się drugi dźwięk — miarowe mokre kłapanie. Po chwili nasłuchiwania Razwijar pojął, skąd dochodzi ten odgłos; czarna sylwetka łódki ślizgała się po zalanej światłem wodzie. Łódka nie była ani wiosłowa, ani żagłowa, ale kołowa. Najgłośniejszym słyhać było uderzenia łopaty w wodę, potem Razwijar usłyszał poskrzypywanie wału i niewybredną piosenkę.

Człowiek, siedzący na rufie, trzymał w poprzek kolan długą pałkę, a na jej końcu to zapalał się, to gasnął języczek ognia.

— Nie pochwycę tej piękności — mruzczał człowiek. — Nie pochwycę tej piękności, gdzie tam, gdzie tutaj, oooo... chyba że pieszczoty gorące... nigdy, nigdy... chyba że pieszczoty, tam, nigdy nie tutaj... Stój! Prrry!

Cmoknął, klapanie ucichło, poskrzypywanie przeciwnie, stało się głośniejsze. Łódka podpłynęła do samej tratwy, na której siedział Razwijar; człowiek podniósł swój drąg, podniósł się i nagle zamarł. Za jego plecami mieniło się ogniami Mirtie, twarzy Razwijar nie mógł dojrzeć.

— Ej! A ty kto zacz? — zapytał człowiek ze strachem. — Żyw czy umarłak?

Razwijar chciał odpowiedzieć, ale zamiast tego głośno szcęknął zębami. Człowiek w łódce, zaniepokojony, wyjął skądś przyćmioną lampkę, podkręcił kółko od knota i zrobiło się jaśniej.

— A kogo my tu mamy? — Człowiek w łódce podniósł latarenkę. — Zdaje się, że człowiek... Hmm. Zdaje się, że chłopiec... A ty, co, ze statku wypadłeś?

Razwijar przytaknął.

— Ożeż... — wymamrotał człowiek. — No cóż, chodź tutaj... tam nie wolno siedzieć, to boja, zrozumiałeś? Ognisty sygnał... la i tak się spóźniłem...

Razwijar chciał przejść na łódkę, ale zamiast tego zsunął się znowu do wody. Boja zakołysała się silnie. Człowiek pociągnął Razwijara za rękę i wytaszczył go na rufę.

— Aleś ty zimny... Idź na dziób, bo i ja sam przemoknę... Idź na dziób, mówię ci!

Prawie całą łódkę zajmował walec, z wnętrza którego patrzyły na Razwijara dwie pary żółtych oczu. Drżąc z zimna, przeszedł przez niego po wygiętym trapie, siadł na dziobie i znowu objął się za ramiona. Pławowy tymczasem znowu przykręcił lampkę, podniósł drąg z palącą się drzazgą i wyciągnąwszy w kierunku boi, dotknął płomieniem knot w kaganku.

Zapaliło się od razu i tak mocno, że Razwijar zmrużył oczy. Okrągła boja, dzięki której uniknął śmierci, była maleńka i patrząc na nią z boku, Razwijar zdziwił się; jak można było siedzieć na takim kruchym kawałku drewna.

— Mam jeszcze trzy ognie — wymamrotał pławowy. — Spóźniłem się dzisiaj, oj... Poszły! No!

Zakręcił się bęben, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Wewnątrz biegły łapa w łapę ciemne zwierzaki, Razwijar nie mógł się im dokładnie przyjrzeć. Po bokach łódki zaplaskaty łopaty.

— Ożeż... — mamrotał pławowy. — A ja prawie wszystko wypilem... Ale coś tam na dnie zostało. Hej!

Rzucił butelkę, chłopak nie złapał jej i butelka upadła na dno łódki.

— Ręce masz dziurawe — powiedział pławowy. — Pij, dalej... A szybko.

Razwijar przy trzeciej próbie odkręcił zakrętkę. Cieczy w butli było po prawdzie na dnie, zapach miała jednak ostry i duszący. Łzy napłynęły mu do oczu.

— No pij! — ponaglał pławowy.

Razwijar wypił. Na początku niczego nie poczuł, ale już po chwili zrobiło mu się lepiej; zobaczył jak zwycięsko połyskują ognie Mirtie, jak odbijają się w każdej kropli, odrywającej się od łopat wiosel i jak oddala się, kołysząc na wodzie, zapalona boja.

— Kim jesteś, he?

— Razwi... jar.

— Junga* ? Marynarz?
— Nie. Nie.
— A kto?
Razwijar zakaszłał.

* * *

Ognie zapalały się jeden za drugim. Ogromne szczury zaprzęgowe, zamknięte w kole, znały i wypełniały polecenia „Stój! Prrry!” i „Poszły!”. Razwijar zasnął.

Spał, skuliwszy się na dziobowej ławce, nie zważając ani na zimno, ani światła. Morze usypiało go. Spał, jakby przeczuwając, że życie będzie długie i trzeba nabrać sił.

Rozbudził go nieznany głos. Z półmroku — w okolicach Mirtie noce nie bywają ciemne — wypłynęła druga łódka i młody, kłótlivy głos zawołał na pławowego:

— Ej! Szkoda, że nad ranem nie wypłynąłeś!

— Spóźniłem się, bywa...

— Bywa... osiądzie ktoś na mieliźnie, to cię jeszcze powieszą za to „bywa”... Kogo tam u siebie trzymasz?

Razwijar przesłonił twarz ramieniem — światło zapalanej latarenki okazało się strasznie jaskrawe.

— Na boi siedział. Już myślałem, że to utopiec.

— Na boi... po co żeś go zabrał, pytam się? Mało to biedy sobie już napytałeś? Mało ci drugiego upomnienia?

— No, umierał przecież, na tej boi. Smarkacz jeszcze.

Właściciel młodego, kłótlivego głosu podpłynął swoją łódką bliżej.

— Ej, ty, odpowiadaj, jak się nazywasz!

— Razwijar.

— Skąd się wziąłeś?

— Za burtę... wypadłem.

— Z jakiego statku, tylko nie kłam!

— Ze „Skrzydłaka”.

— „Skrzydłak” przepływał dzisiaj — kłótlivy człowiek chrząknął. — Majtek?

— Nie.

— Jakoś mnie nie cieszy ten mały — wyburczał kłótlivy człowiek. — Hej... popatrz na mnie, smarkaczu!

Razwijar podniósł głowę. Kłótlivy człowiek patrzył na niego z półmroku, wysoko podnosząc latarnię.

— Stary — powiedział zmienionym głosem. — A spójrz no na niego, tobie jest bliżej. Zdaje mi się, że on ma rysy Heksów.

Pławowy chwycił za ramię Razwijara i poświecił mu latarnią w twarz. Razwijar zmrużył oczy. Cichutko pluskały fale, trącąc łopaty kół napędowych.

— Co — powiedział pławowy zmienionym głosem. — Wypadłeś ze statku, tak?

Razwijar znowu zaczął drzeć. Kłótlivy zaklął długo i niezrozumiale.

— Nie lubią oni takich — mruknął pławowy. — Tak. U nich z takimi... bez ceregieli.

* Junga — chłopiec okrętowy, młody człowiek przysposabiający się do zawodu marynarza (wszystkie przypisy tłumacza)

Kłótniwy znowu zaczął przeklinać. Zwymyślał Razwijara, potem przerzucił się na Złoty i dalej przeklinał, bez chwili przerwy — monotonicznie. Oczy jego, zwrócone ku jaśniejącemu miastu, błyszczały jak u szczura w bębnie.

— Co robić? — zapytał pławowy w przestrzeń. — Ja sam też... Ja sam mam tylko tymczasowe prawo do pobytu, dwa upomnienia, a za trzecim dadzą mi kopa w zadek... Co z tobą robić, chłopaku? Gdzie cię podziąć? Do miasta nie można... A i tutaj także nieodpowiednie miejsce dla Heksa, och, Szuu ciebie rozedrze...

Pokręcił głową, jakby oczekując, że spod fal nagle wynurzy się właściwe miejsce dla Razwijara.

— Wyrzuc go — powiedział kłótniwy.

— Jak to tak...

— Albo odwieź do latarnika.

Pławowy zakrztusił się:

— A jak naprawdę jest półgłówkiem! Mało to takich... Gonić mnie zacznie albo ubije i nie mu się za to nie stanie... Jak wtedy, kiedy rybaka zarznął...

— No to w takim razie go wyrzuc.

— Nie jestem Złoty, żeby człowieka do morza wyrzucać — cicho powiedział pławowy.

— No to wieź.

— Za daleko, żeby tak szczury gonić, a one i tak zamęczone po nocy.

— No to wyrzuc, czego mi głowę zawracasz? Wcześniej trzeba było myśleć, zanim Heksa zabrałeś na łódź, stary dureń, pusta makówka...

I znowu popłynął jednostajny potok przekleństw.

* * *

Łódka wybawcy Razwijara podплыnęła do samotnej skały przed świtem, kiedy niebo stawało się szare, tracąc gasnące gwiazdy. Z bliska słychać było jak trzeszczy i zмага się z powiewem płomień w przezroczystej czaszy latarni.

— No cóż — powiedział pławowy. — Masz szczęście, chłopcze, niewątpliwie... ech. Znałem ja jednego Heksa... Zwierz zwierzem, oczywiście, ale mnie dopomógł w potrzebie... Idź. Ja muszę wracać.

Razwijar przelazł z rufy na kamień. Pławowy uderzył drągiem po pokładzie:

— No! Poszły, dobre, dawaj!

Zakręciło się koło. Zaplaskały o wodę łopaty. Razwijar stał, patrząc w ślad za łódką; wysepka była maleńka, płomień lalami zdawał się wisieć nad samą głową.

Wśród kamieni biegały chmary lubiących wilgoć stonogów, robaki były duże, możliwe, że jadalne. Razwijar usiadł na kamieniu, żeby odpocząć. Był bardzo zmęczony i osłabiony. Obok, całkiem blisko, przepłynął elegancki okręt pod jasnymi żaglami — niebawem będzie w Mirtie... Jeśli go nie zatrzymają na odprawie celnej.

Razwijar poczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił głowę. Na skale za nim stał półnagi starzec w postrzępionej skórzanej spódnicy. Ciało jego, wysuszone i żylaste, w świetle latarni zdawało się czerwonym, broda i siwe włosy sterczały na wszystkie strony, jak wieniec, a nos, wystający daleko w przód był ciemnoliliowego koloru.

Obłąkany nagi starzec. Zabił jakiegoś rybaka, ale zabójstwo uszło mu płazem. A co dopiero mówić o Razwijarze, którego już jeden raz skazali na pewną śmierć?

Siedział na kamieniu i mierzył starca wzrokiem od stóp do głów. Nawet nie podniósł się na powitanie — nie miał sił.

Starzec machnął władczo ręką, nakazując wynosić się. Jego nos nabiegł krwią, stając się prawie czarny. Razwijar spelzł z występu skalnego, wycofał się do wody, wymacując stopami śliskie kamienie. Dalej nie miał gdzie uciec.

— Mądrzy — ze złością powiedział starzec. — Potwory! Odwrócił się i ruszył w górę po kamieniach. Tył głowy miał cały goły — wydawało się, jakby łysina niespodziewanie zsunęła się ze zwyczajowego miejsca, jak zsuwają się niewygodne kapelusze.

U samego podnóża latarni starzec odwrócił się. Ogarnął Razwijara wściekłym spojrzeniem, podparł się rękami pod boki, całym sobą wyrażając oburzenie:

— No co? Czego chcesz?

— Dajcie... pić — wyszeptał Razwijar. — Proszę.

* * *

Latarnia była zrobiona z kości. Ni to igła gigantycznego morskiego jeża, ni to prosty kiel, a może róg. Konstrukcja była wysoka, wewnątrz pusta. Drewniane schody, wybudowane w pustej przestrzeni, prowadziły na wierzchołek — do zbiornika napełnionego olejem, do knotów i śrub, do otworu zapalnego. Starzec zwał siebie Latarnikiem. Jakby zapomniał swojego prawdziwego imienia, albo wyrzekł się go jak czegoś zbytecznego. Żył tutaj wiele lat zupełnie sam, odżywił się rybami i ptakami — na te drugie obmyślił sprytnie pułapki. Wodorosty, którymi porosła podwodna część wysepki, starzec jadł ze szczególnym upodobaniem. Pił wodę deszczową. Tylko olej do latarni — tłusty, gęsty, nadzwyczaj dobrze się palący, przywożono z Mirtie.

Za mieszkanie służyła mu pusta muszla ogromnego małża, wyrzucona na wyspę przez dawno zapomniany sztorm. Muszla stała, jak otwarta księga, grzbietem do góry. Jej ciemne skrzydła skorup, porosłe mchem i zasypane popiołem służyły za pochyłości dachu. Wewnątrz było ciemnowo, ale starzec nie potrzebował światła. Nad jego głową przez całą noc paliła się latarnia.

Razwijar napił się wody, którą starzec nalał mu do żelaznego kubka, zjadł białą rybę o miękkich ościach, gotowaną, dawno ostygłą. Po tym wszystkim legł i zasnął, i przespał z pewnością prawie dobę. Kiedy otworzył powieki znowu był świt, starzec brodził w kamieniach na brzegu, wyciągając z wody girlandy wodorostów, wachał je, z roztargnieniem nadgryzał i szedł wybierać dalej. Na jego pochylonych plecach można było rozróżnić każdy krąg. Poszarpana skórzana spódnica łopotiała na wietrze. Morska tafla połyskiwała różowo, a dalej nad horyzontem szybowało wielkie miasto, tracąc, jak gwiazdy, jedno światełko za drugim.

— Zdmuchnąć świeczkę — wymamrotał starzec pod nosem, ale Razwijar usłyszał. Starannie ułożywszy na mokrym kamieniu pozyskane wodorosty, starzec ruszył w kierunku latarni, siekając przeszedł przez niskie drzwi i zniknął. Minęła minuta, druga, potem wysoki płomień latarni zasyczał. Posypały się deszczem iskry, Razwijar przestraszył się — ale te prawie całkowicie gasły, nie dolatując do ziemi i na głowę nieproszonego gościa upadła tylko garść popiołu.

Zgaśnięcie latarnia było jak zachód, który nastąpił w jednej chwili. Świat wokół zmienił się tak niespodziewanie, że Razwijar musiał usiąść na kamieniu, żeby uchronić się przed zawrotem głowy.

Rozszerzył się horyzont. Ukazały się statki stojące na redzie i inne, podpływające z otwartego morza. Przepadły ostre cienie, świat stał się miękki jak woda, a Mirtie na horyzoncie jakby urosło, poszybowało wyżej i w porannym świetle wydawało się dobrym.

Z niskich drzwi u podstawy latarni wyszedł starzec.

— Na latarnię, do czorta, nie sikać — powiedział uroczyście, spoglądając mimo Razwijara. — Tam jest morze, tam się odlewaj!

* * *

Prawie nie rozmawiali. Latarnika raczej nie interesowało, skąd Razwijar wziął się na wyspie i co zamierza dalej robić. Każdego wieczoru starzec wchodził po schodach, żeby zapalić latarnię, a każdego ranka ją gasił, wciągając knot za pomocą specjalnego mechanizmu. Razwijar nie mógł zrozumieć, kiedy starzec śpi — zdawało się, że nie kładzie się nigdy, cały czas włóczył się po kamieniach, chwycił ryby, kiedyś złapał mięsistego, pięknego ośmionoga i przyszykował go w żarze; ani drew, ani chrustu na wyspie nie było, ale starzec niczego, oprócz wodorostów nie jadł na surowo. Do pichcenia wykorzystywał olej z latarni, a naczyń miał nad podziw dużo.

Każdego dnia obok latarni przepływały statki. Starzec patrzył na nie oceniającym wzrokiem, niekiedy spluwał w ślad za nimi, niekiedy machał ręką, ale niczego na głos nie mówił. Razwijar widział jak odpłynął „Skrzydłak”. Dziwnym było dla niego wspominać czas, gdy sam stał na pokładzie statku, i wręcz strasznym — kiedy obok przesuwawała się porośla muszelkami burta.

Nie wiedział, kto podróżuje teraz na „Skrzydłaku”. Pasażerowie dawno rozproszyli się po uliczkach miasta, pozostali na kolorowych mostach, pod złotymi kopułami. Ale kapitan na okręcie na pewno ten sam i załoga także... Odpłyną i wrócą. I znowu odpłyną. Mogą pływać i włóczyć się po całym świecie, a on, Razwijar, nie potrafi chodzić po wodzie!

Odprowadzał każdy statek z żalem i nadzieją. Mógłby odpłynąć, mógłby wrócić na ląd, gdyby pan Agi wiedział, że Razwijar przeżył! Już on by się wykosztował na łódkę, żeby zabrać z latarni „swoje bogactwo”. Ale pan Agi, oczywiście, nie wiedział, możliwe, że sam już dawno odjechał z Mirtie, może odpływający „Skrzydłak” unosił także jego na swoim pokładzie...

Dalekie miasto codziennie o świcie wstawało na horyzoncie, szybowało nad wodą, mieniło się tęczo, pobłyskiwało złotem, wieczorem zmieniało kolory, rozpalało się ogniami i tak świeciło do rana. Razwijar wiele razy starał się wyobrazić sobie, jacy ludzie tam żyją. Zapewne wysocy, o smagłej skórze i złotych włosach; miło by było popatrzeć na ich kobiety.

Dziwne, że siedząc na kamieniu pośrodku morza, wysmagany wiatrem, zmęczony, wygłodzony Razwijar, prawdopodobnie pierwszy raz w życiu, tak dużo myślał o kobietach. Może tak wpływało na niego wspaniałe, tak bliskie, lecz niedostępne miasto. A może Razwijar nigdy wcześniej nie miał tak dużo wolnego czasu.

Zdobywać jedzenie i jeść. Nic więcej. Razwijar zatem włóczył się po wyspie, zbierając kawałki muszli, ale było ich mało, a do tego zmatowiałe, nieładne. Pomagał starcowi rozdzielić ryby i — niekiedy, jeśli się powiodło — oskubywać złapane ptaki. Starzec milczał. Razwijar patrzył na rybią łuskę ułożoną we wzory i przed jego oczami pojawiały się stronicie przepisanych ksiąg. Pamiętał je prawie wszystkie.

Pewnego dnia Razwijar schował się w cieniu latarni i zaczął recytować na głos — nie ostatnią księgę o „Podróży na Osi Nos” — ale tę, którą przepisywał wcześniej, kiedy „Skrzydłak” dopiero co wypłynął z portu Fier. Była to historia o faworycie samego Imperatora, naprawdę wyjątkowa, rzadko spotykana w Fier i zakazana w Imperium. Pan Agi miał zamiar sprzedać przepisany egzemplarz w Mirtie — za mnóstwo pieniędzy. Razwijara zupełnie nie interesowały przygody faworyty, ponieważ ona tak samo źle obchodziła się ze wszystkimi mężczyznami. Interesowały go obrazy cudzego życia, upiększone, ale jednak bliskie prawdy.

Razwijar recytował z półprzymkniętymi oczami, w myślach przewracał stronicę i czytał dalej; miasto u podnóża wulkanu... Ciemne labirynty pałacu z oślepienymi strażnikami... sypialnia Imperatora, białe i niebieskie ognie... Długa sala, baseny, podświetlone z góry i z dołu, tłumy dworzan, muzykanci z morskimi muszlami...

Cień latarni przesunął się. Razwijar przesiadł się na inny kamień, doganiając go. Cień rozdzielił się i znowu zlał w jeden; uniósłszy głowę chłopak zobaczył starca, który siedział na kamieniu, spoglądając na dalekie miasto Mirtie.

Razwijar zmieszał się. Długo milczał, zanim znowu zaczął recytować na głos. Czy to od gorąca, czy od monotonnego plusku fal pamięć go zawiodła — porzucił więc księgę o faworycie i w myślach otworzył kolejną. To były „Pouczone opowiadania o ludziach, zwierzętach i pozostałych stworzeniach” — różne historie, zapisane jedna po drugiej i niemożliwe było odróżnić wymysły od prawdy. Historie te traktowały o tym, jak wierne żony latają świętować do królowej kwiatów, ale pokład powietrznego statku załamuje się pod nogami niewiernych kobiet. O tym, jak sytucha zapragnęła stać się skrzydłakiem. Jak córka drwala postanowiła wyjść za mąż. O ognistych larwach żyjących w czarnym jaju: „Kiedy trzaśnie skorupa, wyjdzie ogniste stworzenie na wolność i będzie służyć ci trzy dni i trzy noce, podporządkowując się słowom i życzeniom. Nie straszne mu ni strzała, ni klinga...”.

Razwijar wodził palcem po dłoni, wypisując niewidoczne znaki; księgi opowiadały o wszystkim, ale w ani jednej z nich nie było słowa „Heks”.

Cień znowu przepelznął w inne miejsce. Razwijar siedział w nagrzanym przez słońce miejscu, a obok siedział starzec i patrzył na horyzont.

* * *

Starzec, jak zawsze, nic nie mówił. Każdego dnia, zgasiwszy latarnię i zakończywszy starania o pożywienie, siadał w cieniu, a trochę dalej siadał Razwijar, który uważnie wpatrywał się w swoją lewą dłoń — wcześniej czy później pojawiały się na niej wyobrażone znaki, wtedy chłopak wodził po nich palcem i recytował na głos.

Czasami starzec siedział długo. Kiedy indziej znów szybko wstawał i odchodził. Razwijar czytał sam sobie, a potem, kiedy upał stawał się nie do zniesienia, zanurzał się w morzu. Jego ubranie stwardniało od soli, chodził więc nago, jak starzec. Biała skóra złuszczyła się na plecach i rękach, obłaziła płatami, ale Razwijar nie czuł już bólu.

— A co to takiego „Heks”? — zapytał pewnego dnia starca.

Nadzieja na odpowiedź była słaba. A jednak Latarnik odezwał się niemal od razu:

— To plemię.

— Gdzie oni żyją? — zapytał Razwijar uradowany sukcesem.

Ale tym razem starzec nie odpowiedział.

* * *

Minęło wiele dni. Razwijara mdliło już od gotowanej ryby, a na wodorosty nie mógł patrzeć. Kawałek chleba śnił mu się i za dnia, kiedy zasypiał pod skrzydłami ogromnej muszli, i nocą, kiedy płomień na latarni tłukł się i migotał na wietrze.

Wyrecytował wszystkie książki, które przepisał, niektóre po dwa, trzy razy. Z nudów przypominał sobie książki w obcych językach; było ich niewiele, wszystkiego trzy albo i cztery, za to były grube. Znaki na żółtych stronicach nic nie oznaczały, ustawiały się bez jakiegokolwiek sensu i tylko niektóre były podobne do liter. Razwijar wymyślał brzmienie każdej litery i wypowiadał je na głos. Wychodziło to w mowie bardzo śmiesznie, jakieś rybnie bulgotanie na spółkę z ptasim świstem. Niekiedy, wypowiadając frazy Razwijar pokładał się nu plecach i zaczynał chichotać, a starzec patrzył na niego jak na wariata.

Jednostajność życia na wyspie, ryczący płomień latarni, księgi recytowane na głos i przelewające się w sny; sny stające się majakami w upalne południe — wszystko to mogło doprowadzić do utraty zmysłów. Ale najstraszniejsze ze wszystkiego było dla Razwijara podejrzenie, stające się przypuszczeniem, które stało się z kolei koszmarem przechodzącym w pewność, Że całe jego życie minie tutaj, na wyspie u podnóża latarni. Z roku na rok, każdego dnia, tak samo jak starzec, będzie włóczył się nago, gotował ryby na olejowym piecyku, zapalał i gasił latarnię. Nawet imię mu nie zostanie, stanie się Latarnikiem, a potem umrze i jego ciało wrzucą do wody — i tak na koniec morze otrzyma to, co już raz prawie dostało, wedle swego życzenia. To wyrok, a wyspa jest odroczeniem; długim i nudnym. I, uwierzywszy w to, Razwijar postanowił wejść na szczyt latarni i rzucić się stamtąd głową w dół.

Nie wiadomo, czy spełniłby swoje postanowienie, czy nie, ponieważ dwa wydarzenia zdarzyły się jedno po drugim i wszystko w jego życiu się zmieniło.

* * *

— Stój! Prrr!

Szczury w kole zwolniły bieg. Znajoma łódka zawróciła rufą do brzegu, znajomy pławowy podniósł się, utrzymując równowagę i złożył dłonie w trąbkę.

— Ej! Latarniku! Zabieraj paliwo!

Razwijar leżał w ukryciu, w chałupie pod dachem z muszli. Starzec nakazał mu zniknąć z oczu, jak tylko stało się jasne, że jakaś łódka płynie prosto w kierunku wyspy.

Sam zaś, stękając, opuścił na wodę szeroką, ciemną deskę — jedyną deskę na wyspie, służącą i za stół i za łóżko. Po tej desce należało wtoczyć beczkę z olejem do latarni.

— A gdzie mały? — krzyknął pławowy. — Zawołaj, niech pomaga!

Ze swojego ukrycia Razwijar widział, jak stary odwrócił głowę, badawczo spoglądając na pławowego.

— A ty co? Utopiłeś malca, czy jak?

— Przyjdź tu! — krzyknął starzec.

Wtedy Razwijar wyszedł. We dwójkę z Latarnikiem wtoczyli beczkę po desce i postawili w zagłębieniu między kamieniami. Dostawca oleju z nieskrywaną ciekawością przyglądał się gołemu, opalonemu Razwijarowi; starzec tymczasem schodził za pustą beczką, zrzucił ją do wody, zakołysała się na falach, a pławowy sprawnie zaczepił ją bosakiem i przymocował do łodzi.

— Ej, Heksie! — krzyknął. — Ale się odpasteś na swobodzie!

— Idź, idź — powiedział starzec. Pławowy wesóło krzyknął na swoje szczury:

— No! Poszły, miłe moje, poszły, na obiad zdążymy! Łopaty zaklapały, kierując łódź ku miastu.

* * *

Na słońcu żelazna beczka rozgrzała się tak, że parzyła dłonie.

Razwijar i starzec wtoczyli ją na górę. To nie była łatwa robota. Razwijar nie mógł pojąć, jak wcześniej starzec mógł sam jej podolać. Przetoczyć po desce, postawić w zagłębieniu, przenieść deskę wyżej, podsunąć pod beczkę. Znowu przetoczyć, postawić w dołku, przenieść deskę wyżej... Na koniec beczka stanęła na swoim miejscu u podstawy latarni, starzec wyciągnął zatyczkę i wsunął w otwór przetłuszczony koniec knota.

— Usmażymy dzisiaj rybę — powiedział, obracając się ku beczce. — Ty tę rurczkę weź i paliwo odcedź... Pokażę jak.

Po raz pierwszy starzec odezwał się nienagabywany. Po raz pierwszy polecił zająć się gospodarstwem, wcześniej wszystko robił sam, a Razwijar pomagał jak mógł najlepiej. Razwijar i zdziwił się, i zobaczył w tym dobry znak.

Starzec nauczył go odcedzać olej z beczki. Z nieobycia kilka kropel wpadło chłopcu do ust i z obrzydzeniem splunął. Polem Latarnik nakazał mu naskrobać soli z kamieni, a sam podsmażył rybę na żelaznym arkuszu, szcudrze doprawiając olejem i posypując solą. Kiedy słońce schyliło się ku zachodowi, znad morza powiał chłodny wiatr, Razwijar i starzec, usadowiwszy się na brzegu, jedli smaczną rybę, w delikatnej skórce, zapijali ją deszczową wodą i patrzyli na Latające Miasto.

— Może jesteś magiem? — zapytał starzec.

— Ja? — zdziwił się Razwijar. — Gdybym był magiem, chodziłbym po wodzie!

Dalekie liliowe mosty zmieniały kolor, stając się szmaragdowymi.

— I odszedłbyś stąd?

— Tak.

— Jeśli nie jesteś magiem, skąd to wszystko wiesz? Mówisz cudzymi słowami. Może jesteś zaczarowany?

— Nie. Jestem przepisywaczem ksiąg.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — zauważył starzec.

— Pan Agi — powiedział Razwijar — mało co włosów sobie z głowy nie wyrwał, kiedy kazali mnie wyrzucić. Potrafię w ciągu trzech nocy przepisać księgę, która kosztuje sto imperatorskich realów! A przecież kupił mnie za kilka żalonych monet, sam mi to opowiadał!

— Znaczy się jesteś niewolnikiem?

Razwijar zamyślił się.

— Nie wiem. Teraz pan Agi myśli, że umarłem, a to znaczy, że jestem wolny...

— Tylko martwi są wolni — starzec rozciągnął w uśmiechu spieczone, wręcz czarne wargi.
— Obaj jesteśmy martwi, synku. Radujmy się więc.

Razwijar odchylił się na płaski, ciepły kamień i zamknął oczy. Smaczny posiłek dobrze leżał na żołądku. Starzec nazwał go „synkiem”. Razwijar przypominał sobie, że i wcześniej tak go nazywali... Bardzo dawno temu...

Możliwe, że spodoba mi się być martwym, pomyślał Razwijar i zdrzemnął się, nie na długo — tylko kilka minut.

Ale kiedy otworzył oczy, starzec stał już, opierając bosą nogę o kamień i patrzył na horyzont, osłaniając oczy dłonią. Wyczekiwanie widoczne było w całej jego postaci, w napiętych mięśniach, a nawet w rzadkich włosach i w sterczącej niczym drogowskaz brodzie. Nigdy wcześniej starzec tak nie patrzył.

— Co się dzieje? — zapytał Razwijar.

Niewielka, czarna łódź wiosłowa podpłynęła bardzo blisko. Nigdy duży statek nie pojawiał się tak blisko wyspy — zapewne galera była płaskodenna i nie straszne jej były podwodne kamienie.

Razwijar, wedle nakazu starca, schował się w chacie i leżał bez ruchu. Prawie niczego nie widział, za to słyszał każde słowo.

— Ej! — krzyknął zwody młody zachrypnięty głos. — Latarniku!

— Czego chcesz? — kłótliwie odezwał się starzec.

— Oddaj Heksa. Jest bardzo potrzebny.

Razwijar zamarł pod sklepieniem z muszli.

— Jakiego Heksa? — ryknął starzec z nienawiścią. — Wiosłujcie stąd Szuu w zad!

Człowiek na statku roześmiał się:

— Latarniku, jesteś durniem. Baki–Baki wygadał się w tawernie i jak nie dziś to jutro będzie tutaj patrol. A Złotym nie podoba się, kiedy ich posyłają do Szuu! Dawaj, potrzebuję wiosłarza, bo mojemu Grubemu poderżnęli gardło w pływającej tawernie.

Zrobiło się cicho. Słońce osiadło w morzu, Razwijar nie mógł go widzieć, ale po błyskach na wodzie, po kolorze powietrza czuł, że słońce utonęło równo do połowy.

Starzec milczał. Pluskały fale o brzeg.

— Ej, Latarniku, zasnąłeś!

Plącząc się w przesolonych szmatach, Razwijar wyszedł spod muszli. Nie do końca pojmował, czy przydarza mu się szczęście, czy wielka bieda, ale nie mógł zostać w tym miejscu. Prawie przy samym brzegu kołysał się ciemny statek, stał z rozcapierzonymi wiosłami i rufą skierowaną na Latarnika, i zdawał się Razwijarowi podobnym do czarnego ptaka — płastucha.

Na rufie, opierając nogę na beczulce, stał młody, czarnobrody mężczyzna w białej koszuli poplamionej, zdaje się, krwią. Jego lewa ręka opierała się na temblaku. Pierwszy dostrzegł Razwijara.

— Chudy — wyraził swoje spostrzeżenie. — Ale wszyscy Heksi są wytrzymali, nawet półkrwi. Chłopcze, wskakuj na pokład!

W biegu, potykając się na kamieniach, Razwijar naciągnął koszulę i spodnie zaskorupiałe, klujące, ale jeszcze nie tak bardzo porwane. Starzec się nie odwrócił. Razwijar stanął obok, prosząco spojrział w twarz otoczoną jak wieńcem, białymi włosami.

Starzec popatrzył mu prosto w oczy — pierwszy raz, odkąd Razwijar zamieszkał na wyspie.

— Posłuchaj — powiedział starzec, ledwie dosłyszalnie.

— Kładziesz na kamień, rysujesz ręką, o tak — przesunął w powietrzu prawą ręką, ze złożonymi trzema palcami — i mówisz...

Jego głos z szeptu przerodził się w ledwie słyszalny szelest, ale Razwijar usłyszał.

— Mówisz: „Miedziany Królu, Miedziany Królu. Weź, co jest mi drogie, daj, czego potrzebuję”. Zapamiętałeś?

— Miedziany Królu...

— Przy ludziach nie powtarzaj!

— A co kładę? — Razwijar nachmurzył się, chciał się pożegnać i oczekiwał od starca innych słów. Ale ten, zdaje się, nigdy nie robił tego, czego od niego oczekiwano.

— A co jest ci drogie, to i kładziesz — ostro powiedział starzec i odwrócił się.

— Ej, chłopcze! — ponaglał czarnobrody w białej koszuli — długo mamy na ciebie czekać?

— I co będzie? — Razwijar nachylił się do starca.

— Nic nie będzie! — wykrzyknął ten z niepojętą złością.

— Idź!

Więcej nie można było z niego wyciągnąć ani słowa. Zdecydowawszy się wreszcie, Razwijar wszedł do wody i wpław dostał się do galery, gdzie wciągnęli go na pokład.

* * *

Galera nazywała się „Łuska”.

Całą noc Razwijar wiosłował, siedząc na ławce między łysym, gołym do pasa człowiekiem, a drugim całkiem młodym, gadatliwym i bardzo towarzyskim. Razwijarowi trudno było równocześnie rozmawiać i wiosłować. Nie umiał i zresztą nie przywykł do tego. Szybko się zmęczył, a młody sąsiad o wszystko go wypytywał; kim jest i skąd, wciąż dopominał się o nowe szczegóły, póki nie przyszła jego kolej, i w końcu wyczerpany zamilkł.

Miarowa praca, kołysanie, poskrzypywanie, wpędziły Razwijara w trans. To mu się zdawało, że znowu jest na pokładzie „Skrzydłaka” i trzeba kończyć księgę, a palce nie są w stanie utrzymać pióra. To zwidywało mu się Mirtie, mającące na horyzoncie tyle długich dni, a teraz ginące we mgle. To przypominał mu się starzec o imieniu Latarnik, a Razwijar na nowo dziwił się i gniewał za jego pożegnalne słowa. „Miedziany Król...”. Starca uważano za szaleńca, tak też zapewne było.

Rankiem podniósł się sprzyjający wiatr i wioślarze złożyli wiosła. Razwijar nie od razu mógł podnieść się z ławki; plecy rwały niemiłosiernie, nogi zdrętwiały, a dłonie okazały się starte do krwi. Na pokładzie rozlewali zupę i rozdawali chleb; widząc, jak długi nóż oddziela rumiane kromki z bochna Razwijar zapomniał o zmęczeniu i bólu.

Siadł przy burcie, kładąc miskę na kolana. Łyżki nie było — każdy z wioślarzy kiedyś dostał swoją; chłopak zmieszał się, ale tuż obok usiadł czarnobrody w białej koszuli. Milcząc podał Razwijarowi drewnianą łyżkę rzeźbioną we wzory.

— Dziękuję!

Zdawało się, że zupa rozlała się po żyłach w miejsce krwi. Zapach nappełnił gardło i nos — polewka okazała się tak smaczna, że Razwijar nie próbował takiej nawet w domu pana Ania, nawet na pokładzie „Skrzydłaka”. Ale przede wszystkim — chleb! Razwijar odłożył go sobie na później.

— Zmęczyłeś się? — zapytał czarnobrody. — To dlatego, że nie jesteś przyzwyczajony. Nie bój się, Heksi są silni, można z nich skórę drzeć, potem nowa odrasta.

Razwijar przestał łykać. Spojrzał podejrzliwie.

— Nie za bardzo jesteś podobny do Heksa — czarnobrody ośmielająco mrugnął do niego. — Tylko Złoci widzą to od razu, mają wzrok na takie rzeczy wyostrzony... tak, tak, podzłoci, którzy są rezydentami także zauważają, przynajmniej powinni. Byłeś niewolnikiem, tak? Sługą?

— Przepisywaczem.

— Piśmienny? — Człowiek się nachmurzył. — Zapomnij o tym, nam to niepotrzebne. Musimy iść pod wiatr dwadzieścia dni... jeśli się poszczęści. Tak więc staraj się, chłopcze, wiosłuj jak należy, a zostaniesz nagrodzony... Na dole wiszą hamaki, pojesz — i spać. A łyżkę sobie zostaw, potem oddasz... A propos, zwał mnie Arwi.

I poszedł, zostawiając nowicjusza z pustą miską na kolanach.

* * *

Polewka, rozgrzewając od środka, zaostriła tylko głód Razwijara. Ani dziwna przemowa czarnobrodzkiego Arwiego, ani narastające kołysanie, ani zmęczenie, nie mogły przytępić tego głodu.

Druga miska nikomu nie przysługiwała, Razwijar usadowił się zatem na rufie pomiędzy skręconymi linami i wziął pajdę chleba w obie ręce.

Ten chleb wyszedł z piekarni całkiem niedawno. Nie był podobny do sucharów, jakimi zwykle zadowolają się marynarze na morzu. Był podarunkiem z Mirtie, szybującego miasta, które na zawsze zniknęło za rufą. Razwijar zamknął oczy i wciągnął głęboko chlebowy zapach.

Znowu przypominał mu się starzec. Nikt nie przywiezie mu chleba. Stary Latarnik dawno zapomniał, co to takiego. „Weź, co jest mi drogie, daj, czego potrzebuję”. Oczy starca płonęły dziko, kiedy wymawiał te słowa. Jego zazwyczaj zmatowiałe, obojętne oczy...

Co jest potrzebne Razwijarowi?

Niewiele. Niech przestaną piec dłonie, niech nie rwą plecy. Dobrze by było dostać jeszcze jedną kromeczkę chleba i miskę zupy też byłoby niezłe. Dobrze by było uciec z tej galery,

Razwijarowi wcale się tutaj nie podoba, chociaż czarnobrody Arwi zdaje się być dobry. Dobrze by było znaleźć nowego pana, żeby nie ciągał za uszy, jak mistrz Agi...

Zaczął marzyć — i już nie mógł zatrzymać potoku pragnień. Nigdy w życiu tak nie marzył; zaczął od maleńkiego życzenia, a potem życzył sobie coraz więcej i więcej, i już widział siebie w Imperatorskiej bibliotece, gdzie są zebrane wszystkie księgi świata, a Razwijar jest ich strażnikiem i głównym skrybą...

Czyż starzec sam nie mógł okazać się magiem? Czyż nic mógł nauczyć Razwijara czarodziejskiego zaklęcia?

Pajda chleba była najdroższa ze wszystkiego na świecie. Tak zdawało się Razwijarowi, dlatego wybrał na pokładzie czyste miejsce i położył przed sobą chleb.

Rozejrzał się. Nikt nie patrzył. Ludzie odpoczywali po ciężkiej pracy, ktoś zszedł do ładowni, ktoś usadowił się na pokładzie. Arwi stał obok sternika. Nad ich głowami nadymał się ukośny żagiel, kiedyś czarny, a teraz wypłowiał i pokryty solnymi zaciekami. Nikt nie miał sprawy do nowicjusza. Z pewnością wioślarze na „Łusce” często się zmieniali...

Razwijar podniósł rękę — i dokładnie powtórzył ruch, którego nauczył go starzec.

— Miedziany Królu, Miedziany Królu... Weź, co jest mi drogie! Daj, czego potrzebuję! Ja chcę...

Ale pozostałe słowa stanęły mu w gardle, ponieważ chleb nagle drgnął, jakby okutany mgielką i przepadł. „Łuska” silnie zakotłosało, potoczyła się nieumocowana beczka, zaklął sternik, zawył wiatr w olinowaniach. Galera płynęła po niespokojnym morzu, za rufą wstawało słońce i wszystko było jak przedtem, ale chleb zniknął, nie został ani okruszek, a Razwijar na próżno wodził ręką po miejscu, gdzie leżała drogocenna pajda.

— Jak to się mogło stać?!

Nigdy w życiu nie widział działania magii w rzeczywistości. Ale to, co się stało, było ewidentnym czarodziejstwem, niepojętym i perfidnym. Jak starzec, któremu pomagał zbierać wodorosty, łowić ryby, wytaczać na brzeg beczki — jak starzec, do którego Razwijar prawie się przywiązał, mógł zrobić mu taki okrutny żart?!

Chłopak nie wytrzymał i zapłakał — pierwszy raz od tamtego dnia, kiedy pan Agi bez powodu wytargał go za uszy.

* * *

Hamaki wisały w trzech poziomach wzdłuż burty. Razwijar znalazł sobie miejsce na samym dole. Światło przebijało się przez szczelinę w pokładzie. Razwijar położył się i zawisnąwszy w hamaku, plecami dotknął chłodnego drzewa.

Nad nim kołysało się w siatce ciężkie ciało wioślarza — sąsiad Razwijara spał w swoim hamaku niczym poczwarka ogromnego owada w kokonie.

Chrapanie, sapanie, senne mamrotanie pozostałych ludzi wplatało się w szum fal i skrzywienie masztu. Razwijar zamknął oczy, ale nie zasnął.

Pod powiekami zobaczył pole porośnięte zielonymi kłosami, otoczone lasem. Ogromne drzewa, o wiele wyższe od latarni, stały razem, pień w pień, szcypiwszy się gałęziami. Świeciło słońce. Kłosa szeleściły na wietrze, a wzdłuż między — ścieżka wzdłuż pola nazywała się „miedza” — biegł człowiek na szczudłach.

To było bardzo dawno. A może jednak nie tak dawno.

Jego ojciec służył jako obchodzący na polu, biegał na szczudłach, odganiając w las pasożyty. Jego szczudła były wyższe od wzrostu człowieka, na szczycie uchwyty dla rąk, na dole — wyciosane w drewnie dwa ogromne kopyta. Ziemia drżała, kiedy ojciec biegł na tych szczudłach,

a każdy jego krok był jak dziesięć zwyczajnych kroków. Ojciec głośno mówił, głośno się śmiał, dużo jadł, a kiedy był w dobrym humorze, podrzucił Razwijara pod sam sufit ich drewnianego domu... Czyli mieli dom. Dokładnie — MIELI dom. Próg z dwoma kamiennymi stopniami, przedsionki bez sufitów i bardzo wysoko nad głową dwuspadowy, słomiany dach. Z prawej i lewej strony drzwi, na prawo do części wuja, na lewo do ojca, a tam już był sufit. Razwijar wlatywał, chichotał, a kobieta z włosami do podłogi krzyczała, że go upuści...

Kobieta?

Wspomnienie to okazało się nie tyle przyjemnym, co wręcz urzekającym. Razwijar przeraził się, że teraz ono odejdzie. Może to sen? Ale dlaczego oczy ma otwarte?

W ładowni chrapali. Po pokładzie ktoś przeszedł, słoneczne błyski w szczelinach pogasły i znowu się zapaliły. Razwijar zmrużył oczy. Ponownie, jakby sobie nie wierząc, wywołał w pamięci oblicze ojca... I przypatrzył mu się dokładnie — pod zamkniętymi powiekami — jego szorstkiej, kłującej szczęce, żelaznemu kolczykowi w maleńkim ciemnym uchu, wesołym zielonym oczom...

Kobieta! Obok niego kobieta z włosami do podłogi. Matka; białe policzki, wysokie kości policzkowe i ciemne oczy, na szyi naszyjnik ze zmijowej skóry. Ojciec mówił, że ugryzła ją wiewiórka. I matka sama przemieniła się w wiewiórkę i uciekła do lasu. Od tamtej pory, kiedy ojciec obiegał pola na swoich szczudłach, niekiedy przybiegały do niego wiewiórki. Pędziły po ziemi, jedna za drugą i nie starczyłoby palców, żeby je policzyć. Tak mówił ojciec, sam Razwijar nigdy tego nie widział...

Obrazy pojawiały się przed oczami, jak wcześniej pojawiały się litery ksiąg. Wystarczyło tylko o czymś pomyśleć. O, tak jak teraz; uderzają w ziemię drewniane kopyta. Biegnie człowiek na szczudłach, a za nim, z napuszczonymi ogonami, trenem ścielą się wiewiórki... Jaskraworude, ciemnorude i koloru piasku, i koloru ognia, stadko podobne do morskiej fali; biegnącej, rozświetlonej słońcem.

Razwijar oblizwał wyschnięte wargi. Beczka z wodą, tam na pokładzie... Zszedł z hamaka, wstał, chwiejąc się, ruszył ku schodom, potykając się o czyjeś ręce i nogi, obok sapiących i bredzących we śnie, tam, gdzie była luka w szczeliniastym suficie.

Na czworakach wygramolił się na pokład. Tutaj było lepiej; świeży wiatr, słone bryzgi, słońce kładące cętki światła na wodzie. Czerpiąc wodę z beczki, zaszurgotał łańcuchem, krztusząc się wypił łączywie — jeden kubek i zaraz potem drugi.

Nie chciało mu się wracać do ładowni. Umościł się przy burcie, zwinął się w kłębek, położył zwiniętą dłoń pod głowę, zamknął oczy — i znowu zobaczył, jak biegną po polu setki wiewiórek.

Jego dom spłonął. Cudze krzyki pękały w uszach jak bańki na kałużach. Prawie ludzkim głosem ryczał płomień. To było długo po tym, jak matka stała się wiewiórką. A co się stało z ojcem? Możliwe, że ocalał z płomieni? Może do tej pory żyje?

Razwijar z całej siły potarł twarz. Co się z nim dzieje? Dlaczego wcześniej niczego takiego nie pamiętał i nie starał się sobie przypomnieć?

Miał dom i rodzinę. Stara babka, matka ojca, opowiadała o tym, co działo się wcześniej. O kamiennym olbrzymie, zwanym „martwym posągiem”. Dawno temu, kiedy dziadek Razwijara jeszcze się nie urodził, ktoś zniewolił na rozdrożu kamiennego olbrzyma. Mówiono, że unieszkodliwił go wielki czarownik. Olbrzym upadł na kolana, zwałił się na bok, ale nie umarł tak zupełnie. Jeszcze matka Razwijara, kiedy była maleńka, na własne oczy widziała, jak posąg podnosi kamienne powieki i patrzy...

Razwijar próbował wyobrazić sobie opowieść babki jako wersy w książce — i nie potrafił. Staruszka opowiadała także o tym, jak wykarczowywali lasy, jak je palili, odzyskując ziemię dla kłósów, a płonące pnie przychodziły nocami do wsi i wyciągały z pościeli śpiących ludzi.

Maleńki Razwijar bał się takich opowieści, ojciec kłął i mówił, że teraz, kiedy ludzi zrobiło się dużo, ani jeden pień na coś takiego się nie odważy...

I jeszcze babka opowiadała, jak w lesie pojawiła się matka Razwijara. Nie umiała chodzić i jechała wierzchem na dwunogiej jaszczurce. Jaszczurka potem zdechła. Chcieli zrobić z niej kukłę, ale lalkarz wszystko spartaczył po pijanemu. Dziewczynka okazała się silna, nauczyła się chodzić i nawet biegać, wyrosła na piękność, tak więc ojciec Razwijara wziął ją sobie za żonę...

— Tylko nie w Mirtie, gdzie każdy niewolnik jest policzony — powiedział ktoś znajomym głosem. Razwijar otworzył oczy.

Obok przeciwległej burty stał Arwi i jego współnik; barczysty, płowowłosy człowiek o imieniu Lu. Rozmawiali albo nie zauważając Razwijara, albo nie zwracając na niego uwagi.

— Przecież wiesz, zbiegów u nich nie ma — kontynuował Arwi. — Sami niewolnikami nie handlują, a nasi, z Fier, są na licencji. Na rynku za jednego niewolnika zapłacisz jak za połowę galery, a najemnikowi także trzeba zapłacić... Ale co tam, dobrze się stało.

Razwijar znowu zamknął oczy. Zobaczył jaszczurkę wielkości człowieka, stojącą na dwóch nogach, a na jej grzbiecie, w maleńkim siodle — dziecko...

— Słuchaj — powiedział głuchy głos, to na pewno mówił Lu. — Dobrze się złożyło. Więcej takie szczęście może nam się nie przytrafić.

— Chcesz zwiąć? — Głos Arwiego nieprzyjemnie zmienił się, zabrzmiały w nim ostre nuty.

— Jesteśmy bogaci. Wystarczy, współniku.

Długo ciągnęło się milczenie. Razwijar prawie zasnął.

— Ostatni raz — powiedział Arwi. W półśnie Razwijara jego słowa rozbrzmiały echem: „Ostatni raz... raz...”.

— Wszyscy tak mówią. A potem zżera ich ten zwierz. Albo zgarnia patrol. Albo umierają w Mirtie z nieznaney przyczyny. Nie wiem, co gorsze.

— Jedna skóra to dom na wybrzeżu, Lu.

— Już sprzedaliśmy półtorej skóry. Wystarczy nam.

— Jeśli się boisz, odejź — głos Arwiego niebezpiecznie się obniżył. — Tylko nie będziesz miał udziału w nowej wyprawie.

— Mój udział w galerze. Dwie dziesiąte oddaj.

— Ani dziesiątej części, Lu. Przecież to mnie zeżre zwierz albo rozstrzela patrol, albo zabiją w Mirtie. Wykupię od ciebie galerę i zjeżdżaj stąd.

I znowu zrobiło się cicho, słychać było tylko szum morza.

— Ostatni raz — ze złością powiedział Lu. — Szuu z tobą, kapitanie.

* * *

„Łuska” płynęła na zachód. Wiatr rzadko bywał sprzyjający, pracować trzeba było dzień i noc, wiosłarze zmieniali się co kilka godzin. Razwijar nabrał sił; prawda, zamiast chleba rozdawano teraz suchary, ale za to krzepkie i smaczne, a i zupę polowano tłustą. Razwijar najadał się w końcu za wszystkie czasy — stał się żarłoczny od ciężkiej roboty, a może od tego, że zaczął rosnać. A co do tego, że rośnie, nie było wątpliwości — wyciągał i rozszerzał się w ramionach, i jakby poszerzał się od wewnątrz. Pracował przy wiosłach, czy leżał w hamaku, czy też siedział na burcie, wystawiając twarz na wiatr — wciąż widział obrazy, wyraźne, wręcz jaskrawe.

Widział las, podobny do labiryntu z wieloma komnatami. Gałęzie stanowiły sklepienie, a pnie i liany oraz krzaki z mięsistymi liśćmi były nie do przejścia, gęsto splecione niczym ściany. Człowiek, nieznający lasu, gubił się w nim w minutę, ale Razwijar w swoich wspomnieniach był mieszkańcem tego miejsca i znał go jak własną kieszeń.

Wieczorem pod pułapem zapalały się świetliki: bladobłękitne, zielonkawe, matowobiałe. Każdy listek odbijał cienie kolejnych ogników. W swoich marzeniach Razwijar leżał na brzegu maleńkiego jeziora i patrzył na świetlika, który zawisł w pajęczynie. Świetlik był samyczką, która przygotowywała się właśnie do złożenia jaj i dlatego powoli zmieniała kolor — z zielonego na różowy, poprzez wiele opałowych odcieni.

Morze mówiło wodą i wiatrem, skrzypieniem olinowania, uderzeniami wiosł.

Bywało, że Razwijar tak pogrążał się w marzeniach, że tylko silny kuksaniec przywracał go do rzeczywistości. Wiosłował i jadł, leżał w cuchnącej ładowni, kołysząc się w hamaku i słuchając chrapania; w zamyśleniu wchodził po kamiennych stopniach, przechodził przez chłodne przedsionki, otwierał drzwi. Bywało, że dom był pusty, tylko zawinięty w ściereczkę saganek stał na stole, zapraszając do obiadu. A zdarzało się, że spotykał ojca albo matkę, albo babkę, albo wszystkich naraz. Czasami zaś bywało, że z części domu wuja przychodziła do nich ruda jak wiewiórka cioteczna siostra...

Niekiedy Razwijarowi robiło się niedobrze, miał dreszcze, a w brzuchu przewracała się kolacja. Wtedy zwidywały mu się języki ognia i czarny dym; palił się ich dom i cała wieś, ale kto był podpalaczem, Razwijar nie mógł sobie przypomnieć. Widział, jak cały w strachu rzucił się do lasu i tam włóczył się wiele dni, odżywiając się ślimakami, grzybami i jagodami, póki go nie zabrali przejeżdżający obcy ludzie i w ciągu kilku miesięcy nie sprzedali panu Agłowi...

Gdzie to było? Co to za las? Gdzie szukać ojca, jeśli ocalał? I wujka, jeśli go nie zabili?

Tymczasem „Łuska”, zwinna i lekka galera, mknęła coraz dalej i dalej na zachód. Coraz częściej zbierały się chmury, noce stawały się chłodniejsze. Razwijar powoli wychodził ze stanu melancholii. Obecnie częściej rozmyślał i zastanawiał się, niż snuł marzenia.

Jego dłonie pokryły się szorstkimi jak drewno odciskami. Stopniowo zaczął zapoznawać się z pozostałymi wioślarzami nie zaprzyjaźniał się, ale i nie stronił od nich jak na początku. Okazało się, że siedzieć w kręgu z innymi, słuchać rozmów, niekiedy wtrącać jakieś słowo i śmiać się razem ze wszystkimi — nie tylko jest wesoło, ale bardzo pożytecznie i zdrowo. Ci ludzie wiedzieli więcej niż zazwyczaj mówili, ale Razwijar nauczył się po drobnych przejęzyczeniach i przemilczeniach dobudowywać niewypowiedziane treści.

Połowa wioślarzy od dawna pływała z Arwim i Lu. Druga połowa zaokrętowała się tylko na ten rejs. Wszyscy byli wolni, na umowie. Wszyscy byli też zadowoleni z zarobków i tylko dwóch zbierało się do zejścia z „Łuski” w porcie Fier. Galera znajdowała się na „niebezpiecznej robocie” — o czym wspominali z dumą, ale głośno nie chcieli wyjaśnić w czym rzecz, a Razwijar nie chciał pytać wprost żadnego z nich. Z jakiegoś powodu uznali go za niewolnika. Razwijar nie spieszył się nikogo przekonywać, że tak nie jest.

Patrzył na siebie z boku i widział podrostka z popękanyimi wargami, wielkimi ustami i odstającymi uszami. Jasne już było dla niego, dlaczego zabrali go Arwi i Lu — nowicjusza do wiosł nie udało się kupić na rynku Mirtie, a jemu nie trzeba było płacić. Ale co z nim będzie dalej? Co zrobiłby Razwijar, gdyby był kapitanem „Łuski” i rozumował jak on?

Sprzedać darmowego niewolnika na rynku w wielkim mieście. Oto, co pierwsze powinno przyjść kapitanowi do głowy. Z podrostka był słaby wioślarz, pomimo że okrzepł po drodze. Jednak jest młody, zdrowy, piśmienny — za otrzymane pieniądze można najać na umowę trzech dorosłych mężczyzn... Tak na pewno rozumowali pozostali wioślarze. Zapewne dawno zdecydowali o losie Razwijara. Sprzedadzą go w Fier, a za uzyskane pieniądze najmą ludzi w miejsce tych, którzy zdecydowali się odejść z galery.

Całkiem niedawno Razwijar gotowy był poprosić zdradzieckiego „Miedzianego Króla” o nowego dobrego pana. Teraz, nieprzyjemna była dla niego nawet myśl o tym — po pierwsze dlatego, że nie zapomniał i nie wybaczył jeszcze starcowi okrutnej sztuczki z chlebem. Po drugie,

Razwijar pomyślał, że on zawsze był w niewoli i to, co przedtem wydawało się jedynym wyjściem, obecnie przerażało i oburzało.

Dobrze by było uciec, jak tylko przybiją do Fier. Chociaż Razwijar, będąc na miejscu Arwiego, przewidziałby taki obrót sprawy i przypilnowałby chłopca. Kapitan nie był durkiem, przecież na środku morza nie ma się gdzie podziać. Razwijar już raz tonął — wystarczy, napływał się, już lepsza niewola.

Na horyzoncie pokazała się ziemia. Razwijar ucieszył się, ale okazało się, że to tylko wyspa Tyr, bezludna i bez wody. Można było obejść ją z południa, tak Arwi i Lu zazwyczaj robili. Ale przy południowo-zachodnim wietrze — a ten utrzymywał się już kilka dni — dobrze było obejść Tyr od północy i dokładnie takiego kursu chciała załoga.

— Popłyniemy przez wody Imperium? — sceptycznie zapytał Lu.

— Nasze ładownie są puste, nic nie mamy — zaprotestował współnik. — Co nam mogą zrobić?

I galera zawróciła na północny wschód.

* * *

Zbliżał się koniec pierwszego etapu rejsu. Sprzyjający wiatr gnał „Łuskę” do portu. Wioślarze odpoczywali więcej niż zwykle, grali, odsypiali. Tak minęły dwa dni i Lu zauważalnie poweselał, a wyspa Tyr coraz dalej rozciągała się za rufą...

Trzeciego dnia wachtowy z przerażeniem krzyknął, wskazując na niebo.

Z góry zbliżały się trzy kropki. Najpierw wydawało się Razwijarowi, że to ptaki, potem zrozumiał swoją pomyłkę — ptaki nie mogą być takie ogromne i latać tak szybko. Po minucie, kiedy trzy skrzydlate cienie zatoczyły koła wprost nad statkiem, Razwijar przekonał się, że to jednak ptaki. To były skrzydlaki, których nie widział nigdy w życiu, ale wiele razy czytał ich nazwę na burcie okrętu.

Na grzbiecie każdego ptaka siedziało trzech ludzi. W burtę wbiła się krótka gruba strzała.

— Wioślarze — do ładowni! — ryknął Arwi. — Marynarze — opuszczać żagle! Układamy się do dryfu!

W mgnieniu oka Razwijar, ściśnięty w zapoconym tłumie, znalazł się na dole, pod pokładem. Słyszał jak opuszczano żagiel, jak nerwowo wydawał polecenia kapitan; widział, jak przechadzają się po pokładzie ciężkie sapogi Lu.

W ładowni panowało milczenie. W ciszy dał się słyszeć zgrzyt — to wsparły się na pokładzie ogromne ptasie łapy. „Łuska” zakołysała się pod nowym, niemałym ciężarem.

— Kapitan? — zakrzyknął obcy głos, przywykły do wydawania komend.

— Tutaj — odezwał się Arwi spokojnym głosem, starając się podkreślić swoje opanowanie.

— Jesteście na wodach Imperium. Kto tu jest gospodarzem?

— Także ja. Ze współnikiem.

— Jestem współnikiem — głucho przyznał Lu.

— Co wieziecie?

— Bez frachtu. Wracamy z rejsu. Woziliśmy do Mirtie skóry, pióra...

— Nie kombinuj, krętaczu! Nie próbuj kluczyć! My wiemy, jakie to skóry wozicie! No już, pokazuj wszystko, ale nie próbujcie jakichś sztuczek! Wystrzelamy jak sytuchy!

Nawet w ładowni dał się słyszeć szum skrzydeł. Dwa inne skrzydlaki krążyły nad „Łuską”.

— Patrzcie — powiedział Arwi, a w jego głosie nie było już spokoju — tylko złość i strach. — Wywracajcie do góry nogami. Niczego tu nie ma!

Zaskrzypiał pokład. Zagruchotały sapogi po schodach. Do cuchnącej ładowni zszedł imperatorski strażnik, oficer w srebrzystoczarnej zbroi. Na jego ogorzałej twarzy grubą warstwą rysowało się obrzydzenie.

— Szuu — ni to powiedział, ni to splunął.

Wioślarze stali pochyleni, ponieważ wysoki człowiek nie mógł wyprostować się w ładowni swobodnie, zwłaszcza przy burcie. Strażnik przeszedł, wpatrując się w twarze, a nie każdy mógł wytrzymać jego spojrzenie.

Zatrzymał się przed Razwijarem. Szorstkimi palcami chwycił go za ramię i odepchnął, poruszył nogą kupę szmat na podłodze. Arwi stał na schodach i skrycie, za plecami oficera, wzrokiem dodawał otuchy wioślarzom.

— Pokazuj kajutę — rozkazał strażnik.

Kajuta mieściła się na rufie i najbardziej była podobna do dwumiejscowej trumny. Tam mieszkali Arwi i Lu, tam też przechowywali swoje rzeczy. Strażnik wyszedł z ładowni w ślad za kapitanem. Razwihar poczuł, że umrze, jeśli nie zobaczy skrzydlaka z bliska.

Podkraść się na schody. Luk pozostał otwarty i chłopcu pozostało tylko wysunąć głowę i wspiąć się na palce...

Najpierw zobaczył nogi — ciemnożółte, błoniaste, z pazurami. Potem — całego ptaka, białego, prawie niebieskawego, niepojęcie wielkiego; stał bokiem, Razwihar zobaczył złożone skrzydło, siodło na grzbiecie i ostre zgięcie szyi. Ptak odwrócił głowę, popatrzył na Razwijara żółtymi, złymi oczami.

— Na dół! — ryknął nieznany głos i Razwihar dopiero teraz zobaczył, że przy obu burtach stoi dwóch ludzi w kolczugach ze wzniesionymi arbaletami* w rękach. Nadleciał wiatr, nad głową załopotwały skrzydła. Chwycili Razwijara za nogi i ściągnęli do ładowni, boleśnie objając mu przy tym podbródek o stopnie.

— Zdurniałeś?! — łysy wioślarz potrząsał nim jak szmatką. — Nie łaż tam! Zarzucą nam nieposłuszeństwo!

Ogłuszony Razwihar usiadł przy burcie. Po kilku minutach współnicy wraz z oficerem znowu wyszli na pokład, a głosy ich brzmiały rzeczowo i prawie spokojnie.

— Nie wchodźcie mi w oczy — powiedział oficer. — Zastanę z towarem, żywi nie ujdziecie. Jest nakaz topić kłusowników z okrętem i załogą.

— Jesteśmy uczciwymi handlarzami — powiedział Lu. Arwi coś tam wymamrotał.

— Idziemy! — krzyknął oficer do swoich.

Głośno uderzyły skrzydła o pokład. „Łuska” zakołysała się, uwalniając się od zbędnego ciężaru. Minuta minęła w milczeniu, potem Lu głośno i siarczyscie zaklął.

* * *

Po odlocie skrzydlaków na „Łusce” zapanowała spontaniczna fiesta. Wyglądało na to, że galerze razem z załogą udało się uniknąć wielkiego nieszczęścia. Kwaśne miny mieli już tylko współnicy dowodzący statkiem. Razwihar zrozumiał z urywków rozmów, że musieli zapłacić strażnikom dużą grzywnę, u może nawet i łapówkę.

Na pokład wytoczono beczkę siarczystego trunku. W czasie zabawy rozwiązały się języki. Siedząc w kręgu razem ze wszystkimi, Razwihar dowiedział się tego, co wcześniej było trzymane w tajemnicy.

* Arbalet (arbaleta) — ręczna wyrzutnia kamieni, rodzaj kuszy przystosowanej do miotania kul kamiennych lub ołowianych. Stosowany przede wszystkim do polowań i zawodów strzeleckich, głównie w XVI–XVIII w.

Chodziło o polowanie na bentalskiego smoka, zakazane w całym Imperium. Skórami tych straszliwych stworzeń, bardzo drogocennymi, ozdobione były salony wyższych dostojników i samego Imperatora. Tym niemniej znajdowali się śmiałkowie, którzy tropili w podwodnych pieczarach młode, nie będące jeszcze w pełni sił, smoki i je zabijali. Zapewne wielu kłusowników ginęło; bentalski smok jest straszny, nawet młody, i nie było przypadku, żeby oddział ochotników wrócił ze zdobyczą w pełnym składzie.

„Łuska” była statkiem przemytniczym. Arwi i Lu przyprowadzali galerę w umówione miejsce, kupowali skóry u kłusowników i wieźli na sprzedaż do Mirtie; to była daleka i niebezpieczna droga. W Mirtie smocze skóry były niezwykle cenione, ale szpiegzy Imperium wyłapywali kłusowników w drodze powrotnej. Nieraz bywało, że szczęśliwy handlarz, który już dostał pieniądze za towar, dostawał także „dopłatę” w postaci ciosu sztyletem albo trującej strzałki wlatującej przez okno.

Dlatego nie wystarczy kupić skórę, dowieźć ją i sprzedać. Tylko ten, kto wrócił żywy z rejsu, ze spokojnym sumieniem mógł powiedzieć — powiodło się.

Załoga świętowała całą noc. Nazajutrz okazało się, że plany wielu wioślarzy nagle się zmieniły; zamiast płynąć z Arwim i Lu na następny rejs, już dziewięcioro, a nie dwoje, chciało zejść w portcie Fier i otrzymać rozliczenie.

Wspólnicy zaniknęli się w kajucie i długo naradzali się szeptem. Kiedy stamtąd wyszli, Arwi był całkiem zły, a Lu — ponury.

— Wyruszamy na następny rejs i każdy będzie miał udział w zyskach — powiedział kapitan, oparłszy, swoim zwyczajem, nogę na beczce. — Kto nie chce, droga wolna, namawiać nie będziemy!

Po dwóch dniach na horyzoncie pokazały się góry. W dolinie, między dwoma grzbiecami leżał port Fier — węzeł transportowy, handlowy kocioł i gniazdo bandytów na peryferyjnych ziemiach Imperium.

* * *

Razwijarowi śniło się, że poluje na bentalskiego smoka.

Była noc. Galera stała w ponurej zatoce, podobnej zaiste do trumny. Szara skała wisiała wprost nad masztem. W tym miejscu było tak cicho, że powierzchnia morza zdawała się być jak zalana słojem oleju.

Razwij ar spał na pokładzie. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się widzieć głębinowego smoka. Teraz, we śnie, zwierzę przedstawiał mu się na tysiące sposobów.

Na „Łusce” było niezwykle pusto. Większość wioślarzy postanowiła spędzić noc na brzegu, tylko niektórzy, mający rodziny i stąd oszczędni, zostali na galerze. Razwijar starał się pójść z pozostałymi — rzekomo, żeby odpocząć prawdziwie po męsku, ale Arwi uniósł brwi w zdziwieniu:

— Przecież nie masz pieniędzy, głuptasie. I do tego jesteś jeszcze za mały. Zostań.

I Razwijar poszedł do ładowni, ale było tam tak duszno, że znowu wszedł na pokład i legł na gołych deskach.

Długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał i nie mógł znaleźć przekonujących argumentów, aby kapitan zechciał wziąć go na wyprawę po skóry. A Razwijar chciał być przekonujący; zgoda — niech będzie, że jest młody, ale za to niczego się nie boi. Można mu płacić mniej niż innym. Za pierwszą wyprawę w ogóle może nie dostać zapłaty! Potem, kiedy Razwijar pokaże, na co go stać, wtedy wliczą go do podziału zysków, jak pozostałych. Jest słabym wioślarzem, ale w czasie drogi stanie się silniejszy...

Drzemał i we śnie Arwi zgadzał się z nim. Kiwał głową, klepał po ramieniu, mówił: zgoda. Pojedziesz z nami.

Świsnęły w powietrzu skrzydła. Razwijar otworzył oczy i gwałtownie usiadł: we śnie przywidział mu się patrolowy ptak. Słabo świeciło morze, do zatoki zaglądała daleka, połowiczna luna. Na rei, kołysząc się, wisiał skórzany mieszek z dwoma gorejącymi oczami.

Razwijar krzyknął. Zakotłowało się w ładowni, ktoś przeklął. Z kajuty na rufie wyszedł Lu — rzeński, jakby wcale nie spał.

— Aha — powiedział sam do siebie, zobaczywszy mieszek na rei. — Wspaniale.

Po kilku chwilach Razwijar pojął, że ten potwór to pocztowy nietoperz, zwisający na rei głową w dół. Na „Skrzydłaku” było kilka takich, trzymano je w klatkach. Lu zapalił lampkę, zdjął kartkę z wiadomością z obroży posłańca, rozpieczętował i od razu, przyświecając sobie, przeczytał.

Wyszedł nachmurzony Arwi w wymiętym ubraniu, jego poprzednio biała koszula była teraz szara.

— Ot, gady — powiedział Lu, zwijając pismo.

— A nie mówiłem! — współnik gwałtownie ziewnął. — Wszystkich pieniędzy nie zagrabili. Ale żeby dostać swoje, trzeba chcieć dostać wszystko. Odżałujesz troszkę, zostaniesz nagi jak oskubana sytucha... Tak jak my.

Lu ogarnął wzrokiem pokład. Zauważył w ciemności Razwijara.

— Nie śpisz? — zapytał z dziwnym wyrazem twarzy. Razwijarowi nagle zrobiło się straszno.

— Mamy kupca na ciebie — Arwi splunął za burtę. — Tylko mało daje, nędznik... No, ale w naszej sytuacji nie możemy kapryścić.

* * *

O świcie do „Łuski” podpłynęła łódka. Wioślarskie łopaty mieściły się w niej nie przy burtach, jak to było w porcie Mirtie, a za rufą.

W łódce związali Razwijarowi ręce. Tak się zdziwił, że nawet nie starał się wyrwać. Burta „Łuski” przepłynęła obok, jak kiedyś przepłynęła burta „Skrzydłaka”. Łódka była szeroka, prawie kwadratowa, bębem nie kręciły szczury zaprzęgowe, a masywne, płamiste stwory z pofałdowaną skórą — człapacze.

— I, i, i! — krzyczał na nie wioślarz.

Miał cienki, zgrzytający głos i ogoloną, różową głowę z białą szramą. W chłopcu ten człowiek wywoływał niepojęte przerażenie. Już na galerze, ogolony zaczął szczypać mięśnie nowego niewolnika, a kiedy wsunął mu w usta brudny palec, badając zęby, Razwijara skrzywiło z obrzydzenia i rozpaczliwego strachu. „Strach Szuu”. Oto jak to uczucie się nazywa. Teraz Razwijar siedział związany w łódce i ani razu nie odwrócił się w stronę „Łuski”.

Łódka wypłynęła na otwartą wodę.

— I, i, i! — zagwizdał ogolony, a gady w kole zaczęły szybciej przebierać łapami. Razwijar podniósł głowę.

Kiedyś był już w porcie Fier. Stąd wyprawiali się z panem Aglem do Mirtie. Pan Agi, przewidujący jak mysz za piecem, wziął pod uwagę i przewidział wszystko: ile pieniędzy wyda na podróż, jak szybko zwróci się poniesiony wydatek i jakie podarki przywieźć rodzinie z Latającego Miasta — żeby i dla wszystkich wystarczyło i samemu się nie zrujnować. Jednego nie przewidział chytry skryba... że Mirtie nie pozwoli wstąpić na swoją ziemię człowiekowi z krwią Heksa w żyłach...

Nie dopływając do portu, łódka, skierowała się na skały i znalazła się w środku fiordu z pionowymi ścianami. Razwijar spuścił oczy i wpatrywał się we własne kolana, ponieważ nie chciał patrzeć ani na wiosłarza ze szramą, ani na ponure skały.

Wybrudzone, wyświechtane spodnie świeciły przetarciami. Poprzez wytartą tkaninę prześwitywała ogorzała, podrapana skóra. Dlaczego Razwijar jest „Heksem”? W jego wspomnieniach z dzieciństwa nie było tego słowa. Ludzie, których on pamiętał, nazywali siebie inaczej. „Pagóraki”. Tak nazywała się wieś i ludzie mówili o sobie — jesteśmy Pagórakami...

Przyłapał się na tym, że po raz pierwszy słyszy głosy w swoich wspomnieniach. Wcześniej przewijały się obrazy, ale głosów nie było. A teraz między odgłosami chlupotu wody i delikatnego szumu wiatru w uszach, wyraźnie dźwięczało uparcie: jesteśmy Pagórakami. „No, Pagóraki, kto kosi?”

Jego matka była z obcych ziem. Zupełnie maleńką przywieźli ją do Pagóraków — wierzchem na dwunożnej jaszczurce. Nie umiała chodzić...

Razwijar przypomniał sobie twarz matki; tak, jakby ona, a nie człowiek ze szramą, siedziała naprzeciwko, na ławeczce łódki. Oczy o dziwnym kształcie kropli. Wydatne łuki brwiowe. Zatem to jego matka musiała być Heksem... A potem stała się wiewiórką i do tej pory biega gdzieś po lasach.

— Coook!

Gady zatrzymały się w maleńkiej zatoce. Tam czekało dwóch ludzi z kapturami naciągniętymi na twarze. Ludzie ci wyciągnęli Razwijara z łódki i, trącając w plecy, powiedli po kamiennych schodach, wiodących w górę przez wyłom w skale.

Po godzinie był już na targu niewolników na przedmieściach Fier. Po kolejnej godzinie znowu zmienił właściciela, siedł w szeregu innych nieszczęśników, prowadzonych od wybrzeża coraz dalej w góry.

Arwi i Lu sprzedali go zbyt tanio. Trzeba było sprzedać mnie jako piśmiennego, myślał Razwijar w drodze, wpatrując się w plecy idącego przed nim chłopca. Za piśmiennego daliby więcej. Oczywiście, jeśli znaleźliby wybrednego i bogatego kupca.

Durnie, myślał Razwijar. Poprzedni pan — Agi, do tej pory zapewne gryzie palce i przeklina swoją niepowetowaną stratę. Przekłęci przemysłowcy, mogliby dodatkowo zarobić na trudzie biegłego kopisty...

I w tym momencie z zaciętością pomyślał: figa z makiem dla was. Nie zacząłbym na nich pracować. Jestem wolnym człowiekiem, mam pamięć i jeszcze kiedyś zobaczę lasy w swoich rodzinnych stronach.

Sznur niewolników powoli ciągnął w górę drogi. Nadzorcy trzaskali biczami — bez zbędnego okrucieństwa — tak dla porządku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zamek w całości wykuty był w skale. Niepojęte było, kto i kiedy podjął ten tytaniczny trud; gdzieś na ścianach zachowały się ślady ogromnych zębów. Zarządca Rodzi mówił, że to robaki skalne. Tylko wielki mag może podporządkować sobie skalniaka i zmusić go, żeby gryzł kamień wedle jego rozkazu.

Wszystko tutaj było z kamienia; meble, naczynia. Wyglądało na to, że serca ludzi, służących tutejszemu władcy także były z kamienia. Za dnia słońce nagrzewało zamek tak, że na poręczach zewnętrznych galerii wolnonajemni smażyli sobie jajecznice. W głębi zamku, w jego dalszych komnatach, oświetlonych pochodniami, było ponuro i chłodno, a z sufitu kapąła woda.

Razwijarowi powiodło się. Zamykali go na noc we Wschodniej Ciemnicy. Było to duże pomieszczenie z jedyneymi, wąskimi i niskimi drzwiami, z ogromnym wyłomem w ścianie naprzeciwko, swego rodzaju oknem wychodzącym na wschód. Pod wyłomem zaczynała się przepaść, daleko w dole szemrał strumyczek. Skala porosła mchem, ściany i podłoga Wschodniej Ciemnicy w dużej części były pokryte gęstym i miękkim, zielonym kobiercem. Potoczek, biorący swój początek gdzieś na szczycie, zaopatrywał niewolników w świeżą wodę i pozwalał się umyć.

Tutaj nocami nie doskwierała duchota. Razwijar leżał na posłaniu z mchu i mógł snuć swoje myśli, ile dusza zapragnie. Dzień przed jego pojawieniem się w zamku — wraz z pięcioma innymi niewolnikami — we Wschodniej Ciemnicy wydarzyła się bójka. Kogoś zrzucano w dół.

Pierwszej nocy w zamku Razwijar znalazł się zatem pośród milczących, przygnębionych, skrytych ludzi. Później dopiero dowiedział się, że gdy poprzedniego dnia stwierdzono brak jednego niewolnika, starszy nadzorca wściekł się, nakazał surowo ukarać winnych i niewinnych, a dwóch inicjatorów bójki zostało dla przykładu pobitych do nieprzytomności. Od tej pory mieszkańcom Ciemnicy zakazano rozmawiać między sobą od zachodu słońca do świtu. Razwijarowi taki porządek odpowiadał.

Leżał w ciszy, słuchając szmeru wody. Jeśli się zmrzy oczy, można wyobrazić sobie, że leży się na polanie w środku lasu. Ucieczka ze Wschodniej Ciemnicy była niemożliwa, ale Razwijar uciekał każdego wieczoru, po prostu zamykając oczy.

Rano, przed świtem i wieczorem, o zmierzchu, na ścianach gdzieś dawało się rozróżnić litery. Kiedyś siedział tutaj piśmienny człowiek. Zwali go Uki Przewodnik, wydrapał w kamieniu swoje imię i dziesiątki nieprzyzwoitych słów — zapewne wszystkie, jakie znał. To on także — a może jakiś inny niewolnik — narysował, jak potrafił najlepiej, nagą kobietę z małą głową i szerokimi, jak rufa galery, biodrami. Poza tymi napisami i rysunkiem, w Ciemnicy był jeszcze jeden, bardzo starannie wyryty, znak na ścianie. Razwijar długo mu się przypatrywał, zanim pojął, że to również jest słowo. Kiedyś, przepisując księgi w obcym języku, nauczył się rozumieć inną mowę.

Słowo, wydrapane na omszałej ścianie, oznaczało „pamięć”.

* * *

— Ej, bibliofilu!

Władczy głos zza uchylonych drzwi. Razwijar podniósł się, czując jak rwą go mięśnie. To jeszcze nic wielkiego; po pierwszym dniu pracy w ogóle nie mógł się ruszać...

Tuż za drzwiami zaczynał się korytarz — ciemny i jeszcze bardziej duszny niż sama Ciemnica, którą przynajmniej rozjaśniał blask świecy. Razwijar zmrzył oczy.

- Siadaj — powiedział nadzorca Rodzi.
- Chcę spać...
- No, no, nie marudź! Już, opowiadaj o statku kobiet.
- Trzeci raz?

— A choćby i szósty! — w głosie nadzorcy zabrzmiało rozdrażnienie i Razwijar nie ryzykował dalszego spierania się.

Usiadł na chłodnej podłodze — mech był w tym miejscu wydeptany przez wiele stóp — i w myślach otworzył księgę pouczających historii.

— Żyły dwie kobiety, pierwsza była żoną szewca, druga — żoną kupca handlującego puchem. Żona szewca była wierna swojemu mężowi i nawet w myślach nie cudzołożyła z nikim. Żona handlarza puchem lubiła spać na miękkich pierzynach, słodko jeść i zaspokajać swoje żądze. Pewnego razu...

Litery wypływały z jego pamięci bez przymusu. Razwijar czytał księgę, jego prawa ręka trzymała wyobrażone pióro, jakby przenosząc znaki na czystą kartkę. Nadzorca Rodzi słuchał, podpierając brodę pięścią. Za drzwiami także słuchali — niewolnicy, którzy jeszcze nie zasnęli.

Zdolności Razwijara ujawniły się przypadkowo. Podczas jednej z pierwszych nocy, przerażony i zagubiony, zaczął szeptać księgę na głos — tę niedoczytaną, tę nieprzepisaną do końca, o Osim Nosie. Rodzi, dyżurujący za drzwiami, najpierw doszedł do wniosku, że nowicjusz narusza zakaz głównego nadzorcy, rozmawiając z innymi niewolnikami. Jednakże Rodzi był bystry i już po chwili zrozumiał swoją pomyłkę — nie była to bowiem rozmowa. Wiadomość, że nowy niewolnik jest piśmienny, żadnego z nadzorców jakoś szczególnie nie ucieszyła. Los Razwijara nijak się też nie zmienił; jeśli nie liczyć tego, że teraz Rodzi wciąż zmuszał go do opowiadania ksiąg — nocami albo za dnia, w czasie przerw.

Razwijar pozwalał sobie na gderanie, ale cieszyło go to, że ma słuchacza. Przypominały mu się długie godziny spędzone na wyspie u Latarnika, kiedy to, siedząc w cieniu, tak jak teraz czytał stojące przed oczami litery, a starzec, ni to szalony, ni to pełen mądrości, słuchał go. We Wschodniej Ciemnicy Razwijar wspominał starca częściej niż na pokładzie „Łuski”. Gorycz z powodu straconej kromki chleba minęła i prawie wybaczył staremu Latarnikowi podstęp z „Miedzianym Królem”.

— ...I wtedy żona kupca obmyła rozleniwione ciało różaną wodą, namaściła swoje ukryte loki aromatycznym olejem i powlekła pościel jedwabiem i brokatem...

Rodzi gwałtownie przelknął ślinę. Razwijar uśmiechnął się, zamknął oczy, oparł się plecami o miękką omszałą ścianę; w takiej pozycji litery widział nawet czytelniej.

— ...i spotkawszy go, zaciągnęła kotarę, ale zwierciadła i gobeliny słyszały westchnienia i widziały, jak kołysał się płomyczek nocnej lampki...

Razwijar wstrzymał oddech. Na tym opisie zdrady historia niewinności kończyła się, dalej zaś było o rozliczeniu za popełnione czyny. Kiedy pojawił się statek królowej kwiatów, żeby zawieźć wszystkie uczciwe kobiety na święto, żona handlarza wybrała się tam także, ale pokład...

— Czekaj — zachrypniętym głosem powiedział nadzorca. Dalej wiem... Dawaj jeszcze raz, od tego miejsca, gdzie ona lubiła spać na pierzynach.

— Chcesz, to ci zapiszę? — nieoczekiwanie zaproponował Razwijar.

Rodzi zamrugał krótkimi rzęsami:

— Jak to?

— Przynieś mi czystą kartkę papieru. Zapiszę ci te słowa i będziesz mógł sobie czytać, kiedy tylko zechcesz. Dniem, nocą, wieczorem...

— Powiedz mi! — oczy Rodziego zwęziły się. — Ja, żebym czytał... czy to żołnierska rzecz?

— Jesteś niepiśmienny? — po chwili zaskoczenia zapytał retorycznie Razwijar.

Rodzi chciał wymierzyć mu policzek, ale Razwijar uchylił się.

Rodzi Rano szli do pracy. Śniadanie jedli w marszu. Każdy otrzymywał po placku, słodkim korzeniu i gotowanym jajku czerkuna. Te czarne, nieduże ptaki koloniami gnieździły się w skałach i w zamku, nie robiąc sobie różnicy pomiędzy szczelinami, a stropami biesiadnych sal. Woda spływała wzdłuż każdego wyłobienia w skale, wstążkami wodospadów zrywała się z balkonów. Czego jak czego, ale pragnienia niewolnicy nie odczuwali.

Pracy w zamku było dosyć dla wszystkich. Dźwigali kamienie w kamieniołomie, kręcili kołowrotem, chodzili w kole jak szczury zaprzęgowe, wprawiając w ruch mechanizm dźwigu. Rozbudowa zaniku trwała i z każdym dniem coraz dalej w skalę zaziębiały się korytarze, coraz wyżej wznosiły się nowe baszty. Część niewolników była uczona przez wolnonajemnych jak mieszać zaprawę i układać kamienie w mur. Razwijar także chciał się tego nauczyć, ale w tym czasie nadzorców poruszyła nowina, że „ogniewucha zaczęła się nieść” i chłopca przydzielono do tragarzy.

Składające jaja stworzenie, nazywane przez ludzi ogniewucha, zamieszkiwało skały nad zamkiem. Dróżka szła zygzakiem — dziesięć zakrętów w górę, dziesięć zakrętów w dół. Sześcioro najmłodszych niewolników, w tym Razwijar, taszczyło do zamku jaja ogniewuchy.

Na szczyt należało biec co sił w nogach. Dziesięć zakrętów z pustym koromysłem, jedenaście tysięcy kroków. W końcu, na samym szczycie, odpoczynek obok gniazda; łęgowisko ogniewuchy otoczone było kamiennym wałem, nad którym zwisały żelazne przekładnie, podobne do rei. Zza wału unosił się czarny dym; raz gęstszy, raz rzadszy. Ładowacze — wolnonajemni w skórzanych hełmach — za pomocą bloków, dźwigni i uchwytów wyciągali z jamy lśniąca od sadzy rozgrzane jaja. Obwiązywali je sznurkami, wycięzonymi w żółci dwugłowej żmii błotnej i wieszali na ramionach koromysła. Razwijar zarzuciwszy na plecy nosidło, szedł na dół — jedenaście tysięcy kroków. Dziesięć zakrętów. Wąska ścieżynka, lity kamień, słońce pali, a na każdym zakręcie nadzorca.

Iść w dół należało powoli i bardzo ostrożnie, żeby w żadnym wypadku nie potknąć się, nie upaść, nie uszkodzić nosidła. Za nadpękniętą skorupę tragarzom groziła okrutna kaźń. Było to dziwne samo w sobie, ponieważ niewolnicy stanowili przecież wymierną wartość, jako w pełni sprawni robotnicy. Ale z jajami była związana jakaś mroczna tajemnica. Razwijar męczył się strasznie schodząc, chociaż wchodzenie na szczyt zdawać by się mogło cięższym. Schodząc nie opuszczał go bowiem strach, że się potknie, uszkodzi nosidło, ale nie chodziło tylko o to... jaja kształtem i rysunkiem na skorupce przypominały pokraczne czarne głowy i trudno było patrzeć, jak kołyszają się z prawej i z lewej strony na końcach koromysła.

Uginając się pod ciężarem nosidła, człapiąc po kamieniu zgrubiałymi piętami, myślał o czymś innym, zapominał o pracy, „uwalniał się”. Wtedy oczy jego, zamiast kamiennej ścieżynki widziały sklepienia gigantycznego lasu, głuche zakątki, gdzie rozpościera się pajęczyna z uwięzionymi w niej ptasimi szkielecikami. Wielopiętrowe ostępy, gdzie pod korzeniami i nad korzeniami, w trawie i w krzewach, w splotach lian, w koronach i pod koronami, jak pod sklepieniami pałacu kipi dzień i nocą życie...

Na trzecim zakręcie ścieżynki — licząc od szczytu — ukazywał się widok na wąwóz. Razwijar za każdym razem wstrzymywał oddech, zobaczywszy czarną otchłań z białą pianą potoku na dnie i przeciwległą skalną ścianę, na której wiatr rozpraszał wodne wstęgi wodospadów.

— Ej! Nie obijaj się!

Razwijar kroczył dalej, spuściwszy głowę.

Na piątym zakręcie ukazywał się zamek. Także kamienny, ale z wydrążonymi przejściami i galeriami, balkonami, basztami, stanowiskami strażników. W dolnych kondygnacjach położone

było „miasto”, gdzie mieszkali wolnonajemni z rodzinami, z których większość stanowili rzemieślnicy różnych profesji. Na środkowym poziomie zamieszkiwała straż, a gdzieś na szczycie, pośród niezliczonych kamiennych wież, pod samym sklepieniem pałacu, gnieździł się władca, którego Razwijar nigdy nie widział. Nad zamkiem unosiły się dymy, szerokie i cienkie, czarne i białe.

Razwijar zapytał kiedyś Rodziego, do czego potrzebne są jaja ogniewuchy. Ten nakazał mu zamknąć się, nigdy o tym nie mówić i nie pytać. Potem, rozejrzawszy się, powiedział przez zęby, że jeśli Razwijar przypadkowo zadrapie skorupę — on, Rodzi, będzie bardzo zmartwiony. Oczywiście, pluje na to, czy Razwijara zrzucą w jamę z gnijącym mięsem, czy po prostu powieszą na haku, ale historie o kobietach podobają się Rodziememu, dlatego też Razwijar powinien być ostrożny i niemy jak morska żmija.

Był zatem wielce ostrożny i niemy, ale jego myśli pozostawały wolne od nadzoru. W czasie pracy, na postojach, w ciemnicy wyobrażał sobie ogniewuchy. W myślach przygotowywał jajecznice i inne potrawy z dziwacznych jaj. Ogrzewał nimi dom zimą. Rzucił jajami we wroga i wymyślał tysiące sposobów, jak je wykorzystać.

Nie wiedział, gdzie i w jakich okolicznościach może poznać odpowiedzi na swoje pytania. I nie miał pojęcia, jak szybko to się stanie.

* * *

Umęczony za dnia, nie od razu zasypiał nocą. Niewolnicy, przyczajając się w ciemności, ukradkiem naruszali zakaz rozmowy. Niekiedy przyłapywali ich na tym nadzorcy, chłostali batami, ale rozmowy powracały. Razwijar dowiedział się wiele o towarzyszach niedoli. Kogoś sprzedali w niewolę za długi. Jednego marynarza pochwycili nocą pijanego na ulicach portu Fier, a rankiem, kiedy wytrzeźwiał, maszerował już w karawanie niewolników. Połowa z nich nie pamiętała w ogóle, kim jest i skąd pochodzi, ponieważ napojono ich „słodkim mleczkiem”. Kto zaproponował im napitek, gdzie i kiedy to było — nie mieli pojęcia, tak jak i nie znali swoich własnych imion i historii. Słuchanie ich krótkich opowieści było szczególnie nieprzyjemne.

Słowo „pamięć” było wydrapane na ścianie, pośród przekleństw i rysunków.

Blżej północy rozmowy przycichały. Razwijar, śmiertelnie zmęczony, zasypiał później niż wszyscy. Żeby się odciąć od ponurej rzeczywistości, zabierał się do czytania w myślach wyobrażonych ksiąg, co pomagało mu zasnąć.

Wszystkie historie o kobietach pomijał — sprzykrzyło mu się opowiadać je wciąż Rodziememu. Za to znakomicie działały na jego wyobraźnię szczegółowe opisy obcych ziem, obrzędów, zwierząt i roślin, opowieści o nieznanach istotach. Razwijar czytał o skrzydlatych powozach, z których każdy ciągną cztery skrzydlaki, o zwyczajach bentalskich smoków, o poczwarkach ognistych stworzeń, które żyją wewnątrz czarnego jaja: „Jeśli wyjmiesz je z ognia, nie trzymaj długo na powietrzu, ponieważ ostygnie i nie będzie zeń pożytku. A jeśli obstąpią cię wrogowie — wyciągnij jajo z ognia i rozbij skorupę. Rozłupać jej zwyczajnie nie można — jest mocna, trzeba silnie tego zapragnąć. Kiedy trzaśnie skorupa, wyjdzie ogniste stworzenie na wolność i będzie służyć ci trzy dni i trzy noce, podporządkowując się słowom i życzeniom. Nie straszna mu ni strzała, ni klinga, wedle twojej woli zabije i jednego wroga i setkę. A tuż przed tym, jak miną trzy dni i trzy noce nakaż mu rzucić się do wody, wtedy zdechnie. Spóźnisz się — twoje nieszczęście. Strzeż się i pamiętaj: tylko trzy dni i trzy noce...”

Razwijar usiadł na podściółce z mchu. Jego towarzysze spali, świeciły gwiazdy przez wylom w ścianie. Szemrała woda. Chłopak z całej siły plasnął dłonią w czoło. W drzwiach, w okienku dla straży pokazała się blada, zaspana twarz.

— Bata ci się zachciało? Spać!

Razwijar legł na posłaniu. Wstrząsały nim dreszcze. Jak to się stało, że wcześniej się nie domyślił, jak?!

Ogniewucha żyje w gorejącym gnieździe. To przecież jej jaja noszą do zamku, chowają w ognistym piecu... O piecu mówił, zdaje się, Rodzi... Wszyscy wiedzą, że jaja są bardzo cenne, ale czy ktokolwiek podejrzewa — dlaczego? „Wyjdzie ogniste stworzenie na wolność i będzie służyć ci trzy dni i trzy noce, podporządkowując się słowom i życzeniom”.

Nie zdarzyło się jeszcze, żeby któryś z tragarzy przypadkiem rozbił jajo. „Rozłupać jej zwyczajnie nie można — jest mocna, trzeba silnie tego zapragnąć”. A nikt nie chce, ponieważ wszyscy boją się kary. I nikt nie wie, jaką władzę noszą niewolnicy każdego dnia na ramionach. „Nie straszna jej ni strzała, ni klinga, wedle twojej woli zabije i jednego wroga i setkę”.

Tymczasem ogniewucha z każdym dniem składa coraz mniej jaj. A kiedy znowu przyjdzie jej do głowy nieść się, tego Razwijar żadnym sposobem wiedzieć nie mógł.

Cena wolności. Władza. Niechby i na trzy dni i trzy noce, żeby tylko móc się stąd wyrwać. Ucieknie w góry i tam się ukryje, a potem wyśledzi karawanę idącą do Fier i przyłączy się po cielni, a później ucieknie na morze, choćby jako jungu, choćby jako marynarz. Trzeba tylko wybrać odpowiedni czas...

Leżał na plecach, uśmiechał się w ciemnościach i widział, jak biegną po polu rude i lekkie jak iskry wiewiórki.

* * *

O świcie, kiedy niewolnicy po kolei myli się w potoku, Razwijar, który całą noc nie zmrzął oczu, wiedział z całą pewnością — ten dzień odmieni jego los. Szeregiem wyszli ze Wschodniej Ciemnicy. Otrzymali śniadanie do ręki i wtedy Rodzi powiedział, że dzisiaj potrzebują tylko trzech tragarzy.

— Ty — guzkowatym palcem tykał w pierś kolejnego niewolnika — ty...

Razwijarowi zrobiło się słabo.

— I ty — na ostatniego Rodzi wybrał wysokiego młodzieńca o przezwisku Nos. — Wy troje, bierzcie koromysła. A ty, bibliofilu, pójdziesz rozładowywać wozy z kaszą, wczoraj przybyła karawana.

Razwijar stał wstrząśnięty. Wolność była na wyciągnięcie ręki — i wysliznęła się. Ku swojemu wstydnemu, odczuł tchórzliwą ulgę, nie będzie trzeba męczyć się i zabijać. Wszystko zostanie po dawnemu.

— Rodzi — powiedział Nos bardzo cicho — wieczorem zwicznęłam nogę...

I podciągnął nogawkę spodni, pokazując opuchniętą kostkę.

— Szuu — splunął nadzorca. — Więcej niczego nie skręciłeś? Idź na zmianę kręcić kołowrotem, bo jak ja cię skręcę, to nie wstaniesz! Ty, Gruby, z kołowrotu przechodzisz na rozładunek...

Wzrok nadzorcy, jak zwykle ponury, przeniósł się na Razwijara.

— Bierz koromysło, skrybo, zadrapiasz skorupę — ze skóry obedrę.

Tragarze pozabierali nosidła. Razwijarowi dostała się bardzo wygodna pałka, dobrze wyprofilowana, wyszlifowana setkami rąk. Ruszyli dróżką w górę, jak zawsze dziesięć zakrętów, jedenaście tysięcy kroków.

Wyprzedził dwóch innych tragarzy. Potem odczekał i zaplątał się przy ogonie. Nie trzeba przyspieszać, niech inni wezmą ładunek i pójda przodem.

Wyrównał oddech, siłą woli przestał liczyć kroki. Trzeba się skupić. Trzeba zdecydować, jak i kiedy rozbić jajo. Czy nadzorcy znają tajemnicę poczwarek? Co, jeśli zbuntowanego niewolnika od razu zastrzelą, dosięgając go strzałą z daleka? Czy będzie potrafiła ochronić go poczwarka ogniewuchy?

Ładowacze ostrożnie wytaczali jaja z gniazda, wiązali sznurkami, zawieszali na ramionach koromysła. W dymie, w trzasku iskier sami zdawali się potworami, ponieważ od sadzy ich skóra stała się czarnoszara. „Przestała, staruszka, to ostatnie jaja, jutro już nie będzie”. — Razwijar sam słyszał, jak jeden ładowacz powiedział tak do drugiego. Księgowy z tabliczką robił uwagi, burcząc pod nosem i sprawdzając cyfry. Na dole, gdzie odbierano ładunek, stał drugi księgowy i każdego dnia po skończeniu pracy porównywali swoje wyliczenia, żeby się upewnić, że nie przepadło ani jedno jajo.

Skrzypiały bloki, dzwoniły łańcuchy, syczeli tragarze, kiedy iskra padała w otwór na rękawicy. Razwijar czekał, spoglądając na dalekie szczyty gór. W porannym słońcu zdawały się one strojne, a nawet przyjazne i gościnne. Na mgnienie oka przypomniało mu się — i zgasło w pamięci — szybujące miasto Mirtie.

Jak na jawie Razwijar zobaczył celnika, gdy ten wymawia, jakby wypluwając, słowo „Heks” i nakazuje wyrzucić Razwijara za burtę, jak jakąś sparszywiałą szmatę. A Razwijar w odpowiedzi rozbija czarną skorupę i ogniewucha rozprawia się z celnikiem.

Przywidział mu się czarny dym nad mostami Mirtie. Krzyki, strach, ogień i popiół. Trzy dni i trzy noce potwór będzie uległy każdemu jego słowu, a co będzie potem, nie ma większego znaczenia...

— Ej! Zasnąłeś?

Razwijar wzdrygnął się, zawiesił na ramionach koromysło z ładunkiem i ostrożnie stawiając stopy, pokonał najbardziej stromy kawałek zejścia. Znowu wyrównał oddech, dostroił się do zwykłego rytmu marszu, aby pokonać codzienne jedenaście tysięcy kroków.

Teraz?

Nigdzie się nie spieszy. Z przodu, na zakręcie stoi Rodzi. Jeśli Razwijar rozbije jajo — poczwarka będzie musiała go zabić...

A czemu nie? Czyż Rodzi nie jest taki sam jak wszyscy nadzorcy?!

Razwijar potknął się. W jednej chwili spotniały mu dłonie. Rodzi krzyknął i kiedy Razwijar doszedł do zakrętu zaczął go strofować:

— A ty co się potykasz? Życie ci się sprzykrzyło? Patrz pod nogi!

Razwijar wymamrotał coś w odpowiedzi.

Dróżka sucha, nie śliska. Idziemy ostrożnie, patrzmy pod nogi. Nie trzeba się spieszyć, jest przecież jeszcze czas, a tam, na szczycie, czekają na wezwanie potwory, do czasu zamknięte w swojej skorupie.

A jeśli księga kłamie i one nie będą słuchać poleceń Razwijara?!

Przyjmujący ułożył jaja razem ze sznurkami w żelaznym wagoniku na kołach i zawiózł do specjalnego pieca, który nie gaśnie dniem i nocą. „Jeśli wyjmiesz je z ognia, nie trzymaj długo na powietrzu, ponieważ ostygnie i nie będzie zeń pożytku...”.

Na górę. Biegiem. Jedenaście tysięcy kroków.

Ładowacze nie ukrywali swojej radości ze zbliżającego się końca pracy. Chociaż byli wolnonajemnymi, chociaż dostawali niemałe pieniądze za swój trud, po prostu bali się ogniewuchy i jej rozpalonych jaj. Byli szczęśliwi, że zmiana zakończyła się bez niespodzianek.

— Dzisiaj wcześniej pójdziemy odpocząć, chłopcze!

Zazwyczaj ładowacze nie rozmawiają z tragarzami. Ale dzisiaj złagodnieli. Zbliżał się koniec pracy. Razwijar ułożył na ramionach koromysło z nowym ładunkiem i ruszył na dół.

Teraz?

Zamachnąć się, uderzyć koromysłem o kamień... o ten? A1 bo o tamten? Dróżka — całkiem odkryte miejsce, wszyscy wszystko widzą i łatwo zostać trafionym strzałą...

Na wysokim kamieniu majaczyła postać nadzorcy Rodziego. Obserwował Razwijara, jakby coś przeczuwał. Trzeba się w końcu zdecydować i Razwijar zacisnął zęby, walcząc z narastającym strachem.

Zakończył drugi marsz, oddał ładunek przyjmującemu, a księgowy zapisał. Podszedł Rodzi.

— Chłopcze... Jesteś dzisiaj jakiś dziwny. Jeszcze raz połkniesz się po drodze... Zatrzymasz się... To wiedz, że wieczorem czeka cię chłosta. Tylko potknij się jeszcze jeden raz!

Razwijar z ciężkim sercem ruszył w górę. Pod palącym słońcem i wzrokiem nadzorcy, nie mógł uwierzyć, że tak śmiały był jeszcze rano. Co z nim zrobią, jeśli poczwarka z jakiegoś powodu umrze? Albo nie będzie posłuszna? Albo... jeśli go pojma po upływie trzech dni i nocy.

Mijał czas. Razwijarowi coraz trudniej było stawiać nogi. Si nich i rozpacz, z którymi borykał się — i zwyciężał — w pierwszych dniach swojego nowego niewolnictwa, teraz zawładnęły nim w pełni. Mógł się uwolnić, mógł otrzymać władzę nad życiem innych, ale nie śmiał. To w kilka chwil przemieniło Razwijara w większego niewolnika, niż ten, jakim był, gdy związany i obdarty na rynku w Fier czekał na swojego nabywcę.

Szedł w dół z ładunkiem, a dwa jaja ogniewuchy kołysały się na koromysle w rytm kroków. Zbliżał się trzeci zakręt...

Coś się zmieniło. Jakiś cień padł na ścieżkę. Razwijar podniósł głowę.

Za kamiennym załomem dał się słyszeć dziwny dźwięk ni to syk, ni to zgrzyt. I głucho krzyknął człowiek.

Nogi same zanosły Razwijara do zakrętu i zobaczył, jak nadzorca Rodzi, który przed chwilą jeszcze siedział na wysokim kamieniu, teraz leci w dół, przyciskając ręce do gardła. Ciało jego stoczyło się, zadrgało i zamarło pośrodku dróżki poniżej, a kamienie jeszcze się toczyły, duże i maleńkie, jeden uderzył Razwijara w nogę...

Na ścieżce, dwadzieścia kroków przed nim, stała istota, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Zwierzę miało cztery szerokie łapy z pazurami i długi sprężysty ogon. Tułów zaś pokryty był pasiastą sierścią. Szeroką, ludzką — męską — pierś, porastały rude włosy. Umięśnione ręce trzymały po kindzale. Głowę skrywał żelazny hełm, całkowicie zakrywający twarz. Na grzbiecie — w siodle ze strzemionami — znajdował się jeszcze jeździec, ponieważ ogoniasta istota była wierzchowcem.

Razwijar zobaczył wszystko ze szczegółami, dokładnie tak jak wtedy, gdy ledwie zdążył przeczytać otwartą stronicę księgi. Zobaczył twarz jeźdźca, wyniosłą, smagłą, w jakiś sposób podobną do zarozumiałych twarzy Złotych. Zobaczył w rękach intruza jasne, wygięte kindzały. Zobaczył nogi, obute w czarne sapogi z cienkiej skóry, oparte na strzemionach — czubkami do góry i na boki. Zobaczył ledwie zauważalny ruch tych strzemion — czworonożne zwierzę z ludzkim torsem przysiadło na tylnych łapach, szykując się do skoku na Razwijara, by zabić i wdeptać go w ścieżkę. Przerobić na padlinę.

Życ!

Razwijar nie zaczął biec, nie próbował się uchylić, przecież ani jedno, ani drugie nie mogło uratować go na wąskiej dróżce ponad przepaścią. Zamiast tego obrócił się w miejscu i uderzył swoim ładunkiem o skałę. Ze wszystkich sił zapragnął swobody nieznanego potwora. Jedno jajo rozbiło się z mokrym, płaszczącym dźwiękiem.

Zapaliły się sznurki. Skorupa pękła na drobne kawałki, wysnuł się gęsty, czarny dym. Czworonożna istota na ścieżce zastygła tuż przed skokiem, a Razwijar rzucił koromysło i odskoczył na sam skraj ścieżki nieomal ześliznąwszy się ze skalnej półki.

Spomiędzy kawałków skorupy, z sadzy i popalonych włókien sznurka wygramoliła się larwa ogniewuchy. Gdyby Razwijar wcześniej wiedział, co nosi na ramionach, nie spałby tak spokojnie na omszałej podłodze we Wschodniej Ciemnicy, Dręczyłyby go koszmary. I tym bardziej dziwnym, wręcz niemożliwym zdawało się, że to — *właśnie to* — może komukolwiek podlegać.

Czworonożna istota cofnęła się. Dziko i strasznie krzyknął jeździec, błysnęło słońce na jego klingach...

— Zabij! — Razwijar na nic nie liczył. Po prostu chciał żyć i walczył o życie jak mógł.

Poczwara ogniewuchy wzbijała się w powietrze, rozłożywszy ostre skrzydła, pokryte sadzą. Zapachniało żarem, Razwijar padł na kolana, zakrywając twarz łokciami, czując, jak trzeszcza mu włosy na głowie.

Razwijar nie chciał patrzeć, a jednak widział. Czworonożna istota zamachnęła się kindzalami, a jeździec powtórzył jej ruch, ale ani jedno z czterech ostrzy nie sięgnęło celu. Larwa uniosła się nad nimi, dał się słyszeć trzask, jeździec wypadł z siodła i upadł na drogę. Czworonożna istota w ostatnim porywie ostrożnie starała się zdjąć z siebie hełm, lecz także runęła, przytłaczając ciało jeźdźca ciężką, nadmierną tuszą. Poczwara uniosła się wyżej, Razwijar z całej siły pragnął utrzymać w sobie nadzieję, że teraz odleci, ukryje się — ale potworne zwierzę osiadło na wielkim kamieniu. Złożyło na grzbiecie skrzydła jak dłonie i zdawało się wpatrywać w Razwijara, chociaż nie miało głowy ani oczu.

Zapragnął stać się częścią zbocza. Znieruchomieć. Stać się kamieniem.

— Ej!

Z góry nadbiegł jeszcze jeden nadzorca. Najwidoczniej usłyszał rumor i pośpieszył sprawdzić, co się dzieje. Omal nie stracił ze ścieżki Razwijara. Zatrzymał się, wybałuszył oczy, spoglądając to na larwę ogniewuchy, to na trupa Rodziego pośrodku drogi, to na dwa straszne ciała — czworonoga i jego jeźdźca. Zawrócił i wrzeszcząc, rzucił się do ucieczki, a po chwili jego krzyk podchwyciły inne głosy...

Poczwara nie ruszyła się z miejsca. Siedziała dalej, modlitewnie złożywszy skrzydła na grzbiecie.

Kiedy zza czwartego zakrętu ścieżki bezszelestnie wynurzyły się jeszcze dwie czworonożne istoty z jeźdźcami na grzbietach, a Razwijar, zobaczywszy ich, w przerażeniu przypadł do drogi. W tym momencie larwa rozpostarła się jak serpenty i zaatakowała.

* * *

Wydawało się, że minęło kilka godzin, a tymczasem słońce tylko odrobinę opuściło się nad górami. Stał na ścieżce na trzecim zakręcie, skąd znakomicie był widoczny wąwóz. Widział jak po przeciwległym stoku ucieka, lekko pokonując nieprzystępne zbocza, oddział jeźdźców na czworonożnych istotach. Trzem z nich już nigdy nie będzie dane skakać po górach, napadać na niewolników i nadzorców. Ciała dwunożnych i czworonożnych trupów leżały nieopodal, Razwijar bał się na nie patrzeć.

Ocalałe jajo ogniewuchy ugrzęzło w szczelinie przy drodze. Larwa jak przedtem siedziała na kamieniu i nie można było mieć najmniejszej wątpliwości, że jest posłuszna Razwijarowi. A on stał przed nią, sparaliżowany świadomością swojej niezaprzeczalnej władzy.

Dostać się do Fier... W trzy dni — czy to możliwe? Znaleźć Arwiego i Lu, rozkazać ich... — przed oczami Razwijara przemytnicy krzyczeli w śmiertelnym przerażeniu i padali pokonani przez poczwara, i znowu krzyczeli, i padali. Nawet nie podejrzewał, jak głęboko tkwiła w nim ich zdrada i jak bardzo chciał się zemścić.

Uciekać... dokąd? Ma wszystkiego zaledwie trzy dni. A do Mirtie w trzy dni można się dostać tylko siłą myśli...

Uciekać! Nie stać!

Zrobił kilka kroków. Obejrzał się. Wdrapywanie się po stoku bez larwy ogniewuchy oznaczało, wcześniej czy później, Kluczenie się w dół i śmierć na ostrych kamieniach... Droga, po której wędruje karawana z żywnością znajdowała się niżej... jak się tam dostać? Po trupach?!

Słońce jak przyklejone wisiało w tym samym miejscu nieboskłonu. Nad poczwara drżało gorące powietrze. Potykając się, Razwijar pobiegł w dół, mając nadzieję dostać się do głównej drogi...

Zza czwartego zakrętu ścieżki, wybiegli mu na spotkanie strażnicy. Nie nadzorcy, a zamkowi żołnierze uzbrojeni w miecze i piki. Wytoczyli się falą. Ci z przodu ostro zwolnili bieg. Stanęli. Szyk załamał się.

— Szuu — wysapał czerwonolicy człowiek w błyszczącym stalowym napierśniku, z piórami na hełmie. — Ach, Szuu... Staaać!

Razwijar cofnął się. Poczwara ani drgnęła.

Spojrzenie dowódcy błyskawicznie ogarnęło pobojowisku, zatrzymało się na ogniewusze, potem przerzuciło się na Razwijara. Stojący na czele oddziału był żołnierzem i potrafił nad sobą panować, tym niemniej Razwijar zdążył zauważyć w jego oczach przerażenie. Ten sam rozpaczliwy strach, który nazywają „strachem Szuu”.

Czerwonolicy wiedział co trzeba o larwach ogniewuchy i w mig wszystko pojął. Jego życie znalazło się w rękach Razwijara. Między strażnikiem a okrutną śmiercią było tylko mgnienie oka — kapryśna wola podrostka niewolnika.

Ci, którzy zamarli za plecami człowieka w stalowym napierśniku, także to pojęli, po dłuższej chwili.

— Ochroniać! — krzyknął Razwijar.

Jednocześnie brzęknęły dwie albo trzy cięciwy. Poczwara znalazła się pomiędzy strażnikami a swoim nowym panem. Strzały przepadły w gorącej mgłę nad rozpostartymi skrzydłami bez śladu, posypał się tylko popiół.

— Do tyłu! — krzyknął czerwonolicy. — Wycofujemy się!

To był czas dla nadrobienia zaległości. Razwijar domyślił się jego intencji, usłyszał ostrzegawcze uderzenie dzwonu. Napuścić ogniewuchę na tych ludzi i po dróźce z popiołu wyrwać się na swobodę...

Ścieżka opustoszała. Strażnicy odchodzili w dół, za zakręt, za kamienny załom. Szczęśliwy moment nadarzył się i minął. Razwijar zrozumiał, że się spóźnił i czerwonolicy znowu był panem sytuacji.

— Czyli to ty rozbiłeś skorupę, chłopcze?

Spokojny, nawet znudzony głos. Strażnik dawno zna odpowiedź na swoje pytanie. Chce zyskać na czasie — domyślił się Razwijar.

— Widziałeś ich? Chimajrydów? Póllandzi?

Razwijar milczał.

— To chimajrydzi — powtórzył strażnik z uporem, jakby Razwijar miał jakieś wątpliwości. — Rozkazałeś ich zabić? Zuch. Jesteś bystry, dobrze zrobiłeś. Także zestrzeliliśmy dwóch... Było ich dużo, bardzo dużo. Dobrze, że kazałeś larwie ich zabić.

Mówił, nie spuszczać oczu z Razwijara i wyraźnie na coś czekał. Na co?

Świsnęła strzała. Razwijar upadł i strzała uderzyła w kamień, ledwie nie zadrapiując mu ucha. Zapewne strzelec się spieszył. Znowu świst, stuka w kamień stalowy grot...

Poczwara ogniewuchy wzbila się osłaniając Razwijara. Poleciały jeszcze dwie albo trzy strzały, nie czyniąc mu krzywdy. Razwijar stoczył się ze ścieżki w szczelinę między kamieniami — tam, gdzie leżało drugie jajo. Zupełnie ostygłe. Chłopak wbił się w szczelinę, starając się pojąć, skąd strzelają. Wyglądało na to, że bili zewsząd, strzelcy okrążyli ścieżkę w czasie, kiedy strażnik w stalowym napierśniku chwalił Razwijara za bystrość.

Życ!

Chwyciwszy kamienny odłamek, z całej siły uderzył w drugie jajo. Skorupa trzasnęła — głucho, bez życia i rozdzieliła się na dwoje. W szczelinie szerokiej na dwa palce pokazała się druga poczwarka — ostygła, martwa.

Jaja ogniewuchy trzeba przechowywać w ogniu... Na powietrzu stygną.

— Ochraaaniaaj! — pisnął Razwijar, kiedy następne strzały mierzyły w kamień obok jego głowy. Strażnicy walili na oślep, nie widząc celu.

Larwa zawisała nad nim rozpostarłszy skrzydła. Beładny ostrzał ustał.

Razwijar usiadł, wbijając się w szczelinę jak robak.

Przed nim trzy dni i trzy noce.

* * *

Słońce zaszło za góry, kiedy pojawił się goniec z zamku.

— Rozkazano wziąć żywego.

— Żywego sam sobie bierz — odpowiedział nieznajomy kłótniwy głos.

— Idź powtórz to władcy! Rozkazano żywego, do zamku, natychmiast!

Jeszcze mi życie miłe!

— Zaczekaj — wmieszał się naczelnik straży. — Ej, chłopcze, odezwij się. Słyszysz?

— Sły... szę — schrypniętym głosem wydukał Razwijar. Strasznie chciało mu się pić. Nieopodal szemrał potoczek. Larwa siedziała na kamieniu nad jego głową — wstrętna, gorąca, pachnąca dymem. Na Razwijara leciały iskry, przepalały starą koszulę, kłuły skórę.

— Wyjdiesz — nie ruszymy.

Razwijar milczał.

— Ej, głupcze. Co będziesz robił? Trzy dni i trzy noce miną... Co się z tobą dalej stanie, pomyślałeś?

— Nic wygrażaj mi — powiedział Razwijar — bo poszczuję.

— Ach, ty tak...

Zrobiło się cicho.

— Rozkaz słyszeliście? — znudzonym głosem ponownie zapytał goniec.

Naczelnik straży zaklął.

— Słuchaj chłopcze. Nam życie miłe. I tobie także. Słyszysz? Władca chce z jakiegoś powodu widzieć cię... żywym. Łap swoje szczęście, mały. Ty nie będziesz napuszczać — my nie będziemy strzelać.

— Strzelicie.

— Głuchy jesteś, czy co? Rozkazano cię nie zabijać!

— Zaczekaj — powiedział Razwijar. Chwilę się zastanowił. Zakaszał.

— Ty, zwierzaku, kto mnie zabije, tego zabij od razu. Jasne?

Nie można było oczekiwać odpowiedzi od poczwary. Tym niemniej Razwijar był przekonany, że rozkaz jest dla niej zrozumiały i w pełni wykonalny, zapewne też każdy, kto go usłyszał, podzielał tę pewność.

Odczekawszy jeszcze, Razwijar wyprostował się. W szczelinie zalegał już cień, ale szczyty gór jeszcze łowiły słoneczne promienie. Na ścieżce znajomej do ostatniego kamyka ciasno było od strażników, strzelców i mieczowych.

— Przy mnie — powiedział Razwijar larwie.

Poczwara przysunęła się bliżej. Po jej skrzydłach pełgały blaski i cienie jak po węglach w ognisku. Nienawidził jej i bał się wstrętnego, śmiertelnie niebezpiecznego potwora, a zarazem tylko dzięki niej był jeszcze żywy, chociaż sam nie wiedział jak długo jeszcze.

— Dobrze, prowadźcie.

Odchodząc, zdążył jeszcze raz popatrzeć na wąwóz z jego urwiskami, z rozwiewającymi się wstęgami wodospadów.

* * *

Pierwszy raz w życiu Razwijar znalazł się w górnych kondygnacjach pałacu. Tutaj paliły się pochodnie, szeleścił wiatr w ażurowych kratkach balkonów, sączyły się strumyczki, spływając w czyste kamienne czasie. Razwijar przechodził obok nich, słysząc plusk wody, umierając z pragnienia i nie ważył się stanąć, ponieważ obok, promieniując żarem, posuwała się poczwara.

Strażnicy z wzniesionymi arbaletami kroczyli z tyłu. Skóra w przetarciach koszuli Razwijara czuła wszystkie groty skierowane w jego plecy. Nie wiadomo, czyj rozkaz powstrzymywał strzelców skuteczniej; czy władcy, który rozkazał brać żywego zbuntowanego niewolnika, czy samego Razwijara: „Kto mnie zabije, tego zabij od razu”.

— Stój.

Razwijar zatrzymał się.

Niskie drzwi były oświetlone jedną pochodnią.

— Rozkazano wpuścić. Samego. Ze zwierzem.

— Jak to?! Takiego...

— Rozkaz! — ryknął człowiek, zagroziwszy sobą drzwi. — Rozkaz władcy!

I odwrócił się do Razwijara. Zastanów się, szczeniaku... Jest różnica w tym jak się umiera. Idź!

Razwijar wszedł, a za nim wślizgnęła się larwa ogniewuchy.

* * *

Wewnątrz było chłodno. Komnata wyciosana w skale, rozpościerała się wysoko nad wąwozem. Drugie drzwi, o wiele większe od tych, przez które wszedł Razwijar, wiodły na balkon spowity zielenią. Pośrodku komnaty znajdował się zbiornik wodny, na powierzchni nieruchomej tafli odbijały się świece.

Razwijar zobaczył wodę i niemal się rozpląkał. Chciał zanurzyć rękę, zaczerpnąć, ale uniół oczy i zamarł. Naprzeciwko, w drewnianym fotelu z podłokietnikami siedział ten, któremu podlegał zamek, ludzie i sam Razwijar.

Władca nie był już młody, ale jeszcze nie stary. Czarne, przetykane siwizną włosy otaczały twarz, dotykając ramion. Cienki nos musiał być kiedyś złamany. Wargi przecinała stara szrama. Oczy patrzyły bez żadnego wyrazu; Razwijar nigdy w życiu nie widział takiego nieokreślonego i zarazem tak zdrętwiałego spojrzenia.

Stał nieruchomo minutę, może dwie. Ogniewucha siedziała całkiem blisko, Razwijarowi zaczęła się tlić nogawka. Nie wytrzymał gorąca i cofnął się, przerywając tym samym nieruchomość i ciszę.

— Chcesz pić?

Razwijar nie oczekiwał takiego pytania. Kiwnął głową, a raczej gwałtownie nią potrząsnął, potakując.

— Pij — ręka z pierścieniem wskazała na wodę.

Razwijar podszedł. Upadł na kolana, czerpał wodę garściami. Długo pił, wzdrygając się od chłodu, jednym tchem, zlizując każdą kroplę.

— Po co rozbiłeś skorupę?

Razwijar podniósł głowę. Błada twarz władcy oświetlona była płomieniami świec i połyskującym, nierównym światłem idącym od tłącej się ogniewuchy.

— Oni by mnie zabili.

— A teraz... myślisz przeżyć?

Razwijar zerknął na ogniewuchę. Ta siedziała, złożywszy na plecach skrzydła posypane sadzą.

Może zabić władcę. Teraz. Władca o tym wie, pozwolił przecież Razwijarowi wejść samemu, z ogniewucha. Nie. On rozkazał mu wejść samemu. Do komnaty, gdzie oprócz władcy nikogo nie ma.

— Chcesz mnie zabić?

Razwijar podniósł się z kolan. Długo patrzył w oczy władcy. Ten człowiek przywykł komenderować śmiercią jak zaprzęgowym szcurem w kole. Ona wiele razy była tuż obok niego i zawsze podporządkowywała się jego woli.

— Ja chcę tylko żyć — powoli powiedział Razwijar.

— Ty, niewolniku, rozbiłeś skorupę jaja... Przyswoiłeś sobie kawałek mojej władzy. I myślisz, że ci wybaczę?

Wydawało się, że władcę bawiło igranie ze śmiercią. Wydawało się, że prowokując chłopaka, odczuwał rozkosz.

— Nie jest mi potrzebna władza... żadna. Ja tylko chcę żyć — powtórzył Razwijar, nie spuszczać oczu. — Ja... zamienię tę poczwarę na moje życie. Nawet, jeśli to nie będzie wolność.

— Targujesz się — wargi władcy po raz pierwszy drgnęły w grymasie uśmiechu. — Ze mną.

— Tak, władco. Dlatego, że... ja przecież mogę rozkazać jej.

— Rozkaż.

Razwijar przełknął ślinę. Oczy bez żadnego wyrazu patrzyły poprzez niego. Władca czekał, był chyba wariatem, szalonym samobójcą. Razwijar nagle, w olśnieniu, pojął, że i nie przeżyje i najlepsze, co można zrobić, to rozkazać ogniewusze zabić siebie od razu po śmierci władcy.

Pojął to i otworzył usta. Momentalnie w oczach władcy coś się zmieniło. Wyrzucił przed siebie rękę:

— Stój!

W nakazie była taka siła, że Razwijar przestał oddychać.

— Ty naprawdę jesteś niebezpieczny— powiedział władca, a jego oczy patrzyły teraz nie poprzez Razwijara, a prosto w jego twarz. — Dobrze... Będziemy się targować. Rozkaż zwierzęciu rzucić się do basenu. Ja zaś rozkażę zostawić cię przy życiu.

Kilka chwil Razwijar intensywnie myślał. Potem wstrzymał oddech.

— Do wody — powiedział larwie.

I ta, pozbawiona strachu przed śmiercią, podporządkowała się natychmiast. Zasyczała woda, uniosła się para, ciało ogniewuchy poczerniało i wypłynęło bez życia, oślizłe. Woda w basenie zmętniała.

— Straż — nie podnosząc głosu powiedział władca.

Razwijar, nie oglądając się, usłyszał tupot i oddechy za plecami,

— Do jamy — rozkazał pan zamku.

* * *

Myślał, że łasczą go prosto do mogiły, żeby pogrzebać żywcem. Ale zrzucili go do przestronnego kamiennego lochu, nakryli z wierzchu kratką i nastąpiła ciemność. Razwijar, zwinięty i zagubiony, zabrał się za badanie więzienia na oślep.

Nie to, żeby miał nadzieję uciec. Po prostu nie mógł bezczynnie siedzieć. Żadnego wyjścia, oczywiście, nie znalazł, za to natrafił na kamienną płytę — ni to łoże, ni to stół, ni to katafalk — z przylepioną do jego skraju maleńką świeczką.

Świeczka! Najprawdziwszy woskowy ogarek! Razwijar w pierwszej chwili zmartwił się, że nie ma ognia, ale potem podwoił wysiłki i zaczął szperać po celi — znalazł ścienną niszę, a w niej drewnianą miskę, łyżkę i stare krzesiwo.

Zmitrężył długi czas, krzesząc ogień. Był zrozpaczony, ale nie poddawał się i w końcu świeczka zapłonęła. W pierwszej chwili Razwijar zmrużył oczy, a potem, kiedy oczy przywykły, zobaczył podłogę, gdzieniegdzie przysypaną słomą, kamienną płytę, ścienną niszę i same ściany ze śladami ogromnych zębów, widocznie loch wygryzły w kamieniu skalne robaki.

Zrobiło mu się strasznie, ale nie z powodu tego, co zobaczył. Przestraszył się, że świeczka się wypali i znowu przyjdzie mu siedzieć w ciemnościach.

Przypomniał sobie Wschodnią Ciemnicę jak porzucony dom. Było tam przestronnie i było widać gwiazdy, była tam woda i miękki mech. I było tam „jutro” i „pojutrze”, i „za tydzień”; tutaj, w lochu, tylko wieczna noc.

Okazało się, że ogarek świeczki składa się z kilku części; ciemny w środku, jaskrawy na wierzchołku i po bokach. Był największym bogactwem, jakie pozostało Razwijarowi. Jego jedynym bogactwem i nadzieją. Dobry wosk służył powoli. Razwijar przypomniał sobie latarnię, gdzie światło paliło się dniem i nocą. Przypomniał sobie ryczący płomień, ukazujący drogę morskim statkom. Przypomniał sobie pienisty ślad „Skrzydłaka”. Przypomniał sobie starca, który nie chciał puścić go na „Łuskę”, ale jednak to zrobił.

Twarz oprawiona siwymi włosami jak wieńcem. „Miedziany Królu, Miedziany Królu. Weź, co jest mi drogie, daj, czego potrzebuję. Miedziany Królu, Miedziany Królu...”

Cień Razwijara drgał na ścianie — czarny, straszny. A jeśli tym razem się uda?! Przecież nie ma innej nadziei, pozostało tylko zwrócić się do Miedzianego Króla. Weź, co jest mi drogie. Daj, czego potrzebuję. Wolność! Życie i wolność!

Trzęsącą się ręką Razwijar powtórzył ruch, którego nauczył go kiedyś starzec.

— Miedziany Królu... Miedziany Królu!

Zaciął się, zapanował nad sobą i kontynuował:

— Weź, co jest mi drogie! Daj, czego potrzebuję!

Świeczka przepadła bez żadnego dźwięku. Bez śladu.

Znowu zrobiło się ciemno.

* * *

Rankiem przyprowadzili go do władcy. Ten siedział w fotelu na szerokim, półokrągłym balkonie, a obok stała na trójkątnej podstawie wielka luneta. Razwijar kiedyś widział podobną w rękach kapitana „Skrzydłaka”. Co prawda, kapitańska była mniejsza.

Straż oddaliła się. Niebo, zasnuwane marmurową siateczką obłoków było podobne do morskiej wody — tak samo niebieskozielone, niespokojne. Z balkonu rozciągał się widok na okoliczne skały. W ostrych kontrastach światła i cienia ich poszarpane sylwetki przypominały zniekształcone wściekłością oblicza. Profil władcy z jego złamanym nosem zdawał się częścią tych gór.

Z dołu, z wąwozu, ledwie uchwytny uchem donosił się szum wody. Ten szum towarzyszył Razwijarowi całą noc. Słuchając przygłuszonego ścianami łoskotu, potrzaskiwania stygnących kamieni, szelestu wiatru w wietrzniakach, to miotał się po kamiennym dole, to walił się bez sił na słomę.

Wydawało mu się, że ściany w ciemnościach zaciskają się i sufit znajduje się niżej. Siłą woli pokonywał panikę i wtedy ściany, niewidoczne, znikają zupełnie i Razwijar znajdował się sam pośród ogromnego ciemnego świata. Jeszcze wczoraj był zwierzęciem, oswojonym, jucznym, pociągowym jak szczur w barabanie. Był zwierzęciem, świat przed jego oczami płynął, niewyraźny i mętny, a dzisiaj, teraz, jakby zerwała się zasłona. Jakby ktoś oczyścił z bagna i błota żółtą, kościaną klingę.

Pomyśleć tylko — sam odprawił poczwarę do wody! A przecież mógł pochwycić władcę i zagrażając jego życiu, dyktować swoje warunki! Jak można było przegrać, mając w rękach tak potężną broń?!

W ciemnościach wpadł na kamienną płytę i stłukł duży palec u prawej nogi. Ból nieoczekiwanie pomógł mu się uspokoić. Razwijar doszedł do wniosku, że nic się jeszcze nie skończyło, jutro powiodą go na stracenie albo na tortury i wtedy zdąży zrobić cokolwiek; wyrwać się albo pojmać zakładnika, albo — w najgorszym razie — zeskoczyć ze skały, zabierając ze sobą oprawców. Przerażała go jedna myśl, że nigdzie go nie poprowadzą, zostawiając tu, bez jedzenia i wody, w ciszy i mroku — żeby umarł.

Miedziany Królu, Miedziany Królu... Znowu omamił Razwijara, nie dając tego, czego potrzebował — chociaż Razwijar oddał mu najdroższą rzecz. Zamiast wolności przyszło rozczarowanie i złość, i gwałtowne pragnienie działania — tylko w czym to pomoże jeńcowi w kamiennym dole?!

Nad ranem prawie się uspokoił. Leżał cicho, spoglądając w ciemność i myślał o chimajrydach — kim oni są, skąd się wzięli i po co? Myślał o władcy — ile woli i czasu, ile pieniędzy i władzy było potrzebne, żeby wydłubać — wygryźć — w skale jego zamek. O śladach zębów skalnych robaków. O magii; czy stary Latarnik był magiem? Pewnie nie. Czy sam władca może okazać się magiem? Całkiem możliwe, to wiele by wyjaśniało. Czym płaci swoim ludziom? Skąd przychodzą karawany z żywnością? Jak daleko jest stąd do granicy Imperium, i czy zamek wytrzyma ataki z powietrza? I czy władcę można pokonać, a jeśli można, to jak?

Razwijar w końcu nawet zasnął — na kilka minut przed tym, gdy po niego przyszli. I oto teraz stał na półokrągłym balkonie, bojąc się uwierzyć w swoje szczęście. Władca odesłał straż, zostali sami i Razwijar ma swobodne ręce, a władca nie patrzy na niego. Siedzi, spoglądając na góry, jakby zapomniał o jeńcu...

— Nawet nie myśl o tym, żeby mnie zaatakować. Umrzesz w cierpieniach.

Razwijar wzdrygnął się. Żeby prześcignąć tego człowieka, żeby zaskoczyć zniecka, potrzebna by była cała Razwijarowa wola i chytryść. Nakazał sobie rozluźnić drżące z napięcia mięśnie.

— Wczoraj nie byłeś taki drapieżny — powiedział władca. Urządzało cię tylko przeżycie, nawet nie wolność. Teraz to przemyślałeś?

— Nie.

— Bardzo dobrze. Powiedz: skąd wiesz o larwach ogniewuchy? Skąd wiesz, skoro nawet pośród moich ludzi wtajemniczeni są tylko najbardziej zaufani.

Razwijar westchnął urywanie.

— Nie waż się kłamać — przerywając mu rzucił władca. Niewolnicy szeptali w ciemnicy? Albo nadzorcy?

„Kiedy trzaśnie skorupa, wyjdzie ogniste stworzenie im wolność i będzie służyć ci trzy dni i trzy noce, podporządkowując się słowom i życzeniom — wyrecytował Razwijar. Nic straszna mu ni strzała, ni klinga, wedle twojej woli zabije i jednego wroga i setkę. A tuż przed tym, jak minie trzy dni i trzy noce nakaz mu rzucić się do wody, wtedy zdechnie...”

Roztargniony wzrok władcy skupił się na jednym punkcie jak światło w szklanej soczewce. Razwijar patrzył mu w oczy starając się nie mrugać.

„Pouczające historie o ludziach, zwierzętach i pozostałych stworzeniach” — powiedział władca z dziwnym uczuciem. — Ty umiesz czytać?

— Jestem przepisywaczem ksiąg... byłem.

— Interesujące — władca bardziej się wyprostował, splótł na kolanach długie, żółtawe palce. — Oto korzyści z wykształcenia... Jak to się stało, że przestałeś być kopistą?

— W dzieciństwie byłem niewolnikiem jednego piśmiennego człowieka o imieniu Agi, który postanowił zarabiać przepisywaniem w Mirtie...

Razwijar mówił, pokonując chrypkę. Odkasznął i kontynuował opowieść. Władca słuchał, jego oczy świeciły coraz jaskrawiej, szrama w poprzek warg robiła się ciemniejsza i bardziej zauważalna.

— Jesteś Heksem?

— W połowie... tak mówią.

— Twój poprzedni pan był durniem... Mów dalej.

Razwijar opowiedział wszystko, niczego nie ukrywając. Nie wspomniał tylko o zaklęciu, którego nauczył go starzec na wyspie pod latarnią.

Władca długo milczał. Cień, skrywający balkon, usunął się, na balustrady padło słońce i te zapłonęły — miedziane, wypolerowane do połysku, krągłe.

— Czy kiedykolwiek dawano ci „słodkie mleczko”?

Razwijar wzdrygnął się. Pytanie zostało zadane niedbale, jakby mimochodem, ale myśl o „słodkim mleczku” była w jakiś sposób bardziej wstrętna niż najsurowszy wyrok śmierci.

— To jest wyjście dla ciebie — powiedział władca z niespodziewaną miękkością w głosie. — Po tym, co zrobiłeś... Przecież w zamku nie są ślepi. Rozejdą się plotki. U wielu pojawi się straszna pokusa. Jak mam teraz przebywać z moimi ludźmi, którzy widzieli, jak komenderowałeś poczwara?

— Nie. Ja nie chciałem. Ja...

— Przyjdzie potroić ochronę wielkiego pieca — jakby rozmyślając, kontynuował władca. — Mam ich wiele, tych larw w jajach. — Kiedy zanadto dokuczają chimajrydzi albo inni wrogowie, po prostu rozbijam skorupę. Ale jak teraz powierzyć te jaja niewolnikom? Albo strażnikom, którzy wstąpili na służbę za pieniądze?

— Nie miałem innego wyjścia!

— Miałeś. Milcząco umrzeć, jak postąpiłby na twoim miejscu każdy inny niewolnik, nie tak wykształcony... nie taki sprytny. Prawidłowo byłoby urządzić publiczną kaźń... jako pouczenie. Ale obiecałem ci życie i dotrzymam słowa. Wypijesz „słodkie mleczko” i pojedziesz do Fier, gdzie znowu cię sprzedadzą.

Razwijar rzucił się w kierunku władcy, nie myśląc. Między nim a przeciwnikiem było pięć kroków. Razwijar skoczył i chybił, potknął się o wystawioną nogę, stracił równowagę, odrzuciło go w kierunku balustrady. Miedź wbiła się w żebra, straszna siła zwała się z góry, zimne palce zdławiły gardło. Drgając i chrypiąc, Razwijar zdażył zobaczyć, jak władca przytrzymuje swobodną ręką chwiejający się trójnóg z lunetą.

— Mówiłem ci, że umrzesz w cierpieniu?

Razwijar starał się przewalić przez balustradę. Wymyślił i o na samym początku i chciał pociągnąć za sobą władcę; nie wyszło. Uchwyt na gardle zacisnął się mocniej.

Tupot straży, niespokojny, pilny, wdarł się na balkon I umilkł. Zapewne władca gestem rozkazał wartownikom wyjść, ponieważ teraz kroki zadźwięczały znowu, oddalała się.

— Zgadzam się — przez zęby wydyszał Razwijar.

Władca odciągnął go od poręczy — w głąb balkonu, w cień.

Oddychając z trudem, Razwijar odpełził w kierunku ściany owitej bluszczem.

— Droga jest ci twoja pamięć? Cenisz wspomnienia bardziej niż życie?

W głosie władcy było zainteresowanie.

— Chcesz wiecznie pamiętać, jak cię wyrzucili za burtę, niczym szmatkę? A może umrzesz w imię wspomnień o rynku niewolników?

— I to także — powiedział Razwijar.

I wspomniął — na mgnienie oka — dalekie, szybujące nad morzem miasto Mirtie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wspominał to miasto niejeden raz, kiedy trzeba było wziąć się w garść, zapomnieć o bólu i zmęczeniu, powtórzyć jeszcze raz, bez przerw, trudną serię uderzeń, bloków, przewrotów. Kiedy mięśnie drewniały, ścięgnięta gotowe były rozerwać się, a język z pragnienia przysychał do podniebienia, a przecież dziesiętnik Bran, czerwonolicy bydlak, nie pozwalał pić, „póki nie zrobisz jeszcze trzech okręgów”.

Razwijar dawno już nie był małym chłopcem kopistą. W jego dotychczasowym krótkim życiu zdarzyło mu się pracować przy wiosłach na „Łusce”, nosić worki i kamienie, biegać do góry i na dół po stromych zboczach, kręcić kołowrotem i chodzić w kole, ale dziesiętnik Bran uważał go za „smarkacza” i ganiał jak szczura pociągowego. Razwijar męczył się okrutnie. Padając na siennik, zasypiał już w powietrzu i prawie nie wspominał ani domu, ani lasu, ani biegnących po między wiewiórek.

Nos złamali mu w czasie szkoleniowej walki, po miesiącu od zaliczenia go do młodszej dziesiątki. Długo chodził w siniakach, z podbitymi oczami, a potem — późną jesienią — w bójce bez oręża pokonał Krzywulca, najsilniejszego i najbardziej doświadczonego spośród nowicjuszy. Wtedy dziesiętnik Bran, nie mówiąc ani słowa, przeniósł Razwijara z młodszej dziesiątki do prawdziwej straży.

Wszyscy wiedzieli, że Razwijar jest byłym niewolnikiem, .ile nie było przyjęte, by o tym wspominać. Uważano, że nowy strażnik jest pod opieką władcy; sam Razwijar nie mógł w to uwierzyć. Wprost niepojętym było, że władca rozkazał przydzielić go do młodszej dziesiątki, zamiast oddać katowi... Ale patronat?

Od tamtej pory Razwijar widział władcę tylko jeden raz. Prosto z wieczornego mianowania, już jako prawdziwego strażnika, wezwano go na górę. Władca siedział w gabinecie, w tej samej komnacie, gdzie kiedyś utonęła larwa ogniewuchy. Tak samo odbijały się świece na powierzchni zbiornika z wodą. Tak samo nieruchomo siedział w fotelu człowiek ze szramą w poprzek warg.

— Przepisz dla mnie książkę — powiedział władca.

Razwijarowi przyniesiono oprawę z czystymi stronicami, dwie wielkie świece, kałamarz i zestaw piór sytuchy. Młodzieniec niezgrabnie usadowił się za biurkiem, wziął pióro. Nagle przestraszył się, że odczytał się pisać i ręka, spracowana i twarda jak drewno, nie będzie w stanie wyrysować ani jedno znaku.

Władca obserwował go. Przełamując strach, Razwijar otworzył księgę, którą należało przepisać.

Już po kilku pierwszych stronach zaparło mu dech w piersiach. To był traktat uczonego mieszkającego w Imperium; o magach, ich potędze i skąd się oni biorą. Na pewno bardzo cenna, rzadka księga. Może nawet zakazana dla wszystkich poza Imperatorskimi mędrkami. Możliwe też, że wykradziona ze skarbcza. Tak czy inaczej — taka księga jest warta więcej niż dziesięciu młodych niewolników...

Razwijar zmrużył oczy. Znaki składały się w słowa, stały przed wewnętrznym wzrokiem tak samo wyraźnie, jakby widział je oczami. Talent go nie opuścił. Razwijar niczego nie zapomniał i w tym momencie doświadczył takiej radości, jakby spotkał dawnego, długo niewidzianego przyjaciela.

Zaczął przenosić to, co zobaczył na papier. Najpierw ostrożnie, drżącą z nieprzyzwyczajenia ręką, a potem coraz śmielej. „W pałacu i w zagrodzie i w trójnogiej chacie majstra na Beziemiu — wszędzie, gdzie jest kominek albo piec — może pojawić się na świecie mag. On może latać

bez skrzydeł i rozkazywać kamieniom, może zabijać ogniem albo leczyć śmiertelnie chorych, ale głównym jego posłannictwem jest wnieść do tego świata to, czego przedtem na nim nie było...”

— Interesujące — powiedział władca, który nie wiedzieć kiedy znalazł się za plecami Razwijara. — Gdyby nie inny papier, nie świeży atrament... Twoją kopię można wziąć za oryginał, mały Heksie.

Razwijar nie odpowiedział, zajęty pracą. Władca szybko odszedł. Razwijar siedział sam w ogromnym gabinecie i przy świetle dwóch świec przepisywał księgę o magach, ich przyzwyczajeniach i stopniach wtajemniczenia. O tym, jak stawiają tęczową pieczęć na imperatorskich pieniądzech, jak tropią buntowników po jednej tylko nieostrożnej myśli i o pierścieniach z kolorowymi kamieniami, które noszą na palcu, i o tym, jak poddają się im gromy, i o wielu innych rzeczach.

Nad ranem zakończył. Oddał księgę osobistemu słudze władcy. Wyszedł. Chwiejąc się, zszedł do koszar i trafił prosto na poranną musztrę, a dziesiątnik Bran miał za nic to, czy spał tej nocy, czy nie. Ćwicząc z mieczem, z tarczą, z pałą, z łańcuchem Razwijar myślał o magach, którym niepotrzebna wojskowa mądrość, którzy i bez oręża są niepokonani...

Bran go nie chwalił. Ale spoglądał poważnie, z aprobatą.

* * *

Minęła jesień, potem zima. Wierzchołki gór pobieleły. Młodzi strażnicy ślizgali się po lodowych wyżłobieniach na samych szczytach, często ryzykując życiem. Dziesiątnik Bran popierał te zabawy, ponieważ „nie ma odwagi bez niebezpieczeństwa”.

Razwijar wchodził wyżej niż inni — tak, że ścisnęło w piersiach — i leciał, nieomal przewracając się na zakrętach, przeskakując przez wyrwy, przez nagie kamienie. Wiatr chłastał po twarzy, jakby chciał ją zerwać i porwać jak czapkę. Oczy paliły, łzy odrywały się od policzków i ulatywały do tyłu, przemieniając się w soplek, a na wieczornej musztrze dziesiątnik Bran z niezadowoleniem pytał:

— Znowu zapłakany? Jak baba!

Uczył Razwijara strzelać z łuku i arbaletu, chociaż jemu bardziej podobała się walka wręcz.

— Jesteś strzelcem, a nie mieczowym — pouczająco mówił Bran. — Twarde ręce, dobry wzrok. Ucz się, bydlaku, bo skórę zedre i na bęben naciągnę!

Ale prawie nigdy nie bił.

Zimą zasypało przełęcz, patrol miał mniej pracy. Przejedną została tylko jedna droga, ciągnąca się w dół wąwozu. Tędy na zamek dostarczano żywność i opał z sąsiednich wiosek. W całym zamku paliły się piece, gorące powietrze podnosiło się przez okrągłe otwory w podłodze i drżało, mieszało się z chłodnymi strumieniami. Największy piec palił się, nie gasnąc, w drugiej kondygnacji zamku, ogrzewając pokoje władcy, a palili w nim nie niewolnicy czy słudzy, a strażnicy wypróbowani podczas wieloletniej służby u władcy.

Razwijar wiedział o tym piecu zapewne więcej od innych w koszarach. Tam, w komórkach żelaznej sieci, grzały się jaja ogniewuchy. Było ich nie mniej niż tysiąc. O tym, jaka moc znajdzie się w rękach tego, kto je rozbije, Razwijar starał się nie myśleć.

Za to inne myśli wypełniały umysł młodzieńca całkowicie. Troska, początkowo dotykająca go tylko odrobinę, nagle spadła całą siłą i przesłoniła świat. Wspinając się wyżej niż inni i ześlizgując się ze szczytów po lodowych i śnieżnych językach, Razwijar lekceważył wszystko, rzucając wyzwanie losowi.

Los miał na imię Dzał.

* * *

Przywożono je z okolicznych wiosek, niekiedy z portu Fier. Niektóre były niewolnicami, inne nie. Usługiwały, sprzątały, wykonywały rękodzieła w zamku. Wszystkie były młode, silne, z białymi zębami i włosami splecionymi w warkocze. Nocami do ich obowiązków należało także sprawianie przyjemności strażnikom, ponieważ rodziny żonatych były daleko, a pozostali usychali z samotności.

Dżal znalazła się w zamku jesienią, kiedy Razwijar był jeszcze w młodszej dziesiątce i nie śmiał nawet myśleć, żeby po zmianie udać się „do ptaszyn”. Zresztą pod dowództwem dziesiątnika Brana, który zdecydowanie dążył do przerobienia „smarkacza” na człowieka, w głowie Razwijara nie rodziły się myśli o kobietach. Dżal tymczasem oswoiła się z zamkiem, zaczęła się uśmiechać i pewnego razu Razwijar zobaczył, jak zapala świeczniki, idąc wzdłuż galerii.

Stawała na palcach, dolewała olej do kaganka, po czym podnosiła świecę. Jej twarz rozświetlała się blaskiem ognika, szerokie rękawy zsuwały się, obnażając ręce aż do ramion. Dżal kiwała głową, jakby zadowolona z wykonanej pracy i szła do następnego świecznika, a idąc — tak zdawało się Razwijarowi — tańczyła.

Od tamtej pory szukał jej wszędzie. Śledził ją w zamku, kiedy myła podłogi albo nosiła drwa, albo wygrzebywała popiół z pieców. Na początku obserwował ją z daleka, później przestał się ukrywać, w końcu podszedł. Chciał do niej zagadnąć; zapytać, kim jest i skąd, czy ma krewnych i czy widziała morze. Zamiast tego, wziął ją za ramiona, odwrócił do siebie i pocałował. Dżal nie śmiała się wyrwać, ale zastygła, jakby była z drewna, przyciskając do piersi miotłkę z szorstkich ptasich piór.

Od tamtego dnia Razwijar zachorował. Myśl o tym, że każdej nocy — albo prawie każdej — ktoś z jego towarzyszy strażników przywłaszcza sobie jej wargi, ręce, uległe ciało, biła go w twarz jak zimny wiatr, a łzy ciekły nie wiadomo od czego — od wiatru czy od bólu. Śmiali się z niego, wołali, żeby szedł z nimi „do ptaszyn”. Tak bowiem nazywała się żeńska część zamku, gdzie w maleńkich klitkach bez okien zamieszkiwały służące i rękodzielniczki, przy czym drzwi wszystkich komnat wychodziły na jeden długi balkon, gdzie licznie gnieździły się czerkuny. On zaś wzbraniał się, wspominając wszystkie przekleństwa, jakie znał i jeszcze te, które przeczytał kiedyś na ścianach Wschodniej Ciemnicy. Oblewał się lodowatą wodą, chodząc pod strugi na wpół zamarzonego wodospadu. Szczególnie drażniło go strzelanie z łuku i arbaletu — chciało mu się ruszać, a nie celować, rąbać, a nie i czekać na swoją kolej.

Pewnego dnia, u schyłku zimy, kiedy nad górami nabrzmiewało niebo i z południa ciągnęło wilgotnym wiatrem, Razwijar zjawił się u dziesiątnika Brana i powiedział, że chce Dżal tylko dla siebie, na własność.

— Kupujesz ją? — zdziwił się Bran. — Od władcy? Ale czy on zechce ją sprzedać? A czym zapłacisz? I czy to nie dziwne, przecież ty sam, zdaje się, jesteś wciąż niewolnikiem?

Dworował sobie trochę z Razwijara, ale bez złośliwości, chłopak był jednym z jego ulubieńców.

— Słuchaj mądrego człowieka, pisarczyku. Baba nie diament, w oprawę nie wstawisz i na rękę nie wsuniesz. Ożeniłem się bardzo młodo. Byłem taki jak ty, miód z niej zlizywałem, mlekiem obmywałem. I co? Wystarczyło na wyprawę pójść, jak moja piękniczka przeszła od jednego do drugiego i ja się temu dziwić nic mogłem. U nich, widzisz, w osadzie tak jest przyjęte, tam w górach na pięciu mężczyzn jedna baba się rodzi...

Razwijar, zacisnąwszy zęby, poszedł na górne galerie, gdzie znajdowały się, opustoszałe po zimie, gniazda czerkunów. Zdjął pas, paradny skórzany pas ze stalowymi blachami, który wygrał „w szturchańce” od tyczkowatego Krzywulca. Rzucił na kamień.

— Miedziany Królu...

Jeszcze nie pojmował związku między zaklęciem a swoim życiem, ale nie miał już wątpliwości, że taki związek istnieje. Nie otrzymał chleba na galerze, za to dostał pamięć. W kamiennym lochu prosił o życie i wolność, i otrzymał przynajmniej pierwsze.

A teraz chciał dla siebie Dżal. Tak jej chciał, że miał ochotę wyc i tarzać się po podłodze.

— Miedziany Królu, Miedziany Królu! Weź, co jest mi drogie! Daj, czego potrzebuję!

Zrobił wszystko, jak kazał stary Latarnik, ale pas nie zniknął. Jak wcześniej, leżał na kamieniu, szeroki, ciężki. Dlaczego? Co Razwijar zrobił nie tak?!

— Miedziany Królu, Miedziany Królu...

Nic się nie zmieniło. Razwijar powoli podniósł pas, nałożył i zaciągnął sprzączkę. Wybredny Miedziany Król nie uznał ofiary za wystarczająco godną, ponieważ Razwijar w pełni mógł się obejść bez pasa, a to znaczy, że Król nie potrzebuje takiego podarunku.

A co jest Razwijarowi drogie?

Od chwili, kiedy zaczął jeść do syta, ani jeden kawałek chleba nie miał takiej wartości, jak ten na galerze. Miał niewiele świec, ale nie zdarzało mu się stąpać w ciemności. I nie znalazł nic godnego, żeby zaoferować Miedzianemu Królowi w zamian za żłudną usługę.

Tej nocy nastąpiła wiosna.

* * *

Potok, biegnący po dnie wąwozu, ryczał tak, że w dolnych kondygnacjach zamku trudno było rozmawiać. Wodospady na przeciwległej stronie wąwozu ze wstążeczek przeobraziły się w pełno wodne białe płachty. Dżal prała bieliznę w korycie z ciepłą wodą, miała na sobie żółtą płócienną sukienkę do kostek.

Razwijar podszedł i zatrzymał się za jej plecami. Poczuli jego wzrok, obejrzała się, wzdrgnęła i przymilnie, nieśmiało uśmiechnęła się.

Wiedział, że ona tak uśmiecha się do wszystkich strażników. Służący i nadzorcy nie mieli do niej prawa. Tylko strażnicy i tylko po wieczornym dzwonie — jedno uderzenie miedzi o miedź oznaczało zakończenie dziennych trosk i nastanie nocy.

Do wieczornego dzwonu zostało jeszcze sporo czasu. Góra wypranej i wykręconej bielizny leżała w pustym korycie, a kilka ubrudzonych koszul — na płaskim kamieniu u stóp Dżal.

— Chcesz? Uciekniemy? — zapytał Razwijar.

Cofnęła się, potknęła o balię i omal nie upadła.

— Jestem takim samym niewolnikiem jak ty. Nocą pójdziemy przez góry. Chcesz?

Dżal obejrzała się, czy nikt nie słyszy. Znowu popatrzyła tui Razwijara. Jej wargi zadrżały.

— Ty... nie mów tak. Nie kłam.

— Nie kłamię.

— Nie można uciec przez góry! Tylko jedną drogą, a tam są patrole...

— Ja biegam szybciej. Nawet z człowiekiem na plecach. Z tobą. Pójdziemy do Fier, mam co sprzedać. Wsiądziemy na statek, najmę się jako wioślarz albo marynarz. Uciekniemy na jakąkolwiek wyspę Imperium. Tam zostanę przepisywaczem ksiąg i zaczniemy żyć jak bogacze.

Dżal znowu się rozejrzała:

— Jeśli ktoś usłyszy, co mówisz...

— Nikt nie usłyszy. Szumi woda.

- A jeśli nas pojma?!
- Nie pojma. Powiedz: zgadzasz się?

Dziewczyna przycisnęła do piersi niewyżętą koszulę. Wielkie krople mydlin potoczyły się po sukience.

- Nie... ja się boję. Boję się, nie mogę.

* * *

Wieczorem Razwijara wezwał dziesiątnik Bran.

Biorę ludzi, idziemy na przełęcz. Patrol w parowie widział chimajrydów i ich baby z nimi. Jeśli baby, to znaczy, że klan wyruszył z miejsca, żeby je pokryć, kiedy przejdą przez przełęcz. Ustawię cię na nocnej zmianie, po północy wstąpisz na środkową galerię, tam stary Tis przydziela zmiany. Popatrz mi w oczy, zrozumiałeś?

- Po północy — posłusznie powtórzył Razwijar.

Z uderzeniem wieczornego dzwonu, przestąpił próg „ptasznika”, gdzie tak długo nie śmiał pokazać nosa. Starsza służąca wsparła ręce pod boki:

- Ty do kogo?
- Do Dżal.
- Z wyglądu jesteś młodziak, czy aby nie z młodszej dziesiątki?
- Prawdziwy strażnik.

— A więc wczesny — powiedziała służąca w zamyśleniu. — Dobrze, wchodź, a ja zaznaczę na tabliczce, że jest dzisiejszej nocy zajęta... Liczyć umiesz? Na prawo trzecie drzwi po dziesiątych.

Razwijar wyszedł na balkon, biały i czysty, odgradzony od przepaści niewysoką kamienną barierą. Zatrzymał się, rozejrzał, popatrzył w dół. Chrząknął, bez pośpiechu ruszył wzdłuż ściany. Do drzwi przyczepiony był pęczek uschniętej trawy. Ochrona? Znak?

Wszedł, nie pukając.

Okien nie było. Paliła się świeczka w kącie, odbijała się w maleńkim żelaznym zwierciadle. Na niskim stołeczku, tyłem do drzwi siedziała Dżal, rozpuszczone włosy spływały po plecach.

Nie obejrzała się. Zapewne nie rozpoznała go od razu; wszedł strażnik, jak zwykle. Razwijar przymknął drzwi i w komnacie zrobiło się ciemno. Podeszedł i zatrzymał się za plecami dziewczyny i zobaczył w zwierciadle dwa oblicza — swoje i Dżal.

Ona go poznała. On siebie — nie.

Już dawno nie patrzył w lustro, jak wielu strażników nie tracił czasu na golenie i nacierał brodę i policzki kapeluszem „bezbrodęgo grzyba”, bez wysiłku usuwając szpecenie. Teraz przed nim stał nieznajomy człowiek z wyciągniętym, bladym obliczem, ostrym podbródkiem, bardzo ciemnymi oczami o dziwnym kształcie. Na załamanej nosie wybijała się biała chrząstka. Twarz była poważna i drapieżna, wyprana z emocji. Obok odbijało się oblicze Dżal, od jej oddechu drżał płomień świeczki. Czego się przestraszyła?

- Czego się przestraszyłaś?

Pochyliła głowę, spuszczać rzęsy jak zasłony.

- Witaj... przyszedłeś na całą noc?
- Przyszedłem cię zabrać.
- Nie — dziewczyna pokręciła głową. — Nie można...

— Można. Nie ma straży w zamku, tylko nocna zmiana. Będę stał po północy na środkowej galerii, tam trzeba zejść z waszego balkonu, nawet mysz to potrafi. Pójdiesz ze mną?

Patrzyła błagalnie:

— Po co... Ja już przywykłam... Pojmą i zabiją... Boję się!

Chłopak usiadł na sienniku. Wzięła to za koniec rozmowy i wprawnie sięgnęła ku wiązaniom sukni pod szyją. Rozwiązała je, poruszyła ramionami, suknia ześliznęła się, obnażając ramiona i piersi.

Razwijar siedział nachmurzony, z taką siłą ściskając skraj siennika, jakby to była szczapka drewna na wzburzonym morzu. Ma prawo do Dżal tutaj, teraz, do samej północy. Na równi z Krzywulcem, ze starym Tisem, z każdym strażnikiem albo wartownikiem zamku. Czy wypada robić dziewczynie wymówki, jeśli ona nie zgadza się łamać ustalonego tradycją i porządku i zamieniać go na śmiertelne niebezpieczeństwo, na strach, na trudy ucieczki?

Dżal wstała upuszczając suknię na podłogę. Była szczupła, smągłóska, zupełnie jak kobiety Złotych, które wyobrażał sobie Razwijar, siedząc na wyspie z latarnikiem i patrząc na dalekie Mirlie. Ale tamte kobiety były nieprzystępne. Trzeba je było kupić za wielkie pieniądze, zapewne posiąść siłą. Brać za żony tylko będąc znacznym, czystej krwi Złotym. A Dżal, której Razwijar pragnął od dawna niepohamowanie, stała przed nim naga i całkowicie posłuszna.

Przewrócił ją na siennik — gwałtownie i szorstko. Była uległa, a nawet miła dla niego. Jej wargi rozchyliły się w zalotnym uśmiechu. I Razwijar całował te napięte wargi, a potem, złapawszy oddech, powtarzał to, patrząc jej w oczy:

— Uprorowadzę cię, rozumiesz? Dzisiaj uprowadzę stąd... Słyszysz mnie?

Uśmiechnęła się smutno.

Razwijar wyszedł od Dżal godzinę przed północą zmieszany i zły. Na balkonie nikogo nie było, ponieważ służące dzisiaj odpoczywały, jutro będą miały dużo pracy, kiedy dziesiątnik przywiedzie dzieci z przełęczy...

Stał przy poręczy, ale nie zobaczył gwiazd nad zębatymi ścianami czarnych gór. Przywidział mu się las wokół rodzinnego domu, polana, odzyskana dla zbóż i stada wiewiórek, falą sunące po miedzy.

Kiedyś je zobaczy. I może nawet rozpozna pośród nich swoją matkę.

* * *

— Mam dla ciebie robotę, pisarczyku.

— Księga? — wyrwało się Razwijarowi. — Ale przecież teraz...

— Zamknij się!

Władca stał na półokrągłym balkonie, spoglądając na góry. W dole, w wąwozie ryczał potok, wezbrany tającymi śniegami. Razwijar dopiero co przybiegł z koszar. Chwilę wcześniej wrócił mały oddział, a raczej to, co z niego zostało, czyli Krzywulec zraniony w rękę i Tari-Koło. Padając z nóg, ludzie z patrolu obwieścili, że na osadę Dolne jaskinie napadli chimajrydzi. Częściowo powybijali, częściowo rozpędzili pastuchów i zabrali się za uprowadzanie stada. W tym czasie, kiedy dziesiątnik Bran był na górskiej przełęczy, gdzie czatował na zdradliwe stworzenia — te napadły z dołu i okazało się, że w zamku nie ma wystarczająco dużo ludzi.

— Mam dla ciebie robotę, skrybo. Pójdziemy tam razem... Wiesz, gdzie? Do pieca. Weźmiesz jajo i rozbijesz skorupę. Potem wyruszysz do Dolnych jaskiń, zabierając ze sobą... kilku ludzi, sam zdecydujesz, kogo. Rozkazuję ci: zabić wszystko, co porusza się na czterech nogach i na dwóch. Odzyskać stado. Odszukać ocalałych górali i wytłumaczyć im, że nie są bezbronni, a danina, którą mi płacą, oznacza rychłą śmierć ich wrogom. Wszystko jasne?

— Tak, władco — powiedział Razwijar po chwili milczenia.

— Dobrze. Idziemy.

W ten sposób Razwijar w kilka minut do północy nie zajął swojego posterunku na środkowej galerii. I teraz, krocząc w ślad za władcą długim korytarzem, nie mógł opędzić się od myśli: co, jeśli Dżal na niego czeka?

Uwierzyła mu. Pokonała strach. Ostatecznie pokochała go i była gotowa zaryzykować. Stoi w drzwiach swojej komnaty i czeka na umówiony sygnał, a sygnału nie ma.

Drogę oświetlał jeden z osobistych ochroniarzy władcy. Ogień pochodni wydobył z mroku gładką ścianę z prawej strony i kamienną koronkę z lewej, dziwaczną, wyszlifowaną do połysku, z gwiazdami w prześwitach. Taką koronkę, pomyślał Razwijar, mogą wyciąć z kamienia tylko ludzkie ręce, bo czyż tak delikatna robota jest na siły bezrozumnych skalników?

Palacze pracowali dniem i nocą, kręcili bloki, podnoszące z dołu beczki z węglem. Przestrzenna sala z niskim sklepieniem była zalana czerwonym światłem pieca.

— Palacze precz. Straż zostaje. — Władca podszedł do pieca, wyciągnął szyję, zaglądając do jego wnętrza, jakby nie zauważył strasznego żaru. — Bierz bosak, Heksie.

Razwijar wybrał bosak ze stojaka, gdzie, jak włócznie w zbrojowni, na swój czas czekały łopaty, ognioodporne tarcze i pancerze oraz narzędzia podobne do zwykłego pogrzebacza. Wylot pieca był bardzo mały w porównaniu z jego kolosalnym wnętrzem; Razwijar stanął obok władcy, spojrzał w ogień i zakręciło mu się w głowie. Zobaczył równinę zasadzoną czarnymi, gorejącymi głowami, zobaczył las z ognistych pni, zobaczył wzburzone morze falujące od żaru popiołu.

Władca wyciągnął klucz. Przekręcił nim w ściennej szczelinie; poszedł w ruch mechanizm, o ciężale zazgrzytały łańcuchy, podciągając do wylotu pieca kratkę z ułożonymi na niej w przegródkach jajami ogniewuchy.

— Co jej rozkażesz?

Razwijar mrużył oczy od żaru. Zdawało się, że płoną mu brwi,

— Iść za mną. Zabijać chimajrydów.

— Błąd. Zabijać chimajrydów do i po twojej śmierci. Na wypadek, jeśli cię zestrzelą. Kogo weźmiesz ze sobą?

Razwijar wypowiedział imiona. Władca wykrzyczał je, powtórzyli strażnicy przy drzwiach, dał się słyszeć tupot wielu nóg, rozkaz spieszo oznajmić w koszarach.

— Rozkaż im osłaniać ciebie tarczami — powiedział władca. — Nie chcę, żeby cię zabili, Heksie, to byłaby niepowetowana strata dla nas wszystkich... Jesteś gotów przyjąć tę moc?

— Tak, władco.

— Rozbijaj!

Kratka, na której ułożone były jajka huśtała się niezbyt blisko, ale i nie za daleko. Razwijar na pół kroku zbliżył się do pieca, wyważył bosak w rękę, dokładnie jak na ćwiczeniach, uderzył nim w odkrytą paszczę pieca i rozbił skorupę jaja leżącego z brzegu.

I od razu odskoczył, tak wionęło żarem. Nawet władca się odsunął. Zrzuciwszy resztki skorupy, larwa ogniewuchy wyrwała się z ognistej paszczy ogniska i, rozsypując iskry, usiadła przed piecem na kamiennej podłodze. W gorącej komnacie znaleźli się twarzą w twarz władca, młody strażnik i potworna larwa ogniewuchy posłuszna „maleńkiemu Heksowi”.

Razwijar kilka chwil milczał nie mogąc zdecydować się przemówić.

— Co?

— Można zapytać... władco?

— Tylko szybko.

— Dlaczego...

Chciał zapytać, czym sobie zasłużył na takie zaufanie. Teraz może rozkazać larwie zabić władcę i straż, a potem rozbić wszystkie pozostałe jajka i sam zostać władcą — nie tylko zamku, ale i całego świata, do którego można dostać się w ciągu trzech dni. Pójdzie do Dżal z

ogniewuchą u nogi i więcej nikt, ani jeden mężczyzna nie ośmieli się nie tylko jej dotknąć, ale nawet na nią spojrzeć! Posiadanie, wolność, władza. Perspektywa, która się przed nim roztoczyła była jak przepaść, jak ognista jama pieca, pałaca i przyciągająca aż do zawrotu głowy.

Władca zrozumiał go bez słów. Nie przeraził się, nie stracił głowy ani na мгновение. Rozciągnął w uśmiechu wargi ze szramą:

— Wyjaśnię ci... kiedy wrócisz. A teraz idź, maleńki Heksie. I pokaż, na co cię stać.

* * *

Tysiąc i tysiąc kroków. Razwijar potrafił biegać; najbardziej chwiejny kamień nie drżał pod jego stopami, tak lekko i równo niosły go nogi po szerokiej drodze na skalnym występie. Przed nim ślizgała się ogniewucha — leciała nisko i oświetlała sobą drogę.

Z ciemności wypływały skały i przełęcz. Droga obejmowała górne pasmo, to przytulając się do jego boku, to niebezpiecznie odsuwając się, zawisając nad przepaścią. Za plecami grzechotały sapogi strażników, niedawnych opiekunów i nauczycieli, teraz podwładnych, ale tylko Razwijar miał zaufanie władcy i tylko na nim spoczywała odpowiedzialność za los wielu ludzi: żywych, martwych i skazanych.

Dolne Jaskinie — skalna osada. Razwijar był tam raz albo dwa. Nazwę osada wzięła od jaskiń; rozległych, długich, z wieloma wyjściami na powierzchnię, z podziemnymi ruczajami i jeziorami, ze ścianami porośniętymi pożywnym mchem. Górale hodowali przyśleпки, które żywiły się właśnie tym mchem.

Pod górą zimą i latem chodziły ogromne stada. Kiedy przyśleпки objadły jedną grotę czy korytarz, przeganiano je na następne podziemne pastwiska. Ślepe, nieznające słońca stworzenia żyły i płodziły się w całkowitej ciemności, a i górale rzadko widzieli światło, przepadając w jaskiniach. Ich żony i dzieci żyły w kamiennych domkach przylepionych do skały. Z mleka przyślepek wyrabiały sery i robiły kwas, a skóry szły na odzież i obuwie. Atakujący jaskinie liczyli na poważne naruszenie zamkowego zaopatrzenia; zdobyć stada, resztę wybić, jeśli się powiedzie, zbuntować miejscowych mieszkańców.

Droga znowu zawróciła, okrążając góry. W ryk potoku na dnie wąwozu wplotły się dalekie krzyki, cienki wizg przylepek i hurgot kamieni. W ciemności paliły się pochodnie, miotały się czarne postacie jeźdźców, białawym kisiem płynęły stada — ślepe toczyły się w dół, do potoku, i Razwijar pojął nagle, że chimajrydzi wcale nie zamierzają uprowadzać zwierząt pod osłoną ciemności. Oni chcą po prostu przyśleпки potopić.

Poczuł, jak zapiera mu dech w piersiach. Nie od biegu, ale od ogłuszającej bojowej furii. Chimajrydzi dopuszczali się rozboju, utwierdzeni w swojej bezkarności, a Razwijar posiadał moc przywrócenia zachwianego porządku.

— Zabijaj wstrętne stworzenia!

Poczwarą nie wiedziała co to takiego „wstrętne stworzenia”. Wiedział Razwijar, a dla tego rozkazu było to wystarczające. Nieuchwytnie potwory, które kiedyś zabiły nadzorcę Rodziego, czworonożni półludzie i ich jeźdźcy, rozbójnicy zamieszkujący góry, napadający na karawany, marzący o jednym: zburzyć zamek do ostatniego kamienia, zrównać go z ziemią.

— Zabijaj!

Larwa wzbiła się do góry i rzuciła naprzód. Dla niej nie istniała ciemność, strach przed śmiercią, skalne występy i jamy. Zwaliała się jak przekleństwo na głowy rozbójników, a przyśleпки i bez tego przerażone, zaczęły w panice rozbiegać się po górach.

— Szukajcie pasterzy — rozkazał Razwijar swoim ludziom. — Niech zbierają bydło i kierują z powrotem do jaskiń. Powiedźcie im, że jeśli zbiorą — będzie nagroda, stracą — zetnę na proch!

Podporządkowali się mu bez słowa sprzeciwu, w milczeniu. Pięciu strażników, przyświecając sobie lampkami, rzuciło się w stronę osady szukać tych, którzy przeżyli, wyciągać ich ze szczelin, gdzie się pochowali, grozić i nakazywać. Ich lampki kołysały się już daleko, wysoko na stoku, kiedy Razwijar przypomniał sobie słowa władcy: rozkaż im ochraniać cię tarczami...

I od razu też przypomniał sobie, pokrywając się zimnym potem, że nieprawidłowo wydał rozkaz poczwarcę. Teraz, jeśli go zabiją, ona odleci precz albo napadnie na swoich.

Tymczasem ogniewucha, migocząc jak wypalona głośnia, dosięgła już wroga. Półludzie zaczęli krzyczeć schrypniętymi głosami. Poleciały na ziemię ciała jeźdźców. Dwóch albo trzech chimajrydów rzuciło się do potoku, wybierając śmierć we wzburzonej wodzie. Reszta ruszyła w górę, byle dalej od drogi i od osady.

Ognie rozsypały się po stoku. Czworonożni lekko pokonywali urwiska niedostępne dla człowieka, spod ich szerokich łap leciały kamienie. Razwijar widział jak podnosi się pył, oświetlony pochodniami, jak larwa ogniewuchy prześladowuje zbiegów, którzy rozsypują się jak wachlarz, rozchodząc się na boki, a poczwara jest tylko jedna i rozerwać się nie może.

Splószone stado przyślepek rozbiegło się i dotarło na miejsce, gdzie stał Razwijar. Zwierzęta dotykały jego kolan być może przez ślepotę, a być może w poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa. Ich biaława, pofałdowana skóra pokryta krótką sierścią, była chłodna i szorstka w dotyku.

Jeźdźcy porzucili pochodnie i stali się niewidoczni w ciemności. Razwijar wiedział, że widzą nocą tak samo dobrze jak w dzień, podczas gdy on był prawie ślepy. Ogniewucha miotała się, jej zarys się zamazywał, zostawiając świecąca dróźkę, a Razwijar, nawet mrużąc oczy, nadal widział i tylko zygzaki.

— Bierz! — szeptał, podchodząc coraz bliżej. — Bierz! Szybciej! Bierz ich!

Jeźdźcy walili się na ziemię jeden za drugim, ale ci, którzy ocalili nie rzucali się już do ucieczki. W osadzie, gdzie połyskiwały lampki strażników, dał się słyszeć nowy dźwięk; zadzwoniło żelazo o żelazo. Świsnęła strzała; Razwijar zrozumiał, że go zaważyli, że jeźdźcy szukają człowieka, któremu podlega ogniewucha i uświadomił sobie, że zdążą go zabić zanim larwa skończy swoje dzieło.

Wyszarpnął obie klingi.

— Do mnie! Zabijaj wszystkich, póki jestem żywy i dwa razy tyle, kiedy umrę!

Nie zapomniał o tym, aby prawidłowo ułożyć frazę. Wszystko się powtarzało; w półmroku, z lekka rozproszonym bliskością świtu, wyrósł przed nim jeździec na czworonożnym stworzeniu, a twarze obu były zakryte hełmami. W życiu Razwijara to była druga prawdziwa walka.

Półczłowiek prześliznął się, obchodząc Razwijara z lewej strony, jakby z nim igrając. W czerwonym świetle odległego ognia błysnęło ostrze — błyskawiczny, natychmiastowy cios z góry i na ukos. Uderzenie było ciężkie jak sto worków z kamieniami, Razwijar zatrzymał je swoją klingą na moment, ale ten wystarczył, żeby pozostał wśród żywych jeszcze kilka chwil.

Półczłowiek przesunął się obok i ustawił za jego plecami, a na spotkanie wyskoczyło jeszcze dwóch i władczy głos krzyknął z ciemności:

— Strzelaj!

Razwijar rzucił się na ziemię, przepuszczając nad głową lecące strzały. Dziesiątnik Bran uczył go uników w wirze walki, żeby każdy kolejny ruch był nieprzewidywalny dla przeciwnika.

„Wydałem prawidłowy rozkaz i cokolwiek by się stało — zwyciężyłem”.

Zrywając się na nogi, wyłowił ruch za plecami i zdążył podstawić miecz. Uderzył drugim. Trafił. Usłyszał zdławiony krzyk. Troje jeźdźców krążyło jak kołowrót, a Razwijar kołysał się w przód i w tył, przeczuwając wylatujące z ciemności strzały, wymigując się jak nitka z osnowy

tkaniny przeznaczenia, a strzały przelatywały tam, gdzie on był przed sekundą. Ciągnęło się to bardzo długo — kilka chwil, kilka szybkich taktów.

Potem pojawiła się ogniewucha oblewając wszystko wokół żarem, oślepiając. Jeźdźcy rozbiegli się, a Razwijar zauważył, że został ranny — lekko, nieznacznie, w prawe ramię. Skórzany rękaw był ciepły i lepki. Niebo jaśniało. Łamaną linią odznaczały się góry na horyzoncie. Wydałem prawidłowy rozkaz, pomyślał Razwijar z zadowoleniem. Gdyby ona nie przyszła — już byłbym trupem.

Obrócił się w kierunku osady, która powoli wyłaniała się z ciemności. Dziesiątki domków, szalasy nad wejściami do jaskiń, źródło w kręgu kamieni, a nad źródłem — świętym miejscem dla wszystkich tutaj żyjących — dostojna kamienna statua. Trzeba było szukać strażników, trzeba było uspokoić pasłuchów i zagonić stada, ponieważ wkrótce wzejdzie słońce i wiele przysiępek zginie...

Na ramiona zwałił mu się straszny ciężar. Pazury wbiły się w prawe ramię i w lewy bok. Razwijar upadł twarzą do ziemi, przytłoczony ciałem wroga, bezwolny jak wór kartofli. Ogłuszony pozwolił ciężkim łapom trząść sobą, tak, że głowa latała mu jak guzik na nitce.

I dopiero po kilku strasznych chwilach, kiedy przeciwnik już był pewny zwycięstwa, Razwijar z całej siły szarpnął się, w obrocie strącił z siebie pazurzystą łapę — razem ze strzępem mocnej kurtki — i ciał mieczem, trafiając dokładnie w nagą szyję chimajryda poniżej zapięcia hełmu. Pocięła krew, Razwijara chwyciły za gardło dwie ludzkie ręce — i omdlały; drugie ostrze przycisnęło do nieosłoniętego gardła stworzenia, trochę powyżej płytkiego krwawego nacięcia.

Dwoje oczu patrzyło na Razwijara poprzez wycięcie hełmu. Dwoje ludzkich oczu.

* * *

Wstawało słońce. Pasterze, bladzi i przerażeni, podobni do swoich wystraszonych zwierzaków, zaganiali stada popiskując glinianymi piszczalkami, pokrzykując drżącymi głosami: — Za mną! Idziemy! Za mną!

Stada rozbiegły się po całym zboczach, kilkadziesiąt zwierząt utonęło we wzburzonej rzece. Wszyscy ludzie, którzy przyszli z Razwijarem przeżyli, dwoje było rannych, jeden ciężko. Dwóch miejscowych podrostków zaniósł go do zamku na noszach. Sam Razwijar z podrapaną twarzą, w porwanej kurtce, ze zranioną ręką stał pośrodku osiedla. U jego nóg siedziała ogniewucha, a trochę dalej leżał, zwinąwszy się w kłębek, jedyny pozostały wśród żywych chimajrydów.

Półczłowiek. Czworonożny. Ten sam, który napadł na Razwijara i omal go nie zabił. Ten sam, którego Razwijar, nie wiedząc czemu, oszczędził. Możliwe, że kierowała nim ciekawość.

To był pierwszy jeniec, którego sam pojmał, nawet bez pomocy ogniewuchy. Poczwarą pojawiła się później, ale Razwijar rozkazał, by chimajryda na razie nie ruszać. Kiedy zdjął z głowy jeńca hełm, okazało się, że jest on bardzo młody, chyba nawet młodszy od Razwijara. Miał jasne, falujące włosy i cienkie wąsy nad górną wargą. Smągła skóra zdawała się żółta, na czoło i skronie wystąpił pot. Co i rusz oblizywał wargi, w zupełnie ludzkim odruchu; Razwijar milczał zdumiony, jak istota na czterech łapach, pokryta sierścią, może być tak podobna do człowieka.

Na grzbiecie jeńca przymocowane było wysokie siodło ze strzemionami. Na bokach o wystających żebrach widać było dawne i świeże ślady ostróg. Półczłowiek leżał podwinąwszy łapy, starając się sprawiać wrażenie obojętnego i tylko koniuszek ogona go zdradzał; to podrygiwał leciutko, to znów miotał się i bił o ziemię.

Ciała zabitych chimajrydów, wedle rozkazu Razwijara zaciągnięto do rzeki i wrzucono do wody. Kiedy ostatnie przyślepki skryły się w podziemnych korytarzach, Razwijar zebrał wokół siebie wszystkich mieszkańców osady, którzy mogli chodzić i nie byli zajęci pracą na pastwisku.

— Nie jesteście bezbronni — słowo w słowo powtarzał to, co zalecił mu władca. — Danina, jaką płaciecie, oznacza śmierć wszystkich waszych wrogów. Te stworzenia nieprędka wrócą — dodał od siebie i popatrzył na leżącego chimajryda. — Wstawaj.

Jeniec poruszył nerwowo nozdrzami, ale się podniósł. Ogniewucha siedziała jak przedtem na kamieniu, a jej widok przerażał górali bardziej, niż całe zastępy czworonożnych rozbójników.

Razwijar podszedł do półczłowieka. Na oczach całej osady i czterech strażników wszedł na kamień, po czym zarzucił nogę na grzbiet. Zadrzała pasiasta skóra na bokach ludzko-zwierzęcego stwora. Razwijar usadowił się w siodle, czując jak grają napięte mięśnie chimajryda. Namacał strzemię. Ułożył w nich stopy tak, jak to robili jeźdźcy — piętami do wewnątrz, noskami na ukos i do góry. Przed nim pojawił się tył głowy chimajryda — ludzki pochylony kark, półczłowiek bowiem nisko opuścił głowę.

— Idź za mną — powiedział Razwijar do ogniewuchy — i nie zabijaj go, dopóki nie powiem.

Górale, wybałuszając oczy patrzyli w ślad za nim. Ale nie mniej wstrząśnięci patrzyli jego towarzysze, strażnicy.

* * *

Razwijar jechał wierzchem pierwszy raz w życiu. Zaciekłość bitewna wyschła na nim jak woda; bolał poraniony pazurami bok, Coraz silniejszy stawał się ból w prawej ręce, w opuchniętej dłoni palce były jak obce. Lewą ręką trzymał sznur, narzucony na szyję chimajryda zamiast uzdy. Obok przemieszczała się ogniewucha.

Wzeszło słońce. Potok na dnie wąwozu huczał i pluł pianą. Jeniec, wolno przekładając łapy, od czasu do czasu odwracał głowę, jakby mimochodem, w kierunku biegnącej nad przepaścią ścieżki.

— A jednak się nie rzucisz — zagadnął Razwijar niemal wesoło.

Goły, opalony grzbiet z białą szramą na lewej łopatce naprężył się.

— Kochasz życie, prawda? — Razwijar ścisnął boki chimajryda sapogami. Coraz silniej męczył go ból, ale chciał mówić, nie mógł się powstrzymać. — No skocz, spróbuj.

Szarpnął do siebie sznur. Jeniec zacharczał i zakaszłał.

— Poszedł szybciej! — krzyknął Razwijar — Poszedł!

Czworonożny przyspieszył kroku. Potem puścił się galopem, umyślnie ostrym i narowistym, Razwijara zaczęło podrzucać w siodle i z bólu pociemniało mu w oczach.

— Stój!

Jeniec zatrzymał się i jednocześnie zatrzymała się ogniewucha. Razwijar stracił oddech. Najprościej było zejść z siodła i pójść pieszo, ale on chciał pojawić się na zamku dokładnie tak — wierzchem i z ogniewuchą u nogi.

— Poszedł — zakomenderował Razwijar głucho. — Pomału.

Jego towarzysze zostali w tyle. Po zamku rozeszła się już wieść o tym, jak zakończyło się starcie zaraz po tym, jak młodzi tragarze z osady przynieśli ciężko rannego. Strażnik na baszcie zobaczył Razwijara pierwszy. Na spotkanie wyszedł mu dziesiętnik Bran, który dopiero co wrócił z przełęczu, a z nim strażnicy i młodsza dziesiątka. Niewolnicy zostawili robotę, nadzorcy także pojawili się na wewnętrznym dziedzińcu, aby popatrzeć na niezwykle zjawisko. Z okien, z galerii, z balustrad patrzyli słudzy i kobiety.

Razwijar wyprostował się w siodle, starając się zapomnieć o bólu. Jego jeniec niżej opuścił głowę. Ogniewucha spokojnie złożyła na grzbiecie szare skrzydła, posypane popiołem jak pyłem.

Przejechał wzdłuż szeregu ciekawskich. Słyszał wstrząśnięte szepty za plecami, ludzie wytrzeszczali oczy na czworonożnego stwora i cofali się przed ogniewuchą ze wstrętem przemieszonym z przerażeniem.

Władca wyszedł na balkon. Razwijar naciągnął sznur, nakazując chimajrydowi zatrzymać się. Przed zamkiem nie było miejsca, gdzie mógłby zmieścić się lud, który wysypał się z kamiennych nor, dlatego tłum kotłował się, tłoczył, wypływając na galerie, na ściany, wdrapywał się na poprzeczki wciągarek i kołowrotów. Wokół Razwijara–jeźdźca pozostawała wolna przestrzeń, a poranne powietrze drżało, nagrzewając się, nad skrzydłami czarnej larwy.

Nastąpiła cisza; wszyscy patrzyli na Razwijara, a ten po raz pierwszy się zmieszał.

— Po co przyprowadziłeś to coś? — zapytał władca, a w jego głosie wyczuwalne było obrzydzenie.

— To jeniec...

Władca mimochodem spojrział na tłum.

— Do pracy — powiedział krótko, rzucając spojrzenie ponad głowami. Strażnicy opamiętali się, nadzorca wydał polecenia i w ciągu kilku chwil galerie i okna opustoszały.

Władca wolno zszedł na spotkanie Razwijarowi. Ten, zaciskając zęby z bólu, zsunął się z siodła. Władca długo przypatrywał się chimajrydowi, a czworonożny milczał i patrzył w ziemię.

— Niepotrzebnie — powiedział władca. — Odprowadź do potoku, rozkaż larwie zabić, a ciało zrzucić.

Razwijar szybciej poczuł, niż zobaczył, jak zamartył pokryte sierścią boki. Półczłowiek wstrzymał oddech.

— Rozkaż larwie skoczyć do potoku. Potem przyjdź do mnie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi władca odwrócił się i ruszył z powrotem do zamkowych komnat.

Razwijar szarpnął za sznur; czworonożny poszedł za nim nieoczekiwanie pokornie. Jego łapy zostawiały w pyle okrągłe, niezwykle ślady.

Mijali składy, kamienne budynki, gdzie zazwyczaj rozładowywano karawany. Nikt nie śmiał iść za nimi. Zeszli po wąskiej ścieżce, a raczej Razwijar zszedł, ogniewucha po prostu zleciała, a chimajryd szedł obok ścieżki i wstrząsające było patrzeć na to, jak lekko stąpa po stromym, osypującym się zboczu.

Zatrzymali się nad potokiem. Z kipieli sterczały czarne skały jak nierówne zęby, a woda kotłowała się między nimi i wpadała dalej w głęboki kocioł, którego powierzchnia była pokryta strzępami piany. Czworonóg patrzył na tę pianę, jakby miał nadzieję, że w jej misternym rysunku odczyta coś bardzo ważnego. Larwa, obojętna, usiadła na kamieniu kilka kroków dalej.

Razwijar obejrzał się na zamek. Stąd, z dołu, widoczne były tylko wierzchołki baszt.

Huczwała woda. Czy ogniewucha usłyszy rozkaz? Jej wszystko jedno, przecież nie ma uszu, wypełnia wolę, a nie słowa...

Czworonóg odwrócił z lekka głowę. Razwijar zobaczył jego ucho przykryte zlepionymi strąkami włosów, wklęsłą szczękę i koniuszek zadartego nosa. Milczał i nie wydawał rozkazu. Mijał czas, władca czekał. Białe strzępki piany krążyły nad kamieniami w potoku.

Razwijar milczał. Ogniewucha siedziała złożywszy skrzydła.

Czworonóg odwrócił się gwałtownie, jakby podjął decyzję. Popatrzył Razwijarowi w oczy i od razu spuścił wzrok, jakby się sparzył.

Popatrzył jeszcze raz — ze strachem, nie wierząc. Zerknął na ogniewuchę i ponownie na Razwijara. Pod stopami ryczała woda.

Chimajryd otworzył usta, nabrał powietrza, drgnęły nagie ramiona. Zerwawszy się z miejsca, półczłowiek jednym skokiem przeskoczył na najbliższy czarny kamień. Razwijar widział, jak jego łapy rozjeżdżają się na mokrej powierzchni. Chimajryd skoczył jeszcze i jeszcze, poślizgnął się, i Razwijar pomyślał, że to już koniec, ale czworonożny wdrapał się na skałę, balansując mokrym ogonem i łapiąc równowagę, jeszcze jeden skok. Chimajryd przeprawił się przez potok po wierzchołkach mokrych kamieni. Dokonał tego, czego nie byłby w stanie zrobić żaden człowiek, a zapewne i nie każdy czworonożny.

Wyskoczył na przeciwległy brzeg potoku — tam, gdzie stromo załamywała się ściana wąwozu. I wyrwał do góry po zarośniętych ścieżkach. Odwrócił się tylko jeden raz, rzucając szybkie spojrzenie przez ramię.

Ogniewucha siedziała obojętna. Razwijar przełknął ślinę; władza jego miała trwać przez trzy dni i dwie noce, ale rana nagle otworzyła się i po rękawie na ziemię znowu spłynęła krew.

— Idź do wody — rozkazał Razwijar ogniewusze.

W czasie drogi powrotnej na górę stracił przytomność.

* * *

— Dobrze się spisałeś, mały Heksie — powiedział władca.

Razwijar stał przed nim, chwając się. Przeleżał tydzień, kilka razy odwiedził go dziesiętnik Bran, wypytując o szczegóły nocnej walki, poza tym zachowywał dystans. Potem w bezsenną noc, Razwijar zrozumiał; dziesiętnik Bran służył w zamku wiele lat, wychowywał i szkolił strażników i żołnierzy, a jemu nigdy nie powierzono, nigdy nie pozwolono na rozbicie skorupy ogniewuszego jaja. Poza tym, unicestwienie wroga pomocą posłusznego potwora zdawało mu się szyderstwem ze sztuki wojennej.

— Dobrze się spisałeś, chociaż nie bez zarzutu — powiedział Władca. — Możesz usiąść.

Razwijar usiadł na drewnianym taborecie. Nogi nie chciały go utrzymać. Przecenił swoje siły.

— Masz prawo oczekiwać nagrody — obwieścił władca. Mów, czego chcesz.

— Niczego nie potrzebuję — powiedział Razwijar. — Wszystko mam.

Władca sceptycznie zacisnęła naznaczone szramą wargi. Razwijar nie odwracał wzroku — patrzył prosto.

— Cóż — cicho zaczął władca — nie chciała z tobą uciec?

Razwijar wzdrygnął się. Władca uśmiechnął się:

— Uznałeś, że jest taka jak wszystkie, dlatego by więc nie wykorzystywać jej, jak wszyscy strażnicy wykorzystują pozostałe kobiety od wieczornego do porannego dzwonu. To zrozumiałe, przecież nie spędziła samotnie ani jednej nocy, kiedy ty leżałeś ranny.

Razwijar nerwowo przełknął ślinę.

— Pytałeś, dlaczego ci ufam... Dlatego, że widzę ciebie na wskroś, maleńki Heksie.

— Jesteś magiem? — wyrwało się Razwijarowi.

— Nie. Niestety. Ale ten zamek jest zbudowany przez maga i mag go chroni.

— Kto to? — Razwijar nie mógł wytrzymać. — Gdzie on jest?

— Chodźmy — władca podniósł się. — Jeśli jesteś w stanie przebierać nogami. Pokażę ci, to niedaleko.

* * *

Drewniana platforma, podwieszona na czterech linach, opuszczała się coraz głębiej w studnię. Władca trzymał latarenkę, w górę pełzły kamienne ściany ze śladami zębów skalnych robaków.

— Skalniaków było dużo... Na początku siedem, potem przywołał jeszcze jednego i było ich osiem. Skalne robaki zawsze są głodne i trzeba wysokich umiejętności maga, by zmusić je do wygryzania ścian, okien, otworów drzwiowych, ponieważ w nienasyceniu swym połykają od razu cały kamień, do którego mają dostęp. Ale oprócz robaków pracowali tutaj także ludzie: kamieniarze, snycerze, rzeźbiarze, jeszcze nie widziałeś nawet jednej trzeciej pomieszczeń zamku... A teraz schodzimy do korzenia, tak on nazywał ten szyb. Jeśli zaczniesz się dusić, to powiedz.

Platforma zakołysała się. Razwijar ledwie utrzymał się na nogach; władca podtrzymał go za łokieć.

Powiało zatechłym wiatrem. Platforma zwolniła swój bieg. Prosto przed Razwijarem pojawił się, jakby wypęłzył skądś z dołu i zatrzymał się, czarny otwór w ścianie.

— Wejdziemy tam? — Razwijar z trudem przełknął ślinę.

Władca odwrócił pokrytą bliznami twarz.

— Boisz się?

— Tak — powiedział Razwijar.

Władca milczał.

— W takim razie wrócimy. Chciałem, żebyś go zobaczył... Ale jeśli jest to dla ciebie za trudne, to wrócimy.

Razwijar ciężko oddychał. Potężna bryła zamku i masyw skały przygniatały go. Czuł ucisk w uszach. Studnia wisiała nad głową, podziemne wiatry huczały w niej potężnym, nieludzkim basem.

— Pójdę.

— Dobrze. Trzymaj się za mną, jeśli trudno ci iść... maleńki Heksie.

W prostym i wąskim korytarzu dźwięk zachowywał się dziwnie, słysząc go bowiem było zewsząd, co tym bardziej potęgowało uczucie zaszczucia. Kamienie nad głową Razwijara dyszały echem jego oddechu; chrapliwie, niczym dziki zwierz, który dopadł ofiarę. Ogień lampki oświetlał podłogę i ściany, po których spływały krople wody — skalnego potu. Płomień niekiedy odbijał się w kałużach, ale przed nimi, jak przedtem, była nieprzenikniona czerń, jakby światło latarenki bało się wyprzedzić idących choćby o kilka kroków. Obezwładniający strach przed zamkniętą przestrzenią, wcześniej niepojęty dla Razwijara, teraz doprowadzał go do szaleństwa. Tylko ambicja powstrzymywała go, by nie zacząć krzyczeć i nie rzucić się wstecz do wyjścia, rozbijając się o ściany w ślad za własnym krzykiem.

Zaczął myśleć o morzu, jakie jest bezkresne. O górach, jak niedosiężne są ich szczyty. O lesie, w którym można chodzić, gdzie tylko się zechce. Wyobraził sobie, jak wchodzi gdzieś stopień po stopniu po wysokich, szerokich schodach i zrobiło mu się trochę lepiej.

Nie wiadomo, ile minęło czasu, kiedy ręka władcy mocniej ścisnęła jego łokieć:

— Patrz.

Dźwięki rozsypały się, utonęły w pustce. Ostro rozstały się ściany. Razwijar i jego potężny przewodnik znaleźli się w podziemnej sali, pustej i okrągłej. Pośrodku, na kwadratowym kamiennym katafalku, leżały zwłoki człowieka... Nie. Zwłoki chimajryda.

Władca postawił lampkę u jego wezgłowia. Nieboszczyk leżał tu od dawna. Odzież — szyty złotymi nićmi mundur — na ludzkich ramionach była już na wpół zetłała. Ale sam trup zachował się niemal niepodległy rozkładowi; obciążone cienką skórą smagłe oblicze, głęboko zapadnięte, szczelnie zamknięte oczy. Martwy spoczywał na boku w pozycji śpiącego, z podciągniętymi pod

siebie szerokimi, pazurzastymi łapami i rękami złożonymi na piersi. Na prawej dłoni, na wskazującym palcu jaśniał w świetle latarenki pierścień z wielkim turkusowym kamieniem.

Stali w milczeniu. Płomień lampki także znieruchomiał. Nie było tutaj przewiewu i Razwijar nagle pojął, że zaczyna się dusić.

— Wychodzimy — powiedział władca. I prawie na rękach wyciągnął Razwijara z sali z powrotem do ciasnego korytarza, gdzie, co dziwne, powietrze było bardziej świeże i można było swobodnie oddychać.

— Kto to jest? — Razwijar oparł się o ścianę.

— To ten, który zbudował zamek.

— Jest magiem?

— Tak. Magowie rodzą się wszędzie tam, gdzie w domu jest palenisko, piec...

— Tak, ale on...

— Tak. Gdybyś ty wiedział, jak on nienawidził swoich współplemieńców. To oni go zabili... Nie chcę teraz o tym mówić. Był moim przyjacielem. Dopóki jego ciało spoczywa tutaj, u podnóża zamku, zamek jest niepokonany.

— Zabili maga?! Jak można zabić maga, przecież... „może latać bez skrzydeł i rozkazywać kamieniom, może zabijać ogniem albo leczyć śmiertelnie chorych, ale głównym jego posłannictwem...”.

Razwijar ugryzł się w język.

— Idziemy — władca pomógł Razwijarowi oderwać się od zimnej ściany. — Idziemy... Czy ty pamiętasz każdy wers ze wszystkiego, co kiedykolwiek przepisywałeś?

— Tak.

— Interesujące... Podejrzywałem coś w tym rodzaju... Maga można zabić, oczywiście, jeśli strzelisz z dalekosiężnego łuku, a mag w tym czasie będzie zajęty czymś innym i strzała wbije mu się w plecy, przesyje serce... Wtedy mag umrze najszybciej. W imperatorskim pałacu, w grobowcu dziesiątkami, setkami wręcz, leżą martwi magowie i tylko niewielu z nich umarło naturalną śmiercią. Ale powiadają, że dopóki oni tam spoczywają, Imperium jest niepokonane.

Wyszli z korytarza na platformę. Władca z wysiłkiem pociągnął za sznur. Czekali kilka strasznych chwil, a potem rampa drgnęła i ruszyła w górę.

Razwijar upadł na kolana. Władca pomógł mu wstać.

— Co przepisywałeś dla poprzedniego pana? Zapewne wszelakie bzdury?

— „Przygody faworyty”, „Pouczające opowiadania o ludziach, zwierzętach i pozostałych stworzeniach”, „Wyprawę na Osi Nos”, ale nie do końca i jeszcze wiele ksiąg...

— Przypomnij sobie wszystkie i zapisz tytuły — powiedział władca. — Zrób to dzisiaj, a jutro wracasz do służby. Sądzę, że dziesiętnik Bran każe ci słono zapłacić za twoje pierwsze zwycięstwo.

* * *

Okazało się, że władca miał rację. Dziesiętnik Bran miał gdzieś, że Razwijar jest chory i słaby. Dziesiętnik Bran nie miał poważania dla dzielności młodego strażnika. Status Razwijara w zespole znacznie się pogorszył. Bran zlecał mu najbardziej nudne, ciężkie i poślednie prace, równocześnie zdegradował go z ulubionego ucznia do nieledwie sługi.

Razwijar nie narzekał. Wieczorem padał na siennik i zasypiał. W tym czasie pozostali, przekomarzając się, szli „do ptasznika”, gdzie czekała na gości Dżal ze swoim niezmiennym, pełnym nieśmiałości uśmiechem. Starsza służąca stawiała nacięcie obok jej imienia na drewnianej tabliczce. Wpadało nie więcej niż jedno nacięcie za noc i nie mniej niż jedno za trzy

noce — tak objaśniał to Razwijarowi Tari–Koło, gaduła, który stał się jeszcze bardziej rozmowny po wydarzeniu podczas ostatniego patrolu; trzech zabito, ocalał tylko Tari–Koło i Krzywulec.

Strażnicy, w przeciwieństwie do dziesiątnika, nabrali do Razwijara szacunku.

Krzywulec, który wcześniej nie przepuścił okazji, żeby zrobić mu coś na przekór, teraz przynosił mleko z kuchni, nalewał Razwijarowi do kubka i prosił, żeby opowiedział „jak to wszystko było”. Razwijar opowiadał, nie upiększając ani o pół słowa.

— Z której strony najpierw uderzył?

— Z prawej. Obszedł mnie z lewej strony.

— Wstrzymałeś go?

— Tylko tyle go utrzymałem, żeby uniknąć ostrza. Zresztą, kto go utrzyma, łatwiej zamek na rękach podnieść...

— Tak — oczy Krzywulca zasnuwały się mgłą. — Oni... Tak sobie myślę, gdybyśmy z Tarim nie rzucili się do ucieczki co sił w nogach, może oni by naszych chłopców nie porąbali? Może my ich... niepotrzebnie tak, jak myślisz, mały?

— Porąbaliby wszystkich — szczerze odpowiedział Razwijar. — I mnie by też porąbali, gdyby nie ogniewucha. To niehonorowo. Te stwory napadają w dwóch na jednego, w czterech, w sześciu na jednego.

— Niehonorowo — mówił Krzywulec, a twarz jego rozjaśniała się za każdym razem.

Krzywulca, w przeciwieństwie do gaduły Tarięgo, gryzło sumienie. Razwijar pomniejszał ciężar jego decyzji i mówił z czystego serca. Krzywulec czuł to i nawet zaczął stawać w obronie „małego” przed Branem.

Tydzień za tygodniem Razwijar dyżurował podczas nocnej straży, czyścił wychodki, biegał z nieistotnymi poleceniami — wszystko w milczeniu, nie wykazując niezadowolenia. Kiedy zdarzała się wolna chwila, brał arbalet i szedł na strzelnicę trenować. Codzienne „mechaniczne” życie straciło znaczenie; Razwijar jakby wrócił do tych czasów, kiedy od rana do nocy dźwigał kamienie, woził taczki albo kręcił swój kołowrót. Wtedy jego świadomość odlatywała, nie dbając o zamknięte w niewoli ciało i chodziła po lesie z dziecięcych wspomnień.

Teraz w umyśle Razwijara pojawiło się wiele nowych tematów do rozmyślań. Pod zamkiem, w głębokim szybie leżało ciało chimajryda — będącego za życia magiem — i obecnie jego truchło chroniło zamek.

Razwijar widział oczami wyobraźni skalniaki, zaprzęgnięte magiczną wolą czworonożnej istoty w złotym mundurze. Widział, jak gryzą kamień budując w głębi skał sale i korytarze, komnaty, schody i szyby dla dźwigów. Widział, jak mag chimajryd podnosi ręce i na wskazującym palcu lśni turkusowy kamień, jak wylatuje strzała z dalekosiężnego łuku i przebija czarownikowi serce.

Gdzie był władca, kiedy zabili maga? Czy pomścił przyjaciela? A jeśli pomścił, to w jaki sposób? I najważniejsze — po co pokazał Razwijarowi nieboszczyka spoczywającego pod górą? On, który widzi na wskroś nie tylko „maleńkiego Heksa”, ale i dziesiątnika Brana i, prawdopodobnie, każdego człowieka w zamku?

Zmęczone ręce drżały, trzymając wzniesiony arbalet. Razwijar celował i strzelał, i znowu strzelał, i znowu. Potem brał łuk — najcięższy, jaki tylko znajdował się w zbrojowni i, odchodząc w daleki koniec korytarza, strzelał w półmroku do ledwie widocznej tarczy.

Pewnego razu strzała zachrobotała po suficie i Razwijar poczuł się nagle całkowicie bezradny; zamknięty w korytarzu z dalekosiężnym łukiem jak poczwarka ogniewuchy w jaju. W kamiennej szczelinie „poprawka na wiatr”, jakież bezsensowne słowa. Tutaj nie ma miejsca, żeby naciągnąć piękny, płynnie wygięty łuk, którego przedłużeniem powinna się stać lecąca strzała.

Przeszkadzały ściany, dławił sufit, męczyła ciemność. Razwijar zapragnął wolności — ale nie takiej, kiedy można iść na wszystkie cztery strony świata.

Wolności myślenia. Splatania całości z części. Widzenia ludzi na wskroś, umiejętności przewidywania cudzych działań, rozumienia magów w całej ich niepojętości. Chciał tego o wiele silniej, niż — całkiem jeszcze niedawno — pragnął dziewczyny o imieniu Dżal.

I, uginając się pod ciężarem własnej niedoskonałości, Razwijar rzucił łuk i zapłakał. Na szczęście nikt go nie widział.

A potem — po kilku minutach — dławiące uczucie minęło. Razwijar zdziwił się: co mu się stało, skąd przyszła ta dziwna tęsknota? Może to wspomnienie o przytłaczających ścianach, tam, w dole, gdzie leży martwy chimajryd, wielki mag?

Podniósł łuk i kontynuował ćwiczenia. Po godzinie zastał go przy tym zajęciu dziesiętnik Bran. Postął za plecami, posapał, potem zdecydowanie podszedł i klnąc, zaczął poprawiać uchwyt na cięciwie, ustawienie nóg, zwrócenie głowy i Razwijar zrozumiał, że mu wybaczył.

* * *

Dżal odstępiała od ściany i stanęła przed nim, kiedy on ledwie żywy powłóczył nogami po wieczornym obchodzie.

Miała na sobie tę samą żółtą sukienkę z wiązaniami na szyi.

Nic nie mówiła. Po prostu stała, zagradzając przejście i wcale się nie uśmiechała.

— Dlaczego tu stoisz? — zapytał Razwijar. — Przecież był już dzwon?

Przycisnęła do zapadniętych policzków zaciśnięte pięści.

Patrzyła na niego i milczała.

— Co tobie? — cicho zapytała Razwijar.

— Czekałam na ciebie — powiedziała Dżal. — Myślałam, że przyjdiesz. Pytałam... Myślałam, że cię zabili...

— Jeszcze — czuł narastające coraz bardziej w sobie skrępowanie — nie zabili. Poturbowali.

— Jak cię zwa? — zapytała Dżal.

— Co?!

— Jak cię zwa? Każdy woła cię inaczej, to „mały”, to „Heks”, to „pupilek”... Nawet nie powiedziałaś mi... swojego imienia.

— Po co ci ono? — zapytał Razwijar po bardzo długiej pauzie.

Dziewczyna opuściła ręce.

— Po prostu, żeby wiedzieć.

— Razwijar. Tak mnie zwa — powiedział wolno.

Uśmiechnęła się, ale nie tak jak zazwyczaj nieśmiało, tylko szczerze, niemal radośnie:

— Piękne imię. Teraz będę cię tak nazywać. Kiedy będę o tobie myśleć.

— A po co o mnie myśleć?

Rozumiał, że gada głupoty, ale nic nie mógł na to poradzić.

— Więcej nie przyjdiesz? — cicho zapytała Dżal.

— Nie wiem.

— Razwijar... Ucieknijmy?

— Wybacz. Teraz nie czas.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale milczała i wciąż patrzyła na niego. Pod tym spojrzeniem przypomniał sobie skazanego chimajryda. Tamten także chciał coś powiedzieć i rozumiał, że to nie ma sensu i czuł, jak uciekają ostatnie chwile.

— Tak, Dżal?

Wciąż się uśmiechała.

* * *

Nie mógł zasnąć pomimo zmęczenia. Wiercił się, chodził pić wodę, długo stał na korytarzu, potem siedział, opierając się plecami o ścianę. Zrywał się, żeby iść „do ptasznika”. Zawracał. Słyszał chrapanie śpiących strażników. Drzemał i budził się. Majaczyła mu subtelna postać w żółtej sukni.

Na drugi dzień zobaczył ją. Dżal zamiatała korytarze szorstką miotełką z piór i nie zauważyła Razwijara.

* * *

— Mam dla ciebie pracę, maleńki Heksie.

Władca przyjmował Razwijara w pomieszczeniu, w którym ten nigdy wcześniej nie był. W baszcie, bardzo wysoko nad wąwozem rósł obfity sad, a wijące się rośliny oplatały swoimi pędami ściany, kraty w oknach i ażurowy dach w kształcie kopuły. Wdychając zapach liści i kwiatów, wilgotnej ziemi, zieleni, Razwijar przypomniał sobie las swojego dzieciństwa.

— Znowu mam kogoś zabić?

Władca roześmiał się. Nawet jego oczy, wcześniej patrzące na wskroś Razwijara, zmieniły wyraz i, zdaje się, poweselały.

— Tym razem — nie. Wiesz, że w Fier jest tajemna biblioteka?

— Tajemna?

— Tak, Paznokiec, zarządca miejskiego rynku niewolników, ubóstwia unikatowe przedmioty i księgi. Dla niego przywożą je z całego Imperium, ryzykując życiem, a on kupuje je za duże pieniądze. Nie tylko „Faworyty” i „Wyprawy”, chociaż takie także. Kilka dni temu przywieziono mu „Kroniki chimajrydów”, napisane przez pewnego mierniczego dwadzieścia lat temu. Oddałem Paznokciowi statek za prawo do jej przepisania.

— Statek?!

— Jeden z moich żaglowców w porcie Fier.

— A co w niej jest takiego, w tej książce? — z zakłopotaniem zapytał Razwijar. Wyobraził sobie „Skrzydłaka” z jego trzema masztami, kajutami i ładownią, z rzeźbionymi drewnianymi słupkami, podtrzymującymi wiatę. Okręt z całą załogą i kapitanem. Posiadać takie чудо i oddać je za księgę?!

— Wiele — władca zatrzymał się przy oknie oplecionym jaskrawozieloną lianą z białymi kwiatami. — Potrzebna mi ta księga jak najszybciej. Kroniki, komentarze, słowniki, genealogie, imiona bogów, tradycje klanów, życiorysy wodzów i bohaterów. Wszystko przepiszesz dokładnie, każda kreseczka może mieć znaczenie.

— Przywiozą ją tutaj?

— Nie. Paznokiec nie wypuszcza z rąk niczego, co już raz udało mu się zagrabić. Pojedziesz do Fier. Dzisiaj, od razu. Pojedzie z tobą chroniący cię towarzysz. Wpuszczą cię do skarbcza, przepiszesz księgę i wrócisz z kopią. Dwa dni na drogę w jedną stronę... Trzy dni na pracę. Za siedem dni położysz kopię przede mną na stole, maleńki Heksie, a wtedy nagrodzę cię jak należy.

— Władco — powiedział Razwijar, przypominając sobie, jak długo ciągnęła się po górach karawana niewolników. — Dwa dni na drogę w jedną stronę... nieprawdopodobnie mało.

— Nie pójdiesz piechotą przez przełęcz. Wyruszysz z Kipieli przez tunel, ponieważ zależy mi na czasie, a nie na oszczędnym bilansie wyprawy. Czystą oprawę kupisz w Fier, tam jest doskonały sklepik na bazarze. Jedź, kup wcześniej wodę i weź ją ze sobą do skarbcza, ponieważ przez trzy dni cię stamtąd nie wypuszczą. Trzymaj.

Na rzeźbiony stolik upadł mieszek ze skóry przyślepki, okazałych rozmiarów, ciężki. Razwijar zerknął na niego ze strachem.

— O co chodzi? — władca skrzywił przecięte szramą wargi.

— Władco... nie potrzebuję ochrony, sam sobie poradzę. Potrzebny mi człowiek, który... wie, gdzie należy wsiąść na podziemną furmankę i gdzie kupić papier w Fier, i jak znaleźć bibliotekę tego Paznokcia. Dlatego, że ja...

Razwijar zaciął się. Jestem bezradnym niewolnikiem, chciał powiedzieć. Nigdy w życiu nie miał okazji podróżować samodzielnie i to jeszcze z pieniędzmi. Mógłby napaść na Kipiel, osadę przy ciepłym jeziorze, w pełnym rynsztunku, z orężem, ale pojawić się jak wędrowiec i zapytać oberżysty o drogę do tunelu...

— Nie marudź — sucho powiedział władca. — Zaopatrzę cię w list polecający, z nim będą cię przyjmować jak członka rodziny. Pójdzie z tobą... ten, którego sam wybierzesz ze strażników albo spośród sług. Ale w bibliotece pojawisz się już bez broni, co to za kopista z mieczami.

Razwijar wziął do rąk mieszek z pieniędzmi. Ciężko przetoczyły się monety pod miękką, doskonale wyprawioną skórą.

— Władco... wysyłasz mnie do Fier z pieniędzmi? Mnie?

Władca zerwał z liany biały kwiat. Przyłożył do nosa, uśmiechnął się:

— Szuu, nie czuję zapachów, od dawna... Tak, maleńki Heksie, wiem, co robisz. Zbieraj się, szybciej. Chcę, żebyś za pół godziny był w drodze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Razwijar bywał na przełęczy z patrolem. Idąc po znajomej drodze, nie wierzył, że odchodzi z zamku. Wkroczyli na przełęcz. Minęli basztę z posterunkiem. Na wysokim drażu wisiał ogon chimajryda; wyschnięty, wyliniały, wywieszony dla zabawy i dla postrachu. Wokoło, gdzie tylko wzrok sięgał, ciągnęły się grzbiety górskie; zielone, błękitne, żółte, porośnięte trawą i spowite mgłą, z białymi kamienistymi stokami oplecionymi nitkami wodospadów.

— Schodźcie — powiedział Tari-Koło, stojący na czele patrolu. — Droga stąd czysta aż do Kipieli, będziemy osłaniać.

Razwijar uściśnął mu dłoń i, nie oglądając się, ruszył drogą w dół. Horyzont drgnął i zaczął się zwięzać; obok, ledwie nadążając, prawie biegł stary Szlop, zamkowy intendent, którego Razwijar siłą wyrwał z codziennej, wygodnej rutyny.

Intendent wiele razy bywał i w Fier, i w okolicznych osadach. Umiał targować się na bazarze i znał wszystkie zajazdy. Dzień wcześniej wrócił z handlowego rejsu, przyprowadził do zamku karawanę z dobrym drzewem i stalowymi posążkami bóstw, i na tym zamierzał poprzestać. Zając miejsce intendenta, spędzać dni w spokoju pod dachem, a noce pod pierzyną ze słodką służącą, ale jego pragnieniom nie było sądzone się spełnić. Razwijar powiedział, że nie chce za towarzysza nikogo poza Szlopem i ten zmuszony był podporządkować się rozkazowi władcy.

— No, czekaj — burczał pod nosem bez ustanku, od samych bram zamku. — W wygrzebanej jamie będziesz mieszkał i tam też się żywił. Pajaki krwio pijcy będą się tobą karmić, drapać się będziesz, cały pokryjesz się wrzodami. Patrzcie go, jaki szybki, zaczekaj. Niańka ci była potrzebna w drodze? No to będzie.

Razwijar nie słuchał. W wewnętrznej kieszeni kurtki miał list polecający, pas obciążał miszkami z pieniędzmi. Kroczył, sam sobie panem, po tej samej drodze, którą całkiem niedawno przyszedł w szeregu niewolników, zakupionych przez tego samego Szlopa, młodszego intendenta, dla pańskiej potrzeby.

Dziewięciu pozostałych do tej pory kręci swój kołowrót. Ktoś został we Wschodniej Ciemnicy, a komuś się nie powiodło i nocuje w Zachodniej. Tam duszno latem i chłodno zimą. Tak mówią.

Z prawej strony drogi zaszeleściły krzaki. Razwijar chwycił za rękojeść miecza. Zatrzęsły się gałązki, z kolczastych zarośli wyleciał czerkun i, poświstując skrzydłami, wzbił się w niebo. Razwijar dopiero teraz zauważył, że Szlop już nie mamrocze, grożąc i wyrzekając, a idzie w milczeniu, czujnie rozglądając się na boki.

— Tari powiedział, że droga jest czysta — przypomniał Razwijar.

— Wiele on tam pojmuje, Koło rozpaplane — Szlop czujnie popatrzył w tył. — Rok temu w tym samym miejscu ostrzelali karawanę. Parszywe miejsce. Panoszą się tutaj jak u siebie w domu.

Razwijar uśmiechnął się. Wolność wstępowała w niego jak armia do zdobytego miasta, jak ciepłe powietrze obłoczkiem we wznoszący się balon. Zdawało się, że jeszcze trochę, a wzniesie się przepelniony tą wolnością i wzięci nad zębatymi wierzchołkami skał.

O zmierzchu byli w Kipieli — maleńkiej osadzie nad brzegiem ciepłego jeziora. Nad wodą unosiła się para. Pensjonaty rozlokowane były wzdłuż brzegu, na pomostach wypoczywali goście, głównie starcy, owinięci białymi płaszczami kąpielowymi. Pili z wysokich szklanek i moczyli nogi w gorącej wodzie jeziora.

— Zanocujemy — powiedział Szlop. — Kości pogrzeję, dla mnie to pożyteczne, a tobie niepotrzebne, więc ty ulokujesz się w „Kłębku” — to gospoda w centrum osady, a ja...

— Szlop — powiedział Razwijar, z zadowoleniem czując, że wolność napęlniająca jego ciało dotarła już do języka. — Nie będziemy tutaj nocować. Idziemy prosto do tunelu.

— Ty mi będziesz rozkazywać? — młodszy intendent aż się zakrztusił.

— Będę — Razwijar uśmiechał się, ale ton jego głosu nie był żartobliwy, lecz poważny. — A ty będziesz mnie słuchał, stary pniaku.

* * *

Szlop milczał, jakby skleły się jego cienki wargi. Milczał, kiedy Razwijar pytał przechodniów, jak dojść do tunelu, a ludzie rozbiegali się, bojąc się surowej twarzy ze złamanym nosem i miecza za pasem. Szlop milczał, kiedy Razwijar sam, bez pośredników, odszukał właściciela podziemnego zaprzęgu i zażądał ruszyć do Rer bez zbędnej zwłoki. Dopiero kiedy doszło do ustalania ceny, intendent nie wytrzymał, poczerwieniał i krzyknął:

— Trzydzieści monet?! A żebyś utknął Szuu w zadzie! język swój bezwstydnym powstrzymaj i nikomu nie pokazuj! Trzydzieści monet, kiedy wszędzie przewózka warta jest dwadzieścia!

Furman nadał się:

— A wieczorna pora?! A noc pod nosem?

Razwijar uśmiechnął się samymi kącikami ust:

— Gospodarzu, my przecież bez pieniędzy pojechać możemy. Zaraz miecz wyciągnę i powiesz za darmo.

Po tym incydencie mówili niewiele. Adhezyle z początku szły powoli i powóz na trzech żelaznych kołach toczył się ciężko po gładkiej, wyszlifowanej przysawkami podłodze. Na wzniesionym przedzie trzykółki paliła się lampka, oświetlająca okrągły tunel z szarego, błyszczącego kamienia. Razwijar znowu poczuł się źle: ściany napierały na niego, dławiły. Ogrom niewidocznej budowli, wiszącej nad głową, przytłaczał.

Furman krzyknął, poganiając adhezyle. Płaskie, z trójgraniastymi głowami, z okrągłymi przysawkami na palcach zwierzaki przyśpieszyły biegu. Te, które były zaprzęgnięte po bokach, wskoczyły na ściany i pobiegły po nich, z cmokaniem przestawiając łapy. Przód trzykółki podniósł się, lampka uchwyciła tunel z przodu; czarną, błyszczącą kiszkę, to opadającą w dół, to wznoszącą się dość stromo w górę.

— Poszły! Poszły!

Głos furmana skakał, odbijając się od ścian. Tunel wił się, obchodząc spoistą górską skałę, na ścianie z prawej strony pojawiły się czerwone żyłki, podobne w rysunku do zmasakrowanych ciał zamurowanych ludzi. Trzykółkę rzuciło na lewą ścianę, pasażerów wbiło w ławkę, a adhezyla idąca z lewej wyrwała na sufit i biegła tak dalek do góry nogami, dopóki zakręt nie został daleko w tyle.

Razwijar zacisnął zęby, żeby nie szczękały. Szlop, zakutany w pled, siedział obok milczący i zły. Intendent byłby szczęśliwy widząc Razwijara przerażonym jak małe dziecko. Nie można było dać mu tej satysfakcji.

— A jeśli z naprzeciwka już ktoś jedzie? — zapytał Razwijar, kiedy milczenie stało się nie do zniesienia.

— Zderzymy się — ponuro obwieścił furman. Potem z ukosa popatrzył na Razwijara. — Ale nie bójcie się. W Fier jest teraz mój brat, poza nim nikt nie może jechać z naprzeciwka, a wieczorem on siedzi w oberży... Kto by zapłacił trzy razy więcej niż zwykle. Więc, oczywiście... Któż by mu zapłacił? Jooo! Gnajcie, rzepy zaspane!

* * *

Przenocowali w przydrożnej oberży, oczekującej na podróżników po tej stronie tunelu. Tam też furman znalazł swojego brata pijanego w sztok i śpiącego w objęciach adhezyli. W porcie Fier do rana nie należało pokazywać nosa, tak zgodnym głosem twierdzili i Szlop, i oberżysta, ale Razwijar sam też rozumiał, że jego wolność i dwa miecze mało są warte w obliczu ustanowionych przez wieki tradycji zbójnickiego portu. Fier miało dwa oblicza; nocne i dzienne, i każdy z jego mieszkańców miał dwa oblicza. Wieczorem strażnicy, służący naczelnikowi miasta, odchodzili z miasta, a rano wracali, żeby obchodzić ulice i zabrać trzy, cztery trupy — niekiedy ze śladami tortur na ciele.

Zapach w mieście Fier przypomniał Razwijarowi jeden z najsmutniejszych dni jego życia — dzień, kiedy sprzedali go na tutejszym bazarze. Jego wewnętrzna wolność ukryła się, jakby zamrożona, za to intendent ożywił się jak ryba w świeżej wodzie. Skrępowanie Razwijara dostarczało mu niemałej satysfakcji; nie dochodząc do portu, Szlop skrzył w wąską, ale czystą uliczkę i w ciągu kilku minut doprowadził towarzysza do „lepszej jadłodajni miasta” — miejsca naprawdę godnego uwagi.

— A niechbym zostawił cię, głuptaka, na środku ulicy i dnia nawet nie przeżyjesz. — Szlop obgryzał ptasią kostkę, siedząc na tarasie z widokiem na dalekie żaglowce.

— Pewnie tak — zgodził się Razwijar. Morze przyciągało go; gdzieś tam, w porcie, mógł stać „Skrzydłak”. A może i „Łuska”.

— No i po co się ze mną kłóciłeś? — Szlop uniósł brwi. — Pomyśl, po co?

— Nie kłóciłem się — Razwijar grzebał łyżką w talerzu z polewką. — A że bez twojego doświadczenia będzie mi ciężko... to i dlatego cię ze sobą zabrałem.

— Szczeniak — powiedział Szlop z nieodgadnioną intencją. — Zupełnie nie wiem, za co władca cię tak hołubi, mięso ty bazarowe.

— Za „mięso” gardło poderżnę — beznamietnie, powoli rzekł Razwijar. Szlop napotkał jego spojrzenie i nerwowo się uśmiechnął.

— Dobrze... Do biblioteki cię zaprowadzę, a z powrotem sam drogę zapamiętaj. Tutaj, rano trzeciego dnia, będę na ciebie czekał. Poczekam do wieczora, a potem...

— Wrócisz do zamku beze mnie? — zapytał Razwijar.

Szlop z rozdrażnieniem odepchnął pusty talerz.

* * *

Biblioteka znajdowała się w porcie, w kwartale ze składem drewna, alkoholu, skór, żywności i tkanin. Szlop kroczył po nabrzeżu dumnie i niespiesznie jak stary mieszczanin. Razwijar szedł w ślad za nim, trzymając jedną rękę na rękojeści, a drugą na mieczu.

— Daj kalece! Daj!

Głos nie był ludzki. Razwijar wzdrygnął się, odwrócił głowę i zobaczył żebraka z gadającym ptakiem na ramieniu. Ptak, obojętny na wszystko, powtarzał wyuczone słowa; skrzydła miał podcięte, na nodze łańcuszek. Żebrak siedział, patrząc w dół, prawie tak samo obojętny jak ptak, ale Razwijar go poznał: to był wioślarz z „Łuski”, jeszcze niedawno młody i gadatliwy, a teraz pomarszczony, o poszarzałej twarzy, z gnijącą raną na głowie.

— Ej... Haczyk?

Szlop, odwrócił się i zaklął. Nie zwracając na niego uwagi Razwijar, pochylił się ku siedzącemu; ten podniósł oczy, ale nie poznał dawnego podrostopka, wiosłarza, z którym kiedyś siedział razem na ławce.

— Haczyk! — Razwijar był coraz bardziej przerażony, zaglądając w jego mętne oczy. To ja, Razwijar... Heks, pamiętasz?

Żebrek milczał.

— Gdzie Arwi i Lu? Gdzie „Łuska”?

— Patrol zabrał — powiedział żebrak z widocznym wysiłkiem. — Jako dowód rzeczowy. Wszystkich potopili. Moje szczęście, że mnie wcześniej bentalski smok poturbował — i zgarbiwszy się, znowu zaczął wpatrywać się w kikuty swoich nóg wystające spod lnianych nogawek.

* * *

Wejście do biblioteki przypominało wrota do ładowni, ileż tu rygli, zamków, żelaznych łańcuchów i zatrasków. Razwijar z żalem oddał oba miecze Szlopowi, załadował na ramię teczkę z piśmiennymi przyborami i zapasem jedzenia na trzy dni.

Wpuścili go. Dwóch ochroniarzy przejrzało teczkę, obwąchało kielbasę i ser, rozłamali piętke chleba, spróbowali wody z menażki. Potem poprowadzili go nowym, wąskim i ciemnym korytarzem; Razwijar poczuł chłód w żołądku. Czy naprawdę całe życie będzie się męczył, wchodząc do ciasnych pomieszczeń?

W kwadratowej salce, suchej i wymiecionej do czysta, spotkał się z nim człowiek w czarnym odzieniu do kostek; wysoki, smagły, o wystających kościach policzkowych. Jego podłużna czaszka była wygolona, a nad ciemną skórą krótką szczecinę podnosił się złoty zarost.

Razwijarowi zamarło serce. Bibliotekarz był urodzony w Mirlic, był Złotym i przed jego obliczem Razwijar poczuł się jak miernota, jak wtedy na statku, chwilę przed tym, jak wrzucili go do wody.

Ze sceptycznie zaciśniętymi wargami Złoty badał jego list uwierzytelniający; Razwijar przypomniał sobie władcę. Transakcja została zawarta, prawo Razwijara do przebywania w tym miejscu zostało potwierdzone i Złociszek, nadęty niczym balon poczuciem własnej ważności, nie może przegnać go tylko dlatego, że Razwijar jest Heksem.

Bibliotekarz odłożył papier. Jego jasnobrązowe, bardzo badawcze oczy wbiły się w gościa drapieżnie i wesoło.

— A więc, niejaki Razwijar — śpiewnie przeciągnął Złoty, nie kryjąc drwiny — Zakazanych przedmiotów nie masz?

— Jedzenie nie jest zakazane? — Razwijar rzucił swoją teczkę na stół przed bibliotekarzem. — Atrament? Pióra?

— Odpowiadamy pytaniem na pytanie — Złoty zmarszczył brwi, jego brązowe oczy przybrały barwę miodu. — Atrament i pióra dam ci swoje, te zostaw. A jedzenie pokazuj.

Zawartość teczki znowu została wyciągnięta i przejrzana. Bibliotekarz nucił pod nosem, dokładnie oglądając gomółkę sera, którą młodszy intendent Szlop kupił na bazarze po bardzo korzystnej cenie.

— Ser zjesz najpierw, ponieważ zatechnie w ciągu paru godzin. W komnacie dla przepisywaczy jest wychodek, dokładniej mówiąc wiadro, tak że...

Szydził. Razwijar ostrożnie przesunął dłonią po tym miejscu na pasie, gdzie wcześniej była pochwa.

— Z komnaty nie wychodź, cokolwiek by się działo — kontynuował bibliotekarz, jakby nie zauważył tego gestu.

— Zabiję. Jasne?

— A jeśli będzie pożar?

— Wtedy się spalisz — bibliotekarz beztrąsko się uśmiechnął. — Tutaj, mój miły, panują surowe prawa. „One stoją w milczeniu i nie zmuszaj ich do mowy, ponieważ pośród próżnego gadania i słodkich słówek, wypowiedzą słowo, przez które stracisz spokój...”

— „I umrzesz, kiedy zobaczysz siebie, zamkniętego w skorupie swoich ograniczeń, bezwolnego, tracącego życie” podjął Razwijar, jeszcze nie przypominając sobie, z jakiej to książki, ale już widząc ciąg dalszy na karcie. — „Dlatego niech stoją na półkach, zaciskając stronicę jak szczęki”.

Bibliotekarz zmarszczył czoło. Obrzucił Razwijara badawczym spojrzeniem od stóp do głów.

— A wiesz — powiedział po chwili namysłu — twoje imię powinno brzmieć jak „Rjezwi-arr”. Biorąc pod uwagę osobliwości wymowy Heksów.

* * *

Razwijar oczekiwał, że zobaczy półki, regały, zamknięte drzwi szaf albo coś w tym stylu — jednak to, co ukazało się przed nim, kiedy bibliotekarz wpuścił go do skarbcza, zaskoczyło go zupełnie. Płachty, napięte, mocne i gęste, przypominały żagle, w rzeczywistości zaś były to pajęczyny. Ciągnęły się jak zasłony od podłogi do sufitu i niczym pokrowce, otaczały każdą szafę. Patrząc na to było wręcz strasznie, bowiem książki jak martwi w szarych całunach stały rzędami, a lekki przeciąg szarpał ich pajęcze łachmany.

— Wilgoć — powiedział bibliotekarz z troską. — Niedaleko jest morze, port, podchodzą wody gruntowe... Wilgoć, pleśń i oto to, co jest nam drogie, obraca się w proch... To stepowe pająki Cza, przywozłem je z Kamiennej Strzałki, tamtejsi mieszkańcy noszą odzież z tych nici. Pajęczyna Cza dobrze wciąga wilgoć, Rjezwi. Kiedy będziesz miał swoją bibliotekę, wspomnij moje słowa.

— Kiedy ja będę miał?! — Razwijar potknął się.

— Ostrożnie! Pająki nie lubią, kiedy targa się pajęczynę. Przynoszę im żywe ryby, potem długo wymiatam łuskę. Ryba w bibliotece, co za niedorzeczność. Pająki chcą czegoś żywego, ale ja mam uprzedzenia, Rjezwi. Nie mogę karmić ich psami albo mięsem włośzczaków, to źle wpływałoby na książki... I na mnie, mówiąc szczerze. Wyrosłem w Mirtie, tam u nas nie zabija się nawet szczurów.

Razwijar zatrzymał się. Podniósł oczy. Z wysokich, zasłoniętych kratami okien wdzierało się przytłumione światło dzienne.

— Nawet szczurów?

— Tak. Co z tobą?

— A Heksa?

Bibliotekarz podciął kraj pajęczyny nożycami podobnymi do narzędzia tortur. Podeszedł bliżej. Złoty był o pół głowy wyższy od swojego gościa, chociaż pośród zamkowej straży Razwijar był uważany za „tyczkowatego”.

— A co ty wiesz o Heksach, Rjezwi-arr?

— Nazywaj mnie moim imieniem — odpowiedział rozzłoszczony Razwijar. — A nie przezwiskiem, które sam wymyśliłeś.

— Zrozumiałem — Złoty kiwnął głową. — Nic nie wiesz o Heksach. Ty w ogóle niczego nie wiesz o świecie, tylko znasz na pamięć zapisane przez kogoś wersy.

I, odwróciwszy się, poszedł przodem, dając nurka pod szare płachty, niekiedy podcinając napięte nici, lawirując wśród obciążonych siecią regałów. Razwijar zacisnął zęby i ruszył za nim. Nie pozostał w nim nawet ślad wolności czy spokoju. Powinien wcześniej wywiedzieć się, że bibliotekarz w Fier to Złoty, wtedy nie byłby zaskoczony i nie straciłby panowania nad sobą.

Żeby odzyskać duchową równowagę Razwijar przypomniał sobie swój las. W miejsce siwych płacht pajęczyny przywołał zielone liany i brązowe pnie, mech, jeziora i świetliki...

— Podejdz tutaj — wezwał go bibliotekarz. Razwijar głęboko odetchnął; ten Złoty nie ma nad nim władzy, Razwijar nie jest jego niewolnikiem, ani podwładnym, niech sobie mówi, co chce.

— Popatrz — bibliotekarz przesunął nożycami po grubej warstwie pajęczyny. Rozpełzły się przerwane brzegi, pokazała się porowata półka, w każdej komórce leżał zwój, podobny do grubej skórzanej rurki. — To zwoje z ludzkiej skóry. Najcenniejsze, każdy w pojedynczym egzemplarzu...

— Ze skóry ludzi?!

— Tak — oczy Złotego znowu zmieniły barwę, z miodowych stając się ciemnobrązowe. — Heksi piszą swoje księgi na skórze wrogów. To osobliwa, wysoce rozwinięta literatura. Oni nie tylko uwieczniają zwycięstwa, ale, powiedzmy, układają wiersze. Są bardzo uczuciowi, niekiedy wręcz sentymentalni. Nie wstydzą się wylewać łez nad zwiędniętym kwiatem.

Razwijar podszedł bliżej. Zwoje były duże i małe, jasne i ciemne, każdy przewiązany wstążką z wyblakłego jedwabiu.

— Pozwól mi...

Słowa wyrwały się same. Razwijar wyobraził sobie, jak będzie rozwijał zwój „ze skóry wroga” i zaciął się.

— Mam robotę — powiedział głucho. — Przyszedłem z zadaniem.

— Tak — bibliotekarz przytaknął. — Do rzeczy... Następnym razem, kiedy nie będziesz zajęty, kiedy będą potrzebne ci pieniądze — przyjdź znowu. Pan tego bogactwa, sławny człowiek o imieniu Paznokiec, nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli ktokolwiek przepisze księgę Heksów na papier, do którego jesteśmy bardziej przyzwyczajeni. Będzie je można sprzedać znawcom, te księgi oprócz wierszy zawierają przepisy na dania z ludzkiego mięsa.

— Zrozumiałem — powiedział Razwijar. — Ale więcej nie będę przepisywał. Jestem strażnikiem w zamku mojego władcy, więc przyjdzie ci szukać kogoś innego... żeby zasłużyć na pochwałę handlarza niewolników Paznokcia, któremu ty służysz, Złoty!

Wykrzyknąwszy ostatnie słowa, odwrócił się od półki ze zwojami. Nad głową coś zaszurało; ogromny cień na moment zasłonił światło, zakółsały się płachty pajęczyny.

* * *

Komnata kopistów okazała się, tak jak obawiał się Razwijar, maleńka i z niskim sufitem. Zamiast okien miała wietrzniki zaciągnięte pajęczyną. Gruba świeca na wysokim świeczniku. Pełny wybór przyborów piśmiennych, czysta oprawa, słoik atramentu.

— Zmarnujesz papier, nowego nie dam.

— Nie zmarnuję.

— Jeśli choć kropla spadnie na stronie księgi; czy kichniesz, czy spluniesz, to odpowiesz głową. Oczywiście nie przede mną, a przed Paznokciem. On jest człowiekiem prostym, ale pomysłowym, jeśli chodzi o zabijanie.

Razwijar wygodniej usiadł na skrzypiącym krześle. Podniósł oczy na Złotego:

— Pozwolisz mi wreszcie pracować?

— Pracuj — bibliotekarz życzliwie kiwnął głową. — Jedna świeca pali się cztery godziny. Sześć świec — dobę. Kontroluj czas, przepisywaczu.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Razwijar został sam. Kilka minut potrzebował, żeby pokonać ten wewnętrzny, irracjonalny strach przed ciasnym pomieszczeniem.

Skąd ten strach? Przecież tygodniami mieszkał w ładowni, zdarzało się, że siedział w ciemnicy i bał się wielu rzeczy, tylko nie zamkniętej przestrzeni!

Księga „Kroniki chimajrydów” leżała przed nim, „zaciskając stronicę jak szczęki”. Razwijar głęboko odetchnął, po czym ją otworzył.

Mapa! Szczegółowa mapa z wielością linii, znaczków, napisów. Rysowano ją najmniej dziesiątką piór o różnej grubości, poprawiano, zmieniano szablony, kreskowano, dorysowywano. W przyćmionym świetle jednej świeczki Razwijar przyglądał się mapie, zajmującej całą wewnętrzną stronę okładki i stawały mu włosy dęba na głowie.

W zamku, kiedy władca odprawiał go do przepisywania księgi, zadanie wydawało się proste i zwyczajne: „Potrzebna mi ta księga jak najszybciej... Wszystko przepiszesz dokładnie, każda kreseczka może mieć znaczenie...”.

Każda kreseczka ma znaczenie. Razwijar przypomniał sobie młodego chimajryda, którego wypuścił, chociaż powinien był zabić.

Za prawo skopiowania tej księgi, władca oddał żaglowiec. Manuskrypt ten został skradziony z imperatorskiego skarbcza i należy do handlarza niewolników, Paznokcia, ale przecież to po prostu książka, jedna z wielu i jeśli jest w niej mapa, Razwijar po prostu ją przerysuje!

Zaczął przeglądać przyrządy. Długo kręcił w palcach najcieńsze pióro, dopóki się nie złamało i Razwijar drgnął na odgłos tego suchego trzasku. Zbyt długo ćwiczył z mieczami i łukiem, palce nabrały siły, tracąc część zwykłej zręczności, ale biegłość powróci. Trzeba tylko zacząć.

Przygotował narzędzia, usiadł wygodniej, otworzył czystą oprawę — i pogrążył się w pracy, zapominając o dławiającym go strachu przed zamkniętą przestrzenią.

* * *

Nazywali siebie Nagórenami. „Chimajrydzi” było określeniem nadanym przez wrogów, nazwa księgi na okładce została zmieniona, wpisana na wierzchu innej, prawie całkowicie wytartej. Nagóreni całe tysiąclecie zamieszkiwali wśród górskich grzbietów pokrytych zielenią i na bezwodnych równinach, wysoko nad poziomem morza na płaskowyżach i na brzegach górskich jezior.

„Matka rodzi zawsze czworo dzieci: dwie przyszłe matki, jednego jeźdźca i jednego podległego. Każdy jeździec ma dwie żony, które przynależą także niewolnemu, jego bratu. Jeśli jeździec ginie w walce albo na polowaniu, w ślad za nim powinien umrzeć jego brat. Jeśli umiera żona, to jeździec może poślubić inną. Jeśli kobieta nie może urodzić czwórki dzieci, ofiarowują ją Jezioru Urodzaju”.

Człowiek piszący księgę miał mocny, zamaszysty, ale bardzo osobliwy charakter pisma. Razwijar szybko do niego przywykł i przestał zauważać dziwności kaligrafii. Przelewały się klany, ciągnęły i krzyżowały się genealogiczne gałęzie. Razwijar miejscami nie rozumiał tego, co było napisane. Po prostu obejmował wersy oczami i omdlałą ręką przenosił tekst na czystą kartkę. Śpieszył się. W miejscu mapy, otwierającej księgę, cały czas było jeszcze pusto. Niepokojąc się, czy starczy czasu, Razwijar opuścił ją, decydując się zostawić to zadanie na koniec.

Zapisał podanie o bogini Wof, matce pierwszego Nagórena, która stała się brzemienna od wielkiego wodospadu w górach. Bogini była czworonożna, z gibkim ogonem i wielkimi

piersiami i Razwijar doszedł do wniosku, że oto ona stanowi wyjaśnienie, dlaczego z jednych i tych samych matek rodzą się i dwunożni młodzieńcy, i półludzie na czterech łapach. Ale na następnej stronie napotkał podanie o innej bogini, której ciało podobne było do ciała ludzkiej kobiety, ale z głową zmił i ona także urodziła pierwszego Nagórena, stając się brzemienną od kroczącej skały. Tych bogów i bogiń było kilkaset, od nich wzięły swój rodowód różne klany. Razwijar pracował, nie podnosząc głowy, dopóki świeczka nie zasyczała, dogorywając. Wtedy pośpiesznie zapalił od ogarka nową świecę i, nie zwracając uwagi na ból w plecach, kontynuował obejmowanie wersów wzrokiem i przelewanie ich z końcówki pióra na papier.

Przepisywał długie spisy imion i myślał o autorze tej książki. Ten nie był chimajrydem, wspominał Imperatora i Szuu, a to znaczy, że pochodził z Imperium. Władca powiedział przecież „imperatorski mierniczy”. Mapa, umieszczona na początku dzieła, była dumą autora, zresztą, co i rusz odwoływał się do niej, nazywając „nowsza i dokładniejsza mapa”. Dopaliła się trzecia świeca, a Razwijar nie przepisał jeszcze nawet jednej czwartej manuskryptu.

Nie chciało mu się jeść. Pił z menażki małymi łyżkami, starając się przeciągnąć przyjemność. W czasach, kiedy był niewolnikiem u Agła, zdarzało mu się przepisywać po dwie doby na okrągło, a przecież wtedy był małym chłopcem. Teraz więc także sobie poradzi. I mapę przepisze kropka w kropkę.

Nagóreni odmierzali czas okresami panowania swoich klanowych przywódców. Każdy klan miał zatem swój kalendarz. Dwa razy w historii — zgodnie z zapisem w „Kronikach” — podjęli próby zjednoczenia klanów pod władzą jednego przywódcy. Pierwszy raz spróbował to zrobić jeździec o imieniu Biały Ruczaj — na krótki czas zjednoczono trzy najpotężniejsze klany, ale potem nowy przywódca został zarżnięty, sojusz rozpadł się, a sprawa zakończyła bratobójczą wojną. Drugi raz na czele klanów zapragnął stanąć niewolny, pół-człowiek, który był magiem. Razwijar potarł zaspane oczy. „Kilka lat przed jego narodzinami osadę klanu Rosy odwiedził człowiek, zwany Wędrowną Iskrą... Klan Rosy, w odróżnieniu od wielu sąsiadów, nie zabijał obcych i czasami dawał schronienie błędzącym w górach podróżnikom. W podziękowaniu wędrowiec zbudował kamienny piec w domu wodza. Wkrótce starsza żona wodza urodziła chłopca, niewolnego, który posiadał magiczny dar. Wszystkim wiadome jest, że magowie rodzą się w domach, gdzie Wędrowną Iskra zbuduje palenisko”.

Razwijar w przybliżeniu przeliczył lata i uświadomił sobie — co do tego nie było wątpliwości — ten, o kim teraz czyta, spoczywa w szybie pod kamiennym zamkiem władcy. To on oswoił skalne robaki, on znalazł gniazdo ogniewuchy i on wybudował zamek. To on zapragnął zostać jedynym wodzem wszystkich nagóreńskich klanów.

„Wojna ciągnęła się dwadzieścia lat. Miał na imię Poranek Bez Skazy i dlatego w wielu niepokornych klanach ludzie przestali nazywać poranek porankiem, żeby nie wspominać imienia strasznego czarodzieja-niewolnego”.

Razwijar poczuł, że jego głowa opada na stół. Na chwilę zapadł w ciemność. Ocknął się, leżąc policzkiem na kartce papieru. Świeczka dopalała się, ledwie zdążył zapalić od niej następną. Która to świeca? Zaczął liczyć i pomylił się w rachunku. Pragnął zgasić przeklęty ogień, lec na kamiennej podłodze, wyciągnąć się i niech się dzieje co chce.

„Przerwał wojnę, ale przeklął każdego, kto nie chciał się przed nim ukorzyć. Od tego czasu Nagórenki nie rodziły, jak wcześniej, dwóch przyszłych matek, jeźdźca i niewolnego, rodziły cztery matki albo trzech niewolnych i jeźdźca, alba jedną matkę i trzech jeźdźców. Mówiono, że w swoim zapięklonym gniewie gotów był wytrzebić wszystkie plemiona Nagórenów. Mówiono także, że stworzył i przeklął jakąś rzecz i jeśli uwolnić przekleństwo — wszyscy Nagóreni umrą. Ale czy to prawda i czy starczy siły jednego maga, żeby unicestwić ogromne plemię, i czy

starczy nienawiści — tego nie wiem i nie mogę wiedzieć do końca. Imieniem Poranka Bez Skazy straszą w klanach dzieci — nawet teraz, po jego śmierci”.

* * *

Ogienek świecy zakołysał się. Do tej pory stał prawie nieruchomo jak słupek i cienie nie ruszały się. A teraz drgnęły i Razwijar podniósł głowę.

W drzwiach stał bibliotekarz.

— Już? — Razwijar aż zakrztusił się. — Tylko dziesięć świec Jeszcze nie minął czas!

— Po prostu zaszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku — powiedział Złoty przepraszając. — Wyglądasz... nie najlepiej.

Razwijar westchnął. Zapewne miał zaczerwienione oczy. Powieki mu napuchły i paliły ogniem, ale praca szła dobrze i zbliżała się już do końca. Gdyby nie mapa...

— Nie mam zamiaru upiększać twojego życia — powiedział kłótliwie. — Dlatego nieważne, jak wyglądam.

— Dlaczego nie miałbyś się przespać paru godzin? Obudzę cię, kiedy powiesz.

— Nie. — Razwijar pokręcił głową. — Skończę i dopiero wtedy.

— Chcesz wody?

— Nie. Dziękuję. Jeszcze mam.

— Masz rację. Ja służę Paznokciowi, brudnemu handlarzowi niewolników — nie zmieniając intonacji, powiedział Złoty. — Ale mnie to nie martwi... przecież nigdy nie będę mógł wrócić do Mirtie, szybującego miasta.

— Widziałem je — powiedział Razwijar. — Z daleka. Zrzućli mnie do morza ze statku, dlatego, że ani jeden Heks nie może zstąpić na ziemię Mirtie.

— Słuchaj... — po chwili milczenia powiedział Złoty. — Posłuchaj Rjezwi... To jest Razwijar. Wcześniej czy później zechcesz odnaleźć swoją rodzinę. Nie rób tego.

— Dlatego, że piszą wiersze na ludzkiej skórze?

— Także dlatego. Dużo ci zostało?

— Nie. To znaczy... Mapa, na to potrzeba czasu.

— Weź wodę — Złoty postawił na podłodze przy drzwiach dzban z długą szyjką. — Nie bój się, nie jest zatruta.

* * *

Obudził się z powodu głośnego okrzyku. Czy był to dźwięk we śnie czy na jawie, początkowo nie mógł skojarzyć.

W komnacie dla kopistów było ciemno. Razwijar sam zgasił ostatnią świecę, żeby pospać, chociaż trochę. Kopia księgi, dokładna i pełna, z mapą, leżała na wierzchu oryginału, skradzionego z Imperatorskiej biblioteki, a Razwijar spał, siedząc, złożony głowę na miękkiej skórzanej oprawie.

Po komnacie ciągnął przeciąg, którego nie było wcześniej. Uchylone drzwi kołysały się, jak dłoń w geście pożegnania. W głębi skarbcza ktoś chodził, starając się stąpać po cichu i nie były to kroki Złotego.

Razwijar przycisnął księgę do piersi i po ciemku wyszedł z komnaty. Na zewnątrz była głęboka noc, wysokie okna ledwie co przepuszczały światło może księżycy, a może dalekich

latarni. Płachty pajęczyny, chroniącej księgi przed wilgocią, zdawały się czarne i tylko przy suficie, w samym kącie, połyskiwały zielenią fosforyzujące punkty — oczy pajaków Cza.

W tym momencie gdzieś z przodu za regałami, przy samym wejściu do skarbcza mignął płomyk. Razwijar cofnął się. Wstrzymał oddech. Nie mógłby wyjaśnić, dlaczego się ukrywa, dlaczego raptem włosy stoją mu dęba. Może śni koszmar, w którym kogoś zabito. Może koszmar jeszcze trwa. A może zabójstwo zdarzyło się na jawie.

Znowu dały się słyszeć ciężkie kroki. Zaszurała przesuwana pajęczyna. Ktoś cicho zaklął — ostrym, wysokim głosem. Nie był to jednak głos bibliotekarza.

— Tutaj powinny być jeszcze pokoje — powiedział drugi głos, urywany.

— Szuu! Pajęczyna...

— Wczoraj rano tutaj wszedł człowiek, kopista i nie wyszedł. Szukaj go, Kru.

Zapłonęło jasne światło, były to dwie albo trzy świece związane razem. Poprzez półprzezroczyste sieci Razwijar zobaczył dwa cienie — postacie z mieczami w dłoniach. Naostrzona stał rozciąła pajęczynę, Razwijar ledwie zdążył odskoczyć za regał.

Był bez broni. Oba miecze zostały u Szłopa.

— Szukaj go Kru. Szybciej.

Klnąc i obrywając szare płachty, cienkogłose Kru przeszedł o kilka kroków od Razwijara. Odkrył drzwi do komnaty przepisywaczy.

— Spójrz, no! Tutaj jest teczka, rzeczy... on nie odszedł!

— Nie odszedł — z głębokim zadowoleniem powiedział urywany głos. — Jest tutaj, tak. Nigdzie zatem nie uciekniesz.

W tym momencie Razwijar się uspokoił. Tych dwóch szukało go, żeby zabić, tak jak bibliotekarza, którego — teraz nie miał już wątpliwości — zabili przed chwilą. Życie Razwijara wisiało na włosku, ale ten włoszek trzymał on sam. Wiedział, że to w jego mocy jest przeżyć albo zginąć.

Zważył księgę w rękach, przymierzając, jak będzie uderzał i nagle pojął, że to nie kopia, nad którą trudził się przez dwie doby. W ciemnościach, wyrwany ze snu, chwycił oryginał „Kronik chimajrydów” i bardzo dobrze. Ten wolumin był cięższy.

Świat stał się bardzo wyrazisty, Razwijar widział każdą pajęczynkę, każde wypaczenie na drewnianej podłodze, wiedział gdzie stoi lampka i gdzie przyczał się zabójca. Nie miał zamiaru czekać, aż go znajdą. Skoczył do przodu i włożył w ten skok całą swoją wolę życia.

Ochrypli człowiek wystawił miecz, gwałtownie jak żmija, mierząc Razwijarowi w brzuch. Razwijar odbił klingę ciężką księgą, obrócił się wokół własnej osi i pięścią prawie sięgnął szczęki ochrypłego, ale ten uchylił się. Razwijar zobaczył kindżał. Zbyt późno zobaczył. Wiedział, że nie zdąży odbić uderzenia. Patrzył, jak podnosi się ręka z zaciśniętą w niej rękojeścią, jak ostrze wznosi się do jego gardła. Nie zdążył się uchylić, ponieważ ruch ma swoje prawa. Razwijar dawno nauczył się z lekcji dziesiątnika Brana: możesz patrzeć, jak cię zabijają i nie zapobiec uderzeniu, dlatego, że nie zamachnąłeś się w porę.

Ostrze przesunęło się obok, prawie dotknąwszy gardła. Posiadacz zachrypniętego głosu sapnął, wytrzeszczył oczy i upuścił kindżał, po czym upadł na kolana. Za jego plecami w kałuży krwi klęczał bibliotekarz. Chrypłogłose szarpnął się raz jeszcze i upadł na twarz. Między jego łopatkami sterczała strzała, niczym pisarskie pióro, zaplamione czerwonym atramentem. Zaraz potem upadł Złoty, wypuszczając z rąk maleńki jak zabawka arbalet.

Cienkogłose Kru wypadł z korytarza między regałami, z rozpędu zaplątał się w szarą płachtę, zaryczał, rozpruwając pajęczynę klingą. Z góry runął pajak i od razu wzleciał z powrotem do sufitu, ponieważ zdobycz okazała się zbyt ciężka do zaatakowania i zjedzenia. Kru wyrывał się

rozzucając strzępki sieci. Razwijar chwycił klingę, która wypadła z ręki nieboszczyka i po raz pierwszy zabił — nie przy pomocy ogniewuchy a własną ręką.

Złoty leżał na boku, a jego oczy z miodowych stawały się bladożółte, prawie przezroczyste.

* * *

— Co tam się stało? Dlaczego milczysz?

Szlop był wzburzony. Razwijar przyszedł do zajazdu o świcie, wcześniej niż się umówili. Najpierw nie chcieli go wpuścić, ponieważ noc w Fier to czas bezprawia. Razwijar przybył z dwoma nie swoimi mieczami, z widocznymi śladami krwi i księgą, zawiniętą w cudzy płaszcz. Wyciągnął Szlopa z ciepłej pościeli i rozkazał natychmiast wyruszać, od razu jak tylko otworzą bramę.

Napotkawszy jego stalowe spojrzenie intendent zaprzestał zadawania pytań. Wyszli z miasta jako pierwsi jeszcze przed tym, jak wrócili strażnicy naczelnika miasta. Razwijar tak często oglądał się za siebie, że Szlop wpadł w panikę i puścił się do przodu niemal biegiem. Dotarli do wejścia tunelu w momencie, kiedy woźnica, nachmurzony i siny z przepicia, szarpał z miejsca senne adhezyle, a w trzykółce siedzieli, zawinięci w koce, tłusty kupiec z Kipieli i jego pulchna żona.

Widząc, jak trzykółka odjeżdża, przez twarz Razwijara przeleciał błysk przerażenia. Rzucił się, żeby przechwycić powóz. Wskoczył na drogę wiodącą do tunelu, prosto przed nosy zaprzęgniętych adhezyl, te zatrzymały się, przylepiwszy się łapami do kamienia, trzykółka naskoczyła na nie od tyłu i prawie by wyróciła się. Razwijar błady, z czerwonymi oczami i plamami krwi na kurtce, wyciągnął mieszek ze wszystkimi pieniędzmi, które dał mu władca, wszystkimi, których nie zdążył roztrwonić w knajpie młodszy intendent Szlop i rzucił woźnicy.

Awantury nie było. Kupiec i jego żona posłusznie wyleźli z trzykółki. Przedsiębiorczy człowiek często bywał w Fier i uznawał prawo silniejszego, a woźnica także był zadowolony — z opłaty. Razwijar, przyciskając do piersi zawiniątko z księgą, usiadł w trzykółce, woźnica krzyknął, a o intendencie prawie zapomnieli.

Wóz ruszył. Adhezyle nabrały szybkości, wskoczyły na ściany, a te zaprzęgnięte z prawej strony — na sufit.

— Co tam się stało? Dlaczego milczysz, Szuu cię tak potargał?!

— Nie wiem — Razwijar ledwie rozlepił usta. — Nie zrozumiałem.

— Polecenie wypełniłeś? Księgę przepisałeś?

Razwijar przytaknął. Im dalej z tyłu zostawała biblioteka ze zwisającymi płachtami pajęczyny, z trupami w kałużach krwi, tym straszniej mu się robiło na duszy.

Jego kopia mistrzowska, dokładna, kosztująca tak wiele wysiłku, została tam. I Złoty, nie wiedzieć czemu, wygnany z Mirtie, został tam też, na zawsze. Uciekając z biblioteki, Razwijar widział na progu trupy wartowników, nieprzystępne drzwi były wyłamane. Razwijar wciąż nie mógł uwierzyć, że uszedł z życiem.

— Możesz powiedzieć, co tam się stało?

— Zamknij się! — krzyknął Razwijar, aż woźnica drgnął. — Nie mogę! Tobie nic nie powiem i ciesz się z tego!

Trzykółka niosła równo, gruchot kół miotał się w zamkniętej przestrzeni jak spienione piwo w ciasnej butelce. Razwijar, skuliwszy się, podciągnął kolana pod brodę i opuścił głowę na pakunek z księgą.

Wziął płaszcz Złotego. Ani kropla krwi nie padła na gęstą, ciepłą tkaninę płaszcz wisiał na ścianie przy wejściu. Razwijar wierzył, że Złoty by się nie obraził, przecież Razwijar wziął płaszcz nie dla siebie, a dla „Kronik chimajrydów”.

Rytmiczny stukot trzykółki sprawił, że Razwijar przysnął. Śniła mu się bogini Wof z gładką sierścią na bokach, z potężnymi pazurzystymi łapami i ogromną, nagą piersią. Bogini miała twarz Dżał, uśmiechała się i mówiła w obcym języku. Razwijar nie mógł jej zrozumieć, ale dobrze wiedział, że można zapisać te słowa na czystej kartce, przeczytać sto razy i zrozumieć ich sens. A bogini Wof tymczasem odwracała się i odchodziła, dumnie unosząc zwinny ogon. Odeszła, a w następnej chwili Razwijar zobaczył ogon chimajryda, wiszący na drażgu, oblazły i zeszywniały i krzyknął.

— ZduRNAłeś?! Czego wyjesz?

Jak wcześniej trzykółka niosła się równo. Jak przedtem gruchotały koła. Razwijar siedział, wczepiając się w księgę.

— Razwijar — Szlop po raz pierwszy zwrócił się do młodego strażnika po imieniu. — Chłopcze... co się z tobą dzieje?

* * *

W Kipieli zatrzymali się na pół godziny, tylko by zjeść. Razwijar, jak przedtem, nie czuł głodu, ale z osłabienia uginały się pod nim nogi. Pieniędzy już nie mieli, ale w jednym z zajazdów nakarmili ich na kredyt, były to bowiem ziemie władcy.

Szlop nie miał zbytnej ochoty ruszać w dalszą drogę. Intendent chciał posiedzieć na brzegu i pomoczyć nogi w ciepłej wodzie, podrzemać w hamaku, zapomnieć o niepokojach dzisiejszego ranka, ale Razwijar nie dał mu ani minuty odpoczynku.

Wyszli. Księga znajdowała się na plecach Razwijara, w sporządzonym z płaszcza worku na plecy. Szedł, dzierżąc w ręce obnażony miecz, wprawiając w zdumienie i przerażenie obywateli oraz wywołując entuzjazm miejscowych dzieciaków. Na stromych odcinkach drogi Razwijar opierał się na mieczu jak na lasce.

Osada została z tyłu i szybko znikła z pola widzenia, otulona parą z ciepłego jeziora. Droga wznosiła się coraz wyżej. Razwijar szedł szybko. Szlop ledwie za nim nadążał. Wbijając się w drogę, miecz zgrzytał o piasek i kamienie, Razwijar wyciągał go i szedł dalej, nie otrząsając ostrza z przyklepionych do niego kawałków gliny.

Szum wody stał się głośniejszy. Zbliżał się most nad potokiem, połowa drogi do przełęczy. Słońce stało wysoko, cienie skurczyły się, wcisnęły pod kamienie. Razwijar wbił miecz w ziemię i otarł pot z czoła.

— Szuu... — mamrotał Szlop. — Po co ja z tobą... a, niech to wszystko... Daj odpocząć, przecież jestem stary! Zdechnę tu, na drodze! Wyzionę ducha!

Razwijar rozejrzył się. Wysoko na niebie krążyły czerkuny. Na tle zielonkawego nieba już widniała przełęcz.

— Szlop — powiedział Razwijar. — Idź z powrotem.

— Słucham? — Młodszy intendent zakrztusił się.

— Tak — Razwijar kiwnął głową. — Przenocuj. Wyparz nogi. Powiem na przełęczy, żeby kogoś po ciebie przysłali.

Szlop, mrużąc oczy popatrzył w górę, na przełęcz, dokąd wiodła kamienista, zalana słońcem, wijąca się droga. I za siebie, gdzie prowadziła droga, względnie równa, wiodąca w dół.

— Powiem władcy, że opadłeś z sił — powiedział Razwijar. — On zrozumie. Zadanie wykonane.

— Zadanie wykonane — powtórzył Szlop, a spomiędzy żalonych nutek w jego głosie przebiła się charakterystyczna dla niego kłótniowość. — Zadanie wykonane... Cóż, ty sam?

Razwijar uśmiechnął się spierzchniętymi wargami:

— Sam. Jak zwykle.

— No idź — powiedział Szlop, całkiem już kłótniowo.

— Patrzcie go... Najważniejsze, że zadanie wykonane, a jak ty byś dał sobie radę beze mnie!

I poszedł w dół, coraz szybciej, a jego przygarbione plecy wyprostowały się, a odszedłszy paręset kroków nawet zaczął mrużyć pod nosem piosenkę — zapewne czując już przedsmak cieplej kąpieli i chmielnego piwa w dużym kuflu na tarasie...

Razwijar westchnął, wydarł miecz z ziemi i ruszył w górę. Im wyżej wznosiła się droga, tym lżej mu się robiło; wokół była odkryta przestrzeń, rozległe niebo, żadnych sufitów, żadnych ścian. Kamienne bryły wznoszące się to z prawej, to z lewej strony drogi, przypominały głowy o zamyślonych, surowych obliczach, w ich oczach rósł kolczasty krzew. Za zakrętem ukazał się most. Razwijar rozejrzał się — nikogo. Wstąpił na most, a jego cień wstąpił na cień mostu i nadleciał cień strzały, który wbił się cieniowi człowieka w plecy.

Siła uderzenia rzuciła go na poręcz z powrozów. Utrzymał się na nich i pojął, że księga jest przebita, że ostrze drapie skórę, a krew leje się po plecach. Upadł na trzęsący się most, a obok jego głowy wbiła się nowa strzała. Wtedy przetoczył się pod poręczami i poleciał w dół.

Uderzył w wodę jak wtedy, kiedy wypadł ze „Skrzydłaka”. Zobaczył dno i cienie srebrzystych rybek i własny cień, rozkładający się na kolorowych kamieniach. Po jego policzkach toczyły się bąbelki powietrza, łaskotały skórę. Razwijar chwycił się kamienia na dnie i zamarł, a z góry leciały strzały, opadały na dno, zostawiając biały, pianisty ślad. I przemknął cień dwunożnego jeźdźca, jadącego wierzchem na czworonożnym chimajrydzie. Potoczyły się grudki gliny, zakolysał się most...

Płynąc pod prąd, Razwijar znalazł schronienie pod wielkim kamieniem i kilka godzin przesiedział w śliskiej szczelinie, ściskając miecz, oczekując nowego ataku. Tak zastał go patrol pod dowództwem Krzywulca, który zszedł z przełęczy.

* * *

— To oryginał — powiedział władca. Razwijar po raz pierwszy zobaczył, jak ten traci panowanie nad sobą: oblizuje wargi przecięte szramą, przesuwa dłońmi po długich, przerzedzonych, czarnych włosach, stara się wyrównać nierówny oddech.

— To oryginał... Co ty narobiłeś?!

Księga leżała przed władcą na rzeźbionym stole. Przebita strzałą, przemoczona tak, że rozmazał się atrament. Tylko w samym środku, gdzie stronice były mocno ściśnięte, zostało kilka nietkniętych fragmentów.

— Szuu — władca usiadł, jakby nogi nie chciały go utrzymać. — Szuu...

— Jest kopia — powiedział Razwijar.

— W bibliotece Paznokcia?!

— Tutaj — Razwijar dotknął skroni. — Niech mi dadzą czystą oprawę, to ją odtworzę.

Kilka chwil władca patrzył na niego z przerażeniem. Potem wziął szklanicę z wodą, stojącą na maleńkim stoliku pod oknem. Wypił, zakaszłał.

— Szuu — wydyszał znowu. — Nigdy w życiu... — przerwał sam sobie, zaciskając oszpecone szramą wargi. — Mapa przepadła, jego mapa...

— Odtworzę ją — powtórzył Razwijar.

— Gdzie twój list uwierzytelniający? — ostro zapytał władca.

— On — Razwijar westchnął, wspomniawszy Złotego. — Bibliotekarz... wziął go, kiedy mnie wpuszczał i położył wśród papierów...

— I tam został?

— Nie. Wziąłem go, zanim uciekłem. Natknąłem się na ulicy na... martwe ciało, u nich tam nocą... rzeźnia. Wsunąłem list za pazuchę temu... człowiekowi. Był dobrze ubrany i nawet, zdaje się nikt go jeszcze nie okradł...

— Szuu — czwarty raz powtórzył władca. — Ty... jesteś zdolny, maleńki Heksie. Strach mnie ogarnia na myśl, do czego jesteś zdolny... Dzisiaj bardzo chciałem cię zabić.

— Zauważyłem — powiedział Razwijar.

Władca roześmiał się:

— Też jestem zdolny... Możliwe, że nie tak jak ty, ale jestem bardziej doświadczony. Kim byli zabójcy w bibliotece?

— Nie wiem.

— Ale się domyślasz?

— Nie. Nie domyślam się.

Władca roześmiał się tak, że w oczach stanęły mu łzy:

— Jesteś zdolny na tyle, że udajesz durnia... Czego chcesz, mów? Kobiety? Pieniądzy?

— Spać — powiedział Razwijar. — Jestem straszliwie zmęczony.

* * *

„Mówiono, że w swoim zapiekłym gniewie gotów był wytrzebić wszystkie plemiona Nagórenów. Mówiono także, że stworzył i przeklął jakąś rzecz i jeśli uwolnić przekleństwo — wszyscy Nagóreni umrą. Ale czy to prawda i czy starczy siły jednego maga, żeby unicestwić ogromne plemię, i czy starczy nienawiści — tego nie wiem i nie mogę wiedzieć do końca. Imieniem Poranka Bez Skazy straszą w klanach dzieci — nawet teraz, po jego śmierci”.

Razwijar siedział na półokrągłym balkonie, słuchał huku wody w wąwozie i niespiesznie przelewał litery z pamięci — na papier.

Pamiętał wszystko. Pogniecione stronice. Zapach palącej się świeczki. Szmer pajęczyny w kącie. Zatrzymywał się, żeby odpocząć, patrzył na góry, na spływające nitki wodospadów i znowu zabierał się za robotę.

Władca przychodził i odchodził. Niekiedy siedział obok, czytając nową kopię przez ramię Razwijara. Czasami spacerował po balkonie, o czymś dumając, pocierając nasadę nosa.

Razwijar pracował cztery dni, od świtu do zmroku, a nocami spał. Intendent Szlop osobiście przynosił mu ragout z czerkunów z grzybami, zsiadłe mleko przyślepek jaskiniowych, najprawdziwsze kołaczki z ziarnistej mąki i otrębów.

Pod wieczór czwartego dnia Razwijar ukończył mapę. Władca długo się jej przyglądał, potem kartkował stronice, jego wargi poruszały się przy tym.

— Co jest w tej księdze? — zapytał Razwijar.

— Śmierć — władca popatrzył na góry. — Śmierć tym, którzy się nie ukorzą. Jak zawsze.

— Poranek Bez Skazy — wypowiedział Razwijar — także niósł śmierć tym, którzy się nie ukorzyli. Ale sam umarł.

— Nieśmiertelnych nie ma — krótko stwierdził władca. — Te stworzenia nie potrafiły uznać władzy czworonożnego. Nawet maga. Mają to we krwi; półczłowiek — oznacza niewolny.

— Był twoim przyjacielem panie?

— Poranek? Był — władca uśmiechnął się, rozmawiając już nie z Razwijarem, a z wyobrażonym, przywołanym z rezerwuaru wspomnień rozmówcą. — On był... wybacz.

Razwijar zadał pytanie, które od dawna go nurtowało:

— Kto napisał „Kroniki”? Znałeś autora panie?

— Nie — w zamyśleniu powiedział władca. — Widzieliśmy się jeden raz, przelotnie. Zwali go Waran.

* * *

Od tego dnia w zamku rozpoczęły się przygotowania do wojny. Dniami i nocami pracowała kuźnia w dolnej kondygnacji, dziesiętnik Bran zmuszał wolnych od wachty strażników do ćwiczeń z mieczami. Mówiono o karnej wyprawie przeciwko chimajrydom. Razwijar stanął w szeregu razem ze wszystkimi. Powitali go jak bohatera — zapewne dzięki Szlopowi, który, nie wdając się w szczegóły potrafił rzucić znaczące spojrzenia pytającym o ostatnią misję Razwijara. Przybierał taki wyraz twarzy za każdym razem, kiedy temat schodził na małego Heksa, że bardzo szybko cały zamek utwierdził się w słusznym przekonaniu, że młody strażnik zaskarbił sobie jeszcze większą życzliwość władcy podczas ostatniej misji.

Razwijar źle spał w tych dniach. Śniło mu się, że przepisuje niekończąca się księgę o magach, potworach i kobietach zdolnych stać się brzemionnymi za sprawą górskiego wodospadu.

Kilka razy spotkał Dżal. Ona, jakby specjalnie czekała na te przelotne widzenia — to zamiatała podłogę w koszarach, to niosła bieliznę w koszu akurat tą galerią, gdzie dyżurował Razwijar. Za każdym razem skinął jej głową. A ona uśmiechała się nieśmiało.

W dniu wyprawy, o świcie, władca sam zszedł do pomieszczenia z wielkim piecem i wyszedł na drogę przed zamkiem w towarzystwie dziesiątki ogniewuch. Strażnicy, oczekujący go, cofnęli się; ogniewuchy usiadły jedna obok drugiej, równo jak pod sznurek i złożyły na plecach czarne skrzydła.

— Idziemy przywołać do porządku i przypomnieć o posłuszeństwie — krótko powiedział władca. — Nie przelewajcie niepotrzebnie krwi. Larwy wszystko zrobią same.

Wydał rozkaz ogniewuchom, te ustawiły się w rządki i ruszyły po drodze w górę, ku przełęczy. W porannym słońcu były podobne do kroczących żagwi, do tłącego się naszyjnika z czerwono-czarnych, chropowatych grudek.

— Naprzód — powiedział władca. — Zwykłym szykiem.

Dziesiętnik Bran poprowadził strażników po drodze, po której dopiero co przeszły ogniewuchy, czarnej od popiołu i sadzy. Razwijar kroczył w szeregu z innymi. Władca wyciągnął rękę, zagradzając mu drogę.

Razwijar zatrzymał się zdziwiony.

— Ty zostajesz — powiedział władca.

— Ja?!

Władca popatrzył mu w oczy długim, nieruchomym, ciężkim spojrzeniem. Po czym powiedział rozdzielając każde słowo:

— Jesteś. Nazbyt. Cenny. Dla mnie. Nie mam zamiaru wystawiać cię na przypadkowe strzały.

I odszedł razem z wojskiem, doskonale wiedząc, że Razwijar nie ośmieli się złamać rozkazu. A ten stał na drodze wstrząśnięty, upokorzony i patrzył w ślad za nimi, dopóki ostatni strażnik nie zniknął za przełęczą.

* * *

Trzy dni i trzy noce ogniewuchy były posłuszne władcy. O świcie czwartego dnia, rozkazał im rzucić się do górskiej rzeki, a one ostatni raz spełniły jego rozkaz.

Do tego czasu ziemie dwóch wielkich klanów, przylegające do zamku, opustoszały. Jednym z nich był klan Rosy, drugim — Zielonego Rogu. Wchodząc do skazanych osad, władca wymawiał na głos:

— Witam, pozdrowienia od Poranka. Poranka Bez Skazy. I słyszeli to chimajrydzi i napawało ich to łękiem. Strażnicy wrócili na zamek wieczorem czwartego dnia wyprawy. Wielu było przygnębionych. Inni upojeni zwycięstwem chępliwie krzyczeli, że przeklęte stworzenia, z tych, które ocalały, nigdy nie ośmielą się popatrzeć na zamek nawet z daleka. Dziesiętnik Bran opowiadał Razwijarowi, jak ustanowili nową granicę, wetknąwszy w ziemię piki, na każdą nasadzając głowę chimajryda. Napiwszy się piwa i ostatecznie popadając w przygnębienie, Bran przyznał:

— To nie była bitwa, mały. To była masakra! Przebiliśmy się do ich świętego miejsca, Jeziora Urodzaju i tam władca zrobił coś takiego... rzucił do wody... z tego powodu te stworzenia strasznie się załamały, zupełnie straciły ducha walki. Do tego jeszcze ogniewuchy... Rad jestem, że ciebie tam nie było, mały.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nasłała jesień. Drapieżne ptaki rozdziobały głowy na pikach, zostawiając czaszki podobne do ludzkich.

Zima przeszła w wiosnę. Odsłoniły się przełęcze, ale żaden patrol nie widział ani jednego chimajryda w pobliżu nowej granicy. Razwijar nie lubił chodzić na patrole i za każdym razem starał się wykręcić, a nie było to szczególnie trudne, bowiem roboty było wystarczająco i wewnątrz zamku.

Z Fier przychodziły coraz to nowe karawany, a w nich opał, stalowe półprodukty, drewno. Przybywali niewolnicy i wolnonajemni, ci ostatni osiedlali się nie w zamku, a w nowej osadzie pod jego murami. Zamek rozrastał się, setki łomów wgrzyzało się w skałę, setki rąk wyciągało na powierzchnię kosze ze skalnym urobkiem. Ogniewucha znowu się niosła, a niewolnicy snuli się w górę i w dół po ścieżce. Między gniazdem a zamkiem wybudowano wieżę strażniczą, na której siedziało dwóch łuczników, gotowych zastrzelić każdego, kto wpadnie na pomysł, by rozbić jajo.

Razwijar siedział nad rysunkami. Były to stare szkice, na podstawie których wybudowano zamek oraz nowe, uzupełnione i poprawione ręką władcy. Budowa musiała toczyć się ściśle według tych rysunków. Razwijar kopiował plany i nadzorował prace, sam chodził po tunelach, zginając się w pałąk i przed nikim — nawet przed samym sobą — nie przyznawał się, że odczuwa paniczny strach przed zamkniętą przestrzenią.

Przyznał się pewnego dnia władcy, gdy ten poprowadził go długim, niedokończonym korytarzem. Ten nie zaczął się śmiać i od razu wyprowadził Razwijara na zewnątrz pod otwarte niebo, a potem, po chwili milczenia, powiedział:

— To Poranek. Powinieneś jeszcze raz go odwiedzić, wtedy to ustąpi.

— Wolałbym nie — powiedział Razwijar.

— On zabrał część twojej odwagi. Jakby w zastaw. Zejdę do niego razem z tobą, kiedy będziesz gotowy. Sam powiesz.

Każdego dnia Razwijar trenował strzelanie i fechtunek. Nigdy nie chodził do „ptasznika”, władca bowiem pozwolił mu wybrać sobie kobietę spośród nowych młodych niewolnic i Razwijar wybrał młodziutką, jasnowłosą, niczego nie pamiętającą z dotychczasowego życia dziewczynę — na rynku napoili ją „słodkim mleczkiem”. Nazywał ją Skrzydlaczką, a ona przychodziła do niego do komnaty na każde zawołanie, w nocy i za dnia.

Dzał przepadła z „ptasznika”. Razwijar nigdy nie pytał, gdzie się podziała, ale dowiedział się przypadkowo, że nie wypła na czas wywaru z wstrzymującej trawy, zaszła w ciążę i odprawiono ją do osady górali donosić dziecko.

* * *

— Paznokiec został zabity — powiedział władca.

Był późny wieczór. Władca obserwował przez lunetę dalekie gwiazdy. Razwijar siedział w fotelu, czując jak rwą go plecy i ręce. Dwie godziny bez odpoczynku bił się to z jednym strażnikiem, to z drugim. Dziesiątnik Bran wystawiał przeciwko niemu świeżych wojaków, ale ani jedna tępa klinga nie musnęła żelaznej koszuli, którą Razwijar nakładał dla obciążenia do walki szkoleniowej.

— Ludzie Imperatora? — zapytał Razwijar, otrząsnąwszy się z szoku, który wywołała u niego ta wiadomość.

— Tak. Imperium coraz silniej naciska na Fier, pozbycie się Paznokcia to poważne zwycięstwo. To tylko kwestia czasu, Razwijar, kwestia czasu, kiedy Fier stanie się imperatorskim miastem, kiedy woda wokół portu poczerwienieje od krwi tych wszystkich nocnych baronów... Naczelnik miasta gotów jest złożyć przysięgę Imperatorowi choćby jutro. Ale rozumiesz, że działania naczelnika miasta tak naprawdę o niczym nie rozstrzygają.

— Rozumiem — powiedział Razwijar — że to chimajrydzi byli żywą ścianą między...

Władca przytaknął:

— Tak. Między mną a Imperium. Między nami a Imperatorem. Ale Imperator nie zgłosi swoich praw do zamku, dopóki nic podporządkuje sobie portu Fier.

To kwestia czasu — przypomniał Razwijar.

— Czas pracuje dla nas. W tych klanach, które ocalały, nie rodzi się więcej dzieci, Razwijar. Te stworzenia przyjdą, chcąc zrzucić przekleństwo. Zobaczysz, przypełzną na kolanach.

— Ale przecież nie jesteś magiem, panie — powiedział Razwijar nieufnie.

— Niestety nie. Albo na szczęście. Pytałeś, co jest w tej księdze?

— Władza nad łonami chimajrydzkich kobiet?

Władca roześmiał się:

— Lubię z tobą rozmawiać... Zaklęcie stworzone przez Poranek. Nie mogłem go dokończyć, nie znając niektórych szczegółów. A teraz przekleństwo jest dokończzone.

— A jesteś w stanie je zdjąć, panie?

Władca milczał.

— Nie wiem. Przecież nie jestem magiem, jak słusznie zauważyłeś. Wszystko zrobił Poranek, jeszcze wtedy. On wypuścił strzałę i ona leci do dziś, a my tylko podstawiamy pod nią potrzebne nam tarcze...

— Mogę o coś zapytać?

— Tak.

— Czy to ty go zabiłeś?

Władca odkaszlnął. Zerknął na Razwijara i pokręcił głową:

— Poranka zastrzelił jego własny ojciec. To szczerą prawdą. Nie mógłbym go zabić, tak i...

Zamilkł, zmarszczył czoło, jakby przysłuchując się czemuś wewnątrz siebie. Razwijar siedział, spoglądając na rozgwieżdżone niebo. W dali słychać było przytłumiony szum potoku.

— Chimajrydzi jak przedtem będą murem między nami a Imperatorem. O, tak, oni staną murem, Imperator nie może ani ich kupić, ani przestraszyć, ponieważ to ja mam władzę nad łonami chimajrydzkich kobiet. Oto jakie dziedzictwo zostawił mi Poranek Bez Skazy.

Ogniki gwiazd podrygiwały, niebo zdawało się przewróconą taflą wody.

— Władco, czy nigdy nie słyszałeś o plemienu, które zwie siebie „Pagóraki”?

— Nie. — ciemna postać wyodrębniła się od konturów balustrady balkonu, władca opadł na fotel naprzeciwko rozmówcy, wziął puchar z pianistym, ciemnym napojem. — Podobne to do samozwańczej nazwy pewnego nielicznego ludu, żyjącego w głuszy, z daleka od Imperium...

— W lasach.

— Skąd wiesz?

— Pamiętam — Razwijar uśmiechnął się. — To moja rodzina. Ojciec był z Pagóraków, a matka...

— Heksem.

— Tak. Przywieziono ją do osady, kiedy była małą dziewczynką. Wierzchem na dwunogiej jaszczurce.

— Dziecko Heksów? Wierzchem? Samo? Niczego nie przekręcasz, nie mylisz faktów?

— Nie.

- Dziwne — władca zamilkł na chwilę. — A kto sprzedał cię w niewolę?
- Nie pamiętam. Pamiętam ogień, gdy osada spłonęła.
- Chcesz odszukać zgliszcza? — Władca obnażył zęby w uśmiechu.
- Nie wiem, czego szukać. On mi powiedział, żebym nie starał się odnaleźć Heksów.
- On?
- Bibliotekarz. Ten, którego zabili.
- Złoci potrafią nienawidzić, jak ani ty, ani ja nie umiem — władca zakołysał w połowie pustym pucharem — Heksi to dla nich nie ludzie i nawet nie zwierzęta.
- On mnie uratował. Przed pewną śmiercią.
- Mroczna historia... Wiesz, że bibliotekę spalono?
- Co?!

Kilka minut Razwijar siedział nieruchomo. Łzy spływały po jego policzkach, po wargach, kapały z podbródka.

— Dzieło rąk Nowa, rywała Paznokcia. Władzę nad Fier przejmie ten, kto wyróżnie w pień nocnych baronów... To doskonale rozumie Imperator.

Razwijar ukrył twarz w dłoniach.

— Rynek niewolników przeszedł teraz w ręce Nowa — spokojnym głosem kontynuował władca. — Zobaczmy, jak długo przetrwa... Nie chciałem ci mówić. Ale i tak byś się dowiedział.

* * *

Martwy chimajryd spoczywał na kwadratowym kamieniu. Tak jak ostatnim razem, władca postawił lampkę u jego wezglowia. Poranek Bez Skazy, mag, który przeklął współplemieńców, jak poprzednio leżał na boku, podciągnąwszy pazurzaste łapy i składając ręce na piersi. Razwijar przypomniał sobie: „W wielu niepokornych klanach ludzie przestali nazywać poranek porankiem, żeby nie wspominać imienia strasznego czarodzieja–niewolnego”. Drgnął płomień lampy.

— Coś się zmieniło — głośno powiedział Razwijar.

Jego strach przed zamkniętą przestrzenią, nie to, żeby przepadł, ale wyblakł jak tkanina na słońcu. Martwy chimajryd w na wpół zetłalym mundurze, jego zamknięte oczy, podania o bogach, którzy zrodzili klany, bogini Wof, która wstąpiła w związek z górskim wodospadem, głowy na pikach, Jezioro Urodzaju; wszystko to było o wiele większe od Razwijara i jego strachu. Razem z krwawą historią, którą uosabiał leżący na kamieniu, wstyd było wspominać o własnej małej bojaźni.

W podziemiu naprawdę coś się zmieniło. Nieboszczyk zmizerniał, a jego skóra zmarszczyła się, pociemniała. W nieruchomym wcześniej powietrzu, teraz dawały się odczuć podmuchy — przygodne, niestałe. Na kamieniu pojawiła się wilgoć.

Władca obejrzał się, podnosząc lampkę. Na gładkiej posadzce leżały oderwane z sufitu kamienne odłamki, których wcześniej nie było.

— Co to? — zapytał Razwijar.

— Nie wiem — władca wciągnął nosem powietrze.

— Może to nowe zabudowania... a może góra osiada?!

— Nie — powiedział władca, a od dźwięku jego głosu Razwijarowi mrówki przebiegły po plecach.

Postawił lampkę u wezglowia nieboszczyka i wyjął coś z kieszeni. Razwijar zobaczył pierścień z wielkim turkusowym kamieniem — pierścień, który wcześniej był na palcu chimajryda.

— Nie potrzebuję tego, co twoje, Poranku Bez Skazy — z tymi słowami władca zwrócił pierścień na martwy palec. — Zrobiłem to, co ty miałeś zamiar zrobić. Możesz być zadowolony. Płomień w lampce ożywił się i zamarł nieruchomy.

* * *

— Już poranek — powiedziała.

Razwijar podskoczył na łóżku.

— Co?!

Skrzydłaczek, dziewczyna bez pamięci stała przy oknie.

— Poranek, świt. Czego się przestraszyłeś?

— Niczego — przetarł oczy. — Odejdź.

Odeszła, jak zawsze, bez jednego słowa. Razwijar wyszedł na długi balkon, porośnięty zielenią i umył się wodą leącą prosto z wodospadu.

„I umrzesz, kiedy zobaczysz siebie, zamkniętego w skorupie swoich ograniczeń, bezwolnego, tracącego życie”. Czuł się zamknięty, nawet stojąc na szczycie góry, pod otwartym niebem. Skurczoną poczwarką w jajku ogniewuchy.

— Miedziany Królu — odezwał się Razwijar. — Miedziany Królu... co by takiego ci zaproponować w zamian za to, czego pragnę?

W zamyśleniu przebierał swoje rzeczy, najdroższe, i nie znajdował niczego, co byłoby choć trochę godne ofiary. Nawet księga „Kroniki chimajrydów” przebita strzałą i podtopiona w strumieniu, była już *przeczytana*. Gdyby Razwijar domyślił się, żeby oddać ją do biblioteki Miedzianego Króla, ledwie otworzył pierwszą stronicę. O tak, wtedy byłaby to godna ofiara.

Razwijar podstawił głowę pod lodowate strugi, spływające z wysokich lodowców. Jednak przeżyje całe życie i nigdy więcej nie otrzyma tego, „co jest mu potrzebne”; a przecież jemu najbardziej potrzebne jest to nieznanne, co może dać tylko Miedziany Król...

Słońce świeciło poprzez padającą wodę. Razwijar popatrzył na góry. Nagle zobaczył poruszenie na odległych drogach.

* * *

— Zaczęło się — powiedział władca. — Idą. Chcesz popatrzeć?

I ustąpił miejsca przy lunecie. Razwijar przycisnął twarz do jeszcze ciepłego okularu i zobaczył znak na nowej granicy — pikę z białą czaszką na ostrzu. Już dawno żaden chimajryd nie zdecydował się zbliżyć do tej tyczki.

Odrobinę odwrócił tubus. Mignęła droga i znikła, Razwijar zobaczył rozmyte niebo i cień skały i tak samo rozmyte, miarowo poruszające się postacie. Zagryzł wargi. Wolno i starannie przekreślił okular.

Ścisłym szeregiem szli półludzie czarnej maści i inni, w szare i żółte pasy. Twarze czworonogów były zakryte hełmami. Na ich grzbietach siedzieli jeźdźcy, także w hełmach, w napierśnikach, z łukami na ramionach. Toczyli się jak potok i na oczach Razwijara mijali przygraniczną wiechę, nawet na nią nie patrząc.

— Nie wyglądają na takich, co przychodzą po łaskę na kolanach — powiedział Razwijar.

— Tym gorzej — władca był ponury. — Są głępsi niż myślałem. Wiesz przecież, że nie chciałem ich zabijać, a teraz będę musiał.

Razwijar jeszcze podkreślił okular. Jeźdźcy zeszli z kamiennej drogi na gruntową i ich strumień otoczył żółty pył.

— Unicestwię kwiat ich wojska — powiedział władca gorzko. — I kto wtedy będzie służył jako mur między moimi włościami a Imperatorem?

— Jest ich bardzo dużo władco — powiedział Razwijar.

— Tym gorzej. Nie chciałem takich ofiar.

— Będą dzisiaj pod zamkiem. Za kilka godzin.

Władca wyszczerzył poźółkłe zęby:

— Chciałbym, żebyś podzielił się ze mną tym ciężarem. Półsetkę larw ja wezmę na siebie, a ty... ile możesz.

* * *

Wojsko chimajrydów rozsypało się po stoku wąwozu. Półludzie zasłaniaли tarczami siebie i jeźdźców. Mieniły się heraldyczne czerwienie, czernie, biele na tarczach z symbolami klanów. Długie piki sterczały nieruchomo, tylko wstęgi na ich szczytach falowały na wietrze. Razwijar mimowolnie zachwycił się tym monumentalnym widowiskiem.

Strzelcy czekali przy otworach strzelniczych dolnej i środkowej galerii. Chimajrydzi, balansując na stromej skale, czasami pojawiali się na odległość strzały, ale rozkaz trzymał w ryzach zamkowe wojsko. Nakazane było nie strzelać, więc strażnicy czekali, klnąc i spluwając na kamienną podłogę.

— Patrzcie ich, jak się postarali.

— Do czego to doszło! Zamku im się zachciało!

— Sami sobie winni. Nikt ich tutaj nie zapraszał.

Wielu milczało, większość z nich stanowili ci, którzy byli na wyprawie za przełęczą i pamiętali rzeź nad Jeziorem Urodzaju.

Pogoda gwałtownie się zmieniała. Nadciągnął porywisty wiatr, zbierały się chmury.

— Na co czekamy? — zapytał Razwijar.

— Niech powiedzą pierwsze słowo — odparł władca, pocierając nasadę nosa. — Chcę zrozumieć, na co oni liczą.

Razwijar dotknął opalonej szczęki i zmarszczył czoło. Rozbijali skorupy, larwy wrywały się na wolność razem ze strumieniami żaru. Nie chroniły ani napierśniki, ani hełmy. Teraz, w podziemnej galerii, gdzie nie było otworów strzelniczych, czekało na swój czas równo sto ogniewuch. Połowa z nich była posłuszna władcy, połowa — Razwijarowi.

— Co im rozkazać... na wypadek, gdyby mnie zastrzelili?

— Zabijać — głucho odezwał się władca. — Zabić wszystkich chimajrydów i skoczyć do wody.

— Może wyprowadzić je na powierzchnię, niech chimajrydzi popatrzą?

— Oni wiedzą o nich, Razwijar. Nie odejdą. To coś innego — władca nie odrywał się od lunety. — To coś innego, Razwijar... Patrz!

Spomiędzy szeregów jeźdźców wyszedł człowiek. Widać było, jak ostrożnie wybiera miejsce na stopy, bojąc się potknąć na stromym zboczu. Wspiął się na kamień, zwisający nad przepaścią jak wielki stopień. Zatrzymał się, podniósł głowę i zdawało się, że popatrzył w oczy każdemu z obrońców zamku.

— Zabij go Razwijar — ostro powiedział władca.

Razwijar poderwał łuk, znając jego siłę i czując kierunek wiatru, widząc lot strzały jako długą linię i ostatni punkt na piersi człowieka na kamieniu. Ale moment przed wystrzałem człowiek poderwał ręce i zachmurzone niebo nad zamkiem zrobiło się prawie czarne.

Razwijar wystrzelił. Wiatr, który nadleciał, przechwycił strzałę i linia jej lotu urwała się. Razwijar wystrzelił jeszcze raz — obok.

— Zabijać! — krzyknął władca i w pierwszym momencie nie było wiadome, do kogo zwrócony był rozkaz — ale już po chwili potok żarzących się, gorących istot rozepchnął drewniane wrota dolnej galerii i wylał się na drogę przed zamkiem. Było to pięćdziesiąt ogniewuch posłusznych władcy. Razwijar, pochłonięty strzelaniem, spóźnił się z komendą. W gwałtownie zgęstniałej ciemności skrzydła poczwarał palily się płomieniem. Purpurowe odbłaski padały na kolorowe tarcze zbliżające się z naprzeciwka i nie potrzeba było lunety, żeby dostrzec przerażenie, jakie ogarnęło wrogą armię.

W tym momencie człowiek na kamieniu coś krzyknął i z czarnego nieba lunął deszcz, ale nie po prostu deszcz — ulewa, wręcz ściana wody.

Ogniewuchy zdążyły dotrzeć do pierwszych szeregów Nagórenów.

Dał się słyszeć krzyk, jednoczesne wycie dobywające się z wielu gardeł. Armia chimajrydów drgnęła, ale nie wycofała się, a larwy syczały pod potokami wody, traciły ogień i gasty. W ciągu kilku minut ich ostygłe ciała, przebite włóczniami i strzałami, stoczyły się po zboczach do rzeki.

— Szuu — wydyszał władca.

Deszcz smagał kamienie i metal. Zbocze, na którym stała armia chimajrydów, zrobiło się śliskie, nieprzerwanym potokiem spływała po nim woda. Łała się po tarczach, wstęgi na pikach obwisły martwymi ogonami. Pięćdziesiąt larw posłusznych Razwijarowi, czekało na swój czas w podziemnej galerii.

— Jesteś panem zamku — rwącym głosem powiedział władca.

— Słucham?

— Jesteś zdolny, maleńki Heksie. Do czego jesteś zdolny... Wiedziałeś? Jesteś z nimi w zmowie?

Razwijar odwrócił głowę. Władca wydał mu się oszalałym w tej chwili, gdy wymawiał słowa. Jego zdrętwiałe oczy patrzyły na Razwijara i jednocześnie poprzez niego, i jednocześnie w środek jego umysłu.

Razwijarowi ścisnęło gardło:

— Jak mogłeś tak pomyśleć, panie?!

Władca roześmiał się. Powiódł dłońmi po mokrych włosach; woda ściekała pod dach balkonu, spływając z góry. Stan rzeki w wąwozie podnosił się z każdą chwilą. Wzburzona woda ryczała, obracając kamienie i zalewając drogę. Wodospady, jeszcze do niedawna ciekące subtelnymi wstęgami, teraz parły gryząc skałę i wyły przy tym jak bentalskie smoki.

— Zmyje ich — szeptem powiedział władca. — Ich też zmyje.

Jakby słysząc jego słowa, człowiek na kamieniu — przemoczony do suchej nitki, z cienką koszulą oblepiającą ciało — wykonał ruch ręką i ściana deszczu przesunęła się bliżej zamku. Rzeka była teraz granicą, po jednej stronie nieprzerwanym potokiem łała się woda, po drugiej — świeciło słońce, a mokre tarcze chimajrydów płonęły jak drogocenne kamienie.

— Szuu — wyjęczał władca. — Dogadali się z Imperatorem. Oddali swoją wolność, życie swoich dzieci... za zemstę!

— To mag? — powoli zapytał Razwijar.

— Tak. To imperatorski mag.

— Mamy jeszcze ogniewuchy w piecu. Nie wezmą zamku.

— Zamek — władca pokręcił głową — Słyszysz? Już drży. Już rozkruszają się kamienie. Nie muszą brać zamku, po prostu nas zmyje jak kupę gówna w portowym rynsztoku.

Na galeriach niósł się krzyk ludzi. Zamek chwiał się. Woda starła się z kamieniem i ogarnęła kamień. Razwijar zobaczył, niczym na jawie, jak napełniają się wzburzonymi wodami dolne kondygnacje budowli, jak woda zalewa piec pełen ogniewuszych jaj, zabijając nieobudzone poczwary. Jak podnosi się błotnista ciecz pod samym gniazdem ogniewuchy, jak zalewa gniazdo, a składające jaja stworzenie, którego Razwijar nigdy nie widział, zdycha, swoim ciałem doprowadzając do wrzenia wodę w jamie.

Zobaczył, jak potok zalewający szyb błotnistą pianą podchodzi do ciała leżącego na kamieniu chimajryda. Jak go otacza, podnosi i, przełamawszy ścianę, wynosi daleko, do rzeki. Razwijar nie mógł widzieć, ale dokładnie sobie wyobrażał, jak nieboszczyk pływa, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a na wskazującym palcu połyskuje wielki turkusowy kamień.

— Co robić? Rozkazuj?

Władca uśmiechnął się.

— Rozkazuj! — ryknął Razwijar. — Co robić! Atakujemy? Zdawało mu się, że krzyczy — tak naprawdę jego głos był ledwie słyszalny poprzez grzmot ulewy.

Po twarzy władcy ciekły strugi deszczu. Nagle wyciągnął rękę i pogłaskał Razwijara po głowie.

— Ludzie nie przejdą tej rzeki, chłopcze. Trzeba zabić maga. Nie wiem jak. Wymyśl coś.

Potok już zalewał drogę, wrywając i ciągnąc po dnie duże i małe kamienie. Razwijar rzucił się po schodach w dół; po stopniach spływał strumyczek, woda przenikła do wewnętrznych korytarzy, a na dolnej galerii stała po pas. Tutaj pływały, kołysząc się, ciała zdechłych ogniewuch.

— Szuu — powiedział Razwijar, nieświadomie naśladowując władcę.

Na środkowej galerii kłębili się zagubieni strażnicy. Razwijar usłyszał głos dziesiętnika Brana:

— Do okien strzelniczych! Wszyscy! Celować w maga, w człowieka na kamieniu! Strzelać!

Chmarą wyleciały strzały, uderzyły o tarcze, zatłukły o kamienie. Wiele, nie dolatując do celu, powpadało do rzeki. Z góry chlastał tak potężny strumień wody, że strzała tonęła w nim, nie przelatując nawet połowy drogi.

Razwijar oparł się ramieniem o okno strzelnicze. Powoli, bardzo powoli naciągnął cięciwę. Oddaliły się krzyki i przekleństwa, tylko deszcz chlastał po kamieniu i potok ryczał, rozlewając się coraz szerzej.

Po chwili uniósł strzałę wyżej. Jeszcze wyżej; ostrze teraz patrzyło w niebo, w wąski błękitny pas nad wierzchołkiem góry.

Puścił cięciwę.

Strzała wzbijała się, przesywając wodną zasłonę, ale nie zdołała wznieść się wysoko. Lot jej załamał się, gnana deszczem, strzała poleciała w dół, jakby stając się jedną z kropel i uderzyła człowieka na kamieniu nie w czoło i nie w pierś.

Grot strzały utknął w ciemieniu.

* * *

Do wieczora wszystko było oczywiste.

Potok rozdzielał wrogów. Nikt nie mógł go przejść, ale deszcz ustał i chmury się rozeszły. Strażnicy, ukrywając się za ocalałymi ścianami, rozstrzeliwali chimajrydów, utrzymujących się na śliskim stoku wąwozu. Toczyły się do rzeki kamienie i grudki gliny, toczyli się martwi i zranieni, a woda niosła ich, uderzając w rozryte brzegi. Pierwszy został uniesiony trup maga.

Część wrogiego wojska uciekła na sam szczyt góry i stamtąd posyłała strzały, ale strażników chroniły fortyfikacje. Wszystko, co strzelało lub miotało kamieniami, wszystko, co atakowało na odległość, zostało wciągnięte na środkową i górną galerię, a katapulty miotały wciąż odłamkami murów wież, częściowo niszcząc stoki.

Potem przeciwległy stok osunął się. Ocalali chimajrydzi wyrwali się i uciekli za grzbiet góry, pozostali stoczyli się w wodę razem z głazami narzutowymi, warstwami gliny, razem z lawiną tłuczni. Bieg rzeki został zatamowany. Ciecz koloru gliny zaczęła się miotać, szukając sobie nowego koryta, ale woda w potoku już wysychała, a wkrótce wyczerpała się zupełnie.

Zamilkły wodospady.

Wąwóz trwał, zniekształcony żywiołem, a stojące jeziora otaczały na wpół zrujnowany zamek.

Władca obwieścił zwycięstwo. Potem sam przeszedł się po zamku, sprawdzając szkody, uspokajając przerażonych rzemieślników, wydając surowe rozkazy nadzorcom. Prawie wszyscy ludzie ocalili: dwóch strażników zostało zranionych i dwóch niewolników utonęło. Zaczęły pracować pompy, wypompowując wodę z dolnych kondygnacji; piec wygasł, a jaja ogniewuch były martwe.

— To znaczy, tak — powiedział władca, a jego oczy zwięzły się prawie do poziomych kreseczek — To znaczy, tak.

Nastała noc, ale w zamku nikt nie spał. Niewolnicy, nadzorcy, strażnicy, kobiety — każdy był zajęty pracą, w zamieszaniu rekonstrukcyjnych prac niezauważalne było złowieszcze milczenie wodospadów. Władca wezwał do siebie Razwijara i dokładnie zamknął drzwi.

— Stawałem wobec wielu różnych wyzwań — powiedział ponuro. — Przyjmę i to. Najgorsze jednak, że nie będzie wody...

— Wody?! — Razwijar chrząknął nerwowo.

— Mag wylał całą wodę, zabrał ją stąd. Będziemy mieli śmierdzące stojące kałuże — i ani kropli deszczu, ani łyżeczka z czystego wodospadu. A potem i kałuże wyschną i zostaniemy bez wody na wiele dni. Dopóki nie uspokoją się góry, dopóki nie ożyją rzeki... Szuu. Niewolnicy w Fier podrożają. To ja zbiję ich ceny, sprzedam prawie za darmo półsetkę ludzi.

Milczał. Od momentu, kiedy strzała wbiła się w ciemność czarownika i ten upadł, a ostatnie krople deszczu upadły wraz z nim, Razwijar żył jak poczwara ogniewuchy, podporządkowując się rozkazom. Sam sobie był panem i niewolnikiem, kazał sobie strzelać i biegać, ale teraz chciał tylko położyć się i zamknąć oczy. Przestać myśleć. Przestać być.

— Nie wiem — władca przechadzał się po komnacie, pocierając nasadę nosa, kołyszając czarną, siwiejącą głową. — Może... Tak. Ludzi zrobi się mniej. Będziemy wozić wodę z Kipieli. A przecież nawet nie wiemy, czy i tam jezioro nie zrobiło się płytkie. Nie wiemy, czy przeżyli górale i czy ich stada są całe. Mamy zapas żywności na kilka dni. Ogniewucha martwa, piec zgasł... Szuu. Zapłacą mi za to.

— Przecież oni zjednoczyli się z Imperium — przypomniał Razwijar.

— Zjednoczyli się? Są niewolnikami Imperium. Ich oczekiwana zemsta nie zrealizowała się... albo owszem, dokonała się, ale nie w pełni. Mag nie żyje. Imperator nie pochwalił za to ich przywódców. Zresztą... teraz Imperator przejdzie przez ich ziemie jak skalny robak przez góry i weźmie zamek gołymi rękami... To znaczy to, co zostało z zamku.

— Siadaj.

Razwijar usiadł naprzeciw. Władca wpatrywał się w jego twarz tak badawczo, że ten poczuł się nieswojo, siedząc na drewnianym taborecie. Pochwa stuknęła o nóżki krzesła.

— Dziękuję ci — wolno powiedział władca. — To ty go zabiłeś. Inni nie byli w stanie.

— To przypadek — wymamrotał Razwijar, czując jak w poprzek gardła staje mu twardy kamyk.

— Nie, to nie przypadek — ręce z cienkimi palcami zacisnęły się na podłokietnikach. — Wybacz... tak się wszystko potoczyło.

— Służyłem ci, władco — powiedział Razwijar. — I będę służył.

— Dziękuję. Przywiozłeś mi księgę.

— Tak, księgę, która wpadła do potoku.

— Ale ty ją odtworzyłeś. I dzięki tobie sprawiedliwość się dokonała.

Razwijar pomyślał sobie, że ta sprawiedliwość do niczego dobrego nie doprowadziła, ale postanowił to przemilczeć.

— Żałuję, że nie jesteś moim synem, Razwijar — cicho powiedział władca. — Jesteś podobny do mnie, kiedy byłem młody. Chciałbym, bardzo chciałbym mieć takiego syna.

Razwijarowi zapało dech. Wiele pragnął powiedzieć, ale słowa utknęły mu w gardle.

Władca uśmiechnął się — smutno i bardzo łagodnie rzekł:

— Ale nawet to nie ma znaczenia. Nie byłbyś mi droższy, gdyby w twoich żyłach płynęła moja krew. Wierzysz mi?

— Ja...

Chciał powiedzieć, że w życiu zdążył już być niepotrzebną rzeczą, nikczemnym niewolnikiem, że stał się człowiekiem i żołnierzem tylko dzięki łasce władcy. Język odmówił mu posłuszeństwa. Milczał, z oddaniem patrząc w oczy rozmówcy.

— Tak — władca dziwnie się uśmiechnął. — To... wszystko co mogę. Chyba...

Władca wstał, wciąż się uśmiechał.

— Nie ruszaj się, siedź...

Jego lewa ręka legła na głowie Razwijara.

— Siedź — w głosie tego człowieka pojawiły się nutki, od których Razwijar poczuł mróz na skórze. — Miedziany Królu, Miedziany Królu. Weź, co jest mi drogie...

Klinga Razwijara rąbnęła po ręce w tym momencie, kiedy ta zaczęła unosić się w znajomym geście. Władca uchylił się. Jego prawa dłoń wzleciała i, rozbryzgując krew, plusnęła w basen pośrodku komnaty.

Razwijar odskoczył. Stał, ściskając zakrwawiony miecz i patrzył na władcę z takim przerażeniem, że ten znalazł w sobie siłę, żeby się uśmiechnąć:

— A... No tak. Powinienem był... domyślić się.

Krew lała się z jego przeciętych tętnic.

— Nie chciałem... — bezdźwięcznie powiedział Razwijar.

— Nikt nie chciał — władca uśmiechał się, blednąc w oczach.

— Trzeba ścisnąć... — Razwijar zmieszany opuścił klingę i wtedy władca wyciągnął miecz lewą ręką. Heks zdążył postawić swoje ostrze, ale zatrzymać uderzenia nie zdołał. Pchnięty, poleciał w tył, uderzył plecami o ścianę i upadł, a krew władcy padła mu na twarz.

— Miedziany Królu — dał się słyszeć przerwany szept. — Weź, co jest mi drogie...

Wtedy Razwijar pchnął ostrzem ostatkiem siły, na oślep.

I przebił pierś władcy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Drogi, po której chodziły karawany z żywnością, już nie było. Razwijar przedzierał się w ciemnościach, co chwila ryzykując wpadnięcie na osuwisko albo stoczenie się w przepaść. Niekiedy pełził na czworakach, wymacując rękami przed sobą chwiejące się, śliskie kamienie. Należałoby zatrzymać się i doczekać świtu, ale Razwijara gnał paniczny strach.

Nie bał się, że go złapią i oskarżą o zabójstwo. W ogóle o tym nie myślał. Strach, który go opanował, miał zupełnie inny charakter. Najbardziej ze wszystkiego na świecie Razwijar chciał zapomnieć o tym, co zdarzyło się w zamku. Słowa: „Żałuję, że nie jesteś moim synem”. Widok odrąbanej dłoni, która wpada do basenu. Przymilny szept: „Miedziany Królu, Miedziany Królu”.

Razwijar parł przed siebie, brodząc po kolana w wodzie, potykając się i upadając, grzęznąąc w rozmytej glinie. Czyż nie wiedział, że ofiarą dla Miedzianego Króla jest tylko to, co najdroższe dla człowieka?!

Przypominał sobie szczegóły, na które wcześniej nie zwracał uwagi. W zamku szeptano, że Razwijar zczarował władcę; że „maleńki Heks” jest zapewne jego rodzonym synem. Chodziły i inne słuchy, ale on okazał się naiwny i zbyt niedoświadczony, żeby zrozumieć wieloznaczne spojrzenia, przypadkowe słowa niektórych zawistnych strażników. Był za bardzo zajęty sobą i swoimi wspomnieniami o lesie, a także księgami, mieczami, strzałami, zwycięstwami, zabijaniem, pierwszym doświadczeniem potęgi z racji posiadanej władzy. Schlebiali mu to, że władca „widzi go na wskroś”, przecież nie miał niczego do ukrycia przed nim...

Razwijar wyobraził sobie, jak wedle woli Miedzianego Króla taje w powietrzu jego ciało. Tak znikła ze świata kromka chleba na galerze i ogarek świecy w lochu. Gdzie one teraz są? Na jakim spoczęły ołtarzu?!

Razwijar, wciąż potykając się, biegł. Przepływał stojące ni to jeziora, ni to gigantyczne kałuże. Kilka razy natknął się na trupy, leżące na kamieniach niczym kupy szmat moknące na płyciźnie. W uszach wciąż słyszał gderliwy głos starego Latarnika: co jest dla ciebie drogie, to kładziesz. Co jest dla ciebie drogie. Rzecz. Człowiek. Razwijar potrząsał głową. Chciał zapomnieć, nie chciał wierzyć, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Gdyby teraz zaproponowano mu „słodkie mleczko” wypiłby do ostatniej kropli.

Warstwa gliny i drobnych kamieni spelzła na dno wąwozu, wlokąc za sobą biegnącego. Wydostał się spod zwału, pomagali sobie krótkim mieczem i popelził w górę jak ślepy ślimak. Niebo poszarzało, pogasły gwiazdy, już można było rozróżnić zarysy gór. Razwijar ruszył szybciej. W końcu natrafił na coś w rodzaju ścieżki. Na stoku zupełnie pojaśniało i zobaczył zryty wodą wąwóz, nieruchome, głębokie kałuże w miejscach, gdzie przeszła rwąca woda oraz trupy dwunogich i czworonogich chimajrydów, wielu oszpeconych, roztrzaskanych o ostre wyłomy skalne.

Razwijar odwrócił się. Gdyby go wczoraj zabili, umarłby jak żołnierz i nie wiedziałby tego, co wie teraz. I nie pamiętałby rwącego się szeptu — „Miedziany Królu...”

Osunął się na kolana i usiadł na kamieniu. Przeczekał zawrót głowy i podniósł się. Poszedł dalej, z trudem przestawiali nogi, niekiedy opierając się na długiej klindze i tak szedł nie będąc w stanie myśleć, nie rejestrując upływającego czasu. Kiedy słońce podniosło się już całkiem ponad szczyty i zaczęło przypiekać, Razwijar znalazł ciemne miejsce pod żółtoszarą poszarpaną wiatrem skałą, upadł i zasnął.

* * *

Po południu obudził się i długo nie mógł pojąć, gdzie się znajduje. Wokół wznosiły się skały, ich cienie powoli wydłużały się, zakrywając rzadkie kępki wypalanej trawy, krzaki z drżącymi białymi kwiatami, kamienne tarcze pokryte zielonymi wzorami mchu. Było bardzo cicho. Razwijar znalazł bezgłośny strumyczek, sączący się tylko i kilka minut zlizywał wilgoć z mokrego kamienia.

Potem rozejrzał się.

Niedaleko sterczała przekrzywiona pika.

Nowa granica ustanowiona przez władcę. Pomyłka, kosztująca go władzę i życie; na ostrzu piki nie było czaszki. Nieopodal Razwijar zobaczył stos kamieni ułożonych w stożek.

Wkroczył na ziemie chimajrydów.

* * *

Wśród kamieni żyły człapacze — tłuste, ale zwinne zwierzęta o basowych głosach. Nocami ni to śpiewały, ni to melodyjnie wzdychały, wylaząc z nor. Razwijar nie zdołał ani razu złapać człapacza, ale za to drugiego dnia wędrówki znalazł w szczelinie gniazdo z wielkimi, kulistymi, złotobrazowymi jajami.

W południe słońce rozgrzało kamienie. Razwijar znalazł czarny płaski kamień i podsmażył sobie na nim jajecznicę. W zamku gardzono jajami człapaczy, ale pasterze i ludzie z karawan, ci mniej wybredni, jedli je nie chorując i nie narzekając. Razwijar był strasznie głodny, dlatego przełknął wszystko bez soli i przypraw, prawie nie zauważając lekkiego posmaku pleśni. Właśnie z powodu tego smaku jaja człapaczy uważano za pośledniejsze jadło.

Syty odpełził w cień i zamknął oczy. Od razu zobaczył mapę; grube paski oznaczające grzbiety górskie i podwójne kreseczki przełęczy. Kreskowania, oznaczające typy terenu, różne linie wyznaczające potoki i jeziora, granice klanowych terytoriów. Dwugłową skałę, pod którą spędził dzisiejszą noc.

I potok pełen wody na mapie, a teraz w połowie wyschnięty. Idąc wzdłuż koryta, Razwijar miał nadzieję w ciągu kilku dni przekroczyć granice Imperium.

Co zamierza robić w Imperium? Nie wiedział. Początkowo po prostu szedł gnany strachem, nie myśląc, w jakim kierunku podąża. Pozbawione wody góry wysychały, dotychczas zielony mech stawał się bury, więdły kwiaty. Po raz pierwszy Razwijar przypomniał sobie mapę, żeby nie umrzeć z pragnienia. Mag, bez względu na to, jak silny by był, nie mógł wyssać z tej ziemi całej wody, a to oznaczało, że wielkie strumienie i jeziora powinny być się zachować. I mapa pomogła Razwijarowi, dzięki niej doszedł do płytkiego, ale jeszcze żywego strumienia, napił się i w myślach pobłogosławił człowieka, który tak dokładnie zmierzył i tak szczegółowo opisał tę ziemię.

A potem w myślach prześledził bieg tego strumienia na mapie i zobaczył, że wpada on do dużej rzeki przy samej granicy Imperium. I zdecydował się iść wzdłuż koryta. A potem, co ma być, to będzie.

Kilka razy spotykał przy drodze świeże mogiły chimajrydów, ale żywych nie widział ani razu. O tym, co się stanie, jeśli na swoich ziemiach złapią go czworonożni ze swoimi jeźdźcami, nie chciał nawet myśleć. Stronił od odkrytych miejsc, ukrywał się w załomach skał, szedł o zmroku i nocami, jeśli były gwiazdy. Za dnia szukał dla siebie pożywienia i odpoczywał. W długich kałużach, resztkach wody w wyschłym korycie, zdarzały się ryby i można je było łowić rękoma.

Cisza, pustka, słońce za dnia i gwiazdy nocą, zupełnie odkryta przestrzeń nad głową, powoli przywróciły równowagę w duszy Razwijara. Dręczący, duszący strach odszedł, przedzierając się teraz tylko poprzez tkaninę snu.

We śnie starał się wyrwać z pajęczyny Cza, a władca szedł ku niemu, uśmiechając się i wypowiadając słowa zaklęcia, Razwijar wyrwał się, przeklinał, błagał, często budził się we łzach i z ogromną ulgą stwierdzał, że koszmar się skończył. Zachodziło słońce, nad rozgrzanyimi kamieniami drżało powietrze, prawie niesłyszalnie szemrał potok; Razwijar mył się, dojadał resztki dziennego posiłku i szedł wzdłuż koryta, nie obawiając się zbroczyć z trasy.

Do granicy Imperium zostało, według jego obliczeń, dzień lub dwa dni wędrówki. Strumień zrobił się głębszy, ożyły góry, wokół znowu kwitły kwiaty, latały motyle, zdarzały się nawet ptaki — czerkuny i inne, szare, których nazwy Razwijar nie znał. Zmęczony wędrówką położył się spać na zielonej podściółce z mchu, długo męczył się w koszmarze z pajakiem i Miedzianym Królem. Śniło mu się, że ma związane ręce i nogi. Obudziwszy się, zrozumiał, że rzeczywiście jest związany już nie we śnie, a na jawie.

Leżał na plecach. Jego własny miecz wisiał nad nim, ostrzem prawie dotykając gardła. Była godzina zachodu, cienie się wydłużyły. Ten, kto wziął go w niewolę, stał twarzą na wschód, za jego plecami wisiało pomarańczowe słońce i Razwijar widział tylko sylwetkę wroga — sylwetkę czworonożną. Chimajryd nerwowo przestępował przednimi łapami, słońce to wystrzeliwało z za jego ramienia, to chowało się za plecami i wtedy wydawało się, że postać oprawcy roztacza blask.

Nie zabił śpiącego — to dawało jakąś nadzieję. Po prawdzie jednak, Razwijar nieszczególnie się łudził, bowiem w niektórych przypadkach Nagóreni uśmiercali wrogów uroczyście, publicznie i bardzo długo.

— Czego... — zaczął Razwijar i pojął, że w ustach mu zaschło, a jego głos brzmi żałośnie.

Ostrze dotknęło zagłębienia pod lewym obojczykiem. Prawdopodobnie chimajryd rozbudził go po to, żeby nacieszyć się strachem i rozpocząć wroga.

— Lubisz życie, prawda? — dał się słyszeć schrypnięty młody głos. — Tylko spróbuj się ruszyć!

— Idź do Szuu — wydusił Razwijar.

Czworonożny znowu przestąpił z łapy na łapę. Razwijarowi zdało się, że w jego ruchach dostrzegł zakłopotanie.

— Poznałem cię — powiedział chimajryd. — A ty mnie znasz?

— Nie — przyznał Razwijar i zmrużył oczy. — Nie widzę cię.

Czworonożny odczekał chwilę, potem przesunął się na bok, wypuszczając słońce z za pleców, ale nie odrywając ostrza od szyi jeńca. Razwijar zamrugał. Chimajryd był smagły, jego rudawe, wijące się włosy zlepiły się w sople, nad górną wargą ciemniał wąski pasek. To była zmęczona ludzka twarz. Razwijar był pewien, że widział ją wcześniej, ale dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, gdzie się spotkali. Do gardła tego młodego chimajryda sam przyciskał klingę, sam go złapał — a potem wypuścił.

— Przeżyłeś — powiedział Razwijar. — Szkoda — dodał po drwili.

Chimajryd zacisnął i bez tego cienkie wargi:

— Oczywiście, dla ciebie *bardzo szkoda*. Trzeba było mnie dobić, nieudaczniku.

„Oni nie mszczą się śmiercią za śmierć i nie nagradzają za ocalenia życia — powiedział Razwijar, z trudem poruszając wyschniętymi wargami. — Uważa się, że życie zupełnie nie może przynależeć do stworzenia. Bierze się je w zastaw u bogów, u potem zwraca...”

Przewróciła się stronica wyobrażonej księgi i przepadła. Piekły nadgarstki ściśnięte sznurem. Czworonożny milczał zakłopotany.

— Czemu się wahasz? — ostro zapytał Razwijar. — Może nie masz ochoty zabijać tego, kto cię oszczędził? Albo... nie jesteś tutaj sam?

— Tego bał się najbardziej — chimajryd z jeźdźcem albo oddział chimajrydów. Wtedy zupełnie nie ma nadziei.

— Nic rób sobie nadziei — odezwał się półczłowiek. — Zostawię cię tutaj związanego i sam zdechniesz.

Jest sam, pomyślał Razwijar. Język zrobił się lekki, zbyt swobodnie i Razwijar wypalił bez zastanowienia:

— A może tego nie rób. Inaczej bogini Wof, albo komu tam jesteś poświęcony, powiesi cię w pośmiertnym królestwie za twój cienki ogon.

Chimajryd uderzył go ciężką łapą po twarzy. W ostatniej chwili wciągając pazury — głowa Razwijara odleciała do tyłu, ale skóra została cała.

— Uch, ty — Razwijar oblizwał suche wargi. — Obraziłeś się. Dobrze. Może się dogadamy. Ja wypuściłem cię, ty wypuść mnie. Niedaleko jest granica Imperium. Odejdę i nigdy nie wrócę.

Półczłowiek milczał. Jego pazury nerwowo skrobały po kamieniu.

— Posłuchaj, nie okłamuj się. Już mnie oszczędziłeś. Mogłeś przecież zarżnąć, kiedy spałem.

Chimajryd dyszał — dziwnie, jakby na dwa głosy. Wzdymały się jego pokryte sierścią boki, a żebra obciążone wypłowiałą, płócienną koszulą także podnosiły się i opadały w rytm oddechu.

— Zabierz sobie moje miecze. Obejdę się bez nich. Jestem bezbronny. Po prostu przetnij sznury i idź sobie. — Razwijar czuł, że coraz bardziej się denerwuje i nic nie mógł na to poradzić.

— Kim jesteś? — zapytał chimajryd.

— Heksem. Półkrwi. Byłem niewolnikiem. Byłem strażnikiem.

— Niewolnik?!

— Tak. Wcześniej przepisywałem księgi dla pana, potem zacząłem tłuc kamienie, nosić worki, kręcić kołowrotem dla władcy... Później wzięli mnie do straży.

— Niewolnika?! Nie kłam!

— Nie kłamię! — Razwijar mówił coraz głośniejszym głosem, w miarę, jak ostrze silniej naciskało na skórę. Po szyi cienką strugą pociekła krew, zaraz chluśnie fontanną.

— Pan zamku powierzył tobie swoje ogniste zwierzęta. Niewolnikowi?

— Znudziłeś mnie — Razwijar zmusił się do rozluźnienia napiętych mięśni szyi. — Nie wierzysz, to po co się wypytujesz? Dobij mnie i uznaj, że mi się odwdzięczyłeś.

Wargi chimajryda drgnęły w grymasie wściekłości. Z zawziętością w oczach uniósł miecz nad leżącym Razwijarem, opuścił, przejechał po sznurach na nadgarstkach — i zniknął, tylko kamienie zadrżały pod szerokimi łapami. Po chwili Razwijar zobaczył jego sylwetkę na tle zachodu słońca. Chimajryd, zupełnie sam, odchodził na zachód, w głąb górskiej krainy.

Razwijar popatrzył na swoje ręce. Nadgarstki nie zdążyły napuchnąć, został tylko ślad po sznurach i zadrapanie od ostrza. Niezbyt głębokie zadrapanie, Razwijar w zamyśleniu zlizął kroplę krwi. Upajający smak życia. Jesteś niewolnikiem czy panem — żyć jest pięknie. Wszystko będzie dobrze, do Imperium zostało kilka kroków, Razwijar jest młody i silny, przeżyje...

W tym momencie chimajryd znowu wyskoczył na grzbiet wzgórza, jego postać wyraźnie zarysowywała się na tle zachodzącego słońca. Półczłowiek biegł tak szybko, jak tylko mógł. Było to zdumiewające w swej urodzie widowisko — zwinne, gibkie czworonożne ciało, pędzące w długich skokach, wręcz unoszące się nad ziemią. Ludzki tors odrobinę odchyłony do tyłu, podobny do galionu. W ręce połyskiwało ostrze — długi miecz Razwijara...

Po chwili na tym samym wzgórzu pojawił się oddział Chimarydów — czterech jeźdźców na półludziach. Oni także mknęli, jakby nie istniał opór powietrza; płynnie, z gracją i mocą. Jeździec, pędzący na przędzie, podniósł łuk. Chimajryd z mieczem zniknął z pola widzenia, skrył się za grzbietem skały. Jeźdźcy wystrzelili — trzech równocześnie, czwarty z lekkim opóźnieniem. I, nie zwalniając biegu, rzucili się w pogoni za grzbiet...

Razwijar schował się wśród kamieni. Jego nogi cały czas były jeszcze związane, w ukryciu przecierał sznur ostrymi brzegami rozłupanych kamieni i wreszcie się oswobodził. Siedział w norze jak człapacz, tak samo bezbronny. Czekał, przysłuchując się szemraniu strumienia.

Doczekał się. Oddział przecwałował z powrotem po grzbiecie skały — o zmierzchu niełatwo było rozróżnić dalekie sylwetki. Jednak Razwijar był pewien, że jest ich, jak poprzednio, ośmiu; na każdym półczłowieku—niewolnym siedział jego brat, jeździec.

* * *

Dopóki jeszcze jaśniała zachodnia strona nieba, Razwijar szedł szybko. Potem musiał zwolnić, ponieważ stok, po którym się wdrapywał, groził obsunięciem, a on nie miał czterech szerokich łap, żeby swobodnie przeskakiwać z kamienia na kamień. Kiedy dotarł na grzbiet wzgórza była już noc, gwieździsta i chłodna.

Chimajrydzi nie zostawili śladu na kamienistej ścieżce. Oblizując wargi, Razwijar ruszył na zachód po grzbiecie góry, powtarzając trasę swojego znajomego. Szedł i wymyślał sam sobie: kontynuując drogę wzdłuż koryta, osiągnąłbyś granicę Imperium już jutro rano. Co zmusza cię do ryzykownego wałęsania się po ziemiach, po których truchtają chimajrydzi? Co masz nadzieję znaleźć?

Był niemal pewien, że jego czworonogi znajomy jest martwy. Dlaczego zabili go współplemieńcy i za co, tego zapewne trup mu nie powie. Tym niemniej Razwijar szedł, schodząc teraz z grzbietu i w świetle gwiazd zobaczył krwawy ślad, wyznaczający dróżkę na kamieniach.

W tym miejscu półczłowiek został ranny. Niezbyt ciężko, sądząc po tym, jak daleko zdążył jeszcze odbiec; a tutaj, zdaje się, dopadli go.

Razwijar zatrzymał się.

Nad górami królowała bezwietrzna noc. Niżej, nad wodą, basowo zawodziły człapacze. Szeleściły kolczaste gałązki krzaków. Otwierały się nocne kwiaty, czerwone, jakby palące się od środka i do nich przylatywały krwawniki — masywne, czarne motyle z fioletowym wzorem na skrzydłach.

Na drodze, która kręto schodziła w dół, walały się skrawki zakrwawionej, płóciennej koszuli. I niczego więcej nie było.

— Ej — zawołał Razwijar i przeraził się dźwięku własnego głosu.

Cisza. Basowe buczenie. Krwawników było bardzo dużo. Zdawało się, że zlatują się z całych gór do gęstych zarośli krzaków poniżej stoku, przy drodze.

— Zjedli go, czy co? — szeptem zapytał sam siebie. — Może uciekł?

Zaszeleściły krzewy. Do Razwijara dotarł ledwie uchwytny dźwięk — ni to zdławiony oddech, ni to wstrzymywany jęk.

Zszedł niżej. Niebo jasne od gwiazd świeciło przyćmionym blaskiem.

— Ej? — zawołał znowu Razwijar.

Ciężki oddech.

Ostrożnie stąpając, Razwijar zszedł w dół jeszcze kilka kroków. Suchy i kolczasty krzak był obsypany kwiatami, a w głębi pomiędzy drapiącymi gałęziami przywiązany za ręce wisiał

rozciągnięty chimajryd. Ludzka skóra błyszczała od krwi, stroszyła się zaskorupiała sierść, a na piersi i twarzy — Razwijara aż odrzuciło z przerażenia i obrzydzenia — roilo się od pełzających, miarowo poruszających skrzydłami spragnionych krwawników.

— Ej! — krzyknął Razwijar na cały głos.

Chmura motyli wzleciała, ale niezbyt wysoko. Na Razwijara spojrzwały okrągłe, mętne, oszalałe oczy — chimajryd żył.

„...Jeśli jeździec umiera w walce albo na polowaniu, w ślad za nim powinien umrzeć jego brat... Za zdradę i straszliwe odstępstwo ze strony czworonogiego niewolnego uważają Nagóreni odmowę dobrowolnej śmierci. Duch jego brata nie będzie miał spokoju w pośmiertnej krainie traw, zostanie pieszym i upokorzonym, a żeby pomóc mu znowu zostać jeźdźcem, niepokornemu niewolnemu szykują specjalną kaźń — w ten czy inny sposób upuszczając z niego krew, powoli, kropla po kropli...”

Razwijar przesunął rękami po pasie, gdzie powinny wisieć miecze. Niczego nie znalazł. Zakreślił się, wypatrując kamieni na ziemi. W przyćmionym świetle gwiazd z trudem znalazł odłamek z ostrym, wyszczerbionym brzegiem. Wsunął się w krzaki. Krwawniki przeglądały czerwone kwiaty w poszukiwaniu choć kropli świeżej krwi.

Wszystkie dotychczasowe zadrapania Razwijara, stare nowe, przecięcie na szyi oraz ranki od wbijających się kolców wszystko razem zaczęło krwawić i motyle, otworzywszy trąbki, zaczęły go obsiadać. Gryzły i poszcypywały skórę, niekiedy kąsały dosyć boleśnie. Razwijar nie zwracał uwagi na krwawniki, przecinał — a raczej przecierał — sznury, rozciągające na boki ręce i Chimajryda, utrzymujące go na kolczastych gałęziach jak ptaka na patelni. Potem przeciął pęta na związanych parami łapach; prawu przednią z lewą tylną i na odwrót. Motyle chmurą uniosły się nad krzakiem, kiedy ciało chimajryda ciężko osiadło na ziemi. Jeszcze szedł, kiedy Razwijar ściągnął go z krzewu, ale po dziesięciu krokach upadł i już nie był w stanie się podnieść.

W świetle gwiazd smagła twarz półczłowieka zdawała się szara, a wargi prawie czarne. Był niemal pozbawiony krwi, a krew z rany na ramieniu cały czas spływała cienką strużką.

Razwijar odszukał i podniósł resztki płóciennej koszuli. Porwał na bandażę, owinął ranę.

— Wstawaj. Łatwa droga. W dół. Idziemy.

— Pić — prawie niedosłyszalnie poprosił chimajryd.

— Na dole jest woda. Nie mam jej ze sobą.

Chimajryd pokręcił głową. Motyle cały czas jeszcze nad nim krążyły, Razwijar co rusz je odganiał.

— Nie dojdę.

— No to zdychaj — powiedział Razwijar, zezłościwszy się. — Wybacz, ja idę.

Porzucił chimajryda i przeszedł kilka kroków po stoku w dół. Kiedy wrócił, ten starał się podnieść, opierając się łapami o kamień, wysunął pazury. Łapy zauważalnie drżały z wysiłku,

Razwijar podstawiał ramię. Chimajryd był ciężki jak dwóch ludzi naraz. Pół drogi trzymał się, przebierał łapami, co i rusz potykał się. Potem stracił przytomność i Razwijar na próżno krzyczał i kłął — półczłowiek nie słyszał. Błyszczały zęby w na wpół odsłoniętych wargach, oczy były zamknięte, po ciele pokrytym sierścią przebiegały dreszcze.

Razwijar wsunął się pod jego przednie łapy, stanął na czworakach i zwałił sobie ciężkie ciało na ramiona. Był dzień, kiedy jechał wierzchem na chimajrydzie — teraz taszczył go na sobie.

Głowa półczłowieka bezwładnie opadła, tylne łapy ciągnęły się po ziemi, po stoku grożącym obsunięciem. Staczały się drobne kamyczki i większe kamienie, ale już dawał się słyszeć głośniejszy szum wody. Chimajryd pachniał krwią. Czarne motyle krążyły nad nimi, potem zostały w tyle. Razwijar wyszedł na równe miejsce i zrozumiał, że jego siły wyczerpały się. Zostawił

chimajryda, zszedł do potoku i nabrał wody w połówkę skorupy jaja. Z dnia, kiedy smażył jaja człapacza zachowały się te dwie „filiżanki” delikatne i trwałe zarazem. Wrócił z wodą, podniósł półczłowieka za ramiona, uniósł skorupkę do jego ust. Najpierw woda się rozlała, ale potem chimajryd zaczął pić. Przetykał powoli, ale w końcu doszedł do siebie.

— Dwa kroki stąd — powiedział mu Razwijar. — Jest woda.

Ten podczołgał się na brzuchu, zgrzytając pazurami po kamieniach. Pełził wolno, grzebiąc łapami, pomagając sobie rękami. To był straszny widok.

Chimajryd dotarł do wody i upadł w nią twarzą. Długo pił, woda ściekała po jego żółtoszarej twarzy, rudawe włosy pociemniały i przylepiły się do policzków. Opatrunek na ramieniu nasiąkł krwią.

Nad wschodnimi górami podnosiło się słońce.

* * *

„Lekarstwem zatrzymującym krwawienie jest żółty trójlistnik — roślina nieszczególnie rzadka, ale i nie tak już często spotykana w górach na nasłonecznionych stokach, gdzie prawie nie ma cieni. Liście trójlistników podobne są do ptasich łap z pazurami na zwiniętych palcach. Kwiaty, jak wynika z nazwy, są żółte, drobne, rosną w koszyczkach na czubku łodyżki. Nagórni leczą rany wywarem z tych kwiatów i osiągają sukcesy w lecznictwie. Mało który z dwunogich i czworonogich umiera od ran, częściej giną w boju...”

Wieczorem ugasił ognisko. Suche gałązki prawie nie dymiły, za dnia można było ryzykować, ale światło nocą w górach będzie widoczne z daleka. A Razwijar nie chciał, żeby ten ogienek przyciągnął jeźdźców.

Chimajryd leżał na omszałej podłodze maleńkiej jaskini z szerokim wejściem. Przesiąknięty wywarem ściągającym ranę opatrunek opasywał jego ramię. Przespał cały dzień i dopiero o zachodzie otworzył oczy.

— Będiesz jadł rybę? — zapytał Razwijar. — Pieczoną?

Półczłowiek opuścił powieki, jakby przytaknął. Podniósł się na łokciu, oparł ramieniem o ścianę, zaczął jeść, najpierw z wysiłkiem, potem coraz bardziej łapczywie. Razwijar wyszedł z jaskini i usiadł na kamieniu na szczycie góry.

Minęło trochę więcej niż doba od momentu, kiedy Chimajryd go wypuścił. Trochę mniej niż dobę temu znalazł swojego wroga w krzakach, oblepionego krwawnikami. Granica Imperium nie zbliżyła się ani o krok, a Razwijar z jakiegoś powodu był pewien, że chimajrydzi wrócą zabrać martwe ciało. A co zrobią, kiedy znajdą przecięte sznury? Pójdą po śladach; ślad jest wyraźny, wiedzie do strumienia, a odnaleźć zbiega na progu jaskini to kwestia kilku minut...

Zszedł nad wodę i napełnił skorupę jaja. Przyniósł do jaskini. Półczłowiek wypił wszystko do ostatniej kropli i podziękował skinieniem głowy.

— No i co — powiedział Razwijar. — Trzeba uciekać.

Chimajryd siedział, złożywszy łapy, oparty ramieniem o skalę. Cała jego twarz pokryta była zaschniętymi zadrapaniami, a całe ramiona w rankach i zadrapaniach od kolczastych krzaków. Zmierzwiona sierść stała dęba.

— Możesz iść? To idziemy. Jeśli nie, zostawię ci wody. Może cię nie znajda.

Ten milczał.

— Będą cię szukać — powiedział Razwijar. — Zapewne zabilii twojego brata, a ty nie chciałeś podzielić z nim mogiły. Na pewno są na ciebie bardzo źli...

Chimajryd podniósł głowę. Strąki włosów spadały na czoło, prawie zakrywając oczy.

— To ty... zabiłeś mojego brata — powiedział bardzo cicho. — Twoje ogniste zwierzę. Wtedy. A mnie wypuściłeś.

— Ale przecież... to było dawno — bezradnie powiedział Razwijar i osunął się na kamień.

— Tak. Ponad rok temu. Uciekłem... przyłączyłem się do klanu Zimy. U nich... oni mnie przyjęli. Kobiety nie rodziły dzieci... I w klanie było mało młodych... Ale w czasie szturm zobaczyli mnie... zrozumieli, że brat mój chodzi piechotą po pośmiertnej równinie... a oni przecież myśleli, że dawno umarłem razem z nim. Zostałem przeklęty... Klan Zimy wyrzekł się mnie. W końcu trafili na mój trop...

Zupełnie się ściemniło. Światło gwiazd ledwie przesączało się do jaskini.

— Trzeba iść — powiedział Razwijar.

Chimajryd ciężko sapnął. Podniósł się jednym zrywem. Stał na łapach. Zachwiał się.

— Idziemy — wyszeptał, prawie nie poruszając wargami.

* * *

Droga teraz wyraźnie prowadziła w dół, ale wędrowcy szli bardzo wolno. Niewybaczalnie wolno, Razwijar, mrużąc oczy, widział mapę, a na niej siebie jako drobny punkcik i jako kreseczkę — chimajryda. Prawie się nie poruszali. Jakby przykleili się do pergaminu.

— Słuchaj. Odeszliśmy dość daleko od tego miejsca. Schowajmy cię gdzieś i odpoczniesz jeszcze dzień. Nie znajdą cię. Zostawię wodę.

Chimajryd tak bardzo opadł z sił, że nie oponował. Jego rana wciąż krwawiła. Kiedy Razwijar znalazł polankę, osłoniętą z trzech stron dwoma kamieniami i krzakami, legł na trawę i od razu zasnął.

Przyniósł wodę i postawił obok. Półczłowiek spał, leżąc i tu boku. Jego skóra podeschła i pośród świeżych zadrapań bielała stara blizna. Razwijar już wcześniej ją zauważył, na drugim boku była taka sama. Jeźdźcy nosili ostrogi.

Wyszedł na brzeg i szybkim krokiem ruszył wzdłuż strumienia. Zbliżał się świt i zbliżała się granica. Wzdłuż brzegu ni to śpiewały, ni to zawodziły człapacze.

Już ponad rok u chimajrydów nie rodziły się dzieci. Na co liczyli Nagóreni, kiedy poprosili maga, żeby zburzył zamek? Czy ze śmiercią władcy działanie przekleństwa zostało przerwane? Ale przecież przekleństwo nałożył Poranek Bez Skazy, a jego truchło zostało uniesione przez wodę razem z turkusowym pierścieniem na palcu...

Jaką nienawiść trzeba było żywić do współplemieńców, żeby mścić się na nich tak potwornie? Plemię pozbawione dzieci, umierałoby długo, zestarzałoby się, a ostatni z członków plemienia oszaleliby w końcu... Tak też się stanie, jeśli przekleństwo nie straciło swej mocy.

Razwijar przypomniał sobie ulewę, która oberwała się z czarnego nieba i maga, wznoszącego w górę dłonie. „Zobaczysz, przypełzną na kolanach” — mówił władca. Pomylił się. Gdzie jest teraz dziewczyna, którą Razwijar nazwał Skrzydlaczkiem? Co stało się z dziesiątnikiem Branem, z intendentem Szlopem? Z Krzywulcem i innymi strażnikami, ze wszystkimi mieszkańcami zamku? I co mówią o Razwijarze?

Szedł, potykając się i wszędzie majaczyły mu fruujące krwawniki. Chimajryd, któremu zabił brata i tak był skazany już wtedy. Przeżył znacznie ponad to, co dopuszczała odwieczna tradycja. Co z tego, że jest młodszy od Razwijara, na tej ziemi takie rządzą prawa. Na tej przeklętej ziemi.

Pogasty gwiazdy i niebo na wschodzie zrobiło się szare. Razwijar szedł coraz wolniej. Poranek Bez Skazy był okrutnym człowiekiem, a raczej okrutnym półczłowiekiem. Ale czy był chociaż o włos bardziej zły niż członkowie plemion chimajrydów ze swoimi obyczajami?

Gdyby wtedy, dawno temu, Razwijar spełnił rozkaz władcy i nakazał ogniewusze zabić jeńca, a ciało jego zrzucił do wzburzonej wody... co by było? Zapewne wspominałby nocami, jak leci do potoku okaleczone ciało... A teraz będzie wspominać te przekłete krwawniki, pijące czerwoną wilgoć z odkrytych ran.

Albo nie będzie? Czy mało to już widział jak na swój wiek, żeby budzić się nocami z powodu jednego, samotnego chimajryda?

Nad horyzont wzbily się trzy kropki — za duże jak na ptaki, za szybkie jak na gwiazdy. Razwijar upadł na ziemię i wbił się w szczelinę między kamieniami, trzy osiodłane skrzydłaki przeleciały na dużej wysokości. Na szczęście nie wypatrywały i nie szukały niczego. Leciały w głąb krainy chimajrydów, prawdopodobnie po to, żeby dowiedzieć się o losie imperatorskiego maga.

* * *

Półczłowiek leżał, opierając się na lewej ręce, w prawej trzymał uniesiony kamień gotowy do obronnego uderzenia. Razwijar ześliznął się na bok, ukrywając się za krzakiem.

— Ach, to ty — powiedział chimajryd.

Upuścił kamień. Dysząc, oparł się na dłoni. Trawa na polance przywiedła, zmięta ciężkim ciałem. Skorupa po wodzie była pusta.

Razwijar z ociąganiem wyszedł na odkryte miejsce.

— Myślałem, że to oni — powiedział półczłowiek szeptem. — Myślałem, że nie wrócisz.

Wyglądał trochę lepiej niż wczoraj, a przynajmniej nacięcia i zadrapania ściągnęły się, opatrunek przykleił się do rany i nie było widać na nim świeżej krwi.

— Widziałeś? — Razwijar pokazał palcem niebo.

— Widziałem — chimajryd obliznął wyschnięte wargi.

— Mogę iść. Chodźmy.

— W środku dnia?

Półczłowiek energicznie pokiwał głową, zacisnął pięści i zaczął przebierać w miejscu łapami:

— Trzeba iść. Czuję, że są całkiem blisko. Nie będą czekać do wieczora... Dlaczego wróciłeś?

Razwijar usiadł na kamieniu, w pewnej odległości od chimajryda. Teraz, kiedy ten trochę poleżał, odczuwalna stała się w nim ożywiająca moc. Taki wyciągnie łapę dla zabawy, a ty zbieraj potem kości.

Dlaczego wrócił... Szczerze mówiąc, z głupoty. Przeżony jeźdźcami na skrzydłakach długo ukrywał się w szczelinie pomiędzy skałami, z niepokojem spoglądał na wschód i na zachód, rozmyślał. Dalej, w dolnym biegu rzeki, brzegi są gładkie jak skorupka jajka i tylko gdzieś z kamienistej ziemi przebijają rzadkie krzewy. Człowiek, który narysował mapę, znakomicie potrafił oddać charakter terenu; Razwijar nauczył się odróżniać na mapie góry, wzgórze, zarośla, kamienisty płaskowyż i wszystko to znajdowało się na swoich dawnych miejscach, nie zmieniając się nadto w ciągu minionych lat.

Możliwe, że zaczął odczuwać lęk przed kontynuowaniem wędrówki w biały dzień, po odkrytym terenie. A możliwe, że przyprowadziło go tutaj wyobrażenie; naprzykrzający się widok zakrwawionego żółtego ciała za każdym kamieniem, suchych oczu, wczepionych w ziemię rąk... Raz oszczędził go i raz ocalał. Wystarczająco, żeby uważać biedaka niemal za swoją własność.

— Ja też muszę odpocząć — powiedział powoli. — Tam dalej nie ma gdzie się ukryć. Pójdziemy po równinie.

— Pójdziemy — czworonóg kiwnął głową. — Po równinie lżej się idzie. A ci na ptakach nie wrócą. Teraz nie my im w głowie.

* * *

Jego dwunogiego brata nazywali Szybki Tancerz, ponieważ ścierał się w walce, jakby tańczył, a taniec ten zawsze szybko się kończył. A czworonogiego niewolnego zwali Łuną Księżyca i żadnego szczególnego znaczenia to imię nie miało — po prostu senior, nadający młodzieńcom imiona w dzień wtajemniczenia, nie lubił Łuksa za roztargnienie, lenistwo i przekorę. A możliwe, że nawet podejrzewał w młodzieńcu skłonność do zdrady. Jakkolwiek by to wyjaśniać, okazało się, że senior miał całkowitą rację: Łuna Księżyca haniebnie splamił swoje dziwne imię tchórzostwem i zdradą.

— Jakim tchórzostwem? — zapytał Razwijar. — Chciałbym popatrzeć na waszego seniora, gdyby napuścić na niego ogniewuchę!

— Moi przodkowie szli w ogień z wesołą pieśnią na ustach. A ja nie byłem zdolny nawet dostojnie umrzeć.

— Mam zamiar przeżyć — sucho zauważył Razwijar. — Jeśli zamierzasz żałować, że nie umarłeś to lepiej idź swoją drogą. Na nic mi twoje pogrzebowe pieśni!

Szli ramię w ramię po ledwie widocznej drodze, a czworonogi rozpoznawał właściwą drogę. Jego szerokie łapy z wciągniętymi pazurami stapały po kamieniach jak po równym terenie. Był bardzo blady i często pił, przypadając do wody, ale trzymał się dobrze. Razwijar będąc tylko lekko rannym, przeleżał w łóżku kilka dni... Z drugiej strony, w obliczu śmierci zapewne podniosłby się i poszedł. Nawet na wpół zdechły człapacz odpełza w szczelinę, mając nadzieję przeżyć.

— Przeżyć — powtórzył na głos czworonogi Łuks czy to powtarzając ostatnie słowa Razwijara, czy to czytając jego myśli. — A co ty będziesz robił? Tam, na granicy?

— Opowiedz, co jest przed nami?

— Szeroka rzeka... Nie można jej przepłynąć, ani przejść w bród. Most. Pośrodku rzeki jest wyspa, tam rozdziela się woda... I tam jest imperatorska strażnica.

— Przepuszczą nas?

— Nie wiem. Po tym, co się stało...

— A cóż takiego, niech cię Szuu rozedrze, się stało? Skąd wziął się ten przeklęty mag, kto przyprowadził go pod zamek?

— Widziałeś głowy na pikach? — cicho zapytał Łuks. — Sam je tam nadziewałeś?

— Nie — powiedział Razwijar bardzo szybko. I po chwili dodał: — Nie byłem na tej wyprawie. Na tej, właśnie tej nie...

— Zrozumiałem — powiedział czworonogi — ...w zasadzie mnie też tam nie było. Chciałem, żeby jak najdłużej myśleli, że jestem martwy.

Razwijar pomyślał, że może Łuks nie tak znowu na próżno kaja się i przeżywa tchórzem. Są bitwy, na które mężczyzna po prostu ma obowiązek pójść, niezależnie od tego, czy jest martwy, czy żywy.

Łuks tymczasem myślał już o czymś innym. Kamienie ciężko chwiały się pod jego łapami.

— Urodziłem się później — powiedział wreszcie. — Nie pamiętam, w jaki sposób Poranek Bez Skazy przeklął swój ród. Matki zaczęły rodzić dzieci, jak popadnie. Został naruszony odwieczny porządek...

— Porządek jest wtedy, kiedy każda matka rodzi po dwie dziewczynki, wojownika i... niewolnego?

Łuks usłyszał zmianę głosu Razwijara przy ostatnim słowie. Zerknął na niego przez nagie, opalone, pomazane wyschniętą krwią ramię:

— Tak. Ale to jeszcze nie wszystko...

— „Mówiono, że w swoim zapiekłym gniewie gotów był wytrzebić wszystkie plemiona Nagórenów. Mówiono także, że stworzył i przeklął jakąś rzecz i jeśli uwolnić przekleństwo — wszyscy Nagóreni umrą. Ale czy to prawda... tego nie wiem i nie mogę wiedzieć do końca. Imieniem Poranka Bez Skazy straszą w klanach dzieci — nawet teraz, po jego śmierci”.

Łuks zatrzymał się. Popatrzył na Razwijara ze strachem:

— Skąd ty... Skąd ty to wszystko wiesz?!

Razwijar uśmiechnął się:

— Mówiłem ci... jestem skrybą. Ostatnia księga, którą przepisywałem nosiła tytuł „Kroniki chimajrydów”. Tam była też mapa, która doprowadziła mnie do rzeki...

— I która doprowadziła naszego wroga do Jeziora Urodzaju — ze smutkiem powiedział czworonogi. — Matko Wof, dlaczego cię nie zabiłem.

— „Zabiłem, zabiłem” — kłótliwie przedrzeźniał go Razwijar. — Teraz obaj walalibyśmy się martwi i cmentarne robale pełzałyby w naszych rozchylonych ustach. I co by z tego przyszło?

Łuks nic nie odpowiedział. Skracaly się cienie, przypiekało słońce, Razwijarowi zaburczało w brzuchu, nadszedł najwyższy czas, aby pomyśleć o postoju.

— Jeść mi się chce — powiedział na głos. — Próbowałem schwytać człapacza, ale nie złapałem ani jednego... Tylko jaja znalazłem, które roztaczają woń pleśni...

Łuks, ciężko sapiąc, wszedł trochę wyżej po stoku. Kilka minut szperał, rozglądając się, odwalając kamienie. Razwijar obserwował go z niedowierzaniem i dlatego zdążył zauważyć, jak mignął, wyrwawszy się z jakiejś szczeliny, nieuchwytny cień. Dało się słyszeć miękkie uderzenie. Chimajryd poderwał się, aby uderzyć łapą i człapacz, zbity w skoku, przekoziołkował i gruchnął na drogę.

— Są smaczne — powiedział Łuks, wycierając dłonią pot z czoła. — Tylko trzeba podsmażyć na kamieniu.

Czarny, płaski kamień znalazł się w niższym rejonie zbocza. Łuks rozdzielał człapacza pazurem jak nożem. Razwijar z uniesionymi brwiami patrzył, jak zwinnie się z nim rozprawia.

I przyłapał się na tym, że powtarza przyzwyczajenia władcy. Te uniesione brwi, maniera patrzenia na rozmówcę, lekki uśmiech — gesty te stały się częścią Razwijara, skopiował je, sam o tym nie wiedząc i powtarza teraz, kiedy władca jest martwy. Kiedy przebrzmiał już ten szept: „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”.

Tusza człapacza rozplaszczała się na kamieniu. Czarna powierzchnia nagrzewała się w słońcu jak piec. Razwijar i Łuks usadowili się w cieniu, a człapacz powoli smażył się, skwiercząc.

— Nasz wróg pierwszy zaczął wojnę.

— Kłamstwo. Wasze oddziały napadały na zamek cały czas. Ostrzeliwały karawany. Zabijały strażników i niewolników, rozganiały stada...

— To wszystko przez Poranek Bez Skazy — Łuks westchnął, znalazł patyczek, przewrócił mięso na kamiennej patelni. On wybudował zamek i obiecał, że dopóki zamek stoi — nie będzie pokoju w plemienu chimajrydów. Tak też się stało.

— Widziałem go — powiedział Razwijar, spazmatycznie przełykając ślinę, która napłynęła potokiem od zapachu smażonego mięsa. — Leżał w szybie u podstawy zamku. Martwy, z pierścieniem na palcu.

— Był magiem — Łuks w zamyśleniu popatrzył na swoją dłoń, potem podobnym gestem przekreślił łapę poduszeczką do góry i przyjrzał się jej także. — Seniorzy powiedzieli, że na zaklęcie, rzucone przez maga, pomoc może tylko drugi mag. Powiedzieli, że nawet gdybyśmy

podporządkowali się i stali się częścią Imperium, i tak nie oddamy wolności. Tak powiedzieli współplemioncom. Klan Rosy zginął prawie cały... A przecież to był najsilniejszy klan... I głowy na pikach. I przekleństwo Poranka, żeby nie rodziły się dzieci. Gońcy szli do Imperium tą samą drogą, którą teraz idziemy. I przynieśli umowę: Naporeni powinni wybudować wieżę dla imperatorskiego maga i pałac dla namiestnika, karmić ich, utrzymywać i oddawać honory. A za to imperatorski mag zabije naszego wroga. Wszyscy zebrali się na ostatnią bitwę, nawet klan Zimy i już nie mogłem się wykręcić...

— Bojownik — wyrwało się Razwijarowi.

Łuks zamilkł — i milcząc w zamyśleniu smażył mięso, dopóki nie zaczęło się przypalać.

— No dobrze — wymamrotał w końcu Razwijar. — Sam przecież mówiłeś...

Łuks podniósł smażonego człapacza pazurem i przerzucił na biały kamień — żeby przestygł.

— Wszystko szło dobrze — spokojnym głosem powiedział. — Dopóki mag nie zginął. A kiedy już umarł, dla wszystkich stało się jasne, że nie będzie ani wieży, ani namiestnika, że wszyscy magowie na bezsilni, że Imperium nie jest w stanie ochronić nas przed przekleństwem... A dla mojego klanu, klanu Równonocy, stało się jasne także to, że mój brat, Szybki Tancerz, chodzi piechotą po pośmiertnej równinie, upokorzony jak ten oto człapacz. Uciekłem z klanu Zimy i zacząłem waleśać się po górach jak ten człapacz, kiedy jeszcze żył. Ale moi krewni znaleźli mnie i pojмали jak my tego człapacza... Jedz, bo ostygnie.

— Jeśli wasi seniorzy obiecali Imperatorowi wybudować wieżę, to znaczy, że on przysłał drugiego maga — przypuszczająco stwierdził Razwijar.

— Po twojemu, to u Imperatora na służbie jest tylu magów, co stonóg pod wilgotnym kamieniem. I zacznie przysyłać ich jednego po drugim, żeby tutaj przepadali?

Łuks wzruszył ramionami z lekkim uśmiechem i Razwijar nagle pojął, jakie spokojne życie prowadził do momentu, gdy obok pasterskich pieczar ogniewucha zabiła jego brata. Nieustannie roztargniony, nonszalancki, o ciętym języku, dokładnie takiemu zirytowany senior mógł w uniesieniu nadać imię: Łuna Księżycyca...

— Kochałeś swojego brata? — wymamrotał Razwijar, odwracając wzrok.

— Nienawidziłem go — lekkim tonem odpowiedział Łuks. — A on nienawidził mnie. Nasza matka urodziła trzech niewolnych i jednego jeźdźca. Dwóch czworonogich trzeba było we wczesnym dzieciństwie zamienić na dwie dziewczynki, oczywiście, tych lepszych niewolnych, czyli moich starszych braci, ponieważ dziewczynek w tych latach rodziło się mało. A Tancerz uważał się za zbyt dobrego, żeby na mnie jeździć. Nigdy nie wygrywałem Długiej Wyprawy, nigdy nie przychodziłem pierwszy. Tylko jeden raz przyszedłem jako drugi... Nie rozstawaliśmy się z bratem, byliśmy jak jedno. Widziałem jak umarł... — Łuks dwoma przednimi łapami rozerwał smażonego człapacza na dwie części. — Wybieraj, która dla ciebie. Jak dla mnie są jednakowe.

Razwijar był zbyt głodny, żeby chociaż chwilą skupionej ciszy uczcić śmierć Szybkiego Tancerza. Burcząc i mlaskając, pożarli człapacza, ogryźli kości i przywalili resztki jedzenia kamieniami.

Razwijar poszedł do wody, żeby się napić i umyć. Skórzane sapogi wytrzymały drogę i nie wyglądało na to, żeby miały się zedrzyć. To było dobre obuwie, uszyte przez rzemieślników w zamku. Bez nich, na tych ostrych kamieniach Razwijar migiem straciłby nogi; kurtka ze skóry przysiępki nagrzewała się na słońcu jak czarny kamień, służący za patelnię.

Wszedł do wody, nie zdejmując odzieży. Zamarł, czując jak lodowate strugi przepływają między kurtką, koszulą i odrobinę się ociepliwszy, dotykają skóry. Zrobił już tak pewnego razu, co prawda potem trzeba było długo się suszyć, rozkładając manatki na kamieniach...

— Patrz! — krzyknął Łuks.

Nad horyzontem unosiły się trzy skrzydlaki. Tym razem leciały nisko, niespiesznie, zataczając kręgi i wypatrując kogoś na ziemi.

Razwijar wyskoczył z rzeki rozbryzgując i rozlewając po kamieniach potoki wody, ślizgając się i ledwie nie upadając. Było za późno, żeby biec — skrzydlaki, nawet szybując niespiesznie, zbliżały się błyskawicznie. Uciekać przed nimi po ziemi nie było sensu.

Łuna Księżycza zamarł, opuściwszy ręce, nisko przysiadł na rozcapierzonych łapach. Żółte pazury wczepiły się w ziemię. Miał taki wyraz oczu, jaki Razwijar już raz widział. Podobne spojrzenie miał Łuks, kiedy chmara motyli krwawników żywcem wysysała z niego krew w zaroślach kolczastych krzewów.

— Nie stój! — ryknął Razwijar. — Szukaj, gdzie się schować!

Od brzegu wznosiły się niewysokie, gładkie skały — człapacze mogły swobodnie ukrywać się w szczelinach, człowiek, a tym bardziej chimajryd ukryć się w nich nie mógł. Gdzieniedzie rosły krzaki, ale rzadkie, niskie. Razwijar obejrzał się na rzekę. Przemknęła mu przez głowę szalona myśl: a gdyby tak zanurkować i przesiedzieć niebezpieczeństwo na dzień?!

— Czego oni chcą? — cicho zapytał Łuks. — Nie rozumiem.

— Leż!

Nagóren posłusznie legł pod rozłożystym, lecz prawie prześwitującym krzakiem. Obok upadł Razwijar. Mokra koszula przylgnęła niemiło do ciała.

— Nie powinno ich tutaj być — z tępą rozpaczą powtórzył Łuks. — Strażnicy Imperium? Za mną? Nie może być...

Razwijar patrzył, jak skrzydlaki zbliżają się. To zniżały lot, to znowu nabierały wysokości. Niekiedy zbaczały z obranego kierunku i wtedy Razwijar błagał, żeby ich trasa przebiegła obok, ale niebieski patrol leciał dokładnie nad rzeką i Razwijarowi z Łuksem sądzone było wpaść im w oczy w ciągu kilku chwil.

Ale stało się inaczej. Ptak, lecący na przedzie, nagle zanurkował. Razwijar pomyślał już, że rozbije się o kamienie, ale ptak rozpostarł skrzydła w czasie spadania i poderwał się. Wyraźnie widać było trzy ludzkie postacie na jego grzbiecie, jeźdźcy równocześnie, jak na komendę, wykonali ruch — taki zwyczajny i znajomy, ale Razwijar nie od razu pojął, co się dzieje. Manewr pierwszego ptaka powtórzyły dwa następne, tak samo rozkładając skrzydła i podrywając się, ale siedzących na nich ludzi Razwijar już nie mógł dostrzec. Ptaki prze padły z pola widzenia; zniżyły lot i niemal od razu wzleciały wysoko do nieba. Zawróciły i poleciały z powrotem w głąb ziem chimajrydów.

Po dawnemu szumiała, płynąca po kamieniach rzeka. Całkiem niedaleko pośród skał zajęczał człapacz. Ośmielony zajęczał ponownie basowo, dudniąc, przyzywając towarzyszkę.

* * *

Ani Razwijar, ani Łuks nie mogli wiedzieć, co wydarzyło się w radzie seniorów. Co mówili imperatorscy posłańcy, kiedy zeszli ze swoich skrzydlaków? Co odpowiedzieli im chimajrydzi? Targowali się, usprawiedliwiali, obwiniali wzajemnie? Wypierali się umowy, szukali, na kogo zwalić winę za śmierć maga?

Przedarłszy się przez niewysokie pasmo kamieni, Razwijar i Łuna Księżycza zobaczyli ich. Chimajryd zatrzymał się i przypadł brzuchem do ziemi, przycisnął ręce do piersi:

— To oni. To moi...

— Krewni? — z przerażeniem zapytał Razwijar.

— Z mojego klanu — ledwie słyszalnym szeptem powiedział Łuks. — Popatrz... Tam... Nie zabrali strzał.

Strzał było dziewięć — tyle ile jeźdźców na skrzydlakach, Lotki białe i jaskrawożółte. Wszystkich ofiar było osiem i tylko jeden, stary półczłowiek z siwą głową i rzadką szczeciniastą brodą, został zabity dwoma strzałami.

— Popatrz, jak oni strzelają! — z podziwem przemieszonym z rozpaczą powiedział Łuks. — W locie... Do biegnących...

Razwijar sam wszystko doskonale widział. Każda strzała była wbita jak igielka w poduszeczkę, tak, żeby zabić od razu. Umierali w biegu — łapy niewolnych niosły dalej już martwe ciała, a jeźdźcy spadali z siodła i toczyli się, koziołkując po ziemi, rozbijając się o kamienie.

— Nie zabrali strzał. U nas robi się tak na znak, że nie jest to zabójstwo i nie walka, a kaźń. To mój klan... klan Równonocy... Seniorzy, wodzowie... Co to oznacza?

Łuks odwrócił się do Razwijara, jakby ten mógł znać odpowiedź.

— Czymś rozgniewali Imperatora? — zapytał, nie namyślając się.

Chimajryd przełknął ślinę.

— Nie wiem. Słyszałem tylko fragmenty relacji, jakieś plotki... Klan Równonocy zawsze był przeciwny sojuszowi z Imperium. Od samego początku. Potem mówiono, że mag nie wypełnił obietnicy, nie zdjął przekleństwa... Nie potrafił zniszczyć zamku... A to znaczy, że Imperator nie ma nad nami władzy, a my nie mamy żadnego zobowiązania... Nie interesowało mnie to, szczerze mówiąc. Szukali mnie wtedy, żeby zwrócić mogile brata... Co to oznacza, jak myślisz? Zemsta za tego przeklętego maga?

— To zapowiedź zmian — powiedział Razwijar i znowu, ze strachem i odrazą, usłyszał nutki władcy w swoim głosie. — Początek nowej wojny. To pewne.

Łuks odszedł na bok. Objął się za ramiona. Po skórze przedramion przeszły drgania.

— Mają broń — powiedział Razwijar. I od razu sam sobie odpowiedział — Ale z nas nie tacy durnie, żeby ich okraść. Znajdą ich. Niech lepiej wszystko będzie przy nich, do ostatniego nożyka.

Z trudem oderwał wzrok od ciała starca, zabitego dwoma strzałami. Seniorzy klanu Równonocy byli przeciwko sojuszowi z Imperium; ich krnąbrność objawiła się w bardzo odpowiednim momencie, kiedy trzeba było pilnie znaleźć odpowiedzialnego za śmierć maga i niepowodzenie wyprawy.

— Przeklęta ziemia — powiedział głośno. — I nie zdjęte przekleństwo.

Łuks odwrócił się i poszedł przed siebie, utykając na wszystkie cztery łapy.

* * *

Przenocowali na gołej ziemi. Nad ranem Razwijar nie wytrzymał zimna, przysunął się do ciepłego, miękkiego, pokrytego sierścią boku Łuksa. Ten nie oponował; Razwijar ogrzał się i przestał w końcu się trząść.

Rankiem znowu ruszyli w drogę i szli w milczeniu, dopóki nie zobaczyli ujścia. Potok, wiele dni wiodący Razwijara do celu, okazał się strumyczkiem w porównaniu z pracą masą wody, podobną do toczącego się morza w miejscu złączenia się dwóch nurtów. Łuks także wydawał się wstrząśnięty. Nigdy tutaj nie był i nie przypuszczał, że przygraniczna rzeka jest taka ogromna.

Razwijar, zamknawszy oczy, przypomniał sobie mapę, tutaj przechodziła granica chimajrydzkich ziem. Tuż obok był górny kraj stronicy — tam, w bibliotece i później, w zamku, kiedy Razwijar odtwarzał mapę z pamięci.

— Doszliśmy — powiedział głośno.

Przeszli jeszcze trochę wzdłuż przygranicznej rzeki, przeciwległy brzeg gubił się we mgle. W końcu zobaczyli kamienny most, gdzieniegdzie zawałony, ale z pobieżnego oglądu wynikało, że da się po nim jeszcze przejść. Woda pod nim kręciła ciemnymi wirami. Przeogromna rzeka toczyła się bezdźwięcznie, ale w jej oleistym biegu czuło się drzemiącą, niebezpieczną potęgę żywiołu. W mglistości gorącego dnia wyspa zdawała się niskim obłokiem pośrodku wody.

Łuks usiadł. Siedząc był wzrostu stojącego człowieka. Jego smagły brzuch, pokryty podgojonymi rankami, bezwłosa pierś i ramiona, wyrastały z chimajrydzkiego ciała, tak samo naturalnie, jak omszały kamień wyrasta z wysokiej trawy. Siedział i patrzył na Razwijara, jakby czegoś od niego oczekiwał.

Razwijar usiadł obok. Siedzieli w skąpym cieniu, patrząc, jak drży powietrze nad brzegiem i jak bezdźwięcznie kotłuje się rzeka. Łuks w zamyśleniu doprowadzał się do porządku — pazurami przeczesywał sierść, palcami rozplątywał kołtuny, wyciągał rzepy. Razwijar powrócił do rozmyślań, którymi zajmował swój umysł podczas ostatniego odcinka drogi. Myśli te nie miały nic wspólnego ani z przeżyciem, ani z planami na najbliższą przyszłość.

Myślał o ludziach, którzy zamierzali żyć długo i obdarowanych władzą. O władcy. O chimajrydach. O magu. O tym, że potężni umarli, a skazany przeżył. Łuks wyginał z gracją tułów, wyczesując skórę na biodrach, jego sierść urosła i ślady po ostrogach stały się prawie niewidoczne. Jeździec noszący, te ostrogi także umarł.

Razwijar przeniósł wzrok na rzekę. Znany był mu głód i pragnienie. Uczucie, które teraz nim zawładnęło było podobne i do tego, i do tego. Wcześniej, w zamku uczucie to nawiedzało go także. Wtedy doprowadzała go do wściekłości własna głupota i słabość, chciał stać się mądrzejszy i silniejszy, uważnie słuchał dziesiętnika Brana, ćwiczył z mieczami, biegał po górach z workiem kamieni na plecach, ale to nie było to, na przekór wszystkim staraniom nadal był tak samo słaby i głupi...

— Czego potrzebuję? — zapytał sam siebie szeptem.

Łuks usłyszał. Zostawił w spokoju swój ogon, który jeszcze minutę temu troskliwie czyścił z zaplątanych w nim rzepów.

— Czego potrzebujesz? — zapytał ze zdziwieniem. — Myślę, że przeprowić się przez tę rzekę i pozostać wśród żywych.

Razwijar odwrócił głowę:

— A ty czego ty potrzebujesz?

— Myślę, że tego samego — Łuks uśmiechnął się. To był drugi albo trzeci uśmiech, który zobaczył Razwijar na jego twarzy. — Musimy przeżyć.

— A potem?

— Jaki ty jesteś nudny. Potem zobaczymy.

— Łuks — zapytał Razwijar powoli. — Masz coś, co jest ci drogie? Oprócz życia?

Łuna Księżycyca wypuścił swój ogon. Ten powoli opadł na kamień, a jego biała końcówka drgnęła.

— Nic — powiedział po namyśle. — Wszystko co miałem, już straciłem — mój klan, mojego brata, moją rodzinę. W końcu honor. Nie mam nic oprócz życia, ale jak dla mnie — to bardzo dużo. Tylko martwi nie mają nic do stracenia.

— Szkoda — powiedział Razwijar, spoglądając na wyspę spowitą we mgle. — Ja także niczego takiego nie mam.

— Jesteś mistrzem w zadawaniu głupich pytań — z szacunkiem powiedział Łuks. — A co zamierzasz powiedzieć patrolowi na moście, kiedy zapytają, kim jesteś?

— Po prostu człowiekiem.

— Człowiekiem, który przyszedł z ziemi Nagórenów. W ubraniu żołnierza. — Łuks obrzucił Razwijar a oceniającym spojrzeniem. — Dobrze, w resztkach ubrania żołnierza.

— To co, mam się rozebrać i iść nago?!

Łuks pokręcił głową:

— Goły człowiek jest jeszcze bardziej podejrzany... A jeśli *ja* zapytam ciebie, kim jesteś? Dopóki jeszcze nie przeszliśmy granicy?

— Ty już pytałeś. I ja odpowiedziałem.

Łuks westchnął:

— Nie wyjaśniłeś najważniejszego. Dlaczego uciekłeś? Dlaczego zachciało ci się biegać po stokach, jeśli władca zamku tak bardzo cię cenił, że powierzył ci ogniste stworzenia? Przecież zamek przetrwał, mag niczego nie mógł z nim zrobić. Nie mógł nawet zabić kamiennego władcy, ten przeżył, a teraz...

— On umarł... — wyrwało się Razwijarowi. Drgnął. Przypomniawszy sobie urywany, chciwy szept: „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”

Łuks odsunął się. Jego smagłe policzki znowu pożółkły — krew odpłynęła z twarzy.

— Nie wierzę ci — powiedział z nabożnym strachem

— Widziałeś go martwym?

— Tak — Razwijar odwrócił się. — Dlatego uciekłem.

— A...

Łuks zaciął się. Cień kamienia, pod którym siedzieli, powoli przesuwiał się, coraz bardziej się skracając.

— To znaczy, że mag jednak go zabił — bardziej do siebie niż do Razwijara powiedział Łuks. — Czyli jednak potrafił...

Razwijar pomyślał z ulgą, że nie musi niczego wyjaśniać. Obraz świata dobuduje się w umyśle chimajryda jak domek według znanego rysunku. Możliwe, że w zamku także uwierzą, że władca umarł z woli maga? I z woli maga w jego piersi tkwiło ostrze?

— Co teraz będzie? — znowu zapytał Łuks. Imperator zechce wziąć te ziemie dla siebie. Ale przekleństwo Poranka Bez Skazy nie straciło swojej mocy. Będzie bitwa i Nagóreni ją przegrają.

Chimajryd legł na brzuchu, wyciągnął łapy, dłońmi oparł się o ziemię. Bardzo nisko opuścił głowę. Razwijar zobaczył jego szyję pod splątanymi włosami.

— Wiesz — powiedział, nie podnosząc wzroku. — Idź sam...

— Słucham?

— Sam przejdź granicę... Ja zostanę. Jednak...

Zrobiło się cicho.

— Seniorów Równonocy zabito — znowu odezwał się Łuks, jakby starając się przekonać samego siebie. — Bez nich... może... swoi mnie nie tkną. Już taki los... Lepiej umrzeć w walce, wtedy na Zielonej Równinie, po śmierci można będzie wszystko wyjaśnić Tancerzowi. Powiedzieć, że nie stchórzyłem, tylko spóźniłem się w imię wielkiej misji.

Z każdym słowem jego głos stawał się coraz bardziej pewny.

— Tak, Pójdę do klanu Zimy. Dowiem się, co zamierzają. Będą im potrzebni wojownicy. Jestem dobrym wojownikiem, nie jest wcale tak, jak o mnie myślisz. Trzeba brać ze sobą tarcze, żeby zasłaniać się od strzał z powietrza. My z Tancerzem dobrze opracowaliśmy walkę z tarczami w parze... Szkoda, że go ma. Ale nic to; na pewno znajdą się piesi jeźdźcy... A może ty mną pójdziesz?

Podniósł głowę. W jego oczach była prawdziwa nadzieja — żarliwa, natarczywa.

— Nie — z wysiłkiem powiedział Razwijar. — Posłuchaj, przecież miałeś zamiar przeżyć.

— Czyż jestem nieśmiertelny? — Głos Łuksa znowu drgnął. — Wcześniej czy później... przyjdzie wyjaśnić Tancerzowi, jak to było. Ty... nie pójdziesz ze mną, prawda?

— Nie — powtórzył Razwijar i podniósł się. — Wiesz... dobrze, że się spotkaliśmy. Ale teraz...

Przerwał i rozłożył ręce. Potem odwrócił się i poszedł w kierunku mostu.

* * *

Początkowo po prostu szedł tak, jak się chodzi po mostach, prawie bez trudu. Potem było gorzej. Niestety, im dalej docierał, tym trudniejsza stawała się przeprawa. Możliwe, że kiedyś most rozmyła powódź albo ostrzelano go z katapulty, albo po prostu czas na środku rzeki biegł szybciej. Razwijar przedzierał się teraz, czepiając się resztek poręczy, skacząc z kamienia na kamień, obmacując kładkę przed sobą, strącając do wody cegły tkwiące w murze tylko na słowo honoru. Od wody ciągnęło chłodem, nieoczekiwanym w środku gorącego dnia.

Wyspa zbliżyła się, wyłoniwszy się zza chmury. I niemal od razu okazało się, że dalej przejścia nie ma. Przejście między dwoma przęsłami zawaliło się całkowicie, a od jednego filara do drugiego było pięć albo sześć dużych kroków. Gdyby Razwijar umiał chodzić w powietrzu. Ale nie umiał.

Ciężko posapując usiadł na skraju konstrukcji, zwieszając nogi. Odpocząć, myślał. Jest czas, myślał. Zdobyć sznur? Zdobyć długi drąg? Nie, tutaj nie ma drzew... Iść wzdłuż brzegu? Szukać innego mostu albo może brodu?

Rzeka przetaczała się pod jego nogami, oleście czarna. Nie chciało się dotykać tej wody. Chyba nie byłby w stanie jej pić.

Wczepiwszy się w rozkruszone kamienie, pomyślał w jakimś odrętwieniu: a gdyby tutaj była jakaś długa żerdź, ucięte przy korzeniu młode drzewo. Cenna rzecz, niezbędna, bez której obejść się nie można. Wtedy można by było przesunąć nad nią ręką i powiedzieć: „Miedziany Królu...”.

Drgnął i ledwie nie spadł z konstrukcji w nurt rzeki. Obsesyjna potrzeba przeniknęła go tak jak łyk morskiej wody. Odkasznął, tak odczuwalna, narzucająca się i wyraźna była pokusa.

Potrząsnął głową i podniósł się na drżących nogach. Przeciwny kraj rozłamu nie stał się bliższy, ale słońce przeszło najwyższy punkt i zaczynało zachodzić. Nigdy w życiu, powiedział sobie Razwijar, nigdy więcej w życiu tego nie zrobię. Nie wiem, skąd jest ta magia i kto nauczył tego obrzędu starego latarnika, i kto nauczył władcę, i ilu jest ludzi na świecie znających tę tajemnicę. Ale ja nigdy więcej, lepiej niech zdechne, wpadając zaraz w tę czarną rzekę, zachłysną się...

Spod podeszwy wyrwał się kamień, poleciał w dół i bezdźwięcznie dosięgnął wody.

— A teraz znajdę coś, żeby się przeprawić — powiedział Razwijar na głos, ni to do siebie, ni to do mostu. I potykając się, wisząc nad czarną wodą, ruszył z powrotem.

Łuks stał na brzegu, przy samym moście, przestępując z łapy na łapę. Jakby tańcząc. Gryzł pazury, spoglądając na wracającego Razwijara, i rzucił się ku niemu, ledwie ten zszedł z mostu:

— Przemysłałeś to?!

W miarę, jak Razwijar objaśniał mu sedno sprawy, nerwowa twarz chimajryda stawała się coraz bledsza i nieobecna.

— Znajdę drąg — zakończył Razwijar. — Albo sznur. A najlepiej i to i to.

— Jak, mówisz, duża jest ta dziura? — bezbarwnym głosem zapytał Łuks.

— Na pięć albo sześć kroków.

Łuks zacisnął wargi. Odwróciwszy się, popatrzył na niebo nad dalekimi górami. Razwijar poszedł za jego spojrzeniem, ale niczego szczególnego nie zobaczył, chimajryd objął ramiona i zakołysał się w przód i w tył.

— Idziemy — tak samo cicho i bezbarwnie powiedział Łuks. — Spróbuję ci pomóc.

* * *

We dwóch dotarli do wyrwy szybciej. Razwijar nabrał niejakiej wprawy, a chimajryd był od dziecka przyzwyczajony do chodzenia po górach i rozpadlinach. Kiedy dotarli na miejsce, kilka chwil stali w milczeniu. Razwijar bał się, że Łuks powie krótko: nie, to za daleko. A Łuks patrzył to na wodę, to na przeciwległy kraj rozłamu, poruszał ustami i myślał, nie wiadomo o czym.

— I co dalej? — nie wytrzymał Razwijar.

Łuks potarł twarz dłońmi:

— Siadaj na moim grzbiecie.

Razwijar znowu zmierzył wzrokiem odległość. Widział, jak skaczą chimajrydzi. Jak wbiegają na sam szczyt, po niemal pionowej skale. Jak przeskakują z kamienia na kamień. Ale też doskonale pamiętał, jak poraniony Łuks jeszcze dwa dni temu ledwie powłóczył nogami.

Chciał zapytać: „Jesteś pewien, że dasz radę?”. I jeszcze chciał zapytać: „Czy ja mogę usiąść na miejscu twojego brata, którego zabiłem?”. Już otworzył usta by to zrobić, ale przypomniał sobie, jak Łuks nazwał go mistrzem zadawania głupich pytań. I miałby rację.

Balansując na kamieniach, podszedł do samego chimajryda. Zarzucił nogę na jego ciepły, miękki grzbiet, podciągnął się. Ostatnim razem siedział wierzchem na Łunie Księżyca, kiedy ten jeszcze nosił siodło i strzemiona. Razwijar czuł wtedy, że dosiadając jeńca poniża go. Ale teraz nie odnalazł w sobie tego uczucia.

Łuks odwrócił głowę, Razwijar zobaczył jego profil.

— Złap mnie za ramiona i ściśnij kolana.

— A czy nie powinieneś się rozpędzić? — zapytał nieśmiało.

— Bądź cicho — powiedział chimajryd. — Patrz do przodu, a nie w dół.

Przysiadł, naprężył łapy. Razwijar czuł, jak napinają się mięśnie Łuksa, falując pod skórą niczym woda pod mostem — nieuchwytnie, sprężyste i niebezpiecznie. Razwijar nabrał powietrza pełną piersią. Chimajryd zgiął ręce w łokciach, głowę pochylił do przodu i skoczył.

Jednak był osłabiony. Skok był krótki i gwałtowny. Ale nawet taki skok był jak małeńki lot.

Wczepiwszy się w ramiona Łuksa, zaciskając kolana, Razwijar wzbił się razem z nim. Zobaczył rzekę i czarne oczy wirów. Zobaczył niebo w smudze południowej mgiełki. Zobaczył lecący cień czworonogiego z jeźdźcem na grzbiecie. I w ostatnim momencie, z rozpędu dotknął twarzą mokrych pleców wierzchowca. Ten lądował na przednie łapy, zachwiał się, tylne łapy ześlizgnęły się i znowu znalazły oparcie. Łuks stał na czterech łapach, wyprostował zgięte łokcie, schylił głowę — a wyłom został za nimi.

Razwijar ześliznął się z jego grzbietu. Wytarł twarz rękawem, odkaszlnął.

— Dziękuję. Świetne to... u was.

Łuks nie patrzył na niego. Patrzył na rzekę, na rozłam, na pozostawiony brzeg.

— Według mnie — ostrożnie powiedział Razwijar — nie powinieneś wracać.

Chimajryd gwałtownie się odwrócił. Heks cofnął się gwałtownie, ledwie nie upadając, Łuks w porę chwycił go za rękę.

— Powtórz, to co powiedziałaś — wydyszał.

— Według mnie nie powinieneś wracać. To pewne, że cię zabiją.

— To nie jest usprawiedliwienie! — warknął Łuks. — Moi przodkowie szli w ogień, śmiejąc się...

— Oczywiście — Razwijar ostrożnie się wyswobodził. Ale... mnie się zdaje, że już jesteś trupem. Dla swoich. Martwi nie walczą.

* * *

Milcząc, ramię w ramię przeszli drogę przez most na wyspę. Razwijarowi drżały kolana, a Łuks co i rusz podkurczał stłuczoną przednią łapę. Tak kuśtykając i przeskakując z kamienia na kamień, wyszli na płaski kamienisty plac. Wyspa była ogrodzona wysokim płotem. W jej centrum stał kamienny łuk do połowy przykryty kratą.

— Kto zacz? — z zainteresowaniem zapytał imperatorski strażnik o nalanej twarzy. Kiedyś zapewne dzielny i sprawny, a teraz roztyty. Za jego plecami stało dwóch młodych z wzniesionymi arbaletami.

— Nagóreni — odpowiedział za nich obu Razwijar. — Jestem jeźdźcem. A to mój brat.

* * *

Droga ukryta, zapuszczona, zakurzona. Szczególnie dużo kurzu zebrało się na wybojach i w jamach. W niebezpiecznych miejscach nad przepaścią, gdzieś w ziemię były wkopane kamienne słupki. Po zejściu z mostu Razwijar i Łuks szli w milczeniu. Razwijar widział jak towarzysz porusza wargami, wstrząsa głową, jakby czemuś zaprzeczał i co rusz łowi ręką końcówkę bijącego po bokach ogona. Razwijar wiedział, że chimajryd wkrótce się odezwie i nie pomylił się.

— Wiesz, co ja przed chwilą zrobiłem?

— Przeszedłeś granicę. Taki miałeś zamiar.

— Zdradziłem... porzuciłem ziemię przodków.

— Gdzie chcieli cię zabić. Bez powodu.

Łuks sapnął przez zaciśnięte zęby:

— Jest jeszcze jedna... rzecz. Jestem niewolnym.

— Do kogo przynależysz? — Razwijar uśmiechnął się.

— Do ciebie.

Heks zrobił jeszcze kilka kroków i się zatrzymał. Chimajryd patrzył spode łba, bez cienia uśmiechu.

— Wyjaśnij to — spokojnie poprosił Razwijar. — Albo przyznaj, że palnąłeś głupstwo.

Ten pokręcił głową:

— Każdemu, kto urodził się na czterech łapach, potrzebny jest jeździec.

— Wyszedłeś poza granicę swojej krainy i swoich praw. A to oznacza...

— Nagóren, urodzony po to, żeby chodzić z siodłem, nie może przestać być niewolnym. To prawo natury.

— Tak? — Razwijar zaczął się denerwować, nie wiadomo, dlaczego. — A Poranek Bez Skazy?

Łuks odcisnął pazurzystą łapę w brunatnym przydrożnym pyłe. Podniósł. Popatrzył na łapę, potem na odcisk.

— Poranek Bez Skazy był magiem. On stanął przeciwko prawom i zabił jeźdźca, swojego brata. Ale to niczego nie zmieniło w jego losie. Znalazł sobie nowego pana. Innego jeźdźca.

Razwijar przypomniał sobie władcę. Czarne włosy z niteczkami siwizny. Roztargnione, nieobecne spojrzenie. „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”.

Głęboko westchnął, powstrzymując nagły dreszcz.

— My szukamy sobie jeźdźców... nawet jeśli jesteśmy poza prawem — cicho powiedział Łuks. — Chcemy, żeby ktoś za nas decydował, dokonywał wyborów. Ty zdecydowałeś za mnie... i jest mi lżej. Dzięki tobie jest mi lżej. Bardzo trudno żyć bez jeźdźca.

— Łuks — głos Razwijara aż ochrypnął z emocji. — Sam zdecydowałeś. To był twój wybór!

Chimajryd popatrzył z wyrzutem:

— Nie.

I poszedł przodem, a Razwijar powlókł się za nim. Łuks spuścił ogon i jasny chwościk rysował zygzakowaty ślad w pyle drogi.

Droga płynnie wznosiła się ku szczytowi. Na stoku góry pokazały się ciemne otwory jaskiń, przed największym sterczała żerdź z powiewającym na niej strzępem tkaniny.

— Pastwiska — powiedział Razwijar, myśląc o czymś innym. — Tutaj także pasą przyśleпки.

Zachodziło słońce. Obłoki na zachodzie układały się w bursztynowo-różowy falujący pałac.

— Jak Mirtie — powiedział Razwijar. — Bardzo podobne.

— Jak co?

— Mirtie, szybujące miasto. Tam żyją ludzie o złotych włosach. Są bardzo mądrzy i dobrzy, nie zabijają nawet szczurów.

— A może by się tam dostać — powiedział Łuks niepewnie.

Razwijar parsknął stłumionym śmiechem:

— Ta także niekiedy myślę: a może by się tam dostać.

— Chcę jeść — najeżył się czworonożny. — Jak sądzisz, zdarzają się tutaj człapacze?

* * *

Po zachodzie słońca czarne kamienie przestały się nagrzewać. Chimajryd rozpałił ognisko z chrustu i podsmażył zdobycz na rożnie. Wyszła bardzo smaczna. Razwijar obgryzał kosa, patrząc w dogasające ognisko i z ukosa popatrywał na Łuksa

— Z głodu nie umrzemy — powiedział chimajryd, z jakiegoś powodu przepraszającym głosem.

— To już dobrze — Razwijar kiwnął głową. — Co jeszcze możemy robić?

— Co nam się podoba. Możemy najać się do ochrony karawany lub czegoś innego. Jestem dobrym wojownikiem, a ty... Jesteś dobrym strzelcem?

— Przyzwoitym — powiedział ten. — Tylko strażnikiem już byłem. Znudziło mi się.

— No to czego ty chcesz?

Razwijar milczał. Gdyby tak mógł opowiedzieć słowami,

— Mieć ogromną bibliotekę — powiedział przeciągając słowa — Żeby jej ściany były obwieszane siatkami pajaków Cza, zabezpieczając księgi od wilgoci. I żeby ta biblioteka znajdowała się w najwyższym domu miasta Mirtie, i żeby przygrywała muzyka strun, a na dachu dzień i noc siedział osiodłany skrzydlak tylko dla mnie... Albo nawet skrzydlaty powóz... Oto czego chcę.

Łuks przez jakiś czas milczał z zakłopotaniem.

— Tak, jesteś mistrzem wymyślenia — powiedział wreszcie. — Ciebie to tylko posłuchać i nie wiesz potem, co z uszami zrobić.

* * *

W osadzie, do której przywiodła ich droga, żyli prymitywni pasterze, podobni do tych, którzy dostarczali mleko i mięso przyślepek do zamku władcy. Tutaj mieszkali obywatele Imperium, przesiedleni na kamienisty obszar przy samej granicy, częściowo z własnej woli, częściowo z rozkazu Imperatora. Żyli nie w jaskiniach i nie w nędznych chatkach, a w solidnych domach zbudowanych z kamienia. W każdym takim domu stał wielki piec. Gości, pomimo obaw Razwijara, przywitano życzliwie. Gospodarz domu, do którego zastukali, ułożył przed paleniskiem stosik chrustu i z pokłonem poprosił gościa, aby rozpałił ogień w piecu.

— Ale... po cóż? — Razwijar zmieszał się. Zapowiadała się niezbyt zimna noc, w kamiennym domu i tak było całkiem ciepło, a opału w tutejszych stronach wечно brakowało.

— No jakże to — zdziwił się gospodarz. — Tak nakazuje tradycja!

I opowiedział, że tam, skąd on pochodzi, każdego wędrowca proszą o rozpalenie ognia w piecu. Mówią, że gdzieś po drogach chodzi człowiek o imieniu Wędrowną Iskra albo Zdun. W domu, w którym rozpali ogień, zawsze już będzie spokój i szczęście. A tam, gdzie zbuduje piec, rodzi się mag. Słuchając go, Razwijar przypomniał sobie wersy z „Kronik”, wyjaśniające pochodzenie Poranka Bez Skazy: „...osadę klanu Rosy odwiedził człowiek, zwany Wędrowną Iskrawą... zbudował kamienny piec w domu wodza. Wkrótce starsza żona wodza urodziła chłopca, niewolnego...”.

Luks zasnął na materacu nabitym suchymi liśćmi. A Razwijar do późna wypytywał dobrego gospodarza o ziemię, gdzie ten żył wcześniej, a przede wszystkim starał się dowiedzieć czegoś o lasach, gdzie na wyżynnych poletkach rolnicy uprawiają zboża, gdzie licznie występują wiewiórki z ognistorudymi ogonami, gdzie w gęstwinach poszycia lasu kołysze się pajęczyna z uwiecznionymi w niej ptasimi szkielecikami.

* * *

Gospodarz słuchał z na wpół otwartymi ustami, wysoko unosząc krzaczaste brwi. Lasy, powiedział, w Imperium to zwykła rzecz; w Leśnych Dziedzinach i na żywych ziemiach, a nawet i na Bezziemiu gdzieś tam rosną, ale o takich, jak przybysz opowiada, wcześniej nigdy nie słyszał. Może to w ogóle nie w Imperium, a gdzieś poza granicami.

— Możliwe — zgodził się Razwijar.

Wtedy gospodarz w odpowiedzi opowiedział mu inną historię: wszystkie przedstawiające ziemię mapy, zebrane są w stolicy, w pałacu Imperatora. Gdy tylko Imperator zapragnie dowiedzieć się czegoś nieznanego, pstryka palcami o paznokciach z masy perłowej i oto od razu przynoszą mu mapę, gdzie kołyszą się na wietrze lasy, kurzą drogi, śpiewają wędrowni muzykanci, ponieważ ta mapa jest żywa i szczegółowo pokazuje, co i jak dzieje się na świecie. Imperator może nawet wiedzieć, że my teraz sobie rozmawiamy. Wystarczy mu nachylić się i zbliżyć do mapy swoje wszechwidzące oko. A jeśli rozgniewa się na lud z jakiejś prowincji, to po prostu posypuje solą to miejsce na mapie. I tam zaczyna się nieurodzaj i nieszczęścia, i tak będzie, dopóki Imperator się nie zlituje.

Razwijar poszedł spać, porażony wielkością Imperium. Ale śnił mu się nie Imperator w wysokich pokojach i nie mapy posypane solą. Widział świetliki w wysokich koronach drzew i stada wiewiórek, płynące po ziemi rudą falą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Szli z osady do osady, zajmując się polowaniem. Na drogach spotykali coraz więcej ludzi, coraz częściej zdarzały się słupki z rozwieszonymi na nich rozkazami i obwieszczeniami. Razwijar za każdym razem zatrzymywał się, żeby dokładnie przypatrzeć się takiemu papierowi; dokumenty były tęczowe, ledwie zauważalnie mieniające się masą perłową. Prawdziwe imperatorskie pisma.

Miejscowi z reguły nie umieli czytać, ale papierom się kłaniali. Niekiedy sypali okruszki chleba na ziemię przed słupami — to przynosiło szczęście i chroniło od złego. Ukazy zapowiadały okrutną śmierć złodziejom, kłusownikom, zabójcom i fałszerzom monet, a ludzie uśmiechali się, spoglądając na tęczowe lśnienie i długo stali, zachwycając się kolorami. Razwijar dziwił się temu.

W okolicach miasteczka o nazwie Ulewa, chimajryda ujęto za kłusownictwo. Łuks buszował w krzakach, a Razwijar szedł drogą, myśląc o swoich sprawach, przypatrując się miastu, leżącemu przed nim na nizinie. Zamyślił się i przysiadł na kamieniu, żeby odpocząć, wtedy usłyszał tupot i szarpaninę, pośpieszył na pomoc. Okazało się, że cała miejska straż w pełnym składzie, czyli wszystkiego czterech strażników, narzuciła na Łuksa arkany i związała go, chociaż ten wcale nie myślał się sprzeciwić. Na ziemi wałała się, rozłożony krótkie skrzydła, ubita kormucha — tłusty, smaczny ptak.

— Daleko zawędrowałeś chimajrydzie — powiedział naczelnik straży. I nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do swoich. — Wybierajcie wyższy konar, te zwierzęta są żywotne... O, tamta gałąź chyba się nada.

Jeden strażnik ostrożnie podniósł z ziemi kormuchę, drugi wyciągnął sznur, trzeci zaczął wspinać się na drzewo. Razwijar ze zdziwieniem pojął, że mają zamiar powiesić Łuksa tu i teraz — bez pytań i bez sądu.

— Ej — powiedział do naczelnika straży.

Broni nie miał. Włócząc się po drogach i bezdrożach, Razwijar zniszczył ubranie, całe zakurzył, zarósł rzadką, młodzieńczą brodą i wyglądał żałośnie. Ale kiedy powiedział: „ej”, naczelnik straży odwrócił głowę.

Ich spojrzenia spotkały się. O wiele później Razwijar zrozumiał, że kopiował zachowania władcy, jak przepisywacze kopiuje litery i wersy. Napotkawszy jego spojrzenie, strażnik nie zaczął go wyzywać od przydrożnego żebraka. Wysłuchał Razwijara i te kilka słów uratowało życie Łuksa.

Chimajryda zabrano do miasteczka Ulewa i zamknięto w tamtejszym więzieniu, które stanowiła żelazna beczka bez okien, do połowy wkopana w ziemię. Razwijar znalazł największą tawernę, zamówił kubek bulionu i zaczął opowiadać „Pouczające opowiadania o ludziach, zwierzętach i pozostałych stworzeniach”. Wokół niego powoli zebrał się tłum. Opowiedział jak sytucha zapragnęła zostać skrzydlakiem i zażądał od słuchaczy zapłaty. Zebrali dla niego w czyjejsz czapce garść monet. Opowiedział, jak córka drwała postanowiła wyjść za mąż. Tłum zgęstniał, a wtedy Razwijar obwieścił, że więcej nie powie ani słowa, dopóki nie dostanie pięciu imperatorskich realów.

Śmiano się i wymyślano mu. Zabrawszy zarobione pieniądze wyszedł z tawerny i ruszył do drugiej, naprzeciwko. Tam wziął sobie kubek wrzątku i zaczął opowiadać „Kroniki chimajrydów”.

Ulewa była małym, zapadłym, sennym miasteczkiem. Zebrać w jedną noc pięć realów okazało się rzeczą niemożliwą. Zbliżał się świt i Razwijar już wymyślał, z góry skazane na niepowodzenie, plany oswojenia Łuksa siłą, kiedy jeden sklepikarz, młody, ale bardzo gruby, nieśmiało poprosił, aby ten opowiedział jeszcze raz o statku kobiet. Razwijar przypomniał sobie Wschodnią Ciemnicę, kamienne ściany i podłogę pokrytą mchem, źródło, bijące ze ściany i sapanie nadzorca Rodziego.

— „Żyły dwie kobiety, pierwsza była żoną szewca, druga — żoną kupca, handlującego puchem. Żona szewca była wierna swojemu mężowi i nawet w myślach nie cudzołożyła z nikim. Żona handlarza puchem lubiła spać na miękkich pierzynach, słodko jeść i zaspokajać swoje żądze. Pewnego razu...”

Sklepikarzowi żal było pieniędzy, ale Razwijar obiecał opowiedzieć coś szczególnego. Trzy pozostałe reale, trzy żółte krążki, upadły mu na dłoń jeden za drugim, w tym czasie, kiedy opowiadał jedną za drugą przygodę faworyty.

Sklepikarz nie wiedział, że ta księga jest zakazana w Imperium. Pojęcia nie miał, z jakiego tekstu gawędziarz wrywa, jak skrawki, opisy cielesnych uciech.

— „Po wyjściu z basenu, wtarła w biodra aromatyczny olejek, narzuciła na ramiona jedwabną sieć i tak, przy dźwiękach strun, powitała ukochanego...”

Kiedy Razwijar był młodszy, zupełnie nie interesowały go rozwlekłe sceny uwodzenia. Teraz czytał je na nowo, z perspektywy czasu rozumiejąc, dlaczego Rodzi sapał i za co płaci sklepikarz, ale sam pozostawał obojętny. Nie poruszały go ani „jedwabna skóra po wewnętrznej stronie ud”, ani „ukryte loki”, z jakiegoś powodu „namaszczone olejkiem”. Kiedy myślał o kobietach, stawały przed nim nie nagie piersi, nie Dżal i nie Skrzydlaczkę. On widział szybujące na horyzoncie miasto Mirtie ze złotymi iglicami i turkusowymi łukami, białymi mostami i daleką muzyką.

— „I wszedł w nią władczo, tak że jęknęła i odchyliła głowę, a jej włosy zanurzyły się w basenie...”

* * *

Rankiem Razwijar pojawił się u naczelnika straży miejskiej i zapłacił pięć realów za oswojenie Łuksa. Strażnik długo liczył pieniądze, patrzył to na monety, to na przybysza, marszczył brwi, nie pojmując, jak można w ciągu jednej nocy zebrać taką sumę. Zakładał jakiś szwindel ze strony włóczęgi, już był gotów triumfalnie się uśmiechnąć, ale napotkawszy wzrok Razwijara, powstrzymał się i tym samym uratował swoje życie.

— Ale śmierdzi w tym ich więzieniu — powiedział Łuks zamiast przywitania. — Nawet apetyt straciłem.

W milczeniu wyszli za miasto, za mur, jeśli konstrukcję tak lichą, gdzieśgdzie zbudowaną z cegły a miejscami plecioną z wikliny można nazwać murem miejskim.

— Wsiadaj — powiedział Łuks.

Razwijar wdrapał się na jego grzbiet, chwycił za ramiona i chimajryd wyrwał po zakurzonej drodze, w dzikich podskokach zarzucając na boki tylne łapy, zostawiając zamazane, szeroko rozrzucone ślady. Gnał po równinie tak, że obu im świszczało w uszach wiatr i krzyczał w biegu, a Heks wtórował mu schrypniętym przez noc głosem:

— Aaaaa!

Pędzili, złani w jedno czworonożne stworzenie, świętujące nowy dzień życia.

* * *

— Twój brat miał kobiety?

Zabili kormuchę i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma straży, rozpalili ognisko, upiekli zdobycz i zjedli razem z miękkimi kośćmi.

— Nie — Łuks nastroszył rozcapierzonymi palcami sierść na boku. — Miał jedną niewiastę, ale ona mi się zupełnie nie podobała. Myślałem, że może chociaż weźmie drugą, którą ja zechcę.

Razwijar potarł czubek nosa.

— Nie rozumiem, jak to jest. Dwie kobiety na dwóch.

— To się tylko tak mówi, że na dwóch — chimajryd westchnął. — Z tym moim bratem, z Tancerzem, nic by mi się nie dostało. Jeździec ma prawo pierwszej nocy.

Razwijar położył się na plecach. Ni z tego, ni z owego przypomniawszy mu się Dżał. Co by było, gdyby zgodziła się uciec z nim z zamku? Z pewnością nic dobrego. Pojmaliby oboje.

— A co się stało z jego niewiastą, kiedy go... kiedy on zginął?

— Wyszła za innego — obojętnie odpowiedział Łuks.

— Kochała go?

— Skąd mam wiedzieć? — Chimajryd, zdaje się, trochę się obraził.

Kończył się dzień. Wieczór był chłodniejszy od wczorajszego, a ten z kolei był chłodniejszy od przedwczorajszego — zbliżała się jesień, a za nią zima.

— Znałem jedną dziewczynę — zaczął po chwili Łuks. — Z naszego klanu. Myślę, że mnie kochała.

Razwijar podniósł się na łokciu.

— Słuchaj... A jak to u was jest? U ciebie? Z kobietami? Miałeś jakąś?

Łuks zabrał się za czyszczenie pazurów na przednich łapach. Zawsze tak robił, kiedy się peszył. Dziwnie było patrzeć na niego, jak dłubie ostrym patykiem, wydobywając ziarenka piasku spod zagiętych kościanych ostrzy.

— Mogłem kogoś mieć tylko wtedy, kiedy mój brat się ożeni. I odstąpi mi drugą noc.

— Dziwne. A ja z nikim się nie ożeniłem, a...

— Przecież jesteś dzikusiem! — wyrwało się Łuksowi. — To jest, chciałem powiedzieć, że wasze obyczaje są dzikie. No... nie takie jak nasze.

Razwijar nie obraził się. Dzielił kobiety z tłumem strażników i wszystkim wydawało się to proste i naturalne. A komuś innemu mogło wydawać się dzikim. Świat jest szeroki.

— Jakże to teraz z tobą będzie? — zapytał chimajryd.

Ten poczerwieniał, smagła skóra stała się jeszcze ciemniejsza.

— Jeśli się ożenię — pomyślał na głos Razwijar — wychodzi na to, że muszę oddać swoją żonę tobie?

— Niczego nie musisz.

— Nie, no dłaczego — uśmiechnął się na myśl o własnej szczodrości. — Proszę... Jeśli zobaczysz dziewczynę, która ci się spodoba — powiedz mi.

Łuks roześmiał się. Razwijar nie wiedział, czego było więcej w jego śmiechu — zmieszania czy wdzięczności.

* * *

Wyglodzeni, za to napatrzeni do woli na powszednie życie dróg i osad Imperium, przybyli do pierwszego, po prawdzie, znaczącego miasta na ich drodze. Przy miejskiej bramie stała nie prosta

strażnica, a kamienny budynek, ni to koszary, ni to więzienie, ni to biuro. Łuks z Razwijarem wystali się w długiej kolejce, po czym weszli do chłodnego, wilgotnego pomieszczenia i stanęli przed starym, pomarszczonym, jednorękiem urzędnikiem.

— Kim jesteście?

— Nagórenami — jak zwykle oznajmił Razwijar. — Jestem jeźdźcem. A to mój brat. Idziemy z naszych ziem, patrzymy na Imperium, nabieramy rozumu...

Urzędnik spojrział na niego przelotnie spod łysych łuków brwiowych:

— To i słusznie, że nabieracie rozumu, to dobrze, mały Heksie... Mówisz prawdę, że to zwierzątko to twój rodzony brat?

— Nie jestem zwie... — zaczął i zamilkł Łuks. W kamiennym pomieszczeniu zrobiło się cicho, tylko słychać było, jak buczy czekająca na wpuszczenie kolejka.

— Dokumentów, oczywiście, nie macie — powiedział urzędnik. Jego jedyna ręka szperała w papierach na stole.

— Idziemy z ziem Nagórenów — powiedział Razwijar, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie. — Tam nikt nie ma...

— Patrol — niezbyt głośno powiedział strażnik.

Pojawiła się trójka młodzieńców z bronią. Razwijar przypomniał sobie, jak przechodzili most na granicy. Odbłyło się to tak bezproblemowo, że zupełnie stracili czujność...

— Odprowadźcie tych dwóch na rozprawę — rozkazał jednoręki strażnikom. — Tylko do różnych cel. Do różnych.

* * *

Nocą nie zamknięto bramy, jak można by się spodziewać. W prawdziwym mieście pod namiestnictwem Imperatora życie wrzało w świetle słońca i w świetle gwiazd. Siedząc w śmierdzącej klatce, w połowie pod ziemią, Razwijar słyszał, jak szemra kolejka, ostro trąbią trąby sygnalizacyjne, turkoczą koła i krzyczą poganiacze juczych zwierząt.

Z nudów i żeby się uspokoić zaczął przypominać sobie wszystkie zwierzęta pociągowe, jakie zobaczył w ciągu ostatnich dni na drodze. Rogacze z garbami — to raz, zaprzęgano je do wozów. Muszlaki — zwierzęta z rogowym pancerzem na grzbiecie, w rodzaju nierównej misy, na której tak wygodnie transportować pakunki — to dwa. Pociągowe samojadki... nimi jeżdżą, zdaje się, tylko starsi urzędnicy i tylko ci, którym gdzieś się śpieszy. Pod dnem takiego wozu chowają się czarne pancerne gaśienice, wciągające się same w siebie i same z siebie wychodzące, co za paskudztwo. Dlatego też nazywają się samojadki. Postronnym wydaje się, że powóz jedzie sam...

Leżał na kamiennej podłodze, założywszy ręce pod głowę. Strachu prawie nie czuł. Widział w życiu wiele; i skrzypiącą ładownię „Łuski”, i karawanę niewolników, i Wschodnią Ciemnicę w zamku. I jamę, do której wrzucili go po rozbiciu jaja ogniewuchy. Tam, w ciemności, oddał jedyną świeczkę w ofierze Miedzianemu Królowi i otrzymał w zamian... no właśnie, co otrzymał?

Razwijar usiadł. Potrząsnął głową, jakby wytrząsając zbędną myśl. Znowu to smutne uczucie, że jest mu coś bardzo potrzebne i tylko Miedziany Król może dać, to co jest mu niezbędne. Tylko że pod ręką nie ma niczego cennego, co można złożyć w ofierze. I najważniejsze, czy to nie on obiecał sobie, że nigdy więcej nie wypowie tych słów: „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”?

Bezszelестnie otworzyły się drzwi. Wszedł jednoręki urzędnik, za nim dwóch strażników, którzy wnieśli stół i wysoką beczkę. Jednoręki usiadł na beczce, oparł się łokciem o zalany atramentem, poniszczony stół. Prześlizgnąwszy się przez zamykające się drzwi, usadowił się na

podłódze w kąciku kancelista — chorobliwie chudy, łysy jak kolano, co i rusz głośno wzdychający. Otworzył zwitek białej drzewnej kory i wziął pióro, potwierdzając swoją gotowość pisarską. Razwijar po chwili wstał.

— Heks? — niezbyt głośno zapytał urzędnik.

— W połowie. Po matce.

Kancelista westchnął. Przesłuchujący uśmiechnął się:

— Gdzież tacy żyją?

— Osada w lesie. Lud nazywa się „Pagóraki” — powiedział Razwijar i przed jego oczami pojawiła się ściana lasu z migotającymi w koronach ogonkami. — Wypalają w lesie polany... sięją, żną. Tam wyrosłem.

Kancelista znowu westchnął. Jego pióro było samopiszącym atramentowym żuczkiem, nasadzonym na żelazny trzon. Razwijar widział już takie pióra, ale nie trzymał ich w ręku; żuczek apatycznie poruszał łapami. Wkrótce zaschnie.

— A prawdziwych Heksów nigdy nie widziałem — Razwijar spojrzął na żuczka. — Nawet nie wiem, gdzie oni żyją.

— Ciekawe — powiedział przesłuchujący. — Twój ogoniasty kolega mówi coś zupełnie innego.

Razwijarowi zamarło serce. Co zdążył nagadać Łuks? Czy mógł zełgać „dla dobrej sprawy”?

— On nie może mówić nic innego — oświadczył Razwijar wolno. — On nic nie wie. Poznaliśmy się całkiem niedawno.

Przesłuchujący z satysfakcją pokiwał głową:

— A więc przyznajesz, że udzieliłeś fałszywych informacji w strażnicy przy wjeździe do miasta?

Razwijar milczał. Kancelista podniósł głowę i znowu westchnął; przeciągle, rozdzierająco, aż wiatr przeszedł po celi.

— Jeśli wtedy zełgałeś, skąd mogę wiedzieć, że teraz mówisz prawdę? — Przesłuchujący zmarszczył brwi. — Może jesteś szpiegiem Heksów w Imperium? Oni specjalnie wyszukali półkrwiaka? Specjalnie złamali ci nos, mordę na słoneczku opalili, żeby była czarniejsza? I podstawili chimajryda, żebyś ty sam uchodził za nagóreńskiego jeźdźca... Nieźle, co? Przecież tyle strażnic przeszedłeś i nikt ci się nie przyjrzał. Zaczęto zapominać Heksów w Imperium, a są i tacy, którzy nigdy o was nie słyszeli.

— A kto to taki, ci Heksi — zapytał Razwijar, który nagle się rozzłościł — że mogą do Imperium wysyłać szpiega? Czym oni mogą zagrozić Imperatorowi?

Kancelista kiwnął głową, potrząsnął żuczkiem, żeby atrament lepiej leciał i dalej pisał. Pióro cichutko drapało po drzewnej korze do pisania.

Przesłuchujący uśmiechnął się dziwnie:

— Patrzcie go, jak powiedział... Imperatorowi nikt z żywych zagrozić nie może. Ale Szuu, przekłete stworzenie, nie przepuści okazji, żeby zadzierzgnąć bunt na granicy, wywołać wzburzenie w prowincji, knuć przeciwko dobrym obywatelom. I niepotrzebnie w naszym spokojnym mieście pojawia się z kłamstwem na ustach Heks półkrwi i chimajryd bez jeźdźca, a przecież wiadomo, że swoich czworonogich w mogile obok braci kładą. A może ty o tym nie wiesz?

Razwijar chciał odpowiedzieć fragmentem z „Kronik chimajrydów”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

— Wiem — powiedział z wysiłkiem. — Ale jesteśmy przecież na ziemiach Imperium, co nam do praw dzikich, żyjących na obrzeżach plemion?

Kancelista jeszcze raz potrząsnął zuczkiem. Przesłuchujący obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

— A ja — Razwijarowi nagle załamał się głos — prawie nigdy nie kłamię. Naprawdę jestem jego bratem... Z nazwy. Ocaliłem go od śmierci. Ot i wszystkie nasze złe zamiary.

* * *

Następnego ranka miejski sąd ogłosił wyrok: pięć dni katorgi za kłamstwo w strażnicy, przy wjeździe do miasta. „Katorgą” nazywała się jakaś praca na użytek miejskiej gospodarki. Łuksowi kazali kręcić kołowrotem, Razwijara posadzili w dusznym pokoiku, żeby przepisywał protokoły przesłuchań.

Po kilku godzinach jednoręki, którego zwali naczelnik Szito, zajrzał przekonać się o jego gorliwości i zobaczył, że gryzmoły łysego kancelisty z dokładnością do najmniejszego kleksa i przekreślenia przeniesione zostały z białego zwitka kory na kartki papieru. Co więcej, przepisywacz skopiował nawet ciemne znaki na korze i ślady korników.

— A niech cię...

Jednoręki zachłysnął się z wściekłości. Zmiał zaczęta przez Razwijara kartkę i rzucił mu ją w twarz.

— Drwisz sobie?!

Razwijar osłupiał. Przywykł, że jego praca wywołuje u każdego nowicjusza zdumienie i zachwyty.

— Jesteś przepisywaczem? — przez zęby zapytał Szito odrobinę się uspokoiwszy. — Dlaczego nie zrobiłeś tego dobrze? Dlaczego nie napisałeś czytelnie, po co ja cię tu posadziłem?!

— Ja umiem tylko kopiować — ze zdziwieniem przyznał się Razwijar. — Ja... tak widzę. Co widzę, to przenoszę na papier.

Wieczorem tego samego dnia już kręcił kołowrotem do pary z Łuksem. Mechaniczny podnośnik dostarczał na wysoki miejski mur kamienie i zaprawę do nowej budowy, wodę dla patrolujących i stalowe części jakichś obronnych mechanizmów.

Minęły jeszcze cztery dni zanim wypuścili ich z więzienia i znaleźli się na ulicach miasta, hałaśliwych, błotnistych, pełnych zgiełku. Wyszli za więzienną bramę i zatrzymali się — bez jednej monety, bez kawałka chleba, za to z podróznymi dokumentami „młodszych obywateli Imperium, pozbawionych środków do życia”, szarymi kwadratowymi papierkami, pośrodku których, ledwie widocznie, mieniła się tęczowa pieczęć.

— Pięknie — powiedział Łuks, z zachwytem przypatrując się swojemu papierkowi. — Za taką rzecz mógłbym im jeszcze coś pokręcić.

— Wychodzimy — Razwijar zawrócił ku miejskiej bramie.

— Gdzie? Przecież jeszcze nie widzieliśmy miasta, chciałeś do gildii kopistów...

— Wychodzimy — Razwijar złapał jego ogon i zakręcił na ręce. — Nie mamy tu nic do roboty. Idziemy, po drodze ci opowiem.

Minionej nocy odbył długą rozmowę z naczelnikiem Szito. Ten znowu wypytywał o szczegóły życia Razwijara, cały czas starał się złapać go na kłamstwie, ale Razwijarowi w miarę ujawniania faktów i tak udało się wiele zataić. Na zakończenie Szito uprzedził: zabierać się z miasta szybko, zaraz po odzyskaniu wolności i nie pokazywać tu nosa.

— Prościej by było dla mnie udusić was obu. Tylko gdyby dusić wszystkich podejrzanych, to żadna szubienica by tego nie wytrzymała... Słyszałem o takich lasach, o których opowiadałeś. Mówią, że okolice tam zgubne, droga niedobra, kłusownicy chodzą i inni zbrodniarze poza prawem. Chodzą, karmią się swoim występny mięsem tamtejszych łykaczy i chapunów... Moja

rada dla ciebie; upatrz sobie dziewczę gdzieś w osadzie i ziemię uprawiaj. Twoim bratem orać, idealna rzecz. A w mieście się nie pokazuj. I jeszcze jedno; przyjdzie ci do głowy podrabiać podpisy to ręce odrąbię, a potem głowę. Uprzedzam.

I oto teraz Razwijar szedł daleko od miasta, a Łuks kroczył obok z opuszczoną głową, obejmując rękami ramiona przykryte starą, kupioną okazyjnie koszulą.

— Orać mną nie wolno — odezwał się ponuro, kiedy towarzysz zakończył swoją opowieść. — Kręcenie kołowrotu jeszcze jakoś poszło. Ale orać! Nie jestem dla ciebie rogaczem, ani pociągową samojadką.

— A co będziemy jeść?

— Chciałeś się nająć jako przepisywacz. A ja mogę polować.

— Kłusować.

— Można licencję zdobyć.

— Za jakie pieniądze? Taniej kupiłeś chleb na bazarze.

Łuks zaklął po chimajrydzku. Usiedli przy drodze, w cieniu, i patrzyli wygłodniałym wzrokiem na przechodzące obok karawany, na muszlaki, ledwie wysuwające nogi spod ciężko załadowanych panczerzy, na rogacze, zaprzężone w wozy, na poganiaczy, zasiadających na ich włóchatych czarnych garbach.

Chciało im się jeść. Bolały naciągnięte na „katordze” mięśnie. Dziwne pragnienie, które opanowało Razwijara na granicy ziem Nagórenów i Imperium, skryło się gdzieś głęboko.

— Trzeba by zaopatrzyć się w broń — rzeczowo stwierdził Łuks. — Nauczę się walczyć z tobą w parze. Ty przecież nie umiesz. W walce odrąbisz mi uszy i dobrze, jeśli tylko uszy, bo może i głowę strącisz.

— Jesteśmy „młodszymi obywatelami Imperium, pozbawionymi środków do życia” — uśmiechnął się Razwijar. — Na stemplu napisano: „Bez prawa noszenia broni”.

Łuks wyciągnął z kieszeni koszuli swój papierek. Rozłożył, długo wpatrywał się w tęczową pieczęć. Potem zwinął go w stożek i splunął do środka.

— Ostrożnie — powiedział Razwijar. — Siedzimy pod samym miastem.

— Widziałem ich „prawa” wiesz gdzie? — nastroszył się chimajryd. — U człapacza w tyłku!

I szurnął papierek w przydrożne krzaki.

* * *

Łuks nie lubił i nie umiał nosić ciężarów, układać kamieni, rąbać i piłować drzew, zwałać drewno, słowem, prawie nie nadawał się do żadnej pracy, która może wyżywić włóczęgę w czasie wędrówki. Duma nie pozwalała mu nosić dzieci na grzbiecie, ale i tak który z rodziców powierzyłby dziecko „jarmarcznemu cudakowi”.

Razwijar, przywykły do ciężkiej pracy, nie brzydził się żadnym zarobkiem.

W małych siedliskach, przez które przebiegała ich droga, nigdzie nie można było dostać czystej oprawy i nie było komu sprzedać gotowej książki, tutaj nawet historii w zajeździe słuchali niechętnie, bez zainteresowania, dlatego Razwijar ładował i rozładowywał wozy z kłodami, piłował, taszczył, tyrał za dwie miski kaszy. Łuksowi wydawało się to zbyt upokarzające, uciekał do lasu uprawiać zakazane rzemiosło polowania, a Razwijar za każdym razem oczekiwał go w napięciu, obawiając się najgorszego.

Z każdym dniem robiło się zimniej. Wędrowcy szli po równinie, gdzie było bardzo dużo rzek, rzeczulek, jezior szerokich, okrągłych, spokojnych. Z nastaniem zimy cicha woda od razu pokryła się lodem i okoliczni mieszkańcy, tylko na to czekając, utorowali nowe przeprawy — po

łodzie, na drewnianych płozach, wozili towary na jarmark. Przeręble — ciemne otwory do łowienia ryb — ogradzali płotami z rozwieszonymi na nich czerwonymi i żółtymi wstęgami.

Razwijar i Łuks głodowali i marzli. Sprawy toczyły się już całkiem źle, kiedy nawinął się szczęśliwy przypadek, bowiem w przydrożnym zajeździe potrzebowali pracownika.

* * *

— Dlaczego ty znosisz wszystkie te upokorzenia?

Siedzieli w komórce pod samym dachem, gdzie ledwie docierało ciepło z niższych pięter. Na zewnątrz szalała zamięć.

— Dlaczego ty, jeździec, myjesz im kotły i rąbiesz drwa?

— Dlatego, że musimy coś jeść — spokojnie odezwał się Razwijar. — I gdzieś mieszkać. A swojego zamku, póki co, jeszcze nie zbudowaliśmy.

— Moglibyśmy znaleźć zarobek godny wojowników!

— Nikt cię nie trzyma. Idź, szukaj.

— Mówiłeś, że masz w głowie wiele ksiąg za setki realów!

— Ale niewiele z nich pożytku, dopóki są w głowie. A wydostać je stamtąd bez pieniędzy, bez gildii, w tej głuszy się nie da.

— Myślałem, że jesteś wojownikiem — powiedział Łuks i odwrócił się. — Pamiętam cię z bronią w ręce... Kiedy patrzyłeś śmierci w twarz...

— Ja też wiele pamiętam — powiedział Razwijar. — Jak wywracałem się niby samojadka, żeby wykupić cię od strażników. Jak taszczyłem worki za nas dwóch, a ty stałeś i patrzyłeś. Jak przynosiłem ci jedzenie, a ty mówisz; dziękuję, tylko czemu tak mało?

Łuks silnie zacisnął wargi. Jego ogon nerwowo uderzył po podłodze z desek.

— Nie ciągnąłem ciebie za sobą! — kontynuował Razwijar, prawie nie panując nad przelewającą się czarą goryczy. — Siodła na ciebie nie nałożyłem i nie podciągałem strzemion. Sam nie zginę, nakarmię się i drogę znajdę, a ty możesz zabierać się stąd nawet zaraz. Zabieraj się!

Półczłowiek objął się za ramiona. Jego sierść stała dęba jak naelektryzowana szczotka.

— Po prostu myślałem, że ta praca jest godna niewolnika — powiedział głosem o ton niższym, jakby starając się wytłumaczyć.

— Znajdź inną.

— Nie jestem rolnikiem, żeby to wszystko robić.

— Przyjdzie wiosna to dowiesz się, co to jest prawdziwa chłopska praca na polu.

— Nie dowiem się. I wiedzieć nie chcę.

— A moi przodkowie — nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział Razwijar — wypalali las wielkimi polanami. Rozdzierali palące się pnie. Siali. Żęli. Mój ojciec był obiegowym, strażnikiem pól. Biegał wzdłuż miedzy na szczudłach i odganiał w las szkodniki... Niekiedy ogryzały mu szczudła... Ale on nabijał je na oszczep.

— Czyli też był wojownikiem — Łuks podniósł głowę. — Ryzykował, posługiwał się bronią, przeganiał wroga. A nie, giął plecy, szorując cuchnące koryta.

Razwijar nie słuchał go. Odległe obrazy przeszłości nigdy nie nawiedzały go z taką wyrazistością i pełnią, jak to zdarzyło się po raz pierwszy na pokładzie „Łuski”. Ale teraz, kiedy zaczął mówić o ojcu, wszystko wróciło do niego w najdrobniejszych szczegółach. Dom. Próg, z dwoma kamiennymi stopniami. Sień bez sufitu, a z niej widoczny dwuspadowy słomiany dach, wysoko nad głową. Dwie pary niezamkniętych drzwi; jedno do części ojca, a drugie do części

wuja. W domu, wszystko drewniane, jasne i żółtawe, beżowe, wygładzone tkaniną i dotykami jak ciepła rama kołyski: śpij...

— Poczekajmy — powiedział przewyciężając widziadła. — Jeszcze trochę. Doczekamy wiosny w ciepłe.

* * *

Doczekać wiosny w ciepłe nie było im dane. Był jasny, zimny dzień, Łuks, w jednej lekkiej kurtce, biegł po polu, drobny śnieg tryskał spod szerokich łap i migotał w słońcu. Na grzbiecie chimajryda, uczepiwszy się jego szerokich ramion, siedziała jasnowłosa Jeli w zachwycie chichotała i piszczała tak, że usłyszał ją ojciec, oberżysta z zajazdu, w którym zimowali.

W ciągu pół godziny karczmarz, czerwony i zasapany, wpadł do kuchni, gdzie Razwijar skrobał skrobakiem żeliwne kotły.

— Zabierajcie się. Obaj! W ciągu minuty ma was nie być! Won!

Razwijar uspokajał go, jak mógł. Jel znowu piszczała. Tym razem dlatego, że ojciec targał ją za warkocze. Na nieszczęście w spór wmieszał się Łuks, jedno nieostrożne machnięcie łapą wystarczyło, żeby oberżysta poleciał na ścianę, uderzył głową i zachrypiął. Jel przypadła do ojca, na cały głos wyklinając chimajryda. Razwijar zrozumiał, że w środku zimy przyjdzie im iść, gdzie oczy poniosą.

I poszli. Kończył się krótki dzień, nadleciał wiatr, Łuks szedł z nisko opuszczoną głową. Razwijar w milczeniu wdrapał się na jego grzbiet i ze wszystkich sił zacisnął nogi na bokach. Chimajryd głośno westchnął, podskoczył tak, że Heks omal nie spadł i rzucił się do biegu po zamrożonej drodze, a potem i po polu, nie przejmując się brudami i jamami. Poruszał się wielkimi skokami, wiatr smagał twarz i po dosłownie dwóch minutach Razwijar już niczego nie widział przez łyzy. Łuks gnał, wyrażając tym pędem cały swój stosunek do niesprawiedliwego świata i Razwijar poważnie zaczął się obawiać, że ten złamie nogę, potykając się o przykrytą śniegiem gałąź albo, po prostu, wpadnie na drzewo, miażdżąc razem dwie głowy, swoją i jeźdźca.

Gwałtownie pociemniało — nadpłynęła czarna chmura. Boki Łuksa zapociły się, Razwijar zeszywniał niczym drewniany kołek. Zamarzniemy na śmierć w tej głuszy, pomyślał Razwijar ze zdziwieniem pełnym obrzydzenia na myśl o takim końcu, i w tym samym momencie zobaczył światło przed nimi, ogienek, przedzierający się przez śnieżną zadymkę i pnie drzew.

— Roz... bójnicy — z trudem wymówił Łuks i odrobinę zmniejszył prędkość. — No wreszcie.

* * *

Nocujący zimą w lesie okazali się nie rozbójnikami, a błakającymi się w poszukiwaniu Śmierci myśliwymi. Razwijar zamarł usłyszawszy odpowiedź piegowatego, niskiego wzrostem mężczyzny, przywódcy drużyny. Okazało się, że Śmiercią w tych krainach nazywają rzeczno chapuna.

— Przecież on w jednym miejscu nie siedzi, kocia kiszka. Przeprawia się i z prądem i pod prąd, i przez tamy przeskakuje. A bywa, że w podziemne wody się przesącza i siedzi tam, obrastając sadłem. A Śmiercią nazywają go dlatego, że ludzkie mięso bardzo lubi. Czuje z daleka. Siedzisz, na przykład, w łódce z wędką albo przynętę swoją stopniowo wybierasz. A tutaj

— trzask, prask! Łódeczka w drzazgi i tylko czapka na wodzie pływa. Niejednego w ten sposób zabrało.

W drużynie było dziesięciu ludzi. Wędrowali pieszo, nocowali w namiocie z ciepłej skóry, nieznanego Razwijarowi zwierzęcia. Gardzili noclegami w zajazdach, ponieważ, jak wyraził się przywódca, „szanują zapracowany grosz”. Mieli ze sobą imperatorskie licencje na wyrąb lasu, na polowanie i na zabijanie, szczególnie Śmierci. Jedno spojrzenie na twarz Łuksa wystarczyło, żeby Razwijar zrozumiał, że czworonóg nigdzie się od tych ludzi nie ruszy.

Pojawienie się chimajryda nie wszyscy przyjęli spokojnie. Jeden, najmłodszy, nawet się mocno przeraził, inni bardziej się zdziwili, niż bali; podchodzili popatrzeć, dotknąć. Półczłowiek, którego ludzka ciekawość zazwyczaj rozdrażniała, tym niżej nie wykazywał niezadowolenia — wręcz przeciwnie, podnosił łapy, pokazując wciągnięte pazury, opowiadał o Nagórenach—chimajrydach i w ogóle zachowywał się jak życzliwy cudzoziemiec, świadomy swojej odmienności od okolicznych mieszkańców. Razwijar nie był przekonany, że drużyna przyjęłaby do swojego ogniska zwyczajnego dwunogiego włóczęgę, który pojawił się z nocnego lasu bez wezwania i zaproszenia. Ale Łuks stanowił wielką osobliwość i ostatecznie dopuścili dziwaków do swojego kręgu.

Paliło się wielkie ognisko. Z ciemności wylaniała się ściana czarnych, porośłych mchem pni.

— Jak pójdzie ławica żółtochwestów to wiadomo, że i Śmierć za nią.

Żółtochwesty skupują kupcy, dając imperatorski real za każde skrzek! To przedziwna ryba, nie psuje się i nie śmierdzi, i męskiej siły od niej przybywa, i wszystkie choroby leczy, tak mówią. Dlatego żółtochwesty są w cenie.

Zimą zgłodniała Śmierć zaczynała miotać się po rzekach i jeziorach, polując spod lodu. Drużyna natychmiast szła na wezwanie. Niedaleko stąd — może pół dnia drogi zostało — jakąś babę wciągnęło pod lód i nocą widziano srebrzyste światło w rzeczce.

— Świeci, kiedy jest ciemno. To pozwala się przed nią chronić. Co mądrzejsi spuszczają pod wodę wiosło, a do wiosła przyczepiają lusterko i bacznie je obserwują. Jak spod wody idą błyski to koniec połowów, czas związać łódczkę. Mówią, że ona w ciemności nie widzi, dlatego się świeci, ot wszystko, kocia kiszka.

— Płacą wam za nią? — zapytał Razwijar. — Za to, że ją zabijacie?

Mężczyzna spojrział na niego, nie rozumiejąc pytania:

— Za co tu płacić? Przecież to nasze rzemiosło. Co zdobędziemy, to nasze.

— Przecież ludzi przed nieszczęściem ratujecie — powiedział Razwijar.

— No tak — odezwał się drugi, dawno niemyty, porośły skołtunioną brodą. — Tylko, co my mamy do ich nieszczęścia? My ze Śmierci świetlne kryształki wyciągamy.

— Co? — zdziwił się Łuks.

— Świeci się ona, ponieważ wewnątrz niej są świetlne kryształki — wyjaśnił przywódca. — A te kryształki to coś w rodzaju atramentu, tylko na odwrót. Za nie, bracie, taką cenę dają, że i zaryzykować można.

* * *

Na drugi dzień, jeszcze przed obiadem, drużyna dotarła na miejsce. Łuks, który nigdy nie pozwalał używać siebie jako zwierzęcia jucznego, tym razem wziął na grzbiet taką górę ekwipunku, że ciekawość myśliwych przerodziła się w trwałą sympatię. Razwijar zachowywał milczenie, na tych ziemiach za wszystkie szczęśliwe zbiegi okoliczności przyjęte było dziękować Imperatorowi, a za nieszczęścia i dramaty — przeklinać Szuu. Gdyby od małego był mieszkańcem Imperium — dziękowałby teraz Imperatorowi bez ustanku.

Szeroka równinna rzeka, zakręcająca w pobliżu osady Zabawa, dawno wyprostowała swój bieg, przebijając sobie nowe koryto, a oddzielone w rezultacie tego jezioro miejscowi przezwali Starcem. Śniegu prawie nie było, ponieważ zwał go wiatr i powierzchnia Starca biała matowym, gdzieniegdzie pokrytym pęcherzykami, lodem. Przy drewnianych mostkach, pod prawym wysokim brzegiem, ciemniała zaniedbana przerębla. Obecnie także była pokryta lodem, ale był on o wiele cieńszy i zielonkawy. Brzegi wyrwy szczyrzyły się wkutymi krami, a na boku leżało do połowy wmarznęte wiadro.

— Tutaj ją porwało — powiedział teś zaginionej kobiety i wskazał palcem, pokazując pod lód. — Mówiłem jej, żeby wody stąd nie brała. Tutaj woda mętna, a i piasek się trafia.

— Aha — przywódca drużyny ani myślał się przerażać, ani martwić. — Po załamaniu widać, że to rosła sztuka... ma dziesięć lat, a może i nawet piętnaście. One u siebie w podziemnych rzekach takiej tuszy nabierają...

— I świetlnych kryształków ma w sobie trzy miarki — marzycielsko założył włochaty. — Albo cztery.

— Odejdź od brzegu — ostro powiedział przywódca do Łuksa, pochylonego nad przeręblą. — Teraz zobaczmy, czy ona tutaj jest, czy uciekła. Może się nażarła i poszła do swojej nory grzać się...

Przywódca wyciągnął drewnianą rurkę, pustą w środku, nasypał do niej garść okrągłych ziaren, błyszczących i gładkich, nadał policzki, nateżył się i dmuchnął je na lód, jakby wystrzelił. Kuleczki rozsypały się i zamarły. Drużyna także zamarła, każdy zastygł tak jak stał, wpatrując się w lód; ten drgnął, kuleczki znowu się potoczyły i znowu zamarły.

— Tutaaaaj — przeciągnął przywódca z drapieżnym zadowoleniem. — Siedzi, kochanieńka, jak wsad w kociej kiszce.

Drużyna zakrzętała się. Jeden stawiał namiot w przyzwoitej odległości od brzegu, inny rozpakowywał bagaż. Razwijar zaczął pomagać, żeby nie zamarznąć. Łuks zastygł w podziwie nad myśliwskim arsenałem. Niepozorni z wyglądu mężczyźni, podchodzili do sprawy poważnie. Były tutaj arbalety różnych typów i rozmiarów, wybór bełtów, okutych żelazem, harpuny i piki, sieć ze stalowych kóleczek, tak ciężka, że trzeba ją było nosić, rozbierając na dwie części. Przywódca, wyszedłszy na sam szczyt jedyne w okolicy wzgórza, obserwował stamtąd rzekę i Starca. Wrócił zatroskany, z czapką zsunietą na jedno ucho.

— Duże, widać, zwierzę. I rozpęd ma, jakby co dziura już przebita, lód cieniutki... Dawajcie no, chłopcy, dalej od brzegu poprobujemy, gdzie lód mocniejszy. Ciągnijcie drewno, przynęte... A ty — odwrócił się do Razwijara — co umiesz? Twój kolega tobołki potrafi nosić, to jest nam potrzebny, a ty sam — popatrzeć przyszedłeś?

— On umie strzelać — pośpieszył się z odpowiedzią Łuks.

Przywódca zmarszczył brwi:

— Strzelać? A gdzieżeś się tego wyuczył?

Razwijar obrzucił Łuksa długim i znaczącym spojrzeniem. Wzruszył ramionami:

— Kiedyś... służyłem w straży.

— Pokaż — zażądał przywódca.

Razwijar wybrał najmniejszy arbalet, nałożył lekki bełt, zaskrzypiał kółkiem. Wycelował w pogięte wiadro, cały czas leżące na skraju zamarzłej przerębli. Spuścił cięciwę. Arbalet był źle zestawiony, strzała przeszła w odległości dłoni od wiadra i upadła na lód.

— Partacz — powiedział Łuks.

— To nic — przywódca pobłażliwie się uśmiechnął. — Naucz się.

Tymczasem drużyna, w pewnej odległości od przerębli, wydłubała w ziemi jamę, wkopali w nią wielką procę i przywiązali do jej „rogów” wysuszoną kiszkę wszystkożercy. Nabili szmatami

stare koszule i spodnie, przeciągnęli sznurami, przymocowali do procy. Przywódca chodził wokół, sprawdzał mocowania, z troską kiwał głową:

— Och, czy nie za blisko zbudowali, gołąbeczki... Ja teraz kącik zaznaczę, żeby nie bliżej... Rozpędzi się, paskuda, a brzeg spadzisty...

Znowu załadował swoją rurkę okrągłymi nasionami i „wypluł” je na lód. Pomalowane na czerwono, kuleczki widniały na lodzie jak kropelki krwi.

— O, nawet bliżej... O tak. I zaczekajcie, niech tylko Uszan będzie przy procy, a pozostali niech zagrodzą przejście — on jest stary, ale pełen sił, może ją złamać. Łuks — niemal prosząco odwrócił się w stronę chimajryda. — A z włócznią to ty kiedykolwiek chodziłeś?

— Jeszcze jak — powiedział dumny Łuks. — Dawaj swój oszczep. Tylko wytłumacz, gdzie bić.

Razwijarowi tym razem nie przydzielono pracy. Odszedł na bok i zaczął patrzeć. Zdumiewające, że tak rozstroił go nieudany strzał do wiadra. Łuks, bawiąc się oszczepem, wysłuchiwał wskazówek myśliwych, a Razwijar patrzył na niego i myślał: to ja zabiłem władcę w kamiennym zamku. To ja zastrzeliłem maga. Ani razu ci o tym nie mówiłem, bo... głupio się tym chwalić. Prawdziwymi czynami chwalić się nie godzi. A może to wcale nie był wyczyn. Zrobiłem to, czego nikt nie zdołał, a ty zwiesz mnie partaczem za to, że chybiłem z cudzego, kiego arbaletu, do starego wiadra!

I znowu popatrzył na wiadro i pomyślał o dziewczynie, która tutaj zginęła. Schyliła się, żeby nabrać wody. Spieszyła się zapewne do domu, do rodziny...

Współmieszkańcy wsi, z której pochodziła zaginiona, tłoczyli się w sporej odległości. Byli ciekawi i bali się zarazem.

— Gotowi? Zarzucajcie! — cienkim z napięcia głosem krzyknął przywódca. Drużyna, wszystkiego ośmiu ludzi, stała w półokręgu, ze wzniesionymi arbaletami i pochylonymi pikami. Kosmaty Uszan naciągał procę, odchodząc coraz dalej, ciągnął koniec sznurka. Przywódca, zmrużył oczy, sprawdzając celownik.

—Wszyscy! Stop! Tutaj... No, niech nam Imperator pomoże, bracia. Raz, dwa, trzy!

Uszan wystrzelił z procy. Machnąwszy rękawami bezgłowa kukła ze szmat wzleciała w powietrze, zatoczyła łuk i plasnęła na lód. Za nią ciągnął się, jak ogon, sznurek.

Wszyscy zamarli. Razwijar wstrzymał oddech.

— Ciągnij — szeptem zakomenderował przywódca i kosmaty powoli pociągnął linkę do siebie. Ciągnął przebierając rękami, z jego ust wydobywał się obłoczek pary, a opasana sznurem kukła pełzła po lodzie, z rozrzuconymi „rękami” i „nogami”. Strzelcy podnieśli arbalety, ci którzy trzymali oszczepy naprężyli się, jakby tuż przed rzutem, a kukła pełzła i pełzła, dotarła do brzegu i wyszła na ląd. Uszan cały czas przebierał rękami, kukła dopełzła najpierw do procy, a potem do samych jego nóg.

Nastąpiła długa pauza. Potem przywódca, stękając, podniósł się i przykucnął.

— Nie wzięła — powiedział przez zęby. — A przecież nie mogła uciec, zauważylibyśmy... Co za draństwo.

— Może czuje? — Wysunął przypuszczenie najmłodszy członek drużyny, ten, który na początku przestraszył się Łuksa.

— Ona niczego nie czuje! — warknął przywódca. — Kompletna bzdura, kocia kiszka, że Śmierci bywają rozumne. Ona nie ma mózgu, ma tylko kości, skórę, tłuszcz i świetliste kryształki! Widocznie jest syta albo leniwa, albo przymarzła. Dawaj, podnosimy kukielkę, popróbujemy jeszcze raz!

Wszystko się powtórzyło. Uszan wystrzelił, kukła, obciążona nabitymi w jej brzuch kamieniami, poleciała i upadła na lód. Arbaletczycy naprężyli się, zamarli ludzie z oszczepami,

kukła pełzła po lodzie, to zbliżając się do brzegu, to zatrzymując, a przywódca szeptem komenderował:

— Przytrzymaj... Ciągnij. Przytrzymaj... Ciągnij. Przytrzymaj!

I znowu nic się nie wydarzyło. Kukła wydostała się na krawędź brzegu i zaczepiła o kamień. Uszan cały czas szarpał i szarpał sznurek, ale kukła zastygła, a kamień nie chciał odpuścić. Przywódca zaklął szpetnie.

— Wszedł ty w kizkę wszystkożercy! Ach ty... co ty smarkaczem jesteś, że wyciągnąć nie możesz!

Kusznicy przyglądali się, któryś nerwowo się zaśmiał. Łuks, stojący bliżej brzegu niż wszyscy, niedbale podniósł swój oszczep i ruszył w kierunku kukły, wyraźnie mając zamiar ruszyć ją z martwego punktu.

— A może ona zde... — zaczął młody myśliwy.

W tym momencie łód pękł z trzaskiem, rozpryskując wokół białe odłamki. Kilka kroków od Łuksa, przy samym brzegu, wyskoczył z wody biały potwór z ogromną głową i rozwartą paszczą.

Razwijar jakby wmarzył w zimne powietrze. W myślach dziesięć razy zerwał się, pokonując rozdzielającą ich odległość, doskoczył do tego głupka z niedbale wzniesionym oszczepem...

Krzyknęli ludzie, daleko z tyłu, gapie. Cienkimi głosami wrzeszczały kobiety. Przywódca ni to zawył, ni to zaklął, młody myśliwy zapiszczał, a Łuks, nie biorąc rozmachu, wsadził swój oszczep w głąb rozwartej paszczy nad swoją głową i od razu prześlizgnął się na bok, a tam, gdzie przed chwilą stał, w lodową skorupę wbiły się zęby.

I dopiero wtedy poleciały strzały, oszczepy i jeden wielozębny harpun, którym rzucił przywódca.

Kiedy wyciągnęli Śmierć na brzeg, ciekawskich trzeba było odganiać niemalże pałkami. Razwijar nie patrzył. Odszedł na bok, usiadł wprost na zamrażonej ziemi i objął ramiona rękami, bezwiednie naśladowując Łuksa.

Chimajryd nie od razu do niego podszedł. Przeżywał chwilę sławy, bowiem przywódca najpierw wymierzył mu policzek, a chwilę potem uroczyście oznajmił, że taki zdolny i fartowny myśliwy powinien, oczywiście, zostać w jego drużynie. Pozostali, przeżywszy chwilę grozy, szumnie się radowali, klepali Łuksa po szorstkich bokach i proponowali uczczenie dzisiejszego wydarzenia tęgim trunkiem.

Ale kiedy radość się zakończyła i myśliwi zajęli się rozdzielaniem tuszy, Łuks jednak podszedł do samotnie siedzącego Razwijara.

— No, a ty co?

— Nic — Razwijar zarzucił ręce za głowę.

— To przynajmniej jest podobne do męskiej pracy — Łuks przeciągnął się. — Juków więcej nie będę im taszczył.

— Nie taszcz.

— No co jesteś taki skwaszony? Zazdrościsz?

Uwolniona woda w Starcu ciemniała, kołysały się pływające białe wysepki.

— Widziałeś jakie zwierzę? — głosem o ton niższym zapytał Łuks.

— Widziałem.

Śmierć jeszcze podrygiwała na zmarzniętej ziemi, nie—foremna tusza była opleciona niczym wieńcami pulsującymi rurkami. Myśliwi, uzbrojeni w noże, doili w przygotowane manierki gęstą, świetlistą ciecz. Ciężki, gryzący zapach unosił się nad brzegiem, a wiatr, jak na złość, ucichł. Razwijar często przełykał ślinę.

— Nasi odsprzedają kryształki pośrednikom, a ci wiozą je prosto do Stolicy — powiedział Łuks, a Heks odnotował w myśli, jak ten nazwał drużynę myśliwych: „nasi”. — A gdyby tak samemu dostać się do Stolicy i sprzedać jakiemuś magowi...

— Byłoby niezłe— Razwijar wstał. — Znakomite uderzenie, naprawdę. Świetnie się spisaleś.

* * *

Odszedł o świcie, który zimą wstawał późno. Przenocował w zajeździe, wykładając na nocleg ostatnie pieniądze i odszedł. Mroźny wiatr zwiął śnieg z drogi, marsz po twardej glinie nie był trudny, a przydrożny znak wyraźnie wskazywał kierunek — Razwijar, jak i wcześniej, poruszał się na południowy zachód, w kierunku pogranicza.

Po co tam szedł?

Miał ochotę usiąść na poboczu, ale było zimno, więc szedł dalej. Nigdy w świadomym życiu nie dążył do czegośkolwiek. Albo uciekał od czegoś, albo po prostu żył jak drzewo, ciesząc się deszczem, a w słoneczną pogodę rzucając cień. I oto teraz uświadomił sobie, wyraźnie jak nigdy wcześniej, bezużyteczność jakichkolwiek wysiłków; trzeba by zawrócić i pójść z powrotem. Trzeba dostać się do centrum Imperium, a jeśli się powiedzie to i do samej Stolicy. Znaleźć wreszcie dla siebie posadę kopisty. Wstąpić do gildii, nosić pióro za uchem, jak kiedyś pan Agi. A może uda się odnaleźć samego Agla — czemu nie? Skryba to profesja wyróżniająca się. Prawo majątkowe były właściciel stracił, wyrzucając niewolnika za burtę „Skrzydłaka”. Na pewno będzie szczęśliwy zyskując dobrego czeladnika. A Razwijarowi wszystko jedno z kim przyjdzie mu dzielić się dochodem z nowych kopii, dlaczego więc nie ze starym panem, który kiedyś był dla niego dobry?

Tonął w tych myślach jak w złym śnie.

Inaczej — co? Całe życie szorować kotły w oberżach? Zdarzało mu się dowodzić ludźmi i ogniewuchami, zabijać, oszczędzać, ratować. Może władca zrobiłby go swoim następcą i Razwijar zestarzałby się w kamiennym zamku z nieboszczykiem w podziemiu, niczego nie potrzebując, posyłając strażników na polowania i walki, wzywając na swoje pokoje kobiety za każdym razem nowe... A teraz jest włóczęgą, oberwańcem, „młodszym obywatelem” bez prawa noszenia przy pasie nawet scyzoryka. Łuks miał rację. Obecne życie Razwijara godne jest niewolnika, ponieważ znowu powrócił do niewolniczego stanu, z tym że niewolników przynajmniej karmią...

Razwijar pomyślał o towarzyszu i zrobiło mu się jeszcze gorzej. Co rozumie chimajryd — młokos, obcy — z praw nieznanego mu świata? To nie to, co oddawać cześć „mateczce Wof”, która zaszła w ciążę z wodospadem. On sądzi, że myśliwi będą mu wyczesywać sierść srebrnymi grzebykami. „Nie będę więcej juków taszczył...”. Gdzie będzie walczył, durnota, objuczą go, namówią do tego albo zmuszą. Będzie chodził z drużyną, a nocował w namiocie z jukami i taszczył je na grzbiecie, dopóki pewnego razu jakaś Śmierć nie odgryzie jego kudłatej głowy...

Razwijar zatrzymał się. Odchodząc z obozu, był przekonany, że Łuks po prostu znalazł sobie nowych, lepszych jeźdźców. Teraz pękało mu serce. Wyobraził sobie, jak bezgłowy Łuks leży na brzegu, a obok myśliwi obojętnie wytaczają świetliste kryształy z tuszy martwej Śmierci. Nieszczęsny syn przeklętych Nagórenów. Może Poranek Bez Skazy znał także i jego los. Znał los wszystkich swoich współplemieńców, dokładniej, tworzył ten los, kiedy przygotowywał swoje przekleństwo. Może wiedział, że Razwijar zostawi Łuksa, kiedy ten stanie się ciężarem.

Obrócił się przez ramię. Wstawało słońce, na drogę padał zgięty cień śnieżnej zasy, która stała na poboczu. Obozu już nie było widać, za to z przodu, w odległości stu kroków, ciemniał drogowskaz na rozstaju dróg. A co on może dać Łuksowi, dumnemu Nagórenowi Łunie

Księżycy? Drugi koniec kłody, którą trzeba przeładować z wozu na stos? Czy pomazane atramentem pióro? Chimajryd przecież nawet czytać nie umie...

Powoli, krok za krokiem, Razwijar znowu ruszył przed siebie. Jarmarczny kram — oto gdzie chimajryd spotka swoją starość. Zobaczył tę scenę przed oczyma wyobraźni: tłusta kobieta z brodą balansuje na kuli, a zza porwanej zasłonki wychodzi siwy, przygarbiony, zmęczony Łuks ze śladami bata na włochatej skórze. A głupie dzieci biją brawo...

Długo stał na skrzyżowaniu dróg. Jedna droga wiodła prosto na południowy zachód, druga zakręcała na północ. Nie zastanawiając się, Razwijar skręcił i wkrótce dostał się do ludzkiej siedziby. Była to mała osada na brzegu jeziora, gdzie na przystani stała samotnie, wmarznięta w lód, rybacka łódeczka.

Pracowników w zajeździe nie potrzebowali. Opowieści słuchać także nikt nie chciał — ani o odległych krajach, ani o statku kobiet, ani nawet o sytusze, która zapragnęła stać się skrzydlakiem. Oberżystka, młoda i bardzo gruba kobieta, najpierw zwymyślała Razwijara, obrzucając go niewybrednymi epitetami, a potem powiedziała przez zęby:

— Zresztą, rozpal ogień. Mało tego... Rozpal ogień w palenisku, pogrzej się i wynoś na cztery wiatry.

Razwijar bez sprzeciwu wszedł do domu, przestronnego, z ledwie wyczuwalnym zapachem kwasu, którym przesiąkły drewniane ściany i stoły. Młody parobek na rozkaz przygasił już rozpalony ogień — całą swoją postacią wyrażając zdumienie, że nie rozumie, po co te głupoty. Razwijarowi pozostało tylko wsunąć w dymiące kąty parę suchych szczapek i przyduścić z wierzchu już opalonym polanem. Ogień znowu zapłonął, Razwijar klęcząc, wyciągnął w jego kierunku zamrożone ręce. Wracać czy nie, rozmyślał. Szukać polujących na Śmierć. Prosić Łuksa o wybaczenie, że odszedł. Szczypawce głowa niepotrzebna, wystarczą jej nogi — tak mówili Pagóraki o głupim, ale chętnym do działania człowieku. Tak mówili, tłocząc się w domu, rozsiadając na ławkach, a ojciec śmiał się, siedząc za ciężkim drewnianym stołem; szczypawce głowa niepotrzebna...

Razwijar poruszał w piecu, wśród popiołu, kawałek papieru z wymyślnymi literami. Pomyślał, że mu się przywidziało — kto będzie palił papierem?!

Strzępek rozbłysnął i obrócił się w popiół. Razwijar przesunął wzrok: obok pieca, w rozeschniętej beczulce, znajdowały się szczapki, zapałki i drewniane odpadki do rozpałki. Do połowy zasypana skręconymi wiórkami leżała tam książka bez i »prawy — po prostu paczka podartych, wyrwanych stronic.

— Skąd?!

Wyszarpnął książkę z beczulki. Rozsypały się wiórki, posługacz podparł się rękami pod boki, bowiem ze wzburzenia na taki nieporządek słów mu zabrakło. Strzepał śmieci, przewrócił stronicę: „...ki, szybujące nad wodą bywały przechwycone przez niego i tonęły. Straszny wiatr duje w tym czasie na brzegu. W jeden dzień znikają przepaście, przepadają zębate skały — wszystko skrywa się pod wodą i cieśnina Osi Nos staje się żeglow...”

Razwijar głęboko westchnął. Pamiętał, co było dalej: „staje się żeglowna. Zaczyna się sezon i statki z całego Imperium i spoza jego granic, kierują się na wewnętrzne morze. Zdarzyło się i mnie wędrować między Osim Nosem, a Krzemieniem, ale nie w sezonie, kiedy podróż w tamtych rejonach jest bezpieczna i przyjemna. Okręt zatrzymał się z powodu uszkodzenia i...” Kapitan zakazał palić ogień w ładowni „Skrzydłaka”. Pan Agi powiedział: „Dobrze, przepiszesz jutro”. Nazajutrz był port Mirtie, szybujące miasto, odprawa celna, słona woda i Razwijar, idąc na dno, zdążył jeszcze pożałować niedoczytanej, niedopisanej, niedokończonej „Podróży”.

Gorączkowo kartkował stronicę. Sto piętnaście, sto szesnaście. Oto i ona, druga część „Podróży na Osi Nos” księga przedarta dokładnie pośrodku, prawie w tym miejscu, gdzie skończył ją przepisywać.

— A to co znowu?!

Zjawiała się oberżystka. W piecu palił się ogień, Razwijar klęczał, w świetle płomieni kartkując fragment książki.

— Po coś to wziął? Odłóż!

— To droga rzecz — powiedział Razwijar z przykrością. — Była droga, dopóki jej nie porwali, ale i teraz jest coś warta.

— Tak? — uśmiechnęła się oberżystka. — A ty postanowiłeś nad tym deliberować?

Razwijar podniósł się. Na przeciwległej ścianie wisiało zaśnieżone zwierciadło, które nie wiadomo skąd wzięło się w obiadowej sali wiejskiego zajazdu. Zobaczył siebie: chudego, bladego człowieka ze złamanym nosem, z bardzo ciemnymi oczami i dziwnie wygiętymi brwiami. Obok stała oberżystka. Na jej białej twarzy z zapadniętymi policzkami, jakby na wieczność zastygł podejrzliwy, swarliwy wyraz. Razwijar przypatrzył się jej dokładnie.

— Przecież ty także jesteś półkrwi Heksem — powiedział głośno, nieoczekiwanie dla samego siebie.

Widział w zwierciadle, jak zmieniła się na twarzy; biała skóra pokryła się czerwienią, nos spurpurowiał, dolna warga wyduła się w grymasie wściekłości. Oberżystka zamachnęła się, żeby wymierzyć przybłędzie policzek, ale ten przechwycił jej rękę. Pociągnął do siebie i nieoczekiwanie mocno objął.

Chłopiec krzyknął z oburzeniem.

— Puść — oberżystka oswobodziła się jednym szarpnięciem. Popatrzyła na Razwijara, jakby zamierzała pożreć go oczami. Odwróciła się do pracownika:

— Co tak stoisz! Marsz do kuchni, w podskokach, ale już! Jedzenie mu przynieść, niczego nie żałuj... Kaszy wczorajszej przynieś!

* * *

— Ty jesteś przecież jeszcze zupełnym szczeniakiem. Mógłbyś być moim synem.

Nie znosiła sprzeciwu. Silna, trzymała w ryzach cały dom, zdawało się, że i całą osadę. Miała trzech synów, każdego z innym mężczyzną. Wszyscy jej chłopcy pracowali w oberży. Starszy był rówieśnikiem Razwijara. Ta kobieta całe życie robiła, co chciała.

Spędzili noc na szerokim materacu, nabitym ptasimi piórami. Pióra przebijały na wylot grube płótno i kłuły jak igły, ale oberżystce było wszystko jedno — jej ciało nie czuło bólu.

— Tylko język, jeśli go przygryźć, boli. Żebyś wiedział, ileż to razy przypadkowo się sparzyłam, a palca ledwie nie odpiłowałam. Nie ma bólu... Tylko mężczyzn czuję. Nie każdego. Ciebie... tak. Hej, nie śpij, chłopcze!

Nie była podobna do ani jednej kobiety z tych, które Razwijar znał wcześniej. Tamte były niewolnicami, ta zaś sama sobie panią. Ciężka, gorąca, początkowo peszyła Razwijara bezceremonialnością i uporem, ale bardzo szybko się opamiętał i zaczęły się miłosne zapasy.

Pióra z materaca wbijały się w kolana, w biodra, w plecy, niczym maleńkie włócznie. Razwijar rozwiązał sznureczek, ściągający jej włosy i te kaskadą rozsypały się mu na twarz, odurzając zapachem traw i drzewnego dymu. Owinął nimi swoją pięść, żyłastą, silną i bardzo młodą. Spędził we wstrzemięźliwości wiele dni i teraz, w tej grze wojennej, z szeregowca powoli przeistaczał się w przywódcę.

Zasypiali i znowu się budzili. Nad ranem, oberżystka, biała i zmizerniała, leżała z głową na jego ramieniu, a pióra z materaca krążyły po komnacie, niesione przeciągiem.

— Ty jesteś przecież jeszcze zupełnym szczeniakiem — powtórzyła drwiąco. — No, uszczypnij mnie. Oho... Czuję.

Budził się dom. Na dole palił się piec. Po dachu hulał wiatr, a w komnacie było tak zimno, że latające pióra zdawały się być śniegiem.

* * *

Cały czas w tym samym miejscu, w beczulce na szczapki leżała rozerwana, podarta w połowie książka. Brakowało jej kilku następnych stronic. Chłopiec — średni syn oberżystki — ponuro krzątał się przy kotłach i wiadrach. Grzał wodę.

— Odląć ci? Do balii?

Razwijar z chęcią przystał na propozycję kąpieli. Oberżystka długo myła go, polewając z czerpaka, i pokoik napelnił się parą. Potem przyniesiono mu nową, czystą odzież — rękawy okazały się przykrótkie, ale nie miało to większego znaczenia. Usiadł za stołem. Młodszy syn oberżystki, około dziesięcioletni, przyniósł z kuchni miskę dopiero co ugotowanej kaszy. Był smagły z błękitnymi oczami, z szorstką, jakby przesoloną, czupryną.

— Tego także kochałam — powiedziała oberżystka, zauważywszy wzrok Razwijara. — Wielu, tak. Nie od wszystkich dzieci dostałam. A od ciebie dostanę?

Razwijar się zmieszał.

— Jedz... Przecież nie z miłości dostałam. Wiesz, oni szli falą, rozbici, przed siłą Złotych uciekali. Powiedzmy szczerze; ledwie od śmierci uciekli, a śmierć wciąż na plecach im siedziała, poganiała, a wszyscy w to samo miejsce. Lubieżni Heksowie, bardziej chutliwi niż przyślepki. Mateczkę moją gdzieś złapali. Nie ją jedną... U nas tutaj po izbach półkriaków napłodzili ze dwadzieścia sztuk. Potem któryś umarł, któryś odszedł, któregoś sprzedali... A ty skąd?

— Z Pagóraków.

— Pagóraki? — spochmurniała nagle. — Ci co na wybrzeżu? Co ich huragan zniósł w tym roku?

— Nie. Ja z innych Pagóraków pochodzę. Z leśnego plemienia.

— Tak, akurat — oberżystka uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Razwijar nie pamiętał, żeby wcześniej się uśmiechała. W tym momencie biała twarz z zapadniętymi policzkami zmieniła się nie do poznania. — Matka ci głowę zawracała, żeby prawdy nie powiedzieć.

— Moja mama była Heksem.

— Naprawdę? — Kobieta oparta się pięściami o stół, szeroko rozstawiając łokcie niby wrota. — Nie kłamiesz?

— Nie.

— Czegóż to Imperator nie uczyni — pochyliła się nagle do przodu i z roztargnieniem przesunęła dłonią po jego policzku. — O Pagórakach słyszałam kiedyś od lokatora... Dokładnie. Mieszkali w Czarnym Szumie. Daleko stąd, za Kamienną Strzałką, za Pękatym Borem... Koniec świata, dalej niczego nie ma. Dalej tylko bagna, a na bagnach — głodni Heksi...

— Za Kamienną Strzałką i Pękatym Borem — wymamrotał Razwijar.

Słowa nic nie znaczyły, do niczego się nie odwoływały. Za nimi nie stała mapa, nie majaczyły przydrożne drogowskazy, ale oberżystka okazała się pierwszym człowiekiem na drodze Riizwijara, który na pewno wiedział, że ziemie jego przodków to nie wymysł.

— Tak mi właśnie lokator opowiadał — oberżystka uśmiechała się z zadowoleniem. — Sporo wiedział, biedaczek. Tak czy owak, umarł i pozostawił po sobie jedynie tę książkę. To śmieć, nic nie warty, znawców pytałam... Ot, tylko pali się dobrze.

— Pali się?! — nie wytrzymał Razwijar. — Sam tylko papier wart jest reala za dziesięć arkuszy, a słowa...

— Powiedział kupiec! — oberżystka nagle się rozzłościła. — Tyle to za czysty papier płacą, a nie za zapisany, do tego porwany i zapleśniały! Myślisz, że jestem całkiem głupia? Coś warta jest ta książka, tylko że trzeba ją sprzedać znawcy w dużym mieście. A do miasta jak się dostać? A wrócić? A jeść i pić po drodze, do tego porzucić prace domowe? Drożej wychodzi, już lepiej na podpałkę!

Zamilkła. Wiedziała dobrze, że książka zrobiła duże wrażenie na Razwijarze, który siedział nad stygnącą kaszą, wpatrując się w stół.

— Bierz ją sobie, jeśli chcesz — powiedziała spokojniej. — Bierz, daję ci. A historie... Posłuchamy twoich historii wieczorem, kiedy goście się rozejdą. W łóżku się usadowimy, to poopowiadasz.

— Ja...

— Tak ty, a któżby. Pomyślmy, co umiesz robić, oprócz fikania koziołków na materacu — tu uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Ale uważaj, jeśli jesteś leniwy, wygonię!

* * *

„Okręt zatrzymał się z powodu uszkodzenia i kapitan zdecydował, wbrew radom obytych ludzi, przepłynąć cieśninę Osi Nos przed samym zakończeniem sezonu. Opóźnienie przejawiłoby się zgubnie na jego portfelu — statek na cały międzysezon znalazłby się na obszarze wewnętrznego morza. Ale pośpiech i nieprzemysłana decyzja mogłyby kosztować życie kapitana, załogi, a także pasażerów...”

Wersy występowały na pomięty i porwany papier, wydostawały się z plam, jakby wychodziły z kałuż, na zawsze zostawały w pamięci. Razwijara swędziały palce prawej ręki — zdawało się, że ma tam wetknięto pióro, zdawało się, że na stole leży otwarty czysty brulion, zostało tylko przenieść litery, stojące przed wewnętrznym wzrokiem, na białe karty.

„...sprzyjający wiatr, ale nie przyniósł korzyści. Kapitan rozkazał zwinąć wszystkie żagle, ale było za późno, ze straszną siłą statek ciągnęło w kierunku cieśniny, tam, gdzie...”

Razwijar kłęczał przy palenisku, trzymając książkę obiema rękami. Przeszył go dreszcz. Z kuchni, do której wyszła kobieta, dochodził jej niski, władczy głos.

„...jak w kipiącym kotle. Nagle marynarz, stojący na burcie, krzyknął — czarna wielopalczysta ręka, podobna do kłębowiska żmij, wystrzeliła z wody, chwyciła nieszczęśnika i marynarz na zawsze...”

Co stało się dalej? Kto, oprócz autora, przeżył? I jak temu, który napisał tę książkę, udało się ocaleć? Zdawało się, że litery tańczą, chwyciwszy się za ręce.

„...co oczywiste i stracili nadzieję, gdy nagle...”

Razwijar zmrużył oczy. Wers się urywał — widział wszystko, co zdążył przeczytać. Czego nie zdążył — nie widział. „Nagle...”

To jak w życiu, przyszło mu na myśl. Widzę do tego momentu, do „nagle”, wiem, co się ze mną działo. A co będzie potem? Jutro? Za minutę? Osiadę w oberży, stanę się dla gospodyni i mężem, i synem, i sługą. Będzie na mnie pokrzykiwać, jak teraz krzyczy na pracowników i myć ciepłą wodą z czerpaka. Czy nie tego chciałem? Czego ja w ogóle chciałem od tego czasu, gdy przestałem być niewolnikiem?

A Łuks jednak się nie pojawił. Okazało się, że Razwijar w głębi duszy czekał, że chimajryd go dogoni. Dlaczego miałby tego oczekiwać? Z jakiej racji?

„...co oczywiste i stracili nadzieję, gdy nagle...”

Powiedział szybko, jak mógł najszybciej, żeby się nie zdążyć rozmyślić:

— Miedziany Królu, Miedziany Królu! Weź, co jest mi drogie, daj, czego potrzebuję.

* * *

— Dureń! Ty ją całą spaliłeś, czy co?

Razwijar, jak wcześniej, klęczał przed paleniskiem. Płomień wznosił ku czarnej gardzieli pieca, miasta i zamki, sklepienia, mosty i wszystko to rozmywało się w mgnieniu oka, rozsypywało się i znikało.

Widział wszystko tak wyraźnie i jasno. Pojmował tak wiele. Niezrozumiałe, nieustanne pragnienie, które tak długi czas go męczyło, wreszcie się urzeczywistniło i nastął kruchy spokój. Miedziany Król przyjął jego ofiarę, jednak nie była ona wystarczająca. Fragment książki, cenny dla Razwijara, stanowił niewielką wartość w porównaniu z kawałkiem chleba dla głodnego, czy z ogarkiem świeczki dla skazanego na mrok.

A mimo to Miedziany Król przyjął ofiarę.

— Co z tobą? — Oberżystka podeszła i pieśczośliwie położyła rękę na jego ramieniu. — Zmęczyłeś się? A nie ma czasu odpocząć — teraz po wodę pójdziesz z moim średnim...

— Dziękuję — podniósł się z podłogi. — Pójdę.

Cofnęła się, spojrzawszy w jego twarz. Pokręcił głową, zawczasu ucinając pytania i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu swojej torby na ramię.

— Ty draniu — niebezpiecznie cicho powiedziała oberżystka.

— Nie — popatrzył jej prosto w oczy. — Jestem twoim dłużnikiem. Kiedyś się odwdzięczę.

Ciężko westchnęła, ale nie powiedziała więcej ani słowa. Znalazł podróżną torbę i w ciągu kilku minut, ubrany w swoją starą odzież, wyszedł na przedmuchaną wiatrem ulicę.

Wstawało słońce. Razwijarowi zdawało się, że i on wznosi się nad ziemią, że na tych bladych, zimnych promieniach można się oprzeć. Od łódeczki, zastygłej na przystani w lodzie, padał ostry cień. Razwijar szedł z osady z powrotem do rozgałęzienia dróg.

Na ścieżce przed nim, gdzieś w oddali, dał się słyszeć tupot, a raczej odgłos rytmicznych uderzeń biegnących po ziemi łap. Razwijar wyteżył wzrok. Na spotkanie wyleciał Łuks, cały zgrzany, spocony. Para unosiła się nad jego grzbietem.

Ujrawszy Razwijara półczłowiek przypadł do ziemi. Dyszał ciężko, rzęsy zbieleły mu od szronu. Spotkawszy wzrok Razwijara, zmrzył oczy. Chciał coś powiedzieć, ale tylko zaklął po chimajrydzku.

— Skręciłem nie w tę drogę — powiedział ochrypłym głosem, po czym westchnął z rezygnacją. — Całą noc... Ech.

Razwijar podszedł. Położył mu rękę na ramieniu, szarpnięciem przyciągnął do siebie. Czołem oparł się o mokre, chłodne czoło towarzysza:

— Zgłupiałem. Wybacz.

I wskoczył na grzbiet Łuksa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czy to nie Razwijar obiecał sobie nigdy, przenigdy więcej nie składać ofiar Miedzianemu Królowi?

Po kilku dniach, kiedy osłabło w nim uczucie odnowy, wolności, nadzwyczajnej jasności umysłu, poczuł coś w rodzaju poczucia winy. Jakby naprawdę złamał przysięgę. I jeszcze nocami przypominał mu się przymilny głos władcy i była w tych wspomnieniach taka nieznośna zgroza, że Razwijar budził się i nie mógł zasnąć do rana.

Niekiedy śniła mu się oberżystka. Te sny były także męczące na swój sposób, ale tych się nie bał. Czasami wdzierały się w nie widzenia o dzieciństwie i domu. Razwijar zgrzytał zębami, kiedy we śnie udawało mu się wejść do rodzinnego domu, a zamiast matki za stołem siedziała, opierając się o blat szeroko rozstawionymi rękami, naga oberżystka. Starał się obudzić i nie mógł, kłutł oberżystkę piórem wyciągniętym zza ucha, a ona śmiała się, nie czując bólu.

W środku lata maleńka galera bez nazwy wysadziła go z Łuksem na Kamiennej Strzałce, będącej mierzeją odgradzającą morze od zatoki. Po Strzałce musieli dotrzeć do brzegu i już na lądzie, kierując się w górę z prądem dwóch maleńkich rzek, odnaleźć Czarny Szum.

Mówiono, że Kamienna Strzałka była zbudowana rękami milionów niewolników. W niepamiętnych czasach stało tu miasto i Strzałka stanowiła zapórę, nie wpuszczając do zatoki wrogiej floty. Od tamtych czasów minęły wieki, z miasta zostały porośnięte lasem ruiny, a Strzałka, chociaż w wielu miejscach poprzerzywana kanałami, do tej pory wznosiła się nad wodą, a wśród kamieni gnieździły się czerkuny.

Kolosalne bryły, wielkie i małe kamienie, szczeliny i uskoki skalne, na których nie było gdzie postawić nogi, przypominały Łuksowi rodzinne Nagórze. Poruszał się niedbale, przeskakując z jednej niepewnej podpory na drugą, a Razwijar siedział na jego grzbiecie, mocno trzymając się nagich, ogorzałych ramion chimajryda.

Mniej więcej pośrodku Strzałki sterczał wbity w stos kamieni słup z przybitym do niego tęczowym imperatorskim aktem urzędowym. Dokument obwieszczał, że te ziemie „od horyzontu do horyzontu” przyłączone są do Imperium i korzystają ze wszystkich imperatorskich łask, a w konsekwencji powyższego zobowiązane są do wszystkich naznaczonych powinności. Papier niechroniony przed słońcem i niepogodą niczym, prócz magii, wyglądał na nowy i bardzo wyraźny.

Łuks i Razwijar spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Może i Szum korzysta z tych łask? — przypuszczająco powiedział chimajryd. — Dla nas lżej; dobre drogi, wygodne zajazdy...

— Patrole — powiedział Razwijar.

Łuks podniósł głowę: wysoko na niebie leciał samotny, biały skrzydlak. Rozmach jego skrzydeł zasłonił wędrowcom słońce. Półczłowiek przypadł do ziemi.

— Czego mamy się teraz bać? — Razwijar odprowadzał skrzydlaka wzrokiem — Przeciwnie... Te, które latają powinny dużo wiedzieć. Nie jesteś zainteresowany tym, co teraz się dzieje w Nagórze? W czyich rękach jest zamek, kto rządzi w porcie Fier?

— Tak, oni by ci powiedzieli — Łuks splunął. Ze szczeliny podniosła się węzowa głowa, a zaraz za nią druga i okazało się, że obie należą do jednej grubej żmii z siateczkowatym wzorem na zielonkawej skórze. Chimajryd niemal nie patrząc, machnął ciężką łapą, żmija straciła jedną głowę i szybko skryła się między kamieniami.

— Jeść mi się chce — powiedział Łuks.

— Jedliśmy śniadanie.

— Chcę zjeść obiad. Dawaj, poszukamy gniazd, zbierzemy jaja...

— Idziemy — Razwijar trącił piętami jego boki. — Kto o tej porze roku zbiera jaja czerkunów? One wszystkie już dawno się wykluły i opierzyły, tylko strzałą można je zabić!

Fale nabiegały na Strzałkę od strony odkrytego morza. Galera już odpłynęła daleko i zdawała się robakiem, pełzającym po wodzie; niczym owadzie łapki wlatywały i opadały cienkie wiosła. Od strony zatoki woda była spokojna, poprzez nią widać było wodorosty na dnie, a gdzieniegdzie zardzewiałe żelastwo.

— Chodź, popatrzymy — powiedział Razwijar.

Łuks ostrożnie zszedł nad wodę. Na dnie, kilka kroków od brzegu, walał się zardzewiały hełm, z tych, co je na szybko kuja ochotnicy. Nawet poprzez oplatające go wodorosty było widoczne głębokie wgniecenie.

— O, następny — powiedział chimajryd.

Wzdłuż Strzałki, od strony zatoki, walały się zardzewiałe końcówki włócznie, pogięte widły, fragmenty lichych, w pośpiechu przygotowywanych zbroi. Przedostając się z kamienia na kamień wzdłuż pasma, wędrowcy dostali się wreszcie do brzegu. Tam, pod starymi drzewami, leżały ułożone w piramidę kamienie. Ktoś znosił je ze Strzałki i układał jeden na drugim. Na wierzchołku piramidy postawiony był jak poprzednio słup wraz z przyczepionym do niego pismem.

Razwijar zszedł z grzbietu chimajryda i chociaż nie bardzo mu się chciało, podszedł przeczytać. Nie był to ani nagrobny napis, ani, jak się obawiał, wyrok śmierci. „Imperator boleje nad każdym swoim poddanym” — wszystkiego sześć słów i jaskrawa, mieniąca się w słońcu, pieczęć.

— Hipokryci — powiedział Łuks.

— Nie wiemy, co tutaj się stało.

— Oczywiście, skąd mamy wiedzieć? Przecież nigdy nie byliśmy w Nagórze, nic nie dotarło do nas ustami aojdów, nikogo nie zabijali na naszych oczach, żaden przywódca nie legł przebity strzałą puszczoną z grzbietu skrzydłaka...

Łuks mówił, jakby przypadkiem, patrzył ponad głowę Razwijara i uśmiechał się w roztargnieniu. Na jego bokach wisiały, przytroczone miękkim rzemieniem, podróżne torby z wodą i odzieżą. W jednej, starannie ukryte, leżały dwa niezłe kindżały, które udało się okazjnie kupić. Czarny owad usiadł na grzbiecie chimajryda. Ten, nie odwracając głowy, uderzył ogonem i mały przybłęda bez życia spadł w trawę.

— Bez względu na wszystko, idziemy tam — Razwijar wskazał na dróżkę, odchodzącą od brzegu. Im dalej, tym gęściej rosły drzewa, niskie, z szerokimi koronami.

— To już twój las?

— Nie — półkrwi Heks wsłuchał się w swoje wspomnienia.

— Nie pamiętam tych okolic.

* * *

— Nikt go nie skrzywdzi, durna! Będzie mieszkał w pałacu, uczył się u prawdziwego mistrza i stanie się wielkim magiem! Puść rękę albo sprawię, że będzie bolało!

W miejscu ruin starego miasta wyrosła osada, gdzie każdy dom był zbudowany z drewnianych pozostałości.

W ścianę małego, niepozornego budynku była wmurowana kamienna twarz. Głowę statuy wstawiono w mur jak pospolitą cegłę, ale nawet obalony i upokorzony, nieznan bohater nadal

patrzył na świat promiennie, ze spokojną godnością. A przed domem, w pobliżu czaszy suchej fontanny, szlochała kobieta, starając się wyrwać z rąk siwego mężczyzny na oko pięcioletniego chłopczyka. Dziecko ryczało tak, że łzy tryskały na boki i wyrывało się do matki...

— Uspokój się! — mężczyzna podniósł głos i na dźwięk jego władczego głosu, i kobieta, i dzieciak zamilkli. — Mówię ci przecież, że nie na śmierć go zabieram i nie w niewolę, a na służbę do Imperatora! Dla potęgi! Dzikusy... — odwrócił się do pary strażników w srebrzystych zbrojach. — Rozgonić ich, czego patrzycie! Urządzili sobie tutaj szopkę...

W tym momencie chłopczyk ugryzł go w palec ozdobiony złotym pierścieniem z jaskrawożółtym, błyszczącym kamieniem. Siwy mężczyzna zaklął, potrząsnął chłopcem i lekko zarzucił go sobie na ramię.

— To wszystko, przedstawienie zakończone. Rozejść się!

Strażnicy z ostantacyjnie obojętnymi twarzami ruszyli w kierunku wyschniętej fontanny, wokół której zebrał się niewielki tłum; przede wszystkim starcy i podrostki, a interesował ich nie tyle wrzeszczący dzieciak i jego matka ile ogromny skrzydlak, przestępujący z jednej błoniastej łapy na drugą. Na jego grzbiecie były trzy siodła; dwa proste i jedno miękkie, z podłokietnikami i wysokim oparciem.

Siwy mężczyzna niósł dziecko w kierunku skrzydlaka. Na popękany marmur padały krople krwi z pogryzionego palca, niby ciemne miedziaki. Matka chłopca rzuciła się w ślad za nimi, strażnik zagroził jej drogę włócznią. Podbiegł młody mężczyzna, prawie podrostek, chwycił kobietę za ramiona. Byli do siebie podobni, zapewne brat i siostra.

— Spokojnie — szeptał brat. — Spokojnie... Już po wszystkim... Tak musi być... Oni mówią...

Łuks z Razwijarem na grzbiecie podeszli niezauważeni. Pojawienie się chimajryda samo w sobie było zaskakującym wydarzeniem, ale mieszkańcy osady byli całkowicie pochłonięci — i porażeni — sceną rozgrywającą się w pobliżu czaszy wiejskiej fontanny.

Razwijar od razu zrozumiał, co się dzieje i ścisnął ramiona towarzysza. Ten obejrzał się ze zdenerwowaniem:

— Posłuchaj... Może powinniśmy...

— To imperatorski mag — ledwie słyszalnym głosem powiedział Razwijar. — I chłopczyk, to też mag. Oni zabierają ich, gdy są mali... do stolicy... Na naukę... Odbierają rodzicom...

Łuks zagryzł wargi:

— A my...

— To imperatorski mag — powtórzył Razwijar, wpatrując się w siwego mężczyznę z pierścieniem na zakrwawionym palcu. — Jest magiem... Jak Poranek Bez Skazy.

Chimajryd cofnął się.

— Polatamy na skrzydlaku — siwy rozmawiał z chłopczykiem cierpliwie i chłodno. — Popatrz tutaj. Ładne siodło?

Chłopczyk krzyknął cienkim głosem. Nie wiadomo skąd pojawiła się chmara muszek i obsiadła siwowłosego. Ten szybko coś powiedział i muszki rozleciały się, niby zniesione porywem wiatru.

— No tak... Ruszajmy! — Stanowczym głosem rzucił mag. — Ej, pomóżcie mi wsadzić go na siodło!

Strażnicy, powstrzymujący dotąd tłum, wycofali się w kierunku skrzydlaka. W tym momencie dziewczynka, około piętnastoletnia, wynurzyła się zza czyichś pleców i przeczołgała się pod skrzyżowanymi włóczniami. Skrzydlak zasyczał, szeroko rozdziawiając dziób.

— Gamonie — ze zmęczeniem powiedział mag. — Prostej rzeczy nie potrafią zrobić... Zabieraj się stąd — rzucił do dziewczynki.

— Zostaw go — ta mówiła cicho, ale Razwijar stojący nieopodal, słyszał każde słowo. — Albo umrzesz.

Siwy uniósł brwi.

— Głupia dzikuska. Wybaczam.

— Za to ja tobie nie wybaczam!

Siwy spojrzął jej w twarz i nagle spochmurniał:

— Tak, ty...

Dziewczynka zapiszczała i poderwała rękę. Małeńka biała błyskawica wyrwała się z koniuszków jej palców i uderzyła w czoło siwego.

Siwy uchylił się. Jego twarz skrzywiła się w grymasie wściekłości, zdawało się, że teraz odrzuci chłopczyka i siarczystym policzkiem pokaże podłej dzikusce, gdzie jej miejsce.

I rzeczywiście wypuścił chłopczyka, a dokładnie dziecko wysunęło mu się z rąk. Mag zamknął oczy, osunął się na kolana i upadł na bok.

Tłum krzyknął, ni to z przerażenia, ni to z radości. Matka chwyciła dziecko i rzuciła się do ucieczki, roztrącając ziomek. Strażnicy, wstrząśnięci, stanęli ramię w ramię i wymierzili w dziewczynkę włócznie.

Ta, zaskoczona tym co się stało nie mniej niż wszyscy świadkowie, cofnęła się kilka kroków. Popatrzyła na swoje ręce, potem na leżącego na marmurze maga. Podniosła oczy na strażników.

— Odejdźcie... albo...

Ramię w ramię ruszyli ku niej, a ona cofała się powoli. Zbliżywszy się do powalonego człowieka, jeden ze strażników obrócił go twarzą do góry. Oczy maga uciekły pod górne powieki, usta otworzyły się do połowy, z kącika ust spływała strużka śliny. U nasady nosa czerwieniało wgniecenie, jak od silnego uderzenia.

Tłum gwałtownie się rozpiechł. Ktoś uciekał co sił w nogach. Ktoś inny, przeciwnie, podszedł bliżej. Razwijar ścisnął ramiona Łuksa:

— Ona...

Jeźdźcy cofnęli się — powoli, bardzo ostrożnie, w kierunku skrzydlaka. Do siodeł, jak zauważył Razwijar, były przytroczone arbalety...

— Uciekajcie wszyscy! — ryknął, przekrzykując okrzyki i mamrotanie. — Biegnijcie!

Ludzie zaczęli rozbiegać się na wszystkie strony, tylko dziewczynka stała, nie spuszczając wzroku ze strażników, gotowa walczyć z nimi i ze skrzydlakiem, i z całym światem.

— Łuks!

Chimajryd zrozumiał w okamgnieniu. Żaden człowiek nie zdążyłby i nie byłby w stanie pomóc, ale Łuks był półczłowiekiem na czterech łapach. Skoczył z miejsca. Przeleciał przez zawalony krawężnik fontanny. Uderzył o marmur przednimi łapami i od razu tylnymi, wykonał długi skok. Wyciągając się w powietrzu, przewrócił dziewczynkę w tym samym momencie, w którym strzały zostały puszczone z arbaletów.

I Heks i Nagóren, doskonale wiedzieli, jak celnie strzelają strażnicy na skrzydlakach. Strzały przebiły powietrze w dwóch miejscach na równej wysokości — kusznicy, nie umawiając się, strzelali w oczy. Ale dziewczynka sekundę wcześniej potoczyła się po marmurze, a Razwijar, ścisnąwszy kolanami grzbiet Łuksa, chwycił ją za ręce i za włosy, i zarzucił w poprzek chimajrydzkiego grzbietu.

W chaotycznym popłochu uciekali przed nimi mieszkańcy wsi. Razwijar czuł, jak ciało półczłowieka faluje pod nim wężowo, jak przetaczają się mięśnie pod miękką skórą, słyszał wiatr ryczący w uszach. Nieosłonięty grzbiet okazał się szeroki niczym miejska brama.

Zgrzytając pazurami po kamieniu, Łuks skręcił za róg. Potem jeszcze raz skręcił. Osada była zbudowana bez żadnego planu, nie było tutaj ulic, tylko szlachetne ruiny i przylepione do nich

niezgrabne lepianki, a całkiem blisko był las, szerokie korony, solidnie osłaniające przed strzałami z góry...

Dziewczynka zwiotczała na rękach Razwijara, zapewne straciła przytomność.

* * *

„W pałacu i w zagrodzie i w trójnogiej chacie majstra na Bezziemiu — wszędzie, gdzie jest kominek albo piec — może pojawić się na świecie mag. On może latać bez skrzydeł i rozkazywać kamieniom, może zabijać ogniem albo leczyć śmiertelnie chorych, ale głównym jego posłannictwem jest wnieść do tego świata to, czego przedtem na nim nie było...”

— Niczego takiego nie umiem!

Dziewczynka siedziała, trzęsąc się cała, obejmując kolana rękami. Na jej czole krwawiło zadrapanie, w głosie dawało się słyszeć łzy.

— Ja niczego takiego... nigdy... Wypuście mnie! Ja niczego nie umiem! Nie jestem magiem, to wyszło przez przypadek!

Łuks siedział w pewnej odległości, żuł leczniczy liść żółtego trójlistnika cudem odnalezionego na tej polanie. Nie było jak przygotować wywaru, dlatego przeżuwał kwiaty i przykładał do rozbitych poduszczyków łap. Całą swoją postawą ostentacyjnie dystansował się do ostatnich wydarzeń. To decyzja jeźdźca spełniona przez jego brata. Jeździec chciał, wierzchowiec tylko wykonał polecenie.

— Po co kłamiesz? — dopytywał się Razwijar powstrzymując rozdrażnienie. — Pokonałaś maga! Imperatorskiego maga! Możliwe, że jesteś wszechpotężna, więc dlaczego kłamiesz?!

Złościł się coraz bardziej i coraz bardziej denerwował. Ratując dziewczynkę, nie pomyślał o tym, co będzie, jeśli w stolicy Imperium i w jego granicach ogłoszą polowanie na zbiegów. Wyśledzić chimajryda — nic prostszego!

Mag został ogłuszony. Strażnicy odlecieli, nikogo nie zabijając, okazując żelazne opanowanie. Tym gorzej. Wrócą ze wsparciem, możliwe, że z nowym magiem, a któryś przyniesie rozkaz — za zgodą Imperatora. A wędrowcy, którym nie zależało na rozgłosie, niespodziewanie okazali się tymi, którzy ukrywali zbuntowaną czarownicę siedzącą teraz we łzach i rozmazującą po twarzy krew z zadrapania na czole.

— Ja... po prostu chciałam... ja...

Zbiegowie nie uciekli daleko. Szerokie korony osłoniły ich od poszukiwań z nieba, ale mieszkańcy osady bez trudu wyśledzili obcych, którzy zabrali dziewczynkę. Zjawiło się trzech młodzieńców, grozili pałkami, wypytywali, kim są przybysze i co myślą dalej robić. Starali się być groźni, ale sami się bali i w duchu nie mogli pojąć, co to za dzień jakiś trefny, same biedy jak z dziurawego worka?!

Ze słów młodzieńców wynikało, że strażnicy porzucili ziemię w kilka minut po tym, jak dziwni przybysze ze swoim ciężarem skryli się w lesie. Mag nie doszedł do siebie, ale był, w ogólnym mniemaniu, żywy.

— Kiedy on przyjdzie do siebie, jak myślisz? — zwrócił się Razwijar do zapłakanej dziewczynki. Ta pokręciła głową, kolejny raz wyrzekając się tego, co zrobiła. Jest już za późno, pomyślał. Za dużo świadków.

— Kim on dla ciebie jest? Ten chłopczyk?

— Siostrzeńcem. To syn siostry. — Dziewczynka wytarła łzy rękawem i od razu znowu zapłakała.

Łuks zmarszczył czoło, wypluł na dłoń uzdrawiającą papkę. Wykręciwszy się, sięgnął dłonią do tylnej łapy. Razwijar zauważył, że chimajryd delikatnie odwraca się do dziewczynki bokiem, jakby z jakiegoś powodu się krępował.

— Nigdy nie widziałem czarowników z tak bliska— przyznał się Heks, przyglądając się jej. — Żywych. I zasmarkanych.

Dziewczynka zagryzła wargi, powstrzymując łzy. Jej zadarty nos stał się purpurowy od płaczu, zadrapanie na czole krwawiło. Ta dziewczynka była godna pożałowania i dlatego imperatorski mag dał się zaskoczyć, pomyślał Razwijar.

* * *

Mieszkańcy osady zebrali się nad wodą, a nie przy czaszy wyschniętej fontanny, gdzie zaschła na marmurze krew imperatorskiego maga. Miejscowi hodowali krzyczalki i sytuchy, dojne ptaki, których pióra i mięso ceniono nie mniej niż mleko. W zatoce, odgradzonej Kamienną Strzałką, pływały ich całe stada. Na brzegu rzędami stały zagrody, a tuż przed nimi, na piaszczystej plaży, tutejsi mieszkańcy mieli coś w rodzaju agory.

Ramię przy ramieniu stali starcy, kobiety i подростki. W środku kręgu słuchaczy stary i bardzo młody mężczyzna krzyczeli jeden na drugiego. Pierwszy był miejscowym seniorem, drugi — bratem kobiety, która nie chciała oddać dziecka z magicznymi zdolnościami. Ona sama, blada, ale dziwnie spokojna, stała obok. Malca nigdzie nie było widać.

— I co teraz?! Wszystkich nas poszatkują! Pozabijają, jak pozabijali naszych na Mierzei! — krzyczał starzec. — Co, drugiego nie urodzi? Powiedziano przecież, że w pałacu będzie żyć! A teraz, przez nią... co się stanie?!

— A co się ma stać! — wrzeszczał młody. — Ona tego maga nie tknęła nawet palcem! A że ryczała, to co, zabronisz babie ryczeć?! Przylecą jeszcze raz, to pewne, oddamy małego, co robić... A w czym ona zawiniła?!

— Zawiniła Jaska — powiedział ktoś. — Oto i ona!

Wszyscy równocześnie się odwrócili. Na brzeg wkroczył Łuks z Razwijarem na grzbiecie i nieszczęsną, cały czas dygocącą dziewczynką.

Dzieci i подростki, a i kobiety, wpatrzyli się w półczłowieka, nagle zapominając, po co się zebrali i co im grozi. Razwijar siedział wyprostowany, ściskając piętami boki chimajryda. Dziewczynka szła, patrząc w ziemię.

W tłumie coraz głośniejszy dawały się słyszeć głosy:

— Zjawiała się... czarodziejka... — A ci, co za jedni?

— Mamo, zwierzczył! Z ogonem!

— Cicho — powiedział Razwijar.

Wpatrując się w twarze nieznanym, obcych ludzi, widział zarysy zmarszczek na czołach, czarne kropki porów na nosach z rozdymającymi się nozdrzami, krople potu nad górną wargą. Słomiane kapelusze i białe kaptury, chustki i wstążki, błyszczące oczy z wąskimi od słońca źrenicami. Starsi byli wzburzeni. Młodszy cieszyli się z odmiany w monotonnym, nudnym życiu. Ani jeden z nich nie wiedział i nie widział tego, co dla Razwijara było jasne jak słońce nad nimi.

— Cicho — powtórzył ostro. I pod jego spojrzeniem umilkły rozmowy i stał się rozróżnialny szmer milknącej fali. Ludzie wpatrzyli się w niego niemal z takim samym zdziwieniem, jak przed chwilą patrzyli na półczłowieka. Nie rozumieli, dlaczego ten młody, obdarty, nikomu nieznanym obcy, przemawia do nich jakby posiadał władzę. Zamilkli zdziwieni i tym samym uznali jego prawo do wydawania dyspozycji.

— Chcecie żyć to słuchajcie mnie uważnie — powiedział ostro. — Tam, na mierzei, stoi słup... „Imperator boleje nad każdym swoim poddanym”. Kto z was umie czytać?

Podniosło się kilka niepewnych rąk.

— Weźcie tęczy papier. Trzymajcie go w rękach, kiedy oni przylecą. To jedyna rzecz, która może was ocalić, oni nie strzelają, kiedy widzą tę tęczę. Zaczną was obwiniać, a wy przyzywajcie na świadka Imperatora. A dzieciak...

Chciał powiedzieć, że dziecko i tak przyjdzie oddać, ale się zaciął. Popatrzył w twarz nieszczęsnej kobiecie i zrozumiał, że ona już się poddała, że pogodziła się z koniecznością rozstania z malcem, który z daleka od domu stanie się wielkim magiem. Doznał chwilowego rozczarowania; czym jest życie całej osady przeciw życiu własnego, jedynego dziecka?!

— Dzieciaka oddamy — powiedział senior głośno, wypowiadając powziętą wspólnie decyzję. — Coś ty za jeden, nie wiem i wiedzieć nie chcę, może też jesteś posłańcem od Imperatora, a może wędrownym smarkaczem! Nasze sprawy ciebie nie dotyczą. Po co dziewczkę zabrałeś? Ją także będzie trzeba oddać, niech sami osądzą!

Tłum zahuczał. Teraz patrzyli na dziewczynkę, a ona ukryła twarz w dłoniach pod ciężarem tych spojrzeń.

Razwijar wyprostował się jeszcze bardziej, chociaż zdawało się to prawie niemożliwe. Tubylcy krzyczeli, szeptali, zamartwiali się, złościли, ale najbardziej ze wszystkiego bali się. Ludzie, oczywiście, lekką ręką gotowi byli oddać jednego człowieka w zamian za pomyślność albo chociażby życie wielu. Tylko młody mężczyzna, brat, znowu wyskoczył na środek, zaciskając pięści:

— Jaski nie oddam! Niech ucieka! Ona przecież nas wszystkich może... Jak tego maga! Całkowicie osadę spalić! My jej nie powstrzymamy...

I błagalnie popatrzył na siostrę, jakby oczekując, że ta zacznie palić osadę właśnie teraz. Ludzie przycichli i z przerażeniem się cofnęli.

— Wiedziałaś o mnie? — cicho zapytała dziewczynka.

Brat odwrócił się:

— A jakże...

— I milczałeś — ryknął starzec. — Napytaliście nam biedy!

— Bieda dawno przyszła — powiedział ktoś przez zęby.

— Co teraz...

— Jaska chociaż się z tym kryła — zauważył drugi głos. — A ta, z dzieciakiem swoim, rozgadała w całym okręgu, że jej malec jest czarownikiem... No i się stało!

— Zaczekajcie! — krzyknęli z tłumu. — Jeśli ona jest czarownicą, to niech ukryje osadę. Narzuci na nią takie czary, żeby nas nie znaleźli!

Propozycja spotkała się z zachwytem. Ludzie patrzyli na dziewczynkę, nie zauważając opuchniętego nosa i łez na jej twarzy.

— No dalej!

— Jaska, no, postaraj się!

— Zrób wichry nad morzem. Zrób sztorm, niech oni nie dolecą!

— Zrobisz to? — cicho zapytała jej siostra.

Dziewczynka w milczeniu zacisnęła palce. Przełknęła ślinę, ogarnęła spojrzeniem twarze współplemieńców. Ledwie zauważalnie potrząsnęła głową:

— Ja... nie mogę. Nie potrafię. Nikt mnie nie uczył... Ja nie chciałam! Ja nie potrafię!

Zrobiło się cicho.

— Jak nie chciałaś, trzeba było cicho siedzieć — rozległo się w tłumie.

— Po co wylazłaś, jeśli nie potrafisz?

— Teraz wszystkich zabiją, przez ciebie!

— Czarownica z łaski Szuu!

— Jeszcze tego nam trzeba?!

Teraz się złościł. Nadzieja przepadła. Całej osadzie pozostało czekać na zemstę i patrzeć w niebo.

— Uciekaj i ukryj się — szybko rzucił brat. — Uciekaj.

— Dokąd ona ucieknie? Wydamy ją! Co od nas mogą jeszcze wziąć?

— Albo ona się nie da — gromami zarzuci?! — ktoś zaśmiał się histerycznie.

— I tak ją znajdą! A tak, choć jakaś nadzieja dla nas, a może i dla niej...

Pośród tego wzburzenia, krzyku, przekleństw, parsknięć śmiechu, Razwijar siedział nieruchomo, ściskając piętami boki Łuksa, zacisnął palce na jego ramionach. Chimajryd odrobine odwrócił głowę, zerknął, jakby na coś czekając.

Kiedy jeździec jest w siodle, jego słowo ma pierwszeństwo. Obowiązuje taka etykieta, podniesiona do rangi prawa. Jeśli idziesz pieszo razem z bratem, rozmawiacie jak równy z równym. Ale wystarczy, by jeździec wskoczył na siodło, a role się zmieniają; on jest jeźdźcem i tylko on może zacząć rozmowę.

— Co? — szeptem zapytał Razwijar.

— Moglibyśmy zabrać ją z sobą. Do Czarnego Szumu.

— „Magowie mogą wyczuć ludzi po zapachu — powiedział Razwijar przez zęby — i znać ich myśli, i pragnienia, i lęki. Biegły mag potrafi iść po śladach człowieka, wyśledzić go na odległość, ujarzmić jego wolę”. Wyśledzić na odległość, zrozumiałeś?

— A czy nam nie wszystko jedno — powiedział prostodusznie Łuks. — Po tym, jak odebrałeś dziewczynkę strażnikom...

Razwijar zacisnął zęby. Wszystko to prawda. To on podjął decyzję, on stanął między Imperatorem a zbuntowaną czarownicą. „Ja”, a nie „my”.

— Powinniśmy uciekać i to jak najszybciej — wyszeptał chimajryd — a nie słuchać ich beczenia. I tak nas zapamiętali. Także jesteśmy buntownikami.

Razwijar przesunął wzrokiem po tłumie. W kręgu toczyły się rozmowy, decyzja była powzięta: i dzieciak, i dziewczynka, która odważyła się go ocalić, mieli być wystawieni jako zapłata za bezpieczeństwo osady. Ci ludzie wiele przeżyli w swoim życiu, stracili bliskich, stracili i znowu odzyskali nadzieję, oni nie byli buntownikami. Najprawdopodobniej oszczędzą ich. Należy tylko pokajać się i pokornie wydać Imperatorowi pięcioletniego chłopczyka i dziewczynkę w wieku około piętnastu lat...

— Ja powinienem zdecydować? — szeptem zapytał wierzchowca.

Łuks pokornie spuścił oczy.

— No to dawaj — powiedział Razwijar.

* * *

Drzewa rosły gęsto, chimajryd zataczał pętle, biegł slalomem i tracił przez to przewagę w szybkości. W ślad za zbiegami leciały kamienie, jeden trafił Razwijara w ramię, drugi ugodził Łuksa w tylną łapę. Chimajryd krzyknął z bólu, ale nie przestawał susami biec naprzód i pogoń coraz bardziej zostawała w tyle, trzask gałęzi za plecami i krzyki oddalały się, z przodu zamajaczył prześwit i uciekinierzy puścili się pędem w tamtym kierunku.

Razwijar siedział, jedną ręką przyciskając do siebie Jaskę, drugą wczepiwszy się w ramię chimajryda. Dziewczynka zamarła, jakby znowu straciła zdolność reagowania. Początkowo, kiedy nieoczekiwanie ją chwycił, sprzeciwiała się tak rozpaczliwie, że Razwijar przestraszył się,

że zrobi z nim to, co z magiem. Nagle strach i złość podpowiedzą wiejskiej podlotce, jak ogłuszać i zabijać za pomocą swojej woli?

Potem się uspokoiła. Możliwe, że odczuła zaciętość pogoni za plecami i paskudny, lepki strach przed nią. A może opadła z sił.

— Zgubiliśmy ich — powiedział Łuks i zwolnił bieg.

— A w górach w jednej chwili bym... Ech.

— Zatrzymaj się — powiedział Razwijar.

Zszedł na ziemię. Jaska ześliznęła się zaraz za nim i padła na kolana. Wierzchowiec nerwowo podrapał bok prawą tylną łapą.

— Trzeba iść szybko — powiedział Razwijar do dziewczynki. — Jeśli chcesz żyć, oczywiście.

Ostępiona popatrzyła z dołu na pochylonego nad nią jeźdźca, ale nic nie powiedziała.

— Jeśli wpadniesz w ręce strażników, szybko nie umrzesz — przekonywał Łuks. — Długo będą cię męczyć. Wiedz o tym.

Dziewczynka zadrżała. Razwijar siłą poderwał ją na nogi.

— Naprzód — powiedział despotycznie. — Przebieraj nogami, no już!

I ruszyła.

* * *

Stara, porzucona w lesie droga, prowadziła w pożądanym kierunku, z lekka tylko odchylając się na zachód. Kiedyś turkotały po niej koła, ryczały rogacze, pełzły przeogromne powozy na samojadkach. Jeździli ludzie do miasta nad morzem; handlować i pogapić się na osobliwości. Jechali z powrotem, do domu, w różne strony świata i do Czarnego Szumu. Wieźli podarki, wieźli nowinki. Ale już w tych dniach, kiedy Razwijar brodził w rosie, pod sklepieniem rodzinnego lasu, już wtedy miasto było zburzone. Nieznany bohater, wyciosany z kamienia, już wtedy stracił swoją głowę i możliwe, że jego głowa już legła w podmurówce nowej ściany, ale Razwijar jeszcze niczego nie wiedział o swoim losie, swobodny pokładał się w trawie i liczył świetliki, a ojciec jego biegał na szczydłach, chroniąc pole pełne dojrzewających kłosów...

Wędrowcy szli do zapadnięcia zmroku, ale dopiero późnym wieczorem, kiedy zupełnie się ściemniło, śmiertelnie zmęczeni w końcu zrobili postój. Ognia nie rozpalali. Ze starych zapasów w bagażu został tylko kruszący się kołacz. Razwijar zaproponował go Jaśce, ale dziewczynka odmówiła.

— Będziemy spać — powiedział Razwijar. — Jutro znowu czeka nas droga.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — melancholijnie zapytał Łuks.

— Co niby?

— O pieczęciach. To co mówiłeś im o pieczęciach, że nie wolno w nie strzelać? W jakiej książce to jest napisane?

— W żadnej. Ja po prostu... tak czuję.

— Dziwne. Dlaczego ja nie czuję? I skąd to przecucie, że nie można strzelać w pieczęcie?

Razwijar był tak zmęczony, że ledwie poruszał ustami.

— Nie wierzysz mi?

— Ależ nie, wierzę — towarzysz przeciągnął się, Razwijar usłyszał, jak zachrząściły gałęzie posłania. — Wierzę, w tym rzecz... Posłuchaj. A może ty też jesteś magiem?

— Chodźmy spać. Padam z nóg.

— To jesteś magiem, czy nie?

— Nie!

— A skąd wiesz o pieczęciach?

Razwijar zasypiał. Przed oczami kołysały się fale, wzlatywały i opadały wiosła.

— Rzec w tym — wymamrotał, zapadając w sen — że kiedy powoli poznajesz... tam słowo, tam dwa... Tam księga, cień lecącego skrzydlaka... Potem nagle to wszystko układa się... jak plama światła na wodzie. Chodźmy spać...

— Zabijają ich przeze mnie czy nie?

Westchnął głęboko, możliwość snu ulotniła się. Dziewczynka odezwała się pierwszy raz od początku wędrówki, miała zachrypnięty i łamiący się jak u chłopczyka głos.

— Zabijają ich? Wszystkich? Przeze mnie?!

— Nie sądzę — ostrożnie powiedział Razwijar. — Teraz mają usprawiedliwienie — dwóch obcych, którzy cię pochwycili. Tych samych, którzy nie pozwolili strażnikom cię zabić. Najprawdopodobniej ułaskawią ich. Tym bardziej, że chłopczyka oddadzą bez sprzeciwu...

Nagle zamilkł. Potem powiedział zmienionym, bardziej szorstkim głosem:

— Odzieżą go w lepsze ubranie. Może nawet przewiążą wstążeczką, dadzą w rękę chleb... albo czym tam wedle obyczaju witają drogich gości? Przygotują tego dzieciaka niczym najlepszą ofiarę i oddadzą. Z przyjemnością. Weź, co jest mi drogie...

Zaciął się.

— Co ty mówisz? — z niepokojem zapytał chimajryd. — Śpisz, czy bredzisz?

— Śpię... A co do pieczęci, Łuks. Sam rozumiesz, nie mogę dać sobie ręki uciąć, że ani jeden strażnik nie zacznie strzelać do imperatorskiej pieczęci. Ale jestem przekonany, że pieczęć może pomóc.

— To dlaczego nie mielibyśmy się obwiesić tymi pieczęciami od stóp do głów?

— Miałeś jedną, ale plunąłeś na nią i wyrzuciłeś.

— Młoodszy obywatel Imperium? — przedrzeźniająco przeciągnął Łuks.

— Tak. To po to, żeby do ciebie nie strzelali od razu, a chociaż najpierw porozmawiali.

— Nie mam o czym rozmawiać z imperatorskimi strażnikami.

— I ja także. Dlatego nie mamy dokumentów. I jesteśmy buntownikami. A za nami pogoń.

Łuks roześmiał się.

* * *

Razwijar spał.

Ludzie żyją, jak we śnie, powiedział stary Latarnik. Żyją, nie zastanawiając się ani nad minionym, ani nad przyszłym, ani nad samym sobą. Wierzą, że podejmują refleksję nad sobą, ale w rzeczywistości ich myśli to tylko niejasne odczucia, zamglone wrażenia. Ludzie przeczuwają przyszłość i siebie, ale nie widzą ani żyłek na liściach pod nogami, ani wzoru śnieżynki na rękawie płaszcza. A przecież po to, aby rzeczywiście myśleć i rozumieć, trzeba zauważać drobnostki.

I jeszcze trzeba w każdej chwili być czujnym, powiedział władca. Nawet kiedy śpisz, powinieneś wiedzieć, czego chcesz.

Razwijar otworzył oczy. Świtało, chimajryd spał, zwinawszy się w kłębek, na jego sierści błyszczała rosa. Dziewczynka obudziła się i zamierzała uciec; powolutku, na palcach, odchodziła coraz dalej w las. Jej prawy pantofel rozerwał się i w przedarciu widoczny był podrapany palec.

— Dzień dobry — powiedział do niej.

Wzdrygnęła się i zatrzymała.

— Łuks — zawołał Razwijar. Chimajryd obudził się błyskawicznie. Po prostu otworzył oczy.

— Bądź tak dobry i poszukaj jedzenia— powiedział Razwijar. — Dzisiaj będziemy musieli iść cały dzień.

Ten podniósł się i z zadowoleniem otrząsnął się tak, aż krople rosy poleciały na wszystkie strony. Dziewczynka najeżyła się. Chimajryd popatrzył na nią, na Razwijara, kiwnął głową.

— Rozpal ognisko — powiedział schrypniętym od snu głosem. — Nie będziemy przecież jeść surowego.

I poszedł, strząsając po drodze rosę z nisko zwisających gałęzi.

— Nazbieraj chrustu — polecił Razwijar dziewczynce. — Nie ma czasu na leniuchowanie.

Ta patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca. Zadrapanie na czole przyschło, oczy zapadły się, na policzku odbiły się ostre trawy.

— A może potrafisz rozpałać ogień oczami? Tu wszystko jest zwilgotniałe...

— Ja niczego nie potrafię — powiedziała, tym samym zachrypniętym, łamiącym się głosem.

— Do czego ci jestem potrzebna? Ja nic nie mogę.

— Tylko ogłaszać imperatorskich magów?

— To był przypadek. Ja... zezłościłam się.

— Potrafisz czarować, tylko kiedy się złościś?

— Nie potrafię czarować... Po co wyście... Po co to zrobiłeś?! Prosił cię ktoś? Życie... no i co z tego?!

— Nie żal ci życia?

Chlipnęła:

— Żal... Ale przecież... ja sama... oni wszyscy... Do czego ci jestem potrzebna? Wypuść mnie...

Razwijar podniósł się i podszedł do niej, bardzo blisko. Dziewczyna zmieszała się.

— Widzisz, mam do ciebie prawo — powiedział miękko. — Ponieważ zdecydowałem za ciebie.

— Nikt cię o to nie prosił!

— Nie prosił. Ale ja podjąłem decyzję i konsekwencją tej decyzji jest to, że teraz jesteśmy ze sobą związani jak łby dwugłowej żmii. Przez ciebie nas też zabiją, jeśli nas złapią.

— Ja nie chciałam...

— Ja chciałem. A teraz chcę, żebyś nam pomogła... Przecież jesteś magiem.

— Nie mogę — powtórzyła kolejny raz. — Nie jestem magiem. Nie potrafię.

— Nie potrafisz?

Razwijar uderzył ją w twarz, niezbyt silnie, ale głowę Jaski rzuciło w tył, a ona sama ledwie nie upadła.

— Nie umiesz? A tak?

Powtórzył uderzenie. Dziewczyna poderwała rękę, starając się odbić trzeci policzek. Z takim samym powodzeniem mogłoby bronić się pisklę sytuchy.

— Jutro, najpóźniej pojutrze, pojawią się tutaj prawdziwi magowie — powiedział Razwijar.

— Zaczną szukać po zapachu. Ciebie. I nas. Jeśli jeszcze raz usłyszę z twoich ust „nie potrafię, nie umiem”, to przywiązany cię do drzewa, tutaj w lesie. I oni znajdą cię po zapachu, a od nas się odczepią.

Patrzyła na niego z takim przerażeniem, jakby był larwą ogniewuchy.

— Boisz się? Oni poczują zapach twojego strachu. Czy możesz zmylić ich trop?

— Nie mo... — dziewczynka zakaszła.

— Świetnie. Czegoś się nauczyłaś. Teraz posłuchaj: jesteś bezmyślnym stworzeniem, które ściągnęło gniew Imperatora na całą wieś. Nie ocaliłaś dzieciaka i nikogo nie ocaliłaś, dlatego, że ty, gamoniu, postanowiłaś zdecydować za innych i zgubiłaś wszystkich!

Dziewczynka zamarła na moment, po czym poderwała ręce. Razwijar rzucił się w bok. Daremnie. Świat przed oczami zalał się białym światłem i przepadł. Kiedy znowu otworzył oczy — nad jego głową kołysały się gałęzie, a on sam leżał na plecach, prawie tonąc w porannej mgłę i wydawało mu się, że jego ciało jest z bezkształtnej waty, a bezwładne ręce nie chciały poddać się jego woli. Bardzo, bardzo wolno podniósł dłoń do twarzy. Pośrodku czoła, trochę powyżej nasady nosa, wyczuwalne było gorące wgniecenie. Gdy tylko dotknął tego miejsca, tak go zabolalo, że zasyczał przez zęby.

Ile minęło czasu. Szuu... Magowi gorzej się dostało. Na Razwijara nie starczyło jej sił... Albo może go oszczędziła, pożałowała?

Z lasu wynurzył się Łuks, wlekąc w opuszczonej ręce tłustą, dwugłową żmiję. Wpatrywał się w Razwijara nierozumiejącym wzrokiem:

— Co... tobie... Matko Wof, przecież ona cię...

— Łap ją — z wysiłkiem powiedział Razwijar. — Daleko nie mogła uciec.

* * *

Kiedy chimajryd przytaszczył wrywającą się Jaskę ognisko już płonęło, syczały szare gałęzie, a mgła tymczasem podniosła się wyżej. Pnie otuliły się białością. Jaska piszczała i drapała, w poprzek policzka Łuksa ciągnęła się długa, krwawa smuga.

— Rozpraw się z nią sam — powiedział chimajryd, zrzucając dziewczynę na trawę. — Żałuję... że się wplątaliśmy w tę całą hecę z czarodziejką, że połączyliśmy z nią swoje losy.

Jaska ciężko dyszała. Miała rozerwaną sukienkę na ramieniu i ta ledwie trzymała się na niej. Popatrzyła na Razwijara, zobaczyła wgniecenie na jego czole i zadrżała.

— Siadaj — powiedział Razwijar.

Posłuchała. Westchnął głęboko, dziewczynka uznała jego władzę nad sobą. I ona też.

— Czyli jesteś zupełnie bezradna? I nawet muchy nie skrzywdzisz?

Dziewczynka przełknęła ślinę.

— I nie jesteś magiem? Nie ma w tobie magicznej siły?

Chciała odwrócić wzrok, ale jej nie pozwolił. Dziewczynką wstrząsnął dreszcz.

— Powiedziałem nieprawdę — przemówił wolno. — Twój sąsiedzi przeżyją. Możliwe, że w ogóle nic im się nie stanie. Możliwe, że nikogo nie zgubiłaś... oprócz mnie i chimajryda. Ale my się przecież nie liczymy.

Dziewczynka zamrugęła, zupełnie zdezorientowana. Potem powiedziała szeptem:

— Proszę... wytłumacz mi, czego ty ode mnie chcesz?

— To inna sprawa — uśmiechnął się. — Chcę, żebyś ochroniła nas troje przed poszukującymi zbiegów strażnikami Imperatora. Przed prawdziwą pogonią, z magami, skrzydlakami i Szuu wie czym jeszcze. Kiedy będą nas szukać z nieba.

— Ja nie...

Zamilkła i zaszlochała bez łez.

Razwijar podszedł i usiadł obok. Objął ją szorstko:

— Wsłuchaj się w siebie, na pewno będziesz wiedziała, co robić. Rozumiem, że to pierwszy raz. Ale przecież wszystko ma w którymś miejscu swój początek, wszystko kiedyś wydarza się pierwszy raz. Nikt nie rodzi się dwa razy i nie umiera po wielokroć.

— Ja spró... buję — przez łzy wydusiła Jaska.

— Zrobisz to — poprawił ją łagodnie.

Mgła gęstniała, otaczając maleńkie, syczące w rosie ognisko.

— Posłuchaj, chce mi się jeść — melancholijnie zauważył Łuks. — Własny ogon jestem gotów połknąć, szczerze mówiąc.

W drodze dziewczynka zgodziła się trzymać ramienia chimajryda. Razwijar szedł z drugiej strony, w prawej ręce dzierzył kindżał.

— ...żeby ptaki latały w kluczu, żeby krzyczalki nie rozbiegały się i słuchały, kiedy doisz. A! Jeszcze, żeby lalki zamykały i otwierały oczy.

— Jak to? Co lalki?!

— Lalka jest z drewna. Ma drewnianą głowę. Oczy namalowane farbą. I te moje lalki otwierały i zamykały oczy.

— Fantastyczne! Wielce przyteczna umiejętność — sarknął Łuks.

— Zamknij się — Razwijar rozejrzał się. Przed nimi, przy drodze, ciemniały ruiny. Kiedyś zapewne była tu gospoda. — Powiedz, uczył cię ktoś otwierać i zamykać oczy lalkom?

— Nie — dziewczynka szła ciągnąc nieznacznie za sobą prawą nogę. — Zawsze wydawało mi się, że to... wstyd.

— Słucham?! — chimajryd zwolnił kroku.

— Bo to nie tak, jak u wszystkich — powiedziała zamierającym głosem. — Coś jakby... ułomność. Taki szósty palec. Babcia mówiła...

Zamilkła.

— Babcia?

— Tak. Ona o tym wiedziała. I mnie straszyla, kiedy byłam jeszcze maleńka. Że to wstyd i jeśli się dowiedzą, będą prowadzić mnie nagą po ulicach, oblepioną piórami krzyczalki i posadzą na cep obok beczki...

— Obok beczki — w zamyśleniu powtórzył Łuks. — I ty uwierzyłaś?

— Miałam pięć lat! A potem... już sama przywykłam, że to nieprzyzwoicie i wstyd.

— Twoja babcia była mądrym człowiekiem — powiedział Razwijar. — Cóż, twojego siostrzeńca jednak nie nauczyła, żeby się z tym krył?

— Ona już dawno umarła — Jaska kulała coraz silniej.

— Rozumiem — powiedział. — Ale czasami, kiedy nikt nie widział, brałaś lalkę i otwierałaś jej oczy.

— Tak.

Zrównali się z ruinami. W studni była woda. Mętna, ale „jadalna”, jak określił ją Łuks. Napętnili manierki. Jaska usiadła skulona na kamieniu.

Razwijar podszedł do Łuksa:

— Czy chimajryd może nieść kogoś, oprócz swojego jeźdźca?

— Rannego towarzysza, jeśli jeździec nakaże — odparł ten.

— Wziąć ją?

— Jaska — powiedział Razwijar. — Siadaj wierzchem na Łuksa.

Popatrzyła na nich z mieszaniną strachu i wstydu.

— A ty co? — zapytał chimajryd. — Siadaj, pomogę ci.

— Ja — dziewczynka przełknęła ślinę. — Ze mnie krew idzie.

Wędrowcy spojrzeli po sobie.

— A co, ja krwi nie widziałem? — niedbale zapytał Łuks.

— Siadaj. Bo inaczej nigdzie nie dojdziemy.

* * *

Wieczorem zatrzymali się na brzegu rzeki, przez którą był przerzucony na wprost rozwalony mostek. Jaska długo się myśla, zszedłszy niżej w dół z prądem. Łuks przyniósł z lasu ubitego pająka i uroczyście się zaklinał, że jego mięso nie jest po prostu jadalne, ale wręcz uzdrawiające i smaczne. Razwijarowi zwierzak przypominał pająki Cza, które widział kiedyś w bibliotece, zresztą jadł już w życiu przeróżne rzeczy. Za to dziewczyna nie tknęła jedzenia. Mdlilo ją.

— Udało nam się — powiedział Razwijar. — Pogoń zostaje w tyle. Zapewne mag nie od razu doszedł do siebie. A może wezwali go na przesłuchanie do samego Imperatora.

— Do Imperatora — powtórzyła Jaska. — Widziałam go... I tego samego człowieka będzie widział Imperator?

— Imperator go nie pochwali — dodał Razwijar.

— A może pogoni nie będzie? — beztrudno zapytał Łuks, żując kęs pajęczych trzewi. — Pójdziemy coraz dalej, i nikt za nami...

— Rozmarzył się — powiedział Razwijar. — Jutro. Koniecznie.

— Nie — wyrwało się Jaśce.

Jeździec popatrzył na nią znacząco.

— Słucham?

— Nic — westchnęła głęboko.

— Jest jeszcze dużo czasu — powiedział. — Ty przecież cały czas myślisz, jak nas obronić? Ty przecież czujesz się magiem? I czujesz jak rośnie w tobie twoja potęga?

— Proszę, nie śmiej się ze mnie — powiedziała cicho.

— Nie śmieję się z ciebie. Jutro rano umrzemy albo przeżyjemy i to zależy od ciebie.

* * *

„Zbiorę kwiateczki, ufarbuję koszulę... Ufarbuję koszulę — naplotę wianeczków...”

Jego cioteczna siostra pomagała tacie farbować płótno. Granatowe, niemal czarne kwiaty obratki rosły zawsze w tym miejscu, gdzie urodziła się dziewczynka. Dlatego, mówiła babka, matki chodzą rodzić do lasu, gdzie jest miękka trawa, jeśli urodzi się dziewczynka, w trawie wiele lat będzie rosła obratka...

Siostra zbierała kwiaty na polanie, gdzie urodziła się siedem lat wcześniej. Wkładała w płócienny woreczek, przeciągała nitką, opuszczała do wrzącej wody. Potem w kotle trzymano tkaninę — jeśli trzymać ją dobę, będzie granatowa. Jeśli noc — błękitna. A jeśli wyjąć ją niemal od razu, będzie czerwona, jaskrawoczerwona, widoczna z daleka. Z takiego płótna sztyto dziecięce koszulki...

— Zbiorę kwiateczki, ufarbuję koszulę... Dziewczynka szła bosą po ścieżce, kroczyła przed Razwijarem tak, że widział jej rozsypane na plecach rude włosy. Weszła po dwóch stopniach na próg, pchnęła ciężkie drzwi, weszła do domu. Pośpieszył w ślad za nią, chciał ją zawołać i obudził się.

— Dzisiaj? — zapytała szeptem.

Razwijar przytaknął.

Ruszyli dalej — Jaska po lewej stronie Łuksa, Razwijar po prawej. Las okazał się dziwnie pusty. Było bardzo cicho, nad głowami szeleściły drzewa. Wędrowcy milczeli, a ten w napiętym milczeniu odbywany marsz przypominał ni to szpiegowski zwiad, ni to kondukt żałobny.

W południe natrafili na ruiny zajazdu. Razwijar zajrzał, zginając się, w otwór po drzwiach; wewnątrz niczego nie było, oprócz pleśni i potłuczonych kamieni. Meble, rzeczy, nawet wewnętrzne obicie ścian — wszystko albo zbutwiało, albo rozsypało się i przepadło.

— Moglibyśmy się tutaj ukryć — zaproponował Łuks.

— Zupełnie bez sensu— odpowiedział Razwijar. — Zrozum, możemy się ukrywać albo nie, to nic nie da. Mag będzie węszył i tak dowie się, gdzie jesteśmy.

— Jaki ty jesteś mądry — powiedział ten urażony.

Szli godzinami i z każdym krokiem napięcie związane z oczekiwaniem pogoni stawało się coraz bardziej męczące. Razwijar powstrzymywał się, żeby nie patrzeć co chwilę w niebo. Łuks klepał łapami po pniach, strącał ogonem owady i w końcu zaczął przetrzącać biało–niebieskie grzyby, które porastały wzdłuż drogi.

— To złe życzenia — powiedziała Jaska, która prawie całkiem ochrypla.

— Co?

— Nie dotykaj grzybów. To złe życzenia. Jeśli człowiek komuś źle życzy, powinien pójść do lasu i wypowiedzieć życzenie na głos. Wtedy wyrasta taki grzyb, a zło się nie przydarzy i sumienie człowiek będzie miał spokojne, i na duszy lekko.

— To bajki — oświadczył Łuks.

— Interesujące bajki — wymruczał pod nosem Razwijar.

— Ale dlaczego wzdłuż starej drogi? Tutaj już tyle lat jest zupełnie pusto, nikt nie chodzi...

— Te grzyby rosną po sto lat. A wzdłuż drogi kiedyś wielu ludzi chodziło. Tłok, strzelcy w strażnicach... Złodzieje. Ludzie życzyli sobie nawzajem najgorszego. Ale żeby nie obciążać duszy, wypowiadali swoje zło w lesie i wyrastały grzyby.

— Rozumiem — powiedział Razwijar.

— A ty co, wierzysz w to wszystko? — zdziwił się Łuks.

— Nie wierzę — nie wytrzymał i jednak się rozejrzał. Niebo nad koronami pozostawało czyste.

Jaska lekko się zdziwiła:

— Dlaczego?

— Dlatego, że ludzie nie rozumieją, kiedy ich życzenia są złe. Życzenia zła, to dla niegodziwca, złego człowieka — dobro i sprawiedliwość. W taki sposób myślą.

Jaska uważnie na niego spojrzała. Wzruszyła ramionami:

— Mówisz jak moja babcia. Jak stara babka, która wychowuje wnuczeta.

Razwijar uśmiechnął się:

— Nie mam wnucząt. Póki co wychowuję ciebie.

— Coś cuchnie — dziewczyna wciągnęła powietrze. — Chodźmy szybciej, na pewno w pobliżu jest cmentarzysko.

— Niczego nie czuję — Łuks wciągnął powietrze nosem. — Żadnego zapachu... Może wiatr się zmienił?

— Cuchnie już od dawna i to coraz silniej — uparcie powtórzyła Jaska. — Może po prostu zatęchłe bagno...

Razwijar rozejrzał się czujnie. Las wokół się nie zmienił, wszędzie tak samo stały rosnące nisko drzewa z gęstymi koronami, szeleściły krzaki na poboczach porzuconej drogi, pachniało rozgrzaną ziemią i trawą...

— Jaska — powiedział. — Ty ich czujesz.

— Kogo?

Nagle pobladła tak, że Razwijar się przestraszył; teraz znowu straci przytomność i koniec. Popatrzył na niebo pomiędzy gałęziami. Było czyste, ale tylko w zenicie. Nie mógł dojrzeć, co działo się na horyzoncie.

— Z drogi, szybko — wyszeptał, czując zimny dreszcz na plecach.

— Arbalet by się przydał — melancholijnie westchnął chimajryd.

Wdarli się głębiej w las, pod najgęstsze drzewo i usiedli przy pniu. Jaska upadła na kupę suchych liści, zatykając nos. Jej policzki i czoło przybrały zielonkawy odcień.

Razwijar usiadł obok, podniósł ją, wziął za ręce:

— Ukryj nas.

Patrzyła na niego, jak przyślepka prowadzona na rzeź.

— Ukryj nas — powtórzył. — Zrób coś.

— Oni... są... tuż za nami — grobowym głosem przemówiła dziewczynka. — Zwęszyli... ślad... gdzie nocowaliśmy...

— Skąd wiesz? — wtrącił się Łuks.

— Ona czuje — powiedział Razwijar. — Jest magiem. Wiesz przecież, że już jako mała dziewczynka potrafiła otwierać namalowane oczy lalki.

— Nie śmieję się — wargi Jaski drżały.

— Ukryj nas. Nie śmieję się. Ukryj nas, niech oni nie czują naszego zapachu.

Zmrużyła oczy. Na jej czole szybko, niemal w mgnieniu oka, pojawiły się duże krople potu i potoczyły się w dół, zalewając policzki i szyję.

Przez jakiś czas wszyscy troje siedzieli bardzo cicho. Razwijar oglądał swój kindżał, doskonale rozumiejąc, że jego broń nic tu nie pomoże. Pot lał się po zapadniętych policzkach Jaski, żyła wystąpiła na szyi i pulsowała konwulsyjnie, odczuwał każde uderzenie jej serca.

— Obejmijcie mnie — powiedziała Jaska, nie otwierając oczu.

Nie pytając, objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Bardzo małeńka, bardzo chuda, gorąca jak węgielek, mokra w na wskroś przemokniętej odzieży. Łuks wsparł się o Razwijara z drugiej strony; ścisnęli się w jeden kłębek, ich serca przyspieszyły, łowiąc rytm serca dziewczynki i zlewając się z tym rytmem.

— Ooo — niski, przeciągły dźwięk wydobył się z krtani Jaski, a na jej ustach pojawił się pęcherzyk — Ouu.

Dał się słyszeć narastający świst skrzydeł. Wiatr szarpnął korony nad głowami ukrywających się ludzi. Sądząc po dźwięku, ptaków było nie mniej niż pięć. Ich skrzydła zasłoniły niebo, zasłoniły słoneczny blask, pociemniało. Skrzydlaki krążyły i krążyły nad jednym miejscem, płynnie zniżając lot.

— U... uciekamy — wychrypiała. — Stracili ślad... Odlatują.

Łuks podskoczył. Razwijar podsadził Jaskę na jego grzbiet i rzucili się do ucieczki, daleko od drogi, klucząc między drzewami i przedzierając się przez krzaki. Przeskoczyli strumień, nawet tego nie zauważając. Uciekali i Razwijar nie zostawał w tyle za zwinnym chimajrydem. Jaska siedziała na grzbiecie Łuksa, z półotwartymi ustami, z szeroko otwartymi, nieobecnymi, szalonymi oczami. Nawet Razwijar wyczuwał fale emanującej z niej siły.

Biegli, dopóki nie padli ze zmęczenia na mech. Leżeli bez ruchu, dysząc ochryple w całkowitej ciszy. Nawet wiatr ucichł.

— Jaska — z krtani Razwijara z trudem wrywały się słowa. — Czujesz coś? Zapach?

Pokręciła głową.

— Daj wody — powiedział Razwijar do chimajryda. Ten doczołgał się do torby, ręce mu się trzęsły.

— Już wszystko dobrze — zwrócił się ponownie do dziewczyny, obejmując ją. — Wszystko dobrze. Cicho, już.

— Przychodzą sytuszki — przemówiła dziewczynka, słabo się uśmiechając. — Mleka pełne garnuszki.

— Nie myślę, że już jest tak dobrze — powiedział Łuks podnosząc garneczek do warg dziewczynki. — Jak myślisz, zgubili nas?

— Na tę chwilę, tak. Ale zaraz będą szukać uważniej. I nie odpuszczą tak łatwo. Zbuntowany mag to nie żarty.

— Doigraliśmy się — powiedział chimajryd i sapnął.

— To był twój pomysł.

— Ale zdecydowałeś o tym ty!

Razwijar roześmiał się. Ostrożnie wytarł krople wody, ściekające po podbródku Jaski.

— Ona jest potężnym magiem. Czy kiedykolwiek wyobrażałeś sobie, że będziemy mieli swojego potężnego maga?

— Nie jestem twoim magiem — dziewczynka otworzyła oczy. — Ty mnie sobie nie... przyswajaj.

I straciła przytomność.

* * *

Napotkali podniebny patrol jeszcze dwa razy. I za każdym razem Jaska czuła zapach niebezpieczeństwa jak ostrą woń i na czas ukrywała siebie i towarzyszy przed wrogim wzrokiem.

— To tak, jakbyś nakrył się pledem po sam czubek głowy — przyznała się Razwijarowi.

— Tak prosto?

— No... Spróbuj sam.

Roześmiał się.

— A jak myślisz; wszyscy śledzący nas są magami, na skrzydlakach, czy nie?

— Ja ich nie rozróżniam. Ja w ogóle nie czuję, że tam są ludzie. Po prostu cuchnie.

Po kilku ciężkich dniach wyszli na brzeg rzeczki, za którą leżał Pękaty Bór — leśny obszar, przylegający, według opowieści, do samego Czarnego Szumu. Zapach bliskiego siedliska i dymu, rozróżniała nie tylko Jaska, ale i Łuks, a czasami także Razwijar.

Zatrzymali się na brzegu. Dziewczyna wymyła się, ukrywając za krzakami, wyprała odzież i cały dzień przesiedziała sama w przybrzeżnych zaroślach. Pod wieczór wyszła w wilgotnej jeszcze sukience i usiadła przy ogniu.

— Jak się czuje wasza wysokość?

— Słucham?

— Tak w Imperium zwracają się do magów. Wasza wysokość.

— Nie jestem imperatorskim magiem! — odpowiedziała ostro. — Ja... sama dla siebie.

Razwijar uśmiechnął się.

Ostatniego dnia nie spotkali jeźdźców na skrzydlakach. Aż chciało się wierzyć, że prześladowcy zostali w tyle. Nie wiadomo, co strażnicy wymyślili w raportach i jak imperatorski mag wyjaśnił swoje niepowodzenie.

— Może doszli do wniosku, że umarłam?

— Dobrze by było, żeby tak pomyśleli — powiedział Razwijar. — Ale oni nie są głupi.

— Chciałabym wiedzieć — odezwała się z goryczą — co się dzieje w domu.

— Przecież jesteś magiem. Nie możesz się dowiedzieć?

Pokręciła głową:

— To daleko...

— Powiem ci, co się tam dzieje — Razwijar spojrzał jej prosto w oczy. — Przylecieli strażnicy. Twoi sąsiedzi i rodzina oddali im chłopczyka. Poskarżyli się na nas, że my wykradliśmy ciebie, więc to my jesteśmy przestępcami. Naczelnik patrolu zrugał ich i puścił do domów.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

— A malec... Jest u nich?

— Tak.

Jaska długo milczała.

— I teraz — zaczęła znowu — wiozą go do pałacu... Albo ten mag kłamał na temat pałacu?

— Nie kłamał. Mały będzie mieszkał w pałacu i będzie się uczył.

— I stanie się potężnym magiem?

— Tak.

Dziewczynka zamilkła.

— A ja — powiedziała ostrożnie — też mogłabym...

— Oczywiście. Gdyby dowiedzieli się wcześniej, że jesteś magiem — przysłaliby skrzydlaki i po ciebie.

— Zawieźliby mnie do pałacu — ciągnęła Jaska. — Podarowaliby sukienkę... z aksamitu... z drogocennymi kamieniami, wyszytą złotem...

— Tak.

— I uczyliby, jak prawidłowo czarować...

— Tak. I kiedy byś umarła, to zostałabyś złożona w grobowcu magów, w katakumbach pod pałacem samego Imperatora. Oni tam leżą, każdy ze swoim pierścieniem na palcu i mało który z nich umarł śmiercią naturalną.

— Dlaczego? — po chwili zapytała Jaska.

— Dlaczego leżą w katakumbach?

— Dlaczego nie „śmiercią naturalną”?

— Nie wiem — przyznał się Razwijar. — Może służba u Imperatora jest taka niebezpieczna. Widziałem trzech magów, nie licząc ciebie. Jeden zginął na moich oczach, a drugi był już martwy, kiedy go... spotkałem. A trzeci... trzeciego ogłuszyłaś.

— Nie wygląda na to, żeby byli aż tacy potężni — nieoczekiwanie szyderczo powiedziała Jaska. — Akurat wszyscy tak szybko umarli. A ten trzeci, przecież on mnie nie poczuł, nie zrozumiał. Może dlatego, że mały pogryzł mu palec...

— Zrozumiał w ostatniej chwili — wtrącił się Łuks. — Miał taki wyraz twarzy!

— To druga strona potęgi — powiedziało ton ciszej Razwijar. — Magowie tak przyzwyczajają się do swojej mocy, że zaczynają nie doceniać... prostych ludzi. Nas. A przecież powinni być mądrzy.

— Ja będę mądra — po chwili milczenia powiedziała Jaska.

— Zobaczymy — Razwijar uśmiechnął się. — Obiecałaś.

* * *

Przeszli przez Pękaty Bór, kryjąc się przed ludzkim spojrzeniem, nikogo nie spotykając i nie wypyując. Okolice były dzikie i pustynne, każda osada była ogrodzona wysoką palisadą. Na wąskich i długich jak wstęgi polach wyrastały kłujące zboża, a w zagajnikach hodowano wielkie pająki, zapewne na mięso. Jedyne miasto, jakie wypadło na ich drodze, było po prostu większą osadą z przekrzywioną bramą, ze zwalonymi pod murem kupami śmieci.

— To cały czas jest jeszcze Imperium? — zdziwił się Łuks.

Razwijar pokazał mu drewnianą basztę, wznoszącą się ponad murem miejskim:

— Tutaj mieszka miejscowy mag, a w samym mieście namiestnik.

— W baszcie nikogo nie ma — powiedziała Jaska. — Czuję to, tam jest pusto.

— Czyli jeszcze nie zdążyli go przysłać.

Nie zbliżali się do miasta, obeszlili je pod osłoną wzgórza i ruszyli dalej. Łuks był zamyślony.

— To znaczy tak — powiedział wreszcie. — W Nagórze... myślisz, że tam też wybudowali basztę?

— Myślę, że tak.

Więcej nie zagajał na ten temat, ale Razwijar widział po jego spuszczonej głowie i zachmurzonym czole, że nadal myśli o rodzinie.

Za to odezwała się Jaska:

— A jeśli w naszej osadzie wybudują basztę, jeśli Kamyczek... Mój siostrzeniec... wyrośnie i przyślą go do nas? Jako maga? Tak przecież może się stać, prawda?

— Prawda — powiedział Razwijar.

Jaska uważnie popatrzyła mu w twarz:

— Powiedz jeszcze raz.

— Prawda — uśmiechnął się.

Dziewczynka potrząsnęła głową. Jej delikatne nozdrza rozszerzyły się gwałtownie:

— Nieprawda! Teraz łżesz. Łżesz!

Razwijar stanął. Zatrzymał się także Łuks. Jaska zmieszała się, jej twarz poczerwieniała na chwilę. Cofnęła się o krok:

— Wybacz. Ale kłamiesz, mówisz nieprawdę.

— Jak to wyczuwasz? — zapytał po chwili milczenia.

Dotknęła palcem nosa:

— Ja... z pewnością czuję. To zapach.

— Przepadliśmy z kretelem — wymamrotał Łuks.

Dziewczynka szybko przeniosła wzrok na chimajryda. Potem znowu na jeźdźca, nachmurzyła się:

— Dlaczego nie mogą go do nas przysłać?

— Chodźmy — powiedział Razwijar. — Czas iść.

Posłuchała, chociaż bardzo nie miała ochoty. Okrążyli pajęczą plantację. Na przedzie szedł zamyślony Łuks, za nim — pogrążona w swoich myślach, dziewczynka. Razwijar patrzył na jej drobne plecy, patrzył, jak ostrożnie przedziera się w ślad za chimajrydem, schylając się pod gałęziami, odsuwając od twarzy strzępki starej pajęczyny, lekko stąpa porwanymi trzewikami po szarej, jakby pokrytej popiołem, ziemi.

— Czyli Kamyczka nie mogą przysłać do nas, do osady? — uparcie zapytała znowu, kiedy zostawili miasto daleko w tyle, usiedli odpocząć i coś przegryźć.

— Nie mogą — zgodził się Razwijar.

— I w tym twoje kłamstwo?

Spojrzał na nią z ukosa:

— Tak.

Gwałtownie wciągnęła powietrze:

— Nie. Ty znowu kłamiesz, czuję to!

Łuks zagwizdał.

— Bardzo dobrze, że jesteś naszym przyjacielem, Jaska — poufnie oznajmił Razwijar. — Ponieważ niebezpiecznie być twoim wrogiem.

Poczerwieniała, jakby ktoś ochlapał ją farbą:

— Dz...dziękuję. Zatem powiedz... W czym jeszcze łgałeś?

— Wątpliwe jest, czy w waszej osadzie wybudują basztę.

— To prawda — wciągnęła powietrze nosem. — To prawda... Nasza osada jest całkiem malutka, mało w niej ludzi, to nie miasto...

Razwijar milczał.

— Dobrze — uśmiechnęła się i uspokoiła. — To znaczy, szkoda. No nic... Posłuchaj, a wcześniej mnie okłamywałeś?

Podsunał się do niej bliżej i objął za ramiona:

— Jaska... Mężczyzna od czasu do czasu powinien okłamać kobietę. To prawo natury. Udawaj, że wierzysz, dobrze?

Przycisnęła się do niego. Objęła za szyję. Przylgnęła.

* * *

— Co żeś nałgał Jasce? — szeptem zapytał Łuks.

Dziewczyna spała. Ognisko dogorywało. Razwijar leżał na plecach i patrzył w gwiazdy.

— O czym skłamałeś, przecież mnie możesz powiedzieć?

Razwijar nachylił się do samego ucha towarzysza:

— Najprawdopodobniej jej osada już nie istnieje, a wszyscy mieszkańcy są martwi.

Łuks wstrzymał oddech.

— Przez nas? — zapytał ledwie dosłyszalnie.

— Co za różnica?

— No... Gdybyśmy jej nie porwali...

— Ona godna jest tego, by żyć i być wolną.

— A ci ludzie... Ich jest więcej...

— Łuks — Razwijar uniósł się na łokciu. — Nie ma miarki, która by mierzyła życie. Nie może sto istnień być ważniejszych niż ona. To nie tak.

— Dlaczego? Przecież sto kling jest lepszych niż jedna.

— Nie są lepsze. A ty masz sto rąk?

Zamilkli.

— Razwijar — zapytał Łuks tak samo cicho. — Dokąd my idziemy? Po co?

— Do Czarnego Szumu.

— A co tam jest?

— Rodzina. Ojciec.

— Słyszałeś, co mówią. Przepadł Czarny Szum. Może i ludzie już tam nie mieszkają. Same tylko potwory. A twój ojciec... Gdyby żył, to czy sprzedałby cię w niewolę?

— On jest martwy. Ale i tak tam jest.

— Ale przecież my żyjemy. Po co tam iść?

Razwijar zamknął oczy i... zobaczył szorstki policzek ojca i żelazny kolczyk w małym, ciemnym uchu. Policzek zasłaniał sobą cały świat, potem odsunął się i przed chłopcem pojawił się długi stół na skraju pola z falującym zbożem. Za stołem siedzieli mieszkańcy wsi w kolorowych koszulach i sukienkach; starsi w ciemnoniebieskich, młodzież w jasnych, błękitnych, a dzieci w jaskrawoczerwonych jak kropelki krwi.

Narzeczony, ubrany na białą, siedział u szczytu stołu, a obok niego posadowiona była gliniana kukła przebrana w szaty narzeczonej; białą suknię, wyszytą złotymi nitkami, z naszyjnikiem z węzowych skórek. Wszyscy udawali, że kukła to naprawdę narzeczona. Ojciec szepcze Razwijarowi na ucho: to, żeby zwieść Bagienną Teściową...

Zdrzemnął się tylko na chwilę. Ognisko jeszcze nie zdążyło wygasnąć. Rozejrzał się, nie pojmując, gdzie się znajduje. Dawno już sny-wspomnienia o domu nie były tak wyraziste, tak fizycznie odczuwalne. Dotknął twarzy, skóra pamiętała jeszcze dotyk kłującego policzka...

Jego własny policzek porósł krótką, szorstką brodą i już prawie nie kłuł.

— Głupio — wyszeptał.

— Głupio? — żywo odezwał się nieśpiący Łuks. — Tak przecież mówię, że iść do tego Szumu...

— Głupio całą weselną ucztę spędzić obok glinianej lalki — uśmiechnął się do swoich myśli Razwijar — Łuks... jak to jest u was, w jaki sposób Nagóreni się żenią? Jaki macie obrządek?

— Idą do Jeziora Urodzaju — odpowiedział ten po chwili. — Wchodzą w wodę po szyję. I... I to wszystko.

— Wszyscy czworo?

— Niekoniecznie. Najpierw jeździec, jego brat i pierwsza żona, potem jeździec, jego brat i druga... Albo od razu we czwórkę, jeśli narzeczone umówione są razem...

— „Mówiąc o urodzaju, Nagóreni mają na myśli rodzenie dzieci. Oni nie uprawiają pól i ogrodów, trudnią się bowiem polowaniem; urodzajność to dla nich zdolność samicy do przynoszenia młodych...”

— Razwijar... — Łuks przełknął ślinę. — Czy ona ci się podoba?

— Tak.

— Oddasz mi ją... na drugą noc?

Zapadło milczenie.

— Razwijar?

— Potem porozmawiamy — odparł, odwrócił się na bok i udał, że śpi.

* * *

Na drugi dzień pod wieczór dotarli do granicy — nowej, ledwie co oznaczonej. Tu też sterczał słup z tęczowym dokumentem, obwieszczającym, że ziemie i ludzie na południu podlegają Imperatorowi, a na północy wkrótce będą podlegać i że w tym miejscu zostanie wybudowana tymczasowa imperatorska strażnica.

— Czy kiedyś Imperium zagarnie cały świat? — zapytała Jaska.

— „Świat jest tak wielki, że nie możesz sobie tego wyobrazić, drogi czytelniku. Najgroźniejsze imperium na jego mapie nie większe jest niż odcisk dziecięcej rączki na niebie” — powiedział Razwijar.

— „Drogi czytelniku?” — Jaska trwożnie na niego zerknęła.

— Z kim ty rozmawiasz?

— Czytam na głos książkę.

— Jaką?

— „Drogi i podróże”. — Razwijar westchnął. — Idziemy.

W milczeniu przeszli granicę i zatrzymali się przy ścianie lasu, który był wyższy i gęstszy niż wszystkie, które do tej pory przeszli a także wyraźnie ciemniejszy.

— Zatem to jest Pękaty Bór? — ponuro zapytał Łuks.

— Jeszcze nie — Razwijar rozejrzał się. — No już, szybko. Idziemy.

* * *

Odczekał, aż Jaska wcześniej rano wyruszy nad rzeczkę myć się. Poszedł za nią, rzeczka była spokojna i niezbyt głęboka, dziewczyna podeszła do wody, po kostki grzęznąc w mule. Weszła po kolana, przysiadła, zaczęła się myć, sycząc przez zęby, woda bowiem była zimna.

Umywszy się, drżąc z zimna, dziewczyna odwróciła się, żeby wrócić. Razwijar stał przed nią na brzegu. Po prostu stał i milczał.

Zmieszała się.

— Zzzimno — powiedziała szcękając zębami.

Z wysiłkiem wyciągając nogi z mułu, poszedł do niej. Woda podniosła się do kolan. Zatrzymał się; zdawało mu się, że jego rozogniona skóra zagotuje rzekę, ale ona cały czas tak samo płynęła, rozczesując długie wodorosty, unosząc w dół szczapki i rzadkie, suche liście.

— Posłuchaj, Razwija... ar — ze strachem wymamrotała Jaska. — Może...

Wziął ją na ręce. Krople odrywały się od jej bosych stóp, rozchodziły się po wodzie kręgi, przecinały się, zlewały.

Wyniósł dziewczynę na brzeg. Ułożył na trawie. Jaska dygotała. Położył się, zwaliwszy na nią, przycisnął między ziemią, a swoim ciałem, ogrzewając. Pętając.

— Nie milcz — wyszeptła. — Powiedz cokolwiek!

— Moja — powiedział Razwijar. I stało się wedle słów jeźdźca.

W jego życiu było wiele kobiet. Przelotem wspomniął, jak po raz pierwszy spotkał dziewczynę Dżal. Jak całował bezimienną, pokorną dziewczynę nazwaną przez niego Skrzydlaczką. Suche trawki wbijały się w kolana i łokcie, niby ostre pióra z materaca oberżystki; dla żadnej nie był pierwszym i dla żadnej nie był władcą, a dziewczyna mag nigdy wcześniej nie zaznała mężczyzny.

Pokonując jej słaby, wynikły ze strachu, sprzeciw uczynił z niej kobietę i uczynił ją swoją kobietą. Na jedną chwilę zobaczył szybujące miasto Mirtie na horyzoncie, złote iglice i turkusowe łuki, białe mosty i malinowe obłoki, podświetlone słońcem. Żałośnie krzyknęła — cicho, jakby bała się go rozgniewać.

— Moja — powtórzył Razwijar przyciskając ją do ziemi. I dodał: — Żona.

* * *

Las zmieniał się z każdą godziną wędrówki. Iść prosto już od dawna stało się niemożliwe — trzeba było lawirować między zaroślami, a niekiedy przecinać sobie drogę w splotach pędów. Kindzały się stepiły, Razwijar i Łuks opadli z sił. Potem zrobiło się lżej. Zdawało się, że dotarli do porzuconej drogi. Co i rusz trafiały się maleńkie, czyste jeziora.

Korzenie i gałęzie zamieniały się tutaj miejscami, zapominając o własnym przeznaczeniu. Gałęzie wrastały w ziemię, korzenie ciągnęły się ku niebu. Ukazywały się ich oczom podziemne nory — najpierw wąskie i maleńkie, a potem duże i coraz częściej napotykali tunele, do których człowiek mógłby wejść nie pochylając się. Łuks był bardzo wesoły od rana, paplał, a czasami nawet śpiewał i często spoglądał na Jaskę.

Dziewczyna szła, opierając się na ramieniu Razwijara, zamyślona i blada. Jej nozdrza drżały.

— Czujesz coś? Patrol?

— Nie. Co innego. Cuchnie.

— Pogoń?

— Nie.

— Daleko?

— My do tego idziemy... Zbliżamy się.

Chimajryd zatrzymał się:

— Dlaczego nie mielibyśmy najpierw ustalić, co to za zapach, w kierunku którego idziemy? I dopiero potem...

— Jak wyjaśnimy? Stojąc w miejscu?

- Jak myślisz, to niebezpieczne? — zapytał Łuks dziewczynę.
Ta przełknęła ślinę, podnosząc wzrok na Razwijara:
— Kochasz mnie?
— Tak.
— Powiedz jeszcze raz.
— Tak.
Przytuliła się do niego. Jej nozdrza się rozszerzyły.
— Czuję się magiem — powiedziała, silnie mrużąc oczy.
— Dopiero teraz.
— Czyli on mówił prawdę — Łuks nerwowo się uśmiechnął i znowu zerknął na towarzysza.
— Jaska — Razwijar pogłaskał dziewczynę po głowie.
— Prowadź nas po zapachu. Niczego się nie bój.

* * *

Znaleźli tunel pod korzeniami, głęboki i zbutwiały. Zapalili suchą gałązkę; pod sklepieniami z poplątanych korzeni i mchu wiele lat wcześniej znaleźli swoją zgubę ludzkie. Wóz na dwóch kołach leżał na boku, wokół wałały się ciała, co najmniej dziesięć, a bezbarwna trawa wyrastała przez obnażone żebra.

— Patrzcie — powiedział Łuks.

Wyciągnął z jednego trupa krótką, szeroką klingę. Żebra zatrzeszczały.

— Dobra rzecz — rozciął ostrzem powietrze. — Patrzcie, tam są jeszcze inne!

Jaska stała, wczepiona w ramię Razwijara, który trzymał przed sobą palącą się gałąź.

— Możesz się dowiedzieć, co tu się stało?

— I tak wszystko jasne — chrapliwym głosem wyjaśnił Łuks. — Jedni to kupcy. Drudzy rozbójnicy. Jedni drogo sprzedali swoje życie. Drudzy...

— Zbiegowie — cicho powiedziała dziewczyna. — To nie kupcy... Oni uciekali.

— Przed czym?

— Nie wiem. Oni uciekali... gnał ich strach. Uciekali jak zwierzęta przed pożarem.

— Przed pożarem? — powtórzył Razwijar.

Przypomniały mu się wijące płomienie nad dachem ojcowskiego domu. Palił się dom i paliła się cała wieś, ale kto ich podpalił?

— Razwijar — zmienionym głosem powiedział Łuks. Stał nad jednym z trupów. Ten leżał na boku, ściskając w kościanej ręce bardzo długi, prosty miecz. Czarne włosy przepłotły się z trawą. Chimajryd patrzył mu w twarz.

Gałązka dopalała się. Razwijar ostrożnie wyswobodził rękę. Dziewczyna niechętnie rozwarła palce. Podpalił drugą gałąź. Zrobiło się jaśniej. Stały się widoczne oddzielne przedmioty w stosie rupieci z wozu; żeliwny garnek, tłumoczek z przegniłymi szmatami. Jaska miała rację. To nie byli kupcy. To byli uciekinierzy.

— Popatrz na niego — powiedział Łuks.

Razwijar podszedł i popatrzył w twarz nieboszczykowi. Twarz prawie się nie ostała, szczyrzyła się czaszka, ale łuki brwiowe były tak szerokie, że nie miał cienia wątpliwości.

— Heks.

— Widziałeś ich kiedykolwiek?

— W zwierciadle.

— No, ty tak nie wyglądasz — wymamrotał chimajryd. — Nie każdy rozpozna, tylko ci co wiedzą...

— Kto to taki „Heks”? — zapytała dziewczyna.

— O, jeszcze jeden — Razwijar przewrócił na plecy nieboszczyka. — Łuks... Pozbieraj broń, jaką tylko znajdziesz. I idziemy stąd. Jaska, idziemy.

* * *

Szli do zmroku, chcąc odejść jak najdalej od tunelu z nieboszczykami. I dopiero, kiedy Jaska powiedziała, że już prawie nie czuje *tego* zapachu, zatrzymali się na nocleg.

— Świetliki — powiedział Razwijar.

Wysoko na sklepieniu lasu paliły się dwa jaskrawe punkciki, niebieski i opałowcy.

— Dalej będzie ich więcej — mimowolnie się uśmiechnął. — Pamiętam.

Łuks bardzo się denerwował. Siedział, obejmując rękami ramiona. Patrzył na ogień. Jaska pociągnęła nosem:

— Co z tobą?

— Nic, nic — uśmiechnął się z wysiłkiem. — Razwijar...

— Słucham?

Przez jakiś czas patrzyli na siebie. Potem Łuks spuścił wzrok.

— No, właściwie to nic... Ty decydujesz. Ty jesteś jeźdźcem.

Długi, ciemny miecz, wyjęty z ręki martwego Heksa, okazał się bardzo wygodny, idealnie wyważony. Razwijar, jak potrafił, wyczyścił go z błota i rdzy, ale ostrze nie stało się jaśniejsze.

Szeroki miecz, wyciągnięty z piersi nieboszczyka, Łuks wziął dla siebie. Milcząc szedł przodem, kręcił młynki klingą, ścinał cienkie gałązki. Prześlizgiwał się przez wąskie przejścia pod korzeniami. Przedzierał się przez ogromne pnie drzew, zwalonych, lecz wciąż żywych, wypuszczających nowe pędy. Długi tunel, przez który przyszło im się przedzierać bliżej obiadu, okazał się dziuplą w ciele niewyobrażalnie starego drzewa. Razwijar chciał krzyknąć do Łuksa, żeby poczekał, ale ten, nie oglądając się za siebie, dał nura do dziupli. Posypało się próchno, zadrżała pajęczyna, rozciągnięta w gałęziach nad głowami. Zamarł. Wydawało mu się, że słyszy ciężkie dyszenie, odgłosy walki, padanie ciała...

Chimajryd wyszedł z drugiej strony. Razwijar zobaczył, jak wynurza się i jak wcześniej nie ogląda się za siebie, idzie po odkrytym prześwicie, a jego ogon strąca kawałki trawy.

— Co mu jest? — cicho zapytała Jaska.

— A dlaczego pytasz?

— On... Jakby go coś bolało.

— Czujesz to? Po zapachu?

— Nie — powiedziała dziewczyna, ściągając brwi. — Po prostu widzę.

— Ta droga nie jest łatwa. — Razwijar, zacisnąwszy zęby, ruszył w cuchnącą wilgocią dziuplę. — Ale jesteśmy już blisko.

Czekał na chwilę, kiedy otaczający ich las stanie się lasem ze snów i wspomnień. Wspomnienia były pierwszą rzeczą, jaką dał mu Miedziany Król, a możliwe, że i najcenniejszą. Ludzie, których pamięta, nie mogli zniknąć zupełnie. Drzewa i kamienie nie mogły przepaść. Nawet księgi, które zapisywał w pamięci, stawały się realne; ze swoją oprawą, zakładkami, szorstkimi, szeleszczącymi stronicami. A przecież jego wspomnienia nie były księgą. To było życie; z jaskrawymi kwiatami, z trawą pod stopami, z chropowatą korą pod opuszkami palców. Nie wierzył, że to życie mogło zniknąć bezpowrotnie. Coś zostało, mówił sobie. Jeszcze trochę i poznam te miejsca.

Jaska szła, rozdymając nozdrza.

— Co jest przed nami? Czujesz coś?

— Nnnie wiem — stawała się coraz bardziej niepewna. — Coś tam jest.

— Ludzie?

— Nie wiem. Nnnie sędę. Rozumiesz, mnie przecież nikt nie uczył...

— A ty znowu swoje?

Wyszli na otwartą przestrzeń i Razwijar wypróbował swój nowy miecz. W biegu rozciął lianę, zwisającą z gałęzi, zwinnie ściął ze starego pnia korę i mech. Wyobraził sobie wrogów, otaczających rodzinny dom i zabił ich wiele razy pod rząd.

— Jesteś żołnierzem — powiedziała Jaska, obserwująca go z radosnym strachem.

Odechrzęknął. Podobały mu się jej słowa, a szczególnie wyraz twarzy. Nigdy wcześniej nikt tak na niego nie patrzył.

Łuks, jak wcześniej szedł przodem, nie oglądając się. Przelotnie zerknąwszy na jego tył, Razwijar przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował. Ta zamarła. Odsunął się gwałtownie i lekko popchnął ją do przodu. Poszła, co i rusz oglądając się przez ramię.

— Razwijar...

— Tak?

— Kim ty jesteś? Opowiesz mi, kim jesteś?

— Opowiem.

— Posłuchaj, ja się ciebie bałam... niepotrzebnie.

— Cóż, nie wiem czy tak zupełnie niepotrzebnie — roześmiał się.

— Jeśli na nas napadną, zabijesz ich? Sam jeden, wszystkich?

— Kto na nas napadnie? — Razwijar zwiększył czujność.

— Czujesz coś w lesie?

Ostrożnie powąchała powietrze:

— Wydaje mi się, że w pobliżu nikogo nie ma. Tylko drobne zwierzęta, ptaki, zmije...

— A na górze?

— Pusto — jej głos stał się pewniejszy. — Zgubili nas. Nigdy nie znajdą.

— W takim razie zrobimy postój — chwycił ją za porwany kaptur i przyciągnął do siebie.

— Teraz?

— Tak — roześmiał się radośnie. — Łuks! Postój! Czas na polowanie!

Chimajryd zamarł. Potem, cały czas nie odwracając głowy, skoczył w bok i zniknął za ścianą splątanych lian.

* * *

— Razwijar?

Była noc. Leżeli w ciemnościach, a całkiem blisko, pod niskimi gałązkami krzaka palił się rój świetlików. Las był pełen zacisznych zakątków, alków, altanek, zaułków; las szanował cudze tajemnice. Cenił prawo do prywatności.

— Tak?

— Jak tam moja rodzina? Siostra? Brat? Co oni robią?

— Nie wiem — odpowiedział Razwijar i w jego słowach nie było kłamstwa.

Jaska westchnęła.

— Ci ludzie z wozu, którzy uciekali... Którzy umarli wiele lat temu. Oni uciekali z Czarnego Szumu.

— Domyśliłem się.

— Tam stało się coś złego.

— To oczywiste..

- Nie boisz się tam iść?
- Czego mam się bać?
- Majaków, widm. Płonących pni. Heksów.
- Sam jestem Heksem.
- Ty nie — w jej głosie dał się słyszeć strach.
- Nie boję się majaków i widm. Pluję na płonące pnie. Nie bój się.
- Razwijar...
- Tak?
- Łuks bardzo... nie rozumiem. Może on jest zazdrosny? Ci chimajrydzi, oni są... ludźmi?

Mają uczucia jak ludzie?

— Tak — wolno powiedział Razwijar. — I uczucia, i wszystko inne. Rodzą ich zwyczajne kobiety.

Jaska ze zdziwieniem zamilkła.

— On jest twoim... przyjacielem?

— Jest moim bratem. — Patrzył, jak świetlik nad jego głową zmienia kolor z turkusowego na szmaragdowy.

— Razwijar...

— Tak?

— Po prostu podoba mi się twoje imię. Mogę je powtarzać i powtarzać. Mogę je śpiewać. Ja... gdyby wszystko powtórzyło się raz jeszcze, postąpiłabym tak samo. Pobieglabym za tobą boso. Popłynęłabym... Kocham cię. Nawet kiedy... mnie boli.

Miała bardzo delikatną skórę. Każde mocniejsze dotknięcie zostawiało ślad. Razwijar przysunął usta do jej karku.

— Tak boli?

Napreżyła się pod nim i zadrżała.

— A tak?

Migotały świetliki, ich chłodne odcienie stawały się ciepłe i na odwrót. Jaska oddychała głęboko, uśmiechała się i rozmazywała łzy.

— Chodźmy spać... Śpij dobrze, wasza wysokość. Śpij, moja dziewczyno.

I zasnęli, spleceni w objęciach.

* * *

Na drugi dzień szli powoli, chociaż droga stała się o wiele łatwiejsza. Poszycie było coraz rzadsze, pojawiała się przestrzeń między pniami. Wędrowcy szli wzdłuż niekończącej się kolumnady, przez ogromną, mroczną salę z wysokimi sklepieniami.

Razwijar kroczył, nie patrząc pod nogi, czasami potykając się. Obrazy z jego przeszłości, jaskrawe i wyraźne, były teraz bardziej realne od lasu, przez który się przedzierali. Ten zdawał się przezroczysty, zwłaszcza rano, kiedy mgła unosiła się na wysokość człowieka, a Jaska tonęła w niej i szła uczipiona jego ręki.

Mgła przeredziła się. Wzeszło słońce. Dziewczyna, jakby tego nie zauważyła, nie puszczała jego ramienia. Musiał wręcz ciągnąć ją do przodu, tak często zatrzymywała się, a nawet cofała.

— Przed nami coś jest... źle pachnie.

Znaleźli przewróconą furmankę. Kupę szmat. Kilka strzał z ciemnymi, wyszczerbionymi grotami.

— Heksi — powiedział Razwijar.

Chwilę później natknęli się na starą mogiłę. Wzgórek zapadł się, zarósł trawą, z ziemi sterczało zardzewiałe ostrze kosy.

— Tam, przed nami, jest ktoś żywy?

— Zależy kto — mgliście odpowiedziała Jaska. — Nie wiem.

Zaczęli napotykać obszary wypalonego lasu. Młoda zieleń pokryła pogorzelska, ale nie do końca. Wędrowcy napotkali spalony pień, wyciągnięty z ziemi, opierający się na korzeniach jak na długich, guzelkowatych nogach. W pniu, z jakiegoś powodu, tkwiło wiele strzał.

— Omińmy go — szeptem poprosiła dziewczyna. Obeszli pień, nie zbliżając się do niego. Nadchodził wieczór.

— Jakoś strasznie tu nocować — zaczęła Jaska słabym, ale demonstracyjnie dziarskim głosem. — Może... — przerwała i stanęła jak wryta.

Przed nimi widniały zielone zarośla, tworząc ścianę z posplatanych liści i pędów.

— Tam coś jest — głucho powiedziała dziewczyna i potarła nos. — Pachnie... Odejdźcie! Nie podchodźcie tam!

Jeździec i chimajryd jednocześnie dobyli broni.

— Wróg? — zapytał Razwijar.

Jaska poruszała nozdrzami.

— Nie wiem. Nie rusza się.

— Trup? — zapytał ponownie i opuścił klingę.

— Bardzo duży. To nie człowiek.

Razwijar zacisnął zęby i ruszył ku ścianie z poprzeplatanych liści. Uderzył i odskoczył. Za zieloną, gęstą zasłoną nie było nic, oprócz kamienia. Ośmielony uderzył jeszcze raz i jeszcze, wykrzesał iskrę i nagle cofnął się. Z prześwitu wyłoniła się ciemna twarz.

Jaska za jego plecami krzyknęła. Ten zadrzał; ani mech, ani wilgoć nie tknęły Martwego Posągu. Ogromny człowiek leżał na boku z zamkniętymi oczami.

— Spokojnie, nie ma niebezpieczeństwa — powiedział Razwijar, starając się, aby jego głos brzmiał pewnie. — To „martwy posąg”. Pamiętam go.

— On jest żywy — dziewczyna przełknęła ślinę. — Nie rusza się... ale jest żywy. Kto to?

— Olbrzym — Razwijar rozrąbał mieczem gałęzie, liście padały na twarz posągu i zsuwały się po gładkim policzku. Pokazał się podbródek, na którym można było rozróżnić krótką ufryzowaną w loki brodę. — Stara historia. Zabił go mag... ogłuszył. Wielki Mag. Ponad sto lat temu. Moja mama w dzieciństwie widziała, jak olbrzym unosił powieki.

Jaska cofnęła się jeszcze kilka kroków.

— Magowie mogą... tak?

— I nie tylko... — Wpatrywał się w kamienną twarz, starając się odczytać wściekłość albo rozpacz, albo ból powalonego, ale olbrzym był obojętny. — Magowie mogą... Posłuchajcie, to rozdroże. Teraz powinienem już poznawać okolicę.

* * *

— Nazbieram kwiateczków, ufarbuję koszulę...

Dziewczynka szła boso po ścieżce, kroczyła przed Razwijarem tak, że widział jej rozsypane na plecach rude włosy. Chciał ją zawołać, ale nie śmiał. Między nim, a dziewczynką było prawie piętnaście lat różnicy.

— Pajęczynkę naprzędę, wydziergam chusteczkę...

Dziewczynka przeszła obok drewnianego wieszaka, na którym była naciągnięta pajęczyna, obmywano ją z lepkiej pajęczej śliny i wywieszano, żeby się suszyła. Z pajęczyn pleciono koronki, firanki na okna, dziergano sukienki...

Razwijar przeszedł obok spalonego, porośłego mchem drzewa. Stracił dziewczynkę z oczu, przyśpieszył, czując za plecami, jak sapią zdyszani Jaska i Łuks.

Dziewczynki nie było. Na pewno. Skąd się wzięła? Wspomnienia... Cienie.

Szedł szybko, teraz po kolana w lodowatej rosie, a z góry padały ciepłe krople. Plamy światła, odbłaski, świetliki. Ścieżka znikłaby już z powierzchni ziemi, ale dawno temu ktoś wyłożył ją płaskimi kamyczkami...

Plaskały po kamyczkach bosc pięty. Dziewczynka, jego cioteczna siostra, biegnąc zerwała garść trawy.

— Dudki, dudki, dudki-piszczalki...

Mrucząc piosenkę, odgryzła od pędu wierzchołek i korzeń. Pokręciła w palcach, podniosła do ust, dał się słyszeć cichy, krótki świst. W odpowiedzi zaklaskała nad głową wiewiórka. Dziewczynka roześmiała się. Razwijar przypomniał sobie, że dudki z trawy mogą zwabiać leśne zwierzęta, które są dobre.

Znowu przyspieszył kroku, bojąc się stracić swoją przewodniczkę z oczu. Dziewczynka wyszła z lasu na pole. Pojawiło się prawdziwe niebo z obłokami, mieniły się w słońcu kłosa. Szedł teraz przez młody las, w którym gdzieś jeszcze

rosły kłoski, drobne i dziczale, ciasno przyciśnięte jeden do drugiego jak resztki rozbitej armii.

— Dokąd idziesz? — głośno zapytała Jaska za jego plecami. Nie obejrzał się.

Po odległym krańcu pola biegła postać na szczydach. Wyobraził sobie, że za biegnącym człowiekiem ścieli się po ziemi ruda fala ognistych grzbietów, niosą się puszyste ogony... Mgnienie. I biegnący człowiek przepadł, przepadły i wiewiórki, ale dziewczynka cały czas szła przed nim, a jej rude włosy podrygiwały w rytm kroków.

— Razwijar, posłuchaj...

— Poczekaj, nie przeszkadzaj!

Ścieżka ponownie pograżyła się w leśnym gąszczu.

Na zewnątrz pozostał słoneczny dzień. Nad koronami, na niedosiężnej wysokości rozlewa się oślepiający blask. Tutaj, w dole, panuje zielonkawy półmrok i rzadkie promienie, niczym szprychy, snują się w tym półmroku, wodząc po listowiu punktami jaskrawszych błysków. Ogniste punkty budzą we włosach idącej dziewczynki rude iskry.

— Razwijar, co z tobą?!

Jaska wyprzedziła go i zagroziła mu drogę. Wpatrywał się w jej twarz, z trudem ją poznając.

— Tutaj... nie ma żadnej magii? — zapytał z wysiłkiem.

— Gdzie? To jest po prostu bardzo stary las, w którym kiedyś był pożar... Ludzie rozbiegli się przerażeni... Ich strach zaplątał się tutaj, w gałęziach... Czuję to, tak, ale to nie magia. To po prostu... Razwijar, co z tobą? Czyżbyś do tej pory wierzył, że twoja osada ocalała?!

A ty wierzysz, że *twoja* osada ocalała, chciał zapytać, ale powstrzymał się.

Łuks stał na uboczu z opuszczoną głową, a jego napięta skóra drgała. Razwijar pojął, że nie słyszał jego głosu już od kilku dni. Popatrzył przed siebie, ścieżka wiodła przez półmrok między drzewami, ale dalej widać było prześwit, niestety ruda dziewczynka zdążyła już odejść daleko...

Pobiegł jej śladem i prawie ją dogonił.

Dziewczynka odwróciła się. Pomachała ręką. Ruszyła w kierunku domu. Weszła po dwóch stopniach na próg, dotknęła ciężkich drzwi, uchyliła je...

— Zaczekaj!

Weszła do domu.

* * *

Próg z dwoma kamiennymi stopniami poczerńiał od dawnego pożaru. Drzwi nie było, jak nie było ścian i dachu. Pośród trawy i krzaków ciemniał, niczym spopielony szkielet, kadłub pieca. Przez pozostałości domowych sprzętów rósł las.

Wszystko, co sprawiało, że był wolny w niewoli, co mu się śniło, co go radowało — w jednej chwili przepadło na zawsze. Już nigdy w życiu nie zobaczy, jak ojciec biegnie na szczudłach wzdłuż miedzy i jak mienia się w słońcu kłosa. Nie przypomni sobie twarzy matki i rudych włosów siostry. Wszystko, co pięknym obrazem tkwiło w jego pamięci, przepadło w tym właśnie momencie. Od tej pory, wspominając las, zobaczy spalone ruiny. Rodzinny dom przyśni mu się tylko w koszmarach.

Wetknął miecz głęboko w ziemię.

— Razwijar!

Jaska położyła mu rękę na ramieniu. Błagalnie zaglądała w jego pochyloną twarz. Coś mówiła, widział jak poruszają się jej wargi. Podszedł Łuks i przytulił się ciepłym bokiem, kosmyki włosów przylgnęły do czoła chimajryda, oczy patrzyły błagalnie.

Wzdrygnął się, Jaska wołała go, żeby wszedł. Wejść do tego domu, zaraz po tym, jak weszła tam, otwierając nieistniejące drzwi, ruda dziewczynka... Wejść, żeby zobaczyć wszystko, co zostało po ludzkim życiu...

— Tam jest schowek — Jaska patrzyła mu w oczy. — Coś ukrytego. Skarb.

— Albo mogiła — powiedział Razwijar.

— Albo... — cofnęła się. — Powinniśmy...

Uśmiechnął się:

— Kto powinien?

* * *

Stalowe ostrze omal się nie złamało, wyciągając z fundamentów czarny, omszały kamień.

Pod kamieniem była pusta przestrzeń. Schowek, którego Razwijar nie pamiętał i o którym nie mógł wiedzieć, ponieważ maleńkim dzieciom takich rzeczy się nie pokazuje.

W jamie, owinięte zetląłą tkaniną, leżało kilka złotych monet i drewniana figurka. Razwijar wziął ją do rąk. Była to zabawka wyciosana z twardego drewna, wiewiórka z oczami z zielonych szkiełek. Drewno pociemniało i gdzieś tam zostało naruszone przez korniki, ale zielone oczy patrzyły jasno i nawet wesoło.

W brzuchu wiewiórki były maleńkie drzwiczki. Odsunął miniaturowy rygielek żelaznej zasuwki. Zabaweczka otworzyła się jak kufer. W środku leżały dwa kosmyki włosów. Jeden długi, szorstki i czarny. Drugi, dziecięcy, także czarny, ale miękki. Oba przewiązane sznurkiem.

Razwijar odwrócił się. Łuks i Jaska stali obok. Chimajryd patrzył, mocno zaciskając wargi. Dziewczyna powstrzymywała się od płaczu.

— Odejdźcie — poprosił szeptem.

Odeszli. Zeszli z ganku z dwoma stopniami. Razwijar ostrożnie zamknął zabaweczkę—kuferek, znowu spojrział w zielone oczy drewnianej wiewiórki. Wiele lat przeleżała pod kamieniem, ale jej mordka do tej pory zachowała wyraz wesołej beztroski.

Skulił się, przycisnął zabaweczkę do piersi i przesiedział tak prawie godzinę.

Potem wyprostował się. Postawił wiewiórkę przed sobą i popatrzył w jej zielone oczy.
— Miedziany Królu — głos nawet mu nie drgnął. — Miedziany Królu. Weź, co jest mi drogie. Daj, czego potrzebuję.

* * *

Zdawało mu się, że z góry bije słup światła. Każdy liść, każda trawka i każdy kamień rzuca oddzielny, wyraźny cień. A Razwijar stoi w oślepiającym snopie i patrzy przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Potem światło powoli odeszło, ale ciepło pozostało. Ślepe owady z lasu przylatywały do tego ciepła, były w gorące policzki i padały na ziemię.

A może to nie były owady, tylko czyjeś dusze. Albo po prostu nocne strachy. Albo przypadkowe myśli. Razwijar siedział nad otwartym schowkiem i myślał, dopóki w lesie się nie ściemniło.

Babka opowiadała, że w dawnych czasach las występował przeciwko najeźdźcom. Ludzie rąbali i wypalali drzewa, żeby siać swoje zboża, a nocą do osady przychodziły płonące pnie i wyciągały rolników z pościeli. A potem, kiedy ludzi przybyło, las stał się posłuszny i zamilkł. Tylko czasami, kiedy robiło się całkiem nie do zniesienia, płonące pnie podchodziły blisko ku ogrodzeniom osad...

To bajka, pojął Razwijar. To taka sama bujda jak Bagienna Teściowa. Nie było żadnych płonących pni. Były wyszczerbione strzały i ciemne miecze... Heksi niczego nie sieją i nie hodują, nie strzygą i nie doją, oni trudnią się polowaniem jak Nagórni, i wojną... Ludzkie mięso jest tanie na wojnie... Byli tutaj, zostawili swoje strzały i swoje trupy. Pagóraki, plemię rolników, wojujące tylko z lasem, nie poddało się bez walki...

Mamę ukąsiła wiewiórka wiele lat wcześniej. Ona stała się wiewiórką. Gdzie jest teraz?

Podniósł głowę. W ciemnych koronach drzew stopniowo zapalały się światełka budzących się świetlików.

* * *

Łuks rozpalił większe ognisko z dala od poległej osady. Łuna światła przebijała pomiędzy pniami. Chce, żebym zobaczył ogień z daleka, pomyślał Razwijar i uśmiechnął się.

Kiedy wszedł w krąg światła, dziewczyna i chimajryd o czymś cicho rozmawiali. Jaska, chociaż siedziała tyłem, poczuła go pierwsza i odwróciła się strwożona.

Podszedł, uśmiechnął się, opadł na kolana. Pocałował ją w umorusaną popiołem rękę.

— Dziękuję. Znalazłaś dla mnie coś... bardzo cennego.

— Nie ma za co — zdziwiona, wpatrywała się w jego twarz. — A... a gdzie ona jest? Gdzie jest ta wiewiórka?

— Nie wiem — powiedział Heks. — Gdybym to wiedział.

— Razwijar?

— Nie myśl, że straciłem rozum ze smutku. — Usiadł obok. — Wszystko, co się tutaj wydarzyło, zakończyło się wiele lat temu.

Jaska i Łuks wymienili spojrzenia.

— Masz takie oczy — powiedziała cicho — jakbyś był ogromnie szczęśliwy.

— Jestem szczęśliwy — pogładził ją po głowie. — Doskonale wiem, czego chcę. Co mogę. I co należy teraz zrobić.

Dziewczyna i chimajryd patrzyli, nie wając się mu przerwać.

— Jaska — delikatnie ścisnął jej dłoń. — Chcę ci powiedzieć jedną rzecz. W plemienu Nagórenów, którego obyczaje my z Łuksem szanujemy, żona jeźdźca staje się żoną jego brata. Stałaś się moją żoną, co oznacza, że należysz teraz także do Łuksa.

Chimajryd wyprostował się. Jego smagłe policzki pobladły. Nerwowo oblizał wargi.

— Jak? — cicho zapytała Jaska.

— Według starego prawa — powiedział łagodnie. — Kocham cię i władam tobą. Dzisiaj będziesz należeć do Łuksa. To jego noc.

— Razwijar — powiedziała dziewczyna ledwie słyszalnym, drżącym głosem.

Kiwnął głową, uśmiechając się uspokajająco:

— Tak. Wszystko będzie dobrze. Słowo jeźdźca.

Łuks przesunął się do przodu. Przypadł do ziemi u nóg Jaski, objął jej kolana. Popatrzył na nią z dołu wilgotnymi, płonącymi oczami:

— Kocham cię. Nie bój się mnie. Ja... potrafię być tak delikatny, że nawet sobie tego nie wyobrażasz.

Razwijar wstał i odszedł. Dziewczyna spojrzała na niego nad kędzierzawą głową chimajryda, który śmiał się, całował jej dłonie i coś mówił, ale ona patrzyła tylko na Razwijara osłupiałym, gorączkowym wzrokiem.

Ten przełknął kamyk śliny tkwiący w gardle. Straszliwie chciał krzyknąć: nie! Rozmyśliłem się! Ona jest tylko moja!

— Wierz mi — powiedział szeptem, jakby pokonując nagły ból. — Tak trzeba.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Patrol na skrzydlakach, zapuściwszy się na dalekie rubieże Imperium, nieopodal miasta Pękaty Bór wpadł w zasadzkę.

Kiedy strażnicy rozłożyli się obok niedokończonej strażnicy, żeby odpocząć i coś przegryźć, mag, strzelec i chimajryd napadli nań zniemacka. Gdyby rozpalili ognisko wewnątrz strażnicy, jak na początku zaproponował szczerbaty Warnik, zdążyliby odpalić racę, wypuścić słup czerwonego dymu, wzywając pomocy. Pod ochroną ścian, ostrzeliwując się ze strzelniczych otworów, doczekaliby wsparcia. Ale w środku niedokończonego budynku było ciemno i wilgotno, czuć było pleśnią, za to na łące nad rzeką kusząco zieleń się trawa. Nie posłuchali szczerbatego i drogo za I o zapłacili.

Warnik zginął pierwszy — zabity strzałem między oczy. Przywódcę Krocha ogłuszył z zasadzki mag. Trzeci, pryszczaty Zamaj, wystąpił samotnie z mieczem, przeciwko chimajrydowi i strzelcowi, w tym czasie, kiedy jego własny arbalet leżał daleko w trawie, pod trupem szczerbatego. Atak był tak błyskawiczny i bezgłośny, że głupi skrzydlak, pijący wodę ze strumienia, nawet się nie spłoszył.

— Kładź miecz na trawę.

Tłusty Kroch leżał na plecach, wybałuszając oczy, nie mając siły się poruszyć. Zamaj czuł, jak leje się z niego pot pod koszulą i kolczugą. Kolczugi zostawili na ramionach, tacy twardziele, a hełmy zdjęli...

Miecz wyśliznął się z dłoni. Podszedł chimajryd i związał Zamajowi ręce na plecach. Kazał się i związał nogi. Półczłowiek był jeszcze młody, ale już bardzo rosty i muskularny, ubrany w solidną skórzaną kurtkę z mocowaniami dla krótkich mieczy. Jego pasiasta skóra naznaczona była drobnymi szramami, włosy zaś, wypłowiałe na słońcu prawie do białości, miał ściągnięte z tyłu w krótki warkoczyk.

Nieopodal stał, czekając, strzelec w cienkim, czarnym płaszczu do kostek. Pod płaszczem widoczna była kurtka, poprzeplatana rzemieniami, skórzane spodnie i wysokie buty. Przy boku miał kołczan, w prawej ręce dzierżył wzniesiony arbalet, za plecami zaś rękojeść długiego miecza. Zamaj wpatrywał się w jego twarz i pot po jego plecach pociekł dwukrotnie szybciej, strzelec był bowiem półkrwi Heksem.

Ten sam, zakołatało mu w głowie. Ten sam. A my zasiedliśmy do jedzenia i picia... My, imperatorscy strażnicy, bądź przekłety Krochu. To on był naczelnikiem, to on jest odpowiedzialny...

Za omszałego kamienia wyszła i stanęła przy Heksie, wysoka, chuda dziewczyna. Miała odkrytą głowę i krótkie, nierówno podstrzyżone włosy. Ubrana była w taki sam czarny płaszcz, nałożony na szarawą, chłopską sukienkę. Na szczupłym palcu ciemniał pierścień, wystrugany z drzewa. Czarownica, pomyślał Zamaj, tracąc wszelką nadzieję. Żywy z tego nie wyjdzie.

— Już pojmujesz, że żywych was nie wypuścimy — spokojnie powiedział Heks.

Zamaj przytaknął krótkim szarpnięciem głowy.

— To nie powód do smutku — uśmiechnął się Heks.

— Przecież można umrzeć lekko, a nawet w przyjemny sposób.

— Przyjemny to ty... za bardzo... — wystękał Zamaj, patrząc, jak sparaliżowany Kroch wypuszcza bąbelki śliny.

— Twój przyjaciel wszystko słyszy i rozumie, tylko nie może się poruszyć — powiedział Heks. — Nie dogadamy się z tobą, on będzie następny.

Kroch zachrypiał. Zamaj odwrócił wzrok; do dołu płaszcza czarownicy przyczepiły się suche trawki, spod sukienki wystawały męskie sapogi. To za tą smarkulą ganiały patrole nad Strzałką i nad Borem, i nad samym Czarnym Szumem. Widziano ją, jakoby, to tu, to tam, to nawet na Osim Nosie. Przez nią byli usuwani, a nawet karani szanowani, potężni ludzie, zaufani samego Imperatora. To ją od dawna marzył złapać Zamaj. Świetlane perspektywy marzyły mu się wtedy. Kariera, służba w stolicy, ożenek z umiłowaną Gwen...

Jest jeszcze młody, najmłodszy w patrolu. Jest taki młody, że nie zdążył jeszcze niczego i już nie zdąży. Zamaj popatrzył prosto w oczy Heksa, ale nie mógł wytrzymać jego spojrzenia i spuścił wzrok.

— I tak was nakryją — powiedział ze smutkiem. — W służbie Imperatora są dziesiątki magów. Tysiące strzelców. Umrzecie.

— Wszyscy kiedyś umrą — powiedziała dziewczyna mag. Miała zachrypnięty, chłopięcy głos.

Ale nie teraz, zaczął błagać w myślach Zamaj.

Heks podszedł. Lekko trącił butem szczęki naczelnika. Kroch zabalgotał, więc zostawił go i usiadł naprzeciwko Zamaja na miękkiej, sprężystej trawie:

— Nie próbuj kłamać, dobrze? Dowiemy się, jeśli skłamiesz.

Zamaj ciężko oddychał. Zaczął zazdrościć Warnikowi, ponieważ ten umarł, nie zdążywszy poznać ni hańby, ni strachu, nawet nie zrozumiał, dlaczego umiera.

— Gdzie lećcie? — niedbale zapytał Heks.

Zamaj oblizwał wargi. Chimajryd, położywszy się pasiastym brzuchem na trawie, mieszał w kipiącym kotle, przy którym pięć minut wcześniej kucharzył Warnik.

Heks zamknął oczy. Zamaj jeszcze raz spojrzął na niego. I spuścił oczy, jakby się sparzył.

— Jak zwykle — powiedział, nienawidząc siebie za pośpiech w głosie. — Patrolujemy... Odległe granice.

— Niezbyt zaszczytna robota, prawda?

— Lepsza niż... wiele innych.

— Rozkazy?

Zamaj rzucił krótkie spojrzenie na czarownicę.

— Odszukać was. Szczególnie ją. A po tym, jak wy... nas... Nieba nie będzie widać od skrzydeł.

— À propos skrzydeł. Jak kierować tymi ptakami?

— Trzeba się długo uczyć — Zamaj uśmiechnął się żałośnie. — Wy ich... nie utrzymacie. A chimajryda one w ogóle na pięć kroków do siebie nie dopuszczają.

Heks spojrzął na czarownicę, która kiwnęła głową.

— Szkoda — przesłuchujący uśmiechnął się. — Ta pałka, która sterczy przed nim z ziemi... co oznacza?

— To laska poganiacza... Laska w ziemi to znak dla niego, żeby siedzieć i czekać. Skrzydlak słucha tego, kto ma w rękach pałkę. Ale wy i tak go nie utrzymacie... Możecie spróbować, ale lepiej nie — Zamaj szerzej rozciągnął wargi.

— On wierzy w to, co mówi — przez zęby wycodziła dziewczyna.

— Dobrze — Heks kiwnął głową. — Co się dzieje w Nagórze?

— Wojna.

— Imperator do tej pory nie może ujarzmić nowych obywateli?

— Dokładnie nie wiem. Wojska utknęły...

— Co się dzieje w Fier? Dotarł tam Imperator, czy jeszcze nie?

— Nie... Najpierw trzeba ustanowić pokój w Nagórze. — Zamaj zakaszłał i nagle, czerwieniąc się, z pasją zaczął prosić: — Nie musicie mnie zabijać. Wszystko jedno i tak... Będą nas szukać. Uderzą na alarm...

Drżał z pragnienia, aby być przekonującym. Przesłuchujący potarł koniec białego, złamanego nosa.

— Możliwe, że masz rację.

Zamaj zaczął szybciej oddychać. Powietrze było pełne zapachów, pachniała trawa i woda, a białe obłoki to przesłaniały słońce, to wypuszczały je na wolność.

— Mam zamiar się ożenić — powiedział strażnik szeptem.

Heks kiwnął głową:

— Dobrze... Kiedy powinniście wrócić do ptasznika?

— Jutro o świcie.

— Jeśli nie wróćcie... Czy bywa tak, że patrol nie wraca w uzgodnionym terminie?

— Bywa.

— Co może go zatrzymać?

— Ulewa, burza, silny wiatr... Oni poczekają do południa. Potem wyślą ludzi na poszukiwania.

— Ilu?

— Trzy ptaki... Może więcej, ponieważ te okolice uważane są za niebezpieczne. Tutaj przepadł zbuntowany mag.

— Rozumiem — przytaknął przesłuchujący. — Co jeszcze chciałbyś nam oświadczyć? Jakies interesujące wieści, w zamian za które można podarować ci życie?

— Eee... — Zamaj obliznął wargi. — Widzieliśmy Heksów. Zwiadowców. Zabito ich.

— Za co wszyscy tak nie lubią Heksów? — Półkrwiak uśmiechnął się. — Nie wiesz czasem?

— Eeee... — Zamaj zakaszłał. — Ja nie... nie....

— Ty ich lubisz? — Szydził półkrwi Heks.

— Eeee... To nie my ich zabiliśmy, to drugi patrol, z naszego zastępu.

— Gdzie to było?

— Na Żółtej Przecince. Wyszli na odkryte miejsce i...

Przesłuchujący przestał się uśmiechać.

— Tak blisko! Dlaczego, jak myślisz?

— Na bagnach znowu brakuje mięsa. — Zamaj mówił szybko, poufnie, trochę pochyliwszy się do przodu. — Gna ich głód. Zwiadowcy wyszli prawie do samej granicy. Bardzo chudzi. Już tak bywało.

— Oni naprawdę są ludożercami?

Zamaj nie potrafił rozstrzygnąć czy miody Heks drwi z niego, czy rzeczywiście oczekuje odpowiedzi.

— Eeee... Tak.

Przesłuchujący spochmurniał.

— Dziękuję... jak masz na imię?

— Zamaj.

— Dziękuję Zamaj. Gdzie znajduje się wasz ptasznik?

— Biała Góra, pół dnia lotu prosto na południe.

— Tam jest baszta?

— Nie. Tam są kwatery naszego zastępu. Nasz dowódca zawiódł się na magach, po tym, jak ten... jeden z nich tak się skompromitował.

— Wasz dowódca?

— Korunch — Zamaj przełknął ślinę i nie wiadomo, po co, dodał — jest bliskim przyjacielem Krocha. Proszę...

— Tak, tak — przytaknął z roztargnieniem Heks. — On podejmie decyzję, żeby wyruszyć na poszukiwania?

— Tak. On ma daną władzę decyzyjną... od samego Imperatora.

— Co z osadą na Kamiennej Strzałce? — zapytała nagle czarownica. Jej głos oczyścił się, stając się dźwięcznym. — Tam nie wybudowali wieży?

— Jaka... osada? — zapytał Zamaj, domyślając się natychmiast, o czym ona mówi. Dziewczyna od razu wyczuła nieszczerłość, jej ciemne oczy stały się czarne.

— Nie próbuj kłamać.

— Jaska — cicho zwrócił się do niej Razwijar.

Zamaj przełknął ślinę. Osadę, skąd pochodziła zbiegła dziewczyna mag, zmieciono z powierzchni ziemi wiele miesięcy temu. Imperator uznał za niebezpieczne zostawiać przy życiu kilka setek ludzi, którzy stali się świadkami bezkarnego buntu. Zamaj błagalnie spojrzał w oczy Heksa.

— Mów — cicho rozkazał ten.

Zamaj znowu głośno przełknął. Nie uczestniczył w tej karnej ekspedycji.

— Mnie tam nie było — powiedział szeptem. — Ja... nie kłamię. Mnie tam nie było. Ja ich nie... Nie jestem odpowiedzialny za to, co się tam stało!

Dziewczyna poderwała rękę. Zamaj krzyknął, zdawało mu się, jakby jego głowę wsunęto w rozgrzany piec.

— Co?! Co z nimi zro...

I Zamaj umarł, lekko i nawet przyjemnie, ponieważ śmierć była wybawieniem od męki. Heks opuścił arbalet, i ciało strażnika przewróciło się na plecy. U nasady nosa sterczała strzała.

* * *

Przywódcy Krochowi powiodło się gorzej, ponieważ uczestniczył w karnej ekspedycji na Kamienną Strzałkę. Przepytali go szczegółowo, a on, krztusząc się krwią, opowiedział, jak skrzydlaki obniżyły lot i wylądowały w centrum osady. Ludzie stali zbici w ciasny tłum, a jeden unosił nad głową tęczowy papier ze słowami Imperatora, który boleje nad każdym swoim poddanym. Strażnicy nie zaczęli strzelać w imperatorski akt urzędowy, przecież mieszkańcy osady byli obywatelami, chociaż zbuntowanymi. Odczytali wyrok i dopiero potem zabili; wszystkich, którzy sięgali powyżej strzemięcia skrzydlaka. Dzieci i podrostków załadowali na galere, przycumowaną za kamienną mierzeją i wywieźli w niewolę. O małym magu Kroch nic nie wiedział. Najprawdopodobniej przylecieli po niego poprzedniego dnia z samej stolicy. Strażnikom oznajmiono, że osada jest winna buntu. Przywódca spełnia rozkazy, jest na służbie. On tylko wypełnia rozkazy, robi, co mu każą...

Kasza z mięsem, którą mieli zamiar zjeść na obiad ludzie z patrolu, wykipiła i wylała się na ognisko. Zapachniało spalenizną.

W czasie przesłuchania, ręce strażnika rwały darń z korzeniami. W końcu umarł. Jaska patrzyła na niego, dopóki nie minął ostatni skurcz, dopóki ciało nie wyciągnęło się na rozmokniętej w trawie kaszy. Kiedy było po wszystkim, dziewczyna podniosła się i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę brzegu.

Łuks ją dopędził, objął i coś szeptał do ucha. Dziewczyna najpierw starała się wyrwać, ostro, nawet brutalnie, a potem wtuliła się w niego i rozplakała. Łuks, trzęsącą się dłonią gładził ją po

głowie. Razwijar był mu niezmiernie wdzięczny. Chimajryd zrobił to, co należało, tym samym zostawiając jeźdźcowi czas do namysłu.

Podniósł głowę. Obłoki rozciągnęły się po niebie, przyrumienione, w napięciu wygięte jak żagle. Tam, na wysokościach, gnał je silny wiatr. Słońce przedzierało się przez nie i gasło. Powierzchnia wody, o sto kroków od ogniska, połyskiwała ostrymi iskrami.

Nie mógł uwierzyć, że Heksi są tak blisko. Jego plemię i zabójcy jego rodziny. Ludożercy z bladymi, pociągłymi twarzami, z wysokimi kośćmi policzkowymi, z wydatnymi łukami brwiowymi. Sami przeciwko całemu światu, zabijali ich wszyscy, którzy byli dostatecznie silni, by móc to zrobić. Złoci rozgromili flotę Heksów na przedpolach Mirtie i gnali po morzu, aż dobili resztki zastępów na wybrzeżu. Wojska Imperium metodycznie tępiły jaszczurze plemię wszędzie na całym swoim terytorium. Heksi ogryzali opustoszałe wioski i miasta, czasami wygrywali bitwy, ale nigdy — wojny.

Nie byli tępymi dzikusami. Nawet w Imperium wiedzieli, że są oni wytrawnymi rzemieślnikami, a w rękodziele ze skóry i metalu nie mają sobie równych. Nigdy nie uznawali nad sobą niczyjej władzy. Podbici i pozbawieni ziem, zagnani na bagna, jedli żmije i siebie nawzajem, a potem wdarli się do Czarnego Szumu... Piętnaście lat temu.

Razwijar pociągnął dłonią po twarzy. Rozejrzał się. Ciała w srebrzystoczarnych zbrojach walały się wokół dogasającego ogniska. Nieopodal, obok otwartych siodłowych toreb, leżały hełmy z delikatnymi siateczkami z metalowych kółeczek, służącymi do osłony twarzy. Skrzydlak wciąż spacerował po przeciwległym brzegu rzeczki. Obok, wbita w mulisty brzeg, sterczała pałka z gałką.

Jaska ucichła. Łuks kołysał ją jak dziecko i ponad jej czarnymi, spletanymi włosami rozpaczliwie patrzył na Razwijara.

Ten podszedł do nich. Położył jedną dłoń na głowie dziewczyny, a drugą na ramieniu chimajryda.

— Pomścimy ich.

— Ona nigdy nikogo nie pytała — jakby przeprasząc, powiedział Łuks. — Ona...

Razwijar kiwnął głową:

— Zemścimy się. Ale nie należy więcej płakać. Nie należy się też chować. Zaczęliśmy wojnę. Jaska... popatrz na te obłoki.

Podniosła posłusznie ku niebu zaczerwienione oczy w otoczce pozlepianych długich rzęs.

— Pamiętasz, co obiecałem zrobić, jeśli jeszcze raz powiesz mi „nie mogę”?

Z przestraszeniem spojrzała mu w twarz.

— Razwijar... ulituj się nade mną.

— Nie.

Łuks spochmurniał.

— Czego ty chcesz? — rwącym się głosem zapytała Jaska.

— Widziałem maga, który straszną ulewą niemal zmył ze skały ogromny zamek... Łuks także go widział.

Dziewczyna milczała.

— Magowie potrafią władać chmurami. Chcę, żebyś przywołała i rozpętała burzę.

— Ja nie...

Zagryzła wargi.

— Pomyśl o tym — łagodnie powiedział Razwijar.

* * *

Dziewczynka, która wybiegła z domu za swoimi sprawami w jednej, krótkiej koszulce, jęknęła, cofnęła się, przytuliła się do ziemnej ścianki. Chutor krył się przed ludzkimi oczami, pokryte darnią dachy ścieliły się prawie równo z ziemią. Osada przeżyła wiele nieszczęść, ale, widocznie, jeszcze nie wszystkie w swojej historii. Nie wszystkie.

Razwijar przeszedł obok białej w ścianę dziewczynki w dół, do ziemianki. Bez pukania pchnął drzwi. Kobieta pochyłona nad warsztatem tkackim, ze strachem podniosła głowę. Podskoczyła:

— Panowie... Czekaliśmy na was... Ojciec! Straż...

Razwijar odrzucił metalową siatkę, przykrywającą twarz. Weszła Jaska z hełmem pod pachą i Łuks w srebrzystoszarej kolczudze, kolorem bardzo pasującej do pasiastej sierści grzbietu chimajryda. Kobieta straciła dar mowy i opadła za stół, jakby podcięto jej nogi.

Zaskrzypiały plecione drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju. W pośpiechu wszedł mężczyzna, jeszcze nie całkiem stary, ale krępy i przygarbiony jak człowiek, który całe życie spędził pod niskim sufitem. Ujrawszy nieproszonych gości, zamarł.

— To na kogo czekaliście? — Razwijar patrzył na kobietę.

— Na patrol — z trudem przemówił mężczyzna. — Widzieliśmy... Akka widziała, jak polecieli do strażnicy.

— Ucieszyliście się?

— Patrol nas nie cieszy — powiedział mężczyzna, wyduszając z zaciśniętej krtani każde słowo.

— Różnie bywa — Łuks uśmiechnął się. — Chcieliście się nas pozbyć? Oczekiwaliście, że nas nareszcie zlikwidują?

Siedząca kobieta bała się poruszyć. Przed nią na warsztacie leżała delikatna koronka o skomplikowanym, misternym wzorze. Na podstawkach paliły się dwie przezroczyście czarki ze świetlikami, oświetlając pokój i rękodzieło.

— Nie wzywaliśmy strażników — nie zwracając uwagi na Łuksa, mężczyzna patrzył Razwijarowi w oczy. — Teraz wy odejdziecie, a nas zabiją za pomoc zbiegom — jego głos drgnął — spalą chutor i...

— Nie wy pierwsi i nie ostatni — Jaska nagle podniosła głowę wyżej. — Spalili mój dom i dom Razwijara. Dlaczego wasz powinien ocaleć?

Łuks położył jej rękę na ramieniu. Dziewczyna szarpnęła się w tył, przywaliła głową w ścianę, zmrużyła oczy. Tkacze zadrżały wargi.

— Możliwe, że spalą — łagodnie powiedział Razwijar. — A może i nie. Może odejdziemy, a może zostaniemy tutaj. Jedno mogę powiedzieć na pewno: nagrodzimy tych, którzy są nam przychylni i ukarzymy wszystkich pozostałych.

Stał obok tkaczki. Ta skuliła się jeszcze bardziej.

— Akka, piękna robota. Podoba mi się ten wzór.

— Dziękuję — rozpaczliwie wyszeptła kobieta. — Posłuchaj...

Ujął ją za podbródek. Przechylił głowę do tyłu, przytrzymał tak, żeby patrzyła mu w oczy. Spazmatycznie zaczerpnęła powietrza:

— Ty... zgubisz wszystkich. Za co? Czy nie byliśmy... dla ciebie... gościnni?!

— Gościnni? Ty na razie nie. Jeszcze nie. Ale masz szansę.

Jaska odrobinę odwróciła głowę. Popatrzyła na Razwijara, przeniosła spojrzenie na Łuksa. Jej ramiona podniosły się i opadły.

— Przepadliśmy — z przecuciem klęski wyszeptał mężczyzna.

— Jaka ty jesteś piękna, Akka — powiedział Razwijar, spoglądając w zrozpaczone oczy tkaczki. — Chciałbym, żebyś dzisiaj wieczorem nałożyła tę koronkę.

Oczy Jaski zwęziły się. Odwróciła się.

— Możesz trzymać w strachu nasz chutor — przemówił ponownie mężczyzna, patrząc prosto przed siebie. — Może nawet uda ci się raz pobić patrołowych. Ale co... co zrobisz, jeśli przyleci cały zastęp?

— Zastęp? — Razwijar w końcu puścił podbródek tkaczki. — Oczywiście, że przyleci. Ale nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. W lesie pojawili się Heksi. Na Żółtej Przecince, tak powiedzieli strażnicy.

Mężczyzna w milczeniu złapał się za głowę.

— Heksi nas zjedzą, a potem sami zostaną wystrzelani z góry przez patrol — drżącym głosem powiedziała kobieta. Z każdej strony śmierć. A dzieci... Dom... Chutor...

— Śmierć jest wszędzie — niedbale powiedział Razwijar. Mogłaś umrzeć już sto razy; w niemowlęctwie z przeziębienia, w dzieciństwie z głodu, mogłaś utonąć, rozbić głowę, zachorować, powiesić się. Ale do tej pory jesteś żywa. Według mnie, to powód do radości.

W drzwiach stała nieruchomo dziewczynka w krótkiej koszulce. Patrzyła na niego błękitnymi oczami.

* * *

Gospodarz miał rację, rzeczywiście trzymali w strachu cały chutor. Odchodzili, wracali, przeczekując obławy z powietrza. Ściągali daninę w postaci odzieży, jedzenia, oręża i strzał oraz sprzętu. Nocowali w domu Akki wdowy i jej ojca. To był najokazalszy dom ze wszystkich. Nikt nie śmiał sprzeciwić się Razwijarowi — łatwo przejął władzę nad tymi ludźmi. Gdyby zechciał, mógłby zostać wodzem w tym maleńkim chutorze.

I gdyby ich nie prześladowano, nie szukano, nie wypatrywano. Gdyby nie trzeba było tracić czasu i sił na maskowanie, krycie się, kluczenie. Imperatorskie patrole absolutnie nie chciały przeoczyć śladu zbuntowanego maga. Cały Pękaty Bór, wszystkie miasteczka i wioski zostały przeczesane, niby gęstym grzebieniem i tylko na chutor, wciśnięty w ziemię pod samym lasem, do tej pory nie przyszła jeszcze kolej.

Do czasu.

Napad na patrol był niezwykłym zuchwalstwem. Jednak Razwijar wiedział, że tylko atakując można ocalić życie. Ukrywając się, chowając, broniąc — tymi wszystkimi działaniami tylko odwleka się nieunikniony koniec.

W zuchwalstwie był cień ratunku.

* * *

— Zrobiłem wszystko dokładnie. Wszystko według rysunku. Ale nie mam przecież doświadczenia, nigdy wcześniej za coś takiego się nie brałem...

— Dziękuję mistrzu — powiedział Razwijar. — Dawaj, przymierzmy.

Wielkie siodło ze skóry przyśleпки legło na grzbiecie Łuksa. Zaciągnęły się rzemienie pod białym, miękkim brzuchem. Razwijar podciągnął strzemiona, umyślnie starając się nie śpieszyć. Ciasne paski skóry, okrągłe żelazne sprzączki nie poddawały się tak łatwo.

— I jak? — zapytał chimajryda.

— Jeszcze nie wiem — ten obrócił się w prawo i w lewo, jakby chcąc dokładniej przypatrzeć się swojemu ogonowi. — Siadaj, wtedy wszystko się okaże.

Wyszli z warsztatu kaletnika, rzemieślnik pośpieszył za nimi. Na uliczce chutoru, wąskiej ścieżynce wśród porośniętych dachów, Razwijar usadowił się w siodle. Drugi raz w życiu siedział w prawdziwym siodle na grzbiecie Łuksa.

— Tutaj można przymocować bagaż — powiedział kaletnik. — Oto kółeczka. Jeśli będzie potrzeba, broń...

— Będzie potrzeba — przytaknął Razwijar. — Łuks, i jak tam?

— Szorstko. Będzie ocierać. Po pierwsze, potrzebny jest popręg.

Razwijar odwrócił się do kaletnika.

— Nic nie mówiliście o popręgu — wymamrotał ten, blednąc.

— Po drugie — kontynuował chimajryd — trzeba, o tutaj, zmienić kształt... No, zdejmij, pokażę.

— Dużo trzeba zmieniać?

— Sporo.

— Mistrzu — z uśmiechem zwrócił się Razwijar do kaletnika. — Do jutrzejszego ranka cała praca musi być zakończona. Zdażysz?

— Tak — ten powoli pokiwał głową. — Oczywiście.

* * *

Obłoki, kanciaste, postrzępione, cały czas niosły się po niebie. Czuł je, nawet nie patrząc w górę.

— Południowy wiatr.

Jaska przyłgnęła do jego ramienia. Zajrzała w oczy, nagle liznęła jego ucho, śmiesznie łaskoczącym, ciepłym językiem.

Objął ją jedną ręką.

— Razwijar, posłuchaj — zaszepotała, coraz silniej przyciskając się do niego. — Ja... dzisiaj... to było...

Rozumiał. Była dzisiaj bardzo zmęczona, przeżyła zgubę rodziny. Była katem. Wypłakała się jak mogła i teraz chciała po prostu się ogrzać. Słój ze świetlikami oświetlał ciepłym światłem pokój, w którym nie było niczego, oprócz koślawego stołu i materaca, nabitego suchymi liśćmi. Pachniało jesienią. Jaska nie potrzebowała słów. Była niezwykle wrażliwa na dotyk.

— Razwijar...

Wstrzymał oddech. Zrobił wszystko, co mógł? Wszystko. Inaczej nie można. Delikatnie dotknął dłonią jej głowy.

— Dzisiaj chcę, żebyś odeszła.

Trochę się odsunęła. Żałośnie rozchyliła usta.

— Razwijar!

— Idź, Jaska — powiedział z ciężkim sercem.

— Zawołasz tę krowę w koronkach!

Dziewczyna zdawała się teraz młodsza niż w rzeczywistości. Śmiertelnie obrażona dziewczynka.

— Tak. Ona mi się podoba.

Jaska zagryzła wargi i nagle uderzyła go w policzek ręką z rozcapierzonymi palcami. Ostre paznokcie podrapały skórę.

— Nauczyłaś się od Łuksa?

Odkoczyła i poderwała ręce. Spięła się, Razwijarowi zdawało się, że widzi, jak drobne iskry prześlizgują się po jej włosach, które teraz unosiły się nad jej głową.

— O tak — powiedział doznając jednocześnie i goryczy i radości. — Jesteś magiem, groźnym, potężnym magiem. Chcę, żebyś się złościła. Żebyś chciała zabijać. Żebyś sprowadziła burzę.

— Mogę cię zabić — wyszeptała, o wiele mniej pewnie niż zamierzała.

— Oczywiście — kiwnął zachęcająco głową. — Zabij.

Dziewczyna zwlekała. Leniwym ruchem podniósł się z materaca, ruszył ku niej, a ona cofała się, dopóki plecy nie natknęły się na drewnianą ścianę. Jej ręce, wzniesione nad głową, opuszczały się coraz niżej.

— I co, zabiłaś?

Zadrżała. Nie dotykając jej rękami, pocałował ją w usta. Jaska opuściła ręce i zapłakała.

— Wyjdź.

Podeszła do drzwi. Odwróciła się przez ramię.

— Wyjdź. Powiedz jej, że czekam.

— Wezwę burzę! — krzyknęła dziewczyna. — Przeciwno tobie! I największa błyskawica trafi prosto w twoje czoło!

— Wspaniale — wytarł z policzka kropelkę krwi. — A teraz idź.

* * *

Spał wszystkiego kilka godzin, ale znakomicie się wyspał. Kobieta nie zasnęła ani na chwilę. Wyczuł to od razu po jej napiętej pozie. Jak zastygła wczoraj, tak i leżała, nie śmiąc odetchnąć, z gęsią skórką na nagim, smagłym ramieniu.

— Zimno ci?

Jej rzęsy drgnęły. Otworzyła oczy.

— „Jest taki kraj, gdzie kobiety są płynne jak ptasi lot i bezgłośnie jak równinne rzeki — powiedział Razwijar. — Ich mężowie są porywcy i odważni...”. Co się stało z twoim mężem, Akka?

— Chodził łapać ryby nad wielką wodę. Kto to widział, mówi, że porwała go Śmierć.

— Aaa — przeciągnął Razwijar.

Kobieta znowu ze zmęczeniem opuściła powieki.

— Jestem podobny do twojego męża?

— Nie — odezwała się bez namysłu. Potem głęboko westchnęła i wreszcie zmieniła pozę. — Był starszy ode mnie. Spokojny. Dobry.

— A ja jestem młody i zły?

Zamilkła. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego rozdrapanego policzka.

— To ona? Pozwoliłeś na to?

— Oczywiście. To jej prawo.

— Dlaczego tak z nią postępujesz? Ona przecież cię kocha. Wodzi za tobą oczami... Ciągnie ku tobie. Przecież to wiesz.

— Ja też ją kocham. Dlatego nie pozwolę, żeby ją rozstrzelano ze skrzydlaka. Albo żeby ją zarżnęli Heksi. Albo zamęczył głód. Albo wciągnęła pod wodę Śmierć. A przecież nie jestem Imperatorem, żeby na moje pstryknięcie palcami, rozwijały się kwiaty. Trzeba się nieźle nakombinować. Akka spuściła oczy i długo milczała.

— Razwijar — pierwszy raz nazwała go po imieniu.

— Tak?

— Po co ci to? Jestem stara... i wiele lat nikogo nie miałam.

Dotknął wargami jej rzęs. Ledwie zauważalnie zadrżała.

— Niekiedy wierzę, że ty naprawdę możesz nas obronić — wyszeptła z żalnym uśmiechem.

— Jasne — kiwnął głową. — Wierz w to. Tak będzie mi lżej.

* * *

Obłoki stały się rzadsze i niosły się po niebie jeszcze szybciej, szare i szaroniebieskie w porannym świetle. Niziutki zagajnik, otoczony ze wszystkich stron polami, zdawał się mlecznobiały od pajęczych sieci. Ostatniego pająka zabito tutaj wiele tygodni temu.

Łuks siedział na rozścielonym kocu, naciągnąwszy na ramiona płaszcz. Spoglądał to na zagajnik, to na niebo.

— Gdzie ona jest? — zapytał Razwijar.

Chimajryd wolno, jakby od niechcenia, odwrócił głowę.

— Tam. Gdzie drzewa. Nie wychodziła, zauważyłbym.

— Wiatr jest jak przedtem, południowy.

— Słucham?

— Musieli wracać pod wiatr — Razwijar patrzył na niebo, lekko się uśmiechając. — Tak myślą w ptaszniku i będą czekać na nich do południa. A potem, kiedy wylecą na poszukiwania, wiatr poniesie skrzydłaki bardzo szybko. Dotrą tutaj do wieczora.

— Trzeba uciekać — nerwowo powiedział Łuks. — Posłuchaj... nie rozumiem cię.

Rozmówca uśmiechnął się szerzej.

— Do tej pory wszystko, co robiłeś, okazywało się właściwe — po chwili powiedział chimajryd. — Ale pewnego razu, twoje szczęście... Przecież ono może się rozmyślić, Razwijar.

— Mam nadzieję, że nie dzisiaj — przeciągnął się i zarzucił ręce za głowę. — Dlatego, że w takich tarapatach, panie Łuno Księżycu, do tej pory jeszcze nie byliśmy.

Chimajryd potarł szyję i nerwowo przecesał się prawą tylną nogą.

— Jaska! — zawołał Razwijar. — Jaska!

W pajęczych sieciach trzepotały jak małe flagi suche liście i pogubione pióra. Dziewczyna wyszła i zatrzymała się w odległości dziesięciu kroków. Miała na sobie starą sukienkę, była okutana w płaszcz, ale i tak marzła — wargi miała sine, nos, przeciwnie, poczerwieniał. Swoim wyglądem wzbudzała litość, ale patrzyła wyzywająco, prosto w oczy Razwijara.

— Dzień dobry, wasza wysokość — powiedział łagodnie.

Jaska nie wytrzymała i spuściła oczy.

* * *

Mistrz kaletnik pracował całą noc i zdążył zakończyć pracę dosłownie w ostatniej chwili. Razwijar zobaczył panikę w jego oczach, kiedy okazało się, że siodło krzywo leży na grzbiecie chimajryda.

— Zrobiłem dokładnie tak, jak rozkazaliście... Jak narysował wasz... pan Łuks...

Razwijar wyciągnął klingę. Majster zastygł w miejscu nie śmiać nawet się cofnąć, w tym momencie chimajryd, kręcąc się jak w pogoni za własnym ogonem, odezwał się:

— Nierówno zaciągnąłeś! I popręg zjechał!

Razwijar poluzował wszystkie rzemienie i jeszcze raz je ściągnął. Bolały go palce, za to siodło leżało teraz jak ulał. Mistrz nabrał w końcu tchu, choć na czoło wystąpiły mu kropellki potu.

Razwijar dał mu złotą monetę, nie mając pojęcia o jej prawdziwej wartości, wskoczył na siodło i po półgodzinie już mijali niedokończoną strażnicę.

Nad wodą podnosiła się mgła. Na brzegu wały się białe pióra. Skrzydlak, splecany siatką, przykuty łańcuchem do pnia drzewa, wyrwał się i miotał całą noc. W gniewie złamał i rozdeptał łaskę z gałką, ale na nic mu się to nie zdało. Nie był w stanie odlecieć, ponieważ wyrwanie z ziemi stuletniego drzewa było ponad siły, nawet dla tak gigantycznego ptaka.

Zobaczywszy jeźdźca na chimajrydzie, skrzydlak nastroszył pióra i krzyknął, szeroko otwierając dziób.

— Poczekaj — powiedział do niego Razwijar. — Oni przybędą dzisiaj wieczorem.

Łuks nic nie powiedział. Zasady etykiety, podniesione do rangi prawa, nie pozwalały czworonożnemu otworzyć ust, zanim nie zwróci się do niego jeździec.

Ciała strażników, porozsadzane wokół ogniska, były przykryte ciemnymi płaszczami. Z daleka wyglądało to tak, jakby odpoczywali na postojach. Na trójnogu wisiał zakopcony kociołek w zaciekach z kaszy. Nad głowami siedzących postaci krążyły owady.

Tam, w dalekim ptaszniku, już wszczęto alarm. Strażnicy siodłają swoje skrzydlaki — trzy, a może i cztery. Możliwe też, że sam dowódca Korunch poprowadzi oddział. Odpowiedzialna robota. Razwijar przypomniał sobie, że patrolowy, którego z Jaską przepytawali, był bliskim przyjacielem dowódcy. Pryszczaty Zamaj nie kłamał, gotów był zeznać wszystko, co chcieli, w zamian za życie. Miał zamiar się ożenić... Możliwe, że naprawdę kochał narzeczoną?

Łuks przeskoczył przez rzeczkę, nieomal mocząc łapy. Naciskając piętami, Razwijar kazał mu zagłębić się w las. Wcześniej, siedząc na grzbiecie chimajryda, zawsze pamiętał, że jest ich dwóch; teraz, w siodle ze strzemionami, czuł się dziwnie samotny. Towarzysz milczał, podporządkowując się ruchom jego ręki i nie pytał, gdzie i po co idą. Jego łapy stąpały po leśnych wykrotach jak po równej drodze, a Razwijar pochylał się, przepuszczając gałęzie nad głową.

Jak wygląda dowódca Korunch? Zapewne nie jest młody. Jaki miał wyraz twarzy, kiedy zobaczył, że mieszkańcy zbuntowanej osady starają się ochronić za pomocą imperatorskiego dokumentu?

— Tak zdecydowałem — powiedział na głos.

Łuks to przemilczał.

Wiatr, jak przedtem, południowy, huczał, tam na górze, ponad koronami. Tutaj, w lesie, jego porywy były ledwie odczuwalne. Łuks bezgłośnie przeskakiwał przez zwalone drzewa, przypadając do ziemi, przeczołgiwał się pod zwisającymi gałęziami. Czuł kierunki, nie patrząc ani na słońce, ani na gwiazdy, ani na kępy mchu.

Teraz wylecieli, myślał Razwijar. A południowy wiatr niesie ich tutaj.

Wędrowcy zmierzali na północny wschód. Łuks zaczął nerwowo rozglądać się na boki. Nasłuchiwał, szedł wolniej niż wcześniej. Wyszukiwał wijące się dróżki. Razwijar zaciskając pięty nakazał mu iść szybciej. Chimajryd przelotem zerknął na niego przez ramię, ale nic nie powiedział.

Razwijar pomyślał o Jaśce... Nie, nie wolno mu teraz o niej myśleć. Zaczął myśleć o Akce, o tym, jak długo sprzeciwiała się jego władzy i wreszcie się poddała. Przypomniał sobie, jak patrzył nazajutrz jej ojciec, człowiek już niemłody, który wiele doświadczył. Bał się Heksów bardziej, niż najeźdźców i ui skrzydlakach. Wystrzegał się wypowiedzania ich nazwy, żeby nie ściągnąć na siebie nieszczęścia. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Razwijara, pobladł jak śmierć, nie dlatego, że len był uzbrojony, zły i gotowy zabijać. A tylko dlatego, że len był Heksem i broń jego — długi miecz z ciemnym ostrzem należała do Heksów.

Łuks znowu zwolnił. Jego pasiasta skóra drgała w napięciu. Kręcił głową, jego ręce spoczywały na rękojeściach mieczy na pasie.

— Nie wyciągaj broni, dopóki nie powiem — przemówił Razwijar. Chimajryd skorzystał z okazji, uznając jego słowa za zaproszenie do rozmowy:

— Chcesz się z nimi spotkać?! Zabiją nas bez słowa!

— Najpierw i tak trzeba porozmawiać.

— Zdaje mi się — Łuks wstrzymał oddech — że oni nas śledzą. Wiedzą, że tu jesteśmy.

— No i doskonale. Jesteśmy zatem na dobrej drodze. Naprzód, bracie.

I znowu zacisnął pięty na bokach wierzchowca.

Południowy wiatr szumiał nad drzewami, gnał obłoki i niósł oddział na skrzydlakach. Trzy, a może cztery? Każdy trafił strzałą w ruchomy cel. Jedną strzałą. I strzały na wieki pozostaną w ciałach na znak, że odbyła się kazań, a nie walka.

Znowu przypomniała mu się osada w ruinach starożytnego miasta. Jakby tu i teraz na własne oczy ujrzał starca, wysoko nad głowę podnoszącego tęczowy akt. Gdyby wydali Jaskę jak przestępcę, wybaczone by osadzie; wiedział o tym dobrze już dawno. Świadomość tego dotarła do niego, pośród wielu innych, jak błysk na wodzie. Jak plamka światła na błyszczących zielonych liściach.

Podniósł głowę. Chmury na górze rozstały się, wyszło słońce, jaskrawe promienie dotarły do ziemi, pod korony drzew. Przed nimi otwierała się przestrzeń, wolna od podszycia, porośła szaroniebieską trawą. I kiedy Łuks z Razwijarem wstąpili na tę polanę, na ich spotkanie z zarośli, płynnie i zarazem bardzo zwinnie, wyszły stworzenia na dwóch nogach, z trójgraniastymi głowami i takimiż kopytami, o szarozielonej, łuskowatej skórze. Na grzbiecie każdego leżało siodło z przytroczoną włócznią.

Razwijar poczuł, jak Łuksem wstrząsnął dreszcz idący po całym ciele. Pociągnął za ramię na piersi chimajryda, rozkazując mu się zatrzymać, ale ten i bez tego stanął jak wryty.

Jeźdźcy na dwunogich zwierzętach stanęli w szeregu. Było ich, na ile mógł zorientować się Razwijar, nie mniej niż dwudziestu. Siedział bez ruchu, wyprostowany, ze zdziwieniem i strachem dostrzegając w ich twarzach swoje własne rysy.

Naprzód wyszło dwunogie zwierzę, niosące w siodle starca z siwymi i biało–żółtymi, zaplecionymi w warkocze włosami, z rzadką, długą brodą, rozdzieloną na dwie części.

— Półkwiak — odezwał się starzec, dziwnie wypowiadając słowa, które jednak dało się zrozumieć. — Kim jesteś?

— Rjezwi–arr— odpowiedział Razwijar, spoglądając w czarne, przenikliwe oczy starca.

W oczach tych coś się zmieniło. Rozszerzyły się źrenice, ledwie zauważalne na tle ciemnej tęczówki.

— Jak miała na imię twoja matka?

Mignął przed oczami wiewiórczy ogon. I przepadł. Nie wierząc sam sobie, odrobinę marszcząc czoło, odpowiedział:

— Rjezwi–jenna.

Jeźdźcy wymienili się spojrzeniami.

— Jeśli kłamiesz — powiedział starzec — twoja śmierć będzie nadchodziła bardzo długo.

— Nie kłamię — Razwijar podniósł podbródek. — I nie mam zamiaru umierać. W każdym razie nie dzisiaj.

* * *

— Co takiego jest pod tobą?

— Chimajryd.

— Kto cię wysłał?

— Przyszedłem z własnej woli.

Cienkie wargi starca skrzywiły się:

— „Przyszedł” mówi się o pieszach. „Przyszedł” mówi się o mięsie, smarkaczu.

Obóz Heksów obchodził się bez palenisk i osłon. Było to miejsce postoju, pastwisko; dwunogie zwierzęta, które nazywali po prostu „długonogami”, objadały z drzew liście i korę. Całe plemię, mężczyźni i kobiety, żyli w siodle; jedli, załatwiali potrzebę, możliwe, że nawet spali. Nawet miłością zajmują się, nie schodząc z siodeł, pomyślał Razwijar. Jego matka, gdy przybyła do osady, nie umiała przecież chodzić...

— Rjezwi-jenna, skradzione życie. Tamtego roku Cień wskazał na jej dziada... Wiesz, co to takiego Cień, smarkaczu?

— Nie nazywaj mnie smarkaczem — powiedział Razwijar. — Mam imię.

Starzec błysnął białkami oczu. Na Razwijarze nie zrobiło to żadnego wrażenia, za to Łuks pod jego siodłem zadrżał silniej. Byli w lesie pośród milczących ludożerców, pośród łuskowatych, długonogich stworzeń z żółtymi oczami i ciężkimi kopytami, zostawiającymi trójkątne ślady.

— Cień wybiera, kto ma posłużyć za mięso. Był straszny głód. Dziczyna uciekła z lasów. Staliśmy w kręgu i przyzywaliśmy Cień, a on wybrał Gwiera, który był wtedy sławny i silny, miał pięcioro dzieci i dwanaście wnuków, pisał hymny na skórze wrogów. Ale Cień wskazał na niego, a on się nie sprzeciwił i jego dzieci także, oprócz młodszej córki. Wypuściła do lasu jego wnuczkę. Głupia baba, puściła dziecko wierzchem w głuchą noc, głodne, bez nadziei, skazała je na długą, okrutną śmierć. Cały ród Gwiera umarł lekko, my przeżyliśmy i śpiewaliśmy jego hymny wysławiając go. Mam zobowiązanie wobec niego, które spoczywa na wszystkim, co znam, na wszystkim co mogę, i na każdym, kto do tej pory żyje. Jego zaginioną wnuczkę zwano Rjezwi-jenna, miała żelazny pas z wytłoczonym na nim imieniem. Ty nie masz tego pasa?

— Nie — powiedział Razwijar. — Nigdy go nie widziałem.

Starzec przez chwilę patrzył badawczo.

— Chytry półkrwiak — powiedział wreszcie. — Nie miała pasa, sprawdzałem cię tylko. Co się z nią stało? Z dziewczynką?

— Ukąsiła ją wiewiórka — wolno powiedział Razwijar. — I ona sama stała się wiewiórką. I do tej pory biega gdzieś po lasach.

Starzec milczał.

— Czego chcesz? — zapytał wreszcie. — Znowu głodujemy. Dzisiaj zjemy twojego wierzchowca, a tobie damy długonoga, któregoś z młodych.

Łuks zatrząsł się. Starzec wydawał rozporządzenia, jakby zapomniał o nowo przybyłych, j ego słowa zawisły w powietrzu jak topór, a Razwijar milczał, głęboko zamyślony.

— Mam do ciebie prośbę — odezwał się w końcu do starca.

— Jaką?

— Pokaż mi księgi. Chciałbym zobaczyć hymny, które ułożył Gwier, mój pradziad.

Starzec patrzył na niego bardzo długo i uważnie.

— Zdziwiasz mnie — powiedział wreszcie. — Wielu młodych teraz myśli tylko o mięsie. Szczególnie w latach głodu. Jeść i gzić się — oto czego oni chcą, młodzi, urodzeni w siodle, z silnym zadem i pustą głową. Nikt z nich nie uczy się czytać i pisać z własnej woli. Umiesz czytać?

Razwijar nagle przestraszył się, że piśmiennictwo Heksów różni się, podobnie jak wymowa, od alfabetu, którego go uczono.

— Umiem.

Starzec wyciągnął z torby przy siodle skórzaną tubę. Wydobył z niej cienki zwitek, żółtawobrazowy, miękki z wyglądu. Razwijar przełknął: „Heksi piszą swoje księgi na skórze wrogów. To osobliwa, bardzo rozwinięta literatura. Nie tylko uwieczniają zwycięstwa, ale, powiedzmy, układają wiersze. Są bardzo uczuciowi, niekiedy sentymentalni...”

Tak powiedział bibliotekarz z Fier na kilka godzin przed swoją śmiercią. Bibliotekarz był Złotym, z jakiegoś powodu wygnanym z Mirtie. To było strasznie dawno, wiele żyć temu.

Wstrzymując oddech, rozwinął zwitek. Wpadł w panikę. To, co było tam napisane, zdało mu się bzdurą. Słowa nie były rozdzielone przerwami, litery wypisane były to w rzędzie, to w słupku, jakby piszący zatroszczył się przede wszystkim o to, żeby ciasno zapelnąć kartkę. Dopiero po chwili Razwijar rozczytał pierwsze słowo: „Świt...”

Mrużąc oczy, wpatrując się w gęsty tekst, częściowo domyślając się znaczeń słów przeczytał:

„Świt nad zaginionym zagajnikiem

Jesień zaciska kleszcze,

Ale ty bądź silniejszy.

Bądź silniejszy od mrozu,

Bądź silniejszy od straty...”

— „A stanieś się silniejszy od śmierci” — dźwięcznym głosem dokończył starzec. — „Tylko silniejszy”. Myślałem, że kłamiesz i nie umiesz czytać.

Wziął zwitek z rąk Razwijara i ostrożnie włożył z powrotem do futerału.

— Był wielkim człowiekiem, twój pradziad. Nie chcieliśmy dla jego wnuczki takiego losu... Ale wyszło lepiej, niż się spodziewaliśmy. Witaj z powrotem, synu.

„Wypalili las. Wygonili zwierzynę. Przekleństwo wisiało nad nimi i nad nami. Ogień oczyścił to miejsce”.

Powrócili myśliwi. Kilka żmij, kilka chudych pajaków, maleńki ptak, podobny do pisklęcia czerkuna, Heksi naprędce przygotowali mięso na polowej kuchence, jedli żarłocznie. Razwijar bardzo chciał zejść z siodła, nogi zdrętwiały mu zupełnie, ale nikt nie śpieszył z zejściem z wierzchowców. Ten, kto chodzi na swoich nogach jest „mięsem”.

„...I było dużo mięsa. Trzeba było oczyszczać je rytuałami, jak oczyszcza się mięso słabych zwierząt, jedzących trawę”.

Czytał rękopis, zapisany na skórze wroga. Widział, jak w mglistym półmroku, do osady wdzierają się jeźdźcy na dwunogich zwierzętach. W rękach trzymają włócznie i pochodnie. Dachy zajmują się ogniem, kobiety krzyczą. Mężczyźni chwytają za topory i łuki...

„Pożeracze trawy śmieli obnażyć stał przeciw Plemieniu. W te dni zabiliśmy więcej, niż było nam potrzebne, niż mogliśmy zjeść”.

Łuks ledwie radził sobie z dygotaniem i ostatnimi siłami zmuszał się do milczenia. Razwijar wolno odwrócił skrawek znakomicie wyprawionej ludzkiej skóry z kanciastymi, przylegającymi jeden do drugiego, znakami.

Mignęła mu przed oczami przywołana w pamięci twarz rudowłosej dziewczyny, ciotecznej siostry. Rozpłynęła się i przepadła na zawsze. Wyobraził sobie, jak wysoko na niebie, ponad obłokami, lecą na północ skrzydlaki. Trzy, a może i cztery. „Imperator boleje nad każdym swoim poddanym”.

— Na co ty czekasz? — wychrypiął Łuks. Jego przerażenie sięgnęło zenitu: przemówił do jeźdźca pierwszy. — W imię bogini Wof... W imię wszystkiego na świecie... Proszę, UCIEKAJMY!

Heksi zakończyli szybko posiłek i zbrali się wokół starca. Razwijar podniósł głowę, prawdopodobnie nad lasem zbierały się chmury: słońce znikło, chociaż było jeszcze daleko do zachodu.

— Ej, półkrwiaku!

Razwijar wolno podjechał i oddał starcowi zwitek.

— Co jest tam, za lasem? Co tam widziałeś?

— Ludzie — krótko odpowiedział Razwijar. — Granica Imperium.

— Odkryta okolica?

— Pola, zagajniki.

— Po wydarzeniach na Żółtej Przecince nie wyjadę na odkryte miejsce — powiedział jeden z mężczyzn, z łukami brwiowymi podobnymi do zakręconych rogów.

— Pamiętam, chwala Gwierowi, gdzie kończy się las — powiedział starzec, zakręcając na palec połowę swojej rzadkiej brody. — W dawnych czasach nie było tam żadnej granicy... Jer- al, przyprowadź półkrwiakowi dzieciaka Reji, tego z pierwszego miotu. On nosi dobre siodło — wydał dyspozycję, po czym podjechał do Łuksa i nagle uszczypnął go w ramię, żylastą, białą ręką. Ten szarpnął się tak, że Razwijar ledwo utrzymał się w siodle.

— Chimajryd — powiedział starzec z dziwnym wyrazem twarzy. — Dwa razy więcej mięsa. Dużo zdążyłeś przeczytać, Rjezwi-arr?

— Czytałem kronikę. O tym, jak Plemię pojawiło się w Czarnym Szumie w poszukiwaniu swoich wrogów.

Łuks stał struchlały, jakby jego łapy wrosły w trawę. Razwijar na moment zmrużył oczy. Wersy, nerwowo wypisane na ludzkiej skórze, już nigdy nie zatrą się w jego pamięci.

— „Pożeracze trawy śmieli obnażyć stal przeciw Plemieniu — powiedział cicho. — W te dni zabiliśmy więcej, niż było nam potrzebne, niż mogliśmy zjeść”.

Młody Heks podjechał do Razwijara, prowadząc za lejce dwunogie osiodłane zwierzę.

— Dzisiaj nocujemy tutaj — władczo powiedział starzec. — Kobiety, rozpalcie wielki ogień... A ty co, synu, nauczyłeś się kroniki, jak dzieci uczą się hymnów?

Razwijar uśmiechnął się:

— „Świt nad zaginionym zagajnikiem,

Jesień zaciska kleszcze,

Ale ty bądź silniejszy”.

Uniósł się na strzemionach, jakby miał zamiar przeskoczyć z siodła w siodło i w ostatniej chwili usiadł ponownie.

— Jedno pytanie, wodzu. Byłeś wtedy w Czarnym Szumie?

— Prowadziłem Plemię — sucho odpowiedział starzec.

— Napisano o tym w kronice, dalej. Nie pośpieszaj się w czytaniu, nie bądź wolny w działaniu. Przesiadaj się, dzisiaj w czasie kolacji będziemy mieli czas porozmawiać o...

Razwijar pokręcił głową:

— Już nie będziemy mieli czasu.

Jego miecz świsnął, ledwie nie odrąbując Łuksowi ucha. Starzec złapał się za głowę, jakby starał się utrzymać rozsieczoną czaszkę, Razwijar uderzył piętami Łuksa, ale okazało się, że ten był jak sparalizowany. Dopiero po chwili, kiedy wleciały w powietrze miecze Heksów, chimajryd skoczył z miejsca, przeleciał przez gęste zarośla krzewów i runął w las.

Łuks pędził i w biegu modlił się do bogini Wof. Miotał się z boku na bok, obchodząc pnie. Bez siodła i bez strzemion Razwijar już dziesięć razy spadłby z jego grzbietu. Gałęzie uderzały go w twarz, chroniąc oczy, pochylił się do pleców chimajryda, którego nie trzeba było popędzać. Pogoń była całkiem blisko i słychać ją było wyraźnie. Długonogie zwierzęta z łuskowatą skórą prawie nie ustępowały Łuksowi w szybkości i zwinności, a miały większe obycie wśród leśnej gęstwiny, podczas gdy Nagóren dorastał na bezleśnych stokach gór.

Heksi rozsypali się po lesie niczym strzały rzucone z kołczana, chcąc wziąć zbiegów z dwóch stron w kleszcze. Z prawej strony, zza krzaków, wynurzył się jeździec na dwunogim jaszczurze, jego włócznia była skierowana w bok Łuksa. Ten szarpnął się, a Razwijar prawie nie patrząc, zamachnął się mieczem. Włócznia wbiła się w pień pod nogami chimajryda, bo w ostatniej chwili zdążył ją przeskoczyć. Miecz Razwijara przeciął pustkę, a on sam ledwo utrzymał się w siodle. Tam, gdzie przed sekundą był prześladowca, z gęstego poszycia wyrwało się trzech następnych. Trzaskały gałęzie pod trójkątnymi kopytami. Łuks wrzasnął przeraźliwie i rzucił się przed siebie, odbijając się potężnymi łapami od omszałych kamieni, powykręcanych pni, a czasami — zdawało się Razwijarowi — wręcz wzlatując i pędząc w powietrzu.

Heksi znowu rozsypali się w półkole, starając się zamknąć obręczą uciekających. Nie zostawali w tyle, a odległość zdawała się nie zmniejszać. Łuks pędził, pojękując w biegu ze strachu — instynkt wiódł go z lasu na odkryte miejsce.

Razwijar łagodnie naciągnął rzemienie na jego plecach, zmuszając go do skrętu w prawo.

— Nie! — wychrypiął ten. — Nie mogę...

— Tak! — Razwijar ścisnął piętami jego boki. — Rozkaz! Ruszaj!

Bał się, że strach chimajryda weźmie górę nad wolą jeźdźca, ale Łuks zawrócił. Teraz szedł prawie dokładnie na zachód, tam, gdzie wkrótce zajdzie słońce.

Ale słońca nie było widać, niebo nad gałęziami było zaciągnięte chmurami, a południowy wiatr nad wierzchołkami drzew zmienił się na południowo-wschodni.

Łuks zaczął ciężko dyszeć. Pogoń nie zostawała w tyle. Jeśli w pierwszej chwili Razwijar obawiał się, że zaniechają pogoni, teraz stało się dla niego jasne, że nie docenił przeciwnika. Doszło do zabójstwa wodza, do zabójstwa dokonanego przez współplemieńca, któremu okazano zaufanie. Razwijar nic nie wiedział o prawach Heksów stosowanych w podobnej sytuacji, ale im dłużej ciągnęła się pogoń, tym bardziej stawało się jasne, że takie prawa istnieją.

Zalał go pot. Zwierzęcy strach Łuksa, którego zamierzali zjeść, udzielił się także i jemu. Z kolei chimajryd wyczuwszy słabszą wolę jeźdźca, znowu ruszył na południowy zachód — krótszą drogą do brzegu lasu.

Mniej gęsta, wolniejsza przestrzeń wśród pni, zakończyła się. Łuks zaplątał się w krzakach i ledwie się z nich wyrwał, zostawiając na gałązkach strzępki odzieży i kłaczki sierści. Trzask gałęzi pod kopytami prześladowców znacznie się przybliżył. Zdawało się, że dwunogie zwierzęta nie męczyły się wcale.

Razwijar zacisnął zęby. Odział wylądował obok strażnicy. To punkt zbiórki, tam strażnicy zostawiają sobie nawzajem polecenia, tam cały czas szamocze się przywiązany do drzewa skrzydlak, tam siedzą trupy w białych piórach jak w kwiatach...

Szarpnął rzemieniem, nakazując Łuksowi zawrócić.

— Nie! — zawył chimajryd.

— Taak! — Razwijar z całej siły uderzył, zdzielił go w kark. Odległość pomiędzy prześladowcami a uciekającymi z każdą chwilą stawała się mniejsza. Nikt nie strzelał im w plecy. Zapewne prawa Plemienia nakazywały brać przestępcę żywcem.

Spoza gęstych chmur słońce dotknęło horyzontu.

Ledwie uchyliwszy się przed rzuconą włócznią, Łuks wyskoczył na skraj polanki przy samej strażnicy i rzucił się w kierunku rzeki. Heksi wypadli z lasu. Podobnie jak wcześniej, trzymali się łukiem. Zadudniła ziemia pod kopytami, dwunogie jaszczury runęły w dół po stoku wzgórza i, ku przerażeniu Razwijara, wyraźnie nabrały prędkości.

Łuks sforsował rzekę. Z przerażenia włosy sterczały mu dęba, krople zimnego potu zrywały się z czoła, a wiatr rzucał je Razwijarowi w twarz. Przeskoczyli przez trupa strażnika Zamaja i rzucili się dalej w pola, w kierunku chutoru. Heksi, ku jeszcze większemu przerażeniu Razwijara,

nie zwrócili uwagi ani na spętanego skrzydlaka, ani na martwy patrol, parli za zabójcą wodza i nic nie mogło ich zatrzymać.

— Już nie mogę — wychrypiał Łuks i w tym momencie potknął się.

Razwijar pożałował, że nie ma ostróg na sapogach. Z całej siły uderzył towarzysza obcasami.

— Ruszaj! Naprzód!

Łuks wciąż biegł, od jego ust odrywała się spieniona ślina. Tętent kopyt za plecami stawał się coraz głośniejszą muzyką — bum, bum, bum — jakby ścigający ich Heksi byli jedną potworną istotą uderzającą jednym ogromnym kopytem w ziemię.

Razwijar obejrzał się. Wyciągnął miecz, prześladowców było kilka dziesiątków i żaden z nich nie został w tyle, żaden nie miał zamiaru przerwać pogoni.

Ich włosy rozwiewały się niczym chorągwie na ramionach, w oczach była — jak zdawało się uciekającemu półkrwiakowi — ciekawość. Do finiszu pogoni pozostało dosłownie kilka chwil.

„Jesień zaciska kleszcze,

Ale ty bądź silniejszy...”

Zrozumiał, że to koniec. Że Akka umrze razem z innymi i jeszcze jedna osada opustoszeje i zostanie spalona, a on nic nie może na to poradzić. W tym momencie niskie obłoki nagle rozstały się, ukazując błękit, i w odblaskach tego błękitu z nieba opuściły się skrzydlaki.

Nie trzy. Nie cztery.

Dwanaście skrzydlaków z jeźdźcami. Cała drużyna przywódcy Koruncha.

Rytm walących kopyt pomieszał się. Heksi rzucili się w różne strony. Razwijar szarpnął rzemieniami, Łuks potknął się i potoczył po ziemi, a za nim, koziołkując, poleciał jeździec. Wiele razy uczono go padać, ale nigdy w skoku. Przywołał wszystkie swoje umiejętności i całe swoje szczęście, żeby nie skrećić karku.

Miękkie, zaorane pole okazało się twardsze niż kamień. Uderzył głową o ziemię i na jakiś czas stracił przytomność, a kiedy przyszedł do siebie, pozostał w tej samej pozycji, leżąc. Heksi rozbiegli się po polu, a skrzydlaki rozsypały się po niebie. Strzały gradem padały w dół i wlatywały do góry, ziemia była usiana trupami. Dwóch imperatorskich strażników, jeden za drugim, wypadło z siodła i spadali teraz bezradnie machając rękami i nogami.

— Łuks?

Chimajryd leżał z wyciągniętymi rękami i palcami zatopionymi w trawie.

— Żyjesz?!

Półczłowiek jęknął. Poruszył się. Podniósł głowę.

— Leż — wyszeptał Razwijar. — Nie ruszaj się... Cokolwiek by się działo, leż jak martwy!

Podniósł się na kolana. Kości wydawały się całe, jednak to nie miało znaczenia. Choćby z przetrąconym kręgosłupem, choćby z rozbitą głową, Razwijar powinien dostać się do strażnicy.

Ruszył, kulejąc, potem pobiegł. Obok niego mignął oszalały jaszczur bez jeźdźca. Usłyszał świst skrzydeł. Przypadł do ziemi, ale skrzydlak nie gnał za nim — do lasu uciekały rozproszone ostatki oddziału Heksów.

Oddychając z trudem, podniósł się i pobiegł tam, gdzie szamotał się dziko uwiązany skrzydlak, słysząc na niebie krzyki krewnych. Znowu minął martwych strażników. Wpadł do niedokończonego budynku, gdzie na ścianach rosły blade, galaretowate grzyby, gdzie leżało krzesiwo obok petardy — sygnału alarmowego. Stuknął raz i dwa, z trudem złapał iskrę, opuścił do miedzianej czaszy z ostro pachnącym proszkiem...

Proszek zatrzeszczał. Wypełzła pierwsza smużka dym. Pojękując z bólu, czując każdy mięsień w poobijanym ciele, wszedł po kręconych schodach na wieżyczkę, wyjrzał i zamarł.

Skrzydłaki krążyły nad strażnicą. Przywódca Korunch nie przeoczył, oczywiście, ani spętanego ptaka w dole, ani porzrzucanych na widoku trupów z poprzedniego patrolu. Ale

Razwijara przestraszyło co innego — nad polem, tam, gdzie został Łuks, miały się dwa ptaki, ewidentnie wypatrując czegoś na ziemi.

Usiadł na wilgotnej, drewnianej podłodze. Przypomniawszy sobie, jak bił Łuksa, jak go poganiał, aż piana zbierała się w kącikach ust chimajryda.

— Jeśli cię zabiją, ja... — zaczął szeptem i zachłysnął się. — Proszę. No proszę, bogini Wof... Ktokolwiek... Miedziany Królu, niech Łuks przeżyje!

Czerwony, gęsty dym, znak alarmowy, unosił się nad strażnicą. Wezwanie na pomoc zostało wysłane za późno; patrolowi umarli wiele dni wcześniej. Ale znak został wysłany nie do przywódcy Koruncha, ale do Jaski, ukrywającej się w pajęczym zagajniku. „Wezwę burzę! I największa błyskawica trafi w ciebie!”

— Proszę — Razwijar konwulsyjnie splótł palce. — Proszę... szybciej, jeśli on jeszcze żyje.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Skrzydlaki zniżyły się prawie do samej ziemi. Ci z Heksów, którzy jeszcze ostali się wśród żywych — a było ich niewielu — umierali jeden za drugim.

Potem zadął wiatr i zafalowały jak galareta niskie chmury.

Razwijar usłyszał ostry rozkaz, wydany przez najeźdźcę siedzącego na jednym ze skrzydlaków. Nie rozróżnił słów. Ptaki, krążące nad polem, znowu wleciały do góry, jakby podchwycone huraganem. Pojął, że Łuks nie żyje, że wszystko stracone i w tym momencie uderzyła błyskawica i ogłuchł od grzmotu.

Skrzydłak upadł niczym ciśnięty kamień. Wydawało się dziwne, że tak lekki ptak może padać tak szybko. Jeźdźcy wypadli z siodeł i lecieli obok. Ptak i jeźdźcy runęli w pole równocześnie i w tym samym momencie pojawiła się druga błyskawica, łącząc niebo i ziemię.

Lunał deszcz. Ogromne białe ptaki miały się w panice, w zwierzęcym odwiecznym strachu przed mocą natury, jak kilka minut wcześniej miotali się Heksi pod gradem strzał. Nie było słyhać ani komend ani krzyków. Błyskawice rozdzierały niebo jedna za drugą, gromy zlewały się w jeden łoskot, który rozrywał uszy. Pole pokryło się mokrymi ptakami i mokrymi piórami.

Sięgnął po miecz, ale broni nie było, nie było nawet pochwy. Czerwony słup dymu podpierał chmury, przyzywając nie wiadomo kogo, nie wiadomo komu na pomoc. Razwijar wyszedł z budynku i poszedł — pobiegł — w ulewie, do miejsca, gdzie zostawił towarzysza.

Chimajryd leżał na boku, woda ciekła po jego sierści, pozlepianej w strąki.

— Łuks!

W huku wyładowań nastąpiła przerwa. Niebo oczyściło się ze skrzydlaków. Te, które nie zostały stracone, zdołały wyrwać się w górę, nad obłoki.

— Łuks...

Objął go, bojąc się dotknąć sterczącej z ciała strzały. Chimajryd był zimny i mokry.

— Łuks! Proszę! No proszę!

Półczłowiek otworzył oczy. Zamrugał. Rzęsy pozlepiły się w strzałki.

— Zranili cię?! — wykrzyczał Razwijar, cały czas jeszcze głuchy od grzmotu.

— Nie wiem — szeptem powiedział leżący. — Powiedz... Co się stało?

* * *

Odzyskał swój miecz. Obejmując Łuksa za ramiona, niemal zarzucając go na siebie, obchodząc trupy ludzi, jaszczurów i ptaków, dotarł do zagajnika.

— Jaska! Dziewczyny nie było.

— Jaska. Jaskaaa!

Obszedł cały zagajnik i znalazł ją. Leżała nieprzytomna. Wziął ją na ręce, wyniósł na pole, w prześwitach między chmurami pojawiło się wieczorne niebo. Od budynku strażnicy szedł, kołysząc się, człowiek z mieczem w opuszczonej ręce. Razwijar ostrożnie położył Jaskę na ziemi.

Idący z naprzeciwka człowiek zatrzymał się. Jego srebrzystoszara kolczuga była ozdobiona szeregiem symboli, oznaczających zapewne stopień wojskowy, co nie dziwiło, był już bowiem niemłody.

— Przywódca Korunch — z radosnym uśmiechem przemówił Razwijar.

Mężczyzna przeniósł wzrok z jego twarzy na leżącą dziewczynę. Potem na Łuksa. Znowu spojrzał mu w oczy:

— A ty kto? Heks? Czarownik?

— „Imperator boleje nad każdym swoim poddanym”. — Razwijar uśmiechnął się i podniósł swój miecz.

Walczyli w milczeniu, nie tracąc sił ani na wyrafinowane, efektowne obroty i uniki, ani na popisywanie się techniką ciosów. Nie gardzili podstępными wybiegami. Obaj dążyli do celu najkrótszą drogą, a celem była śmierć przeciwnika. Przywódca Korunch poczuł słabość w obronie Razwijara i ruszył do ataku, przyciskając go, zmuszając do cofania się po nierównej, mokrej ziemi, gdzie tak łatwo można było się potknąć. Ten udał, że traci równowagę, w ostatniej chwili pochylił się, prześliznął pod świszczącą w powietrzu klingą i przywódca dostał cios w samą krtani.

Korunch umarł w ciągu kilku chwil — na kolanach, u stóp swojego przeciwnika. Razwijar odwrócił się i zobaczył, że Jaska odzyskała przytomność. Wetknął w ziemię swój zakrwawiony miecz, nachylił się nad dziewczyną i wziął ją na ręce.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ogromną tratwę zalewały fale. Rozpołowione pnie drzew, mocno związane jeden z drugim, to z nagle wznosiły się nad wodą, to pogrążały się w pianie. W centrum tratwy umocowany był statek, bardziej podobny do dwóch, połączonych ze sobą koryt. Nad nim, w miejscu masztu, wznosiło się koło łopatkowe. W wielkim, podwójnym bębnie ponuro chodzili ludzie, wprawiając w ruch, długie, wąskie łopaty. Takie tratwy znakomicie sprawdzają się na wewnętrznych morzach, ale teraz, przy silnym bocznym wietrze i niespokojnej wodzie, chodzącym w kole ludziom było ciężko.

Zbliżała się jesień. Remysz, handlarz drzewem, postanowił zaryzykować ponownie i powtórzyć wyczyn, który w zeszłym roku przyniósł mu bajeczny zysk. Zakupił bowiem towar na brzegach Pękatego Boru, gdzie znakomity las marnuje się bezpowrotnie, gdzie głodny chłop gotowy jest wyrąbać drzewa za kęs czerstwego chleba, gdzie drewno jest tak kusząco tanie, że można przecierpieć, dla przyszłego zysku, długą podróż po zewnętrznym morzu — do samego Osiego Nosa. W zeszłym roku Remysz zaryzykował, wynajął załogę i zarobił tyle, że pozostali handlarze drewnem ledwie nie pogryźli z zawiści swoich wioseł. Drugim razem flisacy dobrali się doskonali, i drzewo trafiło się wspaniałe, ale szczęście odwróciło się od Remysza i teraz spóźnił się z zakończeniem sezonu żeglownego przez Osi Nos.

Co i rusz łamało się koło łopatkowe. Wiatry szczyły, odpychając tratwę do tyłu — na odkrytych wodach była zupełnie niesterowna. Remysz zaczynał pojmować, że w minionym roku po prostu niesłychanie mu się powiodło, że był to jeden przypadek na tysiąc, podarunek od losu i że teraz, z powodu własnej głupoty, stracił ten podarunek i jest całkowicie zrujnowany.

Na wewnętrznym morzu, na dalekich, kamienistych wyspach, za drewno płacono tęczowymi imperatorskimi realami. Tam towar rozpływał się jak masło, a portfel pęczniał, napelniając się pieniędzmi. A tutaj, na bezludnych, lesistych brzegach, drewno było tylko pływającym śmieciem. Załoga utyskiwała, zaczęła szemrać, że nieźle byłoby wcześniej dostać wypłatę.

Znowu złamało się koło. Naprawić je na fali nie było szans. Wymyślając sobie nawzajem i pracując wiosłami, flisakom ledwie udało się zagnać pływający stos drewna do spokojnego, głębokiego portu za Kamienną Strzałką i tutaj Remysz zabrał na okręt pasażerów.

Było ich troje. Chimajryd, od razu zwracający uwagę, panna w czarnym płaszczu i trzeci, wysoki, o bladej twarzy i badawczych, nieruchomych oczach. W jego rysach było coś niepokojąco obcego, Remysz nie mógł dociec, co dokładnie. Flisacy stukali młotkami, wymieniając roztrzaskaną łopatę, kiedy ten z dziwnymi oczami, wybrawszy odpowiedni moment, przeskoczył z mierzei na tratwę.

Remysz, na wszelki wypadek, chwycił za nóż. Handel to niebezpieczne rzemiosło, każdy z jego flisaków umiał także walczyć, wewnętrzne morze roi się od piratów, którzy chcą wyřęczyć cię w sprzedaży twojego drzewa. Pewnie stąpając po gładkich pniach, nieznanemu podszedł bliżej.

— Weźmiesz pasażerów, handlarzu. Płacę złotem.

Pokazał trzy monety. Remysz zamyślił się, rzadko brał na pokład pasażerów. Monety były naprawdę złote, z tych starych, które tłoczyło się w zburzonym mieście długo przed Imperium. Takie pieniądze do tej pory były w cenie.

— Jesteś fartowny? — zapytał Remysz przez zęby.

— Bardzo — bez uśmiechu odezwał się wysoki człowiek.

— A dokąd chcecie płynąć?

— Do portu. Jakiegokolwiek.

Później Remysz dziwił się własnej ustepliwości. Nieznajomy mówił tak spokojnie i pewnie, trzymał się tak władczo, jakby to handlarz prosił go o zajęcie miejsca na tratwie, a on, pasażer, miał zdecydować, czy uszczęśliwić flisaków, czy nie.

— Dobrze, wsiadajcie — powiedział Remysz.

Wysoki człowiek kiwnął głową i wrócił do swoich towarzyszy. Pochylił się w kierunku kobiety, siedzącej na kamieniu, wziął ją na ręce i przeskoczył przez niespokojną powierzchnię wody, rozdzielając brzeg i skraj tratwy. Remysz pomyślał, że nieznajomy jest bardzo zwinny, ale dlaczego — Szuo to wie — nosi tę babę na rękach? Czy ona jest kaleka?

W ślad za nimi wskoczył chimajryd, osiodłany, obwieszony bagażem. Remysz spostrzegł arbalet, przytroczony do siodła i pochwy na bokach półczłowieka. Pokręcił głową, popatrzył na pieniądze w ręce i wrócił do załogi. Robota była żmudna i męcząca, kiedy jedna łopata została wymieniona, okazało się, że trzasnęła druga. Ledwie uporali się z tym; zarządził odpłynięcie.

— Panie, a kogo ty tam wzięłeś? — Starszy flisaków, oderwawszy się od roboty, dopiero teraz zauważył pasażerów. — To ktoś w rodzaju Heksa!

Przekleństwo. Nieszczęścia prześladowały handlarza, stając się coraz bardziej dokuczliwe. Jakim cudem tylko on nie rozpoznał charakterystycznych rysów w wyglądzie nieznajomego? Sam Remysz wyrósł na wewnętrznym morzu, na wyspach, gdzie o Heksach ani słycho, ani widu, ale podróżując po wielkim świecie powinien wiedzieć, że niedopuszczalne jest być tak nieostrożnym!

Pasażerowie usiedli na swoich tobołkach bliżej środka tratwy. Chimajryd leżał na brzuchu, na podścielonym płaszczu.

Jego cienki ogon podrygiwał. Remysz zatrzymał się kilka kroków od nich, dziewczyna przylgnęła do piersi Heksa i mówiła schrypniętym jak u chłopaka, głosem:

— Nie zrozumiesz, dopóki nie odczujesz na sobie. Jeśli nie wiadomo, gdzie góra, a gdzie dół, to jeszcze nie bieda. Ale jeśli wszędzie dół, a góry nie ma w ogóle...

Zacięła się. Heks spojrzał ponad jej głową na Remysza.

— Co cię niepokoi, panie? — zapytał bardzo spokojnym, bardzo chłodnym głosem.

Remysz zakaszłał.

— Jego niepokoi to, że jesteś Heksem — cicho powiedział chimajryd. — Częściowo go rozumiem...

Wysoki odwrócił głowę w kierunku mówiącego, a ten zmieszał się pod jego spojrzeniem:

— Powiedziałem: „częściowo”...

— Słuchajcie, sprawa jest następująca — powiedział Remysz. — Tratwa nie wytrzyma, koło źle naprawione, paskudna pogoda... zbliża się sztorm... oto wasze pieniądze — nie patrząc na Heksa, wyciągnął złote monety. — Proszę wybaczyć, ale... musicie zejść z powrotem na mierzecję.

Mężczyzna ostrożnie odsunął dziewczynę. Podniósł się, Remysz się cofnął. Pasażer był wyższy od niego o głowę. Płaszcz odchylił się na jego piersiach, teraz widoczna była pod nim srebrzystoczarna kolczuga i pochwy na boku; ciemne oczy, pod szerokimi łukami brwiowymi uchwyciły wzrok handlarza jak lepka wstęga muchę.

— Myślałem, że zawarliśmy umowę — powiedział cicho.

— Tak, ale...

— Już raz wyrzucono mnie za burtę. Jeśli teraz ty zechcesz powtórzyć ten czyn, handlarzu, sam, z całą swoją załogą znajdziesz się w morzu. Z poderżniętym gardłem.

Mówił, ledwie poruszając wargami. Wątpliwe, czy nawet jego towarzysze, siedzący bardzo blisko, mogli rozróżnić słowa. Remysz zamarł. Zdarzało mu się przeciwstawiać portowym

złodziejaszkom, morskim rozbójnikom o lepszych lub gorszych manierach, ale człowiek, stojący przed nim, był nieporównywalnie straszniejszy od całej szajki piratów. Remysz zrozumiał to, spoglądając w jego drętwę, czarne oczy.

— Zapłaciłem ci i zapłacę jeszcze — za gościnność — głos Heksa stał się odrobinę łagodniejszy. — Wszystko, co jest mi potrzebne, to to, żeby nas zostawiono w spokoju... i jeszcze piecyk polowy. Masz przenośny piecyk? Dopłacę.

— Tak — cicho powiedział Remysz.

— Co — „tak”?

— Kuchenka polowa... zaraz przyniosę.

* * *

Wiatr ucichł, fale trochę się uspokoiły. Tratwa poruszała się wzdłuż brzegu, ciężko się kołysząc, a Kamienna Strzałka powoli zostawała w tyle. Ruiny starego miasta na horyzoncie zasnuły się mgiełką.

Razwijar siedział, obejmując Jaskę, czując pod płaszczem jej delikatne zebra. Tratwa kołysała się, przypominając boję obok portu w Mirtie, maleńką boję, która uratowała mu życie. Jaska bardziej nasunęła na twarz kaptur. Bała się odkrytego nieba.

— Jednak parszywie jest na tej tratwie — powiedział Łuks. — Jak na golasa na jarmarku... Jaska, ty się nie bój. Może oni już nie przylecą.

— Ja się nie boję — odezwała się przez zęby. Chimajryd westchnął. Westchnienie oznaczało; oczywiście, że się boisz, po co przed nami udawać?

— Ona nie boi się patrolu — powiedział Razwijar.

Dziewczyna drgnęła w jego rękach.

— A czego? — zapytał Łuks.

— Sama powie, jeśli zechce.

Zadrzała. Przycisnął ją do siebie uspokajająco.

Nosił ją na rękach od wielu dni, chociaż dawno nabrała sił i mogła chodzić sama. Nie pozwolił więc jej Łuksowi i ten z każdym dniem stawał się coraz bardziej ponury. Ale Razwijar czuł, nie wiadomo dlaczego, że Jaskę trzeba nosić na rękach.

— To wszystko magia — powiedziała dziewczyna cichym, drżącym głosem. — Sama nie rozumiem, jak. Myślałam, że nic z tego nie wyjdzie... A potem zobaczyłam te ptaki, Heksów, was... I wtedy ziemia i niebo się odwróciły, niebo stało się polem. Stamtąd wyrastały błyskawice jak drzewa. Powoli i pięknie... i boleśnie; rosły, a na każdej gałęzi siedział ptak. A potem ptaki odleciały. Ale tak naprawdę spadały. A ja wiedziałam, że robię coś strasznego i samo niebo rozzłościło się na mnie... za to, że się ośmieliłam. Teraz cały czas zdaje mi się, że ktoś z góry patrzy, szuka mnie... A nie mam się gdzie ukryć.

— Rozumiem — powiedział Razwijar.

— Przecież nie jesteś magiem...

— Nie. Ale kiedy pierwszy raz zobaczyłem Poranek Bez Skazy w jego grobowcu, w podziemiach zamku... ściany jakby się zsunęły. Potem długo bałem się niskich sufitów i wąskich korytarzy.

Zrobiło się cicho. Szumiało morze, skrzypiało koło, przekrzykiwali się flisacy.

— Myślałem, że ty niczego się nie boisz — powiedział Łuks.

Dały się słyszeć ciężkie kroki. Zjawił się handlarz, taszcząc przed sobą ciężką kuchenkę polową na trzech nogach — okrągłą czaszą na ogień, z żelaza i gliny.

— Dziękuję — powiedział Razwijar i dał Remyszowi monetę.

* * *

Słone bryzgi padały na twarz. W półśnie widział Akkę, kobietę z gorączkowo błyszczącymi oczami.

— Wybacz — powiedział do niej. — Dziękuję za gościnę.

Stała, zagroziwszy przejście, nie dając mu wyjść.

— Słucham? — zapytał. Milczała.

Zagryzła wargi.

— Co chcesz mi powiedzieć, Akka?

Wreszcie odsunęła się. Przyłgnęła do ściany.

— Wybacz.

Wyszedł do wąskiego ziemnego przejścia ze schodami wiodącymi do góry.

— Będę o tobie pamiętać — powiedziała Akka za jego plecami.

Odwrócił się.

— Ja także...

Silnie zakolysała się tratwa. Razwijar uniósł powieki. Jaska i Łuks, cicho rozmawiając, siedzieli przy piecyku. Ich oświetlone od dołu twarze sprawiały wrażenie obcych. Zrozumiał, że nastał wieczór, pomyślał, że trzeba wstać i znowu zamknąć oczy.

Strach, który wzbudzał w całym chutorze, przerodził się w pełne szacunku przerażenie. Trzy dziesiątki mężczyzn i kobiet — maleńki, ściśnięty tłum — zamilkł i zamarł, kiedy Razwijar wyszedł z domu i zatrzymał się przed nimi. Kaletnik, stojący bliżej niż wszyscy, nerwowo miał w rękach kraj swojej kurtki.

— Zrobiliśmy jak kazaleś. Heksów zrzuciliśmy w jamę, strażników ułożyliśmy rzędami... i przykryliśmy gałęziami. Ptaki i jaszczury... na razie po prostu porzuciliśmy. Szkoda ptaków...

— Ile ich jest?

— Heksów nie liczyliśmy...

— Ile jest ptaków?

— Dzie... dziesięć.

— Dobrze... Pamiętajcie: na chutor napadli Heksi. To najważniejsze, o czym musicie pamiętać.

Sześciu młodzieńców zgodziło się iść z nim do lasu, nie bacząc na łyzy i zawrodozenia matek. Trzech z nich okazało się doświadczonymi myśliwymi. Błyskawicznie czytali ślady, łapali wiatr i umiejętnie czaili się wśród listowia. Na szczęście wszystkie te zabiegi okazały się niepotrzebne, ponieważ las był pusty. Razwijar wstrzymał buńczucznych towarzyszy, którzy chcieli iść dalej w gęstwinę po rzadkich śladach ocalałych Heksów. Szukał czegoś innego, nie znajdował tego i stracił już nadzieję, kiedy jeden z myśliwych — barczysty syn kaletnika — odkrył kryjówkę pod korzeniami ogromnego drzewa. Korzenie zostały podcięte, pień przechylił się, poddając wysiłkom siedmiu krzepkich mężczyzn. W wykrocie była mogiła; starzec pogrzebany był w siodle, leżał na boku, dotykając twarzą pokrytej łuską szyi swojego długonogiego jaszczura.

Razwijar stał nad grobem kilka minut. Pozostali wśród żywych Heksi byli wciąż głodni, ale poświęcili siły i drogocenny czas na to, żeby pogrzebać wodza zgodnie z wymogiem tradycji. Ich wyobrażenie o tym, co jest „mięsem” a co nie, nawet w tak rozpaczliwej sytuacji pozostawało nienaruszone.

Twarz starca była pożółkła i surowa, oczy miał na wpół otwarte. Zaciskając zęby, Razwijar obszukał jego siodłową torbę i znalazł skórzany futerał.

— Czy to pieniądze? — chciwie zapytał młodzieniec z kędziorkami, najmłodszy wśród ochotników.

— Zamknij się — poradził syn kaletnika...

— ...Razwijar!

Pod nim była tratwa, nad nim ciemne, zaciągnięte chmurami, nocne niebo.

— Chodź jeść — powiedział Łuks.

— Już idę — Razwijar podniósł się, czując każdy zdrewniały mięsień. Strasznie się wymęczył w czasie długiej wędrówki od Pękatego Boru do Kamiennej Strzałki. Martwa osada, rodzinna wieś Jaski, była pusta, a obok wspólnej mogiły, na brzegu, poruszany wiatrem, umocowany był jeszcze jeden tęczyowy akt urzędowy, który głosił:

„Imperator boleje nad każdym swoim poddanym”.

Razwijar spalił ten papier.

Nad tratwą unosił się zapach pieczonej ryby. Piecyk był znakomity, drwa paliły się wolno i równo. Dzisiaj rano Łuks nałowił ryb w strumyku gołymi rękami, Jaska zachowała je, zawijając w liście łopianu i teraz piekła, posypawszy grubo solą. Razwijar jadł, rzucając ości w ogień.

Zupełnie się ściemniło.

— Przyjdzie nam spać po kolei — powiedział chimajryd. — Nie widzę przyczyny, dla której ci flisacy nie mieliby zarznąć nas we śnie, ograbić i zrzucić do morza.

— Oni się boją — powiedziała dziewczyna.

— Czego?

— Nie wiem. Po prostu czuję. Może sami myślą, że my ich zarzniemy i zajmiemy ich tratwę?

— Wielki mi skarb — wyburczał Łuks.

— Tutaj rzeczywiście nie — Razwijar obgryzał rybią głowę. — Ale na wewnętrznych morzach brakuje drzew. Drewno ma wysoką cenę.

— Na wewnętrznych morzach... — zaczął chimajryd i nagle gwałtownie uniósł głowę. — To znaczy, że oni płyną w kierunku Osiego Nosa?

— Tak — potwierdził rozmówca.

— Popłynijmy z nimi — gorąco poprosił Łuks. — Razwijar, co ty opowiadałeś o tym Kwitnącym Rogu, możesz przypomnieć?

Ten uśmiechnął się:

— „Okragły Kieł, nie najdalsza, ale jedna z najpiękniejszych wysp... O świcie ukazała się na horyzoncie, zielona, kwitnąca, otoczona spokojną wodą. Wpłynęliśmy do portu, gdzie już stało wiele statków, gdzie nad górnymi cumami kołysały się latające kule, a odświętnie ubrani ludzie, spacerując po wąskim nadbrzeżu, witali każdy okręt, jakby spotykali znajomych...”.

— Co to takiego górne cumy?

— Nie wiem.

— Jedźmy tam — powiedział chimajryd. — Co ty na to, Jaska?

— Razwijar zdecyduje — z wyraźnym chłodem powiedziała dziewczyna i Łuks speszony zamilkł.

Przez całą noc po bitwie chimajrydowi dokuczało pragnienie. Jeździec co pół godziny podnosił menażkę do jego ust. Dziewczyna prawie do świtu przeleżała cicho, ni to we śnie, ni to w letargu. Nad ranem doszła do siebie i przestraszyła się ciemności. Razwijar rozbudził świetliki w słoju, położył głowę Jaski na swoich kolanach i tak siedział dopóki nie nastał ranek.

Cały dzień nosił ją na rękach, ani na chwilę nie zostawiając samą. Dziewczyna najpierw była bezwolna, potem chwyciła go za szyję, a jeszcze później zaśmiała się:

— Wiesz... jeśli komukolwiek opowiem, że taki potężny żołnierz, wojownik wszech czasów i wszystkich narodów nosił mnie na nocnik...

— To wielki zaszczyt nosić na nocnik potężnego maga — odpowiedział bez uśmiechu.

Tymczasem chimajryd doszedł do siebie po ranach i wstrząsie. Heks kolejny raz zdziwił się, jak szybko wracają mu siły. Rano Łuks ledwo chodził, wieczorem już skądś wrócił, głowę wcisnął w ramiona, ni to przygnębiony, ni to w poczuciu winy.

— Razwijar... Mogę cię prosić na słówko?

Po raz pierwszy tego dnia zostawił Jaskę i wyszedł za towarzyszem do sąsiedniego pokoju. Na warsztacie leżało niedokończone rękodzieło Akki.

— Byłem dzisiaj u kowala... — zaczął Łuks, patrząc w bok. — Zapytałem go, czy może zrobić ostrogi.

— Co ty mówisz?!

— Przeze mnie... Ledwie nie... — zaciął się. — Ty wszystko dobrze zaplanowałeś, ale... strach silniejszy od rozumu. Szczególnie u mnie. A najlepsze lekarstwo na strach, to ostrogi w bokach. Szybki Tancerz, mój brat, miał rację...

Razwijar dotknął jego boku; tam, gdzie pod sierścią można było jeszcze wyczuć starą szramę.

— JA jestem twoim jeźdźcem, czy Szybki Tancerz?

— Ty — pokornie odpowiedział Łuks.

— Nie tknę cię ostrogami. Będę wrzeszczał, bił po głowie, jeśli zajdzie taka konieczność, ugryzę w kark. Ale *ostróg* nie założę. Na darmo niepokoiłeś kowala.

* * *

Tratwa niebezpiecznie potrzaskiwała. Fale wlewały się na jej brzeg, jakby starały się zlizać korę z mocno związanych grubych pni. Piecyk jeszcze się palił.

— Kładź się i zakryj po głowę — Razwijar pocałował Jaskę w ucho.

Chimajryd wyciągnął koce i zajął się rozpakowywaniem bagaży.

— Jeśli jutro przyłeci patrol, niczego nie będę mogła zrobić — dziewczyna ziewnęła nerwowo. — To naprawdę straszne być magiem.

Łuks okrył Jaskę kocem. Okrywając, niby przypadkiem pogładził ją po ramieniu. Nie odpowiedziała ani gestem, ani słowem.

— Mam popilnować? — odczekawszy, zapytał chimajryd.

— Śpij, póki można — odezwał się jeździec. — Ja poczytam.

Łuks odszedł od piecyka w ciemność, na skraj tratwy. Razwijar wyciągnął z siodłowej torby skórzany futerał. Światło padło na pożółkłe rulony z ludzkiej skóry. Opuścił ręce i jakiś czas siedział, po prostu spoglądając na rękopisy. Po co szukał tych okropnych zwojów? Niechby gnily w mogile razem ze starcem...

Łuks wciąż nie wracał. Jaska, z głową ukrytą pod kocem, leżała nieruchomo. Jedna szczególnie wysoka fala rozbiła się o kraj tratwy, podnosząc wachlarz bryzgów, widocznych nawet w ciemności. Razwijar starł z twarzy słone krople, nocą patrol nie zobaczy ani tratwy, ani ludzi na niej. Ile dni muszą jeszcze płynąć pod odkrytym niebem, bez możliwości ukrycia się?

Wstał, i ostrożnie stąpając po kłodach, poszedł szukać chimajryda. Półczłowiek siedział na śliskich kłodach niebezpiecznie blisko wody, cały mokry od czubka głowy po sam ogon.

— Łuks!

Ten otrząsnął się, rozbryzgując krople na wszystkie strony. Razwijar nie widział jego twarzy.

— Postanowiłeś się wykapać? — sucho zapytał Razwijar.

— Nie. Zalała mnie fala — z ponurą miną potarł ucho. — Posłuchaj... ona mnie... jakbym był pustym miejscem.

— Ona cię lubi i ceni.

— Ceni. Tak! Wiele tobołków mogę dźwigać na grzbiecie.
— Łuks — powiedział Razwijar. — Teraz nie jest dobry czas, aby wyjaśniać stosunki między wami. Jest jej bardzo ciężko.
— Wiem — chimajryd nie patrzył mu w oczy.
Razwijar dotknął jego mokrego ramienia.
— Przebierz się. Weź zapasową koszulę.
— Nie jest mi zimno.
— Przebierz się — powtórzył Razwijar. W jego głos wśliznęła się władcza nuta.
Łuks zwiesił głowę i poszedł w kierunku ognia. Przebrał się, rozłożył mokrą odzież na tratwie i usiadł bliżej piecyka, nastroszywszy pasiastą sierść na bokach. Jaska leżała bez ruchu, ale Razwijar domyślił się, że dziewczyna nie śpi.
— Chciałbyś popłynąć tratwą na wewnętrzne morze? — zapytał Razwijar, spoglądając na zwoje Heksów w swoich rękach.
— Tak — Łuks narzucił na ramiona koc. — A ty? Podjąłeś jakąś decyzję?
Ten pokręcił przecząco głową.
— To dlaczego by nie poszukać miejsca, gdzie moglibyśmy spokojnie żyć? — Chimajryd wyciągnął ręce w kierunku piecyka. — Jaska powinna zapomnieć... o tym wszystkim, uspokoić się, zamieszkać w swoim domu...
— Zając się rękodziełem — doszło spod koca. Głos dziewczyny był schrypnięty i szyderczy.
Łuks westchnął. Żałośnie zerknął na rozmówcę, jakby mówił: „Ot, widzisz”.
— Dlaczego nie śpisz? — zapytał Razwijar.
Jaska wyszła spod koca, cała rozczochrana z gorączkowymi, czujnymi oczami. Przelotnie spojrziała na niebo, przykryła oczy dłonią, jakby chciała ochronić je przed jaskrawym światłem:
— Będiesz czytał? Poczytaj na głos.
— Heksi piszą swoje teksty na skórach wrogów — powiedział Razwijar.
Zamilkła na dłuższą chwilę. Potem odezwała się zmienionym głosem:
— Wszystko jedno. Chcę wiedzieć.

* * *

*On śpiewa twoje hymny.
Żyjesz w jego pieśniach.
Śpiewasz w jego żyłach,
On niesie cię dalej...*

Czytał całą noc, rozszyfrowując poplątane wersy, podnosząc zwoje blisko oczu. Tratwa kołysała się, szumiało morze. Łuks leżał obok, przytuliwszy się do Razwijara wysychającym bokiem.

*Płatek na wodzie,
Siodło mojej pamięci.
W siodle zacznę nowy dzień,
I jutro wszędzie słońce.*

Po przeczytaniu, Razwijar miał zwój i przeciskając przez szczelinę pod daszkiem piecyka, rzucał na tłący się węgiel. Pojawiały się jęczyczki płomieni, jaśniało, ogień odbijał się w otwartych oczach chimajryda i Jaski.

Skóra trzeszczała, skręcając się. Rozlewała się czerń, pochłaniała litery.

— „Przeprowadź wroga przez mękę tak, żeby dożył do następnego świtu. Umrze wedle twojej woli, nie swojej. To jego ostatnie ponizenie za życia...”. Czytać?

— Czytaj — odpowiedziała ledwie słyszalnym głosem dziewczyna.

O świcie obłoki uniosły się nad horyzontem jak miraż miasta Mirtie. Trójka wędrowców siedziała, przytulona do siebie, grzejąc się wzajemnie.

— Razwijar... Pomyślałam sobie jedną rzecz... Mogę powiedzieć?

— Powiedz.

— Może Złoci... jak ty o nich opowiadałaś... mają jednak rację? Można ich zrozumieć... Oni wiele razy spotykali się z Heksami twarzą w twarz... Gdyby Złoci nie rozbili armii Heksów w dawnych czasach... Może cały świat byłby teraz inny... a w Imperium... i wszędzie, panowałiby oni?

— A w czym Heksi są gorsi od Złotych? — ostro zapytał Razwijar. — I w czym są gorsi od przywódcy Koruncha i jego strzelców?

— Może w tym, że Złoci nie jedzą ludzi — ponuro powiedział Łuks. — A imperatorscy strażnicy nie piszą wierszy na ich skórze.

— Dlaczego wstawiasz się za nimi, Razwijar? — zdziwiła się Jaska. — Przecież to oni zabili twojego ojca i spalili dom! A ty zabiłeś ich wodza i jego żołnierzy podstawiliś pod strzały. Spaliłeś ich rękopisy! Ty nie jesteś Heksem, Razwijar!

— Tak, nie jesteś — jak echo powtórzył Łuks. — Ciebie wychowali inni ludzie, nie jesteś Heksem, dlaczego ich bronisz?

Nie odpowiedział.

Obudzili się flisacy. Wiatr na szczęście był sprzyjający, rozłożono żagiel na krótkim maszcie, ale nieforemna tratwa i tak poruszała się wolno, ciężko grzęznąc w falach. Z każdą chwilą robiło się jaśniej, lada moment powinno pojawić się słońce. Jaska powstrzymywała się, żeby nie patrzeć na niebo, ale i tak spoglądała spod złożonych nad czołem dłoni.

— Jeśli oni przylecą, zasłonisz nas? — cicho zapytał Łuks. Dziewczyna nie odpowiedziała.

* * *

Minęło kilka dni. Wysoki pasażer, w nie do końca jasny dla Remysza sposób, nawiązał zażyłą znajomość z załogą. Ani jego błada, pociągła twarz, ani kolczuga, ani badawcze oczy, nikogo już nie przerażały. Ostrożność i nieprzychylność flisaków, ludzi doświadczonych przez życie i nieufnych, zniknęły w ciągu jednego dnia. Wieczorem wysoki siedział wśród kompanów, którzy rozłożyli się wokół ogniska, gawędził, prawil niewybredne kawały o imperatorskich urzędnikach i o babach, a każdy kawał spotykał się z przyjaznym śmiechem.

— Ot, jaki sprytny młodzieniec — mówili z szacunkiem. — Przydałby nam się taki prowodyr.

Towarzysze Heksa nigdy nie zbliżali się do wspólnego ogniska. Dziewczyna i chimajryd rozmawiali, jedli, spali, oddzielnie. Kilka razy Remysz, obserwując ich z daleka, widział, jak półczłowiek rozpaczliwie stara się pochlebstwami zyskać jej przychylność i jak ta odtrąca go — nie brutalnie, ale stanowczo, chłodno. Zdawała się słaba, trochę szalona, pogrążona w jakimś wewnętrznym świecie, Heks i chimajryd zbudowali jej z koców coś w rodzaju namiotu i w tym ukryciu spędzała większość czasu.

Na pewno jest chora, pomyślał Remysz.

* * *

— Możemy się spóźnić z zakończeniem sezonu żeglownego, tak mówią. Nie wiedzie im się z pogodą. I tak się dziwię, jak ta sterta chrustu płynie jeszcze po morzu i do tej pory nie rozpadła się na części.

— Jeśli się spóźnimy... Razwijar przymknął oczy:

— „Okręt zatrzymał się z powodu uszkodzenia i kapitan zdecydował, wbrew radzie obytych ludzi, przepłynąć cieśninę Osi Nos przed samym zakończeniem sezonu. Opóźnienie przejawiloby się zgubnie na jego portfelu — statek na cały międzysezon znalazłby się na obszarze wewnętrznego morza. Ale pośpiech i nieprzemysłana decyzja mogłyby kosztować życie kapitana, załogi, a także pasażerów... Kapitan rozkazał zwinąć wszystkie żagle, ale było za późno, ze straszną siłą statek ciągnęło w kierunku cieśniny... Nagle marynarz, stojący na burcie, krzyknął — czarna wielopalczysta ręka, podobna do kłębowiska żmij, wystrzeliła z wody, chwyciła nieszczęśnika i marynarz na zawsze...”.

Jaska zadrzała.

— „Podróż na Osi Nos” — zakończył wątek Razwijar.

— Czytałem tylko połowę i nie wiem, kto z tego statku ocalał i jak mu się to udało.

— „Marynarz na zawsze...” Co na zawsze? — szeptem zapytała dziewczyna.

— Nie wiem. Przepadł, zapewne.

— Opowiadano mi bajki o morskich potworach — Jaska popatrzyła na wodę wokół tratwy, jakby widziała ją po raz pierwszy. — Czarna ręka, jakby kłębek żmij... To także bajka?

— Nie, to prawda. Księga o podróży, w której człowiek dokładnie opisał wszystko, co widział.

— I co było potem? Co potem?!

— Nie wiem — przyznał się Razwijar.

Przypomniał sobie zajazd i palenisko, przypomniał sobie beczułkę ze szczapkami i wdowę, która nie czuła bólu. Złożył Miedzianemu Królowi w ofierze księgę, którą gorąco pragnął przeczytać. W zamian Miedzianemu Król dał mu... co?

Przypomniał sobie niezwykłą lekkość i jasność. I uczucie, że stał się bardziej od siebie samego mądrzejszy i silniejszy. Szlachetniejszy. To było jak orzeźwiający łyk wody. Niezrozumiałe pragnienie, które tak długo go męczyło, zostało wreszcie zaspokojone...

— Razwijar, o czym myślisz?

Lekko unióśł brwi. Po raz pierwszy od tego momentu, kiedy oddał w ofierze księgę o podróży na Osi Nos, to znajome, niezrozumiałe pragnienie zagościło w nim na moment.

Przyniósł Miedzianemu Królowi w darze drewnianą wiewiórkę-skrzyneczkę z dwoma czarnymi kosmykami włosów; swoim niemowlęcym i matki — najdroższą rzecz dla ojca, jedyną pamięć o domu i rodzinie. Wtedy zdało mu się, że z góry bije snop światła, zobaczył wyraźnie każdy liść, każdą trawkę i każdy kamień. Co się w nim zmieniło?

Za każdym razem, kiedy składał ofiarę, jakby się budził. Jakby tajał lód skuwający świat i to, co wcześniej było niezauważalne, niezrozumiałe, mgliste, stawało się oczywiste i wyraźne, jak te oto linie na dłoniach.

— Razwijar?

Głos chimajryda przypomniał mu władcę. Czego on chciał? Czego oczekiwał od Miedzianego Króla, kiedy zamek się walił, gotowy runąć w każdej chwili, kiedy połowa strażników zginęła i wyschły strumienie w górach?

— Razwijar — powiedziała Jaska. — Mogłabym poprobać... Z wiatrem.

— Sprzyjający wiatr? — Od razu zrozumiał. — Czujesz się na siłach?

— Łuks ma rację — zerknęła na chimajryda. — Tam, na wewnętrznym morzu jest dobrze... Piękne wyspy... I tam na pewno nie będą nas szukać. Oni myślą, że nie odważymy się wejść tak daleko w głąb Imperium.

Razwijar nie był o tym do końca przekonany, ale póki co się nie spierał.

* * *

Remysz przechadzał się po tratwie, opierając ręce pod boki.

Wypogodziło się, chwała Imperatorowi. Fale uspokoiły się, a wiatr, chociaż niezbyt silny, był prawie cały czas sprzyjający. Załoga stopniowo gnuśniała z braku zajęcia. Wokół ciągnęły się cały czas te same kamieniste brzegi, flisacy grali „w psi ryczki”, a wysoki pasażer to wygrywał wszystko u wszystkich, to tracił całą wygraną po jednej rundzie. Te gry z losem podniecały flisaków ogromnie. Heks przyjmował przegraną bez rozpacz, ponownie siadał do gry i znowu wygrywał, po chwili znowu wszystko tracił.

Starszy flisaków nie podzielał ogólnego nastawienia załogi, podobnie jak Remyszowi, nie podobał mu się ten obcy. W miarę możliwości obciążał swoich ludzi pracą, która odciągała ich od gry i pustej paplaniny, ale wiatr utrzymywał się sprzyjający i głupotą było stawiać w takich warunkach koło, a innego zajęcia dla całej załogi na tratwie nie było.

Pasażer szczególnie silnie zżył się z dwoma flisakami. Młodym, który po raz pierwszy wypłynął w rejs i pochodził, zdaje się, z okolic portu Fier i starszym, otrzaskanym z morzem żeglarzem, który wcześniej pływał na okręcie i za jakiegoś przewinienia został wykluczony z marynarskiej braci. Remysz często widział, jak przesiadują razem i rozmawiają tylko we własnym gronie. Młody wyglądał na mile połączanego, że Heks tak go wyróżnił spośród innych i rozmawia z nim po przyjacielsku. Starszy często się zamyślał, przeczesywał rzadką brodę, niekiedy na jego twarzy malowało się wielkie zdziwienie, ale słuchał pasażera jak łownego sobie, czasami nawet jak starszego — z szacunkiem.

Przepłynęli już więcej niż połowy drogi do cieśniny, kiedy zza chmury wynurzyły się trzy skrzydlaki. Ptaki zatoczyły krąg, potem drugi, trochę niżej i trzeci. Ich skrzydła wywołały taki huragan, że rzadkie włosy Remysza zaszeleściły niby sucha trawa, a handlarz na całej skórze odczuł mnogość skierowanych z nieba strzał.

Rozejrzał się. Cała załoga była na nogach, flisacy stali, zadzierając głowy; któryś gapił się z dziecięcą ciekawością, inny spoglądał wyraźnie zaniepokojony. Co mogło zainteresować imperatorski patrol na zwyczajnej tratwie handlarza drewnem, która jest widoczna z góry jak otwarta dłoń?

Remysz przypomniał sobie o pasażerach. Niezgrabny namiot, w którym lubiła chować się kobieta, trzepotał na wietrze, machał krajami koców, jakby chciał wzlecieć. Gdzie oni są? Gdzie przekłety Heks i chimajryd, niech ich Szuu rozszarpie?!

Jeden ze skrzydlaków opuścił się tak nisko, że jego skrzydło przecięło wodę. Remysz widział jego błoniaste łapy, przyciśnięte do brzucha oraz skomplikowaną uprząż. Ptak rozłożył skrzydła, Remysz zobaczył trzech strażników w srebrzystoczarnych zbrojach i nagle przypomniał sobie, gdzie taką widział. Przecież w takiej chodził Heks!

Otworzył usta, ni to dusząc się, ni to próbując krzyknąć. W tym momencie skrzydlak wzbił się, dołączył do dwóch innych, patrol zatoczył krąg i wziął kurs na wschód.

— Odlecieli. Słyszysz?!

Razwijar szarpnięciem odrzucił koc. Trzy kroki od namiotu stał handlarz z oczami wielkimi i okrągłymi jak jaja człapaczy. Na widok Heksa cofnął się.

— Co się stało, gospodarzu? — zapytał Razwijar jak potrafił najłagodniej.

Remysz przełknął:

— Patrol...

— Tak, widzieliśmy. Oni nic do was nie mają.

— Ale wy... Gdzie byliście?!

— A gdzie mieliśmy być? — Pasażer uśmiechnął się. — Pod kocem... Zmorzyło nas. Odpoczywaliśmy.

Remysz z ogromną podejrzliwością spojrzął na Łuksa, potem i ni Jaskę, która cały czas leżała skulona i wycierała krople krwi spod nosa.

— Oślepiłem, czy co — wymamrotał zdziwiony handlarz.

— Bywa okazał współczucie Razwijar.

Handlarz zerknął na niego raz jeszcze i odszedł na środek tratwy do koła. Odprowadzili go wzrokiem. Łuks siedział obok Jaski, obejmując ją, gładząc po włosach, a ona nie sprzeciwiała się temu.

— Dzielna dziewczyna — szeptał. — Nigdy ci tego nie zapomnę... już kolejny raz nas ratujesz... Jaska, moja kochana, ocalenie moje...

Razwijar podał dziewczynie manierkę. Jaska napiła się, westchnęła, wierzchem dłoni rozmazała wodę i krew na brodzie.

— Nie mogę dłużej utrzymać wiatru. Nie mam siły.

* * *

Na darmo, oj na darmo Remysz się ożywił. W jedną noc pogoda nagle się zmieniła. Podniosły się fale i zaczął wiać przeciwny wiatr. Flisacy w kole opadali z sił, a i tak wszystkie ich wysiłki pozwalały tylko utrzymać tratwę na miejscu, znosiło ją bowiem na wsteczny kurs. Remysz nakłaniał do przyłożenia się; jeszcze ciut, ciut popracujcie kołem, póki wiatr nie ustąpi. Ale sił brakło, a wiatr wzmagął się coraz bardziej. Tratwę zaczęło cofać.

Minął jeszcze jeden ciężki dzień i handlarz Remysz zrozumiał, że się spóźnił. Teraz nie pomoże nawet sprzyjający wiatr. Tratwę można byłoby już tylko na skrzydłach doprowadzić do Osiego Nosa przed tym, zanim opadnie poziom wody i cieśnina stanie się nie do przejścia.

Nie było nawet co myśleć o zostawieniu tratwy do następnego sezonu — drzewo straci wartość, podgnije, stoczą je korniki i rozgrabią złodzieje. Poza tym rozliczyć się z załogą miał zamiar po tym, jak sprzedane drzewo przyniesie zysk. A czym teraz zapłaci?

Przeciwny wiatr, jakby drwiąc, gnał tratwę z powrotem. Zmęczona załoga nieszczęśliwie się starała. Koło łopatkowe poruszało się ledwie, ledwie. Zapewne flisacy też już wszystko zrozumieli i teraz zrywali się, jakby tu najskuteczniej wyciągnąć od handlarza pieniądze.

Zapłacić bierwionami? Nie wezmą. W ani jednej tawernie nie przyjmą drewna jako zapłaty za posiłek. Remysz miał dom na jednej z pobliskich wysp, tam czekała na niego żona i dwoje małych dzieci. Tam miał odłożoną w kryjówce wydzieloną sumę na czarną godzinę... Nie chciał brać flisaków do podziału zysku, obiecał wypłacić uzgodnioną sumę niezależnie od utargu. Ale co robić, jeśli utargu nie ma?!

Chodząc po tratwie, Remysz spoglądał na prawie nieruchomy brzeg. W którymś momencie zachciało mu się skoczyć do wody i popłynąć wplaw, niech flisacy robią, co chcą z jego majątkiem.

— Płyniemy z powrotem?

Przeklęty Heks podszedł bezgłośnie. Remysz wzdrygnął się, usłyszawszy za plecami jego przymilny głos.

— Gdzie twoje szczęście? — zapytał gorzko.

— Nie ma sprzyjającego wiatru?

— Spóźniliśmy się na koniec sezonu — powiedział handlarz, nieoczekiwanie dla samego siebie. Wcale nie chciał dzielić się swoimi problemami z pasażerem.

— Czy istnieje możliwość sprzedaży drzewa gdziekolwiek na zewnętrznych brzegach? — okazało się, że Heks potrafił bardzo szybko orientować się w różnych sprawach.

— Nie widzę takiej możliwości — powiedział po chwili Remysz.

— Sprzedaj towar mnie.

Handlarz odwrócił się gwałtownie. Obcy patrzył tak samo spokojnie i władczo. Jego zachowanie cechowała obojętność skały zwisającej nad zaludnioną ścieżką.

— Nie musisz chwycić za nóż — powiedział, a Remysz pojął, że trzyma za rękęjście, sterczącą zza szerokiego pasa.

— A masz... pieniądze, żeby kupić tratwę?

— A ile chcesz?

Handlarz zastanowił się. W pułapce, dokąd zagnała go własna awanturnicza natura, nie można było liczyć na zysk. Przeliczył w myślach pieniądze obiecane załodze, dodał wartość towaru, dodał jeszcze trochę... wstrzymał oddech i podał sumę.

Heks lekko się uśmiechnął:

— To dużo, czy mało?

Taka otwarta naiwność poraziła Remysza bardziej niż sama propozycja obcego.

— To... wystarczająco — powiedział sucho. — Ty, jak rozumiem, takich pieniędzy nie masz?

— Będę miał — rozmówca uśmiechnął się szerzej. — Tylko popłyniemy nie do Osiego Nosa, a prosto do portu Fier.

Handlarz drewnem przeklął sam siebie za głupotę. Jeszcze przed chwilą gotów był uwierzyć, że przybysz z dwoma towarzyszami i garścią złotych monet naprawdę jest zdolny kupić całą tratwę. Że jest jakimś zagubionym księciem albo nieślubnym synem Imperatora, albo potężnym magiem. Tak, Remysz bardzo pragnął, żeby los utrzymał go na skraju przepaści, nie dał stoczyć się w dół i przysłał na pomoc maga. Zamiast tego los, uśmiechając się złośliwie, podsunął mu pomocnika bandytów gnieźdzących się w Fier. To wiele wyjaśniało — i strażniczą koleczkę, i dziwnych towarzyszy obcego, i jego sposób bycia.

Zapewne nie był w stanie ukryć wielkiego rozczarowania, ponieważ Heks zmarszczył brwi:

— Nie wierzysz mi?

— W Fier odbywają się inne transakcje — powiedział Remysz, mieląc w ustach słowa jak zgniłe suchary. — Jestem uczciwym handlarzem... i chcę żyć.

— Wzięłeś mnie za kogoś innego — odezwał się pasażer po chwili milczenia. — Mam zamiar zapłacić ci za drzewo i za nic więcej. Decyduj się, tylko szybko. Załoga będzie domagać się swego już dzisiaj, najpóźniej jutro.

* * *

Przeklęty Heks miał rację. Rano następnego dnia załoga zebrała się pośrodku tratwy, a starszy flisaków głośno zapytał Remysza, kiedy, według niego, dotrą do Osiego Nosa.

— Kupiłem tę tratwę, ale nie ja ją prowadzę — ponuro odpowiedział, wpatrując się w spierzchnięte od wiatru, napięte twarze. — Ty jesteś mistrzem flisackim, to ty mi powiedz, kiedy będziemy w cieśninie?

— Nie wcześniej niż ona się zatrzaśnie — odciął się ten.

— Zniosło nas do tyłu prawie o trzy dni drogi! O czym myślałeś, kiedy zabierałeś taką górę drzewa na jeden katamaran ze złamanym kołem? Gdzie miałeś zamiar pływać — w kałuży?!

Starszy flisaków mówił ostentacyjnie głośno i jakby śpiewnie. Remysz mógł dostrzec jego zęby i nawet maleńki jęczyzek, podrygujący głęboko w gardle. Mistrz bez skrupułów przerzucił winę za wszystkie nieszczęścia wyprawy na handlarza. Było jasne, jak Imperatorski blask, że teraz obwini go publicznie i zażąda pieniędzy.

— Widziałeś tę tratwę, kiedy brałeś się do jej prowadzenia — powiedział Remysz, nie podnosząc głosu. — Widziałeś i katamaran i koło. Wzięłeś tę robotę. Wykonuj ją jak należy.

— A ty obiecałeś zapłacić mi za robotę! Mnie i załodze! O to chodzi.

— Obiecałem zapłacić po rejsie.

— Rejs zakończony! Spóźniliśmy się na koniec najwyższego sezonu!

— Jeszcze się nie spóźniliśmy — przez zęby powiedział Remysz. — Gdybyś kręcił kołem, a nie tracił czas na krzyki i gadanie po próżnicy...

— Za późno kręcić kołem! My swoje już wykręciliśmy i teraz chcemy rozliczenia, natychmiast!

Z tłumu flisaków rozległy się dwa, trzy przychylnie głosy. Ludzie stali ramię przy ramieniu, odwracając oczy, żeby nie zetknąć się wzrokiem ze spojrzeniem Remysza. Większość z nich nie była buntownikami. Każdy z nich — prawie każdy — gotów był popłynąć z powrotem.

— Rozliczenie — powiedział Remysz z gromkim śmiechem.

— Oczywiście. Może oczekujecie, że rozsypię się niczym paczka realów? Albo przemienię się w mieszek ze złotem? Skąd wam wezmę pieniądze, jeśli drzewo nie jest sprzedane?!

To był jego błąd. Nawet leniwi i dobrodusznicy flisacy, nawet ci, którzy lubili handlarza i nie życzyli mu źle, uświadomili sobie, że ich oszukano. Na próżno spędzali noce i dni na nieosłoniętej przed wiatrem i deszczem tratwie, na próżno trudzili się w kole — wrócą do swoich rodzin bez grosza przy duszy, a zima za pasem.

Dał się słyszeć szmer. Zacisnęły się pięści. Remysz ze smutkiem zrozumiał, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Bunt podobny był do niesterownej ciężkiej tratwy niesionej falami i wiatrem.

— A co nam do tego, skąd weźmiesz pieniądze? — wykrzyknął ktoś z tylnego rzędu.

— Obiecałeś nam zapłatę!

— Sam sobie spróbuj kołem kręcić!

— A nasze dzieci mają z głodu zdechnąć?!

— Pracowaliśmy na ciebie!

— Niczego nie zarobiliście.

Handlarz aż drgnął z zaskoczenia. Głos dał się słyszeć zza jego pleców. Remysz obejrzał się. Obcy stał, złożony ręce na piersiach. Nie miał płaszcza, srebrzysta kolczuga matowo pobłyskiwała w promieniach zachodzącego słońca. Za plecami sterczała rękojeść długiego miecza.

Pojawienie się przyjaciela po stronie handlarza zmieszało flisaków.

— A tobie co do naszych spraw?

— Co ty, Razwijar?

Zmieszanie zmieniło się w rozdrażnienie.

— A kim ty jesteś? Czego chcesz? Mów, pókiś cały!

— Heks! — krzyknął ktoś z tylnych rzędów.

Pasażer uśmiechnął się. Flisacy speszyli się jeszcze bardziej, a sam Remysz poczuł, jak boleśnie zaciska się jego żołądek.

— Tak, Heks — spokojnie potwierdził pasażer. — Ale nie w tym rzecz. Niczego nie zarobiliście, ponieważ tutaj, pośrodku morza, wasza tratwa jest tylko kupą śmieci. A ja znam miejsce, gdzie za nią zapłacą.

— Tylko nie port Fier — wymamrotał Remysz.

Wszyscy zamilkli. Fier sławny był z korzystnego handlu. Korzystnego i niebezpiecznego.

— Kupię tę tratwę — powiedział Heks. — Zejdę na brzeg i wrócę z pieniędzmi. Może ktoś zechce mi towarzyszyć?

Obrzucił tłum niedbałym spojrzeniem, jakby nie zwracając się do nikogo personalnie, jednakże handlarz zauważył, jak wymienili się spojrzeniem flisacy Jaszma i Kartuz — młody i starszy.

— Kupię tratwę po cenie szanownego Remysza — powtórzył obcy. — Jeśli szanowny Remysz zgodzi się ją sprzedać.

* * *

Nocami port Fier obchodził się bez światła, tylko gdzieniegdzie na ulicach migotały ogniki. Na tratwie handlarza drewnem zapalono lampę sygnalizacyjną. Takie same lampy, lęдлиwe i nikłe, rozsypane były po całym porcie. Tu i tam stały na cumie odcinające się masywnymi sylwetkami wielkie statki, ale więcej było łódek i maleńkich prywatnych tratw — wielu mieszkańców portu wolało nocować na wodzie, mówiono, że naczelnik miasta także. Po zapadnięciu mroku w opuszczonych sklepikach i biurach zasiadali inni gospodarze, nocni baronowie, a straż przeczekiwała „martwe godziny” za murami miasta.

Port migotał ognikami, ale brzeg pogrążony był w ciemności. Trudno było sobie wyobrazić, że tutaj rozpościerało się ogromne miasto, gdzie śpią i czuwają tysiące ludzi. Jaska siedziała na skraju tratwy, krzyżując nogi pod szeroką, chłopską spódnicą.

— Byłeś tutaj kiedykolwiek?

— Tak. Bywałem.

— Tam jest niebezpiecznie — powiedziała Jaska i jej nozdrza rozszerzyły się. — Wielu ludzi... Niespokojnych. Złych. Nie mam ochoty tam iść.

— I nie musisz. Przynajmniej do rana.

— Zostawisz mnie samą?

— Z Łuksem. Nie ma się czego bać.

— To znaczy, że sam pójdziesz na brzeg?!

— Nie sam. Kartuz i Jaszma pójda z mną.

— Ci flisacy? Posłuchaj, Razwijar...

Pocałował ją i wstał:

— Zobaczymy się rano.

Dziewczyna podniosła się w ślad za nim:

— Posłuchaj, jestem przecież magiem! Ja mogę... Dlaczego nie zabierzesz mnie ze sobą?!

Nie mógłby jej tego wyjaśnić, nawet gdyby chciał.

— To sprawa nie dla maga, Jaska. To moja sprawa. Zobaczymy się rano.

Wyswobodził się z jej rąk. Łuks przechadzał się po trawie, chlastając się po bokach pasiastym ogonem, to wypuszczając, to wciągając pazury.

— Do jutra — powiedział do niego Razwijar.

Przez kilka ostatnich dni chimajryd starał się przymilnie albo stanowczo, albo racjonalnie nakłonić jeźdźca do rezygnacji z pomysłu. Wreszcie wpadł w rozpacz i oświadczył, że Razwijar jest uparty jak stara przysłopka i jeśli ma ochotę iść na rzeź po tym wszystkim, co udało im się przeżyć — to niech idzie.

— Do jutra, Łuks.

Ruszył do krawędzi tratwy. Chimajryd dogonił go i położy ciężkie łapy na ramionach Razwijara, a ten ledwie utrzymał się na nogach.

— Co mam zrobić? — Łuks szczyrzył białe zęby. — Jak ciebie, durnia, zatrzymać?!

— Wybór jeźdźca — z przekornym uśmiechem odpowiedział Razwijar. — Dlatego zostanie ci Jaska. Jeśli mnie zabiją, będzie tylko twoja.

Razwijar mówił, uśmiechając się i spoglądając Łuksowi o oczy, łapy opadły z jego ramion. Chimajryd cofnął się, skuliwszy jak uderzony.

— Po co... tak?!

— Nie pleć głupstw — szorstko powiedział Razwijar. — Zobaczymy się rano.

* * *

Kartuz, stary lis, nadał znak lampą. Podpłynęła, plaskając łopatom, małeńka łódka. Razwijar wzdrygnął się mimowolnie. Łódka była kropka w kropkę taka sama jak ta, którą wywieźli go z „Łuski” na rynek niewolników.

Sternik, obrośnięty rudymi włosami niemal po same brwi, bez zbędnych pytań wziął na pokład obcego, Kartuzza i młodego Jaszma. Razwijar przywykł odnosić się do młodego flisaka jak do chłopca, chociaż nie był on młodszy od niego. Jaszma pochodził z okolic Fier, miał w mieście przyjaciół i bardziej niż flisakiem, chciał zostać rozbójnikiem. Jaszma wiele wiedział i jeszcze więcej mówił i czasami z jego paplaniny można było wychwycić pożyteczne informacje.

Kartuz był jednak nieporównanie cenniejszy. Właściwie wszystkie plany Razwijara opierały się na tym człowieku. Jeśli ten nie będzie mógł, albo nie zechce spełnić tego, co obiecał, przejazdka do Fier okaże się tym, czego obawiał się Łuks — bezmyślnym samobójstwem.

Łódka, prawie kwadratowa, zanurzała się głęboko w wodę. Koło łopatkowe pluskało za rufą. W bębnie skakały człapacze pociągowe, dziwnie chude, prawie bez tłuszczu. Obok przesuwwały się ogniki tratw i łódek, bliżej miasta było ich bardzo dużo, ustawiły się na wodzie, sprawiając wrażenie kwartałów wodnego miasta.

Łódka nie zagłębiła się pomiędzy falochrony, którymi był poprzecinany brzeg, tylko podpłynęła do jednego z bocznych cumowisk. Był to długi pomost, właściwie ponton na pustych beczkach. Słupy cumownicze były puste. Na skraju pomostu, między morzem a ziemią, wznosiła się szubienica, na której kołysało się martwe ciało.

— Uch, ty — powiedział Jaszma.

— Zamknij się — wymknęło się Kartuzowi. Razwijar bardzo wyraźnie widział każdą drobną gwiazdkę, wyglądającą przez nieszczelne chmury, każdy ognek migający na wodzie, każdy guzik na odzieży wisielca. W milczeniu oceniał sytuację; Kartuz, który pierwszy wysiadł z łódki, zamienił z przewoźnikiem parę niezrozumiałych słów.

Weszli na pomost, który, chociaż podrygiwał pod nogami, bardziej należał do twardej ziemi niż do morza. Kartuz wszedł po drewnianych schodach i zaprowadził towarzyszy do wąskiego i ciemnego przyportowego zaułka. Razwijar potknął się. Tak przywykł do kołysania tratwy pod nogami, że zdawało mu się teraz, że ziemia się porusza.

Kartuz zapalił ukrytą lampę. Szli — a raczej przedzierali się — przez nocne ulice Fier, z jego szczelnie zamkniętymi okiennicami, zaryglowanymi bramami i furtkami, żelaznymi masywnymi drzwiami. Razwijar próbował przypomnieć sobie, czy nie przechodził tymi ulicami wcześniej, w towarzystwie intendenta Szłopa, ale miasto nocą było zadziwiająco niepodobne do swojej dziennej postaci. Z ciemnych zaułków odprowadzały ich oczy. Razwijar szedł, położywszy dłoń na rękojeści miecza, doskonale rozumiejąc, że od strzału z arbaletu, nie ochroni go żadna kolczuga.

— Stać — powiedział Kartuz. — Czekajcie.

I odszedł gdzieś w ciemność. Razwijar został z Jaszma. Chłopak się denerwował, co i rusz zaczynał gwizdać, potem przerywał gwizd i kręcił głową, jakby go wołali. Nie był zadowolony, że wpłatał się w tę awanturę. Obrzydła, wilgotna i chybotliwa tratwa zdawała się mu przytulnym domem, porzuconym w złej godzinie.

Razwijar pomyślał o Łuksie i pożałował swoich ostatnich słów. Wyobraził sobie, jak on i Jaska patrzą teraz na ciemne miasto, niewidoczne, ale dobrze odczuwalne w ciemności; nocny port Fier, terytorium bezprawia. Powiedział im: „Zobaczymy się rano”. Możliwe, że przecenił swoje siły.

Pomyślał o Jaśce, o jej nietrwalej potędze i jej strachu przed własną magią. „Dlaczego nie zabierasz mnie ze sobą?!”. Wykorzystałby dziewczynę jako oręż i tarczę. Wezwałaby błyskawicę z nieba... I rozeszłaby się wieść o potężnym i zbuntowanym magu, a Jaskę zabito by w ciągu kilku dni — strzałą w plecy, zatrutą strzałą, trującym napojem w kielichu. Razwijar wzdrygnął się, Jaszma zapewne pomyśli, że drzę ze strachu.

Potężny mag powinien być osłonięty ścianą tarcz i częstokołem z włóczni, rozmyślał dalej. Silna magia ustępuje przed wielką, wielka — przed potężną. Ale nawet potężna magia powinna chodzić z rozważą, żeby się nie potknąć i nie rozbić głowy o kamień. Jeśli przeżyje tę noc, nigdy więcej nie poprosi Jaskę o magiczną przysługę. Nigdy.

W ciemnej szczelinie zaułka rozmawiały świszczące głosy. Razwijarowi zdawało się, że rozróżnia głos Kartuz, raz pojednawczy, to znowu rozdrażniony. Rozmowa stała się głośniejsza, w głosie starego flisaka wyraźnie przebijał strach. Coś poszło nie tak albo okazało się, że starych przyjaciół nie ma na miejscu... Albo nie są już jego przyjaciółmi.

Jaszma oblizła wargi. Chuda grdyka poruszyła się.

— Słyszysz... Co to... może pójdziemy?

— Stój — przez zęby rozkazał Razwijar.

Kartuz wrócił. Był zły, jego łysina poczerwieniała, w świetle przyćmionej lampy błysnęły zęby.

— No co? Idziemy... A ty, jeśli nie dasz im czego zażądają — zwrócił się do Heksa — to nas obu do rana na wysypisko rzucają... I ciebie! — Kartuz podniósł za kołnierz Jaszme, który z niepokojem oglądał się na pobliskie ciemne bramy. — Tylko się ruszysz, zastrzelę bez ostrzeżenia... No, idziemy!

* * *

— Dawaj miecz.

W wąskim korytarzu było jasno jak w dzień. Razwijar zmrużył oczy, mężczyzna z rudawą rzadką brodą, z jasnymi włosami do ramion wydał mu się dziwnie znajomy i dobra chwila minęła, zanim Razwijar zrozumiał, że to chimajrydzki jeździec. Nagóren.

Odpiął pochwy.

— Masz jeszcze broń?

Wyjął i oddał noże.

— Jeszcze?

Razwijar pokręcił przecząco głową. Nagóren szybko, sprawnie obmacał jego rękawy i cholewy, lekko powiódł dłońmi po bokach. Zadzwięczała kolczuga.

— Przechodź — powiedział jeździec.

Wszedł do całkowicie ciemnego pokoju, który za dnia zapewne służył jako apteka. Pachniało dziwnie i ostro, ale znośnie, jakimiś miksturami. Zatrzymał się w drzwiach, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Nagóren stał za jego plecami.

— Podejdź tutaj — powiedział ktoś z głębi pokoju.

Razwijar ruszył przed siebie wyciągając ręce. Namacał kraj stołu i wyminął go.

— Siadaj.

Zaczął rozróżniać sylwetki. W pokoju, oprócz niego, było jeszcze dwóch ludzi, nie licząc nagóreńskiego jeźdźca, bezgłośnie dyszącego mu w kark.

Podsunięto mu taboret. Usiadł.

— Jesteś Heksem?

— Tak.

— Jeśli Kartuz zełgał i przyszedłeś tylko, żeby trzepać językiem... Czego chcesz?

— Chciałbym ci coś zaproponować, Now.

Człowiek, siedzący przed nim w ciemnościach, ni to zaryczał, ni to zaśmiał się:

— A kim ty jesteś, żeby nazywać mnie po imieniu? Może znudził ci się język w gębie?

— Nie znudził — ciemność przeszkadzała Razwijarowi, nie widział oczu rozmówcy. — Dopisało mi szczęście, że spotkałem cię dzisiaj. I tobie też dopisało szczęście. Nie chcesz mnie o nic zapytać?

— Jeśli blefujesz, impertynencie, będę długo napawał się twoim cierpieniem — po chwili milczenia powiedział nocny baron. — Oco mam cię pytać?

— Na przykład o to, do kogo należała kolczuga, którą mam na sobie.

— Do kogo?

— Do imperatorskiego strażnika, jeźdźcy dosiadającego skrzydlaka, którego zabiłem niedawno. A przed śmiercią wypytałem o wiele spraw.

— Nieźle — wymamrotał Now. I dodał głośniejsze:

— Przyniosłeś mi ją w prezencie?

— Nie, ponieważ ta jest moja. Ale jeśli chcesz, będziesz mógł mieć ich tyle, ile dusza zapagnie i twoi kamraci także.

— Jesteś szalony — stwierdził Now z nutką zainteresowania.

— Teraz zapytaj, co mi powiedział ten biedny strażnik.

— Cóż powiedział ten biedak?

— A to, że Fier jeszcze nie jest częścią Imperium. Wojska podbiją najpierw ziemie Nagórenów, a dopiero później przyjdą do Fier. To kwestia czasu... A teraz możesz zapytać, od kogo po raz pierwszy usłyszałem o tobie, Now, po śmierci Paznokcia.

— Od kogo?

— Od władcy kamiennego zamku — niedługo przed tym, zanim umarł. Jestem jego następcą. Nazywam się Razwijar.

W ciemnym pokoju zrobiło się cicho.

— W każdym razie ma miecz Heksów — cicho powiedział Nagóren za plecami przybysza. — A kolczuga rzeczywiście *ich*. Zauważyłem.

— Słyszałem to imię — w zamyśleniu powiedział Now.

— Ludzie z zamku... różny los ich spotkał... Mówili, że człowiek o imieniu Razwijar zabił władcę.

— Mieli rację.

— A nie kłamiesz? — zapytał drugi człowiek w półmroku. Miał wysoki, ostry głos.

— O czym? O tym, że Imperator skierował swoje wojska na Fier? O tym, że nie macie szans utrzymać miasta, jeśli Nagóreni się poddadzą i nie zostanie zrekonstruowany kamienny zamek?

Że Fier niezbędny jest sojusz z chimajrydami, a wy siedzicie i czekacie jak syte przyślepki, żeby was wystrzelali ze skrzydlaków? Czy może o tym, że Paznokcia, waszego barona, zabili imperatorscy szpiedzy? Może Kartuz okłamał mnie, kiedy mówił, że i na Nowa nastają?

Razwijar mówił, czując jak płonie mu twarz. Zdarzało mu się ustanawiać władzę nad ludźmi — nad zakłopotanymi, prostodusznymi ludźmi w świetle dnia. Teraz starał się zrobić to samo z nocnym baronem Fier w prawie zupełnej ciemności. Nie widział twarzy Nowa i dlatego nie wiedział, czy ten się roześmieje, rozzłości, czy rozkaże nakarmić nim samojadki.

Cisza była odpowiedzią na jego przemowę. Razwijar wstrzymał oddech i pomyślał o Łuksie i Jaśce.

— Naprawdę zabiłem władcę kamiennego zamku — powiedział ciszej. — Ale tylko dlatego, że on... oszalał po szturmie i starał się mnie zabić. Złożyć mnie w ofierze swoim wymyślonym bogom. Zabiłem go, ratując swoje życie. Ale zanim umarł... zdradził mi pewien sekret. Klucz do zrekonstruowania zamku. Tylko ja, jego następcą, mogę to zrobić.

Wyteżył wzrok, starając się rozróżnić twarze w ciemności. Now i jego wspólnik przysunęli się jeden do drugiego i cicho rozmawiali, Razwijar słyszał szept, ale nie mógł rozróżnić słów.

— Co dokładnie powiedział ci władca?

Wstrzymał oddech. Musi wierzyć w to, co mówi, inaczej przyłapią go na kłamstwie bez żadnego maga.

— Pewien sekret, który mogę wykorzystać, żeby odbudować zamek. W sojuszu z tobą i Fier. Now uśmiechnął się.

— A jeśli wezmę szczypczyki i poproszę, żebyś zdradził sekret właśnie teraz?

— Wtedy zostaniesz bez sekretu, beze mnie i bez zamku — twardo powiedział Razwijar.

— Jesteś pewien?

— Całkowicie. „Przeprowadź wroga przez mękę tak, żeby dożył do następnego świtu. Umrze wedle twojej woli, nie swojej. To jego ostatnie poniżenie za życia”... Niedawno odwiedziłem Heksów, moich krewnych. Sporo się od nich nauczyłem.

I znowu nastąpiła cisza. Razwijar odetchnął głęboko, zmusił się do rozluźnienia mięśni. Powoli wyciągnął ręce, położył je na kolana. Zrobił co mógł, następny ruch należało do Nowa... albo do losu.

Zaszeleścił w ciemności właściciel ostrego głosu. Syczał i mamrotał, pochylając się do ucha herszta i do Razwijara doleciało rozdrażnione: „...takich, jak ten!”.

— Zabawny chłopcze — powiedział po chwili Now. — Co mi proponujesz?

— Sojusz.

— Sojusz smoka i człapacza? — Nocny baron krótko się zaśmiał.

— Nawet smoki nie są nieśmiertelne. Kto wie, kiedy przyda się człapacz?

Obcy głos znowu zaszeleścił w ciemnościach: „Wierzyć... przybyszowi...”.

— Wiem, co robić i to zrobię — powiedział Razwijar, przerywając szepty. — Jeśli oszukuję, możesz mnie zabić.

— Ja i tak w każdej chwili mogę cię zabić — rzucił Now.

— Nawet nie spróbowałeś założyć, że może mówię prawdę? Nawet się nie zastanowiłeś? A nuż naprawdę mogę się tobie przysłużyć jak żaden z twoich bojowników jeszcze ci się nie przysłużył?

Now milczał.

— A może masz własny plan jak zatrzymać Imperatora? To przecież kwestia czasu. Fier zostanie ogłoszone imperatorskim miastem, a woda wokół portu poczerwienieje od krwi. Waszej krwi!

Razwijar zaciął się. Przez moment wydawało mu się, że słyszy w swoich słowach głos władcy. Ciemność dławiła go. Była to ciemność wszystkich ładowni, podziemi i lochów, w jakich przyszło mu kiedykolwiek przebywać. Poczul, że ogarnia go rozpacz; a rozpacz przed obliczem nocnego barona oznaczała śmierć.

Wyobraził sobie, jak na brzegu tratwy pośrodku portu siedzi teraz Jaska i Łuks. Siedzą i patrzą na ciemne miasto Fier.

— Światło — rozkazał Now.

Nagóren za plecami Razwijara chrobotnął czymś, szczęknął. Zapalił się najpierw ogień na końcu knota, a potem na półce zabłysnął duży świecznik, rozganiając ciemność. Razwijar zmrużył oczy. Pokój naprawdę podobny był do apteki. Na stelażach stały butelki z ziołami, w jednej była zamknięta dwugłowa żmija. Przed nim siedział człowiek, około czterdziestoletni, krótko przystrzyżony, z niczym niewyróżniającą się kwadratową twarzą. To był Now. Obok niego stał przyboczny, właściciel ostrego głosu; smagły, z ogorzałą pomarszczoną twarzą, zapewne wcześniej służył na statku. Obaj patrzyli na przybysza: marynarz ponuro, Now — badawczo. Nocny baron miał szare, maleńkie oczy, ich spojrzenie przekłuwało niby igielka.

— Co masz zamiar zrobić? — po chwili milczenia zapyłili Now.

— Najpierw budowa — Razwijar mówił spokojnie i prostymi słowami, nie spuszczać oczu.

— Trzeba kupić wielu krzepkich niewolników. Nająć zdolnych architektów i budowniczych. I jeszcze potrzebne jest drewno, dużo dobrego drewna.

— Skąd my weźmiemy drzewo o tej porze roku?

— Przywiódłem tratwę — odpowiedział niedbale. — Dobre drewno po niskiej cenie. Pozostaje je tylko wykupić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Razwijar bywał już na targu niewolników portu Fier. Wtedy przywieźli go, podrostka, na łódce, wystawili na sprzedaż w szeregu razem z młodymi, silnymi, przyzwyczajonymi do ciężkiej pracy, mężczyznami. Kupiono go, nie spoglądając w twarz, a tylko poszczypawszy muskuły, razem z innymi towarami — węglem, stalowymi posążkami, naczyniami i różnego rodzaju sprzętami — i odprawiono z karawaną na zamek.

Teraz kroczył, szczelnie opatulony w płaszcz, razem ze smagłym Dok-Szertem — byłym marynarzem, prawą ręką nocnego barona Nowa, swoim zdeklarowanym nieprzyjacielem. Now uwierzył Razwijarowi „na zapas” i przeznaczył mu do towarzystwa Dok-Szerta w charakterze pomocnika i nadzorca.

Minął tydzień od momentu, kiedy handlowiec Remysz otrzymał do trzęsącej się ręki mieszek ze złotem. Jaska i Łuks pozostali zamknięci w jednym z lepszych miejskich zajazdów — Razwijar przede wszystkim zatroszczył się o ich bezpieczeństwo.

Nagóren, jeździec służący baronowi, rozpoznał Łuksa. Razwijar nie mógł przewidzieć, w jaki sposób powitają rodacy powrót zbiegłego chimajryda. Ale o Jaskę niepokoił się o wiele bardziej, wybrał odpowiedni moment i powiedział jej na ucho, tak cicho, żeby nawet Łuks nie mógł usłyszeć:

— Nikt. Nie powinien. Wiedzieć. O tobie.

Dziewczyna kiwnęła głową, zrozumiała od razu.

Ludzie Nowa byli obrotni i sprytni. Pieniędźmi i groźbami nocny baron dopiął swego — najlepszy architekt i budowniczy, jakiego tylko można było znaleźć w Fier, zgodził się pomóc w odbudowie zamku. Tratwę Remysza rozebrano na części. Specjalne mechanizmy przeniosły bierwiona z wody na platformę załadunkową, portowi niewolnicy, postępując, kręcili kołowrotem i chodzili w bębnach, wprawiających w ruch bloki. Drzewo załadowano na ogromne wozy z potężnymi stalowymi kołami, zaprzęgnięto rogacze i karawana ruszyła do zamku okrężną drogą. Czekają ich prawie dziesięć dni podróży.

W ślad za pierwszą odprawiono następną karawanę. Szli w niej ludzie Nowa, kilka dziesiątków nieprzyjemnych zbirów, których Dok-Szert nazywał „strażnikami”. Wieźli narzędzia do pracy i prowiant.

Teraz czekało ich jeszcze odprawienie niewolników. Razwijar wolałby powierzyć to zadanie ludziom Nowa i w ogóle nie pojawiać się na rynku, jednak Dok-Szert starał się nie spuszczać go z oczu.

— Pójdiesz — powiedział chłodno. — Now rozkazał, więc pójdiesz.

Oprych nie dowierzał mu. Nie wierzył w sekret zostawiony jakoby przez poprzedniego władcę. I miał całkowitą rację, ponieważ Razwijar blefował.

Heks domyślał się, że w ruinach zamku wciąż żyją ludzie, tego domysły potwierdzały słowa Jaszmy, który wiele dni spędził w okolicach zamku. Był jednym z tych zuchwałych podrostków, którzy zjawili się przy ruinach w poszukiwaniu „różnych cudów”, które można korzystnie sprzedać. I sprzedawali — broń, ryszunek, sprzęty, które zmyła woda. Jaszmy się powiodło, ponieważ znalazł prawdziwy srebrzysty puchar, ale cały jego utarg odebrali mu ludzie Chwata — drugiego pod względem wpływów nocnego barona, wiecznie rywalizującego z Nowem. Jaszma najął się na tratwę, żeby na jakiś czas zniknąć z Fier, był bowiem zbyt nieznaczącą osobą, żeby korzystać z ochrony Nowa i za bardzo naraził się ludziom Chwata, rozkwasiwszy jednemu z nich nos.

Po niektórych szczegółach, które zapamiętał z opowieści Jaszmy, Razwijar wiedział, że młodzieniec nie kłamie. Chłopak naprawdę podchodził blisko do mocno zniszczonego zamku, włożył się po dnie wąwozu, ryzykując, że zostanie zmieciony ziemną lawiną, natykał się na trupy Nagórenów i obrońców zamku, odnalazł puchar, prawie nieuszkodzony, widział czarny dym, podnoszący się z wąwozu, wysoko na stoku... Potem strzelali do niego z wyższych kondygnacji zamku dając nieproszonemu gościowi jednoznaczny sygnał, żeby się wynosił.

Kto mieszka w zamku? Resztki garnizonu? Chimajrydzi? Trzeba będzie ich stamtąd wykurzyć albo spróbować się dogadać. I zrobić to zanim jeszcze przybędą karawany, zanim architekt obejrzy zamek i ogłosi swój werdykt: nadaje się do odbudowy? Nie nadaje się? I wtedy Dok-Szert nakaże Heksowi natychmiast skorzystać z sekretu otrzymanego od władcy...

Ale to będzie potem, powiedział do siebie Razwij ar. Mam czas, żeby się przygotować. Jeszcze kilka dni.

Zaufany Nowa kupował niewolników z podejściem człowieka, który przychodzi na rynek kupić warzywa. Wybierał krytycznie, targował się bez nadmiernego skąpstwa, doskonale znał wszystkich kupców. Z ważnymi handlarzami niewolników wymieniał uścisk dłoni, pomniejszym lekko skinął głową. Każdy starał się mu dogodzić. Razwijar szedł za nim, nisko opuściwszy głowę, żeby nie przyciągać zbędnego zainteresowania i starał się nie rozglądać po bokach.

— Potrzebne są baby — w zamyśleniu powiedział Dok-Szert. — Najmniej pół dziesiątka.

— Oni będą dla ciebie pracować, czy obłapiać się z niewolnicami? — zapytał przez zęby Razwijar.

Dok-Szert zerknął na niego:

— A co, czyżby w twoim sekretnym planie było powiedziane, że bab na zamek nie wolno kupować?

Nie znalazł na to odpowiedzi. Oprych postął chwilę, szczerząc się i wpatrując się w niego, potem odszedł do swoich ludzi; rozporządzał, gdzie odprowadzać już kupionych niewolników. Razwijar stał, kuląc się pod milczącymi spojrzeniami wystawionych na sprzedaż ludzi, gorączkowo wymyślał wyjaśnienie dla Dok-Szerta, dlaczego on, Razwijar, nie pójdzie tam, gdzie sprzedają kobiety i dzieci.

Obok, pod wypłowiałym na słońcu daszkiem, drobny handlarz niewolników starał się sprzedać towar równie pośledniemu posiadaczowi ziemskiemu.

— Tanio proszę! Grosze! A co tam ręka, przecież nogi ma całe! Potrzebny ci do koła łopatkowego, czy do wiosła?

— „Nogi całe”! Popatrz na jego nogi, ledwie nimi powłóczy! Więcej zje niż zarobi!

— On mało je...

— Nie kompromituj się — takich na rynek wystawiać!

— Czekaj, mam jeszcze kilku młodszych...

Chociaż nie chciał patrzeć, jednak odwrócił głowę. Zupełnie blisko, obojętny niczym kłoda drewna, stał w szeregu żywego towaru dziesiątnik Bran. Razwijar poznał go, mimo siwej brody, prawie całkowicie porastającej pokrytą szramami, czerwoną twarz. Mimo nowej blizny na czole, zapewne od uderzenia mieczem. Mimo tego, że prawa ręka dziesiątnika wisiała bezwładnie. Mimo mętnego, nieobecnego spojrzenia.

Podszedł. Milcząc chwycił handlarza za gardło. Ten urwał w pół słowa, szarpnął się, Razwijar uniósł go nad ziemię, gotowy zadusić.

Kupiec, który wcześniej się targował, krzyknął. Jego krzyk podchwyciło kilka głosów, gdzieś świsnął bicz, przywracając porządek. Na rynku niewolników gwałtowne zamieszki nie były nowością, ale miejscowi nadzorcy wiedzieli, jak sobie z tym radzić.

Handlarz chrypiał, majtał w powietrzu nogami, powoli tracił oddech. Razwijar rzucił go na ziemię i wyciągnął miecz. Kłóś zawisł na jego ramionach. Strząsnął obce ręce, nie oglądając się nawet.

— Ej, stój! — krzyknął władczo Dok–Szert. Zatrzymał się. Odwrócił. Ludzie nocnego barona stali półkřęgiem, gotowi do walki, do zabijania. Razwijar zmusił się, żeby schować miecz. Wolno podniósł ręce:

— Wszystko w porządku. Róbcie swoje.

Przyboczny Nowa zmarszczył brwi. Razwijar wytrzymał jego spojrzenie, potem popatrzył na drobnego handlarza, który cały czas jeszcze kulił się w pyle drogi.

— Starzec jest mój, zabieram go. I bądź przekłęty, bydlaku.

* * *

Dzienna kryjówka Nowa znajdowała się w samym centrum miasta, w ogromnej willi otoczonej kamiennym murem. Po ścieżkach sadu chodziły białe i szkarłatne ptaki, w maleńkim basenie leżała słonucha, ryba przemieniająca morską wodę w słodką. Do muru przylegał budynek, będący jednocześnie i koszarami, i tawerną, i domem uciech. Razwijar zażądał oddzielnego pokoju i przyprowadził tam Brana. Ten milczał.

Były dziesiętnik dostał jeść i mógł się umyć, przyniesiono mu też czystą odzież. Razwijar, zajęty pertraktacjami z budowniczym pod bacznym wzrokiem Nowa, odwiedzał Brana trzykrotnie w ciągu dnia. Starzec milczał, chociaż wyraźnie rozumiał skierowane do niego słowa.

Niewolnicy odeszli w kierunku zamku drogą, którą kiedyś przeszedł Razwijar. Przyleciał pocztowy nietoperz z wieścią, że druga karawana — z rzemieślnikami i zbirami — dogoniła pierwszą, tę z drewnem, dwa dni drogi do Kipieli. To był znak dla pozostałych, że pora ruszać w drogę.

Dziesiętnik Bran leżał w swój ej klitce, wyciągnięty na sienniku, patrząc w sufit. Razwijar zaszedł do niego, nie łudzając się, że dawny nauczyciel podejmie rozmowę.

— Wyjeżdżam — powiedział od drzwi. — Jesteś wolny, ponieważ nie wykupiłem cię, tylko odbiłem. Możesz tutaj zostać, nikt cię nie tknie... jakiś czas. Lepiej wyjedź, jak tylko nabierzesz trochę sił. Wyjedź daleko od Fier. Zostawię ci pieniądze...

Zdjął z pasa portfel. Przyćmione światło z maleńkiego okienka grało srebrem na czerni jego kolczugi.

— Zabiłeś go — powiedział nagle dziesiętnik Bran. — Człowieka, który zabrał cię spośród niewolników... wywyższył i obdarzył swoją przyjaźnią.

— Tak — Razwijar opuścił ręce. — Ale nie powiem ci, dlaczego to zrobiłem. To zostanie między mną... a władcą.

Bran pokręcił głową.

— On lubił kobiety. I nigdy nie miał skłonności do chłopców. Kochał cię jak syna, a nie jak kochanka, i...

Razwijar roześmiał się głośno. To było grubiańskie, może nawet przykre, ale nie zdążył nic zrobić, nawet zakryć ust dłonią. Zapewne w całym budynku usłyszano jego nieprzyjemny, urywany śmiech, bardziej podobny do nocnego krzyku jakiegoś drapieżnika.

Żrenice Brana rozszerzyły się:

— Ty się śmiejesz?!

— Jakie zabawne wyjaśnienie — Razwijar wytarł łzy. — Jaki wzruszający powód zabójstwa. Dziesiętniku... Nigdy nie zdołasz wyobrazić sobie, co między nami zaszło. I nigdy się nie dowiesz. Wybacz.

Bran usiadł na sienniku. Różowa blizna na jego głowie napłynęła krwią, Bran nieświadomie powiódł po niej zdrową ręką:

— Młodzieńcze...

I rozkaszał się.

* * *

Czasu było mało. Bran mówił pośpiesznie, krztusząc się i co msz pocierając bliznę. Po śmierci władcy, na krótki czas przejął na siebie dowodzenie, ale twardy grunt pod zamkiem chwiał się, drżały podłogi, ściany pokrywały się siatką spleśnia. Strumienie wyschły, zaczęła się susza, a z nią choroby. Niewolnicy i rzemieślnicy, kobiety, wolnonajemni, rozeszli się, gdzie kio mógł. Wielu ocalało, niektórych pochwycili chimajrydzi. Od zbiegów Nagóreni dowiedzieli się o zgubie władcy i przystąpili do jeszcze jednego ataku. Wdarli się do zamku, Bran walczył u samych bram. Myślał, że umrze w boju, ale na nieszczęście przeżył, chociaż uznali go za martwego. Ocknął się prawie po miesiącu w chacie jakichś pasterzy. Długo mieszkał z tymi ludźmi, którymi wcześniej gardził. Stopniowo wracały mu siły, ale prawa ręka odmawiała posłuszeństwa.

Potem pojawili się łowcy z Fier w poszukiwaniu nowych niewolników. Stanął w obronie pasterzy, którzy w swojej nędzy dzielili się z rannym ostatnim kęsem sera. Znowu go ogłuszyli i przywieźli związanego na bazar, ale nikt nie chciał kupić starego kaleki.

— To kara za tę wyprawę... Za nową granicę — szeptał Bran.

— Pamiętasz ich głowy na pikach? Wszystko, co się z nimi stało i co się stało ze mną, to kara za ten najazd...

W ciasnej klitce nieruchomo stało ciężkie powietrze. Kwadratowe okno, zamiast szkłem było zaciągnięte pęcherzem muszlaka, nie można było przez nie patrzeć na zewnętrzny świat, cedziło światło jak skapą jałmużnę.

— Kto jest teraz w zamku? — zapytał twardo Razwijar.

— Nie wiem. Może ktoś z naszych — Bran boleśnie zmarszczył czoło. — Tam nie ma przecież ani jedzenia, ani wody...

— Woda wróciła — powiedział łagodnie. — Rozmawiałem z jednym szabrownikiem. Widział, że wodospady się odnowiły.

— Może w zamku ostał się jeszcze ktoś z naszych — powtórzył Bran. I jego matowe oczy rozbłysły. — Idziesz... tam?

— Tak. Odbuduję zamek.

— Zabierz mnie ze sobą — schrypniętym głosem poprosił Bran. — Ja... sporo wiem. Pomogę ci.

— Dziękuję — powiedział Razwijar z całego serca.

* * *

Chwilę przed północą zastukał kołatką w drzwi zajazdu „Błękitna Fala”. Nad okuciem znajdował się napis: „Nocą nie otwieramy”, jednak Dok-Szert wytłumaczył Razwijarowi, jak stukać w specjalny sposób.

— Kto tam? — dał się słyszeć przestraszony szept.

— To ja, twoja teściowa — powiedział Razwijar przez zęby. — Pozdrowienia od Nowa.

Zagruchotały zamki i łańcuchy. Drzwi się uchyliły.

— Co z nimi? — zapytał Razwijar sługi, patrzącego na niego z unizonym przerażeniem.

— Śpią...

Po bezgłośnych, kamiennych schodach wszedł na drugie piętro. Zajazd był dobry, solidny, gospodarz wkupywał się w łaski Nowa regularnie i szczerze. O „Błękitnej Fali” mówiono, że jest bezpieczna nawet nocą i od lokatorów nie można było się opędzić.

Dla siebie i towarzyszy wynajął duży apartament z kominkiem, z trzema doskonale urządzonymi pokojami. Nie było tutaj ani kurzu, ani cudzych trofeów z polowań, ani ciężkich kotar, ani zbutwiałych dekoracyjnych poduszek. Gładkie drewno, proste, wygodne meble, umywalki, które na każde wezwanie napełniano ciepłą wodą. Okna, wystarczająco duże, wychodziły na ulicę. Widać było doskonale, kto pojawia się przy frontowym wejściu.

Heks wziął z rąk sługi świeczkę z przezroczystą osłoną.

— Dziękuję. Idź spać.

Służący wziął brzęczącą monetę, pokłonił się i zniknął. Razwijar pchnął drzwi i znalazł się w pierwszej z komnat. Kominek stał pusty i zimny. Zasłonki na oknie były szeroko rozsunięte, z zewnątrz, z ulicy, nie donosił się żaden dźwięk, nie przenikał ani promyczek.

Zaczął nasłuchiwać. Z komnaty po prawej stronie ledwie dawał się słyszeć spokojny oddech.

Uchylił drzwi i po cichutku zajrzał do środka. Na szerokim, niskim łóżku leżał chimajryd, wyciągnięty na całą długość ciała, z opuszczonymi tylnymi łapami. Jaska leżała przytulona do jego miękkiego, jasnego brzucha. Łuks obejmował ją we śnie i ramionami i przednimi łapami. Cieniutkie prześcieradło okrywało do połowy nagie ciało dziewczyny.

Razwijar zamknął drzwi. Kilka chwil o niczym nie myślał tylko patrzył na komnatę, występującą z ciemności naprzeciw świeczce. Trzeba zaciągnąć story, lepiej, żeby z zewnątrz nie widziano ognia, to niezgodne z obyczajami Fier...

Wszystko, co działo się z nim w ciągu ostatnich dni, teraz wróciło i zakolało pod żebrami jak kamień w kręcącej się beczce. Dziesiątnik Bran, wielki wojownik poniżony i sprzedany w niewolę jak kawał mięsa. Ruiny zamku, który on obiecał odbudować... czy aby nie rozpadnie się kamień od pierwszego uderzenia kilofa?! Czy aby nie ucieknie budowniczy, kiedy zrozumie, czego chce od niego obłąkany Now? Razwijar przynosił ofiary Miedzianemu Królowi, widział każdą żyłkę na trawie pod nogami, pomścił śmierć swego ojca, zabijając wodza Heksów, nosi ich miecz i koliczugę imperatorskiego strażnika... No i co z tego?!

Opadł na fotel i postawił świeczkę na podłodze. No i co z tego, przecież to jego decyzja, decyzja jeźdźca. Oddał Jaskę swojemu bratu na „drugą noc”, a tym samym zgodził się, że jest także żoną Łuksa. Żoną Łuksa, który jest droższy niż brat, tylko dlatego teraz ma ochotę pójść do kuźni i zamówić ostrogi?!

Jutro o świcie wyruszą w drogę. Drogą przez tunel, potem obok Kipieli, wreszcie przez przełęcz. I prawie nie będzie czasu na spanie, trzeba teraz odpocząć, póki można. Zdrzemnąć się, chociaż kilka godzin. Był nieprzytomny. Przecież zaraz po powrocie do zajazdu miał zamiar zwalić się do łóżka...

Podniósł się. Zdjął płaszcz. Rozpiął pas, zdjął przepaskę i pochwy. Bezmyślnie wyciągnął miecz — ciemny, bez jednego błysku na klindze. Dlaczego nie zabił handlarza niewolników?!

Powiodł palcem po ostrzu. Ból był silniejszy niż się spodziewał. Wystąpiła krew i szybko zaczęła kapać na podłogę. Razwijar patrzył na nią z dziwnym zadowoleniem. Miał ochotę wziąć miecz i zniszczyć komnatę, rozbić zajazd, rozłupać wszystkie te fotele i stoły na tysiące drzazg. Ni z tego, ni z owego przypomniał sobie młodziutką Dzał — miłą, pokorną, z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

Zgasił świeczkę i podszedł do okna. Ulica milczała, coś mignęło w zaułku naprzeciwko, jakby odbłask lampki przykrytej połą. Miasto kipi nocnym, złym życiem, na ruinach spalonej biblioteki, jak mówiono, pająki Cza oplotyły zwęglone belki swoją pajęczyną...

Stał tak minutę, może dwie. Powietrze nocnego Fier pachniało dymem, moczem i strachem.

— Razwijar!

Nie odwrócił się.

Cichutki odgłos bosych stóp po drewnianej podłodze. Z tyłu na jego ramionach legły drżące, lekkie dłonie.

— Wróciłeś... Razwijar, tak się bałam... Razwijar?

Nie odwrócił się. Ręce Jaski powolutku spełzły z jego ramion.

— Posłuchaj... My... Po prostu usnęliśmy. Po prostu. Niczego nie było. Dzisiaj, niczego... Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś, kiedy się pojawisz, Łuks mnie pocieszał. Gdyby nie on oszalałabym! Nie było cię już tyle dni... Nikt niczego nie wie, tylko to słowo: czekajcie... On mnie nie dotykał!

— Widziałem.

— Niczego nie widziałeś! I nie mogłeś widzieć... Dlaczego nie jesteś magiem, dlaczego nie czujesz, że ja nie kłamię?!

Mówiła coraz głośniejsze. Razwijar zamknął okno i wreszcie się odwrócił, w pokoju było ciemno. Czuł ciepło jej twarzy, zapach skóry i włosów, słyszał cichutko kapiące łzy.

— Razwijar... — powiedziała prawie niedosłyszalnie. — co mam robić?! Jeśli mówisz, że powinnam *być jego*... mam być mimo to twoja? Nawet jeśli ty nakazujesz? Nakazujesz mi być *jego* i nie powinnam cię słuchać? A potem ty mnie odrzucasz, dlatego, że jestem *jego*? Za co tak mnie traktujesz? I za co tak traktujesz *jego*, jak możemy...

Zacięła się. Z pokoju, gdzie został Łuks, dobiegała cisza, Razwijar zlizwał krew z rozciętego palca. Jaska stała bardzo blisko, nie płakała i nawet, zdaje się, nie oddychała.

Wziął ją w ramiona. Od razu pojął, że ona nie kłamię i nigdy go nie okłamywała. Jej usta miały smak prawdy. Jakby ześliznął się ze szczytu i rozpląnął się rzeką, i rozlał po rozległej zielonej równinie. I znowu stał się potokiem, płynął w dół korytem i nie słyszał niczego, oprócz jej nierównomiernego oddechu. Żył i przeżył dla dzisiejszej nocy. Wzniósł się na górę i wybuchnął wewnątrz — milcząc, bez jednego jęku, zacisnąwszy zęby.

Teraz gorące ciało Jaski przemieniło się w rzekę, a Razwijar płynął po niej, szczęśliwy, wesoły i silny. Wiodło go coś, kołysało, rzeka była szczodra i ciepła, a na niebie odbijały się mosty i kopuły dalekiego Mirtie. Zdaje się, że na kilka chwil zasnął albo zatracił świadomość i płynąc coraz dalej po rzece, usłyszał zdławiony krzyk w dole, u wejścia do zajazdu.

— Cofnąć się!

— Drzwi...

— Na po...

Razwijar podskoczył. Brakowało mu powietrza i musiał oddychać ustami. Serce kołatało, w pośpiechu, nierównym, pogubionym rytmem, zatupotały szybkie kroki na korytarzu. Zabrzmiały przestraszone głosy, które przerwał władczy ryk z zewnątrz:

— Otwierać! Oddajcie Heksa, pozostałych nie tkniemy!

Zaczął się miotać po ciemnej komnacie:

— Świecę! Jaska, świecę, szybciej!

W ciemności rozbłysło czerwone światło. Na zewnątrz, na ulicy, zapłonęły pochodnie, a zasłona była zaciągnięta nieszczelnie. Razwijar ubierał się, płacząc się w odzieży i łamiąc paznokcie. Z pokoju obok wyskoczył Łuks. Krzyknął na wystraszoną, nagą Jaskę:

— Od okna! Odejdź!

Odepchnął dziewczynę w głąb komnaty i zamarł przy oknie, przytknąwszy nos w szczelinę między ramą a zasłonką. W dole było zamieszanie. Razwijar rozróżnił głos gospodarza, ten jęczał, błagając o coś.

— Co tam Now! — ryknął ordynarny, zapity głos. — Do szamba z Nowem! Jesteśmy od Chwata! Otwieraj!

Razwijar znalazł swój miecz.

— Nie mogę — lamentował gospodarz. — Nie mogę odnaleźć klucza!

— Nie możesz?! — coś ciężkiego gruchnęło w drzwi. — Nie znajdziesz klucza, to my z zewnątrz drzwi rozłupiemy. Żona z dziećmi w domu?

— Już otwieram! — krzyknął gospodarz na cały głos i w tym momencie Łuks z trzaskiem oberwał storę i skoczył w dół.

Razwijar rzucił się do okna i zobaczył, jak chimajryd miękko wylądował na cztery łapy za plecami ludzi, stłoczonych przy wejściu do zajazdu. Zakręciły się klingi. Padł pierwszy trup, pierwszy ranny odskoczył, przyciskając ręce do brzucha. Trzech ocalałych zbirów napadło na półczłowieka z trzech stron. Po ich zachowaniu Razwijar pojął, że mieli już okazję walczyć z chimajrydem.

— Skórę nad kominek! — krzyczał ich przywódca. — Skórę przybiję gwoździami! Nie porysujcie mu zadu, chłopaki!

Razwijar wskoczył na parapet. W tym momencie otworzyły się drzwi i do komnaty wdarli się z korytarza niezapowiedziani goście — dwóch z mieczami i trzeci z wzniesionym arbaletem. Jaska cofnęła się, przykrywając oberwaną portierą. Razwijar zdążył zobaczyć, jak Łuksa przyciskają do ściany przeciwnego domu i skoczył z powrotem do pokoju.

Miecz Heksów nie był przystosowany do walki pod dachem. Za długi, nawet do walk w lesie, był kiedyś wykuty do potyczek na otwartym polu. Razwijar rzucił krzesłem w niewysokiego, kościstego mężczyznę z mieczem i ruszył do ataku na drugiego, barczystego, starając się trzymać przeciwnika między sobą, a strzelcem z arbaletem. Długi brzeszczot rozdarł obicie na ścianie, draperia rozwarła się ciemnymi ustami. W ostatniej chwili odbił ciężkie uderzenie tak, że posypały się iskry z oczu i spod krzyżujących się ostrzy. Barczysty zyskał przewagę, w tym czasie Jaska, wynurzając się z ciemności, chlasnęła wroga zasłonką po oczach. Razwijar wykorzystał jego chwilową ślepotę, przekuł, złapał ciało, i zdążył zasłonić się nim jak tarczą, przed lecącą strzałą. Rzucił swój miecz, przechwycił broń martwego i zabił strzelca, zanim ten zdążył się odsunąć.

Niewysoki, kościsty żołnierz zawrócił i rzucił się do ucieczki w dół, po schodach. Razwijar nie dał mu uciec — rozłupał mu głowę od tyłu. Rzucił trupa na krużganek między schodami, jednym susem przemierzył przedpokój do drzwi wejściowych.

Na ulicy trwała walka. Łuks jeszcze się trzymał. Głębokie rozcięcie nad brwią krwawiło, chimajryd był bardzo blady, ale nie upadł. Razwijar gotów był zaśpiewać z wdzięczności: Wytrzymał! Jeszcze żyje!

— Do mnie!

Odwrócili się wszyscy trzej. Przyskoczył do przywódcy, ale ten okazał się nieoczekiwanie zwinny i silny wojownik. Pochodnie krążyły, opisując łuki, zmieniając światło i nocną mgłę tak, jak to było wygodne dla napastników. Broniąc się, Razwijar odwrócił się twarzą do zajazdu i kątem oka zobaczył Jaskę w oknie.

— Nie! Stój!

Dziewczyna uniosła ręce. Nic się nie wydarzyło. Słyszał jak wychrypiała coś nieartykułowanego z wysiłku, potem rozplakała się głośno. Wykrzyknęła — „Umierajcie! Padajcie!” — ale wrogowie wciąż atakowali i odpierającym atak było coraz ciężej. Uliczne zbiry brały udział w dziesiątkach podobnych bitew — walczyli i mieczami, i pochodniami. Łuks ledwie uchylił się od płomienia, którym celowali w jego twarz, brwi chimajryda spaliły się, włosy trzeszczały, wroga klinga rozcięła mu przedramię...

— Nnnaa!!

Wąska ulica rozjaśniła się błyskiem. Przywódca nocnych rozbójników zamarł, przepuścił uderzenie Heksa i zaczął upadać, ale nie od rany. W jego czole dymiła dziura. Dwóch pozostałych oślepiło, zaskoczeni stracili głowę. Łuks ostatkiem sił rzucił się naprzód i pokonał drugiego, a Razwijar powalił trzeciego. W ciągu kilku minut wszystko stało się oczywiste, tylko pochodnie i trupy walały się po ziemi.

— Jaska — wyszeptał Razwijar.

Wszystko mu płynęło przed oczami. Miłość, bójka, niepoprawna głupota dziewczyny, która sama siebie wydała... I tym samym ocalała, prawdopodobnie, życie jemu i Łuksowi.

Szuu wie, kto obserwował walkę z ciemności i teraz biegnął po wąskich uliczkach, niosąc wstrząsającą wiadomość nocnemu baronowi Nowi. Albo Chwatowi. Albo obu hersztom. Kobieta jest magiem, jest śmiertelnie niebezpieczna, a to znaczy, że jej życie jest coraz mniej warte z każdą chwilą.

Uporał się z nadciągającym atakiem paniki. Co widział właściciel zajazdu i jego żona? Ilu jeszcze lokatorów może świadczyć przeciwko Jańce? Kto jeszcze zauważył ten przeklęty błysk? Nie ma sensu teraz uciekać, brama miejska jest zamknięta, na ulicach rządzi nocne prawo...

Jeden z leżących w rynsztoku nagle poruszył się i zachrypiał. Razwijar pochylił się nad nim:

— Kto was przysłał?

— Chwat...

— Do czego mu jestem potrzebny?

— Nie... nie powiedział.

— Dlaczego służysz Chwatowi? — wyrwało się Razwijarowi, nieoczekiwanie dla niego samego. — Dlaczego nie Nowi?

Ranny chrząknął i roześmiał się głucho:

— Now... To jego ostatnie dni. Służ Chwatowi. Będziesz długo żył.

— Długo, jak ty? — zapytał drwiąco Razwijar.

— Oszczędź mnie — powiedział ranny. — Pomogę ci... Chwat wywyższy i ciebie i twoją dziewczynę maga... Będziecie chodzić w złocie... Będziecie...

Po chwili był martwy. Razwijar nie miał zamiaru zostawiać świadków.

* * *

Now pojawił się osobiście — po półgodzinie. Nowinę przyniósł mu szpieg, podstawiony do obserwowania zajazdu, chłopak około trzynastu lat. Herszt był niespokojny i zły, trupy leżały rządkiem na ulicy. Jeden z nich, przywódca, miał oszpeconą ogniem, wypaloną prawie nie do poznania twarz.

— Co z nim?

— Upadł na pochodnię — obojętnie powiedział Razwijar. Tak obojętnie jak tylko mógł. Każdy uczony lekarz, obejrząwszy tego trupa, stwierdziłby z całą pewnością, że zginął on nie od stali, a w wyniku magicznej interwencji. Razwijar liczył tylko na to, że nocny baron nie zacznie oddawać trupów wroga uczonym lekarzom.

— Ludzie Chwata — powiedział Now ze wstrętem. — Przyszli za mną. Jeszcze trochę, a by mnie dorwali.

Herszt zaklął szpetnie.

— Oni wiedzą, że przyniosłem ci sekret — powiedział Razwijar. — Skąd? Kto jest panem miasta: ty czy Chwat?

— Chwat dostanie swoje — ponuro oznajmił Now. — Ale skąd on wiedział?

— Zapytaj swoich ludzi — znacząco zwiesił głos. — Komu służy Dok-Szert, czy jeszcze tobie?

— Zamknij się!

Po oczach Nowa Razwijar pojął, że posunął się za daleko. Nocny baron milcząco przeszedł do sieni, wszedł po zalanych krwią schodach, podniósł z podłogi fotel, usiadł. Milczący Nagóren, poznany wcześniej, zapalił świece.

— Twoja dziewczyna... to kto taki?

— Moja żona — Razwijar skulił się w środku.

— Opowiadają o niej dziwne rzeczy — powiedział Now, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. Razwijar wytrzymał spojrzenie.

— Kto opowiada?

— Kruteń! — zawołał Now.

Wszedł podrostek, piegowaty i zezowaty, z soplami pod nosem i nożem u pasa. Pełnym uwielbienia wzrokiem wpatrywał się w Nowa.

— Co widziałeś?

Chłopak zerknął na Heksa.

— Widziałem dziewczkę w oknie. Nagą.

— Obłeśny podglądacz — wycedził Razwijar przez zęby. — Wie, na co patrzeć.

Now się nachmurzył:

— Co mówiłeś? O błyskawicy?

— Ona, o tak, zrobiła rękami, potem jeszcze, o tak, potem jeszcze... Coś krzyczała: „Umieraj! Padaj!”

— I ktoś upadł?

— Nie. Potem ona zrobiła tak. I jak nie błysnie! Bach! W czoło. I on łup! Na ziemię. Widziałem.

Chłopak zamilkł, przymilnie spoglądając na nocnego barona — czy przypodobał mu się swoim oddaniem? Nastąpiła krótka pauza.

— Co powiesz? — zapytał Now.

Mówił niedbale, ale Razwijar słyszał w jego głosie napięcie i nawet strach. I chciwość. Nocny baron nigdy nie widział magów z bliska. Słyszał o nich prawdę i bajki. Nie był w stanie odróżnić fikcji od faktów. Chciałby dostać maga w swoje ręce — i bał się.

— Jaska — głośno zawołał Razwijar.

Wyszła całkowicie ubrana, ale nieuczesana, z pogryzionymi, opuchniętymi wargami. Żalosa, przestraszona, blada, Razwijarowi ścisnęło się serce, w myślach poprosił dziewczynę o wybaczenie.

— Ta? — zapytał Nowa.

Herszt chciwie przyglądał się dziewczynie. Ta patrzyła w podłogę, Razwijar zdążył zauważyć, jak odrobinę rozluźnia się napięta twarz barona.

— To twoja baba?

— Moja żona.

— Piękna, ale chuda — z wymuszoną drwiną oznajmił Now. — Ty naprawdę.... Jesteś magiem, dziewczyno?

Jaska szybko zerknęła na niego i spieszyła się. Herszt uniósł brwi, Razwijar szybko podszedł do dziewczyny, wziął ją pod brodę, i nakazał patrzeć sobie prosto w oczy.

— Jaska! Pokaż, jak robisz błyskawice.

Patrzyła na niego długo nic nie rozumiejąc.

— Ty... żartujesz?

— Nie żartuję. No już, pokaż, jak wzywasz deszcz i burzę!

Mówił głośno, może zbyt stanowczo. Dziewczyna oddychała ciężko. Razwijar patrzył jej prosto w oczy. Strasznie żałował, że skradziono im całą godzinę szczęścia. Albo całą noc szczęścia. Albo w ogóle ukradli im życie. Tajemnica Jaski paliła, jak jajo ogniewuchy w gołych dłoniach, ale Razwijar musiał ją utrzymać, nie zmieniając się na twarzy, właśnie teraz, przed Nowem. Chociażby do jutrzejszego ranka.

— Pokaż, jak czynisz ludzi niewidomymi — kontynuował, patrząc dziewczynie w oczy. — Nie? A dlaczegoż to? No już, przecież jesteś potężnym magiem. Ten chłopak widział cię przy pracy.

W głosie Razwijara po raz pierwszy pojawiła się ironia. Kruteń pociągnął nosem, poczuł, że sprawy nie układają się po jego myśli. Szybko popatrzył na Nowa, na Heksa i znowu na Nowa. Na wszelki wypadek wycofał się bliżej drzwi.

— Chłopak widział — znacząco powtórzył Razwijar. — Tylko powiedz mi, Now, dlaczego, kiedy przyszedłem do ciebie z propozycją, potężny mag został na tratwie? Przecież ryzykowałem życie?

Twarz Nowa stawała się coraz bardziej ponura.

— Szuu — powiedział wreszcie. — Już myślałem... Poszedł won!

Chłopak zniknął, jakby rozpląnął się w ciemności.

* * *

Zajazd znowu zamknięto. Trupów nikt nie sprzątnął, ani nawet nie przykrył, miały poniewierać się na ulicy, czekając świtu. Lokatorzy siedzieli w swoich pokojach, nie ryzykując wystawiania nosa. Wizyty w Fier, nawet krótkie, zgubnie odbijały się na ciekawskich; ślepi i głusi kołtuni żyli tutaj znacznie dłużej.

Now odszedł. Zbliżał się ranek. Łuks był ranny. Razwijar wyciągnął z bagaży torbę z zasuszonym trójlistnikiem. Liście, podobne do ptasich łap, jeszcze bardziej skurczyły się we wrzącej wodzie. Wywar poźółkł od kwiatów, drobnych, jaskrawych o ostrym zapachu.

Jaska trzęsła się cała.

— Wybacz — ledwie powstrzymywała łzy.

— Nic się nie stało. Inaczej by nas zabili.

— Nie uwierzył ci do końca. Ten Now. Podstawi szpiegów. Wokół domu pełno jest jego ludzi... Rano na pewno rozkaże obejrzeć trupy.

— Rano będziemy daleko stąd — powiedział, jak mógł najbardziej stanowczo. — Zbieraj się.

Sam przemył ranę Łuksa wywarem, nałożył czystą szmatkę, przewiązał. Półczłowiek milczał, niekiedy sycząc z bólu.

— Musimy dopracować walkę w parze — powiedział Razwijar.

— Nie z twoim mieczem — apatycznie odezwał się chimajryd. — Jeszcze mi ręce odrąbiesz.

W walce w parze jeździec ma dwa kindżały długie na dwa łokcie.

— We dwóch powaliliśmy ośmiu. Chodź, zrobimy ci tatuaż na pamiątkę tego zwycięstwa?

— W jakim miejscu? — pośepnie zapytał Łuks.

— Na zadzie. Tak będzie bardziej widoczny.

— Na zadzie to brak szacunku dla zwycięstwa.

— To po prostu można wystrzyc ósemkę. Na boku.

— Albo przewiązać ogon wstążką — Łuks nerwowo ziewnął.

— Boli? — zapytał po chwili Razwijar.

— To dobrze — ni w pięć, ni w dziewięć odezwał się chimajryd. — Posłuchaj, wiesz przecież, że Jaska cię okłamała.

— Kiedy? — zapytał Razwijar, wszystko już doskonale pojmując.

— Dzisiaj. Skłamała. Ja z nią... Dzisiaj także się z nią kochałem. Jest moją żoną. Też mam do niej prawo.

— Oczywiście — powiedział Razwijar, czując się tak, jakby jego twarz powlekała się szronem.

Noc ciągnęła się nieznośnie długo. Ludzie Nowa kontrolowali najbliższe kwartały, ale niektórzy z nich zapewne służyli (lh watowi. Oczekiwali nowego napadu. Gwiazdy w końcu jednak zaczęły blednąć, a kruchy spokój zajazdu cały czas pozostawał nienaruszony.

Wyszli, ledwie niebo zaczynało szarzeć i szczęśliwie dotarli do rezydencji Nowa. Oczekiwał ich Dok–Szert w lekkim powozie, zaprzężonym w młodego rogacza. Były marynarz także nie spał wiele nocy — Razwijar zauważył szarawy odcień skóry i mętną ciecz zbierającą się w kącikach zmęczonych oczu.

— Śpieszysz się? — zapytał Dok–Szert.

— Zanedbana minutka, przeoczona monетка. — Razwijar uśmiechnął się z wysiłkiem.

Przyboczny Nowa dał znak. Dziesięciu uzbrojonych ludzi wyszło z koszar i okrążyło powóz.

— O co chodzi? — spokojnie zapytał Heks.

— Ci ludzie pójda z nami — powiedział Dok–Szert. — Nie potrzeba nam niespodzianek.

Powóz ruszył. Razwijar kroczył obok, jak ogłuszony, po pustych jeszcze ulicach Fier i w każdym momencie oczekiwał strzały zza rogu. Dziesiętnik Bran jechał na wozie, ponieważ był zbyt słaby, żeby iść pieszo. Łuks milczał, jego ręka wisiała na temblaku, przecięcie na czole zapiekło się brunatną linią. Także leżał na wozie, zwiesiwszy łapy, melancholijnie spoglądając to na drogę za nimi, to na jaśniejące niebo, to na garbatego, maleńkiego rogacza, który jeszcze kilka tygodni temu ssał wymię matki, a teraz ciągnął bez szczególnego wysiłku wóz z bagażem, chimajrydem i roslým człowiekiem. Łuks jakby nie zauważał ludzi Nowa, którzy w milczeniu szli obok.

Jaska kroczyła między Razwijarem, a burtą wozu, jej nozdrza drżały.

— Nie... wydawaj... siebie — starał się nie poruszać wargami.

— Śledzą nas. Ścisnął jej rękę.

Pochód zamykał Dok–Szert. Heks przypomniał sobie szept rannego:

„Now... To jego ostatnie dni”. Możliwe, że w Fier szykował się nowy, krwawy przewrót. Przypomniał sobie Jaszme, młodego, głupiego flisaka. Jaki los go czeka? Odplynałby z Remyszem i całą załogą, przechodziłby całe życie w kole i stękał przy wiosłach, ale żyłby długo i umarł w swoim łóżku!

Zbliżała się strażnica.

Doszli do bram dokładnie w momencie, kiedy straż miejska wstąpiła na dzienną służbę. Strażnicy naczelnika miasta weszli w bramę z dumnie uniesionymi głowami. Na początek III usieli zebrać z ulic ciała wszystkich tych, którzy nie przeżyli nocy w sławnym mieście Fier. Pośród nich, pomyślał Razwijar, będzie tych ośmiu, którzy walają się pod zajazdem. Ośmiu zbirów. Przesunął językiem po wargach, starając się nawilżyć wyschnięte usta. Nawet gdyby strażnikom nie przyszło do głowy przyglądać się oszpeconym ciałom. Choćby zrzucili martwych do wspólnej mogiły dla wyrzutków, bez dochodzenia...

— Ej, zasnąłeś? — zapytał Dok–Szert.

Powóz z eskortą minął bramy i wytoczył się z Fier. Razwijar, ściskając rękę Jaski, wyszedł z miasta.

* * *

Furman na trzykółce musiał obrócić kilka razy, żeby przewieźć na drugą stronę góry niemały oddział podążających do zamku, Łuks źle zniósł podróż przez tunel.

— Miałem takie uczucie, jakby ktoś mnie zżarł — przyznał się. — Że jako jedzenie lecę po kiszkach... I wypadnę na samym końcu kulką kupy. I tak też się właściwie stało.

— Nie przesadzaj — powiedział Razwijar.

Przenocowali w Kipieli, w zajeździe z przyzwoitym noclegiem. Tak samo jak kiedyś, nad wodą ciepłego jeziora unosiła się para, wszyscy tak samo wylegiwali się na brzegach wód i na werandach zajazdów i uzdrowisk, ale ślady upadku widoczne były wszędzie.

W południe następnego dnia ruszyli w kierunku przełęczy. Poruszali się wolno, ponieważ rogacz z wozem został po tamtej stronie góry, Łuks był ranny, a dziesiętnik Bran — wykończony. Razwijar szedł przodem, czując wzrok Dok-Szerta na plecach, zbliżał się zamek, którego Heks nie widział całą wieczność.

Czy widmo władcy przychodzi w to miejsce, gdzie spotkała go śmierć?

Gdzie jest teraz ciało Poranka Bez Skazy? Co stało się z szybem u podstaw zamku? Kto siedzi w ruinach, zamknąwszy się przed całym światem, z kim przyjdzie się spotkać za kilka godzin?

Na przełęczy zatrzymał się dosłownie na jedną chwilę — zdjął ze słupa pożalowania godny, wyleniały ogon chimajryda, przybity tutaj nie wiadomo ile lat temu. Zdjął i przykrył kamieniami przy drodze. Nikt nie powiedział ani słowa, nikt się nie zatrzymał, oprócz Łuksa i Jaski.

— Idziemy — powiedział do nich Razwijar.

Kroczyli teraz w dół, uczęszczaną drogą. Razwijar poznawał okolice i nie poznawał ich zarazem. Rzeka, biegnąca po dnie wąwozu, dawno wróciła do poprzedniego koryta i tak samo jak kiedyś rozwiewały się wstęgi wodospadów, ale góry, zaniepokojone pamiętną straszną ulewą, nieznacznie, choć zauważalnie zmieniły swoją postać. Porosłe mchem skały cały czas podobne były do ludzkich twarzy, ale to były inne twarze — nie te, które pamiętał Heks.

Szedł coraz wolniej. Został w tyle za Dok-Szertem i jego zbirami. Dwóch z nich, posłusznym milczącemu rozkazowi, zostało w tyle razem z Razwijarem i szło tuż za jego plecami. Dwóch innych podążało za Jaską, dysząc jej w kark. Łuks ponury, ze zranioną ręką na temblaku, od czasu do czasu rzucał swojemu jeźdźcowi spojrzenia pełne niemego wyrzutu. Po co wplątałeś nas w tę beznadziejną sprawę?!

Heks zrównał się z dziesiętnikiem. Ten szedł z podniesioną głową, chciwie wpatrując się w drogę przed sobą. Mętne łzy zastygały w jego brodzie. Razwijarowi też łzawiły oczy, bowiem w wąwozie hulał ostry wiatr.

— Zaraz ukaże się zamek — powiedział do Brana. Dziesiętnik popatrzył na niego, jakby go nie poznawał — ze zmieszanym i strachem.

— Jutro przyjdą karawany — dodał Razwijar, ponieważ nie był już w stanie trzymać dłużej języka za zębami. — Jutro. Kto tam teraz jest, jak myślisz? Kto tam siedzi w zamku? Może...

Dziesiętnik ciężko pokręcił głową.

— Widzisz ich? — zapytał, kierując wzrok gdzieś przed siebie i w górę, na skały.

— Kogo?

Dziesiętnik popatrzył z niedowierzaniem.

— Nie widzisz?

— Powiedz kogo, przypatrzę się.

— Nieee — przeciągnął dziesiętnik. — Nie trzeba... przypatrywać się. Oni są tutaj... Chimajrydzi i ich kobiety, te, które nie rodziły. Dzieci przekleństwa.

Razwijar jeszcze raz bacznie przypatrzył się zboczom wzdłuż drogi.

— Bredzisz — powiedział twardo. — To przywidzenie.

— Nie — powtórzył Bran. — Może i przywidzenie... A może i prawda. Dzieci przekleństwa. On wszedł do Jeziora Urodzaju, dotknął wody pierścieniem Poranka Bez Skazy. I powierzył mu przekleństwo... Patrz!

Razwijar wzдрыgnął się, chwytając za miecz. Dziesiętnik spoglądał gdzieś ponad jego ramię, drżącą ręką wskazując przed siebie, tam, gdzie pośród skał wznosił się zamek.

Z daleka wydawał się nienaruszony.

* * *

Im bliżej podchodził do zamku maleńki oddział, tym straszniej robiło się Razwijarowi. Bał się, nie Nowa, nie ewentualnego niepowodzenia, nie Dok-Szerta i nie ostrza kindżału pod żebrzem. Jego strach miał źródło w przeszłości; zastygłe przerażenie i przymilny głos w ciemności: „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”.

Ten strach kiedyś zmusił go do przecięcia Nagórza, bez zatrzymywania się po drodze. Sądził, że dawno pozbył się tego strachu, ale teraz wychynał on z głębokich pokładów pamięci. Razwijar czuł, jak zamek patrzy na niego; ni to oczami zdziczałego, zrozpaczonego garnizonu, ni to martwymi oczami Poranka Bez Skazy, maga i nieboszczyka, wymytego wodą ze swojego podziemia. A może tak patrzył na półkrwi Heksa sam Miedziany Król.

Zamek w całości wyciosany był w skale niczym kamienne miasto — zamieszkałe kiedyś przez wolnonajemnych rzemieślników — z czterema okrągłymi basztami-kolumnami, pomiędzy którymi pajęczyną ciągnęły się galerie i wysokie sklepienia pałacu, które zajmował uprzednio władca. Odległość zmniejszała się, stawały się widoczne rozłamy i szczeliny, zniszczone mury i wieże, porośnięte mchem okienka strzelnicze — z jednego z nich Razwijar kiedyś wypuścił najlepszą w życiu strzałę. Zamek był okaleczony i porzucony, ale nie był pusty. Ku niebu unosił się ledwie zauważalny dymek, coś skrywało się za ścianami, coś albo ktoś.

Zostawiwszy Brana, podszedł do Jaski. Patrzyła na zamek, w którym nigdy nie była. Jej nozdrza rozszerzały się.

— Co tam jest?

— Ludzie — odpowiedziała krótko.

— Wielu?

— Nie wiem.

— Jest wśród nich mag?

— Skąd?— Dziewczyna nagle roześmiała się.— Nieboszczyk, czy co? Nie, nie bój się, martwych nie ma w zamku, oni leżą wokół... Tutaj — powiodła ręką. — Pod kamieniami.

— Tutaj rozegrała się wielka bitwa — powiedział Razwijar.

— Ogień i deszcz, tak? Opowiadałeś.

— Możesz ochronić mnie przed strzałą?

— Przecież masz kolczugę — powiedziała Jaska po namyśle. — Kolczuga strażnika to bardzo dobra ochrona przed strzałą. W końcowej fazie jej lotu.

Uśmiechnął się.

— Dziękuję.

— Chciałabym cię chronić... w każdej chwili — powiedziała ze skruchą. — Spróbuję.

Pocałował ją i chciał odejść, ale go powstrzymała, chwyciwszy za rękaw.

— Posłuchaj... Ten człowiek, którego przyprowadziłeś z rynku niewolników. Starzec. Kim on jest?

— Moim nauczycielem. To dziesiętnik Bran. Uczył mnie władać mieczem, strzelać, ganiał do upadłego, nazywał smarkaczem...

— Czyli Łuks miał rację — Jaska nie odpowiedziała na jego uśmiech.

— Łuks? W czym?

— Ten człowiek służył w zamku poprzedniemu władcy. Był na tej wyprawie... na której ciebie nie było.

„On ją prowadził”, ledwie nie wyrwało się z ust Razwijarowi.

Kilka głosów złożyło się w jeden.

„Jedno pytanie, wodzu. Byłeś wtedy w Czarnym Szumie?”

„Prowadziłem Plemię”.

Przypomniał sobie, jak stary Heks, który przeżył całe życie w siodle długonogiego jaszczura, odpowiedział na pytanie Razwijara i zaraz potem zmarł. Przypomniał sobie, jak upadł na kolana przywódca Korunch, kat Kamiennej Strzałki. I jak dziesiętnik Bran, okaleczony i sprzedany w niewolę, powiedział, mrużąc rozgorączkowane oczy: „To kara za tę wyprawę... Za nową granicę... Pamiętasz ich głowy na pikach? Wszystko, co się z nimi stało i co się stało ze mną, to kara za ten najazd...”

— Łuks go poznał? — powoli zapytał Jaski.

— Nie, domyślił się.

Razwijar pokręcił głową:

— Domyśły... To nic pewnego. Można się pomylić.

* * *

Chimajryd nabrał sił w ostatnich godzinach wędrówki. W wyniku działania trójlistnika rana goiła się szybko jak zwykle. Razwijar nic nie mówił, po prostu szedł, milcząc, obok towarzysza.

— Jesteśmy tak blisko — wymamrotał Łuks. — Idziemy... niemal wzdłuż starej granicy.

— Jak myślisz, śledzą nas?

Ten pokręcił kędzierzawą głową:

— Nie wiem... Śnił mi się dzisiaj brat. Szybki Tancerz.

Razwijar nie wiedział, co powiedzieć.

— Śni mi się już któryś raz z rzędu. Że jesteśmy dziećmi... Pierwszy raz poszliśmy sami na spacer... Kapiemy się w strumieniu. Jest lato, świeci słońce. Zawodzą człapacze wśród kamieni. Wiesz, kiedy jest ich dużo, one zawodzą całkiem składnie, prawie jak ludzie. I całe góry kwitną żółtym trójlistnikiem, jesteśmy cali w tym pyłku... Woda unosi żółty pył... Tancerz siada na moim grzbiecie, ja biegnę do góry, po zboczu... On targa mnie za uszy, nie złośliwie, tak, wiesz, po łobuzersku, tak zartobliwie... Wszystko rozumiem. Że nie jestem dzieckiem, że on jest martwy. Że te zbocza dawno opustoszały, że człapacze milczą. Że nie rodzą się dzieci, idzie wojna, seniorzy klanu padają ze strzałami w szyjach. A on śmieje się na moim grzbiecie i stara się złapać mój ogon w biegu... Mówiłem mu, żeby tak nie robił, bo spadnie. I spada, a ja nie mogę go złapać...

Mówił jednostajnym głosem, patrząc przed siebie, twardo stawiając na drodze szerokie łapy.

— A teraz co, Razwijar? Nawet końca nosa nie mogę pokazać. Nie dlatego, że mnie zabijają. Po prostu jest mi wstyd, tak strasznie wstyd, że ich porzuciłem...

— Decyzja jeźdźcy — cicho przypomniał ten. — To ja zdecydowałem. I jeśli zdecyduję, że musimy tam iść, to znaczy, że pójdziemy razem.

Łuks popatrzył na niego. Nieoczekiwanie uśmiechnął się. — smutno i wesoło równocześnie.

— Wiesz, chciałbym, żebyś zobaczył Jezioro Urodzaju. To... takie piękne miejsce. I taki spokój. O świcie mgła unosi się strumieniami, jak... tysiąc przepięknych dziewcząt w białych szatach. I zdaje się, że słyszysz gaworzenie dzieci. A za dnia w wodzie odbija się cały świat, Nagórze i wszystko, co znajduje się poza jego granicami.

— „Nagóreni wierzą, że Jezioro Urodzaju mieści dusze wszystkich; nienarodzonych i już umarłych — w zamyśleniu przemówił Razwijar — i dlatego każdy magiczny obrządek jest zawsze związany z tym jeziorem... Każdy klan włada swoją częścią brzegu, którą nazywa się Wrotami Urodzaju, to miejsce jest czczone jak świątynia...”.

W myślach przewrócił stronicę.

— „...I zadrośnie wystrzega się postronnych oczu. Byłem prawdopodobnie jedynym obcym, któremu...”.

— Ej, szkatułko na sekrety!

Dok-Szert podszedł całkiem blisko. Rozmawiający mimowolnie cofnęli się, mierząc wzrokiem odległość. Łuks poruszał rękojeścią miecza, jakby sprawdzał, czy się nie nagrzała. Dok-Szert uśmiechnął się:

— Teraz rozłożymy się obozem... Nikt nie może chodzić sam. To mój rozkaz. Tutaj jest niebezpiecznie, kamień może zwalić się na głowę... Albo noga ugrzęznąć w szczelinie... A ty, sekretna szkatułko, jesteś cennym człowiekiem dla Nowa, a i dla Chwata też, skoro z jakiegoś powodu chce cię dostać. Nie zmuszaj mnie, bym dał ci większą obstawę!

* * *

Dolna galeria była zbudowana w taki sposób, żeby można było z niej obserwować i ostrzelać całą przestrzeń przed zamkiem plac przy dolnej ścianie i przed nią, ścieżkę, magazyny, drogi podjazdowe. Teraz placu nie było, mur prawie zrównał się z ziemią, magazyny osunęły się do rzeki, ścieżka także w połowie była zniszczona, jakby pochłonięta łapczywymi kęsami. Przechodzący przed galerią została przez kogoś oczyszczona z gruzów, żeby każdy nieproszony gość musiał pokazać się na odkrytym miejscu, stając się łatwym celem.

Razwijar nie zdecydował się ufać nocy, przecież chimajrydzi, a i niektórzy ludzie, widzą w ciemności. Podszedł tak blisko, jak na to pozwalała ostrożność. Potok na dnie wąwozu huczał głucho, jakby ściskając swoje nieproporcjonalnie ogromne koryto. Małemu Heksowi zdawało się, że rozróżnia oddechy ludzi, ukrytych w dolnej galerii.

Powąchał powietrze, naśladować Jaskę. Niczego szczególnego nie poczuł, tylko zapach nocy w górach, świeżej i wilgotnej, i jeszcze dym z ognisk. Ludzie Dok-Szerta rozłożyli obóz, przed nikim się nie kryjąc. Lecz tam, w ukrytej galerii, za okienkami strzelniczymi byli uzbrojeni ludzie, wiedzieli o przybyszach i gotowi byli przywitać ich gradem strzał.

Dok-Szert nie opuszczał Razwijara. Dziwne, jak dawny marynarz, przywykły do ciasnych kajut i kołysania pokładu, tak szybko zdołał przystosować się do kamiennych ścieżek, urwisk, szczelin. Niczym cień przylepił się do tego, kogo dostał polecenie śledzić. Uwolnić się od szpicla choćby na moment zdawało się niemożliwe.

Razwijar usiadł, skrył się za dużym odłamkiem muru. Była to część górnego balkonu, zbyt ciężka, żeby pozostali w zamku ludzie mogli ją sprzątnąć. Oparł się plecami o kamień, lekko popatrzył w górę. Przypomnił sobie, jak dziesięć lat temu uczył strażników osłaniać się tarczą i równocześnie uderzać mieczem.

Tam wewnątrz nie ma chimajrydów, nie ma także włóczągów, czy ludzi Imperatora. Tam są ci, z którymi Razwijar dzielił kiedyś życie w koszarach. To i dobrze, i bardzo źle. Wiedziałyby jak podejść chimajrydów, a włóczągów w ogóle nie brałyby pod uwagę. Poszukać drogi objazdowej

do zamku? Długo przyjdzie szukać. Zbirów jest zbyt mało, żeby wziąć galerię szturmem. Na przewlekłe obleżenie nikt się nie zgodzi — ani Dok-Szert, ani Now, ani tym bardziej Chwat. Jaką rolę odgrywa Chwat w tej sprawie?

Wszyscy chcą dostać zamek, ze zmęczeniem pomyślał Razwijar. Ale to mnie jest on najbardziej potrzebny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O świcie przysłyły dwie pierwsze karawany i w wąwozie zrobiło się ciasno. Garbate rogacze stały z nisko opuszczonymi łbami. Wolnonajemni robotnicy siedzieli przy wozach, ponuro spoglądając na góry i na zamek, chleptali polewkę, przygotowaną dla całej bandy przez trzech zręcznych kucharzy, wszyscy czekali na rozporządzenia. Dok-Szert się nie śpieszył. Wysłuchał sprawozdań swoich zbirów, dowiedział się, że w czasie drogi nie zaszło nic godnego uwagi, że drzewo i narzędzia dostarczono w całości, a karawana z niewolnikami została w tyle, najwyżej o dwa dni drogi. Prawdopodobnie nadzorcy gnali niewolników niemiłosiernie, pomyślał Razwijar. A przecież wśród nich były i kobiety, które Dok-Szert jednak zakupił „dla wspólnych potrzeb”.

Rankiem, kiedy wzeszło słońce, przyleciał pocztowy nietoperz. Razwijar wiedział, że te zwierzęta są ślepe i nie rozróżniają dnia od nocy. Wiedział, że trzyma się je parami — samice zawsze wracają do rodzinnego gniazda, a samce odszukują swoje partnerki, gdziekolwiek by się znajdowały. Pocztowniec z miasta był samcem, stęsknionym za ukochaną. Para delikatnie nadszkakiwała sobie w klatce, póki Dok-Szert czytał list od Nowa.

Razwijar, Jaska i Łuks trzymali się razem.

— Niepokoi się — Jaska wachała wiatr, niosący zapach zaufanego Nowa. — Ale póki co... Nie. Nic się nie stało.

Siedząc w kręgu, chleptali resztki polewki i widzieli, jak Dok-Szert napisał odpowiedź do nocnego barona. Jak wziął z klatki samicę i wypuścił w poranne niebo — nietoperzyca poleciała do gniazda, do portu Fier, do posiadłości Nowa, a samiec, który dopiero co pokonał długą drogę dla spotkania, znów zaczął tęsknić w samotności, zawisnąwszy w klatce głową do dołu.

— Szkatułko. — Dok-Szert znalazł wzrokiem Razwijara. — Co teraz?

— Teraz razem z Branem przespacerujemy się do bramy.

Dziesiątnik nocował w parowie osłoniętym od wiatru i do tej pory nie wstał. Odrzuciwszy płaszcz, który służył dawnemu nauczycielowi za koc, Razwijar zobaczył troskliwie okutany kamień.

* * *

Po półgodzinie gorączkowych poszukiwań, stało się jasne, że Bran zniknął z obozu. Ludzie na usługach Nowa śledzili dziesiątnika niezbyt dokładnie, ponieważ nie oczekiwali takiej werwy u starego, okaleczonego niewolnika. Dok-Szert chodził po grani, spoglądając na zamek, a wzrok byłego marynarza sprawił, że następca władcy kamiennego zamku skulił się w sobie.

— Sprytnie to ustawiłeś, szkatułko.

— Nie brałem w tym udziału — powiedział Razwijar przez zęby. — On był mi potrzebny, żeby wejść do zamku. Zdradził mnie.

— Dlaczego mam ci wierzyć? Zbyt dużo wokół ciebie... ciemnych miejsc, szkatułko na sekrety. Zbyt dużo dziwnych ludzi.

— Jak i wokół ciebie — nie wytrzymał ten.

— Nie myśl. Że wyjdiesz. Suchy. Z wody — bardzo wolno powiedział Dok-Szert. — Zabiję dziewczkę na twoich oczach, a potem rozpruję ci brzuch, żebyś przed śmiercią nacieszył wzrok brudnymi kiszkami Heksa...

— Ostrożnie — powiedział Razwijar prawie szeptem.

Oprych bacznie spojrzął mu w oczy. Wypalona słońcem, poprzecinana zmarszczkami twarz byłego marynarza nagle zastygła, jakby zobaczył w płytkiej wodzie swoją śmierć.

— Ostrożnie — cicho i spokojnie powtórzył rozmówca. — Jeśli ci życie miłe.

* * *

W świetle dnia wyraźnie widoczne były włócznie, sterczące wśród kamieni tu i tam — na ostrzach, według dawnego przyzwyczajenia strażników, nasadzone były głowy. To byli, najprawdopodobniej, dawno zabici szabrownicy, żadnego nie można było poznać, żółte czaszki szczyrzyły się, strasząc nieproszonych gości.

Nie miał czasu myśleć o Branie i o tym, jak przedostał się on w nocy do zamku — możliwe, że zaraz po tym, jak Razwijar sam odwiedzał to miejsce. Dziesiętnik wykrzyknął stare hasło, u może po prostu podał swoje imię. Teraz jest wśród swoich, ale w potrzasku, otoczony przez wrogich żołnierzy. Teraz w zamku wiedzą wszystko, co Razwijar chciałby przed nimi zataić i będą bronić tego, co zostało, do ostatniego tchu.

„Byłby teraz niewolnikiem na bazarze! Byłby trupem, gdyby nie ja!”. — Chciało mu się krzyżeć, ale milczał, doskonale rozumiejąc i dziesiętnika i złożoność swojego położenia.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Jaska.

Kręciła na palcu drewniany pierścionek, ten, który Razwijar wystrugał jej jeszcze w Pękatym Borze. Pierścionek nie miał żadnej czarodziejskiej siły, ale Jaska i tak nakładała go, kiedy w jej przekonaniu, pojawiała się konieczność magii.

— Mogę z tobą pójść?

Popatrzył na nią; delikatną, bladą, z nierówno podciętymi włosami do ramion. W chłopskiej sukience, którą kiedyś pożyczeli od Akki. Na dziewczynę wywołującą burzę, wypuszczającą błyskawice z dłoni... nieposłuszne błyskawice.

— Dlaczego do tej pory nie uszyliśmy dla ciebie nowej sukienki? — zapytał na głos. — Dlaczego wciąż nie masz naszyjnika? Bransolet? Trzewików na złotych obcasach?

— Mogę z tobą pójść? Razwijar...

Uśmiechnął się:

— Idziemy.

Podał jej ramię. Jaska uchwyciła się go i szczęśliwa uśmiechnęła się.

— A wy dokąd? — ostro zapytał Łuks.

— Pospacerujemy.

— Chcesz, żeby ją zabili?!

Razwijar spojrzął na niego. Chimajryd spieszył się:

— Posłuchaj, wśród skał mogą kryć się szpiedzy...

— Dziewczynie potrzebne jest świeże powietrze — twardo powiedziała Jaska.

Bez pośpiechu, jak na spacerze, ruszyli na obchód zamku, trzymając się na widoku. Mag z drewnianym pierścieniem wspierała się na ramieniu Heksa.

— Wyczuwam ludzi — dziewczyna ledwie poruszała wargami. — Na galerii.

— Będą strzelać?

— Tak.

— Dobrze. Nie bój się.

Przeszli obok włóczni z nadzianą na niej czaszką. Minęli kupę rupieci, zostawioną tutaj z czasów, kiedy walił się zamek — przewrócony wóz, rozbite beczki, zgniłe tłumoki, skorupy glinianych naczyń. Pośród kamieni wyraźnie widoczne były ścieżki, z których korzystali

szabrownicy i mieszkańcy zamku. Chrzęściły pod nogami drobne kamyczki, kawałki szkła, a może i rozdrobnione kości.

Zamek milczał. Okienka strzelnicze, którymi upstrzona była dolna galeria, okazały się wymyślnymi ozdobami — krzyże i krzywe linie, zygzaki i czarne kropki. Za nimi, Razwijar to wiedział, ukrywały się cudze spojrzenia i ostrza strzał, nałożonych na cięciwę. Skórą odczuwał niebezpieczeństwo otaczające zamek — do tego zębatego kamienia, podobnego do potarganej głowy, doleci z galerii strzała. A do tego szarego, rozłupanego — nie.

— Dokąd idziemy? — zapytała Jaska.

— Spacerujemy.

Przeszli wzdłuż potoku, trzymając się w przyzwoitej odległości od zamku. Za nimi, w odległości nie mniej przyzwoitej, szła para uzbrojonych zbirów.

— Tutaj wypuściłem Łuksa — powiedział Razwijar, spoglądając na pieniącą się wodę.

— Tutaj?

— Brzeg jest teraz inny, rozmyło go. Chimajryd był jeńcem. To ja go pojmałem. Władca rozkazał go zabić. Przywiodłem go tu... i wypuściłem wolno.

— Opowiadał mi — powiedziała Jaska.

Razwijar odwrócił się:

— Naprawdę? Co jeszcze o mnie opowiadał?

— Że chciałby umrzeć za ciebie?

— C-c-co?!

— Że chciałby umrzeć za ciebie, ale... ale powiedział, że nigdy się przed tobą do tego nie przyzna. To zbyt... patetyczne, tak powiedział.

Razwijar usiadł na kamieniu. Jaska, podebrawszy poły spódnicy, usiadła obok.

— Długo na ciebie czekaliśmy. Najpierw na tratwie, potem tam, w mieście. Wiele razy myśleliśmy, że nigdy więcej cię nie zobaczymy. Trzeba było jakoś podtrzymywać na duchu siebie nawzajem...

— Rozumiem — powiedział Razwijar.

— Dokąd płynie ta rzeka?

— Dalej wzdłuż granicy Nagórza, ziem chimajrydów... Tam były wioski, wiele wiosek, mieszkali w nich pasterze, wypasali przyślepki... A dalej rzeka wpada w drugą, ogromną, już na granicy Imperium.

Jaska zmrużyła oczy

— Latają tutaj patrole?

— Nie. To znaczy, wcześniej nie latały, a...

Skrzydlaty cień mignął na horyzoncie — daleko. Może nad samym Jeziorem Urodzaju.

— Teraz latają — powiedział Razwijar zrezygnowanym głosem.

— Dla patroli zamek jest niebezpieczny. Można się ukryć i ostrzelać ze strzelniczych otworów w ścianach — Jaska rozmyślała na głos. — Muszę dużo myśleć. Bardzo dużo się uczyć. A ja się boję.

— Swojej magii?

— Tak.

— Wiesz — powiedział Razwijar. — Obiecałem sobie, że nigdy więcej nie będę cię zmuszał. I nawet prosił. Przeciwnie. Teraz, kiedy naszemu życiu nic nie grozi...

— Nic nie grozi?! — dziewczyna popatrzyła na niego zdziwiona, jej oczy stały się okrągłe jak monety. — Dok-Szert ma zamiar nas zabić! Bran uważa cię za zdrajcę i także chce cię zabić! A jeśli nie znajdziesz sposobu, jak wejść do zamku do czasu, kiedy przyjdzie karawana z niewolnikami, Now także zechce cię zabić! Przecież nawet nie wiem, co ty mu obiecałeś...

— Jaska — powiedział. — Zawsze prosiłem cię o pomoc tylko wtedy, kiedy nie można było się bez tego obejść. A teraz...

Jej nozdrza zadrżały. Razwijar zamilkł.

— Co się stało?

— Wiatr się zmienił. Po prostu wiatr się zmienił. I, zdaje się...

— Co?

Poderwała się z miejsca.

— Chodź, przejdziemy dalej... W dół, wzdłuż rzeki. Tam nikogo nie ma.

— To po co mamy tam iść?

— Zdaje mi się... że tam jest wielka przestrzeń pod ziemią. Rzeka wymyła. Grota albo pieczara. Nie wiem dokładnie. Ale mam ochotę na to popatrzeć. Takie... przecucie.

— Chodźmy zatem — powiedział po krótkiej chwili. I dodał: — Wasza wysokość.

Niebo zaciągnęło się łuską obłoków. Jaska szła, jak przedtem opierając się na jego rękę, wysoka, gibka, z dumnie uniesioną głową.

— Odbudujemy wielką salę z błyszczącą podłogą, będziesz tam tańczyła — powiedział Razwijar.

— Co?

— Kiedy zostanę władcą zamku, odbudujemy wielką salę, żebyś mogła tańczyć, a w kominku będzie palił się ogień. Bibliotekę z wieloma książkami, które będę ci czytał. Nazwę siebie panującym... nie, królem. A ty będziesz królową.

— A Now? A Chwat?

— Oni są tylko rozbójnikami. Ich miejsce na szubienicy.

— A... Łuks?

Jaska stanęła, nie odwracając się.

— Łuks — powiedział wolno Razwijar. — Może uczynię go swoim namiestnikiem w Nagórze, ustanowię władcą chimnrydów?

— Ty chcesz się go pozbyć — sucho powiedziała Jaska.

— Ja?!

Dziewczyna ruszyła dalej, balansując na kamieniach, nie szukając jego ręki, żeby się oprzeć.

— Posłuchaj, on jest moim bratem! — powiedział do jej delikatnych, wiotkich pleców. — I nie śmiej nigdy mówić, że ja...

Z przerażającym trzaskiem ziemia zapadła się pod nogami Jaski. Razwijar ledwie zdążył złapać ją za rękę. Zawisła, machając nogami w pustce, mężczyzna zwałił się na bok, wyciągając ją i starając się samemu utrzymać. Przerzuciwszy lekkie ciało przez siebie, skoczył na nogi. Tam, gdzie przed chwilą jeszcze, zdawało się, była twarda ziemia, teraz zapadł się w rzekę jeszcze jeden kawał drogi, rozmiaru stołu na dwadzieścia cztery osoby. A na przeciwległym skraju osuwiska, w pionowej ścianie czerniała jama.

* * *

— Tam jest trup — powiedziała Jaska.

Ludzie Dok-Szerta nieźle się przestraszyli. Ujrzawszy swoich „podopiecznych” żywych i na miejscu, zaczęli wzajemnie sobie wymyślać. Razwijar kazał im milczeć, takim tonem, że opryski posłuchały. Jeden pobiegł do Dok-Szerta po pomoc, a drugi został, by mieć baczenie na wszystko.

— Tam jest trup. Pod ziemią.

— Mogiła? Grobowiec?

— Nie. Nie wiem.
— Ej! Ty dokąd?! — krzyknął zbir, chwytając za broń.
— Nie ucieknę — powiedział Razwijar z odrazą. — Masz sznur?
— Skąd?
— To chociaż pas mi rzuć. Chcę popatrzeć, co tam jest, może skarb?

Oprych rozpogodził się:

— Dawaj, sam zleżę.
— Zawali się — wysunął przypuszczenie Razwijar.

Zbir stracił humor. Był prostym chłopem, w jakiś sposób podobnym do postarzałego flisaka Jaszmy — najprawdopodobniej w młodości z kimś zadarł, a potem, żeby ocalić skórę, musiał się nająć na służbę do Nowa.

Pół-Heks spuścił się w przełom. Ciemna jama w ścianie naprzeciwko przyciągała i przerażała równocześnie.

— Nie ma lampy?

— I sznurek ci potrzebny, i lampa — sarkał zbir. — Może jeszcze mydło?

Razwijar, więcej z nim nie dyskutując, podszedł do przełomu i, starając się nie zasłaniać światła, zajrzał do środka.

* * *

Turkusowy kamień żarzył się w ciemności i to było pierwsze, co Razwijar zobaczył. Tak, ten sam turkusowy kamień w złotym pierścieniu. Później, kiedy oczy przywykły do półmroku, zobaczył, że pierścień jest nałożony na kość, a ręka, która kiedyś go nosiła, prawie całkowicie rozpadła się w proch.

Poranek Bez Skazy, mag chimajryd, leżał na poduszce z piasku i śmieci przyniesionych przez wodę. Jego bogata odzież zetlała. Jego ciało pomarszczyło się, obnażając kości. Pozostał prawie szkieletem — czworonożny półczłowiek z ogromnymi pazurami, które teraz były widoczne w całej okazałości, ponieważ nie ocalały poduszczeni łap. Ale jego twarz, dziwnym trafem, zachowała się niemal nienaruszona — smągła, drapieżna, z głęboko zapadniętymi oczami.

Martwy mag leżał, jak i wcześniej, w pozie śpiącego. Lewa ręka była przyciśnięta do piersi, a prawa wyciągnięta daleko na bok, jakby nieboszczyk na coś wskazywał. Pierścień błyszczał w półmroku.

— Nie potrzebuję tego, co twoje, Poranku Bez Skazy — wyszeptał Razwijar, mimowolnie powtarzając dawne słowa władcy.

Nieboszczyk nie odpowiedział. Leżał pod ziemią wiele miesięcy, beztrako ułożywszy się na poduszce z powoli wysychającego piasku. Jakby na coś czekał... i teraz, w końcu, doczekał się. Sklepienie pieczary, strasznie niskie, legło Razwijarowi na ramionach i powrócił zapomniany strach — strach znalezienia się zamkniętym w ciele ziemi, bez powietrza i światła. Włosy stanęły mu dęba.

— Nie potrzebuję tego, co twoje — powiedział Razwijar i cofnął się.

Całkiem blisko szumiała rzeka. Trzeszczały kamienie — może w ciągu kilku chwil należało oczekiwać kolejnego obsuwu. Razwijara zalał zimny pot na myśl, że może na zawsze zostać pod ziemią razem z nieboszczykiem, którego i obecność była odczuwalna jak dotyk zimnych rąk, zaciskających się na szyi.

— Razwijar! — głośno zawołała Jaska z zewnątrz. Jej głos rozwił przytłaczającą go wizję.
— Co tam jest?

— Nie potrzebuję tego, co twoje! — po raz trzeci powtórzył półkrewi Heks. — Pozostań martwym!

I wydostał się z pieczary pod niebo.

* * *

Wróciła pomoc z obozu — sam herszt, a wraz z nim trzech ludzi ze sznurami i drągami. Zbiry nie odczuwały lęku przed martwym magiem, ale Dok–Szert wiedział więcej niż oni i długo milczał, kiedy Razwijar opowiedział o swoim znalezisku.

— Nie trzeba go ruszać — zakończył swoją relację samozwawńczy spadkobierca zamku.

Dok–Szert zaklął.

— Nadchodzi czas, szkatułko. Kiedy wejdziemy do zamku?

— Jutro — powiedział Razwijar.

Ten długo mu się przyglądał, w końcu uśmiechnął się:

— Jesteś bardzo pewny siebie, Heksie. Jeśli oszukujesz, ugotuję cię w kotle. Już robiłem takie rzeczy.

— Nie wątpię — powiedział Razwijar. — Nie wątpię, że robiłeś.

Osuwisko uspokoiło się. Masy skalne przestały wydawać głuchoe dźwięki. Rzeka oswoiła się z nową linią brzegu, a woda pieniała się wokół kamieni, z wyglądu niespokojna i bezsilna. W rzeczywistości — Razwijar to wiedział — kamienie już popadły we władzę stałej, niestrudzonej, bezlitosnej siły, która, zlizując po ziarnku piasku na rok, przegryza przejścia w ciele kamienia, zaokrągla ostre brzegi, ukrywa to, co jawne i ujawnia to, co ukryte. Woda podobna jest do czasu, pomyślał „maleńki Heks” i uśmiechnął się. Tam, pod ziemią przeżył taki wstrząs, że teraz jego myśli były bezkształtne i abstrakcyjne.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. W tym czasie jednak ludzie Dok–Szerta utorowali tymczasową drogę przez wyrwę, ale w dół, do pieczary, nie schodzili. Dziewczyna jakiś czas siedziała obok, potem znikła. Nie od razu to zauważył.

— Jaska?

Dwóch zbirów wyznaczonych do szpiegowania spojrzało na niego podejrzliwie.

— Gdzie dziewczyna?! — zapytał ich. — Gdzie patrzycie, przyśleпки zatracone, czy macie w zadach?!

W tym momencie Jaska wyjrzała z pieczary na dnie wyrwy, stanęła i zmrużyła oczy od jaskrawego dziennego światła.

Zastygł na mgnienie chwili. Potem skoczył w dół, czując jak drgnął kamień pod jego nogami. Znowu zatrzeszczała ziemia, Razwijar chwycił dziewczynę za ramiona, gotowy ją zabić.

— A ty co?! Ty...

— Czekaj — była bardzo blada, z przegryzioną do krwi delikatną wargą. — Pomóż mi... wyjść.

Z pomocą zbirów wyciągnął ją na górę i wyszedł sam. Rzeka szumiała, delikatnie podmywając brzeg, wgryzając się w skałę. Dziewczyna często mrugała, kuliła się, przyciskała do piersi silnie zaciśnięte pięści.

— Po co tam poszłaś? Po co?!

— Idziemy — trochę odpocząwszy, pociągnęła go z powrotem wzdłuż brzegu. Pilnujący zostali w tyle.

— Jaska? — Teraz, kiedy panika i wściekłość ustąpiły, Razwijar odczuł nowe, narastające zaniepokojenie. — Posłuchaj... co...?

Kiwnęła głową ptasim ruchem, jakby dziobnęła. Otworzyła lewą rękę. Popatrzyła na czerwoną dłoń ze śladami wbitych paznokci. Lewą dłonią rozwarła prawą — z widocznym wysiłkiem. Niewiarygodnie błysnął pod niebem turkusowy kamień.

Razwijar zachwiał się.

— On mi go oddał — wyszeptała dziewczyna. — Klnę się na wszystko. Sam mi oddał.

— On jest martwy.

— Tak. On jest strasznie silny, nawet martwy...

Jaska nagle objęła go lewą ręką... Mocno ścisnęła. Puściła. Zaczęła gorączkowo mówić, w pośpiechu połykając słowa:

— Tylko raz widziałam maga. Siostrzeńca nie liczę, on jest jeszcze całkiem mały. Tylko raz, tego starca, który przyleciał na skrzydlaku po chłopca, a ja go ogłuszyłam... A teraz widziałam prawdziwego maga, rozumiesz. Martwego... pierwszy raz w życiu. Zrozumiałam, co to jest.

Znowu otworzyła pięść. Pierścień Poranka Bez Skazy leżał na jej dłoni.

— Wiesz, kim on jest? — cicho zapytał Razwijar.

— Tak. Zdrajcą, zabójcą, oprawcą swojego narodu. Straszny człowiek... to znaczy półczłowiek. Rozumiesz, pomogło mi to, że on jest chimajrydem, wyobraziłam sobie Łuksa i zrobiło mi się mniej strasznie... Po prostu weszłam i patrzyłam na niego, czułam się okropnie, rozumiejąc, kim jest. I nagle jego ręka — prawa — całkowicie się rozsypała... W pył... I pierścień się potoczył w moim kierunku. I wtedy, kiedy toczył się po kamieniu, stało się dla mnie jasne jak słońce, że Poranek mi go oddaje. On wiedział, że jestem... magiem, rozumiesz.

Razwijar szybko się rozejrzał. Zbiry były całkiem blisko, ale szumiała rzeka, zagłuszając słowa.

— Nikt nie powinien wiedzieć — odezwał się, czując jak pęka mu wyschnięta skóra na wargach.

Zatrzymali się obok tego samego miejsca, gdzie siedzieli jeszcze godzinę temu, patrząc na góry i rzekę. Tutaj, gdzie kiedyś wypuścił Łuksa, zamiast wypełnić rozkaz władcy i zabić jeńca. Razwijar był wstrząśnięty spotkaniem z Porankiem Bez Skazy, ale to, co stało się z dziewczyną, rozbiło go zupełnie.

— Nikt nie powinien — powtórzył szeptem. — Daj, schowamy ten pierścionek.

— Nałożę go.

— Jaska...

— Nałożę i zamotam palec szmatką. Nikt nie zobaczy.

— Jaska, to *jego* pierścień.

— Każdy mag powinien mieć pierścień. Tak mówiłeś — popatrzyła na swoją lewą rękę z włożonym na palec drewnianym pierścionkiem. — I jeszcze to, że każdy mag powinien mieć nauczyciela. Uznamy zatem, że Poranek Bez Skazy jest moim nauczycielem. On sam tak zdecydował.

I zanim Razwijar zdążył ją powstrzymać, włożyła pierścień z turkusowym kamieniem na wskazujący palec prawej ręki.

* * *

Wieczorem przybył goniec: karawana z niewolnikami zatrzymała się na noc w Kipieli. Ludzie zmęczeni się szybkim marszem, karawaniarz przestraszył się, że towar dotrze niezdatny do użytku i pozwolił niewolnikom odpocząć na brzegu ciepłego jeziora.

— Powiedziałeś „jutro”, szkatułko — przypomniał Dok-Szert.

— Powiedziałem — zgodził się Razwijar. — Odejdź i daj mi pomyśleć i przygotować się.

Były marynarz powstrzymał się od dalszej rozmowy. Zapewne wyobraził sobie, jak będzie gotował Razwijara w kotle. Błysnął oczami i odszedł.

— Niczego nie czujesz? — piąty raz zapytał Łuks Jaski. Ta siedziała, kołysząc delikatnie rękę z przewiązanym szmatką palcem niczym lalkę. Palec nie był uszkodzony. Opatrunek skrywał pierścień Poranka Bez Skazy.

— Nic — odezwała się nieobecny głosem. — Oprócz tego, że pierścień trafił mi się w samą porę... Myślałam, że odkryje się przede mną coś nowego — przyznała z nieoczekiwanym żalem.

Razwijar patrzył na zamek.

Dzisiaj ostrzelano ludzi Dok-Szerta. Kryjąc się wśród kamieni, opryszki podeszły zbyt blisko. Dwóch zostało lekko rannych. Stało się zupełnie oczywiste, że szturmem zamku nie wezmą. Obrońcy nie oszczędzali strzał.

— Na dolnej kondygnacji jest zbrojownia — powiedział Razwijar. — Kuźnia, zapas...

— Powiedz, specjalnie przyprowadziłeś tego starca? Żeby wpuścić go do zamku? — nieoczekiwanie zapytał Łuks.

— Nie. Słowo honoru. Przeciwnie — myślałem, że dziesiętnik Bran pomoże się z nimi dogadać.

Chimajryd z trzaskiem poderwał chwościk na końcu swojego ogona.

— Czy Poranek Bez Skazy może pomóc nam wejść do zamku?

— Poranek Bez Skazy nigdy nikomu nie pomagał — odpowiedziała za Razwijara Jaska. — Tylko sobie.

Jej nozdrza rozdymały się. Samozwańczy spadkobierca zamku stał się czujny:

— Czujesz coś?

Milczała.

— Tak — odpowiedziała po chwili bez przekonania. — Pachnie dymem.

— To, to i ja czuję — powiedział Łuks. — Pałą drewno pierwszej klasy! Przepuszczają nasze drwa! Nasz przyjaciel, handlarz Remysz, włosy by sobie powyrywał z żalu!

— To inny dym — Jaska skuliła się. — Razwijar... pójdziesz ze mną?

— Dlaczego proponujesz tylko jemu? — Chimajryd aż podskoczył na wszystkich czterech łapach. — Dzisiaj już razem chodziliście... Razwijar, proszę, poczekaj na nas tutaj!

— Jesteś ranny...

— Byłem! Nie szukaj wymówek, ona jest także moją żoną! Dlaczego mamy nie pójść we dwoje? Po prostu pospacerować? Po prostu.

Pół-Heks zobaczył, jak Jaska się zmieszła.

Widział, jak błyszczą oczy Łuksa i jak jego smagła skóra staje się jeszcze, ciemniejsza od zalewającego go rumieńca.

Obejrzał się. Zbiry przysłuchiwały się ich słowom. Oczywiście powleką się w ślad za nimi, będą obserwować i pomogą w przypadku niebezpieczeństwa. Chimajryd w jednej rzeczy miał rację, na myśl o ich przyszłym spacerze, Razwijarowi jakby rozprostowała się w piersiach żelazna wstęga z zaostrozonymi krajami.

— Idźcie, jeśli chcecie — powiedział sucho.

Jaska potknęła się. Łuks podtrzymał ją za łokieć i dosłownie pociągnął na szczyt po stromej ścieżce, na jego bokach kołysały się klingi w pochwach. I nie nauczyliśmy się walki w parze, pomyślał Razwijar. Z tarczami... Oslaniając się przed strzałami... Spośród jeźdźców nagórskich wywodzą się doskonali łowcy na skrzydlakach...

Zmierchało. Zamek stał, potężny i żaloszny w swoim zaniedbaniu. Wiedział, że próby odzyskania podziemnych i skalnych przejść do niczego nie doprowadziły — wszędzie były tylko

zapory, zwaliska, niektóre naturalne, a inne wytworzone ludzkimi rękami. obrońcy ruin zabezpieczyli się na wypadek ataku od tyłu.

Gdzie pogrzebali władcę, pomyślał Razwijar ze smutkiem. Co stało się z jego mogiłą? „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”

Potań uszy dłońmi. Było mu zimno, z każdą minutą coraz bardziej. W takich chwilach — beczynności, odrętwienia — zawsze przychodziła mu do głowy jedna i ta sama myśl. I teraz, siedząc na kamieniu, mechanicznie zaczął przeglądać w myślach wszystko co ma, starając się odnaleźć coś, na czym mu naprawdę zależy.

Och, jak dobrze byłoby znaleźć się na pustyni, umierać z pragnienia i znaleźć źródło. I oddać je w ofierze Miedzianemu Królowi, śmiejąc się ze szczęścia popękanymi wargami. Jak drżał głos władcy, jak trzęsła się jego ręka.

Słońce dawno zaszło za góry. W mroku okolice zamku na chwilę stały się znajome — takie, jakimi pamiętał je Razwijar. Oto ścieżka, po której ganiał go dziesiętnik Bran z workiem kamieni na plecach. A tam dalej stała szopa, gdzie przechowywano narzędzia; kilofy, łopaty, bloki i łańcuchy, koromysła. A jeśli zadarło się głowę można było rozróżnić okno Wschodniej Ciemnicy, gdzie spędził wiele nocy, wspominając las, dom, ojca i matkę.

Heks zmrużył oczy, starając się chociaż odrobinę, chociaż we fragmentach przywrócić te wspomnienia. Ale nie widział ani lasu, ani wiewiórek, ani świetlików. Tylko zgłiszczca. Tylko ruiny.

— Miedziany Królu! — wyszeptał przez zęby.

Chęć, żeby niezwłocznie złożyć coś w ofierze, zmienić się, rozjaśnić od wewnątrz, była tak silna jak głód i pragnienie. Wpatrzył się w swoje dłonie — co? Co on ma?!

— Przesiadujesz tu sobie, szkatułko?

Poznał głos przybysza, ale się nie odwrócił. Były marynarz podszedł szeroko stawiając nogi, pod jego sapogami chrzęściły kamienie.

— Twoja baba całuje się z półczłowiekiem — powiedział Dok-Szert z nieukrywanym zadowoleniem. — To sobie popatrzylem...

Razwijar milczał.

— U zwierza przymioty trochę większe od twoich — oprych ziewnął ostentacyjnie. — A u pociągowego rogacza, na przykład, jeszcze większe. Co? Ta twoja gustuje w czworonogich?

Milczał dalej.

— Wymyśliłeś jak wejść do zamku? — łagodniej zapytał Dok-Szert.

Po raz kolejny odpowiedziało mu uparte milczenie.

— Myśl — łaskawie przyzwolił powiernik Nowa i odszedł. Razwijar słyszał, jak oddała się chrzęst kamieni pod jego nogami. Popatrzył na swoją rękę, ściśniętą w pięść. Między palcami pojawiła się krew. Ostry kamyczek, ściśnięty w dłoni, głęboko poranił skórę.

Szybko się ściemniało.

— Razwijar!

Odwrócił się.

Przelatując z kamienia na kamień, zbiegając po wręcz pionowym stoku lekko, jak może tylko schodzić woda i chimajrydzi, mknął ku niemu Łuks z Jaską na grzbiecie. Policzki dziewczyny zrobiły się jaskrawoczerwone od szalonego pędu, albo od czegoś innego. Półczłowiek podskoczył ku Razwijarowi i stanął jak wryty. Siedzącego pół-Heksa owionął gorący wiatr, zmieszany z zapachem ich ciał. Dobrze, że w półmroku Jaska nie widziała jego twarzy. A Łuks...

— Chodź z nami — wyrzuciła z siebie dziewczyna. — Proszę. Chodźmy.

* * *

Niebo, które przygasło do bladoopalonego koloru, jakby rozmyśliło się ciemnieć i ukryło się, wypuszczając trzy, cztery jasne gwiazdy. Zębate szczyty gór, otaczały je jak spokojne jezioro.

Łuks szedł przodem, cały czas niosąc na grzbiecie Jaśkę. Razwijar przedzierał się ich śladem. Za nimi coś krzyczeli zbóje Dok–Szerta, najpierw grozili i kazali się zatrzymać, potem rzucili się, żeby ich dogonić, nie spuszczając podopiecznych z pola widzenia. Zbliżała się do nich obstawa.

— Co tam? — kłótliwie zapytał Razwijar.

— Dym! — wykrzyknęła Jaska. — Musimy tam iść. Łuks! Na lewo!

Spadkobierca zamku nagle poznał to miejsce. Oto wieża strażnicza, na której kiedyś siedział łucznik. Oto zakręt drogi, za którym traci się budowlę z widoku.

— Dym? Gdzie?!

— Tam! Wyżej!

Teraz Razwijar sam poczuł ten zapach. Mimochodem przypomniał sobie opowiadanie flisaka Jaszmy, który znalazł w ruinach puchar i widział dym, wysoko na stoku...

— Powinieneś popatrzeć — powiedziała Jaska ciężko dysząc. — Nie podchodziliśmy blisko... Powinieneś sam...

Łuks nagle przypadł do ziemi wszystkimi czterema łapami. Jaśkę zarzuciło na jego grzbiecie.

— Bogini Wof — chimajryd wzdrygnął się od głowy po koniuszek ogona. — Ja tam nie pójdę. To...

Patrzył przed siebie, tam, gdzie w mroku widniał słup czarnego dymu.

— Tak — powiedział Razwijar, czując, jak wracają mu siły.

— Kto to znalazł? Ty, Jaska?

Uścisnął ją tak, że aż zapiszczała:

— Puść!

— Wasza wysokość...

— Puść, durniu!

Łuks przełknął ślinę:

— Ja... nie pójdę tam. Nie lubię ich.

— Poczekaj tutaj. Jaska, ty też.

— Pójdę z tobą! Ja to znalazłam...

— Poczekaj.

Nowe gniazdo znalazło się obok starego — niżej o jeden zakręt na drodze. Nie było ani kamieni, jakimi zazwyczaj obkłada się siedlisko ogniewuchy, ani bloków, ani łańcuchów, ani wartowników. Razwijar wstrzymując oddech przysłonił twarz ramieniem i zajrzał w dół, do jamy, w której znajdowało się gniazdo.

Oczy od razu zaczęły mu łzawić od dymu i żaru. Mrugając i strącając łzy, zobaczył maleńkiego, chudego ptaszka, z długim ogonem, podobnego do dużego czerkuna. Po jego piórach biegały iskry. Siedział, rozpostarłszy ogromne, przezroczyste skrzydła — przykrywał składowisko z trzech jaj rozgrzanych do czerwoności, podobnych do wielkich szpetnych głów.

Razwijar wyprostował się, czując, że nie starcza mu powietrza. Odpełznął na bok, odetchnął. W głowie nie miał żadnej myśli, tylko dudniła krew.

Oderwał kawał materiału od płaszcza i obwiązał twarz. Wstrzymał oddech i znowu pochylił się nad gniazdem. Długi miecz Heksów sięgał niemal samego dna.

Razwijar położył się na brzuchu na gorących okopconych kamieniach. Ostrzem miecza wytoczył jajko spod skrzydła rozgrzanego ptaka; ten siedział bez ruchu, tylko śledząc intruza parą dużych, ogniście czerwonych, z wyglądu wilgotnych, oczu.

— Ehmm... Dzię-dziękuję —wymamrotał Razwijar w szmatce, zakrywającej twarz. Zakaszłał, tkanina nie chroniła zbyt dobrze przed dymem. Mrużąc oczy niezbyt silnie uderzył mieczem. Jajo nie poddało się, było zapewne za małe, zbyt niedawno ogniewucha je zniosła i larwa nie zdążyła się rozwinąć...

Dusił się. Dym wżerał się w oczy. Czarny miecz Heksów był niewidoczny, zlewał się z otaczającym go dymem i ciemnością. Prawie nie patrząc, Razwijar uderzył jeszcze raz i całą duszą zapragnął rozłupać przeklęte jajo, rozbić, zniszczyć.

Zionęło żarem. Razwijara odrzuciło od brzegu gniazda — z opaloną twarzą, bez brwi i rzęs. W dole krzyknęła Jaska. I od razu, oświetlając sobą całe zbocze, podniosła się z gniazda poczwara ogniewuchy. Zawisła w powietrzu, rozłożywszy ostre skrzydła. Posypała się sadza niby pyłek.

* * *

Na drugi dzień, jak tylko pojaśniało, do jedyne go wejścia do zamku podeszli Razwijar pod rękę z Jaską. W ślad za nimi Dok-Szert prowadził około trzydziestu zbirów, najodważniejszych ze wszystkich, którzy mu podlegali. Pojawienie się ogniewuchy przeraziło „strażników” o wiele bardziej, niż perspektywa znalezienia się pod obstrzałem. W jej obecności ludzie Nowa byli bliscy hysterii, gotowi siec mieczami na prawo i lewo.

Razwijar wyszedł na odkrytą przestrzeń przed galerią. Podał rękę Jaśce i pomógł jej zejść ze skalnego występu. Były marynarz po krótkim wahaniu ruszył za nimi. Ognista poczwara usiadła przed nimi na kamieniu, złożywszy skrzydła na grzbiecie, niby ogromne dłonie.

Samozwańczy spadkobierca zamku usłyszał, że obrońcy ruin zobaczyli ogniewuchę przez okienka strzelnicze. Zastukotały, załomotały sapogi po kamiennej galerii, zawirował ciąg powietrza, ktoś krzyknął zdławionym głosem. Z zamku wyrwała się strzała — pojedyncza, puszczone ze strachu i rozpacz. Razwijar od razu wiedział, że w nikogo nie trafi. I tak się stało; ludzie Dok-Szerta, na przekór rozkazowi, odpowiedzieli paniczną, bezładną salwą — dziesięć strzał uderzyło o mur, chaotycznie, bezsensownie.

— Nie strzelać — splunął Razwijar, odwróciwszy głowę do byłego marynarza. — Masz żołnierzy czy durniów?

— Nie strzelać! — warknął Dok-Szert.

Blade policzki dziewczyny powoli nabierały rumieńców, zalewając się wewnętrznym żarem.

— Co dalej? — przez zęby zapytał powiernik Nowa.

— Czekamy.

Nozdrza Jaski drżały. Igrały, jakby drażniły wiatr.

— Po co wzięłaś dziewczynę?

— Żeby zademonstrować dobre zamiary.

— Swoją babę? A może ona już nie jest twoja?

— Jeśli się nie zamkniesz, przywódco...

Razwijar zaciął się. Napięcie udzielało mu się, język stawał się do nieprzyzwoitości niezależny i gibki, miał ochotę mówić bez ustanku, grozić, unosić się, szydzić, ale zmusił się do milczenia. Ile czasu minęło? Dostatecznie dużo, żeby panika na galerii ucichła, żeby oblężeni poważnie zastanowili się nad sposobami ocalenia. Dlaczego Bran milczy?

— Ej, ludzie w zamku! — krzyknął Razwijar. — Wiecie, jakie mam ze sobą zwierzę, widzieliście je! Ono będzie mi posłuszne jeszcze trzy dni i trzy noce i wedle rozkazu wypali wszystko, co żywe w zamku!

Zamilkł. Okienka strzelnicze patrzyły na niego — krzyże, zygzaki, cienkie linie jakby starały się ułożyć w pismo i nabrać znaczenia.

— Nie potrzebuję waszej krwi! — zawiesił głos. — Byliśmy towarzyszami! Niech wyjdzie Bran, nie tknę go, chcę tylko porozmawiać!

Jaska nagle chwyciła go za rękę. W geście tym kryło się przerażenie.

— Co?

Dziewczyna cofnęła się. Pociągnęła go za sobą:

— Tam...

— Co?!

Zaskrzypiały drzwi, kiedyś wysokie, a teraz do połowy ukryte pod ziemią.

— Nie strzelać — wyszczał Razwijar.

Niezgrabnie, bokiem, trzymając w powietrzu okaleczoną rękę, wyszedł dziesiętnik. Miał twarz człowieka, niosącego na wyciągniętych rękach ciężki kocioł z wrzątkiem nad głowami bawiących się dzieci. Pół-Heks nie przypuszczał, że zmęczona, pokryta zmarszczkami, obojętna twarz starca, może wyrażać takie napięcie, popłoch i strach.

— Sam... tego... — powiedział Bran, a Razwijar nie rozumiał go, dopóki zza drzwi, w ślad za nim nie wyrwał się snop iskier i nie wyleciała ogniewucha, większa od tej, którą on sam przywiódł, potworne stworzenie.

— Sam tego chciałeś — powiedział dziesiętnik i oblizal wyschnięte wargi. W ślad za pierwszą larwą z zamku wyszła druga. Razwijar w przerażeniu wpatrywał się w drzwi, oczekiwał trzeciej, czwartej, piątej...

— Nie ty jeden jesteś taki mądry — wychrypiał Bran. — Ja umrę za cenę twojego życia. Godnie.

Półkrwi Heks stał jak skamieniały. Przypomniawszy sobie cienkie smugi dymu, unoszącego się nad zamkiem dzień i noc. Rzeczywiście przecenił swoje szczęście.

— W zamku władcy nigdy nie zasiądzie nocny baron — powiedział Bran, a jego głos brzmiał teraz ciszej, ale mocniej, prawie jak za dawnych czasów. — Ani jego przydupas.

— Stary dureń — pewnym, dźwięcznym głosem przemówiła Jaska. — Wiesz, kogo masz przed sobą? Jak śmiałeś nazwać go przydupasem, głądziolo!

Dziewczyna ściągnęła z ręki szmatkę, którą wolno odplątywała przez całą rozmowę. Uniosła rękę. Turkusowy pierścień Poranka Bez Skazy rozbłysnął zimnym ogniem na jej palcu.

Razwijar nadstawił uszu. Usłyszał ni to jęk, ni to westchnienie, dochodzące z galerii. Wszyscy, jak zaczarowani, wpatrzyli się w pierścień. Razwijar patrzył na Brana, zrozumiał, że ten widział Poranka Bez Skazy. Możliwe, że widział go żywym.

Dok-Szert zasyczał przez zaciśnięte zęby. Szarpnął głową w tył jakby otrzymał siarczysty policzek. Jaska dumnie się uśmiechnęła, promieniując całą postacią.

Przez bardzo długą chwilę nikt się nie ruszał. Ogniewucha Razwijara siedziała obojętna na wszystko, oprócz rozkazu: ochraniać. Nie wiadomo, jaki rozkaz otrzymały ogniewuchy dziesiętnika, ale i one nie ruszały się z miejsca. Ludzie Dok-Szerta albo rozbiegli się w panice, albo pochowali się w rozstępach skalnych. Sam były marynarz wyciągnął miecz, ale nie bardzo wiedział, co z nim począć.

— To nie ma najmniejszego znaczenia — wychrypiał Bran. — Nawet magowie są bezsilni wobec ochraniających ten zamek larw. Mamy ich pełny piec. Wystawimy przeciwko wam...

Razwijar, chociaż nie był magiem, pojął, że stary dziesiętnik łże, możliwe, że pierwszy raz w życiu i dlatego tak nieudolnie. W piecu zamku ukryte były na czarną godzinę tylko dwa jaja i tylko silny strach mógł zmusić obrońców do rozbicia ich dzisiejszego dnia.

— Bran — wyszczał Heks.

Starzec patrzył na niego i nie widział. Posłuszne mu ogniewuchy uniosły się nad ziemią, czerwone punkty przebiegły po ich skrzydłach, układając się we wzór. Dok–Szert cofnął się od żaru, Razwijar poczuł, jak znowu zaczyna piec go sparzona wczoraj twarz.

— Bran! Popatrz na mnie!

Starzec drgnął. Razwijar przyciągnął jego uwagę, ciągnął ku sobie silnie i ostrożnie, jak ostatnią łyżkę kaszy, przywartą do dna kotła. Podporządkowywał swojej władzy wielu ludzi, mających o wiele słabszą wolę niż Bran. Ale jemu nie była potrzebna władza nad dziesiętnikiem, a tylko jego twarde, baczne spojrzenie.

— Patrz.

Razwijar odwrócił głowę. Dok–Szert speszył się, napotkawszy jego wzrok.

— Oto sługa nocnego barona Nowa, gotowy przejść w każdej chwili na stronę Chwata. Oto człowiek, który ma zamiar mnie zabić, jak tylko wykonam swoją robotę.

Dok–Szert nie wytrzymał i cofnął się. Wyszczeryl zęby jak czaszka w grobie.

— Ale ja nie służę nocnym baronom — Razwijar patrzył mu wciąż w oczy. — Ten zamek nie będzie należał ani do Nowa, ani do Chwata, ani do ciebie, draniu. Miejsce rozbójników jest na szubienicy. Miejsce handlarzy niewolników...

Miecz Dok–Szerta wzleciał, opisawszy ostrzem łuk. W jednej sekundzie głowa Razwijara, oddzielona od tułowia, powinna była potoczyć się po kamieniach, ale ogniewucha okazała się szybsza. Nie miała nic ani do zamku, ani do Brana, ani do kobiety, maga z pierścieniem na palcu. Nie zauważała dwóch innych poczwara. Dla niej istniał tylko jeden rozkaz — ochraniać. I, wypełniając go, rzuciła się między swojego pana, a jego wroga.

Dok–Szert zawył. Jego pragnienie przeżycia było tak silne, że zdążył przebiec jeszcze kilka kroków, zanim zwałił się na kamienie, poczerniały, w zwęglonej odzieży. Miecz, rozgrzany do czerwoności, wbił się w szczelinę między kamieniami i zasyczał, wypalając mech.

Jaska zmrużyła oczy.

W ruinach muru dały się słyszeć dzikie krzyki, bowiem ludzie Dok–Szerta, którzy jeszcze nie uciekli wcześniej, rzucili się teraz do panicznej ucieczki. Ale ogniewucha wróciła, nie prześladowając nikogo. Razwijar powiedział do niej głośno:

— Do obozu. Ochraniać Łuksa.

Larwa wzleciała nieoczekiwanie wysoko jak ptak, i ciężko poniosła się w dół od zamku.

Dziesiętnik Bran otworzył usta i znowu zamknął. Razwijar popatrzył mu w oczy:

— Teraz jesteśmy tutaj ty, ja, twoje ogniewuchy i kobieta, którą kocham bardziej niż własne życie. Tam w dole zaś są karawany z drzewem, z robotnikami i architektem. Jest tam prowiant i broń. Tam jest mój brat, któremu grozi niebezpieczeństwo i pięć dziesiątków uzbrojonych ludzi, którzy służą nocnemu baronowi. Ilu jest ludzi w zamku?

— Dwudziestu — odpowiedział Bran, chociaż początkowo nie miał takiego zamiaru.

— Rozumiesz, kto stoi przed tobą?

Minęła długa chwila. W galerii panowało milczenie. Ściana zamku zniknęła w górze. Tam, pod samym niebem, ciemniały łuki i świeciły rzeźbione, ażurowe balkony z gniazdami czerkunów, uwitymi w szczelinach.

Dziesiętnik zachwiał się. Wolno osunął się na jedno kolano.

— Tak, władco.

* * *

— Mam rodzinę w Fier — powiedział główny budowniczy. — Panie... Mam rodzinę w Fier. Mam rodzinę.

Wszystko było jasne. Z ludzi Dok–Szerta ocalała ledwie połowa. Zajęli obronne pozycje w szczelinach skalnych i roztrwonili prawie wszystkie swoje strzały, ale Bran rozkazał ogniewuchom nie ruszać ich. Panowanie nad larwami okazało się dla dziesiętnika o wiele trudniejsze, niż najbardziej nieznośna robota. Wolał zabijać wrogów w walce, szlachetną stałą.

Za to ogniewucha Razwijara, maleńka i niepozorna, wywoływała w zbirach przerażenie.

Zwycięstwo trudno było nazwać sukcesem; trzech obrońców zamku zginęło, trzech zostało rannych. Wolnonajemni robotnicy miotali się zdezorientowani. Zaprzęgnięte rogacze, które wpadły w panikę na widok ogniewuch, ryczały zawodząco. Bydło próbowało się rozbiec, na szczęście odbiegło niedaleko. Ocieżałym zwierzętom trudno było poruszać się po kamienistych ścieżkach. Wywróciły się dwa wozy, rozsypało się drzewo. Straty mogłyby stać się niepowetowane, gdyby nie Jaska, która posłuszna prośbie Razwijara, wzięła się za uspokajanie bydła i zaprowadzanie na miejsce ludzi.

Kłęczała kołysząc się. Pierścień gorzał na jej palcu i rogacze zapadały w sen dosłownie w biegu. Robotnicy bezwolnie włązili z powrotem pod furmanki. Chmury z całego nieba ściągały ku Jaśce, gdzieś tam pod kamieni wychodziły człapacze i szły do niej ufnie. Ona potrząsała głową, strącając z czoła kropelki potu i wycierała krew z nosa, i znowu zaczynała się kołysać, niby gliniana kukła, a walka szła swoim trybem i ludzie Dok–Szerta umierali w ślad za hersztem.

Niezauważona w wirze walki przybyła karawana niewolników. Pierwsze, co rozkazał Razwijar karawaniarzowi — rozkuć niewolników i zabrać się za prace pogrzebowe.

— Oni się poddają — powiedział wysoki jednooki strażnik, obrońca zamku i machnął rękawicą w stronę szczeliny, gdzie skryli się ocaleli ludzie Dok–Szerta. — Przyjmujemy ich kapitulację?

— Krzywulec? — rozpoznał go Razwijar.

Strażnik głośno przełknął.

— Tak. No tak...

Razwijar objął go. Wcześniej Krzywulec, jeszcze ze zdrowymi oczami, był wyższy od niego prawie o głowę. Teraz byli równi wzrostem. Dawny kompan zmieszał się, potem niezgrabnie objął Razwijara w odpowiedzi.

— Tak... co z nimi robić?

— Wziąć — zarządził Razwijar. — Będą nam potrzebni robotnicy w kamieniołomach. Przypilnuj, żeby ani jeden nie uciekł.

Zostawił strażników i Brana, zajmującego się swoimi sprawami i podszedł do Jaski. Obok niej stał już Łuks — naburmuszony, ale cały.

— Dziękuję — Razwijar położył rękę na głowie dziewczyny.

— Zrobiłam, co kazałeś. Z pierścieniem łatwiej.

— Zaopiekujesz się nią?

Chimajryd kiwnął głową i Razwijar skierował się ku architektom. To byli niebiedni, szanowani w Fier ludzie, starszy miał około czterdziestu lat. Błady, łysiejący, stał obok wozu, z całych sił starając się nad sobą zapanować.

— To tylko zmiana pracodawcy — powiedział im.

— Będziecie robić tę robotę, na którą się umówiliśmy i otrzymacie wynagrodzenie. Rozumie się, w przypadku sukcesu.

— Mam rodzinę w Fier — powiedział główny budowniczy i głośno westchnął. — Jak mogę wam służyć... jeśli wy, panie, wystąpiliście przeciwko nocnemu baronowi?!

— A jak możecie mi nie służyć? — cicho zapytał Razwijar. Architekt szarpnął kołnierz kurtki, który i bez tego był rozciągnięty — budowniczemu brakowało po prostu powietrza.

— Proszę się uspokoić, szanowny panie — powiedział Razwijar. — Now będzie miał zbyt wiele innych zmartwień, by mieć czas mścić się na waszych rodzinach.

* * *

— Rozkaż im wskoczyć do rzeki, dziesiętniku.

Bran spazmatycznie łapał powietrze i często podnosił ręce do ust. Zdawało się, że go mdli.

— Po co? Jeszcze dwa dni...

— Rogacze boją się ich i przewracają wozy. Ludzie się boją i tracą wolę działania. A jeśli ty, w czasie tych dwóch dni poślizniesz się i uderzysz głową o kamień — stworzenia wyrwą się na wolność i nikomu nie będą posłuszne.

Ogniewucha Razwijara pierwsza poleciała do rzeki — w dół po stoku. Bran zwlekał kilka chwil. Potem, larwy posłuszne jego woli, zerwały się z miejsca i runęły w ślad za pierwszą.

— Co teraz będziesz robił... władco?

— Poślij ludzi na przełęcz, Bran. Mały oddział złożony tylko z zaufanych ludzi. Niech zamkną dolinę — nikt nie powinien dostać się do Kipieli.

— Zrobi się.

— Masz szpiegów w Fier?

Dziesiętnik przełknął głośno:

— Nie... Skąd?!

— A patrole na ziemiach chimajrydów? Krzywulec mógłby posłać nieduży zespół...

— Posłuchaj, oni siedzieli tutaj jak szczury pociągowe w bębnie i wszystko, czego chcieli to utrzymać zamek i pozostać przy życiu! Głodowali i walczyli... moje dzieci — głos dziesiętnika zmienił się. — Dobrze ich wychowałem... Rad bym zobaczyć... w końcu. Ale ich jest zbyt mało, a trzech pochowano dzisiaj.

Zachwiał się. Razwijar podtrzymał go za ramię.

— To kara — cicho powiedział Bran. — Ja do tej pory ich widzę. Stoją na tym zboczach i patrzą na mnie. Oni...

Nagle jego twarz wykrzywiła się. Patrzył przed siebie z takim przerażeniem, że Razwijar gwałtownie odwrócił się, chwytając za miecz.

To był Łuks. Chimajryd pędził wielkimi skokami, przyciskając do piersi dziwny przedmiot, w którym spadkobierca zamku nie od razu poznał klatkę dla nietoperzy pocztowych.

— Razwijar! List z Fier. Dla Dok-Szerta!

Przyszły władca podchwycił dziesiętnika, gotowego upaść, bladego jak ściana.

— To Łuks. Bran, to mój brat, to nie przywidzenie!

Wsunął rękę do klatki. Wziął w garść nowego samca, który pokonał długą drogę w imię spotkania z przyjaciółką, odwiązał od jego łapy jedwabną, białą wstęgę z tekstem listu, rozwinął i przeczytał nieoczekiwanie pięknie, literacko, napisane słowa:

„Kumple Nowa wsypali. Wszyscy. Chwat”.

* * *

— Chimajryd przestąpi próg zamku?

— Przestąpi — przytaknął Razwijar. — To mój brat, zwał go Łuna Księżycy. Na razie zapamiętaj to imię Krzywulec, a o chimajrydach porozmawiamy później.

Wszedł do zamku, w którym nie był od tak dawna. Przeszedł próg, słuchając wewnętrznej muzyki, w rodzaju tej, którą kiedyś niósł wiatr z szybującego miasta Mirtie. Rozejrzał się dookoła i muzyka ucichła — zamek, prawie nienaruszony z zewnątrz, wielce ucierpiał wewnątrz.

Skrzywiły się i popękały ściany. Osiadły podłogi, w których teraz ziały wyrwy. Schody poszczerbiły się. W pomieszczeniach, do których wcześniej swobodnie przenikało światło dzienne, teraz było prawie ciemno, galerie i okna zawałone były kamieniami.

— Za tę kupę kamieni warto było się bić? — wyszeptał Łuks.

Jaska wzięła go za rękę; ni to pocieszając, ni to samej szukając pocieszenia.

— Gdzie go pochowano? — odezwał się Razwijar.

Dziesiątnik Bran nie zapytał, kogo.

— Na górze. W górnej galerii.

— Górna galeria się zachowała?

— Jako tako.

— A szyb? Szyb jest cały?

Dziesiątnik ze zmęczeniem pokręcił głową.

— Nikt tam nie schodził od tamtej pory. Myślę, że jest tam woda. Woda cały czas wgryza się w zamek od dołu...

Jakby w odpowiedzi na jego słowa dał się słyszeć ciężki dźwięk, zdawało się, że głęboko pod ziemią rozerwała się basowa struna. Struzka piasku posypała się ze szczeliny w suficie na głowę Łuksa. Otrząsając się, mimowolnie wysunął pazury i kościane igły zazgrzytały po kamiennej podłodze.

— Podłoga... zamek się chwieje — powiedział prawie niesłyszalnie Krzywulec, który podszedł do nich bezgłośnie. — Każdego dnia pojawiają się nowe pęknięcia.

Razwijar milczał. Bran spoglądał na niego spod ciężkich powiek. Pełnym napięcia wzrokiem, rozkazująco, patrzył Krzywulec. Podeszli pozostali strażnicy; jednych poznawał, innych, mocno postarzałych — nie.

— Przyprawdźcie tu architektów — odchrząknął i nawilżył wyschnięte gardło. — I robotników. Jeńcom każcie oczyścić pokrytą szlamem jamę, bo inaczej wszyscy się tym syfem zachłyśniemy. A majstrowie niech obejrzą bloki. Przynieście olej do smarowania, narzędzia, cepy. Szukajcie pochodni, przynieście wszystkie, jakie są... Nie, Łuks, nie ty. Ty będziesz ze mną. I ty, Jaska, także.

* * *

Architekci oglądali zamek kilka godzin. W tym czasie Razwijar zdążył całkowicie podporządkować sobie obóz: karawaniarzy, robotników i nawet niewolników.

— Dam wolność temu, kto będzie pracować sumiennie. Dam pieniądze. A tego, który spróbuje uciec, zabiję bez zbędnych pytań.

Jaska stała obok, złożony rękę na piersiach tak, żeby widoczny był pierścień. Łuks trzymał dłonie na rękojeściach swoich mieczy i to wypuszczał, to znowu wciągał swoje pazury.

Razwijar napisał do Chwata list: „Wszyscy. Czekaj na wiadomości. Dok”. Samica nietoperza poniosła do miasta jedwabną wstążeczkę na nodze. Liczył się czas, gra na zwłokę. Nowy władca bardzo liczył na to, że nocny baron uwierzy w list i na pewien czas zapomni o zamku.

W gnieździe ogniewuchy zostały dwa jaja. Razwijar myślał o tym, żeby rozbić oba i od razu utopić larwy, ale się na to nie zdecydował. I zamek i obóz były teraz słabe, rozdarte, niczym rozpruta poduszka, a Chwat, który dopiero co przejął władzę nad portem Fier, miał wystarczająco

ludzi i ekwipunku. Jeśli zjawi się wielki, uzbrojony oddział, to tylko dzięki ogniewuchom będzie można utrzymać dopiero co odzyskany zamek.

Ale kogo postawić na straży gniazda?

Razwijar nie dowierzał ani Krzywulcowi, ani nawet Branowi. Doskonale wiedział, znał siłę tej pokusy, pokusy trzymania u nogi niemal wszechmogącego, potwornego, całkowicie wiernego stworzenia. Niechby tylko trzy dni i trzy noce, ale za to jaką władzą można dysponować!

— W zamku jest piec — powiedziała Jaska.

— I wielu chętnych do stłuczenia skorupy.

— Nie. Oni mogą o tym tylko marzyć, ale się nie zdecydują. Boją się poczwara bardziej niż ty. Popatrz, jak długo chronili te dwa jaja. A rozbił skorupę tylko Bran. I to z trudem.

— Nie mam czasu nosić koromysła, dokładać do ognia, palić w piecu... Nie mam czasu! — powtórzył Razwijar w nagłym wybuchu rozpacz.

Wszystko szło bardzo powoli; niewolnicy niemrawo wynosili i zakopywali martwe ciała, wolnonajemni bez pośpiechu zbierali porozbiegane w panice rogacze, stawiali na koła przewracane wozy; kucharze ledwie, ledwie mieszały łyżkami w kotłach z obiadową kaszą...

— Ja mogę przypilnować — cicho zaproponowała Jaska. — Rozumiem, że to ważne.

Przesunął dłoń po jej włosach. Przycisnął czoło do jej czoła.

— Jesteś zmęczona? Przestraszona?

— Nie — dziewczyna gwałtownie pokręciła głową. — Tylko chciałabym... umyć się. Czuję się jakoś nieswojo. Wszystko to... ta... Spalenizna.

— Wytrzymaj. Wkrótce odpoczniemy.

— Tak... Dok-Szert był bardzo sprytny, silny... Ale nie wiedział, z kim się związał. On w ogóle niczego, zupełnie niczego na twój temat nie wiedział.

— Nie zdążyliśmy bliżej się poznać.

— Żartujesz, czy co?

— Dziwi cię to?

Zaśmiała się z wysiłkiem.

— Heksi mają kiepskie poczucie humoru — przyznał Razwijar. — Dlatego nikt ich nie lubi.

— Ja ciebie lubię.

Odsunął się. Poglądził ją po policzku, zostawiając czarne smugi sadzy.

— W twojej sypialni zbudujemy basen. Świetliki będą świeciły pod wodą. Będiesz mogła się kąpać, kiedy tylko zechcesz, wasza wysokość.

Zamknęła oczy. Razwijar pocałował ją, odwrócił się i poszedł na obchód w głąb zamku.

Z wyrazu twarzy głównego architekta zrozumiał wszystko, zanim ten jeszcze otworzył usta. Budowniczy także wszystko zrozumiał — i zamarł z opuszczoną szczęką.

— Więc... Słucham?

— Dokładnie obejrzelśmy... Eee... konstrukcje nośne...

— I co?

— Zamek jest wyciosany w skałę w taki sposób, że skała okazała się, eee, fundamentem...

— Wiem! Mów dalej?

Architekt w rozpacz pokręcił głową. Wytarł z czoła krople potu.

— Możecie mnie zabić, panie, ale ja nie pojmuję... jak ta budowla do tej pory stoi — rozwinął trzymaną w ręce kartkę papieru. — Patrzcie — palec z żółtym paznokciem oparł się na przecięciu linii na prostym rysunku. — Pęknięcia u podstawy... idą w głąb góry... warstwy mieszają się... Zamek może zawalić się w każdej chwili. A jeśli zaczniemy cokolwiek robić, wzmacniać, dobudowywać... Razem z zamkiem, szybciej niż cokolwiek innego, tąpnie cała

warstwa, góra osiadzie w rzece, całkowicie zmieni się krajobraz... Najlepsze, co można zrobić, to uciekać stąd, uciekać jak można najszybciej!

Budowniczy pojął, że mówi w martwej ciszy. Zaciął się. Oderwał oczy od planu, spojrzał w twarz Brana, Krzywulca, strażników, Łuksa. W rozpaczy zwrócił się do Razwijara:

— Błagam. Uwierzcie mi. Dużo budowałem, także w górach. Wszyscy jesteśmy teraz zawieszeni nad przepaścią... Pozwólcie mi odejść!

Jego głos zamarł.

Bardzo długo wszyscy milczeli. Potem we wnętrzu góry coś trzasnęło i podłoga drgnęła pod nogami. Architekt wsunął głowę w ramiona.

— Potrzebuję drewnianych noszy — bezbarwnym głosem powiedział Razwijar. — Dobrych, solidnych i lekkich. Potrzebny jest mi aksamit, najdroższy, jaki tylko został i poduszka ze złotym haftem. Potrzebny jest mi muślin, brokat, złote i srebrne ozdoby...

— Ty co, chcesz zorganizować koronację? — ostro zapytał Krzywulec.

— Nie — uśmiechnął się lekko Razwijar. — Łuks, pomożesz mi. Trzeba zrobić ważną rzecz. Sam nie dam rady... Boję się.

* * *

Pokryli nosze aksamitem.

Powoli i ostrożnie przełożyli na aksamit to, co zostało z Poranka Bez Skazy. Wszystkich, którzy spuścili się do jego pieczary, długo nie opuszczało potem przerażenie i zimne dreszcze.

Zmierzchało. Przy zapalonych pochodniach procesja pogrzebowa ruszyła w kierunku zamku. Razwijar szedł przodem.

Platforma do opuszczania się na dół była już jako tako sklecona i przymocowana do bloków. Łuks co i rusz wycierał spocone czoło wierzchem dłoni.

— Przyjacielu — powiedział do niego Razwijar. — Ty... Jeśli chcesz... zostań.

Łuks milczał.

— Zdecyduj za mnie, jeźdźcze — poprosił cicho prawie nie otwierając ust.

— Jeśli decyzyję zostawiasz mi... To idziemy.

Łuks wzdrygnął się od czubka nosa do samego ogona, ale niczego nie powiedział. Razem z Razwijarem ułożyli nosze na podwieszanej platformie. Poranek Bez Skazy był teraz bardzo lekki. Aksamit, brokat, złoty haft ozdabiały jego pogrzebowe łoże. Dwie pochodnie paliły się u wezglowia.

— Opuszczajcie wolno — powiedział Razwijar. — Jeśli szarpnę za sznur raz, to zatrzymajcie platformę, jeśli dwa razy — podnoście.

Ruszyły na nowo naoliwione bloki. Platforma zakołysała się i zaczęła zjeżdżać w dół. W górę popęzły ściany ze śladami zębów, kiedyś trudziły się tutaj skalne robaki.

Szczeliny w ścianach, na początku wąskie, stawały się tym szersze, im niżej opuszczała się platforma. Pęknięcia oplatały szyb niczym naczynia krwionośne. Coraz głośniejszy i wyraźniejszy dawał się słyszeć trzask, jakby miażdżonych kości.

— Opowiedz mi o Jeziorze Urodzaju — powiedział Razwijar.

— Nie mogę — Łuks przełknął ślinę. — W gardle mi wyschło.

— Opowiedz, jak unosi się mgła nad wodą.

W świetle pochodni brązowa twarz nieboszczyka zdawała się prawie czarna.

— No? Przecież mi opowiadałeś? Jezioro jest piękne, niczym tysiąc pięknych dziewcząt w białych szatach. Opowiedz, jak kąpaliście się w strumieniu. Jak śpiewały człapacze, zgodnie, rytmicznie jak ludzie. I całe góry kwitły żółtym trójlistnikiem, a pyłek unosił się na wodzie...

— Niczego takiego nie ma — wyraźnie powiedział Łuks.

— Dla... dla niego.

Patrzył na nieboszczyka, pozbawionego prawej ręki. Na maga przykrytego brokatową narzutą.

— Zdrajca!

Zatrzeszczały ściany.

— Morderca! — głos Łuksa przeskoczył od ściany do ściany. Platforma silnie uderzyła w wystający kamień. Zadrzał płomień pochodni, szyb wypełnił się hurgotem.

— „To miejsce jest czczone jak świątynia” — powiedział Razwijar, kiedy rumor ucichł. — „I zazdrośnie wystrzega się postronnych oczu. Byłem prawdopodobnie jedynym obcym, któremu poszczęściło się zobaczyć Jezioro Urodzaju. W tym czasie, na jego brzegach nikogo nie było widać, tylko słońce...”.

Platforma opuszczała się coraz wolniej. Z dołu ciągnęło chłodem, wilgocią, zgnilizną.

— „Tylko słońce rozbijało się świetlistymi plamkami na spokojnej tafli wody, a na samym środku płynęli, jak jedno stworzenie, jeździec i jego brat. Widziałem tren piany na wodzie, który ciągnął się za nimi i dwa, niemal jednakowe oblicza zwrócone na wschód...”.

Razwijar zobaczył jak w ścianie pojawia się otwór; wylania się spod sunącego w dół dźwigu. Plusnęła woda, platforma ostro zakołysała się na wodzie, łańcuchy obwisły. Razwijar ledwie utrzymał się na nogach i złapał się Łuksa.

— Jesteśmy na dole — szeptem powiedział do chimajryda. — Cały czas bałem się, że szyb się zawalił.

Patrzył w wyłom, w ciemny korytarz, wiodący w głąb skały. Studnia wisiała nad głową, podziemne wiatry po dawnemu duły w niej nieludzkim basem, ale teraz z tym dźwiękiem mieszał się drugi dźwięk, trzask osiadającej skały. Szelest pełznących pęknięć.

— Razwijar — powiedział Łuks i nagle przylgnął do niego kosmatym bokiem. — Proszę! Proszę!

Jeździec ścisnął jego mokrą dłoń.

— To już niedaleko. Korytarzem prosto.

— Tam jest woda!

— Do kolan. To nic strasznego.

I pierwszy zszedł z platformy. Woda była lodowato zimna i podnosiła się powyżej kolan, wyżej niż się spodziewał. Wziął pochodnię, poświecił nią do przodu, zamarł w pewnym momencie, wydało mu się bowiem, że tunel jest zawalony, ale było to przywidzenie spowodowane odbłaskami na wodzie.

— To nic strasznego — powtórzył głośniejszym głosem, a dźwięk długo odbijał się od ścian tunelu. „Strasznego... strasznego...” zaszepotały kamienie nad głową i zadrżała woda, a na jej powierzchni przeszła drobna fala.

Z powrotem umieścił pochodnię w mocowanie u wezłowania nieboszczyka. Milcząc chwycił za rączki noszy. Martwa twarz zakołysała się. Razwijar zorientował się, że trzeba będzie iść tyłem. Znowu postawił nosze, poprawił uchwyty i popatrzył na Łuksa. Twarz chimajryda błyszczała od potu, chociaż w podziemiu było zimno.

— Idziemy.

Odwrócił się do towarzysza plecami, chwycił za nosze, poniósł je po platformie i do połowy wciągnął do korytarza, zanim poczuł, że Łuks chwycił je z drugiego końca. Ciężko dysząc, chimajryd zszedł do wody i zasyczał jak z bólu.

Miarowo chlupotała woda pod nogami. Dwie pochodnie płonęły na noszach. Ciężki, czarny cień, nie mający niczego wspólnego z nim samym, wiódł go do przodu, w zupełną czerni. To mój

cień, mówił sobie. To cień człowieka, za którego plecami pali się pochodnia. Ale i tak strasznie było mu patrzeć przed siebie.

Tunel w niektórych miejscach był niższy, trzeba było pochylać głowę. Woda nie traciła czasu; gryzła, podmywała i tym samym rozszerzała szczeliny. Przedzierając się przez tunel Razwijar zrozumiał cały wywód budowniczego — zamek gotów był zawalić się w każdej chwili. Zwlekał, czepiał się życia, a rozłamy w ścianach korytarzy igrały z nim jak śmiertelna choroba z bardzo silnym człowiekiem. Woda... zmieszanie się warstw... napięcie skał, gotowe rozerwać najbardziej solidne więzy... osiadająca budowla nad głową...

Razwijar zmrużył oczy i przypomniał sobie, jak skakał, jadąc wierzchem na Łuksie po zimowym lesie, przypomniał sobie ciepłą barwę sutków piersi Jaski, płynące liście po powolnej rzece. Szedł dalej z zamkniętymi oczami, nie licząc kroków i pomylił się w swoich założeniach — podłoga nagle zaczęła się podnosić. Twarze idących owiał wiatr. Woda opadła poniżej kolan i Razwijar zdecydował się wreszcie popatrzeć.

Z przodu, na wyciągnięcie ręki, widniała cела pogrzebowa. A raczej to, co z niej zostało. Ostał się w całości tylko kamienny postument pośrodku. Ściany obsunęły się i wyglądały niczym ściśnięty, popękany miech w akordeonie. Odkryły się nowe korytarze, szerokie i wąskie wyłomy, w połowie zavalone, w połowie zalane wodą.

Coraz głośniejszy stawał się oddalony basowy pomruk. W głębi korytarza, którym przyszli, kamień wpadł do wody.

— Tutaj jest twoje miejsce Poranku Bez Skazy — powiedział Razwijar. — Zostań pod ziemią. Trzask przeszedł w narastający huk.

Ostatnimi siłami dotaszczył nosze na postument. Dłonie Łuksa jakby przyrosły do rękojeści noszy, musiał siłą rozwierać przywarte ręce. Kraje brokatowego nakrycia zwisały z noszy, okrywając płytę, ogień pochodni odbijał się na złotym hafcie poduszki. Martwy mag leżał, szczelnie zamknąwszy wyschłe powieki.

Szczeliny nad głową rozsuwały się niczym zarys błyskawic i narastał huk. Kipiała woda w tunelu. Razwijar biegł, przeciskając się obok obkruszonych brył skalnych, ciągnąc za sobą Łuksa. Jedna pochodnia zgasła.

Potem coś uderzyło go w głowę, upadł i zachłysnął się. Po jakimś czasie doszedł do siebie. Półczłowiek włókł go na wół niosąc. Nie było widać końca korytarza, skała huczała, w ciemności leciały kamienie, a wszystkie warstwy, wszystkie otwory, wszystkie szczeliny, gdzie tylko mogła przebić się woda i powietrze, zlewały się w jedno, jak gdyby skale sprzykrzyło się tolerować przemierzających ją śmiałków.

Podtrzymując jeden drugiego, wdrapali się na platformę. Szyb tańczył, wyginając się to w jedną, to w drugą stronę jak źdźbło trawy na wietrze. Łuks szarpnął za sygnałowy sznur dwa razy, następnie trzy razy, cztery razy i sznur się urwał. Ale tam, na górze już zakreśliły się bloki. Łańcuchy naciągnęły się, platforma przekrzywiła się, oderwała od wody i zaczęła podnosić się, uderzając o ściany, przechylając się i gubiąc drewniane drzazgi z podestu. Razwijar i Łuks, szczeni ze sobą, przesuwali się po deskach, starając się utrzymać na platformie.

Zgasła druga pochodnia i światło w górze stało się widoczne.

To światło pół-Heks zapamiętał na zawsze, jak jasność Mirtie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Właściwości... skały... okazały się... naprawdę... cudowne. Zaczęło się zawalanie, ale ustąpiło, widocznie, przez porozdzielanie się warstw i płyt... Nieprawdopodobnie wręcz szczęśliwy przypadek. Oczywiście, budowla wciąż jest jeszcze... niestabilna. Ale zmienić to jest już, przynajmniej, w ludzkiej mocy.

— Czego potrzebujecie?

— Przede wszystkim czasu. Mamy ze sobą wszystkie niezbędne narzędzia, potrzebujemy od dwóch tygodni do...

— Dwa tygodnie to ostateczny czas.

— Pośpiech może zaszkodzić...

— Postarajcie się zdążyć ze wszystkim bez pośpiechu. Szyb zawałił się ostatecznie. Budynek zamku stał teraz na samym kamieniu i na rozdrobnionych w pył kościach Poranka Bez Skazy. Dolne kondygnacje leżały w ruinach, ale źródła wody nie wyschły. Trzaski, wstrząsy i osuwiska ustały.

Razwijar urządził się w komnacie strażników — niemal jedynym zagospodarowanym pomieszczeniu zamku. Było tutaj pełno rupieci; po podłodze walały się skóry przyślepek, w stojakach stał oręż, włócznie, miecze i strzały zardzewiałe i nasmarowane, nadające się do użytku i połamane. Tutaj też leżał Bran, okryty trzema płaszczami, dziesiętnik miał bowiem napady gorączki. Krzywulec przechadzał się po brudnej podłodze, wsunąwszy dłonie za pas.

— Ci, którzy nie zdążyli się rozbiec, siedzą teraz w norach ze swoimi stadami, w ciemnościach jak przyśleпки.

— To nasi ludzie. Weźmiemy ich pod ochronę, pod naszą władzę.

— Nie pójdą.

— To trzeba ich zmusić. Wyprowadzić na zewnątrz. Niech żyją w słonecznym świetle jak ludzie i dostarczają nam mięso, skóry, mleko. I ręce do roboty. Potrzebujemy dużo ludzi, bardzo dużo i to szybko. Chcę, żeby oddział wyruszył natychmiast.

— Jaki oddział, Razwijar? Skąd weźmiemy ludzi? Tari ze swoją piątką, uciekli na przełęcz...

— Bierz tych, którzy zostali.

— A zamek? A pilnowanie jeńców? I jak zmusić do pracy całą tę hołotę, którą sprowadziłeś? Tutaj potrzeba więcej nadzorców niż pracowników!

— Krzywulec — powiedział Razwijar. — Przed chwilą ostatni raz zapytałeś mnie, jak zamierzam zrobić to, co zamierzam. To moje zmartwienie. A ty zrobisz to, co nakazałem: ujarzmisz pasterzy. Bez rozlewu krwi. Tak, żeby oni uznali się za oswobodzonych, a nie za podbitych. To nie jest proste. Wiem. Ale ja tak powiedziałem i ty tak zrobisz. Potrafisz.

Strażnik przestał chodzić. Zatrzymał się przed nowym władcą. Chciał coś powiedzieć, ale zmilczał.

Razwijar czekał, spoglądając w jego szerokie, coraz bardziej rozszerzające się źrenice.

— Dobrze — ponuro powiedział Krzywulec. — Pójdę.

Bran słyszał ich rozmowę, trzęsąc się pod trzema ciepłymi płaszczami. Razwijar czuł jego wzrok. Krzywulec wyszedł.

— Co chcesz mi powiedzieć, dziesiętniku?

— Po co odraubałeś mu rękę, zanim go zabiłeś? Władcy?

Podszedł. Przysiadł obok na skórze.

— Co wiesz o Miedzianym Królu?

- Nic — wolno, po namyśle przemówił starzec.
- Przypomnij sobie. A może jednak coś wiesz. Nie wróć szybko. Postaraj się zasnąć.

* * *

W obozie, rozbitym w czasie oblężenia zamku jeszcze przez Dok-Szerta, kotłowało się. Różni ludzie, których przywiódł tu los w trzech karawanach, powoli przychodzili do siebie po przeżyty strach. Niewolnicy trzymali się w kilku grupach, wolnonajemni zebrali się w swoim kręgu, karawaniarze i niewielu nadzorców pochowali się, nie chcąc nikomu wpaść w oczy. Razwijar przekradł się między dwoma wozami z drewnem i od razu zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego; kogoś biją, a może nawet mają zamiar zabić:

- Nie podchodźcie! — jakiś młody, rwący się głos.
- Czego się gapisz? — inny ryczący ochryply bas. — Kamieniami...
- Kamieniami zabić, tutaj jest ich dużo!
- Nie podchodźcie! Uderzę!

— Zostawcie go! Zosta... — zapiszczała jakaś dziewczyna. Razwijar zupełnie zapomniał, że Dok-Szert przywiózł dla zabawienia swoich zbirów pięć kobiet, kupionych na rynku w Fier.

- Cofnąć się, wszyscy.

Jego cichy głos zmusił tłum do rozprysnięcia się jak woda, gdy upada na kamień. W środku kręgu stał młodzieniec około szesnastoletni, z zakrwawionymi ustami i rozbitym nosem, z ogromnym kamieniem w ręce.

- Rzuć to — powiedział Razwijar.

Kamień upadł. Razwijar podszedł bliżej. Na przedzie bojaźliwie cofającego się tłumy szlochała dziewczyna — niewolnica.

- Co się stało?

- On zabił — powiedział ktoś z tłumy. — Niewolnik zabił cieślę.

— Paskudnie — Razwijar popatrzył na młodzieńca, kulącego się pod jego spojrzeniem. — Za co?

- Za gwałt — głucho powiedział chłopiec. — On był gwałcicielem!

Tłum cofnął się jeszcze bardziej. Razwijar zobaczył trupa leżącego twarzą do ziemi. Z pękniętej czaszki sączyła się krew.

— Za gwałt sam będę zabijał — powiedział Razwijar, powoli przenosząc wzrok z twarzy na twarz. — Gdzie kobiety?

- Wypchnięto je do przodu — cztery przerażone, zbite w kupkę, nieszczęsne niewolnice.

— Idźcie do zamku — powiedział do nich Razwijar. — Odszukajcie kucharzy, powiedzcie, że przysłałem was do pomocy. Idźcie!

Tłum zafalował, przepuszczając kobiety. Ta, która siedziała na ziemi, nie poruszyła się, tylko niżej spuściła głowę.

- A ciebie to nie dotyczy? — sucho zapytał Razwijar. — Idź.

Zakrwawiony młodzieniec drgnął na dźwięk jego słów. Dziewczyna podniosła się i stawiając niepewnie kroki, poszła za pozostałymi niewolnicami.

— Słuchajcie wszyscy — powiedział Razwijar i znowu zrobiło się cicho. — Słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzał. Wąwóz został zamknięty. Na strażniczej wieży zamku czuwa potężny mag. Ona będzie wiedziała, jeśli ktoś z was postanowi uciec.

- Wyraźnie dało się słyszeć pluskanie rzeki.

— Przyszlicie tutaj jako niewolnicy i słudzy rozbójników. Służcie mi, a ja odpłacę wam stokrotnie. Zdradzicie, nie ominie was surowa kara. Będziecie wierni — nagrodzę i obdarzę

wolnością. Widzicie ten zamek? On będzie panował nad Nagórzem i nad Fier, nad górą i nad wybrzeżem. Chcecie mieć cząstkę tego panowania?

Ludzie milczeli. Niewiele wytrzymało spojrzenie Razwijara. Odwracali oczy i chowali się za plecami sąsiadów. To byli różni, bardzo różni ludzie; uparci i doświadczeni przez los, zupełnie młodzi, którzy po raz pierwszy najęli się do pracy z dala od domu i starsi, bardziej doświadczeni życiowo. A także sprzedani, kupieni, zrozwaczeni. Odważni. Tchórzliwi. Ponurzy. Żli. I wszyscy oni byli we władzy Razwijara; od wysokiego kowala, wzrostem wyróżniającego się z tłumu, do młodego zabójcy z zakrwawionymi ustami, który, korzystając z tego, że przestał być w centrum uwagi, powoli wycofywał się w kierunku lasu. Trzęsły mu się kolana.

Kowal stał z opuszczoną głową, łypiąc spode łba. W jego twarzy nie widać było strachu, raczej napięcie. Razwijar kiwnął na niego:

— Podejź.

Kowal posłuchał po krótkiej chwili.

— Jak cię zwa?

— Pajda. Kowal.

— Są wśród was jeszcze inni kowale?

— Tak. Jest jeszcze dwóch.

— Jesteś starszy. Wybierz pomocników. Idźcie do zamku. Znajdźcie chimajryda, nazywają go Łuks, pokaże wam kuźnię.

— Nagóren?!

— Tak — Razwijar nie pozwolił kowalowi odwrócić wzroku. — Jest moim bratem, zawiaduje w zamku orężem, mechanizmami i maszynami. Zróbcie wszystko, żeby kuźnia zaczęła pracować jeszcze dzisiaj. Idźcie!

Mężczyzna stał, cały czas ponuro łypiąc. Razwijar zduślił w sobie chęć przemówienia znowu, wydawało mu się, że kowal nie posłucha. Zaprzagnął wyciągnąć miecz, ale nawet ręka mu drgnęła. Zaprzagnął jeszcze coś powiedzieć: „No?” albo „Na co czekasz?”, chciał ze złości tupać nogami, ale pozostał spokojny, nieruchomy. Jego czarny płaszcz, zakurzony na dole, dotykał butów.

Kowal wolno kiwnął głową. Machnął ręką na kogoś w tłumie, wszczął się ruch. Razwijar wypuścił powietrze — tak, żeby nikt nie widział i znowu nabrał je w płuca.

— Ej! Czy wśród niewolników jest starosta?

Wydawał rozkazy i rozporządzenia tak długo, aż ochrypl.

Wypełzli z cienia zapomniani już karawaniarze i także zaczęli komenderować. Razwijar przyuważał, którego z nich ludzie słuchają i niezauważalnie oddawał mu część władzy. Pojawili się strażnicy z zamku, pięciu ludzi, stanęli na podwyższeniu, niczego nie robiąc, po prostu obserwując tłum. Pojawili się w odpowiednim czasie i „maleńki Heks” był im ogromnie wdzięczny.

Jak wolno, myślał, spoglądając na niewolników znowu zebranych w gromadkę i o czymś półgłosem rozmawiających. Jak wolno kojarzą ci ludzie. Żwawiej!

— A co z zabójcą? — zapytał przygarbiony rzemieślnik ze zgrubiałymi stawami na rękach.

Młodzieniec, który prawie dotarł już do odległej furmanki zamarł.

— Kto zabije bez sądu, będzie wisieć — ostro powiedział Razwijar.

Odwrócił się do młodzieńca i powiedział rozkazująco.

— Idziemy.

* * *

Noc stała się przedłużeniem dnia, ranek zlał się z wieczorem. Niewolnicy i wolnonajemni przekazywali sobie stojąc w szeregu odłamki kamieni, nosili i rozpiłowywali bierwiona, kręcili blokami. Ruszyła kuźnia. Przekuwano tarcze i klingi, mocowano na murach narzędzia i wielkie arbalety. Dwóch zbiegłych niewolników padło ofiarą własnego tchórzostwa — zastrzelono ich o zmroku, kiedy próbowali uciec przez przełęcz w kierunku Fier.

Jaska stała na wieży, skupiona, z odrzuconą w tył głową, rozdymała nozdrza.

— Patrole nad horyzontem latają dniem i nocą. Póki co nie zbliżają się. Naziemnych szpiegów nie ma. W Nagórze jest mag. Wyczuje nas, wcześniej czy później.

Razwijar siedział w drewnianym fotelu, przyniesionym z dołu, z pokoiów władcy. Było dla niego jasne, że nie zdoła wstać, ponieważ piątą już dobę nie zamykał oczu.

— Skąd wiesz, że na terenach Nagórenów przebywa mag?

— Sam mówiłeś. Wszędzie, gdzie Imperator ustanawia władzę, budują wieżę, a w niej zamieszkuje imperatorski mag.

— Nad nagóreńskimi terenami póki co nie ma władzy Imperatora.

— Wiatr z Nagórza — jej nozdrza rozděły się — czuję. Pachnie rozpaczą. Przekleństwo wciąż jest w mocy; nie rodzą się dzieci. A żołnierze cały czas umierają. I ci, którzy są przeciwni imperatorskiej władzy, i ci, którzy są jej podlegli. A mag... ja go czuję. Kiedy wiatr się zmieni, on wyczuje mnie.

Razwijar podniósł się. Była to zapewne najtrudniejsza rzecz, jakiej dokonał w życiu, tym bardziej trudna, że nikt tego wyczynu nie widział.

Podszedł do Jaski i objął ją.

— Nie jesteś słabsza od swojego wroga.

— On jest prawdziwym magiem. Zabrali go z domu, kiedy był jeszcze dzieckiem i uczyli, uczyli... Uczyli inni magowie pełni mądrości, wlewali w jego głowę wiedzę, a w ręce władzę.

— Ciebie, a nie jego, wybrał Poranek Bez Skazy. Tobie, a nie jemu, dostał się pierścień. Ty, a nie on, władasz tym zamkiem. I przecież ja jestem po twojej stronie, Jaska, a nie po jego.

Uśmiechnęła się słabo, przyglądając się pierścieniowi na palcu.

— Czuję, jak wiele siły jest w tym zamku. Kamiennej. Jakby skalne robaki były tutaj do tej pory. I była bitwa, kiedy pojawiła się druga siła... Razwijar, powiedz mi jeszcze raz, że jesteś po mojej stronie.

— Jestem po twojej stronie. Zawsze.

— To dobrze — przemówiła poważnie. — Ponieważ za nic nie chciałabym stać się twoim wrogiem.

— Jaska, co ty mówisz?!

Dziewczyna nie słuchała, łapczywie wachając powietrze.

— Powiedz, jak zginął mag, którego przyprowadzili ze sobą Nagóreni? W dniach oblężenia? Kiedy jeszcze żył poprzedni władca?

Popatrzył na dalekie góry za wąwozem. W rozdarcu chmur mignął cień skrzydlaka.

— Ty go zabiłeś — głos dziewczyny zadźwięczał triumfalnie. — Dlatego zamek poddał się twojej woli. On ci wybaczył... to, co zrobiłeś potem.

Razwijar ze zmęczeniem zamknął oczy. Zobaczył ciemność. I światło, przedostające się z góry. Przepiękne, przyćmione światło.

— Nie zimno ci, Jaska? Może przynieść jeszcze wody? Albo wina, albo jedzenia?

— Nie teraz — odsunęła włosy z czoła, jasno błysnął pierścień. — Idź, masz dużo spraw.

* * *

Zszedł do sali strażników. Dziesiętnik Bran spał albo udawał śpiącego. Razwijar długo chodził z kąta w kąt, poruszając wargami.

Wiatr się zmieni i w Imperium dowiedzą się, gdzie podziła się zbuntowana mag. Przypomną sobie burzę, która zgubiła drużynę przywódcy Koruncha. I nie będą bezpieczni. Wśród ksiąg zmarłego władcy krył się traktat „O magach” przepisany kiedyś przez Razwijara: „Siła każdego maga nie jest niewyczerpana. Jak bohater przenoszący góry, wcześniej czy później upada ze zmęczenia, tak moc ustąpi miejsca bezradności, a winą będą starość, wyczerpanie albo szczęście rywala”.

A tymczasem Chwat zacznie podejrzewać coś niedobrego. Na pewno ma szpiegów w Kipieli. Chwat jest młodszy i bardziej stanowczy od Nowa; w świecie nocnych baronów zwycięstwo nie przychodzi przypadkowo, nie za darmo, i nie do każdego.

Razwijar zacisnął pięści. Czuł się jak ślepiec, potrzebny był mu szpieg zdolny wywieść się tego, co dzieje się w Fier. Potrzebne mu były jakiegokolwiek wiadomości z Nagórza. Które klany kontynuują walkę, a które się poddały? Gdzie wybudowano wieżę? Kto w niej siedzi? Ilu strażników służy namiestnikowi Imperatora w nagóreńskich krainach, ile mają skrzydłaków?

Gołymi rękami nie wyczerpiesz studni. Nowy władca może ile mu się podoba tasować ludzi, ale jest ich za mało. Zbyt mało, a dookoła wrogowie i wojna może zacząć się jutro, dzisiaj... teraz.

— Razwijar.

Zatrzymał się. Leżący dziesiętnik spoglądał na niego rozpalonymi oczami:

— Miedziany Król... słyszałem te słowa. On... władca... rozmawiał jakby sam ze sobą... Pewnego razu spytałem, co to znaczy. On roześmiał się i odpowiedział... że to dziecięca wyliczanka. Zrozumiałem, że nie należy więcej o to pytać.

Razwijar milczał.

— Miedziany Król to nieznany bożek, któremu przynoszą ofiary — powiedział wreszcie. — Składając na ołtarzu coś drogiego i cennego, człowiek otrzymuje podarek. Tego nie da się zbadać, zobaczyć, to nie jest na zewnątrz. To jest wewnątrz.

— Władca...

— Tak. Byłem mu naprawdę drogi. Postanowił mnie złożyć w ofierze.

Bran poruszył się.

— Skąd wiesz? — jego głos zaszeleścił prawie niesłyszalnie. — O... tym?

— Wyczytałem... w jednej księdze — skłamał Razwijar.

— W księdze — dziesiętnik Bran powtórzył słowa, jakby ważył je w myślach. — A ty...

— Co?

Dziesiętnik ciężko westchnął.

— Nie trzeba... Nie trzeba tego robić. To stara magia, straszna... nieludzka. To obca magia...

— Wiem.

— Nie należy tego robić, to gubi...

— Wiem.

— To zgubiło... także jego.

— To go wywyższyło.

— I zgubiło.

— A kto jest nieśmiertelny?

Po tym bardzo długo w komnacie strażników nie wypowiedziano ani słowa. Razwijar chodził i chodził, i wydeptał ścieżkę na zakurzonej podłodze. Wiatr wył w otworach okiennych. W ciszy zamku, głęboko w dole, pracowała kuźnia.

— Razwijar...

Znowu się zatrzymał.

— Nie chciałem ci mówić... W zamku jest „słodkie mleczko”. W kryjówkach.

Ten drgnął. Nie odpowiadając znowu zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed pustym, wygasłym kominkiem.

— To nie trucizna — wyszeptał dziesiętnik. — Ono leczy duszę. Można zapomnieć swoje życie i zacząć nowe. Chciałbym zapomnieć o tej wyprawie. Tylko o niej.

— Bran — powiedział Razwijar. — Opowiedz mi szczegółowo, co się tam wydarzyło. Minuta po minucie. Powinienem wiedzieć dokładnie.

Na czoło strażnika, wysokie, z zakolami, wystąpiły krople potu.

* * *

Na drugi dzień wrócił oddział Krzywulca. Przywieźli z chłopskich osad mleko i ser, o zmroku przygnali niewielkie stado płochliwych przyślepek. Pasterze, wywleczeni z jaskiń, przerażeni obiecali wierność zamkowi, ale można było przypuszczać, że będą starali się przenieść się dalej.

— Dogonimy ich — powiedział Razwijar. — W każdym razie głód nam nie grozi.

Krzywulec zajrzał do kuźni, przeszedł się po okolicach zamku, zastał przy pracy rzemieślników, wolnonajemnych i niewolników. Jego ponura twarz trochę się wypogodziła.

— Jak ci się to udało?

Nowy władca, milcząc, spojrział na niego, a Krzywulec zmieszał się i nisko pokłonił.

* * *

Nagórze i chimajrydzi. Port Fier i Chwat. Imperator i jego mag w wieży. Tylko z Nagórenami można próbować sojuszu, ale czy jest to możliwe, po tym wszystkim, co opowiedział dziesiętnik Bran?! Oni zostawiali po sobie wypaloną ziemię, użyźnioną kośćmi. Witam, pozdrowienia od Poranka — mówił władca, wkraczając o świcie do osad Nagórenów — Poranka Bez Skazy! — dodawał i wydawał rozkaz ogniewuchom....

Księga „Kroniki chimajrydów”, kiedyś przepisana przez Razwijara z pamięci, leżała otwarta na brzegu stołu. On sam przechadzał się po Sali Straży, słuchając swoich kroków, poruszając bezgłośnie wargami. Przypomniawszy sobie ruiny swojego domu i ruiny osady, w której kiedyś mieszkała Jaska. Ruiny, pogorzelnisko, brak innego wyjścia, dziwne, że Nagóreni do tej pory sprzeciwiają się władzy Imperatora. Bardzo twardy lud. Inni dawno by się poddali.

O północy wziął pochodnię i poszedł na dół, do więziennych korytarzy. Z jamy, gdzie byli zamknięci przestępcy, niósł się nieznośny smród. Słyszając kroki i blask pochodni, jeńcy zaczęli wołać:

— Ej, kto tam!

— Daj jeść!

— Daj wody!

— Mamy tutaj trupy...

— Łajdaki! Poczekajcie, Chwat się do was dobierze...

— Dobierze się! Kiszki wypruje!

— Cicho — powiedział Razwijar.

W lochu zapanowała cisza.

Przeszedł nad nimi, z daleka obchodząc kratkę w podłodze, wstrzymał oddech. Odsunął zasuwę, podniósł luk nad małą podziemną celą, gdzie kiedyś sam się męczył.

— Wychodź.

Młodzieniec, który rozwalil głowę gwałciciela, z trudem wszedł po zrzuconych schodkach. Skulił się, przykrywając oczy dłonią, zapewne światło pochodni zdawało mu się nieznośnie jasne. Razwijar wyprowadził go z więziennego korytarza na jedną z zewnętrznych galerii.

Był zmierzch. Młodzieniec oparł się łokciami o balustradę i łapczywie oddychał, chwytając świeże powietrze.

— Jak cię zwa?

— Gle... Glenir.

— Dlaczego jesteś w niewoli?

— Za długi — głos młodzieńca załamał się.

— Skąd jesteś?

— Z Fier.

— Twoja rodzina ostała się?

— Siostra i matka.

— Rzemiosło znasz?

— Uczyłem się na lekarza — powiedział młodzieniec cicho. — Wcześniej.

— Długo?

— Nie bardzo. Jedną zimę.

— Kim dla ciebie jest ta dziewczka? Z powodu której zabiłeś cieślę?

— Nikim — po twarzy młodzieńca przebiegł dreszcz, ni to bólu, ni to nienawiści.

— Chcesz mi wyświadczyć przysługę?

— Chcę żyć.

— Chcemy tego samego. Idziemy, mam z tobą do pogadania.

Komnata, w której Razwijar po raz pierwszy spotkał władcę i gdzie go zabił, została niedawno wysprzątana do czysta. Basen do połowy napełnił się wodą. Nowy władca usiadł w starym fotelu, zbyt przestronnym i miękkim dla niego.

— Chcesz wina, Glenir?

— Nie, wody proszę.

— Pij — Razwijar wskazał na basen.

Młodzieniec napił się z garści. Patrząc, jak on pije, nowy władca sam poczuł pragnienie.

— Słyszałeś o czym oni rozmawiali? Ludzie w wielkiej jamie?

— Oni... najpierw wyjaśniali, kto służył Nowi, a kto Chwatowi i kto kogo zdradził. Bili się. Kogoś zabili. Ale ja słyszałem tylko głośne krzyki, przecież siedziałem za ścianą...

— Chcesz posiedzieć z nimi?

— Nie. Proszę!

— Posłuchaj, co ci powiem i zdecyduj, czy się zgadzasz. Jeśli się nie zgodzisz, trudno. Nic ci się nie stanie, zostaniesz do pracy w zamku. A jeśli się zgodzisz... i jeśli potrafisz mi pomóc... wtedy dam ci broń, Glenir. Wtedy wyzwolę z Fier twoją matkę i siostrę i one do końca swoich dni będą żyły bezpiecznie i w dostatku.

Młodzieniec zamrugał z niedowierzania.

— Panie, wy tak mówicie... jesteście magiem?

— Nie. Ale wiem, co robię, nie bój się.

* * *

Tari-Koło ze swoim oddziałem, patrolującym przełęcz, został uprzedzony wcześniej:

— Przepuść ich. Tak, żeby myśleli, że udało im przedrzeć się siłą. Tak, żeby z twoich ludzi nikt nie zginął. I żeby nikt, ani jedna dusza, się nie domyślił.

— Ale jak ja zdołam...

— Jak chcesz.

Nocą z zamku uciekło pięcioro zbirów i Glenir, były niewolnik. Trzech zbiegów było w zмовie z Razwijarem, ale żaden nie wiedział o innych. Każdy uważał siebie za jedynego szpiega. Nowy władca stracił długi dzień na tę nieprzyjemną, brudną robotę. Wydobyć opryszka z jamy. Przesłuchać. Wywnioskować. I podjąć decyzję: werbunek albo „słodkie mleczko”.

Zbóje, którym Razwijar nie mógł zawierzyć, zapominali o całym swoim poprzednim życiu i teraz nosili bierwiona razem z niewolnikami. Nie można powiedzieć, żeby wyróżniali się z tłumu, ponieważ połowa żywego towaru sprzedanego na rynku w Fier, była pozbawiona pamięci za pomocą słodkiego napoju.

Z przełęczy przyszedł Samar, młody strażnik służący pod dowództwem Tari-Koła. Miał szarą twarz:

— Władco... My ich przepuściliśmy. Nie zdołaliśmy zatrzymać.

— Jesteś ranny?

Posłaniec miał mocno przecięte ucho. Razwijar usiadł z nim, lecząc go winem, wypyując, co wydarzyło się na przełęczy. Zbiegowie byli uzbrojeni tylko w krótkie noże, ale zaskoczyli patrol znienacka.

— Było bardzo ciemno... zgęstniały chmury... Wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni... Koło pozwolił odpocząć, inaczej nie wytrzymałibyśmy do rana... Strzelaliśmy, ale było ciemno... Chcieliśmy ścigać ich w drodze do Kipieli, ale w takich ciemnościach...

— Tari zabronił? — wyrwało się Razwijarowi.

Samar popatrzył na niego wzrokiem pełnym cierpienia — Tari-Koło był jego naczelnikiem i przyjacielem.

— Władco, my wszyscy jesteśmy winni...

— Kiedy będziecie winni, to wam powiem — odezwał się ten niemal wesoło. — A teraz idź spać.

W dniu, kiedy Tari ustąpił z przełęczy, Razwijar głośno i przy wszystkich udzielił mu reprimendy. Później, gdy byli sam na sam, objął go.

— Do czego ci to potrzebne? — szeptem zapytał Koło.

— Milcz. Potem wyjaśnię.

* * *

Wrócił do sali strażników, padł na skóry i przespał kamiennym snem kilka godzin. We śnie zrobiło mu się bardzo zimno. Skulił się, przyciskając kolana do brzucha. Wokół była lodowata woda i ognie miasta Mirtie, dalekie, obojętne. Znowu był chłopczykiem, którego wyrzucili za burtę. Ręce i nogi drętwiały, szamotał się, starając rozgrzać i przeżyć.

Obudził się dlatego, że zrobiło się ciepło. Otworzył oczy. Obok siedział Łuks i ogrzewał go miękkim, pokrytym sierścią bokiem.

— Zimno? Chcesz, rozpalimy w kominku?

— Rozkazałem ogrzewać tylko piec z ogniewuchami.

— Razwijar krótko westchnął.

— Mamy całą karawanę z drewnem.

— Nie należy go palić. Potem nie starczy... jednego pala do paleniska, jednego bierwiona na belkę i wszystko się zawali.

- Śniło ci się coś straszego?
- Głupstwo — Razwijar przeciągnął się. — Co ty tam chowasz pod płaszczem?
- Przyniosłem ci podarunek.

Łuks rozwinął pakunek i wyłożył na skórę przyślepki dwa kindżały — jasne, wąskie, płynnie wygięte. Ich linia przypomniła Razwijarowi uduziwniony zapis dużej litery „stigma”. Wzdłuż ostrzy ciągnął się finezyjny, dekoracyjny napis, a rękojeści wysadzone były drogocennymi kamieniami. Nie było to jednak zdobnictwo, dla samej ozdoby. Nieznani płatnerzy starali się osiągnąć doskonałość wyrobu, zaprawdę, śmiertcionośna broń powinna być piękna.

— Do walki w parze — Łuks zmrużył oczy z zadowolenia. Pachniał dymem i potem. Jego twarz i tors były umorusane sadzą, skórzany bezrękawnik odchylił się na piersi. — To najlepsze, co znaleźliśmy w tutejszej zbrojowni i nie trzeba było przekuwać, wystarczyło tylko zaostrzyć. Weź je! Są twoje.

Władca chwycił za rękojeści. Przeszedł się po komnacie, zamachnął, przymierzając się do broni. Kindżały zdawały się przedłużeniem rąk.

— Dziękuję... Długo spałem?

— Potrzebny był ci odpoczynek... Nie martw się, wszystko bez zmian.

— Będą — Razwijar zakręcił klingi dwoma rękami, słuchając jak tną na strzępy zleżałe duszne, powietrze. — Będą zmiany... Najadą na nas i Nagóreni, i Imperator, i Chwat. Nie będą czekać, aż my odbudujemy zamek i zbierzemy ludzi do obrony... Mamy półtora dziesiątki wojowników, pozostali to niewolnicy i rzemieślnicy, baby i starcy...

— Mamy maga.

— Oni także mają maga, Łuks.

— My mamy ciebie!

Razwijar opuścił ręce. Ostrza musnęły podłogę, prawie niedosłyszalnie zadźwięczały o kamienne płyty.

— Ty zawsze zwyciężasz, Razwijar — Łuks ni to potwierdzał, ni to pytał. — Przecież osiągasz wszystko, co tylko sobie zaplanujesz! Uda się i tym razem, nieprawdaż?

* * *

To nie był ranek, jak sądził Razwijar, a południe pod niskim, zasnutym chmurami niebem. Kiedy razem — chimajryd i jeździec — poszli w góry, chmury rozstały się i wyszło słońce.

Wypisywał rękami stalowe litery, zawisające, zdawało się, w powietrzu. Wszystkie ich próby walki w parze, wszystkie lekcje Łuksa złożyły się wreszcie w jedną całość, niby części mechanizmu, a brakującym ogniwem były nowe kindżały. Jeździec wierzchem na czworonogim bracie był niepokonany — tak w każdym razie zdawało się Razwijarowi. Nieustanny ruch, bez jednej przerwy; prościej trafić w latającego motyla. Ściana kręcących się kling. Cztery pracujące zgodnie ręce, cztery potężne pazurzaste łapy. „Malańki Heks” przypomniawszy sobie, jak bano się w zamku chimajrydów i tylko ogniewuchy mogły sobie z nimi dać radę, cóż za nieuczciwy chwyt. Okropne bezmózgie stworzenia przeciwko niepokonanym w otwartej walce żołnierzom.

I od razu przypomniawszy sobie, jak strażnicy Imperium rozstrzelali z powietrza wodzów z klanu Równonocy. Jedna strzała — jedna śmierć, i tylko starcowi chimajrydowi dostały się dwie.

Popatrzył na zamek. Unosiły się dymy, pracowała kuźnia, palił się piec z dwoma ostatnimi jajami ogniewuchy, to zwierzę jest jeszcze młode, powiedział dziesiątnik Bran. Znosi jaja rzadko i do tego małe. Trzeba czekać, kiedy będzie starsze...

Łuks skakał w dół po zboczu, wręcz przelatując z kamienia na kamień. Razwijar scalił się z siodłem, uchwyciwszy za skórzany rzemień popręgu. Zdawało mu się, że to *Jego* łapy odbijają

się od ziemi, w *Jego* ciele przetaczają się sprężyste, falujące jak woda mięśnie Łuksa, i to *Jego* oczami patrzy na świat chimajryd. Jeździec i jego brat niczym jedna istota — jedno stworzenie. Razwijar w pełni odczuł to zespolenie i świętując ten fakt, krzyczał co sił w płucach.

Wiatr się zmienił.

* * *

— Miedziany Królu, Miedziany Królu...

Klingi leżały na brzegu basenu. Ogieńki świecy odbijał się w wodzie, igrał na stali, przełamywał się w drogocennych kamieniach. Był sam w komnacie, drzwi na balkon przekrzywiły się i wisiały na jednym zawiasie. Z zewnątrz ciągnęło zimnym wiatrem.

— Weź, co jest mi drogie. Daj, czego potrzebuję.

W jego życiu nie było znowu tak wiele oręża, szczególnie takiego, do którego warto byłoby się przywiązać. Swój ciemny miecz Heksów cenił, ale nigdy go nie polubił. A te klingi, niemal żywe ze swoim narowistym charakterem, jakby przejęły cechy Łuksa, który znalazł je i wybrał dla swojego jeźdźca...

Mimowolnie wyciągnął się, chcąc chwycić broń za ciepłą rękojeść, złapać i utrzymać. Ręka trafiła na kamień.

Zamrugał. Łzawiły mu oczy od wiatru i ze zmęczenia. Na brzegu basenu niczego nie było. Razwijar przesunął po gładkim kamieniu koniuszkami palców, jakby nie pojmując, co się stało, nie umiając przywyknąć do tego, znowu się zmieszał...

A potem załała go jasna fala ciepła. Ciężar ostatnich dni zmienił się w biały puch. Latające płaty zastygły, zlewały się z błyskami na wodzie, trzasnęły niewidoczne obręcze, ściskające głowę i pierś.

Ukląkł. Przyłożył policzek do chłodnego kamienia.

Roześmiał się.

* * *

Przechadzał się z kąta w kąt, a Jaska bacznie wodziła za nim oczami. Jakby nie mogła zrozumieć, dlaczego on tak często się uśmiecha?!

— ...mapa to tylko zarys, sama ziemia — mówił Łuks z przerwami. — Nie ma na niej zaznaczonych zasadzek. Rozstrzelają nas z ukrycia, zanim otworzysz usta!

Chimajryd denerwował się. Jego pasiasta sierść stawała dęba, co i rusz gładził dłońmi boki i mówił bez ustanku, łał słowa jak wodę. Razwijar słuchał go i nie słyszał.

— Nikt nie będzie z tobą rozmawiał. Nie ma takiej siły, która by ich do tego zmusiła. Znasz Nagórenów... nie, ty nie znasz Nagórenów! U nas... to znaczy u nich, życie ma zupełnie inną wartość. Jeśli coś jest przypisane tradycji, będzie wypełnione bez względu na cenę, zapłacone krwią swoją i cudzą... Niewolni, jeźdźcy, kobiety, dzieci... Jak woda, która zawsze płynie w dół. Ostroga w bok... Niekiedy rozumiem Poranka. Tak nienawidzić można tylko Nagórenów i tylko ten, kto wśród nich wyrósł!

— Co w takim razie robić? — zapytał Razwijar, doczekawszy w końcu chwili, kiedy Łuks na moment zamilkł, żeby wziąć oddech. Nie oczekiwał odpowiedzi, w jego wnętrzu zachodziła niewidoczna praca. Przychodziły myśli, na pierwszy rzut oka bezsensowne. Tkąły się niteczki zrozumienia, delikatne ciężarki rozważały „za” i „przeciw”. Słowa przyjaciół padały na szale wewnętrznej wagi ziarnkami piasku, pyłkami albo ciężkimi odważnikami.

— Trzeba iść — powiedziała dziewczyna. — Tylko zabierz z sobą ogniewuchę. Wtedy będą musieli cię wysłuchać.

Łuks wysunął pazury przednich łap:

— Ogniewucha jest posłuszna trzy dni i trzy noce. Nagórze to nie talerz... Jeśli oni nie zechcą się z tobą spotkać, to ich nie spotkasz, będziesz włóczył się miesiąc, a może i rok po pustej ziemi. Niczego się nie dowiesz. A larwa przepadnie. Mamy tylko dwie...

Jaska siedziała, okutana płaszczem, niepokojąco blada na tle ciemnego ubioru.

— Mogę odnaleźć ich po zapachu. Mogę wyczuć, czy kłamią czy nie. Wypuszczę wiatr albo trąbę powietrzną, żeby przekonali się. Oni boją się magów, Łuks.

— Dobrze! Wspaniale! A jeśli natkniesz się na imperatorskiego maga?

— Poczuję...

— Jakaś ty potężna! Może w ogóle pójdziesz sama? Naga z pierścieniem na palcu?!

— Dureń — powiedziała Jaska. — Po prostu tchórzysz. Nie chcesz tam iść, dlatego wymyślasz wymówki.

— Tak, tchórzę! — skóra Łuksa drgnęła, jakby od ukąszenia spragnionego komara. — Ponieważ znam Nagórenów i Nagórze, a wy nie. Może...

Zaciął się. Nagle poczerwieniał. Od napływu krwi jego smagła twarz stała się ziemistobrazowa. Wypłóviałe białe włoski nad górną wargą i na podbródku wydały się wyraźniejsze. Razwijar mógł się tylko domyślać, jakie słowa gotowe były wyrwać się z ust półczłowieka. Jak żywe stanęły mu przed oczami kolczaste krzaki, chmary motyli krwawników, skazana twarz umierającego chimajryda: „Jeśli jeździec umiera w boju albo na polowaniu, w ślad za nim powinien umrzeć jego brat. Jeśli umiera żona, to jeździec może poślubić inną. Jeśli kobieta nie może urodzić czwórki dzieci, ofiarowują ją Jezioru Urodzaju...”.

— Jak taki naród mógł uznać władzę Imperatora? — zapytał głośno.

— Nie uznał — przypomniała dziewczyna.

— Dla zemsty, tak — wymamrotał Łuks. — Oni nienawidzą każdego kamienia w tym zamku i każdej kropli wody w jego źródłach. Chcesz do nich iść? Idź! Dobrze będzie, jak dociągną cię do Jeziora Urodzaju, żeby jak należy przeprowadzić oczyszczający rytuał. Ale mogą też po prostu spalić cię pod drzewem, ku pamięci tych... którzy spotkali się z ogniewuchami.

— Ty ich bardziej nienawidzisz, czy bardziej żałujesz? — zapytała Jaska. — Swój naród?

Chimajryd wstał. Otrząsnął się:

— Nie chcę więcej rozmawiać o moim plemieniu i nie będę rozmawiał. Razwijar, decyduj, ty jesteś jeźdźcem. Ja tylko proszę cię jak brata, byś uwierzył w to, co powiedziałem.

I wyszedł. Władca i mag zostali sami w komnacie władcy, gdzie powoli wypełniał się wodą basen i paliły świece wzdłuż ścian. Razwijar patrzył na taflę. Jego wargi poruszały się.

„Nagóreni wierzą, że Jezioro Urodzaju mieści dusze wszystkich; nienarodzonych i już umarłych, i dlatego każdy magiczny obrządek jest zawsze związany z tym jeziorem”.

„Największy zaszczyt, jaki Nagóreni mogą okazać wrogowi, to przynieść jego krew w ofierze Jezioru Urodzaju. Uważa się, że takie ofiary są w stanie odsunąć nieszczęście... Składanie ofiary odbywa się na oczach ludu”.

— Zostawmy Łuksa w zamku — cicho powiedziała Jaska. — On naprawdę... nie powinien tam iść. Jego już raz skazali.

— Dwa razy — wyszeptał Razwijar.

— Tym bardziej. Pójdziemy razem. Weźmiemy strażników, broń, ogniewuchy. Będą się przeciwstawiać, tym gorzej dla nich. Ty jesteś władcą zamku, ja jestem twoim magiem. Jesteś panem tych ziem, pokaż im to!

— Masz rację — powiedział Razwijar.

— Zrobisz, jak mówię? — Dziewczyna rozpromieniła się, błyskawicznie odmłodziła, w taki zachwyt wprawiła ją myśl, że on bierze pod uwagę jej słowa.

— Pomyślę — obiecał. — Jest o czym pomyśleć.

Położył ją spać. Wyczerpana dyżurem na baszcie, zasnęła błyskawicznie. Przeszedł się po zamku, sprawdził posterunki, zszedł do komnaty strażników. Przy łóżku Brana krzątała się dziewczyna, ta sama, która niedawno szlochała skulona na ziemi przed tłumem, obok martwego gwałciciela. Na widok Razwijara upuściła kubek, po podłodze rozsypały się gliniane skorupki.

Dziewczyna przeraziła się. Upadła na kolana i rzuciła się do zbierania odłamków.

— Potem pozbierasz — powiedział. — Odejdź.

Rzuciła się obok niego do drzwi, nie śmiąc podnieść oczu. Razwijar podszedł do dziesiętnika. Ten leżał na czystej pościeli, obok stała pusta miska po kaszy.

— Troszczy się — powiedział do leżącego.

Zdjął płaszcz. Przez głowę ściągnął kolczugę. Trącił skorupkę noskiem buta, ta potoczyła się, brzęcząc, po podłodze.

— Posłuchaj, Bran. Byłeś przy Jeziorze Urodzaju?

Razwijar usiadł na skórach, skrzyżował nogi i zaczął opowiadać. Dziesiętnik słuchał najpierw nieufnie, potem w napięciu, potem jego oczy zabłyśły, a on sam podniósł się na łokciu:

— To obłęd! Mały... Władco mój, to szaleństwo.

— Dlaczego?

— A jeśli oni zabiją cię od razu?

— Możliwe. Ale wszystko co wiem o Nagórenach, mówi mi: nie zabiją. Oni lubią rytuały. Szczególnie w nieszczęściu, kiedy nie ma nadziei na odmianę losu.

— A jeśli odetną ci język?

— To będzie bardzo przykre — po namyśle stwierdził Razwijar.

— Pomyśl, ile znaczysz! Dla zamku, dla... twojej kobiety i twojego przyjaciela. Jeśli umrzesz...

— Bran, spójrz skrzydlakowi w oczy. Zamek nie ostoi się bez sojuszników. A nie mam nic do zaproponowania Imperatorowi, czy nawet Chwatowi. Nie mam nic, co mógłbym rzucić na szalę.

Dziesiętnik usiadł na swoim łożu.

— Posłuchaj...

— Nie mam więcej czasu na rozmowy. Wszystko co powiedziałem tobie, powiesz im, ale nie wcześniej niż jutrzejszego dnia. Bliżej wieczora.

Nie słuchając więcej starca, Razwijar wstał. Przebrał się w prostą odzież strażnika — skórzane spodnie, ciemną koszulę, ciepłą kurtkę ze skóry przyślepki. Zostawił w komnacie miecz Heksów razem z pasem. Złapał butelkę, sznur z hakami, nóż. Postać chwilę, namyślając się.

— Idę, Bran.

Starzec patrzył na niego z nabożnym strachem. Jego wargi bezgłośnie się poruszały.

* * *

Była noc. Razwijar przemierzał Nagórze, para ulatywała z ust, w zimnym powietrzu słychać było dźwięk najmniejszego kamyczka, jaki wyrwał się spod nóg. W ciemności oświetlonej tylko gwiazdami, zdążył zobaczyć przed sobą pagórek z dwoma szczytami, jednym lesistym, drugim nagim i przypomniał sobie nazwę na mapie: „Łysulec”.

Teraz dzięki temu dokładnie wiedział, gdzie się znajduje.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech i kątem oka zauważył jakiś ruch. Ręce same wyciągnęły się do miecza, którego nie było i w tym momencie ktoś narzucił mu worek na głowę. Wszystko odbyło się tak szybko, że nawet nie zauważył, kim byli napastnicy.

Wolałby, żeby go nie bili, ale najeźdźcy byli skorzy do bójki. Czyjeś pazury rozerwały rękaw, czyjś sapog z całej siły wbił się w żebra. Razwijar przestraszył się, że zabiją go na miejscu. To byłoby okropnie głupie i przykre, próbował coś powiedzieć, ale zatkali mu usta.

Przestali bić. Przerzucili w poprzek siodła i puścili się galopem, Razwijar ledwie trzymał się na jego grzbiecie, każdy sus odbijał się tępym bólem w żebrach. W pewnym momencie zaczął się dusić. Porywacze zawiązując mu usta zanadto się postarali.

Galop trwał długo. Prawie tracąc przytomność zdołał osłabić węzeł ściskający twarz i wypchnąć cuchnący gałganek, tkwiący głęboko w gardle. W końcu gdzieś przed nimi dały się słyszeć głosy, przez materiał worka mignęło światło i młody, urywany głos, ledwie powstrzymując dumę, Oznajmił:

— Wodzu, złapaliśmy go. Jest z zamku, zabłądził na granicy. Wzięliśmy go!

— Rozwiązać — powiedział ciężki, ponury bas.

Razwijar zakaszłał, chwytając powietrze. Zdjęli mu z głowy worek, zostawiając ręce spętane za plecami. Palilo się ognisko. Przy ogniu siedział stary człowiek w narzutce splecionej z traw.

— Kto to taki?

— Zapewne jest z zamkowej straży — odezwał się drugi z chimajrydów spośród tych, którzy pojмали Razwijara. — Po ubraniu widać, że to nie robotnik i nie niewolnik... Tak. Rzeczywiście to strażnik. Przeszedł w ciemnościach granicę, śledził, a może...

— Zamilcz, Światło.

Razwijar głęboko odetchnął — i zmarszczył czoło z bólu. Czuł, jakby ktoś wetknął mu pogrzebacz w żebra.

— Będiesz mówić to umrzesz szybko — odezwał się wódz, cały czas tym samym ciężkim głosem. Był to głos człowieka zrozpaczonego, który przeżył tortury i był gotowy na śmierć.

— Będę mówił, ale nieprędko umrę — odpowiedział Razwijar, starannie wypowiadając słowa. Jego wargi napuchły i wydawały się strasznie duże, ale zęby były całe i język nie odmawiał mu posłuszeństwa.

Wódz oderwał oczy od ognia i wreszcie na niego popatrzył. Razwijar klęczał przed nim ze związanymi rękami. Włosy opadały mu na twarz. Potrząsnął głową, żeby lepiej widzieć rozmówcę.

— Kim jesteś? — ostro zapytał stary Nagóren.

— Najpierw powiedz, kim ty jesteś. Sługą Imperatora, młodszym obywatelem Imperium bez prawa do noszenia broni? Czy może pozwolono ci zostawić miecze, jeśli uznasz władzę namiestnika?

Któryś z młodych, stojących z tyłu, uderzył go nogą w kark. To był jeździec, nosił ciężkie sapogi, Razwijara rzuciło do przodu, i przed oczami wybuchły mu ognie. Nieomal upadł twarzą w ognisko, ledwie zdążył się odtoczyć. Skóra, opalona jeszcze przy gnieździe ogniewuchy, zaczęła pulsować bólem na nowo.

— Odsuń się, Goniec — ryknął wódz. — Hodowali cię jak trawę, nie panujesz nad sobą... Jak wy wszyscy, najostatniejsi z ostatnich... On naprawdę jest z zamku?

— Naprawdę. Śledziliśmy go od samej granicy — powiedział młody chimajryd, którego zwali Światło.

Razwijar zgrzytnął zębami i podniósł się znowu na kolana. Przysiadł na piętach.

— Powiedz wodzu, służysz Imperatorowi?

— Trzeba było odciąć mu język — ze złością powiedział ktoś za jego plecami.

— Jeśli odetniemy mu język, to jak go wypytamy? — zaproponował inny głos. — Niech powie, ilu ludzi jest w zamku, czy pójdą mu na odsiecz?

Razwijar zmarszczył czoło od bólu w boku.

— W zamku nie ma tak wielu ludzi, ale jest mag. Następca Poranka Bez Skazy, który ma jego pierścień. On może was zgubić. Ale jest też władny zdjąć przekleństwo.

Stary Nagóren gwałtownie się podniósł. Razwijar zobaczył, że nie ma lewej ręki, aż po łokieć.

— Będziesz długo umierać za świętokradztwo. Zapłacisz nie tylko językiem.

— Ty zapłacisz czymś więcej, wodzu. Swoim ludem i swoją ziemią.

— Zabijcie go! — warknął starzec.

Zadźwięczała stal. Szarpnęli go za włosy i przechylili w tył głowę, zobaczył gwiazdy i sylwetkę chimajryda, uderzająco podobnego do Łuksa. I zapragnął żyć, jak nigdy dotąd.

— Stój! — wychrypiał starzec. Ostrze miecza dotykało szyi.

— Zbyt szybko? — zapytał ktoś z ciemności. — On nie zasłużył na lekką śmierć, przecież on...

— Zamilcz!

Starzec podszedł bliżej. Zajrzał w odchyloną do tyłu twarz Razwijara:

— On jest wart tego... Żeby złożyć go w ofierze Jezioru Urodzaju. To wszystko, co możemy... Jego krew. Nadziei jest mało. Ale powinniśmy spróbować.

* * *

„Największy zaszczyt, jaki Nagóreni mogą okazać wrogowi, to przynieść jego krew w ofierze Jezioru Urodzaju. Uważa się, że takie ofiary są w stanie odsunąć nieszczęście. Tratwę z ciałem ofiary wyprowadza się na wodę i zostawia tam, dopóki cała krew nie wypłynie z jego poprzecinanych żył i nie wypełni wody jeziora.

Składanie ofiary odbywa się na oczach ludu. Ale jeśli w ofierze Jezioru przynosi się bezpłodną kobietę, odbywa się to w środku nocy, w tajemnicy i nikt, oprócz akuszerki, nie śmie na to patrzeć”.

* * *

Woda w Jeziorze Urodzaju okazała się mlecznobiała. Podobnego zjawiska Razwijar nigdy nie widział, czarne i czerwone kamienie wynurzały się przy brzegu z wody i piasku, podobne do wytworów szalonego rzeźbiarza. Figury spletały się, ni to pochłaniane przez ogień, ni to tańcząc, ni to oddając się aktom miłości i niemożliwym było pojąć, czy to wiatr je wytoczył, czy też są dziełem rąk ludzkich.

Miękka biel wody zlewała się z ostrym światłem, błysków prawie szklanego piasku. Każdy klan władał swoją częścią brzegu, Jezioro nie należało do nikogo. W miarę tego, jak rozchodziły się ciemności, Razwijara ogarniała coraz silniejsza panika, zdawało mu się, że brzegi są puste.

Nikt nie mówił ani słowa.

Tratwa ołtarz pamiętała zapewne wiele ofiar, ale na czarnym, wypolerowanym drewnie nie było widać starej krwi. Razwijara powiesili na drągu, przepuściwszy sznur pod rękami — ledwie dotykał czarnej belki palcami bosych stóp. Przesunęli ostrym nożem po nadgarstkach, nie poczuł bólu, za to od razu poczuł lepka krew. Tratwa potoczyła się po okrągłych deszczułkach, ześliznęła do wody, zakółysała i popłynęła, wolno się obracając. I wtedy, wreszcie obróciwszy się twarzą do brzegu, zobaczył ich.

Czworonogi i jeźdźcy, i nawet kilka kobiet w rytualnych przystrojeniach głowy — czarnych, z drobniutką siatką, przykrywającą twarz. Pojawiły się, żeby złożyć w ofierze wroga i poprosić bogów o zmiłowanie. Razwijar mimochodem pomyślał, że bogowie chimajrydów są marni w porównaniu z Miedzianym Królem, kimkolwiek by ten był. Tym bogom przynoszą w ofierze wrogów i bezpłodne kobiety, chcąc otrzymać szczęście na polowaniu, albo na polu walki. Tylko szczęście, tylko maleńki cud.

Zmusił się do milczenia cały dzień i całą noc w przeddzień składania ofiary. Jeśli odcieliby mu język, jego pomysł obróciłby się wniwecz i stałby się tylko milczącą ofiarą krwawej szopki, tak jak to przewidywał dziesiątnik Bran. Teraz jego krew ciekła, omywając mu ręce i ramiona, zostawiając ścieżki na brzuchu i gołych nogach, a czarna ofiarna tratwa majestatycznie płynęła po spokojnej tafli jeziora. Chimajrydzi patrzyli w milczeniu — każdy z nich modlił się nie otwierając ust.

— Prosiłście o to wiele razy...

Gardło mu wyschło. W miejsce słów wyrwał się syk. Kilka setek Nagórenów; czworonogów i jeźdźców, patrzyło na niego. W miarę upływu czasu robiło się jaśniej i coraz jaskrawszy stawał się przybrzeżny piasek, i coraz bardziej przejrzysta woda. Opary mgły, podobne do dziewcząt w białych szatach, podnosiły się nad wodą, tańcząc melancholijnie.

— Prosiłście wiele razy — głośno, z przerwami, powtórzył Razwijar. — Teraz wasze modlitwy bliskie są, jak nigdy, uszu waszych bogów!

Uniosły się opuszczone twarze. Zabłyśły oczy na brzegu. Razwijar poczuł, jak krew z ran pociekła szybciej. Poczuł się pijany i lekki jak mgła nad jeziorem i przemówił pełnym głosem, kładąc nacisk na każde słowo:

— Nagóreni, jesteście skazani. Popatrzcie na swoją ziemię: przybędą imperatorskie wojska i przybite na słupach tęczowe akty urzędowe. A po waszej śmierci, będą tutaj żyły nie dzieci wasze i nie wnuki, a inni ludzie i stworzenia, i będą służyli innym bogom, będą kłaniać się Imperatorowi. Skalają swoją obecnością Jezioro Urodzaju.

Jego głos daleko roznosił się po wodzie, ale czas uciekał o wiele szybciej niż przypuszczał. Minęła euforia, nadchodziła słabość. Wkrótce pociemnieje mu przed oczami, nagi i zakrwawiony wisiał na tratwie niedaleko od brzegu, a tłum wrogów słuchał go — nie chcąc słuchać.

Dał się słyszeć szmer. Zabrzmiały przekleństwa. Kapłani zrozumieli swój błąd — ofierze należało uciąć język. Na tratwie ołtarzu należało umierać w milczeniu. Żeby zachować przyzwoitość pozostawało jedno — zagłuszyć słowa umierającego, zgielkiem oburzonych głosów.

— Bogowie, spójrzcie na nas...

— Zmiłuj się, Wof...

— Świętokradztwo...

— Co on mówi?!

— Słuchajcie mnie! — teraz już krzyczał ostatkiem sił. — Pokonaliście mnie — strażnika zamku, oddaliście mnie swoim bogom, ale jest inna droga ocalenia! Jest taka możliwość; samo Jezioro zwraca się do was moimi ustami! Jest droga ocalenia, jest taka możliwość, urodzą się wam dzieci i wnuki, a Imperator odejdzie z waszych ziem. Jest droga! I ja ją znam!

Szukał oczami ich oczu. Posiąć władzę nad tłumem chłopów, siedząc w siodle, to śmiesznie łatwe. Można, stojąc na wysokim kamieniu, posiąć władzę nad tłumem byłych niewolników. Można nakłonić do posłuchu mieszczan albo strażników. Ale jak zmusić innych do wysłuchania ciebie, jeśli sam, nagi i zakrwawiony, wisisz na pływającym ołtarzu, a na brzegu ryczy tłum wrogów — ludzi innej rasy, srogich i skazanych, bez nadziei.

— Popatrzcie na moją krew! Przelewacie ją w Jezioro, ale ta ofiara was nie ocali!

Podniósł głos i z przerażeniem poczuł, że traci siły.

— Ponieważ to nie ja zniszczyłem wasze osady i nie ja zabijałem wasze dzieci! Nie ja was przekląłem. Zabiłem starego władcę, waszego kata! *Ja* go zabiłem, a nie imperatorski mag! Wysłuchajcie mnie, ponieważ znam drogę ocalenia i powiem wam o niej!

W zgłębku tłumu słyszeli go tylko ci, którzy stali u samego brzegu jeziora.

— On łże!

— Zamknijcie mu usta!

— Co on mówi?

Przesunęli się do przodu, ale nikt nie ośmielił się dotknąć wody świętego jeziora.

— Nie ocali was moja śmierć! Ja mogę was ocalić — żywy!

— Zamknijcie mu...

— Niech mówi!

Nagle zrobiło się cicho. Razwijar nie pojmował, czy to jego słowa zmusiły tłum do milczenia, czy też ktoś z seniorów dał znak albo może on sam już ogłuchł.

— Imperator jest mocny, ale nie wszechmocny — przemówił w tej nowej ciszy. — Wyobraźcie sobie, że przyszedłby do was nowy władca kamiennego zamku. Wyobraźcie sobie, że zaproponowałbym wam wojenny sojusz. Razem przeciwko Imperatorowi. — Razwijar prawie szepotał i gdyby nie cisza, jaka zapanowała na brzegu, nikt by go nie usłyszał. — Co byście odpowiedzieli? Wyrzeklibyście się go i umarli w hańbie? Czy zgodzilibyście się i ruszyli do walki?

— Kim on jest? — dopytywano z tylnych rzędów. — Kim on jest?

— Przekleństwo Poranka Bez Skazy może być zdjęte. — Zdawało mu się, że do jeziora spłynęła cała jego krew, co do kropli. Nie czuł już swoich rąk i ledwie mógł poruszać wargami. — W zamku jest mag. On zdejmie przekleństwo. Wierzcie mi.

— Łżesz!

— On łże, nie słuchajcie go!

— Obcy! Nie można wierzyć obcym!

— Poranek Bez Skazy nie był obcym i co z wami zrobił? A ja jestem jeźdźcem — przed oczami Razwijara wszystko płynęło: i brzeg, i biała woda, i twarze. — Nie mam czasu na kłamstwa. Moje słowa może potwierdzić mój przybrany brat, Nagóren, Łuna Księżycy.

— Łuna Księżycy jest martwy!

Kobieta w czarnym stroju głowy podeszła do przodu, szepiając na piersi długie, jakby ptasie, palce:

— Powinien był umrzeć! Jego miejsce w mogile jeźdźca i brata!

— On żyje — wyszeptał Razwijar. — Zdecydowałem za niego. Jestem jego jeźdźcem. On żyje.

Znowu zahuczał tłum. Wyrwał się młody głos:

— Łżesz! Widziałem Łuksa martwym!

— Zamknij się, Goniec Pod Wieczór! Wsuń sobie w ucho swój kłamliwy język!

Szmer jakby uciął nożem.

Tracąc przytomność i czując własną krew na całym ciele, zdążył zobaczyć, jak spośród tłumu przepycha się ktoś kosmaty, czworonożny, z błyszczącymi klingami w gotowości:

— Widziałeś mnie martwym?! To popatrz jeszcze raz! Tylko uważnie i powtórz to patrząc mi w oczy!

— Nie waż się — wyszeptał Razwijar.

Zobaczył jak z grzbietu chimajryda zeskakuje kobieta w czarnym płaszczu. Jak wznosi ręce z turkusowym ogniem na palcu, jak przez tłum przechodzi szmer niepokoju. Jak Łuks rwie do

brzegu, jak rozstępują się przed nim, cofając, młodzi i starzy. Jak rzuca się w wodę, której nikt z jego współplemieńców nie śmiał dotknąć i rwie ku ofiarnej tratwie, a biała fala rozchodzi się przed jego piersią.

I nie utrzymawszy się na skraju ciemnej przepaści, Razwijar w końcu osunął się w czarną, bezkształtną, beczasową otchłań nieświadomości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Skrzydłaki leciały na dużej wysokości, niedosięte dla strzał. Skupisko chimajrydów na brzegach Jeziora Urodzaju, nie uszło ich uwadze. Był to patrol złożony z trzech wierzchowych ptaków.

— Na jednym z nich jest mag — powiedziała Jaska.

Nagóreni co i rusz chwyтали za broń, ale imperatorscy strażnicy nie atakowali, po prostu krążyli na dużej wysokości, trzymając chimajrydów w napięciu. Łuks często głośno wzdychał i popatrywał to na niebo, to na boki, obawiając się napadu i w każdej chwili oczekując strzały. Razwijar czuł, jak unoszą się i opadają jego kosmate boki, jak gwałtownie bije serce; Jaska siedziała na ziemi, złożywszy dłonie jak ogniewucha skrzydła. Na jej palcu jaśniał turkusowy kamień.

Razwijar leżał, opierając się o ramię chimajryda, nie czując rąk, opatrzonych wstęgami materiału. Łuks trzymał przy jego wargach kielich z gęstym, cierpkim napojem. Ciemniało mu przed oczami przy każdym ruchu, mówienie sprawiało ogromną trudność, ale upił z kielicha i mówił dalej. Wodzowie i seniorzy musieli się nisko nad nim pochylać, żeby go słyszeć, a łowili każde słowo.

Dwóch młodych, którzy złapali Razwijara poprzedniego dnia — jeździec i jego brat — trzymali się obok, bardzo blisko.

Nie rozumieli zupełnie, co się dzieje. Zamieszanie, jakie zapanowało z powodu jeńca, pochlebiało im i przerażało równocześnie. Czworonożnego zwali Dalekim Światłem, jego jeździec Gońcem Pod Wieczór. Obaj trzymali w gotowości swoje kindzały, jakby obawiając się Razwijara albo mając nadzieję, że nagle padnie rozkaz: „zabić”.

Kobieta w spiętrzonych fryzurze na głowie, z drobną siateczką zakrywającą twarz, z długimi, jakby ptasimi palcami, stała nieopodal. Wykorzystując chwilę, kiedy rozmowa przycichła — wodzowie rozmyślali głęboko nad czymś, a Razwijar umilkł, zbierając siły, podeszła do Łuksa. Siateczka skrywająca jej twarzy drgała z każdym słowem.

— Kiedy byłeś w królestwie umarłych, widziałeś Szybkiego Tancerza? Co mu powiedziałeś?

— Nie byłem w królestwie umarłych, matko — chimajryd odrobinę się cofnął. — Ale, kiedy tam trafię... będę wiedział, co powiedzieć.

Kobieta odczekała chwilę. Nie było widać jej twarzy, wyciągnęła suchą, chudą rękę i dotknęła czoła Łuksa. Ten zamarł.

— Teraz nie ma prawa, Łuno Księżycy — przesunęła dłonią po jego włosach. — Teraz każdy umiera samotnie...

— To lepsze, niż umrzeć razem z całym plemieniem — ponuro oznajmił Łuks. — Ale my będziemy żyć długo.

I zmrużywszy oczy popatrzył w niebo, gdzie wciąż krążyły skrzydłaki.

— Każ swojemu magowi pokazać pierścień — zwrócił się do Razwijara jednoreki wódz.

Jaska wolno, władczo uniosła rękę, podnosząc kamień niemal pod samą twarz Nagórena. Seniorzy długo milczeli. Czy to turkusowy odblask uczynił ich twarze zastygłymi niczym woskowe odlewy, czy też rozpoznali pierścień należący kiedyś do Poranka Bez Skazy, widok ten sprawił jednak, że zamarli i milczenie przeciągało się długo. Nikt z Nagórenów nie podważał prawdziwości przedmiotu, który zobaczył na palcu maga.

— „Mówią, że on stworzył i przeklął jakąś rzecz...”

— Razwijar pojął, że bezgłośnie otwiera usta. Wtedy skinął w kierunku Jaski. Ta przemówiła, jakby czytała na głos księgę:

— Poranek Bez Skazy stworzył i przeklął ten pierścień. Kiedy stary władca dotknął pierścieniem wody, przekleństwo nabrało mocy. Ja jestem magiem i zdejmę przekleństwo.

— Teraz?! — Jednocześnie zapytało kilka głosów.

Jaska odrobinę zmieszana popatrzyła na swojego władcę.

— A gwarancje? — Starał się rozciągnąć usta w uśmiech. — Kto da mi słowo, że Nagóreni, uwolniwszy się od przekleństwa, nie odpłacą mi złem?

— Rada wodzów da ci słowo — zaczął jednoręki, ale Razwijar już nie słuchał, patrzył czujnie w górę. Skrzydlaki zniżyły lot.

— Do boju! — krzyknął któryś z wodzów.

— Ośmielili się — poniosło się w tłumie. — Sprofanować... Święte Jezioro...

Brzeg najeżył się wzniesionymi ostrzami. Łuks ostrożnie ułożył rannego jeźdźcę na piasku i stanął przed nim, osłaniając go z góry.

Jaska ścisnęła w pięść rękę z pierścieniem. Zacisnęła wargi, Razwijar patrzył na nią z dołu. Z tej perspektywy jej twarz straciła proporcje i zdawała się straszna.

Dziewczyna głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Zmrużyła oczy. Z pierścienia wyrwało się cienkie jak nitka turkusowe światło, które błyskawicą powędrowało do nieba, wbiło się w obłok za skrzydłakiem i ptak, machnąwszy skrzydłami, nagle przewrócił się na bok. W tej samej chwili Jaska krzyknęła i poderwała się do góry, jakby ktoś silnie szarpnął ją za rękę.

Niebo zahuczało od dalekiego grzmotu, padający skrzydlak wyrównał lot nad ziemią i kilka strzał, wypuszczonych przez chimajrydów, przeleciało obok. Skrzydlaki całą trójką odleciały za horyzont i dopiero wtedy ziemi dosięgły ogromne, nieważko szybujące, białe pióra. Jedno upadło tuż obok leżącego Razwijara.

Nagóreni ryczeli, potrząsając orężem. W tym, co się stało, zobaczyli pierwsze zwycięstwo i dobry znak. Jaska stała z dumnie uniesioną głową, jak przystało wielkiemu magowi. Jeden tylko Razwijar widział, że jej lewa ręka ostrożnie ścisną prawą i że blask pierścienia przygaśł.

* * *

Wracał do zamku prawie leżąc w siodle, przytulony do ramienia Łuksa. Umowa została zawarta i miała trwać do pierwszego śniegu. Jaska kroczyła obok, a dalej, utrzymując dystans podążało pięciu chimajrydów z jeźdźcami — obserwator i przyszli zakładnicy. Władca zamku, który dobrowolnie oddał się w ofierze Jezioru, jego potężny mag i jego przybrany brat, który powrócił z krainy umarłych, zostali bohaterami pieśni jeszcze zanim sojusz Nagórza i Zamku został skropiony wodą na świętym brzegu.

Wracali, co i rusz spoglądając w niebo. Dwukrotnie zauważyli skrzydlaty patrol — na horyzoncie, nad górami. Jaska w milczeniu rozdymała nozdrza. Do samego zamku między nią, Łuksem i Razwijarem nie padło ani jedno słowo.

W towarzystwie chimajrydów zeszli po stoku wąwozu. Nowy władca zobaczył, że prace toczą się po dawnemu, kamienne zwały rumoszu przerzedziły się, a mur urósł. Zobaczył drewniane domki na miejscu obozu i dymy nad dolnymi kondygnacjami. Zrobiło mu się lżej na duszy.

Patrolowy zauważył ich i dał znak. Nagóreni stłoczyli się w zwarty szyk, nie obnażając kling, ale gotowi zrobić to w każdej chwili. Strażnicy także ustawili się w bojowym szeregu — pojawienie się chimajrydów oznaczało dla nich rychłe starcie.

— Wszyscy opuścić broń. Zawarliśmy sojusz z nagóreńskimi plemionami. Wojenny sojusz przeciwko Imperium... — Razwijar mówił bardzo cicho. Strażnicy, stojący bliżej niż wszyscy, przekazywali jego słowa towarzyszom. Narastał szmer, niezdecydowanie opuszczały się ostrza.

— Potrzebuję dwóch ochotników, którzy pójdą jako zakładnicy do Nagórza. Dwóch stamtąd zostanie u nas. Kto jest chętny?

— Do chimajrydów?!

Razwijar nie mógł nikogo winić, ponieważ zbyt szybko zmieniał się los, zbyt krwawa była wspólna historia Nagórenów i mieszkańców kamiennego zamku. Sam też nie wzbudzał w swoich ludziach zwykłej pewności — ledwie trzymał się w siodle, prawie tracąc przytomność. Strażnicy byli całkowicie zdeorientowani.

— Ja pójde — powiedział Bran i wystąpił z szeregu. Razwijar początkowo nie rozpoznał go na placu przed zamkiem.

— Nie ty — machnął głową i ledwie poradził sobie z zawrotem głowy. — Nie ty, dziesiętniku, ty... — zawahał się, starając się wymyślić jakiś powód. — Ty jesteś mi potrzebny tutaj.

Chimajrydzcy jeźdźcy, stojący w półkole — ramię przy ramieniu — czujnie oczekiwali, kiedy zakończy się ta scena.

Strażnicy otrząsnęli się z zaskoczenia. Ruszyli do przodu, od razu trzech; Razwijar wzrokiem wybrał dwóch najmłodszych.

— Malec i Rudy. Dziękuję. Ja... — zaciął się. Ochotnicy spoglądali niego szczerze i z pełnym zaufaniem. — Ze mną nie zginiecie — wymówił w końcu. Po chwili dodał. — Nie mam zamiaru zdradzać sojuszników. Będziecie bezpieczni.

Kilka minut minęło na przygotowania i pożegnanie. Czując nadchodzącą słabość, trzymał się ramion Łuksa. Ten, nie patrząc na niego, przykrył jego rękę swoją dłonią.

— W zamku zostaną Dalekie Światło i Goniec Pod Wieczór — powiedział Razwijar.

— Dlaczego oni? — cicho zapytał przywódca oddziału chimajrydów, niemłody już jeździec z rzadką, siwiejącą brodą.

— A w czym oni są gorsi od innych? Przecież seniorzy wyrazili zgodę.

— Jeśli będziesz się na nich mścił...

Razwijar ostro odwrócił głowę. Znowu pociemniało mu przed oczami.

— Póki są zakładnikami, nie spadnie im włos z głowy. A potem... zobaczymy.

Już wchodząc do zamku, na stronie szeptem powiedział do dziesiętnika Brana:

— Wybacz. Oni by cię rozpoznali. I ktoś mógłby nie wytrzymać i porwać się z bronią na ciebie. A mnie potrzebny jest pokój.

* * *

Ledwie doszedł do siebie, przywołał Jaškę. Pojawiła się, wyprostowana i opanowana, poły jej czarnego płaszcza zamiatały kamienną podłogę. Jej dłonie skrywały szerokie rękawy sukni.

— Co chcesz mi powiedzieć, władco?

— Jesteś zła? — zapytał po chwili.

— Nie — stanęła jeszcze bardziej wyprostowana, chociaż zdawało się, że jest to już bardziej niemożliwe. — Przyszłam wysłuchać twoich rozporządzeń.

— Usiądź, proszę.

Usiadła na skraju drewnianego fotela.

— Co z twoją ręką? Co z pierścieniem? Ty... nie zostałam ranna?

Patrzyła na niego zarazem chłodnymi i pełnymi cierpienia oczami:

— Nic mi nie jest. Po raz pierwszy przekonałam się... odczułam przez chwilę, co to takiego siła wrogiego maga. On nie atakował. On tylko odbił mój atak i zabrał drużynę.

— Czy jest silny?

Kąciki ust Jaski drgnęły.

— Wystarczy o tym na razie — spokojnie przemówił Razwijar. — Masz jakiś pomysł, jak zdjąć przekleństwo?

— Nie. Ja nigdy... Powinnam pomyśleć. Ile czasu potrzebujesz?

— Nie wiem — jej głos zmienił się, z lodowatego stał się po prostu nerwowy.

— Przecież masz pierścień — łagodnie przypomniał Razwijar.

Dziewczyna milczała, zagryzając wargi.

— Przekleństwo nie jest zamknięte w pierścieniu. Tam jest inna rzecz.

— Co?

— Na dnie jeziora znajduje się... Leży jakaś rzecz. To ona jest przeklęta i ona utrzymuje przekleństwo. Jest na dnie.

— Możesz ją znaleźć?

— Jeśli trzeba, mogę — Jaska po raz pierwszy odwróciła wzrok. — Spróbuję.

— Co to jest?

— Nie wiem! — mimowolnie wzruszyła ramionami. — Nigdy nikogo nie przeklinałam.

— Zrobmy bilans — Razwijar zaczął wyginać palce. — Imperatorski mag jest bardzo silny. Bezkarnie może latać nad Jeziorem. Na dnie leży jakaś rzecz, którą należałoby znaleźć, wyciągnąć i zdjąć przekleństwo... Wszystko to trzeba zrobić do pierwszego śniegu, zgodnie z naszą umową z seniorami. Coś jeszcze?

— To wszystko — oczy dziewczyny znowu zastygły, przemieniając się w dwa kawałki lodu.

— Nie wszystko — westchnął. — Jesteś na mnie bardzo zła.

— Jesteś moim władcą. Jak śmiałabym być na ciebie zła?

Westchnął głęboko. Komnata zakręciła mu się przed oczami. Powinien był wyjaśnić jej... Powinien wytłumaczyć, to takie proste, że nawet dziecko by pojęło — magia nie jest wszechmocna. Groźby także. Na potężnego maga znajdzie się potężniejszy. Sojusz zawarty z lęku przed ogniewuchami, przetrwa dokładnie trzy dni i trzy noce. Ona zupełnie nie zna chimajrydów... nawet jeśli sypia z Łuną Księżycą.

Zamrugnął odpędzając ciemność. Ostatnia myśl... tak, ona nie zna chimajrydów. Nawet Łuks nie rozumie swoich współplemieńców tak, jak rozumie ich Razwijar.

— Skoro nie jesteś zła, to nie bądź — wyrzekł, walcząc ze słabością. — Weź księgę „Kroniki chimajrydów”. Poczytaj. Czytał ją władca przed najeźdźczą wyprawą na nagóreńskie ziemie. Może uda ci się zrozumieć...

— Przecież ja nie umiem czytać, mój władco.

— W takim razie ja ci poczytam — powiedział po chwili milczenia.

— Jak sobie życzysz, władco. Mogę odejść?

Podniosła się — czarna, wysmukła i wyniosła, nieznośnie obca.

— Idź.

Zamknęły się za nią drzwi.

* * *

Architekci i budowniczowie zakończyli pierwszy etap budowy.

Zaczął pracować tartak, przemieniając byłą tratwę handlarza Remysza w belki, deski, rusztowania i kozły. Praca w kuźni trwała dzień i noc; kuto gwoździe, narzędzia, groty strzał,

ogniwa łańcuchów, noże i obręcze do beczek. Kładli kamienie w kupkę, układali bierwiona w przygotowane dla nich koryta. Kamienny zamek obrastał drewnianymi przybudówkami, a wewnętrzne wykończenie dolnych kondygnacji składało się prawie w całości z drewna.

Straż wypróbowywała nowe arbalety i metalowe maszyny. Razwijar czekał na wieści z Fier i obawiał się nowego ataku zbirów. Ani jego oczekiwania, ani obawy jak dotąd się nie potwierdzały.

Z górskich osad przybywali pasterze wraz ze swoimi stadami. Niekiedy najmowali się do pracy na dzień albo na tydzień i wracali do siebie z wiązką drewnianych szczapek na plecach, zbliżała się bowiem zima, a w górach trudno było o dobry opał. Tych, którzy chcieli dostać pracę przybywało coraz więcej; rogacze, których w zamku nie było czym karmić rozeszły się po górach. Oddawano je chłopom na własność prawie za darmo.

Powrócił intendent Szlop. Cały ten czas ukrywał się w Kipieli, wychudł, postarzał się, ale duchem nie zmienił się ani na jotę. Razwijar nie spodziewał się, że taką radość sprawi mu widok starego, zgryźliwego intendenta; Szlop przystąpił do wypełniania swoich obowiązków i wkrótce robotnicy w zamku nauczyli się drzeć na dźwięk jego głosu.

Jaska źle się czuła. Jeszcze bardziej schudła, pobladła, przestała się uśmiechać. Wieczorami Razwijar odwiedzał ją w jej komnacie w wieży. Leżała w łóżku, a on przechadzając się od okna do kominka, z pamięci czytał jej „Kroniki”, niestety sił starczało mu na krótko — dosłownie na parę stronice co wieczór. Wracał do siebie o wiele wolniej niż się spodziewał. Żebra wciąż go bolały, nosił obcisłą przepaskę, ale ledwie mógł chodzić. Nacięcia na rękach zasklepiły się, ale zawroty głowy i słabość nie minęły.

Z Nagórza przychodziły złe wieści — patrole na skrzydlakach hulały, jak u siebie w domu, nad każdym skrawkiem umęczonej ziemi. Plemiona posłuszne Imperium, demonstracyjnie naruszały wiekowe zakazy; samobójstwo, najstraszniejszy grzech przed obliczem bogów, stało się dla młodych chimajrydów czymś w rodzaju brawurowej zabawy. Jeździec i jego brat z klanu Burzy rozbili się, skoczywszy razem z wysokiego urwiska. Dziesięciu młodych wojowników sypało truciznę do jednej szklanki z dziesięciu i ciągnęło losy. Na wolnych terytoriach każdego dnia zdarzała się potyczki. Nadzieja wzbudzona przez Razwijara powoli gasła, nie mając wzmocnienia w działaniu. Wśród Nagórenów zapanował strach i rozpacz.

Władca liczył na to, że z czasem Jaska zmięknie, ale wszystko szło na odwrót — z każdym dniem dziewczyna robiła się coraz bardziej małowówna i oschła. Potrafiła całymi godzinami siedzieć wpatrując się w pierścień. Mogła wałęsać się bez celu po zamku, niczego nie zauważając, mówiąc coś do siebie niezrozumiale, ludzie schodzili jej z drogi. Młoda niewolnica przydzielona magowi w charakterze osobistej służącej, bała się coraz bardziej swojej pani.

Do pierwszego śniegu zostało dosłownie parę dni, z każdej szczeliny niesło wilgotnym, zatechłym chłodem. Pewnego wieczoru Razwijar, jak zwykle, wszedł na wieżę i zastał na schodach niewolnicę. Ta trzęsa się na całym ciele, z przerażeniem spoglądając na zamknięte drzwi wiodące do komnaty Jaski.

— Co się stało? — Przysiadł obok niej na stopniu. Dziewczyna wcisnęła się w ścianę i błagalnie pokręciła głową.

Stuknąwszy w ciężkie skrzydło drzwi, Razwijar wszedł. Mag chodziła z kąta w kąt, roztrzepane włosy stały dęba na głowie.

— Kazałam ci... — zaczęła dziewczyna syczącym, zdławionym głosem i wtedy zobaczyła, kto przyszedł. Gwałtownie się zatrzymała.

— Tak, mój władco? Nadszedł czas na czytanie o ludożerczych obyczajach, głupich imionach i wściekłych, bezsilnych bogach?

— Zjedz ze mną kolację — powiedział, po chwili milczenia.

— Czy to rozkaz?

— Tak.

Wyszedł na schody i powiedział do drżącej służki:

— Nakryj do stołu. Na dole. Tam, gdzie jest basen.

* * *

Siedzieli jedno naprzeciw drugiego za obficie zastawionym stołem. Oprócz polewki, którą kucharze gotowali dla wszystkich, znalazło się tutaj pieczone na rożnie mięso człapacza, ser i zasmażka z delikatnego sadła przyśleпки, dzban ze źródlaną wodą i butelka wina.

— Zbliży się termin, wasza wysokość. Kiedy będziemy zdejmować przekleństwo?

Jaska wysunęła podbródek:

— Kiedy tylko będzie ci wygodnie, władco.

— Jesteś gotowa?

Spoglądała mimo Razwijara, w ścianę za jego ramieniem. Jej twarz, podświetlona niskimi świecami na stole, mogła teraz przstraszyć nie tylko młodą niewolnicę.

— „Dotknięcia tej wody pełne są wielkiego znaczenia — zaczął od tego samego miejsca, gdzie zostawili czytanie wczoraj — rytuały starożytnych określają komu, kiedy i w jakich okolicznościach wolno wchodzić do Jeziora albo nawet zanurzyć w nim palce. Woda Urodzaju zdolna jest, zgodnie z wierzeniami, wzmacniać pragnienia i oczyszczać myśli, nadawać jasność dążeniom...”.

— Nic nie rozumiem — przerwała mu Jaska, a w jej głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. — Nie rozumiem, co znaczy „nadawać jasność dążeniom”. W czym mi to może pomóc?

Razwijar jej nie słyszał. Przed jego oczami tłoczyły się wersy, widział gładką białą powierzchnię z rozchodzącymi się kolistymi falami, jakby coś wrzucono do spokojnej wody...

— Przekłęto ich dwukrotnie — wymamrotał, patrząc mimo dziewczyny. — Władca tylko dotknął wody pierścieniem. Przekłęta rzecz już leżała na dnie. Wrzucił ją tam Poranek Bez Skazy i matki zaczęły rodzić dzieci, jak popadnie, został naruszony wiekowy porządek... Ale nawet Poranek nie ośmielił się doprowadzić przekleństwa do końca. Przestraszył się... albo odpuścił, bo zrobiło mu się żal pobratymców. A władca, pragnąc posłuszeństwa, uwolnił przekleństwo... Jaska, co leży na dnie?

— Nie wiem. Nie wiem, za co Poranek przeklął swój lud. To potworne przekleństwo, jeśli chodzi o jego moc i... w ogóle potworne. Woda w jeziorze jest nieprzejrzysta, dno głębokie. I *ono* leży na dnie. Nie jestem wszechmocna. Ja...

Zacięła się.

— Może powiesz: „nie mogę”? — przymilnie zaproponował Razwijar.

Gwałtownie uniosła głowę i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Uśmiechnął się. Jego ręce leżały po obu stronach talerza, na nadgarstkach czerwieniały wciąż świeże blizny.

— Mogę mówić, co mi się podoba — cicho przemówiła Jaska. — Ale co znaczą dla władcy moje słowa? Władca powie: „pomyślę” i zrobi tak, jak sam zechce. Niczym się nie wydał. Władca może nawet zełgać, a ja, mag, nie czuję jego kłamstwa. Dlatego, że nie ma różnicy między jego kłamstwem, a prawdą.

— Głupstwo — powiedział łaskawie. — Przecież sama pojmujesz, jaka to bzdura.

— Władca głośno pochwali mój i Łuksa plan, a potem napluje na niego w imię... idiotycznej awantury!

— Ważny jest rezultat — musnął jej dłoń. — Jeśli awantura przyniosła znaczący rezultat, to znaczy, że był to wyczyn. Jeśli wyczyn okaże się porażką, to znaczy, że była to awantura... Posłuchaj, chciałbym poprosić ciebie i Łuksa o wybaczenie. Proszę, przyjmij moje przeprosiny.

Dziewczyna rozplakała się. To było tak nieoczekiwane, że stracił głowę.

— Jaska...

— Nie jestem warta dla ciebie nawet miedziaka!

— Nieprawda!

— Prawda! Tobie jest wszystko jedno, ty widzisz tylko cel, który chcesz osiągnąć! Umrzesz przez swój upór, dlatego, że tak zdecydowałeś!

Do tej pory zdawało mu się, że wszystko wie i na wszystko jest przygotowany, on rzeczywiście umierał, odradzał się, ratował i wyprawiał na śmierć, a teraz wielki mag płakał przed nim i Razwijar bał się powiedzieć słowo — zdawało się, że Jaska zaraz wstanie i ucieknie, przewróciwszy krzesło.

— A ja nie mogę cię zmienić, twoja decyzja — kamień... a moja — jedno splunięcie... Tak, przecież jestem tylko babą! Nic nie znaczę!

Obszedł stół i objął ją. Dziewczyna płakała jak dziecko, zalewając się łzami i pociągając nosem.

— Idź do Szuu! Idź, gdzie chcesz i rób, co chcesz... I puść mnie, odczep się!

Z opóźnieniem zaczęła się wyrwać. Teraz trzymał ją i nie miał zamiaru wypuszczać, chociaż jej kuksańce były nader odczuwalne dla żeber.

— Będę miała dziecko! — wykrzyczała, dusząc się od łez. — Dziecko! Twoje dziecko!

Z zaskoczenia przycisnął ją silniej. Krzyknęła, szarpnęła się, wykręciła i silnie uderzyła go w twarz.

Rozluźnił ręce. Jaska odskoczyła do drzwi. Popatrzyła na swoją rękę, potem na niego, w jej oczach był strach.

— Wybacz — wyszeptała — Nie chciałam... Wybacz!

Jej oczy gorączkowo błyszczały, z mokrych rzęs spadały krople:

— Jesteś zbyt wielkim wojownikiem dla prostej baby... Jesteś zbyt wielki, Razwijar, ja nie widzę twojej twarzy... dopiero, gdy odchyłę głowę do tyłu...

Milcząco uklęknął przed nią. Ścisnął jej mokre, chłodne dłonie, wargami natknął się na pierścień i w tym momencie po korytarzu rozniósł się tupot szybkich kroków:

— Razwijar! Zdrada w zamku! Walka...

* * *

Wziął ze sobą miecz Heksów. Pozostając w samotności, bez Łuksa, instynktownie oddawał pierwszeństwo „rodzimeму” orężu.

Wilgoć, chłód, zapach dymu i świeżej budowlanej zaprawy; zielone witki, zakrywające balkon nad środkową galerią, uderzały go po twarzy. Kręcone schody stromo schodziły w dół. Zdążył na sam koniec akcji, na ziemi, pod grupą napastników wił się Gонец Pod Wieczór, a Dalekie Światło, jego czworonogi brat walczył w bezpośrednim starciu z przybrany bratem władcy.

Razwijar wybiegł na szeroki plac przed odbudowanym murem, kiedy Łuks wybił oręż z ręki krewniaka i pazurzastą łapą uderzył go w twarz. Głową chimajryda rzuciło w tył, na twarzy wystąpiły krwawe pasma, a on sam przysiadł na tylnych łapach; drugi miecz Dalekiego Światła już walał się pod nogami strażników pośród kamiennego kruszywa, ale nawet bezbronny, półczłowiek nie miał zamiaru się poddać — rzucił się na przeciwnika, wysuwając pazury.

Dwaj chimajrydzi starli się, drapiąc boki jeden drugiemu. Poleciały kłaki sierści. Łuks przystawił klingę do gardła Światła, a ten zamarł przysiadłszy na ziemi, z całej siły młóćąc ogonem.

— Razwijar — sapiąc, zaczął meldować Tari–Koło. — Oni chcieli uciec! Zranili Chrapuna... Malec i Rudy są u *tych* jako zakładnicy, a *ci* chcieli uciec!

— Ostrożniej — zauważył władca. — Jeśli ich udusicie, nasi nic pożyją długo.

Goniec Pod Wieczór patrzył na niego z ziemi bezmyślnymi, nabiegłymi krwią oczami.

— To naruszenie umowy — zaryczał Łuks. — Specjalnie ich pilnowałem... I zgadłem! Jego pasiasta skóra była zakrwawiona w kilku miejscach.

* * *

Zakładnicy, Dalekie Światło i jego jeździec, trzymali się w zamku razem, opuszczali wyznaczone im pomieszczenie niezauważalnie i cicho, starając się nie rzucać w oczy. Razwijar pewnego razu przyważył, jak Nagóreni ukryci w bocznej galerii obserwują próbne strzały z wielkiego arbaletu. Obaj mieli napięte, ponure twarze; odradzająca się potęga zamku przerażała ich.

— Rozwiążcie im ręce.

Tari–Koło zawahał się, ale wypełnił rozkaz. W komnacie z basenem uporządkowano stół, zakładnicy stali pod ścianą, nieświadomie szukając wsparcia jeden u drugiego. Goniec Pod Wieczór wywinął się w starciu siniakami i zadrapaniami, za to jasna sierść jego brata wisiała w paru miejscach smętnymi kłakami, tam gdzie ostro przeszły po niej pazury Łuksa.

— Został nam jeszcze trójlistnik? — zapytał Razwijar.

— Wydałem polecenie — przez zęby odezwał się przybrany brat władcy. — Już gotują.

Jaska siedziała w fotelu, z wyprostowanymi plecami. Trudno było uwierzyć, że jeszcze niedawno w tej samej komnacie ryczała jak wiatr w trąbie — potężny mag zasiadał, położywszy ręce na podłokietnikach, a długie rękawy ześliznęły się do łokci, dając wolność turkusowemu kamieniowi.

Goniec Pod Wieczór patrzył pod nogi. Dalekie Światło, przeciwnie, szukał spojrzenia Razwijara, jego smagłe, ogorzałe oblicze przypominało mu kogoś, kogoś z dawnych wspomnień.

— Dziękuję, Tari. Możesz odejść.

Strażnicy wyszli. Razwijar słyszał, jak Tari–Koło wystawił wartę na korytarzu pod drzwiami. Doskonały służbista, przemknęło mu przez myśl. Chociaż jest jeszcze taki młody.

Przeniósł wzrok na Łuksa. Ten odszedł do światła i oglądał broń, odebraną zbiegom. Po chwili zapytał retorycznie:

— Który mądry zostawił im kindżały? Który idiota wpadł na ten świetny pomysł?!

— Ja — powiedział Razwijar.

— Łaskawca — rzucił ten przez zęby.

— Łuks, nie jesteście krewnymi z... — Razwijar wskazał wzrokiem na Dalekie Światło.

— Jesteśmy braćmi — chimajryd patrzył gdzieś w bok. — Rodzonymi. W dzieciństwie rodzice zamienili go na dziewczynkę. Oddali do innej rodziny. Jest drugi wedle starszeństwa... Duma rodu, dwukrotny zwycięzca Długiego Marszu — głos Łuksa brzmiał monotennie. — Szybki Tancerz skreślił się z zawiści, jak się dowiedział, że jemu dostałem się ja, a nie Światło...

— Razwijar, czy jestem ci potrzebna? Będziesz ich przesłuchiwał? — wtrąciła się chłodno Jaska.

Podał jej rękę, pomagając wstać.

— Ty zawsze jesteś mi potrzebna, wasza wysokość. Ale teraz odpocznij.

Uściskał jej dłoń. Objął w talii, na moment zatrzymał rękę na jej płaskim jeszcze brzuchu. Kobieta zamarła; Łuks zauważył iskrę, która przeskoczyła między nimi. Na dnie jego oczu coś się zmieniło.

Wyszła, stąpając majestatycznie, z uniesionym podbródkiem. Gdzie ona nauczyła się tak chodzić, kolejny raz zdziwił się Razwijar. Skąd ta poza, to trzymanie głowy? Skąd płynność w każdym ruchu? Odprowadzał ją wzrokiem i Łuks również odprowadzał ją wzrokiem. I obaj jeńcy odprowadzali Jaskę wzrokiem — Goniec czujnie, zaś Światło z goryczą.

Drzwi się zamknęły.

— Dalekie Światło — odezwał się Razwijar — jeśli teraz zabiję Gońca, twojego przybranego brata i jeźdźca, ty postąpisz za nim do krainy umarłych?

Goniec uniósł głowę. Światło zwięził oczy, zerknął spod zmarszczonych brwi i stał się tak podobny do Łuksa, że Razwijar aż się przestraszył.

— Tak — opowiedział zapytany.

Władca wyciągnął z pochwy miecz Heksów. Łuks zauważał nie drgnął. Goniec Pod Wieczór zmusił się do stania spokojnie. Światło ciężko dyszał, jego boki unosiły się i opadały.

— Macie kobiety? — zapytał Razwijar.

— Tak.

— Macie dzieci?

— Nie — z nienawiścią wypluł to słowo Goniec. — Ty wiesz dobrze, dlaczego.

— Dlaczego zdecydowaliście się złamać umowę? Zniweczyć moje starania o porozumienie pomiędzy zamkiem u Nagórzem, starania zakończone sukcesem, który opłaciłem własną krwią?

Mówił, gładząc ciemny miecz, bez blasków.

— Nie będziemy ci odpowiadać — szybko odpowiedział Goniec. I w tym momencie słowa zaczęły się z niego wylewać, jakby wybuchły: — Dlatego, że jesteś wrogiem! Ty... Ty masz... Podstępem wyprosiłeś sobie wytchnienie... żeby odbudować zamek, a nasi seniorzy uwierzyli ci! Oni nie wiedzą, kim jesteś, nie wiedzą, że ich oszukałeś! Arbalety... maszyny... ogniewuchy! Oni tego nie widzieli, nie wiedzą, co się tutaj dzieje!

Dalekie Światło milczał. Razwijar czuł jego spojrzenie; jeśli spojrzenie Gońca miało się po komnacie, nie zatrzymując się na twarzy władcy, to Dalekie Światło patrzył prosto, jakby oczekując odpowiedzi.

Przemawiający spostrzegł w końcu, że mówi w całkowitej ciszy, mówi bez przymusu i nie może przestać. Z widocznym trudem zmusił się do milczenia. Zakaszłał.

— O co chciałeś mnie zapytać, Światło? — Władca usiadł w fotelu, położywszy na kolanach miecz Heksów.

— Po co to zrobiłeś? — zapytał wprost chimajryd. — Dlaczego nie przyszedłeś z wojskiem i ogniewuchami? Dlaczego przyszedłeś... tak jak przyszedłeś? Przecież to przypadek, że cię nie zabiliśmy. Ja sam kilka razy miałem cię na celu... trzymałem na pewniaka.

Łuks zatrząsł się. Zagryzł wargi. Spojrzał na Razwijara z wyrzutem. Odwrócił wzrok.

— Wszystko jest przypadkiem — powiedział władca. — To przypadek, że urodziło się troje czworonogich z jednej matki. Przypadek, że maleńka dziewczuszka z plemienia Heksów nie zginęła w lesie. Przypadek, że to moja strzała zabiła maga. A może nie przypadek?

Patrzył w oczy Dalekiemu Światłu. Ten zmieszał się pod tym spojrzeniem.

— Miałeś mnie na celu, ale nie strzeliłeś. Co powstrzymało twoją rękę?

— Nie wiem. Może... pomyślałem, że...

Chimajryd objął się za ramiona takim gestem, który Razwijar wiele razy widział u Łuksa.

— *Ja* wiem. Ciebie powstrzymała moja wola. Dlatego, że to *Ja* chciałem zebrać wszystkich wojowników, czczących starożytne prawo, w jednym miejscu. I rozmawiać z nimi tak, żeby mnie

słyszeli. I zrobiłem to, Światło. A ty? Co ty chciałeś zrobić? — ściszył głos. — Zdradzić mnie? Złamać umowę? — kontynuował spokojnym tonem. — Bezpowrotnie zgubić swój lud?

— Dlaczego z nim rozmawiasz, jeśli ja jestem jeźdźcem? — wycedził Goniec Pod Wieczór.

— Dlatego, że on mnie słucha. A ty — nie.

— Jesteś czarownikiem. Mieszasz w umyśle. Sprawiasz, że przestajemy wierzyć własnym myślom. Dlaczego nie zastrzeliliśmy cię od razu!

— Zamknij się, Goniec — ryknął Łuks. — Jeszcze choć słowo palniesz, to twój kłamliwy jęzor obwiążę sobie na ręce!

— Spokój — wyrzekł cicho Razwijar. — Dalekie Światło, jesteś bratem Łuksa, a to znaczy, że i moim. Gończe Pod Wieczór, jesteś bratem Światła, a to znaczy, że także moim. Kto z was wie i może odpowiedzieć: za co Poranek Bez Skazy przeklął swój lud?

Nikt, nawet Łuks, nie oczekiwał takiego pytania. Jego oczy zwęziły się, kiedy patrzył na Gońca Pod Wieczór, a ten — przynajmniej tak zdało się Razwijarowi — drgnął.

— Był magiem i wystąpił przeciwko prawom — po długiej chwili powiedział spochmurniały Dalekie Światło.

— Dlaczego? — Razwijar wciąż patrzył na Gońca.

— A jak niewolnik może być magiem? — z nieoczekiwaną złością zapytał Łuks. — Ze śladami po ostrogach na bokach?

— On zabił swojego brata — powiedział Dalekie Światło, wpatrując się uporczywie w podłogę.

— A ty, Światło, nigdy nie chciałeś zabić Gońca Pod Wieczór?

Młody chimajryd chciał odpowiedzieć od razu, ale się zaciął. Kilka chwil przybrani bracia patrzyli na siebie.

— Szukasz przyjaciela wyjaśnienia, którego nie ma ponuro powiedział Łuks. — Był magiem, ot i wszystko. Nigdy nie zrozumiemy magów.

— Bzdura. Jaska jest magiem, a ja ją rozumiem... na tyle, na ile w ogóle mężczyzna może zrozumieć kobietę. A ty?

— Miałem siostrę — odezwał się nagle Goniec Pod Wieczór Łuks, który już wyrwał się do odpowiedzi, zaciął się.

Nagóreński jeździec patrzył w podłogę.

— W dzieciństwie słyszałem od niej... ona podsłuchiwała rozmowę matki z babką. Ona...

— Co? — Nie wytrzymał władca.

— O tym... nie należy mówić — wymamrotał Goniec. — To przynosi nieszczęście. Nie należy mówić głośno. Razwijar przysłonił oczy dłonią: „Urodzajność to dla nich zdolność samicy do przynoszenia młodych, a za najstraszniejsze zło, o którym nie należy mówić głośno, uważa się...”.

— Bezpłodność — szeptem powiedział Goniec.

Jego ciemnobrązowe oczy gorączkowo błyszczały na zalanej polem twarzy. Nastroszyła się krótka ciemna broda.

— On... to znaczy Poranek... i jego brat, mieli dwie kobiety. Jedna z nich... nie urodziła ani jednego dziecka w przeciągu pięciu lat. Ją...

— Złożono w ofierze Jezioru — dokończył Razwijar i chwycił się za głowę. Zobaczył czarną tratwę z podwieszoną na szczeblu kobiecą postacią, zobaczył odrzuconą w tył twarz Jaski. — Szuu... Bogini Wof... Jak ja mogłem... przecież... powinienem się...

— Dlaczego nikt o tym nie wie, a ty wiesz? — ostro zapytał Łuks. — Dlaczego nikt nie wie tego, co powiedziałeś? Przecież wszyscy pamiętają imię Poranka Bez Skazy?!

— Moja babka jest akuszerką — Goniec przesunął dłonią po twarzy. — Wtedy była jeszcze całkiem młoda... Widziała składanie ofiary. Od czasu, kiedy przestały rodzić się dzieci, ona przysięgła Jezioru, że będzie milczeć, póki nie przyjmie niemowlęcia... Od tamtej pory nie powiedziała ani słowa.

— I to także przypadek? — cicho zapytał Razwijar.

Nikt mu nie odpowiedział. Kilka chwil minęło w ciszy. Potem władca wstał. Wsunął miecz w pochwę. Otworzył ciężkie drzwi i krzyknął w ciemność korytarza:

— Przepuście ich. Niech idą.

* * *

Na drugi dzień wrócił Glenir, były niewolnik, wysłany z misją szpiegowską do portu Fier. Dziewczyna, służąca w zamku, zobaczyła go pierwsza. Prała w rzece, porzuciwszy bieliznę, rzuciła się chłopakowi na spotkanie i długo biegła, potykając się, obcierając nogi.

Bielizna ledwie nie została uniesiona przez potok. Intendent Szlop był niezadowolony i wybaczył niewolnicy tylko ze względu na osobistą prośbę Razwijara.

Glen wrócił całkiem zmarnowany, zmarniały, ale bardzo zadowolony z wyników swojej wyprawy. Razwijar rozmawiał z nim na balkonie władcy, gdzie bujnie rozrosły się pnące rośliny, gdzie odślaniał się przepiękny widok na wąwóz. Chłopak nie wiedział o dwóch pozostałych szpiegach wysłanych przez władcę, ale z jego opowieści wynikało niezbicie, że obaj zginęli, nie wiadomo jak i gdzie. Chwat im nie uwierzył, pomyślał Razwijar.

Wysłannik relacjonował przebieg wyprawy. Zbiegowie dotarli do Fier. Do tego czasu przewrót ostatecznie osiągnął swój szczyt. Wszyscy, którym Glen jakoby „pomógł uciec”, byli ludźmi Chwata albo od razu przeszli na jego stronę.

Opowiedzieli nowemu nocnemu baronowi o tym, co on i tak wiedział, że zamek został przejęty i Dok-Szert jest martwy. Okazało się bowiem, że Chwat dogadał się z byłym marynarzem, że jeden drugiemu wyśle list, w którym będzie ich umówione słowo. Herszt takiego pisma nie otrzymał. W liście Razwijara, bez umówionego znaku, od razu zwąchał oszustwo. Nocny baron był wściekły i publicznie poprzysiął ugotować Razwijara w kotle. Ma ludzi, całą armię. Częściowo przeszli na jego stronę poprzedni zbóje Nowa, częściowo przyszli nowi spośród marynarzy.

Tak, ludzie byłego nocnego barona nie poddali się od razu, Chwat stracił dużo czasu i pieniędzy, żeby wygryźć ich z miasta albo zabić. Ostro wziął się za robotę. Każdej nocy z ulic zbierano nie trzy, cztery trupy, jak wcześniej, ale niekiedy po całej dziesiątce. Chwat jest nieprawdopodobnie okrutny, boją się go nawet jego najbliżsi pomocnicy. Glenowi trzęsły się nogi, kiedy z nim rozmawiał. Powiedział o sobie, że jest byłym niewolnikiem, napojonym „słodkim mleczkiem”, który pomógł uciec zbirom, licząc na zysk i poprosił nocnego barona chociaż o drobną pracę. Chwat początkowo nie wierzył, zadawał podchwytliwe pytania. Glen dziesięć razy oblał się potem, zanim go wreszcie wysłali do zbierania łapówek w biednym kwartale zamieszkanym przez górników. Baronowi służą ludzie z nadbrzeżnych osad, nazywają siebie rybakami, ale naprawdę są piratami. W porcie Fier nikogo nie ruszają, ale na morskich szlakach tylko noże latają.

— A najważniejsze — niecierpliwie zapytał Razwijar. Powiodło ci się?

Glen nerwowo potarł dłonie.

— Jest ich dwóch. Obaj są piratami, na jednego wołają Żniwiarz, na drugiego Kikut. Z Chwatem od dawna są na noże. Swoich ludzi mają mało, ale to bestie doborowe, trzy sezony chodzili na bentalskiego smoka... Cały czas bałem się do nich zbliżyć.

— No i?

— Splunąłem, pomyślałem, raz sytuszcie śmierć... i poszedłem. Wszystko powiedziałem, jak kazałeś. Oczy im zapłonęły, o tak — Glen rozstawił przed oczami wskazujące palce i kciuk. — A teraz ich człowiek liczy na znak z zamku.

Razwijar zamyślił się.

— Co ty za to chcesz, Glenir? — zapytał wreszcie.

— Obiecałeś panie dać mi broń. I jeszcze...

— Kobietę?

— Tak.

Władca mimowolnie przypomniał sobie Dżal i swoje namiętne pragnienie, żeby wywieźć ją z zamku, wykraść i mieć tylko dla siebie.

— Jest twoja.

Żrenice Glena rozszerzyły się. Milcząco opadł przed Razwijarem na jedno kolano.

* * *

Po kilku dniach od tego spotkania zamek przeżył nalot strzelców na skrzydlakach. Jaska zobaczyła ich pierwsza i podniosła alarm. Razwijar nakazał jej pozostać w wieży i nie próbować używać pierścienia. Robotnicy rozbiegli się, chroniąc się, gdzie kto mógł, przed lecącymi z nieba strzałami.

Oddział składał się z sześciu skrzydlaków. Unosiły się wysoko, potem lotem pikującym spadały jeden za drugim, a napastnicy ostrzeliwali zamek, łatwo odnajdując niezabezpieczone miejsca, zasadzając strzały w otworach wentylacyjnych, w szczelinach, w okienkach strzelniczych. Jeden z rzemieślników został zabity na miejscu. Dwóch strażników zostało rannych. Na środkowej galerii zasiadł oddział pod dowództwem Brana i wielkie arbalety po raz pierwszy pokazały swoją bojową przydatność. Ani jednego skrzydlaka nie udało się zestrzelić, ale ostrzał ze strony najeźdźców został przerwany. Ptaki uniosły się, zatoczyły koło nad zamkiem, jakby obiecywały rychły powrót i odleciały za szczyty.

Od tamtej pory naloty powtarzały się kilka razy. Dziesięć Bran uczył młodych robotników strzelać z łuku. Prace zwolniły tempo, pasterze przestali pokazywać się w zamku, szpiedzy donosili Razwijarowi, że ludzie są zniechęceni i nie wierzą w opiekę zamku. Wielu z pewnością, przy najbliższej nadarzającej się okazji, ucieknie. Także patrol na przełęczy w tych dniach został ostrzelany, z pięciu patrolujących zginęło trzech, nie uratowały ich ani tarcze, ani kryjówki. Tari-Koło był ranny.

Jaska na wpół leżała w fotelu na wieży. Było jej niedobrze; szarpała pierścień na swoim palcu, jakby chciała go zdjąć, ale się nie zdecydowała.

* * *

Goniec Pod Wieczór nie na darmo otrzymał swoje imię. Zmierzch w górach następował coraz wcześniej; Dalekie Światło leżał na ziemi, jego jasna skóra było widoczna z daleka. Goniec stał na strzemionach, w ręce trzymał strzępek białej tkaniny, którym machał nad głową. Kiedy obu przyprowadzono do władcy, jeszcze ścisnął ten skrawek w pięści.

— Wojna — powiedział od progu. — Przyjmujemy imperatorską władzę albo nas pozabijają.

— Otrzymaliście tęczyowy akt? — Razwijar uśmiechnął się z przymusem. — „Imperator boleje nad każdym swoim poddanym”?

— Nie potrafię czytać — sucho zauważył Goniec. — Seniorom przyniesiono wiadomość od namiestnika, wszyscy wiedzieli, że tak będzie. Na granicy naszych ziem zbierają się wojska. Nie patrole — wojska... Wiele wierzchowych ptaków. Wielu obcych. Wiele broni, kuźnie dymią... Chcą nas przycisnąć i zabić — odkaszlnął — jednym uderzeniem. Jak człapacza.

— Co zdecydowali seniorzy?

— Posłali nas do ciebie. Jeśli jesteś pewny... jeśli twoje słowa nadal mają moc... gotujcie się do walki. Ty, twoi ludzie. Twój mag.

— Moje słowa nadal mają moc — potwierdził Razwijar.

* * *

Skontrolował posterunki.

Gestem wstrzymał Łuksa, który chciał porozmawiać:

— Potem.

Wszedł na wieżę. Jaska leżała. Znowu było jej niedobrze. Razwijar przysiadł na skraju pościeli.

— Zaczęło się — cicho zapytała dziewczyna.

— Tak.

— Łuks chciał mnie wywieźć.

— Jak?! — Razwijar stracił głowę.

— Ocalić mnie i dziecko... wyprowadzić w odległe jaskinie. Sam chciał zostać z tobą.

Władca długo myślał zaciskając i rozluźniając pięści.

— On myślał o moim życiu — cicho powiedziała Jaska.

— Kocha mnie.

— A ja ciebie nie kocham?!

— Ty myślisz tylko o zwycięstwie.

— Tak. Ponieważ to zwycięstwo będzie także twoje. I naszego dziecka. Nie możemy nie zwyciężyć.

Spojrzenie Jaski rozjaśniło się:

— Rzucasz mnie w wir walki — powiedziała z czułością.

— Mnie, słabą, brzemienną kobietę.

— Nieprawda. Razem idziemy do walki: ja — wojownik, ty — mag.

— I za to będę zawsze cię kochać — przytknęła oczy. — Ciebie, a nie twojego przybranego brata. Który gotów jest oddać za mnie i życie, i swoją cześć, i zwycięstwo... Wyjdź, muszę się ubrać.

— Miałem zamiar uszyć ci nową suknię — wyszeptał zażenowany, wstając.

— Już mi ją uszyto — uśmiechnęła się słabo. — Kiedy ty wciąż zbierałeś się do tego, Łuks o wszystko się zatroszczył, przyprowadził krawca... I mam suknię i płaszcz z lamówką. Idąc na śmierć, chcę wyglądać jak szlachetna pani... Żartuję, żartuję. Moja nowa suknia warta jest naszego przyszłego zwycięstwa.

Roześmiała się. Coś w tym śmiechu nie spodobało się Razwijarowi. Czyżby gorycz?

* * *

Nad płaską równiną pośrodku Nagórza krążyły opadając powoli pierwsze płatki śniegu.

Jeźdźcy stali ramię w ramię, każdy miał na głowie hełm, na ramionach naramienniki, a na plecach tarczę. Wojownicy przedniego oddziału trzymali po krótkim mieczu w każdej ręce. Jeźdźcy wierzchem na swoich braciach zdawali się czterorękami istotami. Na flankach stali strzelcy z arbaletami. Za ruchomą fortyfikacją z okutych żelazem bierwion, zasiedli łucznicy, wśród których było wiele kobiet. Wszyscy Nagóreni zdolni do noszenia broni, którym podległość Imperatorowi była wstrętną, wydychali białą parą w mroźne powietrze Lego poranka.

Oddzielnym, niewielkim oddziałem stali strażnicy z zamku. Ponuro patrzyli przed siebie. Dziesiątnik Bran patrzył na świat poprzez prześwit w hełmie. Stary kaleka był prawie bezużyteczny w walce, ale jednak przyszedł.

Ziemia drgała. Coraz silniejszy stawał się przeciwny wiatr. Przeciwny koniec pola zasnuły był mgłą, która zgęstniała posłuszna sile wielkiej magii. Białą zasłonę trzymała umiejętna ręka; mag ukrywał imperatorskie wojsko i Nagóreni nie widzieli niczego, oprócz białego mirażu.

Potem mgła się rozstąpiła jak kotara, jednym porywem wiatru. I ci, których skrywała, równocześnie ruszyli z miejsca. Zadrżała ziemia.

* * *

Biała woda zdawała się gęsta jak kasza, a piasek na dnie grząski, szklisty, prawie przezroczysty. Jaska szła wzdłuż brzegu, zapadając się przy każdym kroku. Zdawało się, że pierścień na palcu przysparza jej nieznośny ból.

— Tutaj — potknęła się i zatrzymała. — Nie mogę... tego dotknąć. Kto z was?...

Łuks wszedł do lodowatej wody, nie zdejmując siodła ni strzemion.

* * *

Wiele pazurów wbiło się w kamienne kruszywo. Wiele pięści zacisnęło się konwulsyjnie. Na szereg chimajrydów, wolno, rozpędzając się, ruszyła armia pieszych, zakutych w żelazo, z włóczniami takimi długimi, że jeden człowiek nie mógł ich utrzymać. Nad głowami żelaznej armii krążyły niczym wysłannicy śmierci, dziesiątki skrzydlaków.

Nagóreni patrzyli, unosząc się w strzemionach, patrzyli, przypadając na tylne łapy. Patrzyli i chcąc otrzeć pot z twarzy natykali się na przyłbice. W to, że nastąpił koniec, nikt już nie wątpił.

Zwabiono ich w pułapkę. Ale i tak po raz ostatni staną do beznadziejnej walki, będą bić się, póki nie umrą. I nie pozostawią po sobie potomstwa. Ich ciała użyżnią ziemię dla obcych ludów.

* * *

Łuks wynurzył się po raz trzeci. Biała woda ściekała po jego zlepionych włosach.

— Niczego nie widzę — zakaszłał. — Tutaj jest głęboko...

Jaska nie otwierała oczu:

— Jesteś blisko. Spróbuj dalej od brzegu. To tutaj.

Razwijał wszedł do wody po kolana. Trzęsło nim, czuł jak drży ziemia, jak drga powietrze niczym skóra chorego zwierzęcia.

— Szybciej Łuks.

— Sam spróbuj szybciej!

Chimajryd zanurkował. Brzeg był pusty, tylko grupa seniorów, najbardziej zgrzybiałych i słabych, stała nieopodal, ciasno jeden obok drugiego.

— Szkoda, że dożyłem do tego dnia — szeptem powiedział któryś z nich.

Łuks długo się nie pokazywał. Falowała biała woda. Góry stały nieporuszone, witając wschodzące słońce. Miękkie linie pobliskich pagórków podkreślały ostre szczyty dalekich skał. Barwa nieba zmieniała się swobodnie i naturalnie, przepływając z błękitnego w fioletowy, z żółtego w jasnoróżowy. Razwijarowi przypominały się mosty nad miastem Mirtie.

Jaska jęknęła przyciskając dłoń do brzucha.

* * *

— Stać — wychrypiał jednoręki wódz w środku szeregu. Do kikuta ręki miał przywiązaną okrągłą tarczę. — Stać, dopóki nie będzie komendy... Ani kroku w tył! Stać!

Żelazna armia zbliżała się. Włócznie jeżyły się jak częstokołem. Na każdą z nich można było nadzieć po dziesięć wrogich ciał.

— Oj, mamó — jęknął spod hełmu Dalekie Światło. Goniec Pod Wieczór ścisnął kolanami jego boki.

Łuks wynurzył się, gwałtownie łapiąc powietrze. W rękach trzymał strzępek materii, wąską wstęgę z przszytymi do niej żelaznymi kółeczkami.

— Tak — wydyszała Jaska. — Właśnie to.

Chimajryd wyskoczył na brzeg. Z jego boków unosiła się para. Rzucił znaleźisko na piasek przed dziewczyną, jakby ta drobna rzecz paliła mu rękę.

— Co to? — zapytał Razwijar.

— Kobięca ozdoba — Łuks kaszlał. — Tylko... Wstęga do włosów.

Jaska z przerażeniem cofała się przed kawałkiem materii, leżącym na piasku.

— Szuu — wyszeptwała. — Imperator... To...

— Co?! — wykrzyknął Razwijar.

Wstęga, która wiele lat spoczywała na dnie jeziora, podobna była do pasma ludzkiej skóry z wszytymi stalowymi kołami.

— To ozdoba jego kobiety — wyszeptwała kobieta. — Tej samej... To nienawiść i obrzydzenie... przekleństwo bezpłodności na wszystkich, na wszystkich... wyrosłe z jego miłości. Potwór... potwór...

— Rób coś! — ryknął Razwijar, przerywając jej zawrodozenie. — Rób coś, nie patrz!

Jaska skuliła się, przyciskając dłoń do brzucha i wyciągnęła przed siebie rękę z pierścieniem.

* * *

— Naprzód — powiedział jednoręki wódz. — Do spotkania na Zielonej Równinie.

W powietrze wzbijała się chmura strzał. Skrzydłaki przestały krążyć, zwracając się w kierunku wroga rozpostarły skrzydła i runęły w dół.

* * *

Mokra, wyblakła wstęga z wszytymi żelaznymi kółkami, skręcała się wolno na piasku. Obok wiła się Jaska, przyciskając lewą rękę do brzucha, a prawą wyciągając przed siebie. Pierścień to wybuchął jaskrawym blaskiem, to bladł jakby zasnuty bielmem.

Władca odchodził od zmysłów z bezsilności. Miecze w jego rękach były bezużyteczne. Nic nie mógł zrobić. Łuks miotał się po brzegu, drżąc ni to z zimna, ni to z gniewu. Razwijar

uchwycił skierowany na siebie jego pełen rozpaczony wzrok. Chimajryd miał rację; należało ocalić to, co najdroższe, wywieźć Jaśkę razem z nienarodzonym niemowlęciem, żeby nigdy nie było tego brzegu i tej starej wstęgi z żelaznymi kółkami. Łuks miał rację, ale wybór należał do jeźdźca.

Pierścień rozbłysnął gwałtownie i nagle zgasł. Kamień z turkusowego stał się mętnoszary. Chimajryd krzyknął. Jaska zasyczała przechylając się do przodu:

— Nie ja. Zabiłam. Twoje. Dzieci. Odejdź, skąd przyszedłeś!

Kamień znowu rozpalili się blaskiem. Najpierw matowo. Potem jaskrawiej. Zalał światłem piasek i wodę, seniorzy cofnęli się w przerażeniu, Heks nie wytrzymał i zasłonił twarz dłonią.

Wstęga wybuchła i opadła prochem. Żelazne kółka pokryły się rdzą i zabarwiły rudo biały piasek. Mag na kolanach popęzła w kierunku jeziora, Łuks i Razwijar chwycili ją pod rękę. Jaska zanurzyła dłoń w jeziorze i pierścień zasyczał jak rozpalone żelazo w beczce z wodą.

— Co za jeźdźca — dziewczyna chciwie myła twarz, piła z garści. — Nie zrozumiecie tego, jesteście mężczyznami...

Nagle objęła ich obiema rękami i przyciągnęła do siebie, przycisnęła ich głowy do piersi. Śmiała się obejmując obydwo naraz, przeczesując ich włosy, całując na zmianę szorstki, nieogolony policzek Łuksa i gładką, białą skórę Razwijara.

— To wszystko... To wszystko. Teraz są wolni.

Na białym piasku plamami czerwieniała krew.

* * *

Strzały z góry, zawsze celne, nie znały litości. Kogo osłaniały tarcze, tego przeszywała włócznia. Czworonodzy, czteroręcy żołnierze miotali się po polu, szukając wyrwy w żelaznym pancerzu, ale wyrwy nie było.

Skrzydłaki znowu uformowały szyk „trąby powietrznej” i bez pośpiechu krążyły nad polem, wypuszczając strzały. Nagle nadleciał wiatr, niebo zadrżało i zafalowało jak mokra tkanina, zaryczał grom, niespotykany o tej porze roku.

Jaska stała na szczycie pagórka na skraju pola. Jej jaśniejący pierścień był widoczny z daleka, walka została przerwana i na przestrzeń, usłaną porzuconym orężem i martwymi ciałami, wybiegł jeździec.

Zobaczyli go równocześnie Nagóreni i ich wrogowie. Zobaczył go też zapewne imperatorski mag. Łuks biegł, prawie nie dotykając ziemi. Razwijar stał w strzemionach, unosząc ku niebu ręce z mieczami:

— Przekleństwo zostało zdjęte!

Uderzyła błyskawica. Jeden skrzydłak wypadł z szeregu i, tracąc pióra, poleciał na ziemię.

— Przekleństwo zostało zdjęte!

Znowu uderzyła błyskawica. Żelazny szereg zachwiał się. Przeskoczyły iskry po zwartym pancerzu. Bezwładnie zakołysały się włócznie. Poleciały białe pióra, upadł na ziemię pierwszy zabity skrzydłak. Inne ptaki pośpieszyły w górę, ponad chmury.

Łuks rozłożył ręce i jego dwa kindżały stały się podobne do błyszczących skrzydeł. Razwijar, wykrzywiając twarz w triumfalnym uśmiechu, skierował oba swoje miecze ostrzami w kierunku wroga. Wieloręki wojownik, najeżony stalą, niósł się prosto na żelazną ścianę i wielu rzuciło się za nim, podchwyciwszy jego okrzyk i poniosło go jak refren:

— Prze-kleń-stwo zo-sta-ło zdej-te!

Włócznie zwały się, celując w pierś Łuksa. Chwilę przed tym, nim ostrza przebiłyby chimajryda i jeźdźca, nabijając ich jak udziec na różno, czworonożny odbił się od kamienistej

ziemi Nagórza i wzleciał. To był najdłuższy skok w jego życiu. Zwalając się na głowy wrogów, wysunął pazury i za opuszczoną zasłoną dał się słyszeć lament. Zagięte kościane ostrza wbiły się głęboko w wizury hełmu.

Czteroręki i czworonożny rycerz spadł z nieba. Za nim spadli następni; niszcząc, ginąc i zabijając. Włócznie poderwały się do góry, celując w lecące w skoku ciała. Nadeszła następna fala chimajrydów. Ścieląc się nisko po ziemi, zanurkowali pod ostrza i dzierżący włócznie zaczęli padać z przerąbanymi nogami.

Szeregi wojowników z włóczniami rozpadły się. Razem z nimi rozpadła się ich główna siła. Ciężka broń była wielce nieporęczna w bezpośredniej walce. Krótkie miecze strażników rzuciły iskry, krzyżując się z klingami chimajrydów. Ruchliwi jak woda jeźdźcy, rozbijali przyłbice, ogłuszali i zbijali z nóg, uchylając się przed śmiertelnościami dla nich uderzeniami.

Razwijarowi krew dudniła w uszach. Przewidując każdy ruch Łuksa, atakował pod osłoną chimajryda i przechodził w obronę, prawie leżąc w siodle, osłaniając wierzchowca z tyłu.

Przemknęła i przepadła w bitwie twarz Gońca Pod Wieczór. Zadrżała ziemia pod ciałami padających wrogów.

Rycerze Imperium wycofywali się. Z okrzykiem: „przekleństwo zdjęte!” nagóreńscy wojownicy rzucili się obwieszając błyskawiczne zwycięstwo, ale w tym momencie wrogi mag oprzytomniał.

Chmury zebrane przez Jaśkę zastygły, wiatr złagodniał. Strumień powietrza zatrzymał się, a skrzydłaki równocześnie zawróciły wysoko na niebie i runęły w dół. Życie Razwijara, Łuksa i wszystkich, którzy walczyli z nimi zawisło na włosku.

Zahuczał wiatr. Wielu wojownikom pociemniało przed oczami: masa powietrza, zakręciwszy się słupem, podchwyciła skrzydłaki i porozrzuciła je razem z dopiero co wypuszczonymi strzałami. Jaska stała ze wzniesionymi rękami, a trąba powietrzna jadła rzadkie śnieżynki z jej dłoni.

Ludzie na polu popadali jak drewniane deszczułki. Chimajrydzi zdołali ustać, szeroko rozstawiając łapy i przypadając brzuchem do ziemi. Nagle z wielu rozproszonych skrzydłaków wyrwał się jeden, niczym niewyróżniający się od pozostałych i skierował się wprost na stojącą na pagórku dziewczynę.

Razwijar uderzył Łuksa piętami. Wyrwawszy się z wiru walki, rzucili się w ślad za skrzydłakiem, ptak zniżał się coraz bardziej. Na jego grzbiecie, między dwoma jeźdźcami, siedział mężczyzna w ciemnym płaszczu, bez czapki, z rozwiewającymi się żółtymi włosami.

Przedzierając się poprzez zgęstniałe powietrze, zdawało się Razwijarowi, że rozciągnął się w przestrzeni, zostawiając część siebie za plecami. Skrzydłak powoli zawrócił, okrążając samotną postać na wzniesieniu. Jednocześnie wyleciały dwie strzały i błyskawica, skierowana w czoło Jaski.

Jeździec krzyknął. Jego ryk zlał się z wyciem niosącego go chimajryda. Dziewczyna nadal stała, wyciągając przed siebie dłonie. Błyskawica uwięzła między jej palcami jak motek przędzy, strzały przeleciały obok. Skrzydłak ponownie zatoczył koło, zniżył lot. Pierścień maga płonął czerwienią, a Jaska nagle, bez widocznej przyczyny, upadła na kolana.

Najeźdźcy znowu wystrzelili i znowu spudłowali. Ptak rozpostarł skrzydła, prawie zahaczając nimi o podnóże pagórka. W tym momencie Łuks skoczył.

Jego pazury wbiły się w skrzydło. Ptak krzyknął i szarpnął się, ale nie zdołał się unieść. Chimajryd nie puszczał zdobyczy, bujając się na zakrwawionym skrzydle, nie pozwalając skrzydłakowi wzlecieć. Razwijar, który cudem utrzymał się na jego grzbiecie widział, jak mag się odwraca, widział poczerwieniałą twarz, nos z szerokimi porami, żółte włosy z siwymi

pasmami, złoty kolczyk w wielkim brązowym uchu, widział jak mag z rozdrażnieniem macha dłonią, jakby strząsając dokuczliwego komara...

Nawet największy, potężny czarodziej przede wszystkim jest człowiekiem. Wiara we własną niezniszczalność kosztowała życie niejednego czarownika. Chwilę przed tym, jak Łuks, wypuściwszy skrzydło, poleciał w dół, klinga Razwijara sięgnęła opalonej żylastej szyi. Miecz przeciął gardło maga, trysnęła krew i ten, który władał wiatrami, wypadł z siodła. Koziółkując w powietrzu, nieudolnie zamachał rękami i gruchnął o ziemię obok leżącej na kamieniach dziewczyny...

Od tego dnia w każdym nagórzańskim klanie, niezależnie od tego, po czyjej stronie stanął w wielkiej bitwie przeciwko wojskom Imperium, zamiast powitania przyjęło się mówić: „Przekleństwo zostało zdjęte”.

* * *

Jaska rodziła pod opieką starej akuszerki z Nagórza, babki Gońca Pod Wieczór. Goniec zginął w wielkiej bitwie. Jego brat, Dalekie Światło, został ranny, ale przeżył. W tych dniach umarło wielu czworonożnych i wielu jeźdźców — nikt nie został samotnym pieszym na Zielonej Równinie.

Rodziła w milczeniu. Milczała i stara Nagórenka posłuszna danej sobie obietnicy. Minęło wiele czasu, zanim wreszcie do uszu czekających doszło cichutkie kwilenie niemowlęcia. Pojawiła się akuszerka. Staruszka wyszła do Razwijara. Zrobiło mu się zimno, kiedy zobaczył dziwny wyraz malujący się na jej twarzy.

— Co się stało?!

— Popatrz na dziecko, władco — cicho powiedziała kobieta.

Po raz pierwszy słyszał jej głos.

Akuszerka wyszła i wróciła z piszczącym, drobnym, dopiero co obmytym niemowlęciem. Dziecko krzyczało, półprzytomnie spoglądając ufnymi, wielkimi, niebieskimi oczami, machało piąstkami i łapkami z drobniutkimi pazurami. Jego mokry ogon był nie grubszy od sznurka.

— Co powiesz, władco?

Razwijar wziął dziecko na rękę. Starał się zrozumieć, uświadomić sobie, co się stało, i nie był w stanie. Oszołomiony patrzył na maleństwo. Niemowlę było takie kruche, że bał się je trzymać. Malec nie umiał chować pazurów w poduszeczki łap, ale były one miękkie, więc nie raniły, a tylko łaskotały skórę.

— Przekleństwo zostało zdjęte — powiedział Razwijar, przełamując zachrypienie. — Oto, co powiem.

Oczy staruszki zapłonęły. Twarz stała się jasna i wręcz młoda:

— To pierwszy Nagóren urodzony po ogromnym nieszczęściu. Będzie szczęśliwy i wszystkim przyniesie szczęście. I tobie, wielki władco. Przedłuży dni twój panowania.

I nisko się pokłoniła.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kobieta i chłopiec przybyli z dalekiej górskiej osady. Odziani prosto, ale schludnie, z torbami na ramię, wypełnionymi zapasami na drogę, zatrzymali się w zajeździe „Pod Zamkiem”. Nazwa prawie nie kłamała, ponieważ z okien górnego piętra zamek był widoczny jak na dłoni.

Chłopczyk patrzył na wszystko z ogromną ciekawością. Wyrósł w jaskini, gdzie od dziecka pasł przyślepki. Nigdy nie zaznał głodu, ale też nigdy nie widział takich tłumów i przepychu. Pod zamkiem mieścił się ogromny bazar. Prowadziła do niego szeroka droga, po której nieustannie szły karawany, i przelewało się tyle ludzi, że aż mogło zakręcić się w głowie. Chłopiec z otwartą buzią patrzył na garbate rogacze z jarzmem na czole, na obładowane muszlaki, na strażników stojących u wrót zamku — roślących mężczyzn w czerni z ogromnymi mieczami, z arbaletami na plecach. Chłopiec ze strachem szukał ręki matki, której się kurczowo uczeplił. Kobieta często oglądała się na zamek. Patrzyła z zakłopotaniem i ze zdziwieniem, jakby nie wierzyła własnym oczom.

Zamek przytłaczał. W całości wyciosany był w skale, a potem rozbudowany; cztery półokrągłe baszty wyrastały z kamienia niczym gigantyczne kolumny. Na dole, w kondygnacjach służby, mieściło się całe miasto, nad którym unosiły się dymy. Na środkowych kondygnacjach mieszkała straż, a górna część zamku, niedosiężnie wysoka, prawie szybująca w niebie, była siedzibą władcy.

— Czy my tam pójdziemy? — ze strachem i niedowierzaniem zapytał chłopczyk.

Kobieta, zakręciła się w miejscu, podeszła do drewnianej budki, ustawionej przy zewnętrznej bramie. Przez otwarte szerokie wrota co rusz wchodził muszlak. W jego pancerzu jak w misce piętrzyły się tobołki.

— Panie, ja... chciałabym zobaczyć władcę. Jak to zrobić?

Tłusty strażnik wykrzywił się w szczerbatym uśmiechu:

— „Zobaczyć”? No, no... Czekaj na bazarze, będzie wracał po południu. Tam się zawsze cały tłum takich zbiera, co to chcą zobaczyć. Przy bramie nie stój, bo przegonię!

— Chciałabym... z nim porozmawiać.

— Odejdź stąd, durna! „Porozmawiać”... Też coś. Z władcą? Ha!

Kobieta odeszła.

Kilka godzin spędziła z synem na bazarze. Chłopiec był śmiertelnie zmęczony i stracił zainteresowanie nawet błyszczącymi nożykami na straganach, nawet kolczugami strażników, nawet słodkimi kulkami na drewnianych kołach. Kobieta często pytała o cenę, ale niczego nie kupowała, bowiem w osadzie, skąd przyszła, pieniądze nie były w obiegu.

Raptem tłum zaszumiał. Rozległy się krzyki. Drogę wiodącą do zamku torowali strażnicy z biczami. Wlekąc dziecko za sobą, kobieta wmieszała się w tłum. Za cenę rozpaczliwych wysiłków udało się jej przecisnąć prawie do samego ogrodzenia. Od strażników pachniało żelazem, potem i dymem.

Wpierw zobaczyła półczłowieka, czworonogiego, powyżej pasa ubranego w czarną kurtkę ze złotym haftem. Wiedziała kim są chimajrydzi i serce jej stanęło w zachwycie; ten był bardzo ważną osobistością, z pięknie podstrzyżoną bródką i wąsami, z pięknymi, niedbale przygładzonymi, jasnymi włosami. Tak się zapatrzyła, że nie od razu podniosła wzrok — na grzbiecie półczłowieka, w siodle ze strzemionami, siedział władca.

Jego gładko ogolona twarz była bardzo blada. Jej jasny odcień potęgowały wydatne łuki brwiowe, wysokie kości policzkowe i ostry podbródek, czarne, proste włosy do ramion i głęboko osadzone, ciemne oczy. Przypomniała sobie zapomniane słowo: „Heks”.

Przejechał niemal obok niej. Chciała się wyrwać ku niemu i wyskoczyć na drogę, ale się nie odważyła; chłopiec krzyknął — ktoś na niego nadepnął w tłumie.

Władca przejechał i tłum się rozszedł za swoimi sprawami. Kobieta stała, patrząc na osiadający kurz, wzbity łapami chimajryda. Potem chwyciła na ręce stękającego dzieciaka i wróciła do zajazdu.

* * *

— Słyszeliście, że nasz znowu wybiera się na wojnę?

— No i cóż to za nowina... jak jest silny, to czemu nie powojować?

— Słyszeliście, w Fier nową flotę zbierają.

— Słyszałem. Sam dopiero stamtąd przyjechałem.

— I co tam?

— A co ma być?! Podatki pomału wracają. Wzięli się za nasze gardła.

— A wy już przywykliście, bez podatków... się sycić.

— Cokolwiek by mówić, to akurat to władca rozumnie zrobił. Jak się baronowie pogryźli, rozpierducha była, wszyscy my u Szuu w zadzie siedzieli. Kupcy się bali, wiele statków spłonęło, niewolnicy znowu się zbuntowali... Jaki to handel, kiedy po całym mieście dyndają wisielcy... Chwat, pamiętam, na głównym pirsie* z pół roku wisiał...

— Tak. Pamiętam, nie wierzyłem, że można tak zupełnie bez podatków. A jak uwierzyłem... no to się zaczęło! Jaki dureń nie zechce bez cła sprzedać, bez cła kupić?!

Kupcy jedli, pili, i wymieniali plotki po długim ciężkim dniu. W zajęździe „Pod Zamkiem” nie było wolnych miejsc. Matka i syn przycupnęli w komórce pod samym dachem. Z jedzenia poprosili tylko o wodę — mięso i placki mieli przyniesione z domu.

Chłopiec usnął za stołem. Kobieta w napięciu przysłuchiwała się obcym grubym głosom, pod oknami grali w butelki. Rudy, wyszczekany rzemieślnik, wygrywał częściej od innych — sala biesiadna co i rusz rozbrzmiewała jego donośnym śmiechem. Dowiedziała się, że pracuje on i mieszka w zamku, a do gospody przychodzi wypić i „postukać”.

— Odprowadziłabyś dzieciaka na górę — powiedziała służąca przechodząc obok. — Zjedz i uciekaj.

— Niech się przyzwyczajają — poganiacz bydła, sapiąc, postawił kufel na stole. — Do terminu chcesz go oddać, babo?

— Do terminu — odezwała się lęklwym szeptem. Gracze zaczęli się rozchodzić — w tym zajęździe nie było przyjęte siedzenie do późna. Podniósł się też rudy, roześmiany rzemieślnik, odrobinę pijany, zadowolony z wygranej. Kobieta dogoniła go już w drzwiach.

— A ty czego? — wymamrotał, wysłuchawszy jej wcześniej. — Z czyjego polecenia? Czy ty wiesz, kim ja jestem? Nie mogę ryzykować dla twoich fanaberii.

— Nic się nie stanie — błagalnie zacisnęła ręce. — Nikt się nie dowie... Żebym tylko do środka weszła, a tam ja sama...

— Przecież tam jest straż na każdym rogu.

— To nic... Najwyżej mnie wypędzą, a niech tam... Co mi mogą uczynić, ja baba, on malutki... Dam ci całą skórę. Można i kurtkę i spodnie z jednego kawałka uszyć. U nas są rasowe przyślepki, takie nie na mięso, tylko na skórę się hoduje.

— Pokaż — z niedowierzaniem powiedział wciąż rozweselony rzemieślnik.

* Pirs — portowa budowla w postaci sztucznego półwyspu wysuniętego w głąb wody, a w przypadku pirsów największych w postaci pomostu stojącego dalej od brzegu i połączonego z lądem estakadą.

Kobieta z wdzięcznością kiwnęła głową i rzuciła się na górę — do swoich tobołków.

* * *

Mężczyzna otrzymał drogi prezent prawie za nic; przechodząc rankiem obok strażnika przy wejściu do zamku, kiwnął głową w kierunku kobiety i chłopca:

— Oni są ze mną. Do pomocy.

I wyjaśnił wchodzącym:

— Oni bacznie patrzą, jeśli worek niesiesz albo jakąś skrzynię. A kiedy idziesz bez bagażu, mogą przepuścić.

Za murem było ludnie i gwarnie jak na bazarze. Kobieta straciła głowę, rzemieślnik milcząco wskazał jej małe drzwi w ścianie. Ściskając rękę chłopca, kobieta weszła z jaskrawego słońca w cień.

Nikt na nich nie zwracał uwagi. W szerokich, półciemnych korytarzach wrzało zwyczajne miejskie życie — wisiała mokra bielizna, paliły się piece, suszyły się gliniane garnki na nóżkach przewróconych ławek. Skądś dochodził zapach świeżego pieczywa. Z głową wsuniętą w ramiona, obawiała się bowiem, że za chwilę ktoś za nią ostro krzyknie i zażąda wyjaśnień, kobieta uparcie przedzierała się coraz wyżej, coraz głębiej w zamek; korytarze stawały się jaśniejsze i węższe. W tłumie ktoś wydawał polecenia kłótliwym, skrzypiącym głosem, ktoś niezwłocznie potrzebował intendenta — do piekarni. Gdzieś dzwoniły młoty — trwała praca w ogromnej kuźni.

Zaczęli trafiać się strażnicy na półpiętrach, w niszach ścian. Kobieta szła teraz pewnie, jakby w pilnej sprawie i nikt za nią nie zawołał.

Niekiedy poznawała drogę. Niekiedy nie poznawała. Zamek był ten sam, ale jednocześnie inny, wcześniej nie było drewnianych przybudówek, belek, przegródek, zupełnie inaczej łączyły się ze sobą korytarze. Całkiem posmutniała i pogubiła się, ponieważ cały jej plan zbudowany był na założeniu, że dobrze zna zamek.

Na jej ogromne szczęście, pełna przebudowa objęła tylko dolne kondygnacje. Im wyżej wchodziła, tym łatwiej było jej orientować się w labiryntach przejść. Tutaj zmieniły się kratki w oknach, gdzieś tam były dobudowane balkony, ale plan korytarzy nie zmienił się i kobieta szła pewnie z wysoko podniesioną głową.

Shczęście ją opuściło, gdy w miejscu, gdzie uprzednio znajdowały się niezauważalne żelazne drzwiczki wyrosły przed nią wysokie drzwi o dwóch drewnianych skrzydłach. Po obu stronach stali strażnicy, nie roztargnieni i znudzeni jak ci na dole, ale czujni i źli.

— Dokąd?

Kobieta cofnęła się.

— Zmykaj stąd. Szybko.

Odпочęli dwie kondygnacje niżej. Tutaj, na galerii, trzepotały kolorowe flagi, zwieszające się w dół ze ściany. Jeśli stanęło się na palcach można było zobaczyć dwór zamku za murem. Chłopiec zapomniał o przeżytych strachu i z zainteresowaniem zajrzał w otwór strzelniczy.

— Oho... Musztrak... A na jego grzbiecie...

Kobieta przygryzała wargę. Jej wyobraźnia wyczerpała się; w myślach, w marzeniach, w widzeniach, które wiele razy przeżywała przed snem, zamek był taki jak przedtem, a władca pojawiał się sam — wychodził z sali. Schodził z góry po schodach. Na jawie wszystko wydarzyło się nie tak; wymyśliła jak wejść do zamku, ale pojęcia nie miała, co robić dalej.

Chłopiec patrzył, przyciskając policzek do otworu strzelniczego. Kobieta gorączkowo starała się sobie przypomnieć, czy jest jeszcze wejście na górę? Tam gdzie wcześniej były portiery... Możliwe, że i to przebudowali, ale trzeba spróbować...

— Co ty tutaj robisz, babo?

Drgnęła. Para strażników patrzyła z góry. Sam widok uzbrojonego człowieka nie mógł jej przestraszyć. Wiedziała bowiem z własnego doświadczenia, że srogo spoglądający strażnicy z reguły są dobrodusznymi ludźmi.

— Dobrzy panowie, ja służę w zamku... służyłam...

— Co robisz na galerii? Czy chcesz wylądować w lochu?

Chłopiec przytulił się do niej. Był już za duży, żeby czepiać się spódnicy, ale za mały, żeby bez strachu patrzeć na ludzi z grubymi pasami i umocowanymi do nich mieczami, grożących jego matce.

— Dobrzy panowie — głos jej się urwał — muszę widzieć się z władcą.

— Oszalałaś, czy co?

— Posłuchajcie... Przeprowadziłam... Ten chłopiec jest jego synem!

Oczekiwała wielu rzeczy — bicia, drwin, wrzucenia do lochu. Ale strażnicy nagle popatrzyli po sobie i równocześnie spojrzeli na chłopca. Ten gotów był się rozplakać, ale się powstrzymał.

— Pokazać Branowi? — półgłosem zapytał jeden strażnik drugiego. — Mało to...

— Nie kłamiesz? — zapytał pierwszy, pochylając się nad kobietą. Ta gorliwie pokręciła głową:

— Nie... Klnę się...

— Głan, on jest podobny — powiedział drugi, cały czas jeszcze przyglądając się malcowi. — Popatrz.

Chłopiec oddychał gwałtownie ze zdenerwowania pod ich bacznyimi spojrzeniami. Był blady, wąskolicy i czarnowłosy.

— Idziemy — powiedział pierwszy.

Nie mogąc opanować drżenia, prawie nic nie widząc, zaczęła wchodzić w ślad za nimi po niekończących się kręconych schodach. Znaleźli się w okrągłej sali, pustej, z błyszczącą kamienną podłogą, z ciemną paszczą kominka naprzeciwko wysokiego okna.

— Poczekajcie tutaj.

Nie było na czym siedzieć. Matka z synem stali, obejmując się i wsłuchując w dalekie odgłosy zamku — uderzenia toporów w rękach ćwiczących, stuki, skrzypienie mechanizmów podnoszących, przytłumione głosy rozmów, komendy...

Potem otworzyły się drzwi. Kobieta wyrwała się na spotkanie, ale to nie władca wszedł do komnaty. Wszedł stary człowiek z surową, ciemnoczerwoną twarzą, z ręką na temblaku. Przypomniała go sobie jak przez mgłę; dawno temu, w jej minionym życiu, nazywał się dziesiątnikiem Branem.

Starzec przeniósł wzrok z jej twarzy na twarz przestraszonego chłopca. Ten odwrócił się, wtulając się w matkę. Ta łagodnie, ale stanowczo oderwała go od siebie, zmuszając, by popatrzył na mężczyznę. Dziesiątnik spoglądał wnikliwie, a jego brwi zjechały się u nasady nosa.

Nie mówiąc ani słowa, przywołując machnął ręką. Poszli za nim. Znowu ciągnęły się korytarze. Starzec wszedł na platformę, odczekał aż wejdzie na nią kobieta z synem i szarpnął sznurek. Uderzył dzwon. Platforma drgnęła i zaczęła się podnosić.

Obok przesuwaly się okna, z których rozciągał się widok na plac, potem na osadę, wreszcie na wąwóz. Chłopiec niczego nie widział, wcisnąwszy twarz w suknię matki. Ta marszczyła brwi w zdziwieniu, przypominając sobie: windy i dźwigi były w zamku i wcześniej... ale takich

ogromnych, szybkich — nigdy... Gdzieś robotnicy kręcą kołowrotem albo chodzą w kole. Musi ich być wielu, bo to ciężka i skomplikowana praca...

Platforma zatrzymała się. Kobieta, śmiertelnie zmęczona długim błędzeniem po zamku, osłabiona ze zdenerwowania i strachu, szła teraz jak we mgle. Chłopiec ciągnął się za nią, trzymając ją za rękę. Owionęło ich świeże powietrze, znowu szli w świetle dnia. Raptem poczuli się jak w ogrodzie. Drżały na wietrze zielone liście, oplatające kratkę balkonu, cierpko pachniały kwiaty i szemrała woda.

— Witaj, Dżal.

Odwróciła się.

Ten, z którym spotkania oczekiwała wiele lat, stał z otwartą książką w rękach. Jego czarne, głęboko osadzone oczy, patrzyły bez zdziwienia, bez gniewu, bez radości. Obok w fotelu siedziała kobieta, nie zwracając uwagi na wchodzących, przebierała ostre odłamki w głębokiej wazie. Na jej palcu płonął turkusowy kamień.

— Poznałeś mnie — wyszeptła, mając świadomość swojego niespodziewanego pojawienia się i nisko się pokłoniła.

— No pewnie — powiedział władca kamiennego zamku. — A kogo my tu mamy?

Położył książkę na brzegu stołu. Podszedł do chłopca, wziął go za podbródek i odwrócił twarzą do siebie. Dzieciak i bez tego blady, pobladł jeszcze bardziej.

— Duży już jest — w zamyśleniu powiedział władca. — Co umiesz robić?

— P-p-przyśleпки... paść...

— Na naukę do kucharzy pójdziesz?

I nie czekając na odpowiedź, wypuścił chłopca, odwrócił się do Brana:

— Dziesiątniku, powiedz Szłopowi... Niech rozporządzi. W kuchni prosili o chłopaków do przyuczenia na kucharczyków. No to niech uczą.

Kobieta o imieniu Dżal stała ani żywa, ani martwa.

— Masz jeszcze dzieci? — zapytał władca.

— Tak. Córki. Dwie...

Patrzyła, podniósłszy twarz. Stojący przed nią człowiek, wydawał się jej niedosiężnie wysokim i tak strasznie dalekim, chociaż był tuż obok. Zdawało się, że kiedy wyciągnie rękę, żeby dotknąć kraju jego płaszcza — nie dosięgnie. Ręka przejdzie przez pustkę.

— Dżal?

Milczała, powstrzymując łzy.

— Mam wiele dzieci — powiedział łagodnie. — Sami chłopcy, i wszyscy oni są do mnie podobni. Wkrótce będzie można stworzyć oddział maleńkich, identycznych Heksów... Wiesz, cieszę się, że żyjesz i masz się dobrze. Wspominałem cię, naprawdę.

Kobieta, pochylając się nad odłampakami w misie, rzuciła na przybyłą szybkie, zimne spojrzenie. Kamień na jej palcu łagodnie pobłyskiwał.

— Przy kuchni nie dadzą mu zginąć — władca uśmiechnął się. — Ale jeśli liczyłaś na coś więcej, niż miejsce kucharczyka, to lepiej go zabierz od razu. Decyzja należy do ciebie... Albo możesz zdecydować później, przyjechać i zabrać go do domu w każdej chwili. Zrozumiem.

* * *

Dżal wyszła, odprowadzona przez strażnika Brana. Chłopiec włókł się z opuszczoną głową i dopiero w drzwiach obejrzał się na wysokiego, straszego człowieka, który, wedle słów matki, był jego ojcem.

Zamknęły się skrzydła drzwi.

— On naprawdę jest do ciebie bardzo podobny — powiedziała Jaska. — A ona, co to za jedna?

— Pierwsza — powiedział Razwijar.

— Naprawdę?

Oparł się łokciem o kratkę balkonu i głęboko westchnął:

— Szpiedzy donoszą, że w Imperium znowu bunt na granicach — rzekł.

— Doskonale. Im więcej ziem zbiorą razem, tym trudniej będzie utrzymać je w szachu.

Mag złożyła razem dwa odłamki. Zębate krawędzie dopasowały się tak, że pęknięcie przestało być widoczne.

— Nawet nie zapytałeś, jak on ma na imię.

— Kto?

— Twój syn.

Patrzył na przeciwną stronę wąwozu. Garbami wznosiły się mosty ponad potokami. Drogi zakosami ciągnęły się w górę. Jedną ze ścieżek, w tumanach kurzu, pędził jeździec z pocztową torbą.

— Duszno mi — Razwijar poluzował kołnierz.

— Duszno ci dlatego, że nie walczysz? — Jaska ostrożnie przekładała odłamki. — Dlatego, że twoje ziemie żyją w pokoju, władco?

Na jej twarzy nie było ani jednej zmarszczki, ale we włosach jaśniały siwe pasma, a nerwowo poruszające się palce zdawały się bardzo chude. Usłyszeć ironię w spokojnym głosie mogło tylko czule, wyćwiczone ucho.

— Jestem dobry — przez zęby wycedził władca. — Bardzo chcę uszczęśliwić swoim panowaniem jeszcze setkę innych ziem. Wiem nawet, kto jest następny w kolejce po szczęście. Kiedy skończysz?

— Nie ponaglaj.

Razwijar odprowadzał wzrokiem znikającego za górą pocztowca. Nagóreni, nienawidzący jakiegokolwiek zależności, coraz ściślej współpracowali z jego nowym państwem. Zbyt wiele pokus; bezpieczne drogi, ciepłe domy i bogate rynki, tanie produkty, szkoły, chwała w służbie władcy; dzieci wyrastające w nagóreńskich jaskiniach marzyły o tym, żeby kiedyś nałożyć czarno-srebrną kurtkę zamkowego strażnika. Drogi, wytyczone z Nagórza do zamku, nigdy nie były puste.

— Potrzebuję broni, Jaska. Jeśli okaże się, że cała ta szarpanina z ogniem jest bezużyteczna...

Ręce, przebierające odłamki, drgnęły. Ostry brzeg kamyka zadarł skórę. Z drobnego przecięcia wystąpiła krew. Kobieta zlizwała ciemną kropelkę.

— Potrzebuję jeszcze palaczy. Ludzie szybko załamują się przy tej pracy.

— Ilu?

— Dziesięciu.

— Dobrze. Kiedy pokażesz mi jakikolwiek rezultat swoich działań?

Jaska zamyśliła się, patrząc na odłamki.

— Robię wszystko, co w ludzkiej mocy. Jeśli rozkażesz — zrobię wszystko, co w nieludzkiej.

Podniosła się, wyprostowana, wyniosła. Dół ciemnej sukni miękko musnął podłogę.

— Kochałeś ją? — zapytała niedbale. — Dział?

— Tak — odpowiedział bez zastanowienia. — Bardzo.

* * *

Jasnowłosy chłopczyk siedział nad kartką papieru, wypisując litery zaciśniętym w dłoni piórem. Mocno zagryzał wargi. Łzy kapały na kartkę, rozmazując to, co napisał.

— Podarek, czas położyć się spać.

— Razwijar powiedział, że moje litery są podobne do robaków na mękach.

— Władca miał na myśli, że musisz się postarać. Ale nie siedzieć przy biurku całą noc!

— Razwijar powiedział... Nie ruszaj mnie! Robaki... na mękach... tak powiedział, żebym nie wstawał od stołu, dopóki nie napiszę ładnie!

— Władca miał na myśli...

— Wiem, co miał na myśli! Odczep się ode mnie, Nolla, wiem, co robię...

I wyciągnął ze stosu czystą kartkę, na nowo umoczył pióro i znowu zabrał się za pisanie szeregu wymyślnych liter; jego maleńki ogon chlastał nerwowo na boki, uderzając o nóżki krzesła.

— Nolla, co się stało? — cicho zapytał Razwijar. Niańka drgnęła i odwróciła się; nie słyszała jak wszedł.

— Nic, panie, tylko Podarek...

Chłopczyk nie odrywał się od pracy. Mężczyzna zajrzał mu przez ramię: litery wiły się, wypełzając za linijki i wyglądały o wiele gorzej niż te, które kaligrafował wcześniej.

— Kończ, Dar. Jesteś zmęczony.

— Nie jestem zmęczony. Napiszę.

— Napiszesz.

Razwijar wyciągnął pióro z jego palców. Nachylił się i chwycił pod przednie łapy. Chłopczyk, chimajryd, był szczupły, ale ważył tyle, co dwoje ludzkich dzieci.

— Nie krzycz na Nollę. Dobrze? Czy ja na nią krzyczę?

Malec patrzył na niego z góry. Jego usta cały czas były jeszcze mocno zaciśnięte:

— Do robaków na mękach...

— Nie chciałem cię urazić.

Chłopczyk głęboko westchnął. Razwijar poczuł, jak uniosły się i opuściły jego zębra.

— Przyjdiesz powiedzieć mi „Przekleństwo zostało zdjęte”?

— Tak.

* * *

Nazwali go Podarunek Po Klęsce. Na przekór tradycji, nadano mu imię od razu — nie chcąc kusić bogów oczekiwaniem na pełnoletność.

Właściwie imię było jedyną spuścizną chimajrydzkiego pochodzenia chłopca, dorastał on bowiem w zamku, a tradycje swojego ludu poznawał tylko z opowieści. Jednak o wiele bardziej niż kronik Nagórenów, lubił słuchać „Podróży na Osi Nos”.

— „...On wślizguje się pod powierzchnię wody, nie podnosząc fali i z łatwością pływa pod lodem — Razwijar wypowiadał słowa dźwięcznie, odrobinę przeciągając, jak wypada deklamującemu. — W paszczy wielkiego chapuna mieści się cały dorosły człowiek i nie na darmo chłopci, żyjący przy brzegach dużych zbiorników wodnych, nazywają go Śmiercią”.

— Ojciec chodził na Śmierć — zamarty w słodkim przerażeniu wyszeptał Podarek.

— Tak. Jeden na jednego.

— Z oszczepem.

— O tak... iii raz!

Podarek skoczył, zmiął kołdrę maleńkimi, uzbrojonymi w pazury łapami:

— I jeszcze o tak: bam!

— I tak: szwyr! — Razwijar zamachnął wyobrażonym oszczepem.
— A Śmierć — chrup! Pac! — Dar zwałił się na łóżko, rozkładając ręce i łapy.
— On jest bardzo dzielny — powiedział władca. — Najodważniejszy pośród Nagórenów.
— Aha. — Malec ułożył się na brzuchu w poprzek poduszki. — A ty jesteś najodważniejszy z ludzi. On się ciebie słucha?
— Tak — Razwijar uśmiechnął się. — Ponieważ jestem jego jeźdźcem.
— A ja nie będę miał jeźdźca — po chwili milczenia powiedział Podarek.
— Dlaczego?
— Dlatego, że nie będę nikogo słuchał, oprócz ciebie. A ty nie możesz na mnie wsiąść, bo mnie zgnieciesz!
Władca wziął go za uszy. Oparł swoje gorące czoło o chłodną skroń malca:
— Nikt cię za język nie ciągnął. Skoro się mnie słuchasz, to kładź się spać. Już czas. Chimajryd zasepił się, chciał coś powiedzieć, ale nagle szeroko się uśmiechnął.
— Dobrze. Jeśli to jest decyzja jeźdźca.
— To jest decyzja jeźdźca. Przekleństwo zostało zdjęte, mały.
— Przekleństwo zostało zdjęte, Razwijar. — Podarek ścisnął dłońmi jego rękę. — Do jutra.
— Spokojnej nocy.
Wyszedł, kiwnąwszy na pożegnanie piastunce.

* * *

W jego bibliotece nie było pajaków Cza. Powietrze i bez nich było wystarczająco suche i tym samym dobre dla ksiąg. Słudzy każdego dnia zmiatali kurz ze stelaży, z wielu tomów i zwojów. Senny bibliotekarz zapalił świece, gdy tylko Rawijar przestąpił próg. Zapłonęło dziesięć ogromnych ogni na wysokich świecznikach.

Przywożono mu księgi zewsząd, a on szczerze za nie płacił. Oddziały zwiadowców wybierały się na ziemie Imperium nie tyle po informacje, co po manuskrypty zalegające składy i skarbcie dużych miast. W końcu woluminów zrobiło się więcej, niż władca mógł przeczytać. Więcej niż mógł nawet przekartkować, pobieżnie przejrzeć. Początkowo wydawało mu się to dziwne, nawet zabawne. Ale czas mijał, zwiadowcy i kupcy robili swoje, dziesiątki i setki nieprzeczytanych tomów stało na półkach, czekając na swój czas.

— Jest coś nowego, panie — bibliotekarz nie mógł ukryć dumy. Jego okrągła twarz lśniła. Cały dzień czekał na Razwijara, żeby obwieścić mu radosną wieść. — Powrócił człowiek, wręcz żywe srebro, którego wysłałem jeszcze zimą. Sprytny młodzieniec, kręta szczypawka, przetrząsnął imperatorską bibliotekę... Spójrz, władco!

Zdarł cienki materiał ze stosu manuskryptów, z wyglądu bardzo starych, w skórzanych i żelaznych oprawach. Jeszcze dziesięć lat temu za jedną taką księgę Razwijar oddałby... prawą rękę? Możliwe. Rzuciłby się do niej, otworzył, zaczął chciwie przeglądać, szybko siadłby do czytania, jeszcze osiem lat temu zaniósłby ją w ofierze Miedzianemu Królowi i Król przyjąłby podarunek.

— Tutaj jest kilka całkiem nowych, znakomitego wykonania. „Gospodarcza silva rerum”, „Fortyfikacja”, „Dydaktyczne opowieści”... A oto dwa tomy — stare, z kolekcji znamienitego imperatorskiego urzędnika, możliwe, że samego Słupa Imperium, jeśli coś rozumiem z pieczęci. Mój wysłannik potrafił je podmienić i wykraść...

Razwijar milczał.

— Ale to jeszcze nie wszystko — bibliotekarz czujnie śledził wyraz jego twarzy. — Przejrzałem je, kiedy was nie było.

— I? — Władca wykazał w końcu zainteresowanie.

Bibliofil gwałtownie chwycił tom, leżący z brzegu. Ostrożnie otworzył w tym miejscu, gdzie spomiędzy stronic zwisała tasiemka zakładki. Razwijar śledził wzrokiem ruch jego długiego palca: księga była z tych nowych, przepisana z oryginału przez dobrego, starannego kopistę i umieszczona w starej oprawie.

— „Zagarnął wyrób włóczni, kuźnie i w końcu cały cech i był na tyle przedsiębiorczy, że nawet imię jego w miejscowym narzeczu zaczęło oznaczać „miedź”... Zwano go z powodu oczu Miedzianym Królem, a wrogowie z niechęcią mówili o miedzianym bożku...” — przeczytał bibliotekarz.

Razwijar spojrzął na tytuł książki: „Stu najbardziej przedsiębiorczych kupców Imperium i spoza granic jego”. Uśmiechnął się słabo:

— Dziękuję. Wpisz wszystkie do katalogu i postaw na półkę, potem popatrzę.

— Tak, panie — bibliofil zdawał się być rozczarowany.

— Spokojnej nocy.

— Spokojnej nocy, władco.

* * *

Zamek przyczał się, ale nie spał, prace trwały dniem i nocą. Był podobny do larwy, wyklutej z jaja, potrzebującej coraz więcej wody i pożywienia, ciepła, żywej krwi, ludzkiego wysiłku, światła. Broń i ozdoby, odzież i obuwie, koła i zbroję, i znowu broń; wojenne wyprawy odbywały się jedna za drugą, a każdą z nich Razwijar dowodził osobiście i w każdej wyprawie nadwierał zdrowie i ryzykował życie. Tylko nowe zwycięstwo i nowa władza na krótki czas zalewały ogień, pożerający go od środka.

„Weź, co jest mi drogie. Daj, czego potrzebuję”. Cierpiał od tego niezadowolenia, jak cierpi się z głodu, pragnienia albo duszności. Z każdą nową ofiarą coś się w nim zmieniało, co było podobne do wybuchu pączka wypuszczającego listek. Z każdym nowym krokiem, olśnieniem, zdawało mu się, że teraz jest wypełniony po brzegi, niczym gliniana czasza i niczego więcej nie potrzebuje. Ale zaspokojona potrzeba odkrywała przed nim inne, o których wcześniej nie miał nawet pojęcia i których nie potrafiłby nawet opisać słowami. A Miedziany Król ze swoją kapryśną łaską stawał się coraz bardziej niezbędny.

Władca kamiennego zamku kładł na ołtarz drogie podarunki od chimajrydów, cuda od zamorskich kupców, złoto, oręż, obrazy, księgi. Głodował tygodniami, zmuszał się do przeżywania męczarni z pragnienia, ale Miedziany Król więcej nie przyjmował od niego ani chleba, ani wody. Tylko te rzadkie rzeczy, które naprawdę zdolne były ucieszyć Razwijara, przypominające o dawnych, lepszych dniach, związane z ukochanymi ludźmi — tylko takie rzeczy nadawały się na ofiarę.

Na czele swoich oddziałów władca dokonywał szybkich wypadów grabieżczych na miasta Imperium i zbierał bogate zdobycze. Pewnego razu pośród złotych i srebrnych naczyń, monet i gobelinów, trafiła się szkatułka z pozytywką, grająca jedną, cichą melodię. Na rewersie wieka skrzyneczki był ornament, skomponowany z wiewiórczych sylwet. Razwijar słuchał melodii płynącej z pudełka raz, i drugi, i trzeci, i przed jego oczami pojawiały się fragmenty dawno straconych wspomnień; las... pole... człowiek na szczudłach, biegnący po miedzy, i rudy potok, ciągnących za nim wiewiórek. Wygięte w łuk grzbiety, szybujące na wietrze ogony...

Męczył się wiele dni, potem nie wytrzymał i przyniósł szkatułkę w ofierze i Miedziany Król ja przyjął. Dręcząca niecierpliwość osłabła, ale nie na długo. Wkrótce powróciła i nie osłabła, aż do

dnia, gdy kolejny raz uległ pragnieniu, które niczym pustynia zasypująca wszystko piaskiem zagarniało jego myśli.

Jaska podarowała Razwijarowi srebrny medalion na łańcuszku. To było istne cudo sztuki jubilerskiej, w swoim kunszcie niemożliwe do wykonania bez pomocy magii. Medalion był zawsze ciepły. W środku znajdowały się portrety: Łuksa, Jaski i Podarka, które umiały uśmiechać się w odpowiedzi na uśmiech Razwijara.

Nosił go, nie zdejmując prawie pół roku. Mijały dni i miesiące od czasu ostatniej ofiary. Pragnął wewnętrznych przemian, tak jak pragnął oddychać, z każdym dniem coraz silniej. Pewnego wieczoru, kiedy został sam, zdjął z szyi ciepły medalion i na zawsze oddał Miedzianemu Królowi. Wiedział, że nie da się tego uniknąć, wiedział także, że Król przyjmie ten dar jako drobną datkę.

Wyznaczył nagrodę za historię, bajkę, opowiadanie albo nawet pogłoskę, w których wspomniano by o Miedzianym Królu, ale to, co przynosili mu plotkarze do tej pory, okazywało się albo bzdurą, albo zmyśleniem. Zwiadowcy, których wyprawił do portu Mirtie, udając handlarzy ryb, wstąpili na wysepkę z latarnią, ale starzec, który wiele lat gasił i zapalał płomień, był już od dawna martwy. Jego pracę wykonywał młody, upośledzony umysłowo mieszkaniec miasta, który oczywiście nigdy nie słyszał o takim królu.

Razwijar ćwiczył z bronią bez odpoczynku, czasami bez ustanku. Jego przeciwnicy zmieniali się, opadłszy z sił, a niekiedy i otrzymawszy lekką ranę, ale on nie męczył się — a raczej przelewał zmęczenie w broń przeciwko Miedzianemu Królowi. Katował się lodowatymi kąpielami i bieganiem boso po górach. Ulga trwała krótko, pragnienie złożenia ofiary znowu zawładnęło nim, jakby sam Król przychodził do niego, żądając swego.

Władca kamiennego zamku znał jedyną na świecie rzecz, zdolną na długo, a możliwe, że i na zawsze, zaspokoić Króla. Postawił sobie cel, i szedł ku niemu możliwie najkrótszą drogą. Miał zamiar zdobyć tę rzecz, bez względu na jej wartość. Zdobyć za cenę wysiłków, ryzyka, cudzego życia. Zdobyć i złożyć w ofierze. I wtedy znowu świat stanie się jasny, ograniczony umysł rozszerzy się i Razwijar znowu zobaczy żyłki na liściach i błyski na wodzie, rozłupie skorupę ograniczeń, w której męczy się poznanie, niby dorosły ptak w jajku.

Stanie się potężniejszy... I będzie wreszcie spokojny.

* * *

W jego komnatach rozbrzmiewała muzyka. Starzec i podrostek, nauczyciel i uczeń, grali na dwóch instrumentach, wytoczonych z ogromnych morskich muszli. W masę perłową wbudowane były metalowe płytki i naciągnięte struny. Dźwięk każdego przypominał cienki, prawie dziecinny ludzki głos albo łagodny, przymilny, albo głęboki, uroczy. Muzykanci pokonali długą drogę, zanim trafili do zamku, wywodzili się bowiem z Niemego Narodu. Razwijar nie rozumiał ich mowy i nawet nie zawsze mógł ją dosłyszeć. Za to potrafił pisać w języku Niemych — dawno temu, w młodości, zdarzyło mu się przepisywać ich księgi. Na ścianie Wschodniej Ciemnicy było kiedyś wydrapane słowo „pamięć” — ktoś z Niemych był niewolnikiem w zamku, a potem zaginął, nie wiadomo gdzie i jak. Najprawdopodobniej zginął w górach.

Władca kiwnął głową witając muzykantów. Za białym parawanem czekała na niego ciepła woda, czyste ręczniki, przyjemne wonie olejków, przezroczysty basen do kąpieli; służąca puściła na wodę pływające białe kwiaty.

Zwali ją Sonna. Była jedną z tych dziewcząt, które czasami wystawały na drodze w oczekiwaniu, żeby chociaż z daleka, chociaż przez chwilę, zobaczyć władcę. Gospodarny Szlop

zauważył ja w tłumie, ładną i świeżą i wziął do pracy za jedną miskę kaszy, na próbę. I Sonna wytrzymała okres próbny. Razwijara poruszało jej całkowite, pełne samowyrzeczenia, oddanie.

— Dzisiaj białe? Dlaczego?

— Dzisiaj jest dzień Białego Słońca, władco — uśmiechała się, szczęśliwa, że wreszcie przyszedł. — U nas w osadzie.

— Czy u was każdego dnia słońce zmienia kolor?

— Nie każdego. Ale wielkolistniki kwitną każdego dnia na nowo. Farbujemy suknie ich pyłkiem.

Pochodziła z osobliwego, bardzo nielicznego ludu, żyjącego na wyspie, niedaleko portu Fier. Na wyspie nie uprawiano ziemi i nie wypasano zwierząt, mieszkańcy handlowali wielkolistnikiem, dziwną rośliną, z której zdolny ogrodnik mógł wyhodować i drzewo, i krzew, i trawiasty dywan, u nawet cały dom.

Za parawanem prowadziły dialog dwa głosy — cienki, gwałtowny i głęboki, spokojny. Muzykantów Niemego Nurniki było tak mało, że nie wszystkim udawało się usłyszeć ich grę chociaż raz w życiu. Władca zamknął oczy, Sonna ściągnęła mu sapogi i podniosła kielich z przezroczystym napojem o cierpkim zapachu. Znakomity „aramer”, który robił furorę w Mirtie i był na wagę płynnego złota. Razwijar niewybredny w jedzeniu i piciu, mimo to nabrał zamiłowania do napoju Złotych i nie wyobrażał sobie bez niego swoimi) wieczornego posiłku.

Służąca przejęła z jego rąk opróżniony kielich. W kącie komnaty stał nakryty stół. Języczki płomieni dotykały żelaznych podstawek. Pod pokrywami z cieniutkiego szkła dusiły się dania z mięsa, ryb, topionych serów i zamorskich warzyw.

— Podaj mi papier.

Napisał na kartce w języku Niemego Narodu: „Dzisiaj nie chcę myśleć. Zagrajcie mi blask słońca w listowiu”. Służąca naniosiła notatkę, muzyka ucichła, nastąpiła przerwa, a potem i cienki głos zabrzmiał znowu. Razwijarowi przywidziały się skrzydła na tle połyskującego światła i zielonych cieni. Sonna zaczęła go ostrożnie rozbierać, potem przyniosła pełne pary ręczniki, wytarła mu twarz, pierś, brzuch; głęboko westchnął i wszedł w gorącą kadh, zanurzył się po głowę, czując jak rwą go rany na nadgarstkach, jak zawsze od tamtego dnia.

W muzykę wkradł się fałszywy ton — na mgnienie. Pomylił się młodszy muzykant, nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Coś się stało.

Wynurzył się z wody. Muzyka ucichła.

— Władca odpoczywa — wyszeptła do kogoś Sonna, niepojętym sposobem starając się wyrazić w dwóch, prawie bezdźwięcznych słowach, wzburzenie, wstrząs i niechęć do uwierzenia własnym oczom.

— Przekleństwo zostało zdjęte, Łuks wejdź — głośno powiedział władca.

Odsunąwszy parawan ramieniem, wszedł chimajryd. Pachniało od niego dymem, jasna broda była potargana.

— Wybacz. Jest mało czasu.

Razwijar podciągnął się:

— Co się stało?

Łuks zerknął na Sonnę.

— Odejdź — łagodnie powiedział Razwijar do dziewczyny. — Daj znać muzykantom, że są wolni do jutra.

Chimajryd odczekał aż ucichną kroki i szczelnie zamknął się drzwi.

— W zamku złapano szpiega.

Władca milczał. W ciągu jednego tylko roku w zamku złapali pół dziesiątki szpiegów, a ilu przepuścili — trudno zliczyć. Ludzie przychodzili zewsząd, najmowali się do pracy, zaczęli

wypytywać i podpatrywać. Dla mieszkańców wiosek i przybyszów z dalekich miejsc, wszystko było nowe, naturalnie, rozpieła ich ciekawość...

Łuks opuścił głowę:

— Miał podręczną żmijkę. Użył jej. Ukąsiła go i zdechła.

Razwijar spochmurniał. Wcześniejszym szpiegom nie spieszo było umierać, targowali się o swoje życie i nie wyróżniali się pomysłowością.

— Jaska mówi, że on nie poddaje się magii. Glenir potrafił zatrzymać działanie jadu. Tylko zatrzymać. On umrze w ciągu godziny, możliwe, że szybciej.

— Kimże on jest?!

— Złoty — wydusił chimajryd. — Prawdziwy Złoty z Mirtie.

* * *

Człowiek leżał na drewnianych noszach w komnacie strażników przed samym kominkiem. Paliło się mnóstwo świec. Jaska siedziała za stołem, z przyzwyczajenia przebierając skorupki w okrągłej misie. Obok stał z opuszczoną głową Glenir, zamkowy lekarz. Kominek ział zimnem i pustką, Razwijar skulił się, opatulwszy w płaszcz aż po czubek nosa. Po wyjściu z gorącej wody, powietrze w zamku zdawało się szczególnie chłodne i wilgotne.

Podszedł do leżącego i pochylił się nad nim. Wydłużona czaszka była całkowicie goła, zapewne człowiek ten nacierał ją kapeluszem „bezbrodęgo grzyba”. Twarz z głębokimi bruzdami, naznaczona była chorobą skórą. Kiedy dokładnie przyjrzał się umierającemu pojął, że to sprytny zbieg, trwała farba niczym maska umiejętnie skrywała oznaki rasy. Nic dziwnego, że ani rzemieślnicy dolnych kondygnacji, ani strażnicy środkowych pięter nie poznali Złotego. W tych regionach, ktoś i tułem z Mirtie, to rzadkość.

Twarz miał smagłą, prawie brązową, o wystających kościach policzkowych. Lekko podrygiwał, leżąc na swoich noszach. Wstrząsały nim dreszcze. Czoło i policzki pokryły się kropelkami zimnego potu. Wokół szyi pomarszczonym naszyjnikiem wisiała zdechła żmijka.

— Glen?

— Bardzo silny jad, władco. Nie zostało mu zbyt wiele czasu.

— Jaska?

Kobieta wzruszyła ramionami. Strażnicy, będący w komnacie, starali się trzymać z daleka od leżącego na noszach i od maga.

Razwijar skinął w kierunku lekarza:

— Dziękuję. Odejdź.

Glenir pokłonił się i wyszedł. Był naprawdę biegły w swojej profesji; były niewolnik i były szpieg, który w końcu wyuczył się ukochanego zawodu.

— Proszę, żebyś także wyszła — łagodnie powiedział Razwijar, zwracając się do Jaski. — Nie trzeba, żebyś to widziała.

Kobieta podniosła głowę.

— Kiedy tego potrzebowałeś nękałam ludzi. Teraz moje nerwy są za delikatne?

Razwijar przeniósł wzrok na Łuksa.

— Chodźmy — chimajryd położył rękę na ramieniu Jaski. Ta strząsnęła jego dłoń jednym niedbałym ruchem. Podniosła się i wyszła, nie oglądając. Władca nakazał wzrokiem chimajrydowi pójść za nią i zwrócił się do umierającego. Ten był w pełni przytomny, w jego dużych, złocistobrązowych oczach odbijały się ogniki świec.

— Przyjdzie ci umierać w towarzystwie Heksa — powiedział do Złotego.

Ten wzдрыgnął się. Przełknął ślinę. Rozlepił wargi.

— Nie chciałbym.

— Odpowiesz na parę pytań i odejdziesz.

— Odpowiem — umierający postarał się uśmiechnąć. — Nie mam przed tobą nic do ukrycia.

Nie masz w swojej mocy pocztowego nietoperza, nie masz władzy nad statkami na morzu, nad prądami, nad wiatrami...

— Czy to ten nietoperz?

Podniósł do twarzy Złotego ciało pocztowca z dziurą od strzały, z otwartym listem, przywiązany do łapy. Źrenice umierającego rozszerzyły się — to był cios i to cios okrutny.

Razwijar pokiwał głową.

— Niepotrzebnie umierasz, szpiegu. W Mirtie nie dostaną twojego donosu.

Ten roześmiał się z wysiłkiem:

— Heksie—wyrodku, wcześniej czy później zamienię cię w krwawy placek, razem ze wszystkimi twoimi planami... razem z czarownicą... Złoci od urodzenia nie podlegają magii. Dlatego twoja kobieta niczego nie mogła ze mną zrobić, chociaż się starała.

— Jednak do tej pory żyjesz.

— Żyję wedle swojej woli.

— Tak chciałeś mnie zobaczyć?

Usta umierającego skrzywiły się:

— Żebym cię nigdy nie zobaczył, odszczepieńcu.

— Po co w takim razie mnie wzywałeś?

— Żeby ci coś powiedzieć. Złoci to stara rasa... Przed śmiercią odkrywa się przed nami przyszłość. Widziałem...

Często się dusił, wyginając w łuk ciało, opierając o drewno głowę i pięty.

— Co widziałeś? — cicho zapytał Razwijar.

— ...twoją śmierć. Oni... wszyscy zaczną umierać na twoich oczach, ślizgać się we krwi na pokładach twoich okrętów... A ty będziesz wyc i zgrzytać zębami, patrząc, jak twoja nadzieja idzie na dno... Ale ty nie umrzesz. Morze zmętnieje i oczyści się, a Mirtie będzie szybować nad nim. Wieczne. Słuchaj... W moim widzeniu siedziałeś na wysepce, pod latarnią, nagi, umierałeś lata, dziesiątki lat, pożerany... od środka przez robaka... przez szaleństwo. Kurczyłeś się i wileś, gryzłeś swoje palce... Bardzo długo. Dłużej, niż zazwyczaj żyją ludzie.

Razwijarowi mróz przeszedł po skórze. Zobaczył wyspę i latarnika i miasto na horyzoncie. Usłyszał ryk płomieni nad głową.

— Wiem, że Złoci są bardzo dobrzy — powiedział po chwili milczenia. — W swoim mieście nie zabijają nawet szcurów.

Umierający uśmiechnął się:

— Heks jest gorszy od szczura.

— Tak, wiem.

Razwijar usiadł na podłodze obok noszy, jakby złamany nagłym ogromnym zmęczeniem. Było zimno; daleko, w czystym basenie pływały białe kwiaty.

— Rozpalcie ogień — rozkazał, podnosząc głos.

Po chwili w kominku zamigotały pierwsze ogniki płomieni. Oświetliły czarne, pokryte sadzą cegły. Pociągnęło ciepłem, władca kamiennego zamku głęboko westchnął. Umierający spoglądał na niego, nie spuszczać oczu.

— Otrzymałeś odpowiedź na swoje pytanie, Heksie?

— Tak, ale tylko na jedno.

— Mało ci?

— Tak. Odpowiedz mi jeszcze na jedno i odejdziesz.

— Co... co chcesz wiedzieć, Heksie?

— Kim jest Miedziany Król?

Na ustach Złotego zastygł uśmiech.

— Aaa — wyszeptał. — Tak... oto, co się za tobą ciągnie... oto, co pożera cię od środka.

Pamiętam Gejla...

— Kogo?

— Nie wiesz... dzikusie. Gejl grał na nabrzeżach Mirtie. Grał jak morze, jak wiatr, jak obłoki... — oczy umierającego zasnuły się mgłą. — Grał muzykę, która zmuszała do płaczu i śmiechu wszystkich, którzy ją słyszeli. Słyszałem...

Zamilkł. Razwijar czekał.

— Składał ofiary Miedzianemu Królowi — innym, suchym i ciężkim głosem powiedział Złoty. — Wszyscy, którzy składają mu ofiary... zmieniają się wewnątrz, rosną, stają się wielcy.

— Wielu ich jest? Nas?

— Mało. Ja znałem tylko Gejla. Był wielkim muzykiem, był mistrzem. A ty osiągnęłeś potęgę, Heksie.

— Co potem?

— Zaczyna brakować ofiar — wyszeptał Złoty. — Wtedy tracą zmysły i w szaleństwie jawi się przed nimi Miedziany Król. I umierając, pragną pożreć samych siebie. Gejl zjadł swoje ręce do łokci...

— To nieprawda — wyrwało się Razwijarowi.

— Prawda — oczy umierającego świeciły teraz tryumfalnie. — Cieszę się, Heksie, że przed śmiercią zobaczyłem twój strach. A teraz odejź. Chcę umrzeć z godnością.

* * *

Wszedł na górę, do siebie, gdzie ostygła już woda w cebrze. Białe kwiaty cały czas pływały po powierzchni basenu, a służąca siedziała na brzegu, z dziecinnie podciągniętymi pod brodę kolanami. Na widok władcy poderwała się, rozkwitła, i od razu się skuliła, ponieważ Razwijar nie odpowiedział na jej uśmiech.

— Odejź Sonna. I niech wyniosą stół.

Wyśliznęła się z komnaty, nie odrywając wzroku od mozaikowej podłogi. Dwóch bezgłośnych służących wyniosło stół razem z nietkniętymi potrawami. Zrzucił ręczniki z podłokietnika fotela i usiadł, zaplatając ręce na brzuchu.

Nie mógł dłużej powstrzymać wyobraźni. Widziały mu się fale napływające na przybrzeżne kamienie i sylwetka szybującego miasta na horyzoncie. Poczul zapach palącego się oleju, widział iskry, krążące na rozświetlonym niebie jak ptaki. Miedziany Królu, Miedziany Królu...

Po co? Po co przekłety starzec nauczył go tego ciemnego zaklęcia? Kim on był, ten dziwny Latarnik, zanim nie oszalał?

Po mniej niż godzinie, do drzwi cichutko ktoś zapukał, by oznajmić, że zdemaskowany szpieg, Złoty, który za pomocą oszustwa wdarł się do zamku, umarł.

* * *

Chłopiec płakał, ukryty za stosem zardzewiałych niepotrzebnych części. Obok pracowała kuźnia i w tym hałasie nikt nie słyszał jego pochlipywania. Był już duży — wyższy od wielu

innych, służących jako kucharczykowie w kuchni — nie wypadło mu lać łez z tęsknoty za domem.

Po prostu nie mógł się powstrzymać.

Wśród tłumu ludzi, wśród krzątaniny, szumu, wielu nowych obowiązków, pogubił się. Nie rozumiał wskazówek, nerwowo obierał warzywa, zapominał o skorupach na orzechach i nie raz był bity, ale nie z tego powodu płakał.

W zaułku za kuźnią były zwalone w stosy połamane narzędzia, bloki, łaty, pokryte rdzą konstrukcje niewiadomego przeznaczenia. Nie wolno było tutaj chodzić, ale chłopak jednak się tu przekradał; w półmroku, w hałasie dochodzącym z kuźni, nikt by go nie znalazł. Gdyby tutaj umarł, zwinąwszy się w kłębek na gołej ziemi, na jego trupa natknięto by się przypadkowo, po wielu miesiącach. Od tej myśli łyzy łyły się jeszcze obficie.

Huk pierwszego młota urwał się. Niemal od razu po nim zamilkł drugi. Kowale o czymś rozmawiali. Chłopiec nie rozróżniał słów. Siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę, rozpluwając się w swojej goryczy i osamotnieniu jak kryształek soli we wrzątku.

— Ej! Co ty?

Zerwał się z miejsca.

Najpierw zobaczył smagłą twarz pod czapką roztrzepanych, jasnych włosów. Nieznajomy wyglądał zza stosu żelaznych rupieci. Był zauważalnie młodszy od kucharczyka i o głowę niższy. Potem wyłonił się cały; chłopak otworzył usta i cofnął się.

— A ty co, nigdy nie widziałeś Nagórena? — zapytał na powitanie nieznajomy.

W dalekiej górskiej osadzie, gdzie dorastał chłopiec, o Nagórenach, czyli chimajrydach, opowiadano bajki.

— Widziałem — powiedział, żeby już całkiem nie stracić godności.

— Co ci jest? — znowu zapytał czworonogi malec. — Ktoś cię skrzywdził?

— Nie — chłopiec wytarł do sucha łzy z twarzy. — Po prostu kurz. Tutaj jest pełno kurzu. Oczy mi łzawią.

— Ty także lubisz tutaj przychodzić?

— Także? — Kucharczyk znowu się zmieszał.

— Ja lubię przebierać wśród żelaza i brązu — przyznał się czworonogi. — Tutaj można znaleźć prawdziwy miecz. Który był na wojnie, rozumiesz? Moje klingi są za bardzo... dobrze jest posługiwać się nimi podczas treningu, ale są proste.

— Twoje klingi?

— Tak... A tutaj można jeszcze znaleźć takie dziwne przedmioty, które w ogóle nie wiadomo do czego są. O, choćby te zębate koła, na przykład, jeśli je prawidłowo dobrać, to się kręcą. Można poskładać z nich mechanicznego żołnierza, żeby jego ręce i nogi się podnosiły. Ty też?

— Nie, to znaczy tak. Ja...

W tym momencie znowu załomotały młoty i rozmowa stała się niemożliwa. Maleńki chimajryd chwycił nowego kolegę za biały rękaw kucharskiej kurtki i pociągnął za sobą. Chłopiec bał się, że ich zauważą, ale czworonogi miał szczęście i doskonale znał zamek — po wąziutkich schodach, o których ten nie miał pojęcia, dostali się na kolejne piętro i wgramolili się do niszy, gdzie szemrało źródło.

Teraz mały Nagóren przyglądał się z wielką ciekawością nowemu znajomemu.

— Jak cię zwać?

— Imil.

— Mieszkasz w zamku?

— Pracuję w kuchni — przyznał się chłopiec. — A ty...

Nagle doznał olśnienia:

— Ty jesteś Podarek?

— Podarunek Po Klęsce — wyniośle poprawił go chimajryd.

Imil cofnął się.

— Twoja matka jest... czarownicą?!

Od razu przestraszył się swoich słów. Ale czworonogi nie rozzłościł się, tylko posmutniał.

— Moja matka jest magiem — powiedział po chwili milczenia. — A ojciec jest wielkim wojownikiem Nagórza. Zwie się Łuna Księżycyca. A jego jeździec — głos chłopczyka zadrzał z dumy — to sam Razwijar.

— Władca?! — zapytał jeszcze raz kucharczyk.

Podarek wyniośle przytaknął skinieniem głowy.

— To mój ojciec — wyszeptał chłopiec.

Słowa wyrwały mu się z ust wcześniej, nim zdążył je powstrzymać. Zielone oczy chimajryda rozszerzyły się, cofnął się, gotowy wybuchnąć:

— Kłamiesz!

Imil milczał, pojmując, że niepotrzebnie ujawniał tę informację. Czworonogi zasapał, na nowo przyglądając się jego bladej, wyciągniętej twarzy, otoczonej czarnymi, prostymi włosami.

— Szczerze? — głos chimajryda złagodniał. — A... kim jest twoja matka?

— Zwa ją Dzał. Służyła w pałacu... dawno temu.

— Ile masz lat?

— Jedenaście.

— Ohoo — przeciągnął Podarunek z zazdrością. Patrzył tak otwarcie, z taką chciwą ciekawością, że Imil się odwrócił. Do oczu znowu nieomal napłynęły mu łzy.

— Pójdę już — powiedział, starając się przelknąć grudę, która utkwiała mu w gardle. — Mnie... mogą mnie złapać.

* * *

Zamęczał się czwartą godzinę bez przerwy. Dzwoniły napierśniki, uginając się pod uderzeniami, wyłaziły pakuły z rozprutych, ochronnych kostiumów. Młodzi strażnicy męczyli się szybciej, niż wczuł się w daną technikę walki.

— Do tyłu!

Jego przeciwnik siedział na ziemi. Dopiero co władca zbił go uderzeniem w kolano, a teraz w oczach młodzieńca pojawiło się prawdziwe przerażenie, jakby pomylił się w czasie prawdziwej walki. Jakby zaraz mieli go dobić.

— Wstawaj — Razwijar wyciągnął rękę.

Ten podniósł się, dukając słowa usprawiedliwienia. Władca oparł się na mieczu, świat wolno obracał się wokół własnej osi, dzwonił cicho, niczym muszla Niemego Narodu. Na skraju pola widzenia, wzrok zasnuwała mu czerwień.

— Razwijar!

Odwrócił się. Podarunek nerwowo przestępował z łapy na łapę na granicy kamiennego placu, jego policzki były rozpalone, ogon nerwowo podrygiwał.

Uśmiechnął się. Młody chimajryd potrafił bez widocznego wysiłku być pełnym wręcz zwierzęcej gracji, subtelnie drapieżnym w najwykleszych ruchach — mógł pięknie płakać, rozmazując łzy albo drapieżnie jeść kaszę. Teraz, czymś zaniepokojony, malec był podobny do statuetki z płynnego brązu. Jego nozdrza drżały jak u Jaski, ale malec nie był magiem, po prostu wwąchiwał się w prawdziwe męskie zapachy żelaza i potu.

Władca skinął na sługę, ten nadszedł z dzbankiem do mycia. Podarunek zniecierpliwiony podszedł bliżej. Razwijar chlusnął na niego wodą. Chimajryd odskoczył i fuknął.

— Mama wróciła?

— Nie.

— Odejdźcie— odrzuciwszy ręczniki, władca ruszył na dół, do podnóża góry, w kierunku bocznej bramy.

Podarek stąpał po ostrych odłamkach skał, przeskakiwał z kamienia na kamień, jakby spacerował po parkiecie. Ani jeden ludzki chłopczyk nie mógłby poruszać się z taką gracją; odczekawszy aż słudzy zostaną w tyle, malutki chimajryd zarzucił swobodne krążenie i szedł obok. Jego głowa sięgała łokcia Razwijara.

— Spotkałem w zamku twojego syna.

— Kogo?

— Nazywają go Imil. Pracuje w kuchni.

— A — powiedział władca. — No i co?

Podarek zwolnił kroku:

— Kochasz mamę?

Razwijar spojrzał na niego zdziwiony:

— Oczywiście.

— I ojciec też ją kocha?

— Rozumie się.

— A...

Przez jakiś czas chimajryd szedł w milczeniu, patrząc pod nogi. Dobierał słowa.

— Wiesz, mamy wszyscy się boją.

— I kochają.

— To ciebie boją się i kochają. A jej się tylko boją.

— Nic podobnego. Ja się jej bardzo boję i bardzo ją kocham.

— Ty?

Podarek uśmiechnął się i od razu znowu spoważniał.

— Twój syn jest... do ciebie podobny.

— Wiem.

— A ja jestem podobny do ojca — wymamrotał maluch.

Władca zatrzymał się. Położył dłoń na główce chimajryda, zmuszając go, żeby spojrzał mu w oczy.

— Co się stało, Dar?

— Nic... Razwijar, nie jestem twoim synem, a ty mnie kochasz! A on, twój syn i ty go... jest ci wszystko jedno. Dlaczego?

Zapytany zamyślił się na moment.

— Po pierwsze, jesteś synem godniejszego, bardziej zasłużonego, okrytego sławą...

— Wiem! Oczywiście, że wiem... Za to on... Syn władcy! Syn władcy ryczy w kącie za składem rupieci...

— Płakał?

— A co ma robić, śmiać się?! — Podarek drżał od nosa do końca ogona.

— Ktoś go skrzywdził?

— Nie. Nie wiem. Ale on jest kucharczykiem, popychadłem w kuchni i...

— Kiedy miałem tyle lat, co on teraz, byłem niewolnikiem, mały. A mój ojciec już dawno nie żył. A ja nie płakałem.

Prawie już zeszli do zamku, kiedy na drodze wiodącej z odległego wykopu w pełnym biegu pojawił się chimajryd z jeźdźcem na grzbiecie. Amazonka, umościwszy się bokiem w siodle, trzymała się szerokich ramion Łuksa. Ciekawscy rozpierzchli się w różne strony. Jaska, mag z kamiennego zamku, korzystała ze złej sławy i sama ją podtrzymywała. Wierzchowiec z jeźdźcem długim skokiem dał nura w bramę i zniknął im z oczu. Władca przyspieszył kroku.

— Kiedy masz zajęcia, Dar?

— Teraz — chłopczyk wyglądał na zamyślonego, a nawet na przybitego.

— Nie należy się spóźniać. Idź.

Po rozstaniu z maluchem, Razwijar poszedł przez jedną ze środkowych kondygnacji, zatrzymał się na chwilę, żeby napić się wody z fontanny skrytej w załomie. W czaszy fontanny pływał mały stateczek, zrobiony ze skorupki orzecha i płatka kwiatu. Władca dotknął taflę ręką i stateczek zakołysał się na płytce wodzie. „Nazywają go Imil”. Tym lepiej, teraz zna imię swojego starszego syna... Ehh... Jak on ubóstwiał Dżal, jak odchodził od zmysłów i gotów był ryzykować życiem albo i nawet — przywłaszczyć ją sobie i umrzeć.

Przypomniał sobie jej żółtą suknię i nieśmiały uśmiech. Szuu wie, ile lat minęło od tamtej pory... Nie tak znowu dużo, jeśli mierzyć ludzkimi żywotami... I oto ona jest tak daleko, taka odległa, że wspomnianie jej nie jest już nawet interesujące. Obca, jakby była narysowana na suknie tanimi farbami. Jej po prostu nie ma.

Zostawił stateczek, żeby mókł w fontannie i zszedł na dół, na spotkanie Jaski i Łuksa. Wchodzili po głównych schodach, przy czym kobieta opierała się na ramieniu chimajryda, jakby nie starczało jej sił, żeby iść. Albo nie starczało sił, żeby puścić jego łokieć.

Zobaczyli go jednocześnie.

— Skończyłam — powiedziała Jaska zamiast powitania, jej głos był jeszcze niższy niż zazwyczaj. — Coś jednak potrafię!

— Powinnaś odpocząć — wtrącił się Łuks. — Razwijar, ona powinna coś zjeść i odpocząć, sterczała tam całą dobę, w tym cuchnącym dymie...

— Chodźmy — powiedział władca. — Zjemy obiad i wszystko opowiesz.

* * *

Pieczara była przykryta z wierzchu żelazną kopułą. Z wielu rur walił dym. W środku, w czerwonym, zadymionym, drgającym powietrzu krzżeli się ludzie w ciężkiej, wielowarstwowej odzieży — utrzymywali ogień, przekładali jaja, zmagali się ze skomplikowanymi mechanizmami.

Wykop był głęboki i zwężał się ku dołowi. Na jego ścianach, piętro nad piętnem, gnieździły się ogniewuchy — stare, młode, zdolne i niezdolne nieść się. Były tutaj poczwarki, bardzo niebezpieczne, zamknięte w klatkach z zahartowanej, wzmocnionej magią stali. Jaja stosami leżały w siatkowych rynienkach. Nad tym wszystkim wznosiła się żelazna strzała, podobna do studziennego żurawia ze stalową platformą na łańcuchu.

— Przygotować się! — wykrzyknęła Jaska, władcym, niemal męskim głosem. — Ruszajcie!

Strzała drgnęła. Zadzźwięczał, naciągający się łańcuch. Razwijar odruchowo złapał za brzeg platformy. Robotnicy kierujący „żurawiem” stękali z wysiłku.

Winda ześliznęła się z pomostu i zakołysała. Zawisli jakby nad ogromnym piecem; robotnicy powoli popuszczali łańcuch i platforma opuszczała się. Mag trzymała w rękach urządzenie, podobne do zwykłego uchwytu od drzwiczek pieca.

— Jesteś odważną kobietą — powiedział Razwijar.

Oczy Jaski błysnęły spod hełmu:

— Dopiero teraz to zauważyłeś?

Uśmiechnął się pod skórzaną zasłoną hełmu. Winda opuszczała się coraz niżej, coraz trudniej było też oddychać.

— Razwijar — jej ręka nagle ścisnęła go za łokieć. — Zrezygnuj z wyprawy na Mirtie.

— Nie słyszę.

— Czego ci brakuje? Wszystko masz! Jesteś wielkim władcą!

— Niczego nie słyszę w tym trzasku.

— Wokół jest pełno ziemi, którą możesz wziąć siłą oręża! Ziemi i ludzi! Idź choćby na Kamienną Strzałkę, choćby do Pękatego Boru... Odetnij kawałek Imperium! Jeśli zupełnie nie możesz bez tego... bez wojny!

— No i żarzy się tu... wargi pękają.

— Złoci nie podlegają magii — Jaska mówiła bardzo szybko, ich hełmy zetknęły się. — Nie przegrali na morzu ani jednego starcia. Mag może wywołać sztorm, wicher, ale morze to nie ląd, Razwijar, morze zbuntuje się całe, od dna do nieba, i mag utonie, a ich okręty utrzymają się na wodzie. Oni są wielkimi, mądrymi przywódcami... Wielkimi wojownikami. Ja nie wiem nawet, kiedy oni kłamią, a kiedy mówią prawdę. Nie można ich przestraszyć. To straszni ludzie...

— Bardzo dobrzy — wyrwało się władcy.

— Oni nie lubią Heksów, ale nikt nie lubi Heksów, Razwijar. Złoci przynajmniej nie są ludożercami.

Przypomniał sobie noc na tratwie i zwoje z ludzkiej skóry, które palił, rzucając w ogień piecyka.

*Platek na wodzie,
Siodło mojej pamięci.
W siodle zacznę nowy dzień,
I jutro wszędzie słońce...*

W jamie, gdzie trzeszczał ogień, trudno było usłyszeć ciche słowa, dochodzące spod zasłony w hełmie, ale Jaska usłyszała.

— Chcesz się zemścić za siebie? Czy za swoje plemię? Co i komu chcesz udowodnić?!

Winda zjechała prawie na samo dno i zatrzymała się, kołysząc.

— To tutaj — powiedziała kobieta zupełnie innym, rzeczowym głosem. — Patrz.

* * *

Wyszli na górę po godzinie. Razwijarowi pękała głowa od duchoty i żaru, z westchnieniem ulgi ściągnął z siebie skórzany hełm i z zachłannością dziecka zaczął polewać się wodą, jakby chciał zmyć z siebie kurz po długim marszu. Długie włosy Jaski były ściśle zaplecione z tyłu głowy, kobieta najpierw napiła się i dopiero później zmyła sadzę z białych wystających kości policzkowych. Gestem odesłała sługi i ci oddalili się z unizonym szacunkiem na odległość wzroku.

— Jesteś zadowolony?

— Tak — wyprostował się, pozwalając kroplom swobodnie spływać po policzkach. — Z taką bronią jesteśmy niepokonani.

— Nie — kobieta wysunęła do przodu dolną szczękę. — Nikt nie bywa niepokonany. Pamiętasz, co mówiłeś o magach: „To druga strona potęgi. Oni tak przywykli do swojej mocy, że przestają doceniać prostych ludzi”.

— Zapamiętałaś to? I pamiętasz do tej pory?

— Tak. I jeszcze obiecałam ci, że będę mądrą.

— Dotrzymałaś obietnicy — uśmiechnął się.

Jaska nie odpowiedziała na jego uśmiech:

— Mądry by cię powstrzymał, Razwijar.

Objął ją tak, jak obejmował w młodości. Przytulił do siebie i pogłodził po głowie. Dotknął wargami czoła. Ostrożnie się wyswobodziła.

— Czy wiesz, że Łuks jest mi wierny? Że oprócz mnie nie ma kobiet ani w zamku, ani w Nagórze?

— Wszyscy mężczyźni tak mówią — Razwijar zakrztusił się fałszywą frazą.

Pokręciła głową, gestem tym przypominając siebie — dziewczynkę:

— Jestem magiem, jeśli byłbyś łaskaw zauważyć. Przede mną to i owo jest odkryte... Łuks kocha mnie ponad życie. A ja kocham ciebie — Jaska podniosła głowę do nieba, poplamionego dymami z rur nad wykopem. — Który nie przepuszcza ani jednej ładniutkiej buzi. Który nigdy, ani razu w życiu nie zrobił tak, jak prosiłam. A zawsze postępował po swojemu... I kiedyż to ruszamy na wyprawę, Razwijar?

* * *

Posłowie od Imperatora przybyli na ogromnym, białym skrzydlaku. Przywitano ich z dystansem, ale uprzejmie.

Posłów było dwóch — wystrojony urzędnik, noszący się jak kryształowa waza, i mag — względnie młody, milczący mężczyzna. Urzędnik nie zniżył się do powitania. Mag obrzucił wzrokiem salę przyjęć i spojrzenie jego zatrzymało się na Jasce.

Kobieta uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie.

W obecności magów, obydwaj rozmówcy — urzędnik i władca — mówili tylko prawdę. Urzędnik wyraził ubolewanie, Razwijar wyraził współczucie; urzędnik wyraził troskę, Razwijar wyraził pewność sukcesu. Magowie stali twarzą w twarz, sprawdzając jeden drugiego wzrokiem. Oba pierścienie — turkusowy i jaskrawożółty — płonęły pełnym blaskiem mocy.

— Mirtie? — zapytał urzędnik. — Jednakże...

I pomyślał: przekłety Heks rozbije się o potęgę Złotych jak gliniana miska o marmurową ścianę.

Spoglądając na niego, Razwijar pomyślał z kolei: przez jakiś czas możemy mieć spokój ze strony Imperium.

Magowie potwierdzili szczerą intencję obu stron, została podpisana umowa, rozwlekła, na atlasowym papierze. Po druzgoczącej klęsce na nagóreńskich równinach, po zgubie maga, rozbiciu armii i skrzydlaków, Imperator zmuszony był liczyć się z nowym sąsiadem. Sąsiadem niebezpiecznym i nieprzewidywalnym, któremu udało się zawrzeć sojusz z dumnymi, niepokornymi Nagórenami i przejąć władzę w Fier.

— Mirtie — powiedział urzędnik, zastanawiając się na głos. I pomyślał: po tym, jak cię rozbiją, Imperator odziedziczy wszystkie twoje posiadłości.

Spoglądając na niego władca pomyślał: czekaj całą wieczność, szczęśliwy głupcze.

Na drugi dzień skrzydlak odleciał, oprócz urzędnika i maga, odleciał na nim Bran, jako poseł do Imperium. Dziesiątnika powinni przyjąć z wielkimi honorami, niczym imperatorskiego krewnego. Prawda była jednak inna — został wezwany, aby służyć za zakładnika na wypadek, gdyby władca kamiennego zamku naruszył dane słowo i niepokoił granice Imperium.

Bran długo nie mógł zdecydować się, żeby objąć Razwijara i się z nim pożegnać. W końcu jednak to zrobił.

— Bądź ostrożny, władco.

— Do widzenia, Bran. Wybaczyłeś mi?

— Nie śmiem wybaczyc ci albo nie wybaczyc... Ale bądź ostrożny! Nie składaj MU więcej ofiar!

Razwijar uśmiechnął się:

— Obiecuję ci... że będę ostrożny.

ROZDZIAŁ DRUGI

W dniu odjazdu władcy na wielką wyprawę, oszczędna Sonna dała wolną chwilę młodzietkiej pokojówce, by mogły popatrzeć na przemarsz wojsk.

Sonnę stawiano za wzór wiejskim dziewczętom, dopiero co wziętym do zamku — patrzcie jaka obyta, jeszcze wczoraj stała w tłumie u bram, a dzisiaj już zarządza służbą na najwyższych kondygnacjach. Dwukrotnie rodziła dla władcy, ale nie odesłano jej z dziećmi na wieś, jak pozostałe służące, okazała się bowiem kobietą pracowitą, gospodarną i pojętą, dlatego intendent Szlop zostawił ją przy sobie.

Sonna była dobra dla pokojówek, ale wymagająca. Trzeba było wszystko doprowadzać do połysku, i naczynia, i szkło, i podłogi. Leniuchów na służbie nie cierpiała; nawet dzieci Sonny, bliźniacy, mający zaledwie cztery lata, już mieli swoje obowiązki — zamiatali kurz, zmywali z okiennych kratek pomiot czerkunów, biegali z drobnymi poleceniami. Teraz obaj, stojąc na palcach, patrzyli w dół z balkonu na uroczysty wyjazd władcy z zamku.

Malcom zdawało się, że zamek został zatopiony. Ludzkie morze przystąpiło do samych murów, różnokolorowe, szumne, przypominające świąteczną zupeę. Wstępami rozwiewały się flagi. Płonęły w słońcu żelazne hełmy wypolerowane do połysku, a na hełmach tańczyły pióra. Ktoś w tylnych rzędach zaczął podrzucać czapki, tłum gwizdał i krzyczał, ale wojska stały nieruchomo, a między stalowymi szeregami ciągnęła się dróżka wolnej przestrzeni, bruk był czysty i błyszczał jak tysiące łysin.

Heroldzi wciąż coś wykrzykiwali. Zdawało się, że powtarzają cały czas to samo, bliźniacy, białoskórzy i czarnowłosi patrzyli, wstrzymując oddech. Lada moment władca wyjdzie z bramy i stanie przed tłumem. Zaraz.

* * *

Podarunek Po Klęsce, blady po nieprzespanej nocy, starał się trzymać prosto. Był w pełni uzbrojony, opasany swoimi młodzieńczymi mieczami, do siodła przytroczone były torby, kołczan i arbalet. Wręcz niemożliwe było dla niego pozostać spokojnym, ponieważ dwa kroki przed nim stali, milcząco spoglądając jedno na drugie, jego matka i Razwijar.

— Chcę z tobą porozmawiać — wysyczała kobieta, a dźwięk jej głosu przestraszył Podarka tak, że poczuł, jak wstępuje na niego zimny pot. — Chłopcze wyjdź. Łuks! Tutaj!

Podarek nie ruszył się z miejsca. Pytająco i błagalnie spojrział na Razwijara.

— Wyjdź i bądź gotowy — cicho powiedział władca.

Wycofał się zatem do wyjścia z komnaty, pchnięte gwałtownie drzwi rozwarły się. Wszedł jego ojciec. Obrzucił Podarka zdziwionym spojrzeniem:

— A ty dokąd się wybierasz?

— Wyjdź! — warknęła matka.

Ani się obejrzał, jak znalazł się na zewnątrz, a drzwi zamknęły się znowu. Uginały się pod nim łapy. Nigdy wcześniej nie słyszał i nie widział, żeby matka kłóciła się z Razwijarem. Jeszcze wczoraj nie uwierzyłby, że coś takiego jest możliwe.

Z zewnątrz ryczał tłum i krzyczeli heroldowie. Wyjazd władcy opóźniał się, wojska maszerowały w miejscu, żeby rozprostować nogi i skała pod zamkiem drżała od ich miarowego tupotu.

Popatrzył na zamknięte drzwi. Odwrócił się i poszedł, gdzie oczy poniosą, pragnąc oddalić się jak najdalej od komnaty, gdzie oni kłócą się, zresztą, z Razwijarem nie należy się kłócić. On jest jeźdźcem.

Słudzy i robotnicy albo wybrali się na zewnątrz, popatrzeć na pochód, albo wysypali się na balkony i przyglęśli do okien. Opustoszały zamek, który chłopiec porzucił, być może na zawsze, zdawał się całkowicie obcy i dziwny. Podarka przerażała niszcząca pospolitość. Idą przecież na wielką wojnę, na wielką wyprawę, nie czas myśleć o drobnostkach w rodzaju rozsypanych po korytarzu orzechów albo rzuconego w widocznym miejscu pogrzebacza. Zatrzymał się przy źródelku w niszy muru. Tam jednak już ktoś był. Pochylając się nad wodą, w milczeniu stał Imil.

W ciągu ostatnich kilku lat bardzo wyrósł. Stał się prawie dorosłym mężczyzną, może tylko zbyt chudym i o zbyt wąskich ramionach. Biała kurtka kucharza wisiała na nim niczym worek.

— Idę na wyprawę — powiedział Podarek na powitanie.

Imil spojrzął spode łba:

— Biorą cię?

Chimajryd wystraszył się nagle, że mama zwycięży w słownej batalii z władcą. Jest przecież magiem, może zaczaruje Razwijara, a ten zaraz wyjdzie z zamkniętej komnaty i każe Podarkowi zostać?!

— Żegnaj — powiedział, wyniośle unosząc podbródek. — Możliwe, że zobaczymy się po wyprawie.

* * *

— Pókim żywa, on nie pojedzie — ryczała Jaska. — Łuks! Dlaczego milczysz?!

Ten patrzył ponad jej ramieniem, tam, gdzie w ostrołukowym oknie zieleniały i białe góry.

— Ach, on jest twoim jeźdźcem — Jaska gwałtownie odrzuciła włosy z twarzy. — Dlatego milcząco patrzysz, jak twojego syna, dziecko jeszcze, taszczy na wyprawę, która wiadomo czym się zakończy?!

— Dlaczego to rozstrzygnęło się dopiero dzisiaj? — cicho zapytał Łuks.

Jaska odwróciła się od niego, zagryzając wargi. Stała na palcach i zbliżyła swoje oczy do głęboko osadzonych oczu Razwijara:

— Nie dopuszczę do tego! On jest moim dzieckiem. Nie dopuszczę!

Władca milczał. Jaska wpatrywała się w jego twarz, beznamietną, bladą i coraz bardziej sama bladła. Razwijar milczał; kobieta mogłaby skierować swój ból i wściekłość do kamiennej ściany — ściana wykazałaby więcej współczucia.

Kiedy w jej twarzy nie pozostało już ani kropli krwi, Razwijar odezwał się spokojnie i cicho:

— Chcę, żeby wszystko, co jest mi drogie i każdy, kto jest mi drogi, był obok. Ten, w czyich rękach jest Dar, ma nade mną władzę. Chcę, żeby on był obok mnie.

Jaska milczała. Czarna suknia drgała na jej piersiach, jakby w miejscu serca znajdował się maleńki kowalski młot.

— Ani jeden włos nie spadnie z głowy twojego syna — tak samo cicho dodał Razwijar.

Odwrócił się i wyszedł. Chwilę później zadudniły barabany, zawył, ochryply do tego czasu tłum i pochód — uroczysty wyjazd z zamku rozpoczął się.

Morze w porcie Fier groziło wystąpieniem na brzeg, bowiem nigdy jeszcze nie pojawiło się tutaj równocześnie tyle statków. Kolorowe i białe żagle, bandery, dymy, dudnienie barabanów i gwizd morskich muszli, których Niemy Naród używa zamiast trąb. Mieszkańcy Fier częściowo rozbiegli się po przedmieściach, częściowo ciągnęli do portu, tłocząc się na wąskich uliczkach i molo. Tłum był tak gęsty, że barierki, odgradzające od wody, groziły zawaleniem. Trudno się

dziwić takiemu zbiegowisku; podobne wydarzenie zdarza się raz w życiu, a i to nie w każdym pokoleniu.

Do przybycia władcy centralna ulica opustoszała. Przeleciał po niej, rozpędzając gapiów, oddział strażników złożony z samych chimajrydów. Władca dojechał do portu nie, jak zwykle, wierzchem, ale w powozie, zaprzężonym w młodego rogacza. Obok niego stała kobieta mag, na jej palcu błyszczał turkusowy pierścień i ten i ów w tłumie, na dachach, zdrowo się przestraszył, napotkawszy jej spojrzenie.

W południe władca wstąpił na pokład okrętu, noszącego dumne miano: „Skrzydłak”. Statek nie był nowy, ale gruntownie przebudowany w stoczniach władcy. Korpus głęboko zanurzał się w wodzie. Obok masztu sterczała gruba rura, z której nieustannie walił dym. Żagle „Skrzydłaka” były teraz czarne, żeby nie zostawały na nich plamy sadzy — domyślano się w tłumie.

Do następnego ranka Fier opustoszała. Na wyludnionych ulicach wałały się śmieci, bujały się na falach drobne rybackie łodzie; tylko naczelnik miasta, który w skrytce chował silną lunetę, potwierdził, że widać żagle na horyzoncie.

* * *

Imil kręcił korbką maszynki do mielenia mięsa, dodawał do farszu rozmoczony chleb, jaja człapaczy i pieprz, zdolny wydobyć ich specyficzny smak. Z trzech młodszych kucharzy, wziętych na pokład „Puzana”, morska choroba oszczędziła jego jednego — dwóch towarzyszy spędzało czas przy burcie, z zielonymi twarzami. Byli bez sił, niezdolni do pracy, dlatego Imil musiał pracować za trzech, a „Puzan” był ogromnym żaglowym statkiem, na którym znajdowały się trzy setki głodnych gęb. Nawet większa huštawka nie pozbawiała żołnierzy apetytu, widzieli już wiele i byli gotowi na wszystko, jeśli tylko dobrze karmiono.

Dwa razy dziennie rozlewał do misek zupę, w której pływały kulki mielonego mięsa, podobne do gotowanych oczu. Kroił chleb do krwawych odcisków między dużym i wskazującym palcem. Wieczorami nalewali mu domowego piwa i pił razem ze wszystkimi. Upijał się z nieprzyzwyczajenia i, chciwie nadstawiając uszu, słuchał rozmów.

Eskadra szła na Mirtie. Po raz pierwszy od pamiętnego ataku Heksów, ktoś zdecydował się rzucić wyzwanie Złotemu Miastu. Tam dzień i noc grają struny, w cichej wodzie odbijają się turkusowe, srebrzyste, brzoskwiniowe łuki i śnieżnobiałe mosty, i rzeźbione mury, i ażurowe baszty. Tam żyją Złoci, którzy słyną swoim mistrzostwem we władaniu dalekosiężnymi lukami i tym, że są nieustraszeni w walce. Ale nas prowadzi władca świata, a w ładowniach naszych okrętów jest sekretna broń; Złoci poddadzą się albo umrą.

Tak rozmawiali ci ludzie i marzyli o drogocennych ozdobach, którymi obwieszane są kobiety w Mirtie, i o samych kobietach, dumnych pięknościach, które będzie można zdobyć już na placu, znamienitym placu Mirtie przed Pałacem Dostojnych. Imil, młodszy kucharz, wyprowadzony do roli młodszego kuka, zasypiał pośród tych rozmów, płytkim, niespokojnym snem. Śniły mu się kolorowe mosty, których nigdy nie widział i kobiety o złotej skórze i złotych włosach do kolan.

Dziesiątego dnia zdarzyła się rzecz niespodziewana, wzbudzając popłoch — podpłynęła szalupka z flagowego „Skrzydłaka”. Imil gotował kaszę w ogromnym kotle, dwóch jego towarzyszy pełzało po kambuzie jak dwie zdychające przysiępki, a kuk okrętowy, Nogaj, w trybie pilnym przygotowywał „przekąskę dla władcy”.

— Przynoście! — krzyknięto z góry. Kuk zakrzętnął się, starając się chwycić jednocześnie półmisek, zbiorniczek, dwie butelki i sosjerkę, omal nie rozlał sosu, rozejrzał się:

— Weź tacę, bydlaku leniwy!

W ogólności Nogaj starał się nie rugać młodszego kuka bez przyczyny, ale w chwili duszącego napięcia wyładowywał się i zapominał, że chłopak jest dziwnie podobny do władcy.

Imil postawił na tacy wszystko, czego nie mógł unieść Nogaj i pośpieszył za nim na górę po trapie. Pokład kołysał się, „Puzan” ciężko przewalał się z boku na bok, ogromny niczym całe miasto. Starając się utrzymać tacę w równowadze, chłopak, w ślad za kukiem wszedł do kapitańskiej kajuty.

Za stołem, nakrytym białym obrusem, siedział władca razem z kapitanem „Puzana”, imienia którego Imil do tej pory nie poznał. Na obrusie leżały papierowe zwoje, jakieś rysunki i plany, a władca mówił, wiodąc wzdłuż linii końcówką ołówka.

Nogaj bezgłośnie wystawił ze ściennej szafki delikatną, drogą zastawę i gestem nakazał Imilowi nakryć stół. Ten zawahał się, nie wiedząc, czy postawić sosjerkę z prawej, czy z lewej strony butelek, w tym momencie statkiem silnie zakołysało i chłopak przewrócił się na bok, w przerażeniu czując, jak traci grunt pod nogami i runął, zabрызgując czerwonym sosem kurtkę, ścianę i twarz.

Nogaj zasyczał przez zaciśnięte zęby. Jego wzrok obiecywał sto batów; Imil podniósł się i omal znowu nie upadł. Krople sosu ściekały po jego policzkach, po włosach, po podbródku.

Kapitan nabzdyczył się. Władca po raz pierwszy oderwał się od papierów. Jego wzrok, obojętny i pusty, napotkał Imila i nastąpiła w nim gwałtowna zmiana.

— Co ty tutaj robisz?

Chłopak cofnął się. Trzeba było odpowiedzieć jak należy, że służy na „Puzanie” jako młodszy kuk, ale chłopiec, jak w koszmarnym śnie, nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Władca wstał. Przeciął kajutę, jakby nie czuł kołysania, podszedł blisko do Imila i wziął go za upačkany sosem podbródek:

— Dlaczego nie jesteś w zamku? Dlaczego jesteś tutaj?

— Jestem młodszym kukiem...

Władca odwrócił się do Nogaja:

— Kto pozwolił mu jechać na wyprawę?

Kuk zmieszał się:

— Ja nie... sam się napraszał, panie, my po prostu rozpuściliśmy wieść po kuchni... Kto chce... Ludzi sporo potrzeba, a on jest rozgarnięty... Nawet jeśli czasem ręce ma dziurawe...

— Sam się prosiłeś? Zachciało ci się jechać na wyprawę!?

Imil nie wytrzymał jego wzroku i zmrużył oczy.

— Daj mu ręczniki — rozkazał władca. — I zabierz... potem porozmawiamy.

* * *

Dwie ponure godziny młodszy kuk czekał na to „potem”. Nogaj, póki co go nie ruszał, możliwe, że było mu żal chłopaka.

Pracy w kambuzie było, jak zwykle, pełno; jeszcze nie rozegrała się nawet pierwsza walka, jeszcze przeciwnik nie pokazał się w dali, a zreć wszystkim się chciało: palaczom, przesiąkniętym cuchnącym dymem, marynarzom, którzy jak pająki snuli się na strasznej wysokości w splątanych olinowaniach. A strzelcy i abordażnicy, próżniacy i ci, którzy klęli pod nosem, wszyscy oni całymi dniami drzemali na pokładzie, żeby obudzić się około obiadu i besztać Imila za ślamazarność.

Starał się odwrócić swoją uwagę od sypiących się zewsząd złośliwości postronnymi myślami, ale nie wychodziło mu to najlepiej. Odstawił zatłuszczony kocioł, przecież i tak ponownie się

zabrudzi i cichaczem wyszedł na pokład, gdzie świeciło słońce, wiał świeży wiatr, a w poprzek błękitnego nieba — niby czarny, puszysty ogon — ciągnął się dym z grubej rury.

Wzdłuż burty, czepiając się za naciągnięte liny, przedostał się na część dziobową. Tutaj wznosiła się druga rura, bez dymu. Jej szeroki kielich był obrócony do przodu i przypominał otwarte usta. Z jakiegoś powodu kielich ten wzbudzał w chłopcu niepokój, nawet lęk; huczał w nim wiatr i dawało się słyszeć głucho zawrozczenie. Imil starał się podchodzić do tej rury w ostateczności.

Na deskach pokładu siedzieli żołnierze, grali w „kamyki” i nie zwracali na młodszego kuka żadnej uwagi. Stał przy burcie, wystawił twarz na morską bryzę. Wiatr trzepotał w jego kurtce, przesyconej zapachem topionego tłuszczu i dymu. Z przodu, i z prawej strony, i z lewej, rozpościerało się morze. Obok, prawie dziób w dziób, płynął flagowy „Skrzydłak”, najpiękniejszy statek całej eskadry. Zbite ciasno jak przyślepki w stadzie, podążały za nim inne statki, zdawało się, że morze pod nimi kipi. Sprzyjający, stały, mocny wiatr napełniał kolorowe żagle — zielono-czerwone z portu Fier, żółto-białe, błękitne, malinowe — z innych, nie wiadomo jakich, portów i dalej, i dalej, wszystkie kolory i odcienie. Zdawało się, że płyną nie na wojnę, a na święto. Imil głęboko westchnął. Dla prawdziwego mężczyzny jedynym świętem jest wojna, tak powiedział pewien strażnik, jeszcze w zamku, a on zapamiętał jego słowa.

Miał piętnaście lat. Niechby nawet był za wąski w ramionach i za chudy, jak na swoje lata, ale jest mężczyzną; gdyby tylko udało się namówić władcę, żeby dał mu miecz i pozwolił walczyć!

Chłopak uśmiechnął się gorzko do własnych myśli. Kto mu da miecz; statek nabyty jest najznamienitszymi rycerzami i kusznikami, doświadczonymi wojownikami, którzy bywali na wielu wyprawach wojennych. Kim jest wobec nich Imil, który całe dzieciństwo pał przyślepki, a wszystkie chłopięce lata przesiedział w zamkowej kuchni?

Popatrzył na „Skrzydłaka”, rozcinającego wodę ostrym dziobem. Za nim ciągnął się ogon dymu, a na dziobie także wznosiła się rura z czarnym kielichem, przypominającym otwarte usta. Jakby statek wciąż potrzebował żeru. Imil wzdrygnął się i roześmiał — nie jemu karmić flagowy żaglowiec. Jemu rozlewać zupę i roznosić kaszę, kroić chleb i tłuc ziarno dla nienasyconych marynarzy, a „Skrzydłak” weźmie swoje w boju...

Nagle poczuł się zmęczony. Usiadł na skraju zwiniętej liny, szorstkiej, z grudkami soli między włóknami. Zamknął oczy; ukazały mu się pieczary rodzinnej osady. Nie wspominał ich już kilka lat.

W jaskiniach odbijało się echo. Płochliwe przyślepki uciekały od gromkich dźwięków i dlatego Imil, razem z innymi pastuszkami, wybierał się głęboko pod górę, daleko od żującego, ślepego stada. I tam, w płataninie podziemnych tuneli grali w echo. Najpierw po prostu krzyczeli, na różne głosy, wyli i klaskali, potem śpiewali piosenki. Sprytnie kombinując, można było spowodować, by własny głos wtórował wypowiedanym słowom. Należało znaleźć tylko właściwe „ucho” w tunelu; starsi młodzieńcy zmuszali echo do nieprzyzwoitych przekleństw, dziewczynki — tych było mało pośród pastuszków — śmiały się... Nikt nie bał się ani ciemności, ani płataniny podziemnych przejść, tak samo swobodnie czuli się głęboko pod skałą, jak Nogaj we własnym kambuzie...

Nogaj?!

Imil otworzył oczy. Starszy kuk górował nad nim, opierając ręce na biodrach.

— Idź!

— Słucham?

— Idź szczeniaku... Jednak chronią cię twoi dobrzy bogowie.

* * *

„Puzan” zwolnił, połowę żagli opuszczono też na „Skrzydłaku”. Szalupa wisiała nad samą wodą. Marynarze czekali przy kołowrocie wciągarki. Władca stał przy burcie, spoglądając na płynący paralelnym kursem statek pod czarnymi żaglami.

— Imil, dlaczego nie zostałeś w zamku?

— „Dla prawdziwego mężczyzny jedynym świętem jest wojna” — wymamrotał chłopiec, nie zdążywszy nawet pomyśleć.

— Co, proszę? — Władca zbliżył swoją straszną, bladą twarz z bardzo czarnymi oczami do tak samo bladej twarzy podrostka. — Co ty wiesz o wojnie?

Chłopak przełknął ślinę:

— Czy naruszyłem rozkaz? Czy władca rozkazał mi zostać w zamku?

Zmusił się, żeby nie odwrócić oczu, wytrzymać baczne spojrzenie władcy. Zdawało się, że minęły długie minuty, a nawet godziny.

— Dobrze — przemówił władca, przyglądając się synowi, jakby go widział pierwszy raz. — W takim razie słuchaj mojego rozkazu. Kiedy się zacznie... twoje miejsce jest w kambuzie. W kambuzie, Imilu. Jeśli zauważę cię w czasie walki na pokładzie... Nigdy więcej nie zobaczysz morza i nigdy nawet nie dotkniesz broni. Obiecuję.

I, nie oglądając się, ześliznął się po linowym trapie; szalupa osiadła na wodzie, prawie od razu wzbily się wiosła iw ciągu kilku minut małeńka łódeczka poleciała po falach, pośpiesznie niczym ptak krzycałka, a mimo to powolna w porównaniu do majestatycznej szybkości wielkich okrętów. Szalupka zrównała się z rufą „Skrzydłaka”, z pokładu zrzucano koniec sznurowej drabinki. Próżnujący żołnierze gapili się, stłoczeni na burcie. Starszy kuk Nogaj wziął Imila za kołnierz, mocno, ale bez złości i zaczął prowadzić do kambuza, kiedy z masztu doszedł nagle histeryczny krzyk wypatrującego:

— Żagle! Żagle na horyzoncie!

* * *

Flota Mirtie płynęła pod złotymi żaglami. Wznosiły się one na horyzoncie jak słoneczny miraż. Razwijar zmrużył oczy; setka okrętów płynęła jednym szeregiem, przy czym po stronie Złotych nie było maga, kierującego wiatrem. Dwa prądy powietrzne — ten, który niósł flotę Mirtie i ten, który, zgodnie z wolą Jaski, napełniał czarne żagle „Skrzydłaka” — spotykały się nad morzem między dwoma flotami i splatały się w powolnym wirze.

— Pięknie — powiedział Łuks.

Jaska podeszła do przodu. Jej nozdrza rozdymały się w ślad za żaglami.

— Dalekonośny. Przy takim wietrze szybko wejdziemy w strefę obstrzału.

— Zatrzymaj wiatr — powiedział spokojnie Razwijar.

Źle zaczął tę wyprawę. Męczyły go koszmary, w których trzeszczała mu nad głową latarnia morska przed portem Mirtie. W pierwotnych planach odnajdywały się coraz to nowe luki, które znajdowała przede wszystkim Jaska. Niczego mu nie wybaczyła i niczego nie zapomniała. Los syna wzburzył ją, ale o wiele bardziej — lekceważenie jej woli, woli potężnego maga. Przepaść pomiędzy jej wewnętrzną siłą, a niezłomną wolą Razwijara stawała się głębsza z każdym dniem, grożąc przekształceniem się w bezdenną przepaść. Spodziewał się po niej wybuchu, możliwe, że nawet zdrady. Może nawet niespodziewanego ciosu w plecy. I kto wie, może by się doczekał, gdyby na horyzoncie nie pojawiły się, płonąc w słońcu, złote żagle.

Jaska rozłożyła ręce, dłońmi do góry. Wiatr ucichł. Na „Skrzydłaku” wywieszono sygnał: zwiąść żagle, czekać na komendę: atak. Patrząc przez lunetę, władca kamiennego zamku rozróżniał teraz oddzielne łodzie i ludzi na ich pokładach. Okręty były za daleko, żeby rozpoznać twarze, ale Razwijar wiedział, że wrogowie są smagli, a ich ciała sprężyste, że ich słoneczne włosy są krótko ostrzyżone, a w oczach nie ma strachu. Przez stulecia mieszkańcy Mirtie usiewali morskie dno trupami wrogów i szczątkami ich statków. Złoty atakowały ogromne armie. Najeżdżały; zwały się z morza i powietrza, żeby zachłysnąć się krwią, pójść na dno albo usłać swoimi kośćmi nieprzyjazne brzegi, w tym czasie, gdy szybujące miasto Mirtie po dawnemu patrzyło w wody cichego portu.

— Palacze — do pełna!

— Palacze — do pełna! Sygnał na „Puzana” i na „Szczypawkę”!

— Jest sygnał!

Wzmocniony korpus statku drgnął. Dym z rury buchnął silniej, rozplywając się chmurą, płacząc się w rejach ze zwiniętymi czarnymi żaglami. Z lewej strony zadymił „Puzan”, z prawej „Szczypawka”.

— Jest za daleko, władco — samymi wargami powiedziała Jaska. — Żeby ich dostać, trzeba wejść w strefę obstrzału.

— Tarcze!

— Są tarcze!

Razwijar podniósł przed sobą ciężką tarczę wielkości człowieka, ciężką, okutą stalą, wygiętą tak, żeby przykrywała żołnierza z przodu i z góry. Słoneczny świat zawęził się do samotnej, wąskiej szczeliny na wysokości oczu. Łuks wystawił tarczę, zakrywając siebie i Jaskę.

— Podarek jest w kajucie? — od rzeczy zapytał chimajryd.

Władca nie patrzył na niego. Wąziutka szczelina do patrzenia przed jego oczami, coraz jaskrawiej zalewała się złotem — zbliżała się wroga flota. Słoneczne iskry skakały w olinowaniu, chociaż żagle były teraz ciasno zwinięte. Płoneła błyskami woda pod miarowo wzlatującymi wiosłami.

— Płyną na wiosłach.

— Przygotowują salwę — obojętnie powiedziała mag. — Trzy główne cele: „Skrzydłak”, „Puzan” i „Szczypawka”.

— Już czas?

— Nie.

— Ale i tak jest pięknie — wymamrotał Łuks. — Jak żyję... nie widziałem takich cudów.

— Wszystko, co robią Złoci, jest piękne i długowieczne — Razwijar uśmiechnął się. — Oni nawet szczurów...

— Zamilcz, przekłety — ciekim głosem nagle krzyknęła kobieta. — Dlaczego wtedy nie utonąłeś? Dlaczego nie utonąłeś?!

Zrobiło się cicho. Wiatr narastał, napęlniając czarne żagle „Skrzydłaka” i unosił do tyłu duszący dym. Wąska rura, pochylona nad bukszprytem, zaczęła się wolno trząść.

— Strzały — beznamiętnym głosem powiedziała Jaska.

— Zabezpieczone — warknął władca.

W porażającej ciszy minęła chwila, potem druga. Wtem z nieba dał się słyszeć narastający świst, nawet Razwijarowi od tego dźwięku włosy stanęły dęba. Zobaczył strzałę w locie — punkcik, ostrze lecące mu prosto w oczy, zobaczył błysk grotu i trzepotanie złotych piór; w ostatnim momencie strzała uderzyła w tarczę i ledwie utrzymał się na nogach.

Chmura ciężkich strzał upadła na „Skrzydłaka”, wbijając się w tarcze, w deski, przebijając żagle, zwisające niemal wertykalnie jak strugi deszczu. Gruchnęło o pokład ciało marynarza

strąconego z masztu. Razwijar spojrział w bok; obok płynął „Puzan” otulony lecącymi strzałami jak złotą siecią.

— Wiatr — powiedział przez zęby.

— Jest wiatr — spokojnie odezwała się Jaska. — Rozkaż rozwinąć wszystkie żagle.

— Rozwinąć żagleee!

Rozpostarły się czarne płótna. Marynarze na masztach dusili się i pokastywali z powodu dymu. „Puzan” i „Szcypawka” zostały wcześniej z tyłu i teraz znowu dogoniły „Skrzydłaka”. Jaska zamarła, unosząc dłonie ku niebu, a wiatr stał się jej posłuszny; złota flota ustawiła się przed nimi w podkowę, jakby wabiąc w pułapkę, a trzy statki pełną parą płynęły w tę zasadzkę, jakby chciały być okrążone. Teraz bez żadnej lunety widoczne były czyste, jasne pokłady, rzędy strzeleckich gniazd, wiosła, spieniające złotą wodę pod złotymi statkami...

— Strzały!

— Zabezpieczone!

Znowu dał się słyszeć narastający świst. Uderzył grad strzał. Kapitan zaklął, rozlatywały się w drzazgi drewniane ściany kajut. Pokład kwitł jak pole, złotymi kwiatami: igrało słońce na opierzeniu strzał, które głęboko wbiły się w deski.

— Kiedy? — zapytał władca.

— Wkrótce — mag spoglądała w dal, zmrużywszy oczy.

— Nie możesz osłonić nas od strzał, chociaż na jakiś czas?

— Nie mogę... Palacze — gotowość bojowa.

— Palacze — gotowość bojowa! — krzyknął kapitan. — Podnieście sygnał, lenie! Żywo!

Denerwował się, stając się gadatliwy. Uniosły się sygnałowe chorągiewki; na podflagowych okrętach powtórzono komendy. Razwijar jeszcze raz zerknął na „Puzana”, niemożliwością było rozpoznać, czy na jego pokładzie przelana została krew. Z każdą chwilą wrogie strzały były bliżej, salwy stawały się coraz bardziej śmiertelne...

— Pięć — powiedziała Jaska. — Cztery. Trzy...

Razwijar zmrużył oczy. Wiele razy wyobrażał sobie tę chwilę. Trzy statki, oderwawszy się od reszty eskadry, wciąły się głęboko w szyk wroga, złote żagle znalazły się już nie tylko na wprost kursu, ale i z prawej i z lewej strony...

— Dwa — miarowym, bezbarwnym głosem liczyła Jaska. — Jeden... OGNIA!

— Ognia! — krzyknął władca.

Jego krzyk podchwycili rykiem marynarze. Z lewej zaryczeli na „Puzanie”, z prawej na „Szcypawce”. Gruba rura z bukszprytu „Skrzydłaka” lekko zadrżała, z jej kielicha przypominającego otwarte usta, wyleciała chmura płomieni. W tej samej chwili plunęły ogniem oba podflagowe okręty.

Ogniste kule zawisły nad samą wodą, odbijając się w falach, przyciągając wzrok, urzekając. Szalał w nich płomień pożaru i płonęły jęczyczki świec, trzeszczał swojski ogienek przenośnego piecyka, zajął się rozek papierowego listu, kurczyły się spalając w nim rękopisy Heksów, dogorywało samotne ognisko, miały się ognie pochodni w przeciągu. Razwijar siłą woli wyrwał się z transu. Jaska patrzyła przed siebie, jej usta poruszały się, a pierścień na palcu rozpalił się silniejszym blaskiem. Pół-Heks spojrział przed siebie, tam, pod złotymi żaglami zamarli zaskoczeni widowiskiem ludzie, ale w ich oczach, jak wcześniej, nie było strachu.

Kule wybuchały, zmieniały się w ogniste strugi, splotami układały się na podobieństwo ogromnych skrzydlatych stworzeń. Zarysami podobne były do ogniewuch, ale podobieństwo było tylko zewnętrzne. Te ogniste stworzenia urodzone w ładowni „Skrzydłaka”, kierowane niezłomną wolą maga prześliznęły się nad wodą w kierunku flagowego okrętu Złotych. Ledwie musnąwszy bukszpryt, zmieniły formę, przeobrażając się w ośmiornicę, która owinęła maszty

zręcznymi mackami i złote żagle straciły blask, na oczach wszystkich przekształcając się w czarne.

Zapłonęły mokre wiosła, jak płoną polana w palenisku. Ognisty potwór, oblepiwszy swoim ciałem okręt, umierał razem z nim. Dwa inne, z „Puzana” i „Szcypawki”, wybrały sobie ofiarę i rozeszły się w różne strony i zaraz wybuchły jeszcze dwa statki.

— Ognia!

Trzy stalowe rury znowu wyrzuciły z siebie ogień. Pierścień Jaski płonął, pod jej prawym płatkiem nozdrza wzbierała kropelka krwi. Lecące grudki pożaru znowu przyjęły formę skrzydlatych zwierząt i dopiero wtedy do uszu Razwijara doszedł krzyk strachu z dalekich statków.

* * *

Złoci nie znają strachu.

Tak mówiła legenda, podadmiral Galagar wiele oddałby tego dnia, żeby okazała się w niej chociaż kropla prawdy. Widząc, jak płomień otula flagowy okręt, stary marynarz wszystkie swoje siły wykorzystał na to, żeby nie krzyknąć ze strachu.

Jeśli zginie admirał, dowodzenie statkiem przechodzi na pierwszego podadmirala. Na ramiona Galagara został złożony los tej bitwy, z tym potwornym wrogiem, który przybył pod czarnymi żaglami, uzbrojony w niesłychany magiczny oręż. Ludzie z płonących statków skakali za burtę. Podadmiral zdławionym głosem rozkazał opuszczać szalupy. Możliwe, że kogoś uda się ocalić.

Trzy czarne statki wciąż na nowo wyrzucały z siebie ogień. Nieludzka wojna — zabijać ogniem na odległość; w czyjej mrocznej duszy mogła zrodzić się podobna myśl i jaka musiała być to dusza?! Pokonując skowyczący w głowie strach, Galagar gorączkowo się zastanawiał. Jeśli trzy czarne okręty nie zamilkną teraz, starcie będzie przegrane. Trzeba zmusić je do przerwania tej jatki. Trzeba zamknąć im ogniste paszcze.

Nad podflagowym okrętem wzniosły się flagi — Galagar wydał jedyny możliwy rozkaz i teraz mógł tylko mieć nadzieję, że wypełnienie go jest w ludzkiej mocy.

W ładowni „Skrzydłaka” ryczał w piecach ogień. Ludzie, nie wytrzymując strasznego żaru, zmieniali się co chwila przy palenisku, przy miechach, przy czarnym stalowym mechanizmie, ze zgrzytem i chrzęstem rozłupującym dymiące jaja ogniewuchy. Każde jajo oznaczone było czerwonym zawijaszem — czarna mag oznaczyła je własnoręcznie.

Korpus statku był przesycony żołądzią dwugłowej błotnej żmii, która chroniła od pożaru. Palacze garbili się pod ciężkimi zbrojami do czerni wylizanymi płomieniem. Rozkazy grzmiały w blaszanej rurze, przebijając się przez ryk pieca, echem odbijały się od ścian: „Ognia! Ooognia!”; wtedy sześciu palaczy razem napierało na dźwignię, a piec wypluwał płomień w szeroką, rozpaloną do białości rurę.

Zgasł płomień i w ładowni na chwilę zrobiło się ciemno i porażająco cicho. Potem znowu zazgrzytały mechanizmy, rozłupując jaja ogniewuchy, piec jakby oprzytomniał i zaryczał z nową siłą, a ludzie, zmieniający się co chwilę, nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, co dzieje się na górze.

* * *

Błękitne niebo zasnuło się dymem. Razwijar stał, rozdymając nozdrza, prawie jak Jaska. Kobieta niedbałym ruchem starła krew znad warg. Natura ogniewuchy była prosta i

niewyszukana jak ryczący ocean albo śnieżna lawina. Tylko wielki mag mógł ją okiełznać, rozczłonkować i poskładać na nowo, przekształcić w niezawodną broń; każde ogniste zwierzę miało w sobie półtora dziesiątka ogniewuch. Nie bała się wody, była niepokonana i była martwa — nie miała własnej woli, oprócz woli maga, która nimi kierowała. Kobieta stała na dziobie „Skrzydłaka” i zgodnie z jej wolą kłęby ognia przyjmowały formę i paliły flotę Złotych okręt za okrętem.

— Podniósł się wiatr, ale nie sprzyjający, a boczny.

— Po co?

— To nie mój wiatr — przemówiła Jaska przez zęby. — Nie mogę kontrolować wszystkiego naraz.

— Zwinąć żagle! — ryknął Razwijar.

— Z boku — burknął Łuks.

Żaglowce Złotych trójkątnymi, niedużymi żaglami łowiły wiatr, nacierając na nieprzyjaciela z boku, zbliżały się z niezwykłą prędkością. Władca kamiennego zamku znał dobrze ten typ statków — pływali na nich zazwyczaj piraci.

— Stój — Razwijar chwycił Jaśkę za zimny nadgarstek. — Nie pal ich. Wiatr. Nakryje nas.

— Szuu — zaklął chimajryd.

— Kusznicy — na burtę! Gotować się do walki!

Oczy kobiety zwięzły się. Boczny wiatr zaczął cichnąć, ale „trójkąty” gorączkowo uderzyły wiosłami i, rozrywając fale, dosięgły „Skrzydłaka”. W poprzetykaną strzałami burtę wbiły się haki abordażowe. Pół-Heks wskoczył na grzbiet Łuksa, czując rozpierającą go radość: wreszcie prawdziwa walka.

— Pal tamtych — rozkazał Jaśce. — Tych zatrzymamy.

Złoci posypali się na pokład z wysokiej burty „trójkąta”. Jakby drwiąc z wroga, byli obnażeni do pasa — demonstracyjnie nieustraszeni, nieczuli na rany i ból. Ich krótkie złote włosy były podobne do opierzenia strzał.

Razwijarowi cienko, żałośnie dzwoniło w uszach. Sądził, że smągła skóra Złotych okaże się tak samo mocna jak stalowe napierśniki. Ale to było ludzkie ciało. Tylko ludzkie ciało.

Tymczasem podpłynęły dalsze okręty eskadry pod niebieskimi, czerwono-zielonymi, żółto-błękitnymi żaglami. Ich załogi w przerażeniu patrzyły na ogniste zwierzęta i na dogorywające wrogie statki, ale nie było czasu na strach, ponieważ znowu zaczęła się strzelanina. Zaświszczały katapulty, przerzucając z pokładu na pokład syczące jądra. Trzeszcząc, waliły się maszty razem z przymocowanym do nich takielunkiem.

* * *

Chapun spoglądał w górę z głębin wody. Zwyczajny statek był zbyt wielką zdobyczą — morski potwór nie umiał rozewrzeć paszczy tak szeroko. Dzisiaj statków było dużo, niewyobrażalnie dużo, a przy ich burtach szamotali się ludzie.

Lubił ludzkie mięso, szczególnie gustował w ludziach, którzy przypadkowo albo z braku ostrożności wypadali za burtę. Takie szczęście zdarzało się nieczęsto i nasyciwszy się, za każdym razem zapadał na dnie w sen na miesiąc lub dwa. Dzisiaj morze podarowało chapunowi tyle jedzenia, że starczyłoby na zapas — na całe życie, ale morski potwór nie śpieszył się z zaczynaniem posiłku.

Ogień skakał po falach. Morze płonęło. Chapun instynktownie bał się ognia, trzy czarne statki, nisko zanurzone w wodzie, wzbudzały w nim przerażenie. Tam, za stalą i deskami, wił się i rósł potwór o niewyobrażalnej sile, stwór, w porównaniu z którym chapun był śliskim ślimakiem bez

muszli. Czy to ludzie stworzyli to płonące zwierzę? Albo może ludzie mu służyli — w tym wypadku jako pożywienie?

Topielcy tak kusząco szamotali się w ciemnych falach, ale chapun już odpływał, sunąc zwinnie swoim długim, pokrytym rzadką szczecina ciałem, w głębinę, jak najdalej od straszego miejsca. Możliwe, że wróci — potem. Kiedy trzy czarne statki odpłyną, zgaśnie ogień i wreszcie zapanuje spokój.

* * *

Przed oczyma latały mu czerwone płaty. Krążył z Łuksem, osłaniając swoich, zabijając wrogów, ale Złoty nie robiło się mniej, przeciwnie — wciąż ich przybywało. Coraz to nowe haki abordażowe wbijały się w burtę „Skrzydłaka”. Razwijar widział smagłe twarze, zniekształcone wściekłością i napięciem, a ostrza, spragnione krwi, miotają się wokół, niekiedy o włos mijając twarz. Krzyki, smród, zgrzyt stali i trzask kości; żył do tej pory tylko dlatego, że umiał zabijać i ranić i dlatego, że miał cztery ręce.

Pokład trzeszczał — przetoczyła się po nim, rozpraszając ludzi, sycząca kula. Włosy chimajryda stały na sztorc. Razwijar czuł jego ciało jak swoje własne. W walce wręcz jeden z napastników zwiódł Łuksa, co spowodowało, że ten się pomylił, klinga Złotego opisała pętlę... pół-Heks uderzył z góry i świat pociemniał przed oczami wrogiego wojownika.

Nastąpiła krótka przerwa. Razwijar zerknął na „Puzana”. Okręt kipiał jak kocioł, pokład zalewały coraz to nowe fale atakujących i nawet na rejach toczył się bój.

— Szalupę!

Niebo zasnuło się czarnym dymem. Kolory przygasły. Krew na pokładzie zdawała się szara.

— Ależ, władco, oni mogą w każdej chwili...

— Szalupę! Łuks, osłaniaj!

Rzucił się do łodzi, zabierając ze sobą pół dziesiątki żołnierzy. Kołowrót drgnął w czyichś rękach, szalupa upadła na wodę, omal się nie przewracając. Razwijar rzucił się do wiosł i zobaczył, jak w dzieciństwie, wolno przepływającą obok burtę „Skrzydłaka”.

Płynęli w kierunku „Puzana”, z prawej i lewej strony wpadały do wody strzały. Oba czarne statki zwalniały, bardzo wolno zbliżała się rufa docelowego okrętu. Na pokładzie toczyła się walka. Sznurowy trap zwisał z burty i dotykał wody. Razwijar zabił Złotego zanim ten zdążył przeciąć liny.

— Do mnie! — miecze w jego rękach już dawno nie błyszczały, pokryte krwią i spalenizną.
— Do mnie!

Załoga „Puzana”, widząc wsparcie, nabrała nowych sił. Władca z dwoma klingami przeszedł od rufy do dzioba, zostawiając za sobą nieruchome złote ciała. Niewidoczne za dymem słońce zachodziło, a może stało w zenicie następnego dnia; Razwijar rozejrzał się i zobaczył, że żywych wrogów w pobliżu nie ma.

Flota Złoty spłonęła w połowie. Kołysały się na falach spalone wraki statków, które z jakiegoś powodu jeszcze nie poszły na dno.

Morze poczerniało od sadzy. Gdzieś na oleistej warstewce pokrywającej wodę kołysały się fragmenty takielunku, szalupy z żywymi i martwymi ludźmi, a dalej płonęły pochodniami nowe statki. Tam w oddali toczyła się walka. A z góry, nad tym wszystkim, w chmurach dymu, krążyły trzy białe ptaki — trzy skrzydlaki; Imperator otrzyma dzisiaj szczegółowe sprawozdanie...

— Imil — schrypniętym głosem zawołał Razwijar.

Nikt mu nie odpowiedział. Palacze „Puzana” zamknięci w ładowni, wykonywali swoją pracę sumiennie. Zobaczył, jak nowa kula ognia wyrwała się z rozpalonej do czerwoności rury. Na statek powoli wracał porządek. Po pokładzie snuli się ocaleni i ranni, ktoś śmiał się dziko:

— Władco! Czy już zwyciężyliśmy?!

Nie odpowiedział. Zszedł do kambuza, tutaj było pusto i czysto.

— Imil!

Znowu wbiegł na górę. Podeszedł kapitan „Puzana”. Milcząco zasalutował. Władca ścisnął jego ramię:

— Gdzie chłopak?

Kapitan zamrugał oczami:

— Gorąca była robota...

Razwijar poszedł wzdłuż burty, zaglądając w twarze ocalonych i nagle zobaczył na pokładzie, pośród leżących, znajomą, chudą postać.

— Imil!

Blade lico chłopaka było pomazane czerwienią. Jak niedawno, kiedy wylał sos. W ręce ścisnął kuchenny nóż. Razwijar wziął go za ramiona. Jego syn otworzył oczy.

— Powiedz coś do mnie! — krzyknął nie pomny na innych. — Mów!

Ten urwanie westchnął. Przez jego ciało przeszedł dreszcz.

Razwijar chwycił go na ręce. Nie wiedząc, co robi i po co, ślepo miotał się po pokładzie; wpadł do kajuty kapitana, położył chłopca na czystym białym stole i dopiero wtedy Imil wypuścił swój nóż, a ten wbił się ostrzem w podłogę.

Opatrzył rany chłopaka. Było za późno. Zatoczył się i wsparł o ścianę, żeby nie upaść. Nieśmiało uśmiechnęła się Dżal w żółtej sukience, stary człowiek uniósł nad głową tęczowy akt, mając nadzieję ocalić swoją osadę na Kamiennej Strzałce przed okrutną karą...

Imil lekko zadrżał. Zaczęła się agonía. Nie zdając sobie sprawy, a po prostu chcąc przerwać jego cierpienie, Razwijar wyciągnął nad nim rękę i powiedział na głos:

— Miedziany Królu...

Kiedy zaczął zakłęcie, nie mógł się już zatrzymać.

— Miedziany Królu. Weź, co jest mi drogie! Daj, czego potrzebuję!

I tak się stało.

* * *

Koło południa następnego dnia podadmirał Galagar stracił całą swoją flotę, poza jednym jedynym okrętem.

Potwór, kierujący wrogą eskadrą, wykazał się w tej bitwie arcymistrzostwem perfidii i przenikliwości. Kiedy wyczerpał się wreszcie ogień w trzech czarnych statkach, zaczęły się manewry tak bardzo skomplikowane i dokładnie przemyślane, że Galagar rwał sobie złociste włosy z głowy. Przeciwnik miał w zapasie okręty-tarany i okręty-przynęty, flota Żółtych była ostrzeliwana i zasypywana kamieniami z katapult. Po dobie walk burta w burte, które ciągnęły się z krótkimi przerwami, czarne statki znowu ożyły i znowu wyrzuciły z siebie ogień, ale tym razem potwory z płomieni nie rzuciły się na zdobycz od razu, tylko zastygły przed twarzami ocalałych, omamiały grą ognia, pozbawiając woli nawet Żółtych, niepodwładnych strachowi.

Podadmirał Galagar rozejrzał się i zobaczył, że jego okręt, z połamanymi masztami i oberwanymi żaglami, jest jeszcze cały.

Skrzyżował ręce na piersiach.

Wszystko, co mógł zrobić dla Mirtie, zostało zrobione. Myśl o mieście, pozostawionym bez ochrony, zmusiłaby każdego człowieka do tego, żeby rzucić się w fale głową w dół z kapitańskiego mostka. Ale Galagar był Złotym i był podadmiralem. Stał, podtrzymując wąty spokój w swoich ocalałych żołnierzach. Na pokładzie swojego statku był gotów umrzeć nawet zaraz, teraz.

— Szalupa — powiedział ktoś schrypniętym głosem za jego plecami.

Z burty czarnego flagowego okrętu opuszczono szalupę. Nie wierząc własnym oczom Galagar patrzył, jak łódka zbliża się i, jak słońce, które wreszcie wyjrzało zza dymu, łowi krople na jej wiosłach, a te rozbłyskują białymi iskrami...

Myśl o Mirtie, szybującym pod słońcem mieście, zdławiła podadmiralowi gardło.

— Przyjmijcie ją — powiedział ledwie słyszalnie i powtórzył, panując już nad głosem. — Przyjąć ją!

* * *

TEN wszedł na pokład jako pierwszy. Podadmiral, człowiek o żelaznej wytrzymałości, spojrział na wchodzącego i zadrzał — pojawił się potwór. Spoglądając w czarne, głęboko zapadnięte oczy, Galagar pojął, kto był twórcą pomysłu z ognistymi stworzeniami i kto kierował zaskakującymi manewrami floty na otwartym morzu i kto wymyślał zasadzki, których rozszyfrować nie było w ludzkiej mocy. I już nie wydawało się dziwne, że ten Heks pojawił się na pokładzie u podadmirala osobiście, prawie bez ochrony. Biła od niego władza, jak światło bije od lampy, a chłód od lodu.

Galagar oczekiwał go, stojąc na kapitańskim mostku, ze skrzyżowanymi rękoma. Cieszył się, że dumna postawa pozwala ukryć mu drżenie całego ciała.

— Poniosłem straty w tej walce — spokojnym głosem powiedział zdobywca. — Jestem zmartwiony.

Podadmiral milczał. Wiedział, że nie zasłużył na szyderstwa przed śmiercią, ale Heksi mają inne prawa.

— Teraz chcę odwiedzić Mirtie — półkrwiak odwrócił głowę i popatrzył na ogniste kule, cały czas wiszące nad wodą.

Galagar przywołał wszystkie swoje siły, całe swoje męstwo, żeby zmilczeć i tym razem. Zdawało się, że Heks widzi go na wskroś. Podadmiral stał przed nim nagi, z obnażoną nienawiścią do najeźdźcy, z całym swoim bólem.

— Nie chcę krzywdy Mirtie — miękko powiedział Razwijar. — Kocham to miasto. Chcę, żeby grała muzyka, kiedy wstąpię na wybrzeże.

— Nie — wyrwało się Galagarowi.

— Niech grają skrzypkowie. Całe życie marzyłem, żeby ich usłyszeć. Chcę przejść po mostach, po turkusowych, po różowych. Chcę wejść na białą iglicę. I wreszcie zobaczyć plac przed Pałacem Dostojnych — nagle uśmiechnął się, a jego uśmiech był straszniejszy od płonącej floty. — Chcę, żeby mieszczanie mnie powitali. Nie będzie im lekko. Wiem. Ale przecież wszyscy mają dzieci.

Podadmiral syknął. Jego doskonale opanowanie, znane całemu Mirtie, zawiodło go, wyciągnął ceremonialny kindżał, wiszący u pasa i rzucił się na Heksa. Ten odbił jego klingę swoim mieczem, który nie wiadomo kiedy znalazł się jego ręce. Jeden obrót ostrza i Galagar wypuścił broń, ledwie powstrzymując okrzyk bólu.

Marynarze, strażnicy półkrwiaka, podeszli bliżej, uśmiechając się, nie okazując niepokoju. Kula ognia trzeszczała prawie przed samym bukszprytem.

Podadmiral milczał, kuląc się, ścisnął lewą ręką prawą pięść. Zdawało się, że ma zwichnięty nadgarstek.

— Boli? — zapytał Heks.

Podadmiral milczał.

— Mówię: niech grają skrzypkowie. Niech mnie witają ludzie na ulicach... mogą bez uśmiechów. Wpuśćcie mnie do portu, po dobroci, jak dobrego przyjaciela. Klnę się, że nie tknę ani jednego żołnierza, ani jednego mieszkańca, póki na mnie nikt nie napadnie. Klnę się, że nie targnę się ani na wolność, ani na tradycje Mirtie. Miasto będzie stało długo, szczęśliwie i będzie się odbijało w wodach zatoki — najeżdźca uśmiechnął się. — Ale jeśli nie... W wodach zatoki odbije się wielki pożar, admirale. Tak, dokładnie tak przekażcie moje słowa Radzie Dostojnych.

Odwrócił się i poszedł w kierunku trapu.

* * *

Kopista drugiej kategorii, Agi, zdecydował się uciekać z Mirtie jako jeden z ostatnich. Piętnaście lat ciężkiej pracy pozwoliło mu wywalczyć sobie miejsce w szybującym mieście. Jemu, szanowanemu członkowi gildii, przychodziło przepisywać rachunki i weksle, poniżać się, oczekując w poczekalniach i jeszcze zdawać egzaminy, potwierdzające mistrzostwo, razem ze smarkatymi młodzieńcami. Wiele lat żył na skraju nędzy, wszystkie zapracowane pieniądze tracił na to, żeby wyglądać przyzwoicie i tym samym zyskiwać zaufanie zleceniodawców. Teraz, mając widoki na uzyskanie dwóch pieczęci, własny domek i maleńką księgarenkę, Agi musiał uciekać z Mirtie razem z setkami mistrzów rękodzieła, artystów, biedaków i kupców, zarządców, kobiet, podrostków i dzieci — z całym tym przestraszonym tłumem, porzucającym w Mirtie pracę i mieszkania. Kiedy stało się wiadome, że flota Złotych poniosła druzgoczącą klęskę, przerażenie skuło miasto i ulice opustoszały. Handlowe i pasażerskie łodzie spieszenie podnosiły kotwice, chcąc znaleźć się jak najdalej od skazanego miasta. Już w ciągu godziny pierwsza partia uchodźców z tobołkami i niemowlętami wysypała się na miejskie cumowisko, a kapitanowie uciekających łodzi zobaczyli szansę dobrego zarobku.

Skryba zapłacił za bilet połowę wszystkich pieniędzy, które zbierał przez piętnaście lat pracy. Na statek „Syta Przyśleпка”, dostarczający do Mirtie olej i mięso, wbiło się tyle ludzi, że burty znalazły się prawie na równi z wodą. Najmniejszy sztorm mógł zgubić łódeczkę; cuchnęło topionym tłuszczem. Skryba siedział na pokładzie, na becze po oleju i pełnym rozpaczy wzrokiem spoglądał na Mirtie.

Szybujące miasto majestatycznie milczało.

Wśród uchodźców nie było ani jednego Złotego. Sami obcy, którzy kiedyś przybyli do tego brzegu w poszukiwaniu szczęścia. Obcy, którzy pół życia stracili na to, żeby stać się pełnoprawnym obywatelem w tym mieście, a teraz, w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, porzucali je jak stary płaszcz.

Marynarz w końcu odwiązał stateczek od cumowiska. Wskoczył na pokład, nastąpił komuś na stopę i zaklął. Opuścili wiosła na wodę, przeciążona łódź ledwie pełzła, przecinając port pełen ludzi i rzeczy, w którym panował nieopisany rozgardiasz. Odpływały żaglowce, podnosząc białe i kolorowe żagle. Odpływały galery, odpływały kołowe czółenka, nabite ludźmi. Lepiej zaryzykować — a co tam, lepiej zginąć w morzu, niż pozostać teraz w Mirtie.

Z lewej strony Agła, jakiś majster dzielił się z towarzyszem strasznymi wieściami — ON nie zna litości, pożera wrogów i pisze na ich skórze historię swoich czynów. Jest Heksem, nie człowiekiem i nie zwierzęciem. Spopiela wzrokiem. Bliski jest koniec świata, nikt przed NIM nie

ustoi, nawet Imperium. Trzeba uciekać, szukać cichego kącika, gdzie ON jeszcze nieprędko dotrze...

Skryba westchnął. Jego książki, jego sklepik! Jego widoki na życie z dwoma pieczęciami! A przecież los go uprzedzał — kiedy pierwszy raz zjawił się w Mirtie, z powodu głupiego przypadku stracił chłopaka, kopistę, który sam jeden wart był tyle, co dziesięciu piśmiennych niewolników. Chłopczyk okazał się Heksem... ON też jest Heksem. Znamienna zbieżność: los dał Agłowi czas, żeby oprzytomniał, a potem przycisnął na dobre.

Na otwartym morzu kapitan zdecydował się postawić żagiel. Stateczek ciągnął się, pozostając w tyle za pozostałymi łodziami, ale jednak płynął, a morze, na szczęście, było spokojne.

Pasażerowie zaczęli głośno rozmawiać, zaczęli nawet śmiać się, niepohamowanie, nerwowo; stracili przecież wszystko, ale żyją, wyrwali się z Mirtie, być może w ostatniej chwili. Los im sprzyja i pomoże szczęśliwie dotrzeć do brzegu...

I nagle, jak na komendę, wszystkie głosy zamilkły. Skryba rozejrzał się. Z porannej mgły wolno wyłaniały się zarysy czarnego okrętu. Na jego dziobie zionął nieprzeniknioną ciemnością jak rozdziawiona paszcza, otwór szerokiej, wygiętej rury. Czarny obłok plątał się w czarnych olinowaniach.

— Cała naprzód! — w rozpaczy zawył kapitan. — Wiosła na wodę! Wiosłujcie wszyscy, jeśli chcecie żyć!

Spieniając morską wodę wiosłami, „Syta Przyśleпка” rwała w ślad za pozostałymi zbiegami. Pstry potok uciekających z Mirtie łodzi płynął przed nosem czarnego okrętu, a ten stał nieruchomo, plamiąc dymem poranne niebo.

— Wszechmogący Imperatorze — powiedział Agi na głos, zapominając o przyzwoitości. — Przełaskawi bogowie, ilu was jest! W czym zawiniłem, za co spotkał mnie taki los?! Niech on nas nie zabija, nie jesteśmy przecież niczemu winni! Niech on nas nie zabija!

* * *

Razwijar opuścił lunetę. Statki, unoszące na swych pokładach uciekinierów, przepływały obok. Wszyscy, którzy latami dopraszali się prawa do życia w błogosławionym Mirtie, teraz wyrzekli się tego prawa jednocześnie.

— Podarek pyta, czy może już wyjść — zapytał Łuks.

Razwijar milcząco pokiwał głową.

Od walki minęły trzy doby. Martwych oddano morzu. Spalone statki pozostawiono dryfowi wedle woli wiatru i pływów. Długo jeszcze straszyły podróżników i rybaków, dopóki wraki nie poszły na dno albo nie zostały wyrzucone na brzeg. Rannych odprawiono z powrotem do Fier na łodziach, które były zdadne do pływania, ale nie nadawały się do nowej bitwy. Glen, były niewolnik i były szpieg, obecnie przez wszystkich szanowany lekarz, ratował teraz wyrywając nierzadko śmierci ugodzonych mieczami, pokłutych strzałami, w pół uduszonych w dymie ludzi.

Cały ten czas Podarek siedział w kajucie pod surowym nadzorem. Najpierw się złościł, krzyczał i żądał, żeby go wypuszczono, w gniewie ciął swoimi mieczami poduszki i obicia ścian. Później, kiedy zaczął się bój, kiedy zawibrował korpus „Skrzydłaka” od ognistej pracy w ładowni i doniosły się z zewnątrz pierwsze krzyki zagrzewające do walki i pierwsze jęki rannych — Dar ucichł.

Siedział bardzo spokojnie, kiedy walka się skończyła. Nie widział ani płonących statków, ani leżących za burtę ciał. Powróciwszy ze spotkania z podadmiralem, Razwijar zszedł do kajuty, do chłopca, który, napotkawszy jego wzrok, cofnął się.

Na ubraniu władcy nie było ani jednej kropli krwi. Umył się i przebrał przed spotkaniem z Galagarem. Jego włosy, przygładzone grzebieniem, równo okalały twarz. Ale Podarek patrzył z przerażeniem i Razwijarowi przypomniał się zatrwożony wzrok podadmirala.

Objął malca niemal siłą. Przyciągnął do siebie. Potrzebował czuć coś ciepłego i żywego, zdolnego bać się i cieszyć. Prawie godzinę nie wypuszczał chimajryda z rąk, trzymał go, gładząc po kosmatym grzbiecie, po jasnych, falujących włosach, słuchając przestraszonego bicia jego serca. Ten chłopiec jest żywy i cały. Żywy, cały i ukochany; obejmując Podarka, Razwijar powoli wracał do siebie, stając się prawie takim, jakim był wcześniej.

Jaki był do dnia pierwszej ofiary? Kim on był?

Pamiętał każdą minutę swojego życia i mógł ją przeżyć na nowo. Odtwarzał myśli i uczucia wszystkich ludzi, z którymi stykał go los. Rozumiał prawdziwy sens ich słów i decyzji. „Chcesz? Uciekniemy? Jestem takim samym niewolnikiem jak ty. Nocą pójdziemy przez góry. Chcesz?”. „Ty... nie mów tak. Nie kłam. Nie można uciec przez góry! Tylko jedną drogą, a tam są patrole...”. „Ja biegam szybciej...”

Widział biały obrus, cały w czerwonych plamach. Pusty stół ze szlachetnego drewna, na którym chwilę wcześniej leżał jego umierający syn. Ostatnia ofiara dla Miedzianego Króla. I spadające nieszczęście, i świadomość, nowa świadomość siebie i życia wokół. I morze z okrętami, niby czasza fontanny z pływającymi skorupkami orzecha. I zrozumienie, jasne jak czyste ostrze klingi, wypełnia go całkowicie.

Jasno rozumiał, co sobą przedstawia, co zrobił i co zrobi jeszcze. Widział świat przepelniony kolorami, dźwiękami, znał cudze zamiary, jak ślepiec czuje nierówność podłogi podszwami bosych stóp. Jeszcze jeden krok i zrozumie, dowie się w końcu, kim jest Miedziany Król i w czym tkwi sens narodzin każdego stworzenia, i do jakich bogów należy się modlić. Co znajduje się tam, za horyzontem ludzkiego poznania i dalej — za kręgiem skałego wyobrażenia, i jeszcze dalej, gdzie skrywa się, spoczywając na miedzianym tronie istota rzeczy.

Istota rzeczy.

Zrozumienie paliło i czyniło szczęśliwym zarazem. Razwijar obejmował Podarka; zdawało mu się, że obejmuje Imila, ciepłego i żywego. „Dla prawdziwego mężczyzny jedynym świętem jest wojna...”.

Jego syn stał się pierwszym człowiekiem, którego oddał Miedzianemu Królowi. Wiedział, że coś takiego jest możliwe, od dawna to wiedział, już od tej nocy, kiedy zawisła nad nim ręka władcy i drżący szept — ile w głosie tym było chciwości, nieutulonej namiętności i zniecierpliwienia! — wyszeptał w ciemności: „Miedziany Królu, Miedziany Królu...”.

„Dla prawdziwego mężczyzny jedynym świętem jest wojna”. Co on tam wiedział, nieszczęsny pastuszek, co on wiedział, zanim na przekór zakazowi chwycił nóż i ruszył do walki?

Nikt z tych, którzy składali ofiary, nie przeszedł tej drogi do końca. Razwijar uświadomił to sobie tak samo wyraźnie, jak widział kiedyś żyłki liści. Na końcu drogi odnajdzie pełną wolność i pełne zrozumienie. Nikomu nie udało się dostać do miedzianego tronu, ponieważ nie było już czego składać w ofierze. Tracili zmysły, dlatego że tron był obok, tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Umierali dlatego, że nie mieli czego oddać. A Gejl, wielki muzyk umarł i nie stał się doskonały.

Inna sprawa Razwijar.

Wzdrygnął się od tej myśli. Uczucie wolności i potęgi, które zostało mu dane dzięki ofierze, powoli blakło. Jego duszę poruszył pierwszy niejasny niepokój.

— Nie, nie, nie — wymamrotał na głos. Podarek dawno już spał na jego rękach — spał, wzdragając się i mamrocząc we śnie.

Ile ofiar zostało do Miedzianego Tronu? Jedna? Dwie? Ale jeśli osiągnę *takiego* zrozumienia... I *takiej* władzy — nie nad ludźmi, ale nad samą istotą rzeczy...

Oszukiwanie samego siebie. Potworne omamianie.

Siedział, obejmując śpiącego chłopca, jakby chcąc znaleźć w nim ocalenie, kiedy przyszła Jaska. Usiadła naprzeciwko, hipnotyzując nieruchomymi, suchymi oczami:

— Jesteś zadowolony?

— Zwyciężyliśmy. Idziemy na Mirtie.

— Jesteś zadowolony?

— Tak. Dziękuję Wasza wysokość. Umiesz tańczyć? Urządzimy bal w Pałacu Dostojnych.

Nozdrza Jaski silnie się rozděły.

— Zatańczymy razem, mój panie. Tylko, żebyśmy się nie poślizgnęli.

* * *

„Sytą Przysłopką” odpływała coraz dalej. Kopista drugiej kategorii, Agi, siedział na beczce po oleju, patrząc, jak wolno skrywa się we mgle widmowy kontur czarnego okrętu. Jego wargi drżały, a do oczu napłynęły łzy wdzięczności, za jeszcze jedną łaskę losu.

Małeńka łódź, z wyglądu bardzo przeładowana, płynęła na wiosłach, w każdej chwili grożąc nabraniem wody i katastrofą. Razwijar znowu podniósł lunetę do oczu — tak, dokładnie, to „Sytą Przysłopką”. Nabita jak beczka ze śledziami...

— Szczury — powiedziała Jaska z obrzydzeniem. — Chcesz ich utopić?

Władca patrzył, jak bezładnie, niespokojnie spieniają wodę krótkie, grube wiosła.

— Tylko rozkaz — kobieta uśmiechnęła się dziwnie. — Wystarczy lekko trącić...

Za jej plecami pojawił się Podarek, szedł niepewnie po pokładzie, na uginających się łapach. Spojrzał na Razwijara — pytająco i ze strachem. Odwrócił oczy.

— Dzisiaj pod wieczór będziemy w Mirtie, Dar. To najpiękniejsze miasto na świecie.

— Aha — wybąkał Podarunek Po Klęsce, patrząc w dół. Władca ucieszył się, że pokład został dobrze wyczyszczony po tych trzech dniach.

— Zostaw ich — Razwijar odprowadzał wzrokiem „Sytą Przysłopkę”. — Niech płyną.

Wyspa sterczała spod wody niczym grzbiet zdechłego potwora przebitego kościanym harpunem — latarnią morską. Brudnobiałą wstęgą uderzał przybój. Jak dawniej, w tym samym miejscu stała „chata” z wielkiej dwuskrzydłowej muszli. Warstwa sadzy i popiołu na jej „dachy” uczyniła ją prawie nie do odróżnienia od czarnych kamieni leżących wokół. Obecny gospodarz wyspy, który zastąpił szalonego Latarnika, albo wcisnął się w jedyną na wyspie kryjówkę, albo przepadł, uciekł, utonął. Wyspa okazała się pusta. Razwijar długo obserwował ją przez lunetę.

Jego przeszłość biegła przed nim jak cień wędrowca, idącego z rana na zachód. Zdawało się — jeszcze jeden wysiłek i wymykającą się prawdę będzie można dogonić. Przed oczami przetaczały się niczym na garncarskim kole: kawałek chleba z brązową błyszczącą skórką — pamiętał jej zapach. Ogarek świecy — pamiętał swój strach przed ciemnością. Niedoczytana księga — „Podróż na Osi Nos”. Drewniana skrzyneczka w kształcie wiewiórki, skrywająca dwa pasma włosów, matki i niemowlęcia. Klingi do walki w parze — prezent od Łuksa... Srebrzysty medalion... Umierający chłopiec...

Mirtie wznosiło się na horyzoncie. Najpiękniejsze na świecie, szybujące nad morzem miasto.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wczesnym wieczorem żaglowiec „Skrzydłak” wpłynął na przybrzeżne wody portu Mirtie. Za okrętem flagowym, odrobinę zostając w tyle, podążał „Puzan”; „Szczypawka” prawie całkowicie spłonęła. Żółć dwugłowej żmii zawiodła, w wirze walki na statku wybuchł pożar. Piękny żaglowiec trzeba było porzucić, a ocalałych ludzi przyjąć na ocalały jedyny podflagowy okręt. Teraz wszyscy zdrowi i ranni, wysypali się na pokład; port był czysty a na redzie nie było widać ani jednego statku.

Latające Miasto unosiło się, nie dotykając zupełnie ziemi. Delikatna mgiełka otulała port i jego najbliższe rejony. Nad nimi rozpostarły się wdzięcznie wygięte turkusowe i różowe łuki mostów oraz cienkie ściany portowych budynków. Ażurowe budowle wieńczyły oślepiająco białe wieżyczki, a delikatne iglice, niczym palce, wodziły po cienkiej warstwie obłoków nad miastem. Przy centralnym cumowisku stał podadmiralski okręt z opuszczoną złotą chorągwią.

Pachniało spalenizną. Każdy kawałek poszycia, każda deseczka na „Skrzydłaku” przesiąkła zapachem gryzącego dymu i spalonych statków.

— Czy mamy przygotowywać się do walki? — cicho zapytał Łuks.

— Nie trzeba.

Bez patrzenia Razwijar poczuł, jak zadrżała skóra na grzbiecie Nagórena. Jeździec powiedział swoje słowo i chimajryd nie śmiał niepokoić go swoimi wątpliwościami; ludzie podobni do Łuksa zawsze sądzą po sobie. Powiedz mi, czego spodziewasz się po pokonanym wrogu, a ja powiem ci, kim jesteś...

— Na ich miejscu stawiałbyś opór? — zapytał towarzysza.

— Oczywiście.

— A kobiety? Dzieci? — Razwijar niby przypadkiem spojrzął na Podarka. Chłopak odszedł na bok, oparł się łokciami o burtę i patrzył na szybujące miasto, jakby chciał przyciągnąć je wzrokiem.

— Tak — chimajryd ściszył głos. — Ja... wolałbym, żeby mój syn umarł, niż dostał się żywy w ręce wroga.

— Tak walczą Nagóreni.

— Przecież nie wyrzekłem się swojego plemienia. Bywało, że walczące klany wymierały do ostatniego człowieka. To honor — zginąć w walce i przenieść się na Zieloną Równinę, gdzie wiecznie świeci słońce. Gdzie chodzi piechotą mój brat, Szybki Tancerz — chimajryd ni to uśmiechnął się, ni to kaszlnął.

— A gdyby wróg obiecał twojemu synowi wolne życie?

— A kto wierzy wrogowi?

Zamilkli. Nad Mirtie wisiała cisza, oprócz plusku wiosel i szumu wiatru, nie było słychać ani jednego dźwięku. Wolno, majestatycznie „Skrzydłak” zbliżał się do miasta, a ono wyrastało w górę i w dół; odbicie bukszprytu zlało się na wodzie z odbiciem najwyższych iglic.

— Tak blisko nigdy do niego nie podchodziłem — przyznał się Razwijar. — To cudo, prawda?

Łuks nie odrywał lunety od oczu. Wypatrywał wsparcia w porcie. Szukał przyczajonych łuczników, metalowych maszyn, zapory u wejścia do portu.

— Zawołajcie Podarka — powiedział władca. — Niech popatrzy na to piękno.

Jaska milczała, odchyliwszy w tył głowę, patrzyła na rozplywające się czerwieniami niebo zachodzącego słońca.

— Jesteś pewien, że to bezpieczne? — cicho zapytał Łuks.

— To całkowicie bezpieczne — głębokim głosem odezwała się kobieta, cały czas patrząc w niebo. — Słuchajcie.

Do „Skrzydłaka”, zbliżającego się do portu, dochodziły delikatne dźwięki strun.

* * *

Rozstąpiła się mgła, ukazując linię brzegową i okazało się, że szybujące miasto jednak stoi na ziemi. W miejscu, gdzie na przybrzeżnym pasie Fier plątały się wąskie, przyportowe uliczki, a na brudnych składowiskach zalegały góry beczek, skrzyń i śmierdzący stosy odpadków, mieszkańcy Mirtie urządzili nadbrzeżne biało-różowe marmurowe bulwary i zielone parki, zbiegające prosto do wody.

Szalupa, ominąwszy podadmiralski okręt, zbliżała się do Cumowniczych Schodów — paradnej bramy miasta. „Skrzydłak” i „Puzan” zostały w porcie, nad ich rurami powoli unosił się dym. Pas wody między schodami a szalupą, stawał się coraz węższy, coraz cieńszy. Morze dyszało unosząc i opuszczając łódkę, podnosząc się w górę na dwa schodki i staczając się strumieniami ze stopni. Na wodzie i marmurze błyszczało zachodzące słońce.

Głos morza, cichnące ducie wiatru i dźwięk strun. Razwijar patrzył, jak schody zbliżają się i bezgłośnie poruszał wargami.

— Co ty mówisz? — ostrym tonem zapytała Jaska.

— „Ani stopą... Heks nie skala Mirtie ani oddechem, ani dotykiem...” — dziwnie się uśmiechnął.

Na stopniach schodów stali ludzie, odziani w czerń. Wszystkich było dziesięciu, może dwunastu. Marynarze opuścili wiosła, spowalniając ruch. Łódka zatrzymała się przy kole cumowniczym i na jej burcie legł trap z jasnego drzewa. Oczekujący stali ze spuszczoneymi oczyma.

— Pójdiesz? — z niedowierzaniem zapytał Łuks.

Razwijar wszedł na trap. Pięć kroków, szósty — wstąpił na Cumownicze Schody.

Stał na brzegu Mirtie. Ot i wszystko.

Muzyka stała się głośniejsza. Ciemni ludzie stali stłoczeni w ciasną gromadkę — przybici zgrzyotą starcy, ostatnimi siłami starający się zachować godność. Władca kamiennego zamku nie od razu poznał wśród nich podadmirala — jego złote włosy były teraz całkowicie białe.

— Jesteśmy członkami Rady Dostojnych — bezbarwnym głosem powiedział wysoki, wzrostu Razwijara, Złoty. — Twoje żądania zostały spełnione. Czego chcesz jeszcze?

— Wiele lat temu odmówiono mi prawa odwiedzenia Mirtie — ruszył do przodu, z rozkoszą czując, jak pewna jest ziemia pod nogami. — Teraz mam prawo liczyć na gościnność: stół, krew, radość, muzykę. Chcę, żeby szybujące miasto stało się małą ojczyzną dla biednego, wcześniej osieroconego Heksa.

Ani jeden z Dostojnych nie mógł wytrzymać jego wzroku. Razwijar wiedział i widział, co działo się w ich duszach, nawet kiedy starali się ukryć przed nim twarze.

Możliwe, że zapragnę pogawędzić z każdym z was po przyjacielsku, poufnie, ale to potem, kiedy odpocznę i rozerwę się. Moje statki zostaną w porcie, postarajcie się, żeby głupi krok jakiegoś zdrajcy nie zmarnował wam życia, Dostojni. Strzelić do mnie, znaczy zabić Mirtie. Otruć mnie, znaczy zgubić szybujące miasto... Teraz chodźmy. Chcę popatrzeć, jak żyją w Mirtie honorowi goście.

* * *

Białe uliczki portu były ozdobione posągami, wyobrażającymi marynarzy, rybaków i wojowników; barczystych, obnażonych do pasa. Razwijar kroczył, oddychając pełną piersią i rozglądając się na boki. Wzdłuż ulic stali, otuleni w czerń, milczący ludzie — głównie kobiety i młodzież. To przybliżając się, to oddalając, dźwięczały struny skrzypiec.

— Opowiedz mi o porcie, Galagar. Każdy patriota zna tyle historii o rodzinnym mieście, że obcemu nawet się nie śni... Przykro iść po tych ulicach i nie wysłuchać o nich objaśniającej opowieści.

— Nie jestem gawędziarzem — rwącym się głosem powiedział podadmiral. — Jestem żołnierzem.

— Szkoda — władca uśmiechnął się krótko. — Panowie, kto opowie ciekawskiemu Heksowi o budowie portu Mirtie?

Dostojni milczeli.

Razwijar zatrzymał się. Obok niego zatrzymali się Jaska, Łuks, Tari-Koło i półdziesiątka zaufanych żołnierzy ze „Skrzydłaka”.

— Nikt nie opowie? A może nie za bardzo znacie historię rodzinnego miasta?

Człowiek, trzymający się z boku głównej grupy Dostojnych, był strasznie spięty. W jego rękawie krył się zapewne sztylet — Razwijar ustalił to po jego trochę skrępowanej pozie. Nozdrza Jaski drgnęły. Uprzedzając jej słowa, Razwijar położył rękę na jej ramieniu:

— „Port był wybudowany z marmuru wydobytego na Złotej Górze, jedyne na świecie kamieniołomu, dającego tak trwałe i piękny kamień. Słoneczne ulice przeplatają się z zacienionymi: od Cumowniczych Schodów do placu przed Pałacem Dostojnych można przespacerować się wzdłuż zalanych światłem balustrad, a można, chowając się przed skwarem, przejść pod łukami z poprzeplatanych kwiatów i lian. Każdy z pięciu tysięcy posągów, ustawionych w porcie ma swoją legendę i przeznaczenie...”

Obejrzał się, napawając widokiem ich zaskoczonych twarzy.

— Kocham to miasto, panowie Dostojni i przeczytałem wszystkie księgi o nim, jakie tylko mogłem dostać... Dlaczegoż milczycie, panowie? Chodźmy dalej, jestem rozczarowany waszą gościnnością. A propos — jak dawno od ostatniego razu na przepięknych placach Mirtie zdarzyły się publiczne kaźnie?

* * *

Mężczyźni i kobiety w czerni patrzyli na niego z okien, z mostów, stojąc na trotuarach. Szedł niespiesznie, często się zatrzymywał i Dostojni zmuszeni byli zatrzymywać się także. Rozkoszował się grą światła na turkusowych i srebrzystych mostach, zadzierał głowę, żeby pooglądać także wysokie złote iglice. Mirtie kwitło, zachodziło słońce i zapalały się pierwsze latarnie — wzdłuż mostów ciągnęły się ich perłowobiałe, zielonkawoniebieskie, ciepłopomarańczowe łańcuchy.

Razwijar wyszedł na plac przed Pałacem Dostojnych w tym czasie, kiedy podświetliła się fontanna stojąca w samym jego centrum. Wodotrysk wyobrażał Mirtie ze wszystkimi basztami i światłami. Woda migotała, podświetlona od wewnątrz dużymi świetlikami. Strugi mieniły się tęczo.

— Piękne — powiedział Łuks, który od momentu wyjścia na brzeg nie wyrzekł ani słowa.

— Zmęczyłem się — oznajmił władca. — Gdzie moje apartamenty?

* * *

Żegnając się z Dostojnymi, nieoczekiwanie wziął za łokieć człowieka ze sztyletem. Poczul kamienne, spięte skurczem mięśnie pod rękawem aksamitnej kurtki.

— Drogi przyjacielu, osierocony w dzieciństwie Heks chce z tobą pogawędzić właśnie teraz. Panowie, członkowie Rady, nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli na chwilę zatrzymam pana... nie mieliśmy przyjemności być sobie przedstawieni.

— Dostojny Ilimar — członek rady — szybko oznajmił wysoki Złoty, który jako pierwszy odezwał się na portowych schodach. Człowiek ze sztyletem nie ruszał się, jakby cały skamieniał.

— Wspaniale — Razwijar kiwnął na Jaskę. — Chodź ze mną.

We trójkę weszli do komnaty pałacu, umeblowanej bez nadmiernego przepychu, ale ze zdumiewającym smakiem. Mag przymknęła wysokie rzeźbione drzwi. W komnacie stał nakryty odświętnie stół. Mirtie tradycyjnie służyło się rybnymi potrawami. Na środku wznosił się maleńki zamek, w całości wyrzynięty w lodzie, podświetlony od wewnątrz płomykami świec; jego ściany, spadziste dachy i baszty zwieńczone były mięczakami, wielkimi i małymi, różowymi i białymi. Na lodową iglicę nad głównym budynkiem nadziany był ośmionóg z idealnie złożonymi szczypcami. Wokół zamku ciągnęło się siedem fos, gdzie bulgotały rozmaite sosy.

Razwijar przesunął po stole obojętnym spojrzeniem, przeszedł się po komnacie, studiując kominek, krzesła, podłogę z wielu gatunków drewna, wiązkę wzorów na suficie. Jaska stanęła przed stołem, rozdymając nozdrza. Dostojny Ilimar stał, bez ruchu przy drzwiach, a broń paliła mu rękę.

— Bardzo cię szanuję — Razwijar pociągnął za jedwabny sznur i aksamitne zasłony rozsunęły się, odsłaniając witrażowe okno. — Dlatego, że gdybyś poddał się impulsowi i rzuciłbyś się na mnie na ulicy... Przecież nie bez powodu pytałem o publiczne kaźnie. Wiesz, co Heksi robią z wrogami?

Ilimar rozciągnął wargi:

— Jestem gotów umrzeć tak, jak podpowie ci twoja fantazja, ludożerco. Tylko czy ta śmierć przyniesie ci zadowolenie?

— Rzuć to na podłogę — nagle rozkazała Jaska. — Ja wszystko widzę!

Ilimar zawahał się. Podciągnął rękaw. Upuścił na podłogę nie sztylet, jak sądził Razwijar, a nóż, piękny, wyważony nóż do miotania. Ostrze wbiło się w drewnianą posadzkę. Wystarczyłby jeden celny rzut, mimochodem pomyślał Razwijar. Tam, w porcie, albo potem na ulicach, albo na placu.

— Słynna zabawka — zatrzymał się przed lodowym stołem. — No, cóż... Wolałbym coś bardziej sycącego, ale na razie niczego więcej nie ma... Przynajmniej mogę się napić.

Nalał sobie i Jaśce pieniącego się „aramera”; brak służby nie dziwił go i nie oburzał. Złotym niełatwo jest usługiwać przy stole nawet półkrowiakowi, a Razwijar nie miał zamiaru nadwierać ich cierpliwości na darmo.

Po namyśle nalał cudownego napoju do trzeciego kielicha — dla Ilimara. Ten nie ruszył się z miejsca. Stał, opuściwszy ręce, spoglądając na Heksa spod jasnych niczym łan zboża, brwi.

Razwijar wolno przełknął. Cierpki zapach rozgrzał podniebienie. Zdawało się, że spływająca ciecz wlewała się od razu do żył.

— W Radzie głosowałeś za oporem, Ilimar — smakował napój łyk za łykiem.

— Tak — Złoty wyprostował się.

— Ale okazało się, że byłeś w mniejszości.

— Tak.

— I podporządkowałeś się decyzji Rady, ale jej nie przyjąłeś.

— Tak...

— I stchórzyłeś w ostatniej chwili.

Ilimar cofnął się.

— Tak.

Razwijar pochylił się nad stołem, przyglądając się morskim stworzeniom, uśmierconym i jeszcze żywym, ozdabiającym sobą lodową rzeźbę.

— A to co? Czcigodny Ilimarze, czy to ostrygi?

Złoty zaciął się. Bardzo chciał dumnie milczeć.

— To „łzy smoka”. Występują głęboko na dnie, w ładowniach osiadłych wraków. Ostry smak, niezwykle odżywcze...

— Bardzo niebezpieczne do zdobycia — cicho dodała Jaska. — Z dziesięciu poławiaczy do starości dożywa dwóch. Każda „łza” jest warta tyle, co mały statek...

Razwijar nakłuł bezwolne ciało mięczaka na dwuzębny widelec. Zanurzył w sosie. Zobaczył, jak przez twarz Ilimara przebiega skurcz, zapewne „łzy smoka” należało jeść inaczej.

— Dziwny smak — przeżuając, władca dolał sobie jeszcze „aramera”. — Nie podoba mi się, panie, wolałbym piezzonego człapacza... Dostojny Ilimarze, wiedziałeś od Galagara, że opór jest bezsensowny. I że już pierwsza salwa zakończy się dla was całkowitym pogromem, śmiercią waszych dzieci. I mimo to głosowałeś za oporem?

Ośmionóg, leżący na szczycie lodowego zamku, patrzył mętnymi, zdrętwiałymi oczami.

— Jeśli nie ma możliwości żyć, trzeba godnie umrzeć — wyszeptał Złoty. — Choćby w walce, choćby na szafocie.

— Jak te morskie zwierzątka?

Złoty zakasłał, starając się ukryć grymas nienawiści.

— Obiecałem być wielkoduszny — powiedział Razwijar innym tonem, poważnie. — Nie wierzysz mi?

— Wierzyć Heksowi? Uśmieć się można. Jeślibym nie stracił głosu, dowodząc tymi tchórzami... — Ilimar zaciął się.

Władca kiwnął głową.

— Zbyt długo żyliście w złotym spokoju. Byliście dobrzy i cierpliwi dla siebie nawzajem. Dobrzy ludzie z całego zamieszkanego świata zbiegali się do was, gotowi nająć się do każdej pracy, żeby tylko pozwolono im tutaj żyć. Mam rację?

Złoty podniósł na niego nabiegłe krwią oczy:

— Tak.

— Jedliście apetyczne mięso, które ubijał za was ktoś inny... À propos, podadzą mi dzisiaj mięso? Nie te martwe morskie mięczaki, a prawdziwe, krwiste mięso?

— Czyje? — cicho zapytał Ilimar.

Długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Jaska małymi łykami piła „aramer”. W końcu Razwijar się uśmiechnął:

— Zdajesz mi się odważnym człowiekiem, Ilimarze. Dlaczego mnie nie zabiłeś, chociaż miałeś taką możliwość?

Dostojny milczał.

— Odpowiedz na pytanie. Chcę to wiedzieć.

— Nie odważyłem się.

— Przestraszyłeś się zemsty? Co jeszcze?

— Nie odważyłem się.

— Rozumiem.

Razwijar znowu podszedł do okna. W witrażu były wbudowane lusterka i soczewki. Nawet teraz, nocą, gra światła i cieni cieszyła oczy. Władca kamiennego zamku gwałtownie rozepchnął okiennice i znowu zobaczył Mirtie w dole — łańcuchy ogni, biegnące po mostach, wysokie gwiazdy na iglicach, ledwie, ledwie pobłyskujące morze w oddali. Widział jednocześnie i miasto, i komnatę za plecami i widział siebie oczami Złotego i oczami Jaski. Wyraźna świadomość tego, co się dzieje i tego, co nieodwołalnie wydarzy się bardzo szybko, była podobna do bijącego w twarz ostrego światła. Zasłoniłby oczy ręką, gdyby tylko mógł odgrodzić się od tego oślepiającego blasku.

— Odejdź, Dostojny Ilimarze. Termin i rodzaj waszej karni omówimy później.

* * *

Jego pościel była zarazem idealnie miękka i odpowiednio szorstka. Z otwartego okna wiało morskim powietrzem, czystym, bez zapachu spalenizny. Cykały nocne owady, szeleściły liście, a nad ogrodami unosił się aromat kwiatów. Zdawało się, że skazane Mirtie chce zapaść w pamięć obcemu w swoim najjaskrawszym, świątecznym wyglądzie.

To nie głód i nie pragnienie. To nie ból i nie duszność. To wszystko naraz i o wiele gorzej, ponieważ istnieje jeszcze świadomość, jasne pojmowanie tego, co się z tobą dzieje. Zaczyna się powoli i ani trochę nie przeraża. Krok po kroku, od ofiary do ofiary, od ołtarza do ołtarza, głupi chłopiec, niewolnik, nie zdawał sobie sprawy, jak wiele daje mu Miedziany Król. Mógłby zapomnieć o słowach starca, ale nie zapomniał. Przypadek? Ciemny instykt?

Jaska także nie spała. Chodziła po komnacie, ciągnąc za sobą po dywanie długi, kwiecisty pled. Na widok nocnego gościa uniosła głowę wysuwając podbródek:

— Po co przyszedłeś?

Podszedł do niej bardzo blisko. Pachniało od niej spalenizną; wyraźny zapach, chociaż wymyła się do czysta i całkowicie zmieniła ubranie.

— Czego potrzebujesz, Razwijar?

— Nadal myślisz, że lepiej by było, gdybym utonął? — zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie. — Naprawdę tak myślisz?

Położył dłonie na jej ramiona. Na jej ostre, ciepłe, lekko drżące...

Strąciła jego ręce. Odeszła w odległy kąt.

— Nie mogę teraz z tobą rozmawiać.

— Co się zmieni później?

— Zostaw mnie w spokoju. Chcę być sama.

— Chciałem... Posłuchaj, muszę komuś powiedzieć.

— Odejdź. Nie mogę cię teraz widzieć.

— Rozumiem.

Wyszedł, minął straż przy drzwiach i zatrzymał się pośrodku wewnętrznego dziedzińca, ozdobionego, jak to przyjęte było u Złotych, fontanną. Lekkie, nocne powietrze stanęło mu gulą w gardle. Jeszcze jeden wysiłek... Dojść, wnieść się, złapać wreszcie to, co wiecznie się wyslizguje. Pajda chleba z brązową, błyszczącą skórką... Ogarek świecy... Książka... Wiewiórka... Klingi... I dalej, i dalej — umierający Imil, i dalej — Łuks, i jeszcze dalej — Jaska, jeszcze dalej — szybujące miasto, i dalej, i dalej...

Mrok.

* * *

Na drugi dzień ze „Skrzydłaka” przyplłynął do miasta Podarunek Po Klęsce. Chłopiec odczuwał napięcie wiszące w powietrzu, ale cuda, jakie objawiły się przed jego oczami, pozwoliły mu zapomnieć o skrępowaniu i strachu. Zgodnie z rozkazem Razwijara, chimajryda umieszczono w apartamentach w sąsiedztwie jego własnych i Podarek, szeroko otworzywszy okno, rozkoszował się widokami placu, portu, iglic z dzwonami i wiecznie kwitnących sadów.

Łuks nie odstępował syna na krok, chodził za nim po pałacu, nie zdejmując dłoni z rękojeści mieczów i zmusił go, żeby od rana do wieczora nosił kolczugę.

Tymczasem miasto, które przeżyło już traumę klęski i wkroczenia agresora Heksa, powoli przychodziło do siebie. Wolno otwierały się sklepiki. Pojawiali się na ulicach ludzie, jak przedtem odziani w czerń, ale zajęci spokojnymi, powszednimi pracami. Razwijar wyczekiwał. Każdego dnia wzywał na rozmowę kogoś z Dostojnych, każdego dnia dokonywał niewielkich wypadów; a to spacerował po starych ulicach, a to zwiedzał rynek albo warsztaty. Mirtie nie miało wystarczająco rąk do pracy. Ci, którzy zazwyczaj wozili węgiel i wydobywali kamienie, myli naczynia w zajazdach i zamiatali ulice, uciekli z miasta. Złote kobiety, zakrywając chustkami siwiejące włosy, z godnością brały się za najcięższą pracę. Razwijar przyglądał się im, wcale się z tym nie kryjąc.

Żołnierze i marynarze z jego statków pragnęli odwiedzić szybujące miasto. Posyłał im tymczasem wielkie ilości wytrawnych potraw i drogich win, ale na brzeg nie wpuszczał. Mirtie potrzebne mu było nietknięte, dziewicze.

* * *

— Jutro mam zamiar wybrać się z pielgrzymką na Złotą Górę. Nie potrzebuję przewodników tylko niezawodnej mapy. Dzisiaj pragnę się zabawić, rozerwać, chcę urządzać niewielki bal dla swoich... Przyślijcie muzykantów.

Siedział w Sali Rady na miejscu przewodniczącego. Dostojni usadowili się przed nim w wysokich rzeźbionych fotelach. Widział zwrócone ku niemu twarze, kiedyś smagłe, a teraz zastygłe, woskowe.

— Potrzebne mi są także kobiety. Mnie i moim ludziom. Nie nalegam, żeby to były wasze siostry i córki, panowie Dostojni. Chociaż, jeśli nie będzie innego wyjścia, przyjmiemy i tę ofiarę.

Ściany sali szły strzeliście ku górze. Wysoko, aż do zawrotów głowy, pod sklepieniem grały, przeplatając się, cienkie słoneczne promienie. Sala mogła pomieścić tysiąc ludzi. Ściany ozdobione były mozaikami, a w oknach pyszniły się witraże. W kamiennych donicach rosły drzewa, przekształcając daleki koniec sali w las, a na ich gałązkach siedziały ptaki, podobne do miniaturowych skrzydłaków i czyściły pióra.

Sala była pusta, jeśli nie liczyć dwunastu skamieniałych z rozpacz i poniżenia Dostojnych. I Razwijara w wysokim fotelu przed nimi.

* * *

Zastał Podarka w jego komnacie, mały chimajryd leżał na podłodze, a przed nim wznosiła się wieża z klocków i stały w szeregach setki figurek z szarego metalu. Figurki wyobrażały żołnierzy: władających mieczem, pieszych z włóczniami, kuszników.

— Witaj, Dar.

Chłopczyk skoczył na cztery łapy:

— Dzień dobry... Przekleństwo zostało zdjęte, Razwijar.

— Przekleństwo zostało zdjęte — położył dłoń na głowie Podarka i poczuł, jak ten spina się w odpowiedzi na jego dotyk.

— Boisz się mnie?

— Nie... co ty, Razwijar?

— Przyjacielu, nie będę cię za nic rугać... Dlaczego się mnie boisz?

Podarek nie odpowiedział na jego uśmiech. Patrzył w dół na ołowiane figurki.

— Gdzie dzisiaj byłeś? — zapytał władca, zmieniając temat.

— Tutaj, w pałacu, w lewym skrzydle, jest szkoła dla chłopców... Dla Złotych.

— Naprawdę?

— Teraz nie mają zajęć. Tylko kilku nauczycieli i jeden uczeń, który nie ma gdzie odjechać... Jest sierotą.

— Tak bywa.

— Dał mi pobawić się żołnierzami... Wiesz, on nigdy nie widział chimajrydów, tylko o nich czytał.

— A propos, jest tam biblioteka?

— Ogromna. Razwijar... bardzo mi się podoba to miasto.

— Mnie także. Mówiłem ci, to najpiękniejsze...

— Nic nie będziesz z nim robił? Z nimi?

* * *

— Biblioteka składa się z dwóch działów. Pierwszy, to książki napisane przez Złotych dla Złotych... i dla reszty świata. Drugi, to barbarzyńskie książki, które, zdarza się, zawierają w sobie ciekawe informacje, niezwykle obrazy...

— Dajecie uczniom do czytania barbarzyńskie książki?

Złoty stał przed Razwijarem wyprostowany i wyniosły, a biały okrągły kołnierzyk podpierał jego podbródek.

— Dajemy uczniom czytać te książki, które zaliczamy do potrzebnych... które są dla nich pożyteczne i przyjemne.

— Czytacie w języku Niemego Narodu? Złoty zająknął się ledwie zauważalnie.

— Nie. Do tej pory nie było takiej potrzeby.

— A w języku Heksów?

— Heksi piszą w powszechnym języku, fatalnie zniekształconym.

— Zgadzam się — Razwijar się uśmiechnął. — I do tego piszą swoje hymny na skórze wrogów.

Złoty gwałtownie wciągnął powietrze. Był blady, dziwnie blady jak na swoją rasę. Może dlatego, że większą część życia spędził pod dachem za biurkiem?

— Pokażcie mi barbarzyńskie książki.

— Wszystkie?

— Wszystkie.

Biblioteka była, jak i całe Mirtie, przestronna, wygodna, bez zwyczajowej pajęczyny pajaków Cza. Razwijar szedł korytarzem w ślad za wyniosłym Złotym. Kiedyś, strasznie dawno temu, szedł tak samo, pośród ksiąg w ślad za przewodnikiem, któremu pozostało mniej niż trzy doby życia. Był wtedy młody i pomiędzy jedną a drugą ofiarą składaną Miedzianemu Królowi mijały

wieki, tysiąclecia i nie było ani narastającego niepokoju, ani doprowadzającej do szaleństwa pewności — wszystkie tajemnice świata odkryją się teraz, trzeba tylko przekroczyć siebie, dokonać ostatniego wysiłku...

— To tutaj — powiedział bibliotekarz.

* * *

Muzykanci byli bardzo młodzi. Dziewczyna około osiemnastu lat i chłopiec, zapewne jej młodszy brat. Grali zgodnie, zapewne całe dzieciństwo spędzili na ćwiczeniach; grali poprawnie, doskonale technicznie, ale bez zapału. Przepęlniała ich bowiem nienawiść. Instrument dziewczynki miał osiem strun, cztery wysokie i cztery basowe. Chłopiec grał na dwunastu strunach. Jego palce bezbłędnie poruszały się po włosiu naciągniętym nad gryfem, wyszkolone latami ćwiczeń, ale w myślach, w każdej sekundzie zabijał on Heksa. Wyobraźnia podsuwała mu najbardziej wyrafinowane sposoby.

Dziewczyna denerwowała się — bała się, że brat zdradzi się jakimś nieopatrzonym gestem. Mimo to jej ręce nie drżały, a twarz — tak zapewne sądziła — pozostawała spokojna.

Tańczyli.

W pustej sali z błyszczącą, czarną posadzką, przy akompaniamencie ośmiu i dwunastu strun, krążyli wolno, obejmując się, Razwijar z Jaską. Łuks siedział przy nakrytym stole; tym razem, dogadzając upodobaniom smakowym barbarzyńcy, kucharze nie zaserwowali mięczaków. Na ogromnym kawałku tłustego, soczystego mięsa lśniła podpieczona skórka, nad pętami kielbas unosiła się para, ale chimajryd nie tknął jedzenia. Obserwował tańczących, nie wypuszczając z rąk złotego pucharu.

— Wino nie jest zatrute?

— Nie. Za to chłopiec ma ukrytą broń w instrumencie.

— A niechby nawet.

— Dlaczego oni nie mogą się zdecydować, żeby cię zabić? — zapytała nagle tańcząca.

— Boją się.

— Nie... pośród nich są odważni... są ludzie podobni w swojej dzikości do Łuksa... Choćby ten Ilimar. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

Razwijar umilkł. Po złożeniu ostatniej ofiary wiedział i rozumiał więcej niż Jaska, wielki mag.

— Stałeś się zupełnie przerażający — przemówiła, jakby sama do siebie. — Nawet ja nie mogę wytrzymać twojego spojrzenia. Tak wyglądałaby śmierć, gdyby przywdziała ludzką twarz.

— Chłopi nazywają Śmiercią pospolitego rzecznego chapuna.

— Pamiętam. Opowiadałeś.

Wolno zatoczyli jeszcze jeden krąg po sali. Władca wypuścił rękę tancerki i nisko się jej pokłonił. Muzykanci kontynuowali grę, nie odrywając oczu od nut na wysokich pulpitych;

Razwijar doskonale wiedział, że nuty nie są im potrzebne. Znali melodię na pamięć.

— Dziękuję. Wystarczy.

Chłopiec urwał grę w półnucie. Dziewczyna starannie zakończyła muzyczną frazę i dopiero wtedy opuściła smyczek.

— Świetny warsztat. Słyszałem granie Niemego Narodu, a to znaczy, że nie jestem pełnym ignorantem. A teraz powiedzcie mi: co wiecie o Gejlu, znakomitym muzyku?

Brat i siostra drgnęli.

— Nic — powiedział chłopiec.

— A gdybyście pomyśleli chwilę, zastanowili się?

— Nic — szybko powiedziała dziewczynka. — Oprócz tego, że on oszalał i umarł.

— I to wszystko?

— Wszystko.

Władca podszedł do nich bliżej. Stał przed chłopcem.

— Chcesz mnie zabić?

Ten cofnął się.

— Daję ci szansę. Spróbuj.

— Razwijar — cicho odezwała się Jaska za jego plecami. — Po co to robisz?

— Spróbuj — władca kiwnął zachęcająco głową. — Przecież uczyli cię obchodzić się nie tylko ze smyczkiem? Czyżbyś ty, czystej krwi Złoty, nie umiał trzymać broni?

Gwałtownym ruchem chłopiec odrzucił do tyłu długie, falujące złote włosy. Ze smyczka w jego ręce wyskoczyło wąskie ostrze. Po wyrazie zaskoczenia, malującym się na twarzy jego siostry, Razwijar zrozumiał, że dziewczyna nic nie wiedziała o przygotowaniach brata.

— Umrzyj, przekłety Heksie! — wykrzyknął muzykant. Władca nie poruszył się. Stał dwa kroki przed chłopcem i patrzył, jak trzęsie się w jego ręce stalowe żądło.

— Powiniennem umrzeć od spojrzenia twoich strasznych oczu? Czy zdechnąć ze śmiechu?

— Razwijar — głośniej powtórzyła Jaska. — Wystarczy!

Chłopak z przerażeniem patrzył mu w oczy.

— Bardzo dawno temu, pewien człowiek dał mi do rąk straszną broń — powiedział pół-Heks. — Zdziwiłem się wtedy, że się nie boi. Mogłem zabić go o wiele szybciej i o wiele pewniej niż ty swoją igiełką. Powiedział: „Widzę cię na wskroś”. Teraz rozumiem, co to znaczy. Nie zabijesz mnie, odważny chłopcze, to ponad twoje siły...

Zatrzymał się pośrodku sali, założył ręce za plecy, spoglądając w ciemne, wysokie sklepienia.

— A na czyje siły, kto jest w stanie? — zapytał na głos.

* * *

„Miedziany Król — jeden z mrocznych, bezimiennych bogów. Przyjmuje ofiary nie od wszystkich i nie wszystkie...”

Przeglądając tomy, Razwijar natknął się na znajomy styl i ledwie nie krzyknął z radości, jakby spotkał dawnego przyjaciela. „Kraje, w których byłem, ich bogowie i przesady” — taki tytuł nosiła księga, napisana przez autora „Kronik chimajrydów”.

Dzieło znajdowało się w „barbarzyńskim” dziale. Obchodzono się z nim źle albo zostało ocalone z jakiegoś kataklizmu, a najprawdopodobniej i jedno i drugie. Karty były pofałdowane od wilgoci, która kiedyś w przeszłości musiała je dopaść, miejscami dotknięte przez ogień, na stronicach rozpanoszyła się pleśń, widoczne też były ślady po roztoczach. Razwijar zapragnął przepisać tę księgę — na czysto, skrupulatnie zachowując styl autora i jego przypisy, szkice kartograficznych map, które twórca robił na marginesach. Wiedział jednak, że to nigdy nie nastąpi i wszystko, co mógł zrobić dla autora nadzwyczajnej księgi, to odnowić na pierwszej stronie jego, prawie już starte, imię: „Waran”.

„...przypadkowe, niewiarygodne informacje. Ten, kto naprawdę składał ofiary Miedzianemu Królowi, milczy o tym i nigdy nie opowie... wewnętrzna potrzeba... — wers zniknął pod szarą plamą — można jedynie... zatrzymać razem z życiem. Ludzie wiele lat służący Miedzianemu Królowi, stają się niezwyciężeni i nie mogą nawet skończyć ze sobą. Jedyne naruszenie tej prawidłowości jest możliwe, jeśli w czasie ofia...”

Razwijar przewrócił stronicę. Cała następna strona była bezpowrotnie zniszczona; przeżarta starą pleśnią.

* * *

Kobieta stała przed nim w odświętnej, zapewne w swojej najlepszej sukni. Złote włosy, proste i delikatne, spływały na jej ramiona, okrywały plecy i opadały prawie do kolan.

— Jak cię zwa?

— Po co ci moje imię? — Uśmiechnęła się dumnie.

— Jesteś zuchwałą — powiedział odczuwając dziwne zadowolenie. — To dobrze.

— Dla mnie dobrze? Czy dla ciebie?

— Dla mnie. Jesteś taka, jak chciałem. W młodości marzyłem... o Złotych kobietach.

— Miałaś żalostną młodość, żalostny Heksie? Marzenia były twoją rozrywką?

— Nie śmiałem nawet marzyć, że pewnego dnia wszystkie kobiety w Mirtie będą należeć do mnie.

— Wszystkie? Nie rozśmieszaj mnie. Ani jedna nie jest twoja.

— A ty?

— Ja? Ja to tylko kawałek mięsa, żalostny Heksie. Możesz zrobić z moim ciałem, co ci się podoba, ale ja nie jestem swoim ciałem. Możesz mnie wypatroszyć, ale ja zostanę wolna. Dalej, zaczynaj! Pokaż na co cię stać. Pozwól się śmiać, kiedy zrobi mi się wesoło!

Milczał i patrzył na nią.

Miała około dwudziestu lat. W niczym nie była podobna do Jaski w młodości, po chłopięcemu porywczej. Nie była podobna do pokornej, nieśmiałej Dzał. Była — teraz to wiedział — podobna do Mirtie, które wiecznie drażni, majaczy na horyzoncie. Złote miasto, śmiejące się w twarz... przepiękne jak wszystko, czego dotkną się Złoci.

Pod jego spojrzeniem uśmiech kobiety zaczął niknąć. Wciąż jeszcze zmuszała się do śmiechu, ale jej twarz, zarumieniona straceńczą odwagą, bladła, płowiała jak stara mapa na słońcu.

— Co się tak patrzysz? — jej głos już drżał. — Co tak wytrzeszczyłeś oczy?

Starła się odwrócić wzrok i nie mogła. Razwijar podszedł do niej blisko:

— A jeśli dzisiejszej nocy nie będzie ci do śmiechu? Czy mnie wynagrodzisz?

— Puść mnie — wyszeptwała.

Ale nie potrafiła się wyswobodzić z pęt jego wzroku.

* * *

Mirtie kwitło okrągły rok — po przekwitnięciu jednych kwiatów zaczynały kwitnąć inne.

Po uliczkach miasta, szerokich i wąskich, krętych i łagodnych, biegały dzieci wszystkich stanów. Złote dzieci, beztroskie i miłe. Niekiedy z rejonów portu przychodził mały obcy, prosił, żeby wziąć go do zabawy. Zdarzało się, że przyjmowały takich do wspólnych gier, ale potem opowiadały, że obce dzieci umiały kraść i często wdawały się w bójkę. Za to, jeśli prowadzisz się z takim, jak ty, Złotym, zabawa nie będzie niczym zakłócona, chyba że deszcz nagle lunie z pociemniałego nieba.

Rankami, w zdobionych rzeźbami drewnianych i ceglanych budynkach, otwierały się sklepy. Sklepiarki, surowe jak królowe, dawały na kredyt łakocie i owoce. Nad ulicą, na wyższych kondygnacjach, suszyła się bielizna i śpiewały ptaki, grała muzyka i całowali się zakochani. Pnącza oplatały ściany i pnie. Ona wyrosła w złotym, błogosławnym Mirtie i nigdy nie chciała go opuścić.

— A podróżować? Zobaczyć dalekie kraje?

Tak, zdarzało się, do portu przyływały piękne statki z dalekich krajów. Ale wszyscy obcy z takim zachwytem rozglądali się wokół, że było dla niej jasne: w całym zamieszkałym świecie nie ma niczego lepszego od jej miasta.

— A lasy? Przecież wiesz, że na kontynencie rosną gęste lasy, płyną szerokie rzeki...

Razem z innymi dziećmi bawiła się w zagajniku, wyobrażając sobie, że to lasy. Puszczali stateczki po wodach strumyków. Dziewczynki wróżyły sobie narzeczonego, przywiązując do masztów stateczków kolorowe jedwabne wstążeczki...

— Co ty ze mną robisz? — pytała, spoglądając na niego z ciemności błyszczącymi oczami koloru miedzi. — Dlaczego opowiadam? Po co ci to wszystko?!

— Chcę wiedzieć. Opowiedz jeszcze.

Dziewczyna to płakała, to cichła, to znowu zaczynała się wrywać, ale jego wola była niewspółmiernie silniejsza. Był ostrożny, nie chciał zadać jej bólu.

...W porcie wiły się marmurowe uliczki i dla dobrego zamążpójścia trzeba było każdej wiosny przynieść monetę posagowi Morskiej Dziewicy; pięknej i nagiej, z naszyjnikiem z muszelek — prawdziwych! — na cienkiej marmurowej szyi. Dziewica miała uchylone usta, dziewczynki, w tajemnicy przed sobą, wsuwały tam najdrobniejsze monety... Mówią, że obcy, robotnicy pracujący w porcie, wyciągali potem monety specjalną pętlą, ale one wierzyły, że Dziewica przyjmuje ich podarunek i narzeczony będzie jak trzeba...

— Jesteś zameżna?

— Nie! Morska Dziewico, po co ja ci to wszystko opowiadam... Nienawidzę cię, chcę, żebyś zdechł, przekłęty Heksie...

— Twój narzeczony...

— Był drugim pomocnikiem na okręcie flagowym... Zabiłeś go, jesteś mordercą! Po co ja ci to opowiadam, po co... Zaczarowałeś mnie? Jesteś magiem?

— Nie. Ja po prostu cię kocham.

— Kłamiesz!

— Kocham Mirtie i ciebie.

Nie kłamał. Tej nocy ona była jego ucieczką i przystanią, jedynym stworzeniem, zdolnym ochronić go przed zbliżającym się koszmarem. Więcej z nią rozmawiał niż pieścił, a złoty odbłask jej włosów kładł się na jego bladej, białej twarzy.

— Morska Dziewico... zaczynam widzieć w tobie człowieka — wyszeptwała nad ranem.

— Co w tym straszego?

— To... niemożliwe. Niemożliwe jest wierzyć w to, że jesteś człowiekiem. To poruszy... świat. Wszystko.

— Świat jest kruchy. Życie jest kruche. Po prostu uwierz, że cię kocham.

Gorzko się zaśmiała — i nagle po raz pierwszy odpowiedziała na jego pieszczoty.

Ciężar na jego duszy osłabł.

Jej włosy ciemnym złotem rozsypały się po poduszce. Jej skóra była brązowa, matowa, wilgotna od gorączkowego potu. Z pierwszymi promieniami słońca zasnęła — rozdartą, ale w końcu ukojona, spokojna, niemal szczęśliwa. W jej snach Mirtie kwitło i zapalały się ognie nad różowymi i białymi mostami.

— Miedziany Królu, Miedziany Królu. Weź, co jest mi drogie! Daj, czego potrzebuję!

Ostatecznie nie dowiedział się, jak ma na imię.

* * *

Po złożeniu tej nowej ofiary doświadczył chwilowej rozkoszy zrozumienia. Był silny i wielki jak nigdy, był mądry, ale do Ostatecznego Poznania zostało wciąż pół kroku. Tutaj, obok, na wyciągnięcie ręki. Cień wędrowca, idącego na zachód.

Leżał sam w rozrzuconej pościeli. Widział długie kosmyki, złotym haftem pobłyskujące na poduszce. Znowu złożył w ofierze człowieka, dopadło go przerażenie, którego doświadczył zapewne muzykant Gejl, kiedy gryzł swoje ręce.

— Imperatorze — wyszeptał Razwijar. — Bogini Wof... Ktokolwiek. Pomóżcie mi!

Odpowiedzi nie było.

Wstawał świt. Wstał, ubrał się, nie wiedząc jeszcze, dokąd się wybiera i bez określonego celu po kilku minutach zaszedł do komnaty Podarka. Chimajryd spał, rozłożywszy się na pierzynie, a przy jego łóżku siedziała, jakby oczekując na coś, jego matka.

— Stój tam, Razwijar — jej głos był niski jak warkot rozjątrzonego smoka. — Stój tam i nie podchodź.

— Jaska?

— Zabiję cię, jeśli zrobisz choć krok.

Chłopiec poruszył się budząc powoli, ale Jaska nawet nie spojrzała na niego.

— Wiem, po co przyszedłeś. Wszystko wiem, Razwijar, już od dawna. Mój syn nie dostanie się Miedzianemu Królowi. I tak zwlekałam zbyt długo... Wyjedziemy dzisiaj. Nie możesz nas zatrzymać.

— Za bardzo przywykłaś do swojej potęgi — wolno powiedział Razwijar. — I wierzysz we własną nieomyślność.

Tak naprawdę przyszedł po to, żeby, jak wtedy na statku, objąć dziecko i choć na chwilę przywrócić sobie duchowy spokój. Był pewien, że po to przyszedł, ale matka, wielki mag wiedziała lepiej i władca kamiennego zamku uświadomił sobie nagle, że ona ma rację.

Turkusowy pierścień na palcu Jaski rozbłysnął i zalał komnatę drżącym, nerwowym światłem.

— Odejdź. Albo umrzesz w tej chwili.

Podarek wybudził się zupełnie. Podskoczył na łóżku.

— Mamo! Co ty robisz?!

Jaska ledwie zdążyła chwycić go za kołnierz nocnej koszuli.

— Łuks! Do mnie!

Otworzyły się drzwi w głębi komnaty. Wszedł Łuna Księżycy, Razwijar był wstrząśnięty, jak dawno go nie widział. Nagóren postarzał się, jego krótka broda gdzieśgdy posiwiała, szerokie ramiona zgarbiły się. Sierść była nastroszona i straciła blask. Na grzbiecie, wytartym przez siodło, bezradnie różowiała skóra.

Zamarł pomiędzy Jaską a Razwijarem. Popatrzył na żonę i na syna. Przeniósł wzrok na jeźdźca i władcę.

— Łuks, chodź z nami — wywarczała Jaska. — On sprzedał siebie i swoje życie Miedzianemu Królowi. On sam jest Miedzianym Królem. On nie składa ofiar — zabiera, zatracą siebie! Nie zatrzyma się.

— Mamo! Przecież to...

— Przyszedł, żeby cię złożyć w ofierze, Dar.

— Nie! — Podarek szarpnął się tak, że zatrzęszczało płótno.

— Razwijar...

— Łuks! — zawyła Jaska, odciągając do tyłu, niczym piórko, zapierającego się, maleńkiego chimajryda. — Jesteś z nami?!

— Jaska — przemówił ten, niemal bezgłośnie. — On jest moim jeźdźcem.

— Zaniesie cię na ołtarz!

— Jest moim jeźdźcem.

— Idiota!

— Jestem Nagórenem. A on jest moim jeźdźcem. Zabierz dziecko... Ja zostanę.

Jaska odwróciła się do niego z wykrzywioną gniewem, straszną twarzą. Napotkała ponure, ale bardzo stanowcze spojrzenie chimajryda.

— Co mi mówiłeś?! — krzyknęła kobieta. — Co mi obiecałeś?

— On jest moim jeźdźcem.

— A ja jestem twoją żoną!

— Wedle jego woli. On jest moim jeźdźcem.

— Poczekajcie — powiedział Razwijar i wrócił do drzwi. — Nie potrzebujemy takich rozpaczliwych scen... Odchodzę.

— Czy aby daleko? — Kobieta uniosła podbródek.

— Na Złotą Górę — głos władcy był lodowato spokojny, jego przyszłość leżała przed nim niczym zalana księżycowym blaskiem równina. — Odbyć pielgrzymkę. Łuks, chodź ze mną. Jaska, możesz zabrać małego na „Skrzydłaka” choćby teraz. Tylko zostaw mi „Puzana”.

Nozdrza maga rozděły się z przyzwyczajenia, jakby chciały wciągnąć w siebie całe powietrze w komnacie.

— Ty po TO tutaj przyszedłeś — powiedziała nieoczekiwanie spokojnie. — TO właśnie miałeś zamiar zrobić, tak?

— Tak — powiedział Razwijar.

— Paliłeś ich statki? Ja paliłam... dla ciebie?

— Tak.

— Zmieszałeś ich wszystkich z błotem, zgwałciłeś, poniżyłeś?

— Tak.

— Przeklęty Heksie!

— Tak. Łuks, idziemy.

— Nie! — Jaska teraz prawie piszczała. — On jest moim mężem... Ojcem mojego syna... Pójdzie z nami! Proszę, chodź!

Nagóren długo patrzył na nią i Podarka. Razwijar czekał.

— On jest moim jeźdźcem.

W oczach Jaski mignął cień — jakby upadł topór.

* * *

Złota Góra wznosiła się daleko od morza, na tyłach Mirtie. Wielki występ wisiał nad przepaścią, niskie krzaki były obwieszane drobnymi dzwoneczkami. Według tradycji Mirtie, na Złotą Górę przychodzili nowożeńcy i zostawiali tutaj dzwoneczek, uważano, że przyniesie to szczęście młodym małżonkom.

Dzwoneczki grały cichuteńko, prawie na granicy słyszalności.

Razwijar patrzył na miasto. Nagóren stał obok, osiadłany, jego boki drżały — droga nie była łatwa. Wschodziło słońce. Poranne Mirtie było bardziej świeże i lekkie aniżeli Mirtie o zachodzie. Teraz, z góry, nie wydawało się szybujące — rozpostarte na nizinie pod górą, łowiło słońce czerwonymi i złotymi dachami, dotykało nieba złotymi szpilami iglic.

— Jak to się stało? — szeptem zapytał Łuks.

— Sam nie wiem.

— Jak to się stało? Zawsze byłem obok... Mój brat. Mój jeździec.

— Kiedy się spotkaliśmy, byłem już... już złożyłem pierwszą ofiarę. Nic nie mogłeś zrobić. Nikt nie mógł nic zrobić. To jak śmiertelna choroba. Jak życie, które i tak zakończy się śmiercią.

Łuks patrzył spokojnie i surowo, tak jak patrzył zawsze. Razwijarowi nagle zrobiło się lżej. Teraz mógł mówić.

— Wszystko rozumiem. Widzę każde ziarenko piasku, wiem, gdzie ono było i czym się stanie... Jaska torturowała dla mnie i zabijała wedle mojego rozkazu. Ona nie kocha syna, ponieważ ten stanął między nami. Ona nie kocha ciebie, ponieważ byłeś wobec niej zbyt uległy i zawsze mogła na ciebie liczyć. A mnie? Mnie nienawidzi. Łuks, jej dusza jest spalona jak te statki i to ja sprawiłem. Wiem, że nie mogę prosić o wybaczenie. Nie należy prosić o wybaczenie za to, co masz zamiar zrobić znowu.

Chimajryd podszedł bliżej. Położył rękę na ramieniu Razwijara. Ten patrzył na miasto.

— Ona ma rację. Nie zatrzymam się.

— Dlaczego? Co cię zmusza? To jest jak głód albo jak pragnienie...

— To jest jak lawina. Jak pożar. Czego chciałbyś najbardziej Łuks?

— No...

— Nie chciałbyś, żeby twój umysł rozświetlił się od wewnątrz? Kiedy możesz wszystko i wszystko rozumiesz? To jest jak miłość, tylko silniejsze. To jak świadomość... jak pobłyskujące wyjście z ciemnego, ślepego zaułka... Jak doskonałość, Łuks. I to jest obok, o dwa kroki. Miedziany Tron... Nic nie mogę zrobić. Chociaż... Chyba że...

Razwijar nagle zamarł z szeroko otwartymi oczami. Prosta myśl, która nie pojawiła się wcześniej. Przez te wszystkie dni nie miał na to czasu, był zajęty czymś innym. Odwróciwszy się plecami do Mirtie, uśmiechnął się szeroko i uniosł rękę nad sobą — nad ostatnią ofiarą.

— Miedziany Królu, Miedziany Królu! Weź, co jest mi drogie! Zabierz! Udław się! Daj, czego potrzebuję!

Nic się nie wydarzyło.

— Miedziany Królu, Miedziany Królu! Weź, co jest mi drogie, daj, czego potrzebuję!

Długa, pełna napięcia chwila — i znowu nic. Razwijar odwrócił się, słońce wzniosło się wyżej, jaskrawiej błyszcząły dachy, zieleńsze wydawały się sady.

— Miedziany Królu — zaczął trzeci raz, już bez nadziei. — Miedziany Królu... Daj, co jest mi drogie...

— Nie jesteś dla siebie drogi — szeptem powiedział Łuks. — Albo... on po prostu nie chce brać.

Pół-Heks, nie patrząc na niego, wyciągnął miecz z pochwy. Przeciągnął ostrzem po rękę. Krew bryznęła na kamienie.

— Miedziany Królu, Miedziany Królu, weź, co jest mi drogie, daj, czego potrzebuję!

Szkarłatne krople zasyczały, ulatniając się. Miedziany Król wziął tych kilka kropli. Razwijarowi zrobiło się lżej, zaśmiał się głośno, krew z otwartej rany cały czas płynęła, a on powtarzał i powtarzał zaklęcie, jednakże następna ofiara nie została przyjęta.

— Dosyć — chimajryd przewiązał mu ranę opatrunkiem z torby przy siodle. — Dosyć napatrzyłem się w życiu na twoją krew. Wystarczy.

— Łuks, ja przecież nie przestanę — Razwijar nieobecny wzrokiem patrzył, jak ten owija mu rękę. — Złożę w ofierze i ciebie, i Jaśkę, i Mirtie... I... spróbuj mnie zatrzymać, proszę.

— Jak?

— Zabij.

Nagóren cofnął się.

— Nie mogę zabić jeźdźca. Łatwiej wyrwać sobie oczy.

— A Poranek Bez Skazy zabił swojego jeźdźca.

— On był magiem... I jest przeklęty na wieki. Wiesz... niepotrzebnie pozwoliliśmy Jasce zabrać jego pierścień.

— Ona sama tak zdecydowała.

Teraz razem patrzyli na miasto. Stada drobnych ptaków niesły się nad nim jak czarno-biała siatka. Łopotały flagi na wysokich, ażurowych wieżyczkach. Girlandami ciągnęły się wzdłuż ogrodzeń żółte i czerwone kwiaty. W porcie ciemniały statki, Razwijar pomyślał, że Jaska jest teraz na „Skrzydłaku”, a Podarek z nią. Tari-Koła i jego ludzi odprawił na pokład już wczoraj...

To miasto, jak niewiasta na ołtarzu. Piękna ofiara. Możliwe, że ostatnia?

— Stój!

Chimajryd rzucił się na skraj urwiska, stanął między Razwijarem a rozpościerającym się w dole Mirtie.

— Zaczekaj. Jeśli wybierać między mną a miastem... Niech to będę ja, jeźdźcze. Jestem ci przeciw drogą?

— Łuks!

— Nie chcę widzieć, jak oddajesz jemu to miasto. Ty... ty uratowałeś mnie tyle razy, że moje życie już dawno należy do ciebie, dawno i bez reszty. A tam... Szybki Tancerz od dawna już na mnie czeka. Wyczekuje na Zielonej Równinie, zapomniany przez wszystkich. Pieszko przemierza zielone łąki... Chociaż, kto wie czy trafię na Zieloną Równinę? Gdzie trafiają jego ofiary, nie wiesz?

Ulga, jaka spłynęła na Razwijara w tym momencie, kiedy Miedziany Król przyjął jego krew, znikła. Napływała siła, przewyższająca wszystkie siły tego świata i zakreśliło się niewidoczne koło garncarskie — pajda chleba z brązową błyszcząca skórka... Ogarek świecy... Książka... Wiewiórka... Klingi... I dalej, i dalej — umierający Imil, i dalej — dziewczyna o złotych włosach, i jeszcze dalej, i dalej...

— Nie wiem — powiedział glucho. — Nie wiem, gdzie oni są, żywi czy... czy to możliwe, żeby zostali wśród żywych... i czy nie lepiej im umrzeć... Dowiem się, kiedy dotrę do Miedzianego Tronu.

— Dowiesz się — spokojnie powiedział Łuks. — Jesteś mądry, bardzo mądry. Możliwe, że zostało niewiele. Możliwe, że to ostatnia ofiara.

I uśmiechnął się.

Stał na występie skalnym nad miastem, opuściwszy ręce, nie dotykając pasów z mieczami, jak zwykle opasujących jego tors. Kędzierzawy, postarzały chimajryd pod siodełkiem, z szerokimi łapami, z gęstą sierścią na bokach. Razwijar nigdy w życiu nie nałożył ostróg, siadając na grzbiet swego przybranego brata.

— Kto jest ci droższy; ja czy Mirtie?

— Ty.

Nagóren uśmiechnął się.

— Zawsze marzyłem, żeby umrzeć za ciebie, przyjacielu. Tylko krepowałem się powiedzieć ci o tym.

— Łuks...

— Rób swoje. Jeśli chcesz, to się odwrócę.

— Łuks!

— To... wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Razwijar wpatrzył się w jego twarz, „...przypadkowe, niewiarygodne informacje. Ten, kto naprawdę składał ofiary Miedzianemu Królowi, milczy o tym i nigdy nie opowie... wewnętrzna potrzeba... — wers zniknął pod szarą plamą — można jedynie... zatrzymać razem z życiem. Ludzie wiele lat służący Miedzianemu

Królowi, stają się niezwycczeni i nie są w stanie nawet skończyć ze sobą. Jedyne naruszenie tej prawidłowości jest możliwe, jeśli w czasie ofia...”.

Heks usłyszał jego głos i przed oczami pojawił się obraz jasny i wyraźny; władca podnosi się z fotela, idzie ku niemu... „Nie ruszaj się, siedź...”. Lewą rękę kładzie na jego głowie, a prawą unosi w znajomym geście... I wtedy Razwijar tnie mieczem po dłoni, ta odlatuje i wpada do basenu... A po chwili ostrze klingi przebija pierś władcy...

„Jedyne naruszenie tej prawidłowości jest możliwe, jeśli w czasie składania ofiary, ta sprzeciwi się i zabije ofiarodawcę”. Te słowa albo podobne, przepadły w księdze Warana, zżarte przez pleśń. Wielki człowiek... wielki. Złoci powinni lepiej obchodzić się z bezcennymi księgami...

— Łuks... Ja wiem, kto mnie powstrzyma.

* * *

— Razwijar?! Co z tobą, gdzie byłeś?!

— Dar — zatrzymał się, nie rozumiejąc zupełnie, co się dzieje, wpatrując się w twarz małego chimajryda. — Podarek... Dlaczego nie wyjechaliście?!

— Nie... Mama... ona powiedziała, że zostaje w Mirtie.

— Jak to?!

— Ona powiedziała, że zostaje... A gdzie tata?

— Czekaj — powiedział Razwijar. — Czekaj. Muszę natychmiast zobaczyć mamę.

Wpadł do pałacu. Złoci z przerażeniem ustępowali mu z drogi. Wbiegł po schodach pokrytych czarno-srebrnym dywanem i uderzył ramieniem w rzeźbione drzwi jej pokoi:

— Jaska!

Brak odpowiedzi. Przyskoczył jeden ze Złotych, kamerdyner i trzęsącą się ręką podał mu klucze.

— Otwieraj! — zaryczał Razwijar.

Rozwarły się drzwi. Zobaczył, że Jaska, żywa, siedzi plecami do wejścia, przy oknie i patrzy na morze. Wstrzymał oddech.

— Chwała Imperatorowi — wymamrotał z nerwowym uśmiechem. — Chwała bogini Wof... Jaska!

Kobieta nie poruszyła się.

Razwijar rzucił się ku niej, potykając się o rozrzucone po komnacie książki, rzeczy, zabawki.

— Jaska! Znalazłem wyjście! Proszę cię, zrób to dla mnie... Jaska!

Kobieta odwróciła głowę, spojrzała na niego nieprzytomnym, odrobinę zdziwionym wzrokiem. Łokciem opierała się o stolik z pisarskimi przyborami, prawie dotykając pokreślonej kartki papieru, pierścienia z turkusowym kamieniem i przewróconego flakonika, wyrzniętego z drogiego kamienia.

„Zostaję w Mirtie — było napisane na kartce pośród wielu przekreślonych wierszy. — Niechby nawet nikt nie przeczytał... Chcę powiedzieć komuś, choćby papierowi: kiedy złożysz w ofierze mojego męża i to miasto, na ołtarzu będę ja z Darem. Nie chcę niczego pamiętać. Nie pragnę tego przeżyć”.

Razwijar chwycił flakonik. Na papier upadła jedyna kropla — mdło pachnąca kropla „słodkiego mleczka”, zioła, odbierającego pamięć.

— Jaska!

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Razwijar cofnął się, stolik się zachwiał, pierścień Poranka Bez Skazy stoczył się na podłogę.

— Nic nie pamiętam — powiedziała kobieta ze zdziwieniem. Jej głos był niski i zachrypnięty, ale intonacja była znajoma. — Co się stało? Nie pamiętam... Kim jesteś? — Przeniosła wzrok ponad ramię Razwijara. — Kto to? Półczłowiek!

Patrzyła na Łuksa, nie poznając go. Ten rzucił się przez komnatę, zostawiając ślady pazurów w głębokim dywanie. Zobaczył flakonik. Zobaczył list. Mimochodem zerknął na turkusowy pierścień, który potoczył się pod stół. Z przerażeniem zwrócił się w kierunku Jaski.

— Co z tobą? — nachmurzyła się. — Ty... Boli cię coś?

Łuks upadł przed nią i zakrył twarz dłońmi, a Razwijarowi wydawało się, że ten krzyczy, chociaż nie było słyhać ani jednego dźwięku.

Komnata płynęła przed oczami. Papier, pierścień na podłodze... Kamienny flakonik... Chimajryd u nóg zdziwionej kobiety... Razwijar widział w swoim życiu tysiące śmierci. Strata, jaka dopadła go teraz, sprawiła, że na chwilę ogłuchł, ośleplł, stracił dar mowy.

Nagóren odjął dłonie od twarzy. Popatrzył na Razwijara, podniósł się. Pół-Heks był w szoku, widząc, jak spokojny i majestatyczny potrafi być jego przybrany brat. Jak władcy.

— Zwią cię Jaska — przemówił Łuks. — Jesteś moją żoną. I nie odejdziesz ode mnie. Od nowa opowiem ci każdy twój dzień, każdą chwilę. Opowiem ci twoje życie i wszystko sobie przypomnisz. Wszystko będzie od nowa. Wierzysz mi?

Mówił wyraźnie, pewnie, w jego głosie zadźwięczała stal, Razwijar zobaczył, jak przyciągają oczy kobiety ozywają, pojawia się w nich ogienek, jak na bladych wargach pojawia się niezdecydowany uśmiech:

— Wierzę... A jak ciebie zwią?

Wtedy Razwijar wyszedł, zostawiając ich samych. Zataczał się. W korytarzu, milczącym tłumem, stali Dostojni i ponury Ilimar. Podłoga pod ich sapogami błyszczała, różne gatunki drewna układały się w mozaikę i w zależności od tego, jak zmieniało się oświetlenie, na drewnianym parkiecie rozkwitały i więdły kwiaty.

Miedziany Król odliczał ostatnie sekundy. Pragnienie odnowy stawało się nie do zniesienia, droga do Miedzianego Tronu zdawała się krótka i prosta — kilka lekkich kroków. „Możliwe, że to ostatnia ofiara” — powiedział wtedy Łuks.

Rozejrzał się wokół. Dostojni stali ramię w ramię, wielu trzymało broń, ale nie zamierzali jej użyć, na ich twarzach malował się strach i zmieszanie. Niektórzy szeptali między sobą. Łuks zdążył im coś opowiedzieć? Czy zrobiła to Jaska? Chłopca nigdzie nie było widać...

— Podarek! — władczo zawołał Razwijar.

Spomiędzy ścisłego szeregu Złotych wyszedł chłopiec. Był blady jak ściana, jego jasne włosy sterczały w nieładzie. Aksamitna kurtka rozpięta się, stojący kołnierzyk koszuli opierał się o delikatny, dziecięcy podbródek.

— Razwijar — wyszeptał chimajryd, nie decydując się podejść bliżej. — Co z mamą? A ojciec,

— Wszystko dobrze — kucnął przed nim. — Podarek, mały... Jesteś wojownikiem? Jesteś mężczyzną?

— Tak — chłopiec drgnął i przełknął ślinę.

— Pomóż mi.

— Jak?

— Wyjaśnię ci... — zatoczył nieprzytomnym spojrzeniem wokół. — Dajcie mi arbalet! Naładowany! Naciągnięty! Żywo!

W tłumie zapanowało poruszenie. Ponury Ilimar wziął od kogoś broń i podał Razwijarowi. Ten włożył arbalet w ręce Podarka:

— Uczono cię strzelać?

— Tak...

— Palec na spust. A lepiej dwa palce, tutaj jest taki łukowaty pałak. Teraz patrz...

— Chcesz, żebym do ciebie strzelał?!

Czas uciekał. Moc Miedzianego Króla odbierała Razwijarowi resztki woli. Król żądał ofiary.

— Chłopcze... Podarunek, posłuchaj...

Mógłby się przyznać, że chce zgubić, złożyć w ofierze rodziców Dara i jego samego. Nie mógł się przyznać. I nie nadażał.

— Baba! Tchórz! To próba, jasne? Jeśli chcesz kiedykolwiek być żołnierzem, zrób tak, jak powiedziałem! Rozkazuję ci! Jesteś gotów?!

Nigdy w życiu nie krzyczał na chłopca. Nawet Złoci się cofnęli, chociaż jego wzrok nie był skierowany na nich. Podarek skulił się.

— Tak.

— Zrobisz to?!

Dzieciak chlipnął.

— Ilimar, licz do trzech. Na „trzy” — puszczaj. Niech nikt nie śmie mu pomagać, inaczej się nie uda! Tylko chłopiec... Ilimar, odliczaj!

— Raz — schrypniętym głosem przemówił Dostojny.

— Miedziany Królu — wypowiedział Razwijar i uniósł rękę.

W jego wnętrzu zerwała się sprężyna. Podarek stał przed nim, niczym na ołtarzu, trzęsący się, zalany łzami, z uniesionym arbaletem w rękach.

— Dwa!

— Miedziany Królu... Weź...

Życzyłby sobie poskromić, utrzymać na wodzy swój język, ale słowa nie należały do niego. Płynęły mimo jego woli.

— Trzy!

Podarek mrugnął. Arbalet w jego rękach drgnął. Nic się nie stało.

— ...co jest mi drogie!

— Strzelaj — krzyknął Ilimar. — W imię Mirtie, strzelaj! Uratuj nas! Uratuj nas wszystkich!

Dzieciak siedział, skamieniały, patrząc na Razwijara, jedyny ze wszystkich, który wytrzymał jego wzrok. Małeńki palec zamarł na spustowym pałaku.

— Daj... — ogarnęło go przerażenie, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

— Strzelaj! Strzelaj! — jakby poprzez watę w uszach, docierały do niego krzyki Złotych.

Podarek ledwie, ledwie pokręcił głową. Patrzył na Razwijara, w oczach miał ból i uwielbienie, łzy i zdecydowanie — strzału nie będzie.

— Co... jest... mi... po... trzeb...

Zobaczył — albo zdawało mu się, że widzi — jak ogromna ciemna dłoń zawisa nad Podarkiem, chcąc nakryć go na wieki. Powietrze drżało, do nieodwracalnego pozostał jeden dźwięk.

Arbalet upadnie na podłogę. Dziecko zniknie. Odkryje się przed nim nowa wiedza. Uniesie się mglista zasłona, zaleje światłem najdalszy zakątek świadomości. Pobiegną wiewiórki po polu zbóż, rudy potok, ogony i wygięte w łuk grzbiety...

— Nie!

Skoczył w kierunku chłopca, chcąc przykryć go sobą. Arbalet upadł na podłogę.

— NIE RUSZAJ, CO JEST MI DROGIE!

Zdawało mu się, że z góry upadła oliwna prasa. Wywrócił się świat i wszystko się zmieniło. Goły i głodny, ostatni z niewolników, wrósł w ziemię cuchnącej piwnicy, gdzie dzień i noc

skrzypi kołowrót, a bicz hula po chudych plecach. Miernota, zwierzę, które utraciło nawyk składnej mowy, które zapomniało swoje imię — Razwijar... „Co jest ci potrzebne?”

— Nie ruszaj, co jest mi drogie!

Jedyne słowo: „pamięć” wyryte na brudnej, szarej ścianie. I znowu bicz, i dzwoni łańcuch, i gęstnieje mgła. „Co jest ci potrzebne?”

— Nic! Wszystko mam! „Wolność? Słońce?”

— Nie ruszaj, co jest mi drogie! Nie oddam!

Oliwna prasa upadła i zatrzeszczały kości. Razwijar ostatnimi siłami wczepił się w chłopca, czując, jak ten wyślizguje się z jego rąk.

Wyślizguje się.

* * *

Członek Rady Dostojnych, Ilimar, pisał w swoich wspomnieniach: „Nikt z nas nie uświadamiał sobie wtedy tego, co się dzieje. Nikt nie pojmował do końca, jak straszny los był dla nas wszystkich przygotowany. O wiele później dowiedzieliśmy się z opowieści i ksiąg, czego udało nam się uniknąć tego dnia, i komu zawdzięczamy swoje wybawienie... A wtedy widzieliśmy tylko, jak Heks ściska w objęciach chłopca chimajryda, jakby miał zamiar połamać mu kości i kazał mu strzelać, ale chłopiec nie podporządkował się rozkazowi... Nawiasem mówiąc, nie podporządkować się temu Heksowi nikt z nas nie miał możliwości...”

Dzieciak opowiadał później, że zanim stało się cokolwiek, jakoby pojawił się potwór, ale Heks go przegnał... Sam barbarzyńca trwał w jakimś szaleństwie przez kilka godzin i miotał się okropnie. Baliśmy się do niego zbliżyć... Wszystko to było związane z niepojętymi, strasznymi czarami, ale kobieta mag nie wyszła ze swojej komnaty, a starszy chimajryd sam był wstrząśnięty tym, co się wydarzyło. Uwzględniając przerażający stan upadku ducha, w którym wszyscy się znajdowaliśmy, wydarzenie to zdawało się nam zwiastunem nowego zła. Jednak nie minęły dwie doby, kiedy najeźdźcy odpłynęli z naszego portu, a dym ich czarnych okrętów zniknął na horyzoncie...”

* * *

Łódka uderzyła dnem o wystający kamień. Razwijar przeszedł przez burłę, po pas zanurzając się w chłodnej wodzie, namacał nogami dno i wyszedł na brzeg.

— Wracajcie. Muszę pobyć sam.

Nie oglądając się ruszył po zboczu w górę; latarnia była zrobiona z kości, ni to igła gigantycznego morskiego jeża, ni to prosty kiel, a może róg. Zgniłe drewniane schody prowadziły na górę, przy wejściu, pod daszkiem stała czarna beczka. Pachniało olejem i wodorostami.

Zgięty w pół, Razwijar zajrzał pod skrzydła skorupy ogromnego małża, ale nikogo tam nie było, leżała tylko kupa szmat. Wyprostował się i rozejrzał. Mirtie jaśniało na horyzoncie, dalekie, nieosiągalne.

Usiadł na chłodnym kamieniu, oparł się o skałę plecami i zamknął oczy. Na wysepce z latarnią nie można było zginąć z głodu — ryby, wodorosty... Nigdy nie jest ciemno. Nie wysechłby olej w beczce, nie zapomniałby poprawiać knota. Zapewne coś podobnego odczuwał stary Latarnik, kiedy po raz pierwszy stanął na tej wyspie. Trzeba pobyć samemu... Długo. Bardzo długo.

Łódź odpłynęła za skałę, ale Razwijar czuł, że są obok. Nie wracają na statek. Czekają, kiedy ich wezwie, nie śmia go nie posłuchać, ale nie mogą też wypełnić rozkazu.

„Zwą cię Jaska — powiedział wtedy Łuks. — Jesteś moja żoną. I nie odejdiesz ode mnie. Od nowa opowiem ci każdy twój dzień... Od tego ranka, kiedy się urodziłaś w osadzie Kamienna Strzałka. Jak rosłaś, jak stałaś się magiem, jak otwierałaś i zamykałaś lalkom oczy... Jak walczyłaś i jak zdjęłaś przekleństwo z całego ludu Nagórenów, i jak urodziłaś syna. Opowiem ci twoje życie i wszystko sobie przypomnisz. Wszystko będzie od nowa, Jaska. Wierzysz mi?”

Razwijar przypomniał sobie, jak ona uśmiechnęła się w odpowiedzi na te słowa. Otwarcie, ze zdziwieniem, szczęśliwie — jak w młodości.

Oni są żywi i cali. Oni są jego życiem. Jego życie niech odpływa, wolne, a on zostanie tutaj — odkupić winę, której odkupienie jest ponad ludzkie siły.

I Mirtie na horyzoncie. I ryczący płomień nad głową. Ale oni — oni są żywi i cali. I miasto stoi, jak przedtem, przeglądając się w wodach zatoki...

— Razwijar?

Otworzył oczy.

Nie posłuchali, łódka kołysała się na wodzie niedaleko od brzegu. Nad samą wodą, na wilgotnych kamieniach stał Podarek, rozczochrany, dziwnie dorosły, podobny do młodego Łuksa.

— Przecież prosiłem, żeby mnie zostawić w spokoju.

— Wybacz — chimajryd ruszył ku niemu, lekko stąpając szerokimi łapami po ostrych kamieniach. — Tylko... Popatrz, co dla ciebie znalazłem.

Na jego wyciągniętej dłoni leżała pajda chleba, jasnoszara, z brązową, błyszczącą skórką.